



BARBARA WOOD CÓRKA SŁOŃCA

Tytuł oryginalny: Daughter of the Sun

Przełożyła z angielskiego Anna Maria Nowak



Hoszitiwa AD. 1150

ROZDZIAŁ 1

Pędził po brukowanej drodze, serce dudniło mu z przerażenia. Mknął, nie zważając na krwawiące stopy. Obejrzał się. Oczy rozszerzyły mu się ze zgrozy. Potknął się, zachwiał, ale biegł dalej. Musiał ostrzec swoich.

Nadciągał Mroczny Pan.

Hoszitiwa siedziała ze skrzyżowanymi nogami u stóp skały, w promieniach słońca przedąc bawełnę na swoją ślubną szatę. Toczyła wrzeciono po udzie, wprawnie wyłuskując ze zbitej bawełny czyste, gładkie nici, z których po zafarbowaniu powstanie opaska na włosy.

Wokół trwała codzienna krzątania: rolnicy siali kukurydzę, kobiety doglądały palenisk i pilnowały dzieci, garncarze lepili deszczowe dzbany, z których słyneło jej plemię. (Tych ostatnich było mniej niż zwykle, ponieważ niektórzy musieli porzucić glinę, by pomóc przy zbiorze kukurydzy. Ubiegłego roku bowiem po przyniesieniu obowiązkowej daniny lud słońca usłyszał, że za rok ma dostarczyć jej dwa razy więcej. Zadanie nie należało do łatwych, lecz wysiłek całego plemienia gwarantował, że zostanie wykonane.)

Przędąca bawełnę Hoszitiwa nie wiedziała, że gdzieś za wielką wodą żyje dziwny lud, który nazwał bieżący cykl słoneczny rokiem Pańskim 1150. Nie wiedziała też, że owi ludzie jeżdżą na grzbietach dzikich zwierząt, czego jej lud nigdy nie robił, a towary transportują dzięki narzędziu zwanemu kołem. Hosziti-

wa nie miała pojęcia o istnieniu katedr, prochu, kawy i zegarów. Byłaby zdumiona, gdyby usłyszała, że te istoty nadają nazwy wąwozom, rzekom i wzgórzom.

Osada Hoszitiwy nie nosiła nazwy, podobnie jak pobliski strumień ani szczyty, które strzegły jej plemienia. Dopiero za kilka stuleci miała tu przybyć inna rasa, nadająca miano wszystkiemu, co ujrzy i na czym postawi stopę, by trzysta kilometrów na południowy wschód od miejsca, w którym Hoszitiwa wygrzewała się na słońcu, wybudować osadę Albuquerque — z czasem główny ośrodek miejski dla terytorium o powierzchni ponad trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych, ochrzczonego przez przybyszów Nowym Meksykiem. Młodziutka oblubienica nie wiedziała też, że obcy za kilkaset lat podbiją również tereny na północ od jej osady i nazwą je Kolorado.

Tylko jedno miejsce znała z nazwy — Miasto. Przecinały się tam szlaki handlowe, więc było to nie tylko ruchliwe targowisko, ale także ważne miejsce spotkań i ośrodek religijny. Jednakże już za kilkaset lat przybysze zmienią jego nazwę i Miasto będzie od tej pory znane jako kanion Chaco. Jeszcze parę stuleci później będą tam pielgrzymować ludzie zwani antropologami i stojąc na ruinach Chaco, będą snuć domysły, sprzeczać się i debatować nad tym, co określą jako „opuszczenie”. Będą się zastanawiać, dlaczego Hoszitiwa i jej plemię, które błędnie ochrzczą mianem Indian Anasazi, zniknęły tak nagle, nie zostawiając po sobie śladu.

Hoszitiwa nawet nie przeczuwała, że stanie się kiedyś częścią pradawnej zagadki. Gdyby ktoś jej o tym powiedział, toby nie uwierzyła. Dlaczego właśnie los jej pokolenia uznać za zagadkowy? Wszak żyli tak samo jak ich przodkowie, od stuleci zamieszkujący osadę nad załomem strumienia. Może tylko mieli nieco większe domy i trochę bardziej skomplikowane zdobienia na dzbanach. Niczym innym nie różnili się od swoich dziadów.

Hoszitiwa była córką prostego kupca, która na palcach jednej ręki mogła wyliczyć dobrodziejstwa, jakie otrzymała od losu; wiodła żywot spokojna, że jutro niczym jej nie zaskoczy.

Biegacz potknął się i przewrócił. Nie zważając na przenikliwy ból w prawym kolanie, podparł się, by znów stanąć na nogi. Bruk pod jego palcami drżał. To było echo kroków bezwzględnej armii. Przerażony z wysiłkiem przełknął ślinę.

Nadciągali kanibale.

Hoszitiwa spojrzała na przystojnego Ahotego. Ubrany w samą przepaskę biodrową stał przy murze pamięci. Jego smukła sylwetka lśniła w promieniach słońca, gdy pod okiem ojca recytował historię plemienia, wodząc ręką po ideogramach na ścianie. Każdy symbol przedstawiał jakieś ważne wydarzenie w dziejach ludu słońca. Ojciec pokazywał Ahotemu postać jednego z *kokopilau*. Przedstawiono go z puszczalką w rękę, przygniecionego pod ciężarem wora wyładowanego darami i błogosławieństwami. Wszyscy *kokopilau* należeli do tajnego bractwa, słynęli ze swojej kapryśnej natury, ale i z hojności. Nikt nie wiedział, jak powstało bractwo, jaką przysięgę składają jego członkowie ani jakim bogom służą. Wędrowali od osady do osady, a wszędzie witano ich niczym upragnionych gości, bowiem przynosili pomyślność i płodność. Uwieczniony na murze siedmiodniowy pobyt *kokopilau* w osadzie zaowocował obfitymi zbiorami kukurydzy i licznymi ciężami wśród mężatek.

Na murze znajdowało się bardzo wiele różnych rysunków — nie tylko ludzie, ale i spirale, zwierzęta, błyskawice i inne symbole, zbyt liczne, by je spamiętać. Dlatego wybierano jednego człowieka, bajarza zwanego Tym, Który Łączy Lud, tak ważnego, że nawet nie musiał pomagać przy zbiorach. Jego zadaniem było co dzień stawać przy murze i recytować długą kronikę dziejów plemienia.

Hoszitiwę zalała fala czułości i ufności. Życie było piękne. Wokół barwiły się wiosenne kwiaty. W pobliskim strumieniu szumiała chłodna ożywcza woda dająca schronienie bogactwu ryb. Plemię nie narzekało na brak zdrowia i dostatku. Szesnastoletnia Hoszitiwa zaś niecierpliwie wyglądała dnia swoich zaślubin.

Miała wielkie szczęście, że wychodziła za chłopca ze swego plemienia. Dzięki temu nie musiała przenosić się do innej osady i mogła pozostać z rodziną. Zasady obowiązujące przy doborze narzeczonych były skomplikowane. Bacznie pilnowano, by przyszłych małżonków nie łączyły więzy krwi. To prawdziwy łut

szczęścia, że Hoszitiwie pozwolono poślubić Ahotego, którego kochała od dzieciństwa, zamiast kazać jej szukać małżonka w innej osadzie.

Rada plemienna nie wyrażała zgody na zrękowiny, póki skrupulatnie nie przebadala skomplikowanej sieci pokrewieństwa — wujów, ciotek oraz kuzynów zarówno ze strony matki, jak i ze strony ojca. Proces trwał wiele dni, a towarzyszyły mu liczne sprzeczki, drapanie się po głowie i mozolne szperanie w pamięci, gdyż nikt nie chciał popełnić błędu. Związek między krewnymi, będący tabu, sprowadziłby bowiem nieszczęście na całe plemię.

W tym konkretnym wypadku okazało się, że ojciec Ahotego — Ten, Który Łączy Lud — w żaden sposób nie jest spokrewniony z rodzicami Hoszitiwy. Nie był on nawet ich powinowatym. Dziadek Ahotego wszedł do plemienia, poślubiwszy córkę tancerza ducha. Przejąłby zawód po teściu, gdyby jedyny syn ówczesnego bazarza nie zmarł, zapadłszy na tajemniczą chorobę krwi. Śmierć chłopaka wywołała w plemieniu panikę. Ludowi groziło, że straci przeszłość i więź z przodkami. Po długich naradach i poszukiwaniach starsi wybrali zięcia tancerza, ponieważ był obdarzony dobrą pamięcią i bystrym rozumem. Oto dlatego dwa pokolenia później młody Ahotę mógł bez przeszkód poślubić Hoszitiwę.

Ahote zerknął przez ramię na uroczą Hoszitiwę siedzącą w słońcu. W swojej czerwonej jak maki tunice wabiła niczym ciepły płomień. W ciele chłopca zapłonęło męskie pożądanie. Myślał o coraz bliższej chwili, gdy staną się mężem i żoną, kiedy bolesne uszczypnięcie w ramię przywołało go do rzeczywistości.

— Wtedy nastala wiosna obfitych łowów — wyrecytował. — Łosie ochotnie schodziły w dolinę, same składając się w ofierze.

Ideogram na ścianie przedstawiał łosia poprzebijanego strzałami. Długą kronikę ludu kończył rysunek kręgu z sześcioma liniami, upamiętniający ubiegłoroczne pojawienie się komety. Od tamtej pory niczego nie dodano, gdyż w osadzie nie wydarzyło się nic godnego uwiecznienia. Powtarzając za ojcem opowieść, Ahote zastanawiał się, jaki następny rysunek pojawi się na murze pamięci.

Biegacz znowu upadł, zostawiając na kamiennych płytach nowe ślady krwi. Kolana miał otarte, drżące z bólu i wysiłku ciało domagało się odpoczynku. Wiedział, że mógłby siebie ocalić. Wystarczyło uciec z brukowanej alei, skręcić w wąski jar, gdzie nie dopadłaby go nadciągająca armia. Lecz w osadzie czekali współplemieńcy. Czuli się bezpieczni, bo wiedzieli, że zwiadowca na czas ostrzeże ich przed niebezpieczeństwem.

Matka Hoszitiwy oderwała wzrok od żaren, na których meła kukurydzę na mąkę. Przymrużywszy oczy, spojrzała na niebo. Niby spokojne i bezchmurne, a jednak... Coś budziło w niej niepokój. Rozejrzała się po placu. W cieniu domu siedziała młodzianka Maja, karmiąc piersią pradziadka. Niemowlę kwilące w koszyczku na plecach musiało poczekać. Dziadek dawno stracił wszystkie zęby i odtąd nie mógł gryźć stałego pokarmu. Dlatego zgodnie z pradawnym obyczajem, który nakazywał jak najdłużej utrzymywać starców przy życiu — bowiem tylko w ich pamięci żyły dawne wydarzenia — prawnuczka karmiła go własną piersią.

Z sąsiedniego domostwa dobiegały przeraźliwe krzyki. Matka Hoszitiwy przez półprzymknięte drzwi dojrzała swoją przyjaciółkę, Lakszi. Kobieta klęczała. Wyciągnięte nad głową dłonie miała związane sznurem, a ten przyczepiony był do sufitu. Przed nią i za nią klęczały dwie położne, które pomagały dziecku przyjść na świat.

Życie biegło zwyczajnym torem, a jednak coś nie dawało Sihumanie spokoju. Powietrze było zbyt nieruchome, odgłosy zbyt przytłumione, słońce zbyt złociste. Czyżby to był ten dzień, który dawno temu widziałam we śnie? myślała.

— Czyżby właśnie nadszedł? A może to po prostu niepokój matki wydającej za mąż córkę?

Jak wszystkie matki od początku czasu, Sihumana nie zaznała spokoju w tym trudnym okresie, gdy córka z młódki miała stać się mężatką. Lecz już wkrótce będzie mogła odetchnąć z ulgą.

Narzeczeni wnosili do związku dwa skarby. Mężczyzna — odwagę, kobieta — cześć. Dopilnowanie dziewictwa córki nie było łatwym zadaniem, zwłaszcza

że Hoszitiwa została obdarzona — albo przeklęta, w zależności od punktu widzenia — niezwykłą urodą. Ilekroć w osadzie pojawiali się jacyś mężczyźni, Sihumana nie spuszczała córki z oczu. Wszyscy pamiętali — choć nigdy o tym nie mówili — nieszczęsną Kowkę, która na kilka dni przed ślubem wybrała się z siostrami nad rzekę szukać jaj zięby. Nieopatrznie oddaliła się od sióstr i tam — samotną, bezbronną — dopadli mężczyźni z północy. Przeżyła, lecz potem już żaden mężczyzna nie chciał jej poślubić. Zakazywały tego surowe przepisy plemienne dopuszczające pożycie wyłącznie między członkami ludu słońca, aczkolwiek żadna kobieta nie mogła obcować ze swoimi braćmi, wujami ani kuzynami, dziewicy zaś nie przystało oddać się przed ślubem komukolwiek. Kowka złamała dwa tabu: zległa z wyznawcami innych bóstw i tradycji, a do tego nie zachowała dziewictwa. Dlatego starsi uznali ją za *makai-jo* — nieczystą. Mimo błagań jej matki Kowka została wypędzona z wioski i ślad po niej zaginął.

Wspomnienie Kowki tylko pogłębiło niepokój Sihumany. Szybko wyszeptala zaklęcie odwracające zły czar, a w powietrzu nakreśliła znak ochronny. Od, lat nie myślała o nieszczęsnej dziewczynie. Czyżby to był omen?

Jej lęki wróciły ze zdwojoną siłą. Proroczy sen...

Przez szesnaście lat Sihumana nosiła w sercu sekret. Nie zwierzyła się nikomu, nawet Hoszitiwie, której dotyczył. Regularnie zanosila modły do bogów i zawsze składała dodatkową ofiarę z kukurydzy, aby ich przekonać, że odbieranie matce jedynej córki nie jest sprawiedliwym czynem. Z płodnego łona Sihumany wyszło ośmioro dzieci. Dwoje urodziło się martwych, dwoje nie dożyło pierwszych urodzin, dwoje zmarło, nie skończywszy piątego roku, a syn, który byłby starszym bratem Hoszitiwy, zmarł w czasie swojej pierwszej męskiej wyprawy.

Jak nakazywał zwyczaj, ruszył w góry uzbrojony tylko w dzidę, by tam szukać wizji. Owszem, zabił górskiego lwa, lecz zwierzę ostrymi pazurami rozszarpało mu brzuch. Chłopak dobiegł do domu, ściskając wnętrzności, i padł martwy u stóp matki.

Po Hoszitiwie Sihumana nie urodziła już więcej dzieci, bowiem skończyło się jej comiesięczne krwawienie. Dlatego kochała córkę jak nikogo innego na świecie, hołubiła ją, uczyła chodzić i mówić, pokazywała jej, na czym polega dobroć,

cierpliwość, grzeczność i skromność, i wpajała tradycje i tabu ludu słońca, by dziewczyna przypadkiem nie złamała jakiegoś zakazu, ściągając w ten sposób klątwę na rodzinę. A przy tym wszystkim przekazała Hoszitiwie swój dar — zdolność „rozmawiania” z gliną i lepienia takich wspaniałych deszczowych dzbanów, jakich plemię nie widziało od dawna. Przez szesnaście lat też z każdym kęsem tortilli przełykała strach, wmawiając sobie, że niepokojące sny to wina zbyt mocnych przypraw, nadmiaru papryki albo psota jakiegoś wędrownego ducha — nic więcej.

Teraz jednak krew i kości mówiły jej co innego. To, o czym wiedziało już każde drzewo, każdy kamień i każdy ptak. Patrząc na starą Wuki, która przeczłapała z koszem cebul wykopanych z ogrodu, Sihumana zrozumiała: nadszedł dzień, którego tak się lękała.

Ale dlaczego? Co właściwie mówiły jej kości i krew? Cóż warto jest samo przeczucie, pozbawione jakichkolwiek konkretów? Sihumana zmrużyła powieki i popatrzyła na jasno-błękitny przestwór nieba. Przypomniała sobie wydarzenia towarzyszące narodzinom Hoszitiwy i zastanowiła się, czy jej przeczucia nie mają jakiegoś związku z deszczem.

Bogowie zawsze łaskawym okiem patrzyli na osadę Sihumany. Zimą gruba warstwa śniegu przykrywała cedry i sosny. Latem deszcz obficie podlewał dojrzewającą kukurydzę. Mieszkańcy rok w rok radowali się obfitymi plonami i choć od niepamiętnych czasów znaczną ich część zawozili do Miasta jako daninę dla Mrocznych Panów, rolnikom ani ich rodzinom nigdy nie brakowało jedzenia. Nawet tamtego roku, mimo że danina miała być większa, ponieważ — jak mówiono — chmury omijały pola na południu i pola wyschły, współ-plemieńcy Sihumany ufnie spoglądali w przyszłość. Wierzyli, że deszcz znów do nich zawita. Ich garncarze bowiem lepiłi najlepsze deszczowe dzbany, jakie widział świat.

Nawet dziecko wie, że deszcz pada tam, gdzie czeka nań naczynie. I że im piękniejsze, im bardziej bogato ozdobione, tym skuteczniej przyciąga deszcz. Dlatego u stóp pionowych skał, przed wejściami do domów, wokół kiv, pod ścianami i na parapetach za oknami stały tysiące dzbanów, w których zbierała się bezcenna woda do gaszenia pragnienia i do podlewania kukurydzy, fasoli oraz dyni. Dzbany lepione przez garncarzy z osady Sihumany cieszyły się taką sławą,

że kupcy z najdalszych stron przyjeżdżali, oferując za nie obsydian, mięso i narzuty z piór.

Niepokój sprawił, że Sihumana zapomniała o żarnach. Powiodła wzrokiem po placu, po rdzawych domach zbudowanych z niewypalonych cegieł, po polach. Popatrzyła na strumień, a wreszcie zatrzymała spojrzenie na przedającej córce. Oto prawdziwe źródło jej troski. Hoszitiwa wyrosła na piękną dziewczynę, cichą i skromną. Lecz mimo to... Sihumana czasem odnosiła wrażenie, że za nieśmiałym uśmiechem dostrzega przeblysł pychy. Pycha zaś, jak wiadomo, nieodmiennie wiedzie ku upadkowi.

Marzył, by już tak zostać, leżeć bez końca na ciepłych kamieniach. Wycieńczony biegacz nie potrafił się zmusić, by wstać i pokonać ostatni odcinek do osady.

Ale przecież tam była jego rodzina. Jego babcia Wuki i siostra Lakszi. Nie może pozwolić, by zostały schwytane przez kanibali.

Nadludzkim wysiłkiem woli, modląc się do bogów o siły, biegacz podźwignął się z ziemi. Zostawiając krwawe ślady stóp, popędził ku skałom, gdzie już połykiwał znajomy strumień.

Hoszitiwa starała się nie wbijać w pychę, ale nie mogła nie dostrzec, że kupcy zawsze wybierają deszczowe dzbany ulepione przez nią i jej matkę.

— Nie chełp się swym talentem — często karciała ją matka. — Pamiętaj, że bogowie odebrali go komuś innemu, byś ty mogła się nim radować. Przechwalając się, sprawiasz, że bogowie żalują swojego wyboru.

Wokół wszyscy jednak powtarzali, że Hoszitiwa posiada święty dar. I jak tu nie odczuwać pewnej dumy? Zwłaszcza teraz, gdy została obiecana Ahotemu, który w przyszłości będzie jednym z najważniejszych ludzi w wiosce?

Uskubała trochę gręplowanej bawełny i snuła dalej nić, uważając, by była gładka, jednakowej grubości. Hoszitiwa nie miała dużej wprawy w przędzeniu, zajmowała się wszak lepieniem dzbanów. Tyle że aż do ślubu została zwolniona z pracy w garncami, gdyż zgodnie ze zwyczajem musiała sobie naszykować ślubną szatę.

Słońce przesłoniła chmura, na chwilę okrywając cieniem osadę. Hoszitiwa nawet nie zwróciła na to uwagi — wiosną pogoda często jest kapryśna. Nie rozumiała, że to omen — znak, iż nadciąga inna, groźniejsza chmura. Dziewczyna marzyła, by cały strój utkać z bawełny. Niestety w osadzie nikt jej nie uprawiał, trzeba więc ją było kupować u handlarzy. Hoszitiwa zatem musiała zadowolić się kłębkim, który wystarczy tylko na wstążki. Resztę — tunikę i płaszcz utkane z włókien agawy, tak samo jak tunika i spódnica, które miała teraz na sobie — miała otrzymać drogą wymiany od mieszkańców innej wioski, także wysoko ceniących jej deszczowe dzbany. Jako że współplemieńcy Hosziti-wy sami barwili szaty, zazwyczaj mogła nosić swój ulubiony kolor — czerwony. Tej samej barwy były też wstążki z włókien juki, które podtrzymywały kunsztownie zwinięte loki —uczesanie każdej niezamężnej dziewczicy.

Chyba jednak — myślała, siedząc przed wejściem do domu — na strój weselny powinnam wybrać inny kolor. Może jasnoniebieski...

— Pomocy!

Hoszitiwa poderwała głowę. Zza załomu wynurzył się wyczerpany, lśniący od potu mężczyzna.

— Niebezpieczeństwo! — krzyczał, wymachując rękami. Wpadł na placyk i runął na klęczki. — Do schronienia!

— wołał pokazując w górę. — Nadciąga Mroczny Pan! Hoszitiwa cisnęła wrzeciono i zerwała się na nogi. Ludzie

na polu, matki krzającą się z dziećmi przy palenisku, garncarze przy warsztatach — wszyscy porzucili swoje zajęcia i pobiegli do pionowej skały. Tam, jak zawsze, stały w gotowości drabiny umożliwiające błyskawiczną wspinaczkę do schronienia na górze.

— Szybciej! — popędzał zwiadowca, który przygnał ze swojej czatowni, gdy tylko zobaczył nadciągającą armię. Dwaj mężczyźni podnieśli go i pomogli mu wspiąć się po szczeblach.

Położne niosły zawodzącą Lakszi. Kobieta trzymała na brzuchu dziecko, wciąż jeszcze połączone z nią pępowiną. Ahote z ojcem przerwali recytację i zaczęli ustawiać kolejne drabiny. Mieszkańcy osady wdrapywali się w popłochu, pomagając sobie nawzajem, przywołując się i ponaglając najbliższych. Na ich twarzach malowało się przerażenie.

Nadciągał Mroczny Pan.

Hoszitiwa i jej rodzina panicznie bali się książąt sprawujących władzę nad Miastem. Słyszeli opowieści o torturach i ofiarach z ludzi. Wiele lat temu przy palenisku dziadek szeptem mówił jej o zakazanych praktykach:

— Mroczni Panowie nie pochodzą z naszego ludu. To obcy z południa. Przybyli, by zniewolić lud słońca. Groźbą i zastraszeniem zmusili nas do uległości. Rękami naszych przodków wybudowali swe okazałe domy w Mieście i położyli szerokie brukowane drogi. Jeśli próbowaliśmy stawiać opór, dokonywali rzezi. Skazywali nas na powolną śmierć w męczarniach, a potem gotowali nasze ciała i spożywali je.

Hoszitiwa zawsze sądziła, że starsi zmyślali te opowieści, by nakłaniać dzieci do posłuszeństwa, lecz teraz gdy z półki skalnej, przerażona i drżąca, mocno przytulona do Ahote, patrzyła na nadciągającą ze wschodu armię, musiała w nie uwierzyć. Kamienną równinę poniżej wypełniło dudnienie stóp o ziemię i klekot maczug o tarcze. W środku ciżby, na tronie niesionym przez czterdziestu niewolników, królował Mroczny Pan. Na widok mocarnego nieprzyjaciela stare kobiety jęły zawodzić, dzieci szlochać, a mężczyźni — spierać się między sobą.

Co sprowadziło tu armię Mrocznego Pana? Czego on od nich chce?

—Zjedzą nas!

—Musimy uciekać!

—Do tunelu!

—Znajdą nas!

—Ugotują nasze kości, a ciała pożrą!

Budząca trwogę armia wojowników odzianych w cętkowa-ne skóry, uzbrojonych w maczugi, dzidy i tarcze, zatrzymała się pod skałą. Na górze zapadła pełna przerażenia cisza.

Nikt z ludu Hoszitiwy nie widział wcześniej Mrocznego Pana, ale brat jej ojca, kupiec, który wędrował po sąsiednich osadach i wymieniał deszczowe dzbany na sandały i koce, opowiadał, że nie tylko oni mają przygotowane kryjówki. Inni również żłobili wysoko w skale kamienne komory, schody i półki, do których można się było dostać tylko po drabinach i linach.

Raz w swoich wędrówkach trafił na miejsce kaźni. Ciała mężczyzn, kobiet i dzieci leżały tam, gdzie padły, bo nie ocalał nikt, kto mógłby je pogrzebać. Mieszkańcy osady leżeli z toporami w głowach i nożami w piersiach. Kończyny mieli poodcinane. Stryj opowiadał, że nieopodal zobaczył obgotowane i ogryzione do czysta kości. Stąd było wiadomo, że to Mroczni Panowie najechali wioskę, a z pomordowanych uczynili ucztę na cześć swoich okrutnych bóstw.

Ahote i pozostali mężczyźni zdołali na czas wciągnąć drabiny i sznury. Nikt teraz nie mógł dostać się do ich kryjówki. Byli bezpieczni. Wszyscy wpatrywali się w siejących grozę wojowników zwanych jaguarami. Nigdy nie widzieli prawdziwego jaguara, lecz z legend wiedzieli, że jest to potężny cętkowany kot żyjący daleko na południu. Wojownicy Mrocznego Pana chodzili ubrani w jego skórę, a na głowie nosili jego potężny łeb. Uzbrojeni byli w potężne dzidy i maczugi oraz drewniane tarcze pokryte jaskrawymi malowidłami. W środku tej budzącej trwogę armii na wyniosłym tronie siedział Mroczny Pan. Mieszkańcy osady nie mogli jednak dojrzeć jego twarzy ni sylwetki ukrytej pod barwnym baldachimem.

W opustoszałej osadzie szumiał wiatr, a jej wylęknieni mieszkańcy w milczeniu czekali na dalszy rozwój wypadków. Kobiety tuliły się do mężów, matki obejmowały dzieci.

Mały oddział jaguarów zaczął przeszukiwać stojące jedno obok drugiego domostwa. Podczas gdy wojownicy zaglądali do domów, kopniakami odganiając

indyki i inny inwentarz, na plac wystąpił mężczyzna. Hoszitiwa przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami. Nigdy jeszcze nie widziała tak wspaniale odzianego męża. Na ramionach nosił szkarłatny płaszcz, spod którego było widać ja-skrawopomarańczową tunikę tak delikatną, że musiała być utkana z najczystszej bawełny. Na głowie miał niezwyklej urody pióropusz, a w prawej dłoni ścisnął drewnianą laskę zwieńczoną ludzką czaszką, wysadzaną obsydianem i jadeitem.

Po jego obu bokach stanęli dwaj równie niezwykle mężowie, cali wymalowani na niebiesko: od obutych w sandały stóp do gładko wygolonych głów. Odziani w niebieskie szaty grali na piszczałkach zrobionych z ludzkich piszczeli, podczas gdy mężczyzna w pióropuszu krzychał do mieszkańców w ich języku. Jego donośny głos docierał aż na szczyt skały.

— Jam jest Mokihik, strażnik Pucharu Krwi, prawa ręka Tego, Który Mówi, Jaką z Miejsca Trzcina! Nie lękajcie się! Przybyliśmy tylko po jedno z was! Tylko po jedno! Reszta będzie mogła dalej w spokoju, jak bogowie przykazali, uprawiać ziemię!

Współplemieńcy Hoszitiwy popatrzyli po sobie zdumieni. Chcą jednego z nas? Po co im jedno z nas? I o kogo chodzi?

— Ześlijcie na dół dziewczynę imieniem Hoszitiwa! — zadudnił spiżowy głos dostojnika, odbijając się echem od gładkiej skały i mknąc wzdłuż strumienia.

Wszyscy aż się zachłysłeni z przerażenia. Skulili się z drzeniem, przytulili do siebie, szepcząc trwożliwie. Czyżbyśmy się przesłyszeli? Naprawdę chcą Hoszitiwę?

—Nie! — krzyknął Ahote, mocno przyciągając do siebie dziewczynę.

—Duszę Tego, Który Mówi — zabrzmiał znowu dźwięczny głos — strażnika Świętego Pióra, Tego, Który Siedzi Niebios, czcigodnego księcia Jaką z Miejsca Trzcina, przepelnia tysięczny smutek. Słońce nie świeci w sercu waszego pana. Ześlijcie na dół dziewczynę imieniem Hoszitiwa, która została wybrana, by rozweselić serce swego władcy, a odejdziemy!

Hoszitiwa z przestrawieniem spojrzała na matkę.

— Mamo, o co mu chodzi?

Twarz Sihumany była biała, jakby odpłynęła z niej cała krew. W oczach kobiety pojawiła się trwoga, a zaraz potem smutek.

—Córko — odparła przez ściśnięte gardło. — Mroczny Pan wybrał sobie ciebie na własność.

—Tunel! — zawołali współplemieńcy chórem. — Aho-te, wyprowadź ją korytarzem na drugą stronę doliny. Tam jej nie znajdą.

W tej samej chwili zobaczyli, jak jeden z jaguarów wyciąga z domu starca. Krzyknęli, gdy wywlókł go za włosy, zmusił do ukłęknięcia i przyłożył mu topór do szyi.

—Kto z was zapomniał zabrać staro do kryjówki? — wysyczała z wściekłością Sihumana.

—Poślijcie dziewczynę na dół! — zadudnił przybysz. Wiatr nastroszył pióra na ozdobie jego głowy. — Jeśli nie, zarżniemy tego starucha!

Kobiety znów jęły zawodzić. Wszak to ich stryj, tancerz ducha. Jeśli nie wykona rytualnego tańca w święto przesilenia dnia z nocą, słońce pozostanie na niebie w tym samym miejscu i nie podejmie swej wędrówki ku latu.

—Nie schodź, Hoszitiwo — zaklinał Ahote. — Ucieknij ze mną tunelem. Zanim jaguary się tu wdrapią, zdążymy przepaść bez śladu. Nigdy cię nie dopadną.

—Dlaczego żądają właśnie mnie? W Mieście muszą być tysiące pięknych dziewczic. Ja jestem nikiem! Nic nie znaczę!

Jej oczy rozszerzyły się ze zgrozy, gdy spojrzała na klęczącego starca z toporem przyłożonym do szyi. Przeniosła wzrok na tron Mrocznego Pana. Stał na drewnianej platformie przykrytej kobiercem z szafirowych piór, spływającym na grzbiety niewolników. Dziewczyna nie mogła przyjrzeć się samemu władcy. Spod baldachimu widać było bowiem tylko opalone ramię ozdobione bransoletami z metalu zwanego złotem, który Hoszitiwa wcześniej oglądała zaledwie raz.

—To dlatego, że zostałam wybraną przez bogów, córko — wyjaśniła z bólem Sihumana — a Mroczny Pan jakoś się o tym dowiedział.

—To moja wina — zawołał jej mąż. Twarz miał stężałą z rozpacz. — Wybac. Byłem dumny. Pyszniłem się.

Sihumana znieruchomiała. Z trudem dobyła głosu.

— Mężu...

Nie dokończyła. Wiedziała, co za chwilę usłyszy.

I rzeczywiście, z jego ust popłynęła chaotyczna opowieść o tym, jak rok wcześniej, kiedy wyruszył z deszczowymi dzbanami, by wymienić je na sól, w osadzie w dolnym biegu rzeki chwalił się swoją córką. Tamtejsi mieszkańcy opowiadali, że ponoć krainę na południu nawiedziła susza. Byli zdumieni, że w jego stronach nie brakuje deszczu. „Na czym polega tajemnica waszych deszczowych dzbanów?” — wypytywali, a on zamiast ugryźć się w język, pysznił się swoją niezwykłą córką, która w noc swych narodzin przyniosła deszcz. To ona sprawiała, że w ich osadzie dzbany zawsze były pełne wody.

Mieszkańcy popatrzyli po sobie z niepokojem. Opowieść o niezwykłej dziewczynie musiała krążyć po osadach, aż wreszcie dotarła do Miasta, gdzie od dawna nie spadła kropla deszczu. Jaki to jednak miało związek z Mrocznym Panem?

Pełna najgorszych przeczuć Sihumana właściwie nie musiała zadawać następnego pytania. Znała odpowiedź, lecz mimo to wyszeptwała:

— Czym jeszcze się chwaliłeś, mężu? Spuścił głowę.

— Nie potrafiłem się oprzeć. Powiedziałem, że moja córka jest piękniejsza od słońca.

Sihumana z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała już, jak będzie wyglądała jej przyszłość. Nie będzie wnuczą, nie będzie troskliwej córki, która zajmie się nią na starość. Ho-szitiwa musiała odejść, wszystko miało się zmienić.

— Teraz już wiesz, dlaczego po ciebie przybyli, córko —zwróciła się do Ho-szitiwy. W jej głosie brzmiał żal i lęk.

—Księżę pragnie mieć cię dla swej rozkoszy.

Przez zbitą grupę przebiegł szept zgorszenia, potem na twarzach jej współplemieńców pojawił się strach, a zaraz po nim odraza. Wszyscy zaczęli się odsuwać od dziewczyny, która w ich oczach już była przeklęta.

Sihumana mówiła dalej. Zdawała sobie sprawę, że imię jej córki pójdzie w zapomnienie i nikt z plemienia go nie wymówi choćby przypadkiem.

— Połączmy swe ciało z twoim, wyróżnionym łaską bogów, by ich błogosławieństwo spłynęło również na niego.

Przymknęła oczy. Ten sen, który wyśniła przed laty, zaraz po narodzeniu Hoszitiwy. Jej córka, już jako dorosła kobieta, stojąca przed tłumem na nieznanym placu — naga, ze strugą krwi spływającą między piersiami. Teraz Sihumana rozumiała jego znaczenie.

Hoszitiwa stała jak skamieniała. Patrzyła na jaguara, który przykładał topór do szyi starca. Tancerz ducha był plemieniu potrzebny. Musiał przerwać słońcu zimową wędrówkę, gdyż bez upalnego słońca lata kukurydza nie przyniosłaby plonu. Zaraz jednak przypomniała sobie o Mrocznym Panu skrywającym się pod barwnym baldachimem. Na myśl o tym, co będzie musiała z nim robić, serce podeszło jej do gardła. Padła na klęczki i oplotła ramionami kolana matki.

—Mamo, błagam, pozwól mi uciec z Ahotem! Pozwól nam opuścić to miejsce!

—Tak! — zawtórował jej czerwony z gniewu Ahote. Jak obcy mężczyzna śmie żądać jego oblubienicy? Co z tego, że nosi tytuł Mrocznego Pana? Ten książę, noszony na swym siedzisku, nie ma prawa dotknąć Hoszitiwy. — Pozwól mi ją zabrać! Nigdy nas nie znajdą!

Na dole Mokihik stracił cierpliwość.

— Czemu się ociągasz? — krzyknął. — Twój pan kazał ci zejść!

Na oczach zmartwiałych mieszkańców jaguar uniósł topór i jednym ruchem odrąbał starcowi głowę. Zapadła głucha cisza. Matka spojrzała na Hoszitiwę i wyszeptała:

—Córko, cóżeś uczyniła?

—Mamo, to nie moja wina!

—Patrzcie! — zawołał Ahote, pokazując wojowników, którzy oderwali się od grupy i podbiegli do skały.

—Znajdą sposób, by wspiąć się na górę — mówili teraz jeden przez drugiego.
— Przyjdą tu i wszystkich nas wybiją.

—W takim razie musimy uciekać — powiedziała Hoszi-tiwa. — Wszyscy.

Sihumana podniosła córkę z klęczek i z bólem spojrzała jej w oczy.

— Musisz iść. Jesteśmy winni daninę Mrocznym Panom. Bez względu na to czy żądają kukurydzy czy naszych dzieci.

Z ust dziewczyny wyrwał się szloch zawodu. Sihumana przełknęła Izy i przypominając sobie proroczy sen sprzed lat, rzekła:

— Córko, muszę ci coś wyznać. Bogowie wybrali cię i przeznaczili do wielkich czynów. Do jakich, nie zdradzili. Wiem tylko, że nie uciekniesz przed swoim przeznaczeniem. Na szczęście jesteś dzielna. Wiem o tym.

Męstwa Hoszitiwy dowodziły trzy niebieskie pionowe kreski na jej czole. Otrzymała je w czasie obrzędu przejścia. Każda dziewczyna, która osiągnęła dojrzałość, miała tatuowany na czole znak plemienia. Gładką skórę na środku czoła nakłuwano ostrą kością, potem w ranę wcierano popiół zmieszany z niebieską gliną. Następnie — by uniknąć zakażenia — nakładano opatrunek z liści osiki namoczonych w silnym alkoholu. Tym bolesnym obrzędem sprawdzano męstwo wchodzących w dorosłość. Dziewczyna, która w czasie zabiegu płakała, przynosiła wstyd swojej rodzinie. Hoszitiwa nawet nie syknęła, nawet nie skrzywiła się z bólu.

—Córko, musisz iść.

—Mamo, jak możesz mi to robić? — poskarżyła się.

— Twoje życie z nami dobiegło końca — odrzekła Sihumana, ujmując w dłonie twarz córki. — Twój los jest teraz w rękach bogów. Będę się modlić, byśmy się jeszcze spotkały.

Ale przecież wiedziała, że tak się nie stanie. Wiele lat temu uroda jej ciotki — rodzonej siostry jej matki — pielgrzymującej do świętych kaplic w Mieście przykuła uwagę jednego z tamtejszych dostojników. Dziewczynę pojmano i słuch po niej zaginął.

— Nie! — zawodziła Hoszitiwa.

W dole czekał na nią Mroczny Pan skryty w cieniu baldachimu. Wolałaby umrzeć, niż mu się oddać. Widziała jednak spojrzenia swoich współplemieńców. Błagali ją wzrokiem, by ocaliła ich od śmierci z rąk jaguarów. Ale w ich oczach było coś jeszcze. Tak samo patrzyli na nieszczęsną poranioną Kowkę. Hoszitiwa stała się *makai-jo*. Słowo to miało wiele znaczeń. Pierwsze to rytualna nieczystość, tabu. Inne to dni tradycyjnie uważane za pechowe. Je również nazywano *makai-jo*, podobnie jak niektóre zakazane potrawy, na przykład mięso żółwia — który był totemem ich plemienia. Pojęcie to rozciągano także na niezamężną dziewczycę, która utraciła czystość. Taka dziewczyna nie miała już ojca ani matki, braci ani siostr, krewnych ani przyjaciół — nikogo, kto okazałby jej serce, nakarmił ją, udzielił pomocy.

Szaman zaczął recytować słowa tabu i oczyszczenia. Jego głos odbijał się echem od sklepienia groty wyżłobionej w skale.

— To się jeszcze nie dokonało! — krzyknęła Hoszitiwa.

Mimo to na twarzach odsuwających się od niej współplemieńców zobaczyła, że najgorsze już się stało. Kontakt z nią groził nieczystością.

Czując w ustach suchość, Hoszitiwa uściskała matkę i ojca, potem ucałowała Ahotego. Kiedy jednak chciała pożegnać ciotki i wujów, oni odsunęli się od niej ze wstrętem.

Drżąc z upokorzenia i strachu, spuściła linę i zsunęła się na dół. U stóp skały zadarła głowę, by ostatni raz spojrzeć na rodzinę, ale zaraz chwyciła ją twarda dłoń. Jaguar skrępował jej ręce, zawlókł ją do Mokihika i pchnął na klęczki. Z drżeniem czekała na to, co miało nastąpić.

— Ty jesteś tą, którą zwą Hoszitiwa? Skinęła głową.

— Choć jesteś niczym więcej, jak gnojowicą pod stopami mego pana, pyłkiem kurzu w promieniach słonecznych, które radują wzrok najwyższego władcy, zostałeś wybrana przez bogów, by rozweselić serce Tego, Który Śledzi Niebiosą. — Mokihik podniósł głos, by jego słowa dotarły do uszu mieszkańców ukrywających się wysoko na skale. — Dziewczyna, która jest jeno prochem pod stopami niewolników, zadowoli mego księcia. Jeśli tego nie uczyni, w czasie następnego przesilenia dnia z nocą wy wszyscy zostaniecie złożeni w ofierze na ołtarzu krwi.

ROZDZIAŁ 2

Zbyt przerażona by cokolwiek czuć, Hoszitiwa szła wraz z oddziałami Mrocznego Pana. Utykała, gdyż jej gołe stopy nie przywykły do wędrówki po twardym bruku. Po pewnym czasie kotlina, w której znajdowała się jej osada, zniknęła i Hoszitiwa nie słyszała już płaczu ani zawodzenia rodziny schowanej w górskiej kryjówce. Przed sobą widziała jedynie szeroki brukowany trakt wybudowany przez Mrocznych Panów. Prosta jak strzała droga przecinała doliny, płaskowyż, osady i pola, prowadząc do Miasta, gdzie miały się rozstrzygnąć losy Hoszitiwy.

Ten triumfalny pochód otwierał Mroczny Pan na swym majestatycznym tronie dźwiganym przez czterdziestu niewolników przystrojonych w bogate szaty. Hoszitiwa widziała tylko oparcie tronu, na którym zasiadał książę, i długie zielone pióra jego pióropusza. Wysoki dostojnik Mrocznego Pana, Mokihik, również podróżował w lektyce, ale mniejszej, niesionej zaledwie przez sześciu niewolników. Za nim maszerowali dumni, nieznający litości wojownicy odziani w

skóry jaguarów, uzbrojeni w tarcze i dzidy. Pochód zamykali niewolnicy. Na plecach dźwigali kosze dodatkowo przytrzymywane przez rzemienną pętlę zaciśniętą na głowie. Cięższe przedmioty, ułożone na tykach, niosły liczne pary tragarzy.

Kiedy imponująca procesja przechodziła przez wioskę, mieszkańcy przerywali zajęcia i padali na ziemię, trwożliwie zasłaniając głowy. Wyjątkiem był tylko *kokopilau* wędrujący skrajem drogi, uginający się pod ciężarem wora, beztriosko wygrywający na piszczałce radosne nuty. Szczęście i błogosławieństwo, które przynosił, były tak ważne, że jako jedyny nie musiał się kłaniać przed mocarnym Mrocznym Panem.

Hoszitiwa nie zwracała uwagi na otoczenie, bowiem przed oczami wciąż miała zalaną łzami twarz narzeczonego, odciętą głowę tancerza ducha, pełne bólu spojrzenie matki, gdy odmówiła zejścia na dół. Jej serce przepełniały uczucia, których do tej pory nie знаła: żal, niedowierzanie, strach i smutek. Jak własna matka mogła ją do tego zmusić?

Czy do wstrętnego aktu dojdzie już tej nocy? Na samą myśl o tym sztywniała z przerażenia. Będę leżała jak kołek — przysięgała w duchu. — Niech mnie bierze siłą.

Ale to nie przyniesie mu rozkoszy.

W jaki sposób zaspokajają się pragnienia księcia? Co powinna robić? Hoszitiwa, choć dziewica, wiedziała, co się cizie je między mężczyzną i kobietą, których łączy miłość i pożądanie. Mroczni Panowie jednak z pewnością różnili się od zwyczajnych ludzi. Słyszała, że po części byli zwierzętami. O którą część chodziło? Dziewczyna zlała się zimnym potem. Przeszył ją dreszcz obrzydzenia i strachu.

O zmierzchu armia dotarła do obozu. Zdumiona Hoszitiwa zobaczyła przy drodze rzesze związanych, płaczących i zawodzących ludzi — jeńców, jak ona. Wojownicy udali się do oddalonej części obozowiska, a Mroczny Pan został wniesiony do dziwnego pomieszczenia. Hoszitiwa pierwszy raz widziała coś podobnego. Była to barwna płachta rozpięta na palach wbitych w ziemię, z wycię-

tym w jednej ze ścian otworem. Kiedy Mroczny Pan zniknął w tym imponującym namiocie, Hoszitiwa zeszytniała, spodziewając się najgorszego.

Wysoki dostojnik Mokihik ruchem dłoni przywołał nadzorcę z Hoszitiwa, lecz zamiast do namiotu księcia kazał ją poprowadzić do ogniska, gdzie siedzieli związani razem, zawodzący i błagający o wolność jeńcy.

—Dopilnuj, by nie uciekła — zwrócił się ostro do gme-rającego w popiele niewolnika.

—Słyszę i jestem posłuszny — odparł niewolnik, a Mokihik odszedł.

Kiedy oddalił się na sporą odległość, niewolnik — brzuchaty mężczyzna w poplamionej białej przepasce biodrowej i brudnym białym płaszczu zawiązanym pod szyją — wyprostował się i wykonał za jego plecami wulgarny gest. Potem utkwiał mętny wzrok w Hoszitiwie. Dziewczyna zerknęła na niego i już nie mogła oderwać spojrzenia. Pierwszy raz widziała człowieka bez nosa.

Niewolnik bezbłędnie odczytał jej minę. Widział ją setki razy.

— Odrąbali mi go za kichanie w obecności księcia.

Z włókien juki skręcił sznur. Jeden koniec zawiązał wokół kostki dziewczyny, a drugi wokół wbitego w ziemię pała, zostawiając tyle luzu, by mogła zrobić kilka kroków.

— Czy to...? — zaczęła, przerażonym wzrokiem wodząc po obozie. Na zachodzie słońce chowało się za wzgórzami, rzucając długi cień na doliny i równinę. — Czy to Miasto?

Beznosy niewolnik spojrzał na nią jak na idiotkę i zajął się ogniem.

Po chwili zjawił się nadzorca, rzucił na ziemię garść kukurydzianych placków i odszedł. Zanim Hoszitiwa przedarła się przez tłum jeńców walczących o jedzenie, nic dla niej nie zostało ponad nędzne okruchy. Nadzorca zostawił też bukłak z wodą, którzy ludzie wyrywali sobie z rąk, tak że kiedy do niej dotarł, był już pusty.

— Musisz być szybsza, jeśli chcesz dotrzeć do Miasta żywa — odezwał się beznosy, który jako niższej rangi nadzorca dostał swój placek i wodę. Teraz posila! się, ani myśląc podzielić się z dziewczyną choćby kęsem.

Hoszitiwa przełykała łzy. Chciała wykrzyczeć na cały głos: „I tak nie dotrę do Miasta! Jest mi obojętne, czy dostanę jeść czy nie!“. Nie odezwała się jednak, tylko w milczeniu roztrząsała swój nieszczęsny los.

Zapadł zmrok, na niebie pojawiły się gwiazdy. Nad doliną zapłonęła luna od niezliczonych ognisk. Jęki jeńców mieszały się ze śpiewem jaguarów. Wojownicy rozpalili wielki ogień, iskry niczym ważki wzbijały się ku niebu. Hoszitiwa nigdy jeszcze nie słyszała takiego hałasu.

Podczas gdy jeńcy walczyli o miejsce jak najbliżej płomieni — większość była ubrana tylko w przepaski biodrowe, a w powietrzu czuło się chłód wiosennej nocy — Hoszitiwa siedziała bez ruchu, chlipiąc żałośnie. Beznosy — bo tak go rzeczywiście nazywano — warknął, żeby się zamknęła. Chłęptał łapczywie *pulque*, ciężki pianisty trunek ze sfermentowanych agaw. Kiedy już wypił, wytarł usta i oznajmił dziewczynie, że powinna czuć się zaszczycona.

— Książęta, którym służymy, nie są prostakami z ludu słońca. To Toltekwie. Pochodzą z miasta zwanego Tula, leżącego daleko na południu. Twój nowy pan jest Toltekiem i przewyższa cię pod każdym względem.

Hoszitiwa słuchała jednym uchem, ponieważ całą uwagę skupiła na sznurze wokół kostki, ostrożnie sprawdzając, czy da się rozwiązać supeł. Zamierzała uciec, kiedy wszyscy posną.

Beznosy podrapał się po brzuchu i zaczął przechwalać:

— W moich żyłach również płynie krew Tolteków, gdyż pochodzę ze szczytnego cechu zapobiegliwych i zacnych kupców, którzy zajmowali się handlem na wielkich obszarach. Mój pradziad posiadał nawet własne pola. Był też szpiegiem władcy z Tuli. Znał największe sekrety. — Westchnął, dolał *pulque* i pijąc, dalej snuł swą opowieść. — Mój przodek przybył do Miasta w poszukiwaniu obsydianu. Znalazł tu prostaków, którzy siali kukurydzę, mieszkali w prymitywnych domach i pokornie wykonywali każde polecenie. Pomyślał, że oto odkrył raj na ziemi. Wieść rozniosła się po całej jego krainie, od Tuli przez Aztlan aż po samo

Chichen Itza: przybywajcie na północ, gdzie ludzie są łagodni jak owieczki. Będą uprawiać dla was kukurydzę i dawać wam obsydian, a wy będziecie żyć niczym królowie.

Nagle w części obozu zajętej przez wojowników podniósł się krwiożerczy ryk. Beznosy zerknął w tamtą stronę i zaczął łapczywiej żłopać swój trunek. Hoszitiwie wydawało się, że w jego oczach błysnął strach.

— W moich żyłach płynie też krew twojego ludu — podjął smętnie. — Dlatego zostałem nadzorcą niewolników. Znam bowiem wasz język i obyczaje. Ale jestem Toltekiem — pysznił się z udawaną buńczucznością, pięścią uderzając w nagi tors — bo krew Tolteków jest silna! Kiedy lud słońca kopał ziemianki, moi przodkowie budowali piramidy aż po samo niebo!

Dolał jeszcze trunku i znowu niespokojnie obejrzał się na hałaśliwych wojowników.

— To dzięki mojemu pradziadowi i innym mężnym kupcom król przysłał swego syna, by nami władał. Od tej pory w krainie rządzą *tlatoque*.

Beznosy zatrzymał przekrwione oczy na namiocie jarzącym się od ognia płonącego w środku.

Hoszitiwa bała się myśleć, co Mroczny Pan robi teraz w swoim dziwnym domu. Wszyscy bowiem wiedzieli, że Mroczni Panowie tną ludzkie mięso i spożywają je z kukurydzą. Ponoć czynili to, by uciszyć gniew swoich okrutnych bogów. Hoszitiwa postanowiła w duchu, że ucieknie, zanim księżę zdąży wybrać ją na swój posiłek.

Wreszcie Beznosy zapadł w sen, a po nim pokotem posnęli jeńcy. Z czasem, w miarę jak noc stawała się chłodniejsza, zaczęli cichnąć i wojownicy. Zrozumiawszy, że nie zdoła rozwiązać sznura, Hoszitiwa poddała się, zwinęła w kłębek i zmęczona płaczem zapadła w sen, by śnić o domu i ukochanym Ahotem.

Obudził ją dotyk szorstkiej dłoni zaciskającej się na jej ustach i uniemożliwiającej krzyk. Inne szorstkie dłonie wdzierały się między jej uda, brutalnie rozsuwając nogi. Więc tak to robił Mroczny Pan?

Wtedy zobaczyła twarz napastnika. To był jeden ze strażników. Dwaj inni dyszeli, próbując ją obezwładnić. Hoszitiwa poczuła muśnięcie chłodnego wiatru, gdy mężczyźni zadarli jej spódnice. Nie! protestowała bezgłośnie. To było gorsze niż Mroczny Pan.

Walcząc o łyk powietrza i próbując uwolnić przyszpilone do ziemi ramiona, otworzyła usta i z całej siły ugryzła szorstką dłoń. Zęby przebiły grubą skórę. Na języku poczuła smak krwi. Napastnik zawył z bólu i zaklął. Hoszitiwa wykorzystała moment, gdy cofnął rękę, i zaczęła wrzeszczeć, ile sił w płucach.

— Milcz! — syknął drugi strażnik, ale ją puścił i po chwili usłyszała dudnienie jego kroków.

Raniony nagle usiadł wyprostowany. Po twarzy przemknął mu wyraz zdumienia i zaraz runął na bok, przebity dzidą jaguara.

Hoszitiwa odsunęła się najdalej, jak na to pozwalał sznur, drżącymi rękami opuszczając spódnice i podciągając kolana pod brodę. Przez łyzy widziała, jak Mokihik wielkimi susami pędzi przez obozowisko, warknięciem wydaje rozkaz dwóm strażnikom, którzy natychmiast odciągnęli ciało swego towarzysza, po czym wdaje się w krótką, gniewną rozmowę z Beznosym zerkającym w stronę dziewczyny i potulnie zapewniającym: „Tak, panie”.

Wracając do swojego miejsca przy ogniu, Beznosy zatrzymał się przy Hoszitiwie.

— Co za los — stwierdził rozgoryczony. — Teraz jeszcze, oprócz wszystkich innych obowiązków, muszę strzec skarbu, który masz między nogami.

W tej kwestii ona i jej odrażający strażnik się zgadzali. Hoszitiwa jednak miała inne niż on powody, by strzec swojej cnoty. Kiedy Mroczny Pan odbierze jej dziewictwo, już nigdy żaden mężczyzna nie będzie chciał jej posiąść, nawet Ahote. Brak męża równa się brakowi dzieci, ten zaś oznacza, że Hoszitiwa stanie się przedmiotem pogardy i litości. Dlatego musiała nie tylko bronić się przed atakami gwałcicieli, ale także znaleźć sposób, dzięki któremu uniknie lubieżnego uścisku władcy. Może powinna zrobić coś, dzięki czemu przestanie budzić pożądliwość?

Lecz jeśli w ten sposób rozgniewa bogów?

Ale czyich? Tego Hoszitiwa nie była pewna. Wiedziała, że przed pojawieniem się księżąt z południa lud słońca znajdował się pod opieką niewidzialnych łaskawych duchów, które sprowadzały deszcz, zapewniały obfite zbiory i utrzymywały równowagę w świecie. Lud Hoszitiwy nie tyle oddawał tym duchom cześć, ile starał się nie budzić ich gniewu. Jeśli ład w przyrodzie został zaburzony i nastąpiła powódź lub były nieudane zbiory bądź zaraza dziesiątkowała plemię, był to znak, że duchy harmonii są niezadowolone i jakoś trzeba je ułagodzić.

Jednakże wraz z pojawieniem się księżąt, długo przed narodzeniem Hoszitiwy, przybyli także nowi bogowie przyniesieni przez najeźdźców z południa. Bóstwa te przybierały ludzką postać, nosiły imiona — jak Tlaloc, bóg deszczu — a także miały swoje humory i zachcianki. Niektóre z tych wyższych istot posiadały nawet rodziny. Czasem w nocy Hoszitiwa słyszała, jak mężczyźni szeptają, że te silniejsze istoty niebieskie, mające imiona, kształt i broń, wyprą duchy ludu słońca, przez co ład rzeczy nieodwracalnie zostanie zachwiany i świat już nigdy nie odzyska równowagi.

Zatem których bogów rozgniewa, odmawiając swego ciała Mrocznemu Panu? Jakie duchy ucieszy, strzegąc swego dziewictwa? Kto żąda od niej takiego poświęcenia? Hoszitiwa nie mogła już liczyć na mądrość starszych. Odpowiedzi musiała szukać w swoim młodym niedoświadczonym sercu.

Pomyślała, jaki wstyd przyniosłaby rodzinie, gdyby tchórzliwie uciekła, zamiast poddać się próbie męstwa i odwagi. Wiedziała, czego od niej oczekiwano. Miała złożyć siebie w ofierze, by ratować honor plemienia.

Kiedy władca weźmie to, czego chce, powinna odebrać sobie życie.

Hoszitiwa wierciła się w oczekiwaniu na sen niczym ranne zwierzę, które nie może umościć się na legowisku.

Następnego ranka po przebudzeniu Hoszitiwa zobaczyła, jak Beznosy rozcina więzy trzech jeńców, którzy nie przeżyli nocy.

Nadzorcy szli przez tłum, rzucając placki kukurydziane i rozdając bukłaki. Po raz kolejny Hoszitiwa nie dostała ani kęsa jedzenia, ani łyka wody. I dobrze —

pomyślała. — Może książe nie będzie pożądał dziewczyny, z której została tylko skóra i kości.

Beznosemu nie dopisywał humor. Narzekał, że w jego głowie ryczą demony. Hoszitiwa zauważyła, że ustawiając jeńców, wiążąc ich razem i szykując do całodniowego marszu, często zerkał na wojowników, którzy dokonywali przeglądu dzid i tarcz. Znów odniosła wrażenie, że nadzorca czegoś się boi.

Wysoki dostojnik Mokihik w czerwonym płaszczu, ciemnoniebieskiej tunice i pióropuszu rozwiewanym przez wiatr stanął na kamieniu i nakazał milczenie. W obozie natychmiast zapadła cisza. Kiedy zapowiedział pojawienie się księcia, wszyscy upadli na kolana, przyciskając głowy do ziemi i zasłaniając je ramionami. Władców od wieków nazywano Mrocznymi Panami, ponieważ nikt nie wiedział, jak wyglądają. Poddani nie mogli podnieść na nich wzroku. Zuchwalców, którzy odważyli się złamać zakaz, karano śmiercią. Mimo to, kiedy jeńcy upadli na twarz przed księciem niesionym na tronie, Hoszitiwa nie zdołała zapanować nad pokusą. Uniosła głowę, by choć kątem oka zobaczyć człowieka, który przypieczętuje jej los.

Wcale nie był mroczny. Przeciwnie, jego szaty w jaskrawych odcieniach czerwieni, żółci i szafiru kłuły oczy. Samego księcia nie zdołała zobaczyć, bowiem przystrojony niczym bóg niknął wśród piór i kwiatów.

Wtem poczuła przenikliwy ból. Coś z trzaskiem uderzyło ją w kark. Zobaczyła gwiazdy i planety, po czym wszystko ogarnął mrok.

Kiedy odzyskała przytomność, słońce stało już wysoko na niebie, a ona była wleczona skrajem drogi przez dwóch niewolników podtrzymujących ją za ramiona. W głowie jej pulsowało. Domyśliła się, że nadzorca uderzył ją, bo ośmieliła się podnieść wzrok na Mrocznego Pana. Doskwierał jej głód i pragnienie, nagie stopy miała pokryte pęcherzami, lecz wędrująca masa ludzka ani na moment nie przystawała. Kiedy nadzorcy przechodzili między jeńcami z plackami i wodą, Hoszitiwa zdołała coś schwytać.

Szłochała, z trudem stawiając krok za krokiem. Czowała się zdradzona przez matkę i swoje plemię. Uważała się za naj-nędzniejszą i najniezwyklejszą istotę pod słońcem, dopóki nie minęła grupy niewolników prowadzonych do kopalń

obsydianu na północy. Nieszczęśnicy ledwo człapali, bezlitośnie smagani biczami. Tylko garstka oddała pokłon przejeżdżającemu władcy. Ich los i tak był przesądzony. Nie bali się już niczego ani nikogo. Ludzie mówili, że śmierć jest wybawieniem od pracy w kopalniach. Hoszitiwa na moment zapomniała o własnych niedolach. Ze współczuciem myślała o tych ludziach. Nawet największa zbrodnia nie zasługiwała na tak okrutną karę.

W miarę jak ta ludzka rzeka przesuwała się na wschód, pasma górskie zmieniały się w długie płaskowyże poprzecinane głębokimi kanionami z czerwono-złotych skał. Czasem mijali zalesione wzgórza, lecz było ich coraz mniej. Coraz rzadziej też widywali jeziora i górskie strumienie.

O zmierzchu orszak stanął. Wojownicy rozluźnili szyk i rozeszli się, uderzając dzidami w tarcze, napełniając dolinę rykiem. Potem rozpalili ogniska i — tak jak poprzedniego wieczoru — rozpoczęli tańce i zabawy. Hoszitiwa nie widziała ich ze swojego miejsca, ale słyszała śpiewy i okrzyki towarzyszące żywiołowemu grom. Ich dzikie wrzaski mroziły jeńcom krew w żyłach.

Hoszitiwa spodziewała się, że teraz już na pewno zostanie zaprowadzona do namiotu Mrocznego Pana, tymczasem znowu przywiązano ją do palika. Wkrótce razem z innymi jeńcami chwytala placki. Z trudem jednak przełykała pożywienie. Wciąż myślała o nadchodzącej nocy. Tylko na co czeka księżę?

Podczas gdy Beznosy żłopał trunek i wspominał lepsze czasy, Hoszitiwa na zmianę płakała i planowała ucieczkę, póki wreszcie nie zmorzył jej sen.

W środku nocy obudziły ją przeraźliwe krzyki towarzyszące rzezi. Zakryła uszy dłońmi i czekała, póki nie ucichły. Nazajutrz zauważyła, że dzidy jaguarów ociekają krwią.

Trzeciego wieczoru, gdy powietrze znowu rozdzierały wrzaski wojowników, Hoszitiwa zapytała Beznosego, co właściwie się dzieje. Spojrzał na nią zdumiony.

— To przecież Osiem Dni — wyjaśnił, jakby to było coś oczywistego.

— Osiem dni?

Jego brwi zsunęły się nad dwie szpary, pozostałości po nozdrzach.

— To niespokojny czas dla Mrocznego Pana i jaguarów. To czas — obejrzał się przez ramię — gdy wszystko może się zdarzyć.

Poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku.

— Co dzieje się ósmego dnia? — zapytała. Kiedy nadzorca nie odpowiedział, powiodła wzrokiem po setkach mężczyzn, kobiet i dzieci skulonych wokół ognisk. — Po co ich wszystkich wzięto do niewoli?

Wzruszył ramionami.

— Żeby służyli książętom.

Coraz silniejszy strach podpowiadał dziewczynie, że schwytano ich w innym celu.

Z wieczoru na wieczór szaleństwo jaguarów przybierało na sile. Nawet za dnia dało się wyczuć, że są poruszeni i z trudem nad sobą panują. Kiedy szóstej nocy Mokihik kontrolował obóz, Hoszitiwa zauważyła, że mięśnie ma naprężone, a oczy niespokojne i czujne. Beznosy zaś pił na umór, jakby chciał zapisać strach. Wreszcie *pulque* zwyciężyło i nadzorca runął nieprzytomny na ziemię. Hoszitiwa zaś leżała, nie mogąc zmrużyć oka. Patrzyła w gwiazdy, raz za razem zadając sobie to samo pytanie: co wydarzy się ósmego dnia?

ROZDZIAŁ 3

Dotarli do skrzyżowania dwóch szerokich brukowanych traktów. Tam skręcili na południe. Odtąd zaczęła się mozolna wędrówka w górę. Obóz rozbili u stóp płaskowyżu.

Hoszitiwa natychmiast się zorientowała, że dzieje się coś bardzo złego.

Wojownicy milczeli.

Nad rozległym obozowiskiem zawisła dziwna cisza. Mimo armii ludzi, mimo płonących ognisk. Nikt nie grał na piszczałkach, nie było słychać odgłosów zabaw ani rozmów. Ucichło nawet wszechobecne zawodzenie i jęki.

Hoszitiwa skuliła się z kolanami pod brodą i kołysała się, próbując zdławić paniczny lęk. Jej życie zamieniło się w koszmar. Obcy wyrwali ją z przytulnego swojskiego świata. Jej czerwona tunika przypominała strzęp, po starannie ułożonych panieńskich lokach zostało tylko wspomnienie. Poranione stopy obłożyła liśćmi kojącymi ból, lecz nic nie potrafiło stłumić tępego bólu w żołądku.

Książę pragnie połączyć swe ciało z twoim.

Znużona płaczem zapadła w niespokojny sen. Obudziła się nagle i zobaczyła, jak z namiotu Mrocznego Pana wymyka się jakaś postać, po czym znika w sośnowym zagajniku przy drodze.

Dziewczyna już nie zasnęła i o świcie dostrzegła, że ta sama postać, spowita w płaszcz, zakrada się z powrotem do namiotu. Tego dnia orszak nie wyruszył w drogę. Został w obozowisku pod płaskowyżem.

Niepokój Hoszitiwy rósł. Zbliżała się jej chwila. Czowała, że lada chwila stanie przy niej kapłan lub jaguar, a być może nawet sam Mokihik, i każe jej iść. Olbrzymi wielobarwny namiot pochłonie ją niczym żarłoczna bestia i Hoszitiwa odejdzie z tego świata.

Kiedy w południe jedli kolejną porcję placków, Hoszitiwa zapytała Beznosego, kim mógł być człowiek, który w nocy opuścił książęcy namiot, by nad ranem do niego wrócić.

— O tych sprawach nie wolno nam rozmawiać — uciał krótko nadzorca.

Wtedy nabrała pewności, że to musiał być Mroczny Pan, ponieważ to o nim nie wolno było rozmawiać.

Napięcie rosło coraz bardziej. Zapadł zmierzch, wzeszedł księżyc, a wojownicy nie rozpalili ognisk. Nie jedli ani nie śpiewali. Siedzieli, wpatrując się w gwiazdy w milczeniu, które wszystkim mroziło krew w żyłach. Tej nocy nikt nie zmrużył oka, nawet jeńcy, którzy podobnie jak Hoszitiwa nie mieli pojęcia, co się dzieje, ale wyczuwali niepokój swoich stróżów.

Godzinę po północy Hoszitiwa znowu zauważyła postać wymykającą się z namiotu Mrocznego Pana i znikającą wśród niskich sosen.

Dokąd chodził co noc?

Następny dzień też upłynął na nerwowym wyczekiwaniu. Nadzorcy snuli się rozdrażnieni, wszyscy byli na skraju wytrzymałości. Hoszitiwa zaczęła się zastanawiać, czy ona i pozostali jeńcy dotrą żywi do Miasta. W dzieciństwie nasłuchiwała się przy palenisku opowieści, jakie starsi opowiadali o ofiarach z ludzi, składanych przez Mrocznych Panów. Wtedy sądziła, że to tylko bajki służące do straszenia dzieci. Dziś nie była już tego taka pewna.

Ciągle rozważała, czyby nie wymknąć się niepostrzeżenie z obozu i nie uciec.

Kiedy zaszło słońce i pojawiły się gwiazdy, Beznosy sięgnął po *pulque* i łapczywie pił kubek za kubkiem, głośno przełykając trunk, jakby w ten sposób przełykał też własny strach. Czyżby to była ósma noc?

Pulque rozwiązało język starego niewolnika. Beznosy zaczął bełkotliwie opłakiwać dawne dobre czasy. W pewnym momencie uniósł kubek i wyciągnawszy rękę w stronę namiotu Mrocznego Pana, odezwał się głośno:

— Książę Jakal jest więcej niż zwykłym *tlatoani*. Jest najszlachetniejszym z nich wszystkich, bowiem jego przodkowie pochodzili z Teotihuacanu, a lepszego rodowodu mieć nie można! — Donośnie przełknął następny łyk trunku i wbił mętny wzrok w Hoszitiwę. — Księcia dotknęło jednak wielkie nieszczęście. Trzy lata temu jego małżonka zmarła, wydając na świat dziecko. Od tamtej pory żadna niewiasta nie rozweseliła serca naszego pana.

Hoszitiwa zmartwiała. Jeśli do tej pory żywiła choć cień wątpliwości co do swego przyszłego losu, jeśli hołubiła choć okrucieństwo nadziei — teraz nabrała pewności. Tak, została przeznaczona na księżęcą nałożnicę.

— Ale księżę nie tylko z tego powodu chodzi smutny i przygnębiony. Choć mieszka w Mieście, myślami przebywa w swoich rodzinnych stronach. Kilka lat temu gońcy przynieśli wiadomość o zamieszkach w pięknym mieście Tuła, gdzie się narodził. To również rodzinne miasto moich przodków. Było tam niespokojnie od zawsze, bowiem ludzie, a zwłaszcza mężowie źle znoszą życie pod obcym jarzmem. Rok temu jednak dotarła do nas wieść, że miasto jest obleżone przez najeźdźców z plemienia, które my nazywamy Aztekami, bowiem pochodzi z miasta Aztlan, choć oni sami zwą siebie inaczej. Księżę Jakal pragnie wrócić do domu i bronić swej krainy, lecz obowiązek trzyma go tutaj, w Mieście.

Beznosy głośno zachlipał i wytarł łzy z policzków. Kiedy unosił kubek, by znowu wypić, z mroku wynurzył się Mokihik : w towarzystwie dwóch jaguarów. Wojownicy bez słowa chwycili go pod pachy i odciągnęli. Oniemiała z przerażenia Hoszitiwa mogła tylko patrzeć, jak nieszczęsny Beznosy znika w ciemnościach.

Następnego ranka, zanim nadzorcy przynieśli kukurydziane placki i wodę, Mokihik stanął na pniu drzewa i ogłosił komunikat. Ktoś został ukarany za złamanie zakazu wypowiedania imienia obecnie władającego *tlatoani*.

— Niech to dla was wszystkich będzie nauczka — zakończył, odwracając się i pokazując coś, czego wcześniej nie zauważyli w słabym świetle brzasku.

Do pnia sosny przywiązano nagiego mężczyznę. Jego zakrwawioną twarz oblepiały roje much uczujące na świeżej ranie po wyrwanym języku. Mężczyzna jeszcze żył. Jęczał.

Hoszitiwa z przerażeniem uświadomiła sobie, że to Beznosy. Zgięła się wpół, bliska wymiotów, potem osunęła się na kolana zlaną zimnym potem. Świat wokół niej zawirował..

Jakąż bestią musi być Mroczny Pan, skoro skazał niewinnego człowieka na taką karę! Wszak Beznosy tylko chwalił wielkość swojego księcia!

ROZDZIAŁ 4

Beznosy zmarł o zachodzie słońca, lecz jego ciało zostawiono na drzewie, by przypominało, że nie wolno bezkarnie łamać praw ustalonych przez Mrocznych Panów. Obok trupa trzymali straż wojownicy odpędzający kojoty i innych padli-nożerców.

Nad obozem ponownie zawisła złowróżbna cisza. Wojownicy nie rozpalili ognia, tylko czekali w mroku. Hoszitiwa przez cały dzień skubała sznur wokół kostki i wreszcie udało jej się rozluźnić pętlę. W każdej chwili mogła uciec. Minęła północ, po niej następna godzina, lecz dziewczynę coś trzymało na miejscu. Nikt by nie zauważył jej ucieczki, nikt by nie dostrzegł jej zniknięcia. A mimo to czekała.

Dopiero kiedy z namiotu Mrocznego Pana wymknęła się postać, jak poprzednio szczelnie owinięta płaszczem, i udała się do sosnowego zagajnika, Hoszitiwa zrozumiała, co ją zatrzymało. Ciekawość. Musiała się dowiedzieć. Dopiero jak zobaczy twarz potwora, który zniszczył jej życie, a jej lud pozbawił nadziei, będzie mogła uciec.

Wysunęła stopę z pętli i ruszyła za mężczyzną, przestępując nad śpiącymi jeńcami.

Ostrożnie skradała się za Mrocznym Panem, bacząc, by jej nie dostrzegł. Ani na chwilę nie opuszczała jej świadomość, że Beznosy stracił życie za to, że rozprawiał o księciu. O ileż surowsza kara czekała tego, kto odważyłby się spojrzeć na władcę. A jednak — choć już niemal czuła na szyi topór jaguara — nie potrafiła zawrócić.

Ścieżka kończyła się na szczycie niewielkiego płaskowyżu. Dalej rozciągał się tylko mrok. Jedynym źródłem światła były gwiazdy i blady księżyc. Wiał

chłodny wiatr. Z położonego w dole obozu nie docierał żaden dźwięk. Hoszitiwa nagle poczuła się tak, jakby ona i Mroczny Pan byli jedynymi ludźmi na świecie.

Bezszelestnie okrążyła niewielką równinę, ukrywając się za kępą bylic. Wstrzymała oddech, gdy książę stanął nad krawędzią przepaści i zrzucił płaszcz. Zdumiona ujrzała, że pod spodem miał tylko przepaskę biodrową. Księżycowa poświata srebrzyła więc nie tylko wzgórza i doliny, ale także jego muskularne barki i smukłe nogi. Stał wyprężony z rozłożonymi ramionami, jakby — niczym stęskniony kochanek — pragnął schwytać w nie brzask. Na głowie miał pióropusz skromniejszy od tego, który nosił za dnia, ale Hoszitiwie ten wydał się szlachetniejszy i piękniejszy od bardziej okazałego przybrania. Długie pióra kołysały się na wietrze, połyskując zielonkawą poświatą.

Hoszitiwa nigdy jeszcze nie widziała mężczyzny takiego jak on. Jej współplemieńcy byli niscy i krępi. On zaś był wysoki, miał długie nogi, pociągłą twarz i imponujący nos. Z profilu, przystrojony w pióropusz, przywodził na myśl jakiegoś rzadko spotykanego ptaka. Do tego jeszcze miał długie kruczoczarne włosy spływające aż na plecy. Rodacy Hoszitiwy nosili krótkie fryzury.

Dziewczyna nie wiedziała, co myśleć. Mroczny Pan wcale nie przypominał potwora ani bestii. Przeciwnie, był... piękny.

Dopiero po chwili zrozumiała: to nie był Mroczny Pan.

Mężczyzna wysokim, niemal ptasim głosem zaczął śpiewać żalną pieśń. Każdy mięsień jego naprężonego do granic ciała drżał. Hoszitiwa spojrzała w stronę, w którą się zwrócił. Rozciągała się tam tylko spowita ciemnością równina. Wstrzymała oddech. I wtedy ją zobaczyła: iskrę nad horyzontem w miejscu, w którym miało pojawić się słońce.

Pieśń się zmieniła. Stała się hymnem triumfu, uwielbienia i radości. Hoszitiwa zrozumiała, że ci ludzie nie czczą słońca, jak jej lud. Ich bogiem była raczej Gwiazda Poranna.

Nagle pieśń urwała się w pół nuty.

Hoszitiwa znieruchomiała. Czyżby wyczuł jej obecność?

Odwrócił się, bystrym wzrokiem przeszukiwał mrok. Kiedy zauważył dziewczynę i ich oczy się spotkały, serce mocniej zakolała jej w piersi. Nie ze strachu jednak, lecz z powodu, którego w tamtym momencie jeszcze nie rozumiała. Ku jej zdumieniu mężczyzna nie wpadł we wściekłość. Stał bez ruchu w milczeniu. Mrok skrywał wyraz jego ciemnych oczu. Dopiero po chwili zebrała się na odwagę, by wolno wycofać się między drzewa i popędzić ścieżką w dół. Będzie tak biegła bez chwili wytchnienia, póki nie dotrze do rodziny czekającej na końcu brukowanego traktu.

Kiedy wypadła z lasu, czekał już tam na nią Mokihik z dwoma jaguarami. Wojownicy natychmiast ją schwytali, skrupowali jej ręce i opierającą się poprowadzili do obozu.

ROZDZIAŁ 5

Hoszitiwa myślała, że świt nigdy nie nadejdzie. Wojowni-cylśpętali ją i zostawili za mniejszym namiotem, w którym mieszkał Mokihik. Drżąc na całym ciele, czekała, aż zjawią się i przywiążą ją do drzewa, skazując na ten sam straszliwy los co Beznosego. Staremu niewolnikowi wyrwali język za nierozważne słowa. Jej z pewnością wylupią oczy, które ważyła się podnieść na władcę.

Kiedy wreszcie słońce wstało nad płaskowyżem i doliną, usłyszała potężny ryk radości jaguarów, który przetoczył się nad obozowiskiem. Hoszitiwa poznała go od razu. Tak samo jej lud kończył obrzędy przesilenia dnia z nocą. Wojownicy przez cały czas czekali na pierwszy blask Gwiazdy Porannej.

Hoszitiwa zdała sobie sprawę, że jest ocalona. Słusznie przedtem odgadła, że mężczyzna, którego szpiegowała, nie jest Mrocznym Panem. Zapewne widziała

kapłana, jasnowidza lub świętego męża mającego za zadanie przywołać Gwiazdę Poranną po jej ósmiodniowym zniknięciu. Wreszcie stało się też dla niej jasne, dlaczego Mroczny Pan jeszcze nie wziął jej do łóżnicy. Owe osiem dni stanowiło święty czas i książe nie mógł się zbrukać obcowaniem z kobietą. Hoszitiwa nie wątpiła jednak, że w Mieście dopełni się jej straszny los.

Podjęli wędrowkę, a wcześniejsze napięcie zniknęło; wojownicy kroczyli z nową energią. Dzień był ciepły, słońce świeciło wysoko na niebie. Hoszitiwa znów szła w szeregu z jeńcami, połączona z nimi sznurem.

Zmierzali na południe traktem wiodącym po krawędzi płaskowyżu. Poniżej zionęła otchłań niemal pionowego kanionu. Hen w dole, aż po horyzont było widać gospodarstwa i pola rozrzucone nad wstążką wody, zbyt wąską, by nazwać ją rzeką, zbyt szeroką, by uznać ją za strumień. Las się skończył, zastąpiły go coraz to rzadsze krzewy. Po obu stronach szerokiego kanionu ludzie rozbijali obozowiska, budowali szałas z trawy i patyków albo koczowali przy ogniskach. W samym środku kanionu zaś, tuż przy stromej skale, znajdowało się Miasto — olbrzymi, tętniący życiem kompleks, na który składały się niezliczone domy, dziedzińce, schody i kivy. Hoszitiwie jawiło się ono jako gigantyczna, kamiennie-cegła-sta tęcza. Nigdy jeszcze nie widziała takich budowli ani takiego zamieszkania. Robotnicy na rusztowaniach uzupełniali zaprawę na sięgających nieba ścianach, inni pokrywali je świeżym tynkiem, by mury jaśniały w promieniach słońca. Na tarasach też było ciasno od ludzi — pracujących, gotujących czy po prostu gawędzących. Z pieców unosiły się słupy dymu. Na głównym dziedzińcu kwitł handel. Miasto przypominało tętniący życiem ul.

Z opowieści ojca Ahotego — Tego, Który Łączy Lud — wynikało, że to lud słońca wiele pokoleń temu założył Miasto, ale dopiero Toltekowie rozbudowali osady w kanionie, pokazując ich przodkom, jak wycinać bloki z kamienia i układać z nich grube wysokie mury; Toltekowie też nauczyli ich, jak z pni drzew robić stropy, dzięki czemu mogli wznosić nawet pięciopiętrowe domy. Oni też wyżłobili większe kivy i zaczęli brukować drogi ceglami. Tak męcząca praca wymagała znacznej siły — a zatem i pożywienia. Dlatego Toltekowie nałożyli na rolników obowiązek składania daniny. Ci, którzy się ociągali, musieli liczyć się z rychłą i nieprzyjemną wizytą jaguarów.

Przez dolinę wił się wąski strumień. Z płaskowyżu Hoszi-tiwa widziała ślady poprzedniego szerokiego koryta, którym płynęła rzeka zasilana topniejącym śniegiem spływającym z gór. Teraz jednak, choć była wiosna, nurt przypominał anemiczny strumyk. Rolnicy napełniali dzbany i bukłaki, by cennymi kroplami wody zraszać świeżo posiane ziarna.

Co sprawiło, że bogowie deszczu obrazili się na Miasto?

Kiedy zdrożeni wędrowcy zeszli do kotliny i zatrzymali się przed wjazdem do Miasta, wojownicy rozeszli się do swoich drewnianych baraków, a dostojnicy w barwnych szatach i ozdobnych pióropuszech powitali księcia Jakala, by z pompą odprowadzić go do jego rezydencji. Hoszitiwa wspinała się na palce, usiłując wypatrzeć w tłumie przystojnego kapłana Gwiazdy Porannej. Daremnie.

Nadzorcy krążyli między jeńcami, wyławiając rzemieślników, którzy trafią do cechów, rolników, którzy będą pracowali na polach pod Miastem, i wreszcie tych, którzy zostaną przeznaczeni do służby w pałacu. Pozostali pójdą dalej na południe, gdzie będą zbierać drwa, trawy i zwierzęce odchody, którymi potem będą palić w paleniskach mieszkańcy Miasta, bowiem nawet tego brakowało już na płaskowyżu. Wszyscy mówili, że jeńców czeka długa i ciężka wędrówka, której wielu nie przeżyje.

Rozglądając się dokoła okrągłymi ze zdumienia oczami, Hoszitiwa przypomniała sobie opowieść dziadka, który jako młodzieniec przybył do Miasta. Mówił, że gdy w dniu zrównania dnia z nocą w samo południe stanął na głównym placu, cień dokładnie wskazywał północ! Dla dziadka był to znak podarowany ludziom przez słońce — w ten sposób uspokajało ich, że kosmiczny cykl będzie trwał niezmiennie, tak jak trwa od stuleci; że światem rządzi ład, a harmonii natury nic nie zburzy.

Kiedy nadzorca rozciął krępujące ją sznury, Hoszitiwa wyprostowała się jak struna, przygotowując się na najgorsze. W końcu przecież musiała zostać zaprowadzona do księcia.

Rzeczywiście, Mokihik i jego dwaj pomalowani na niebiesko kapłani grający na piszczałkach z ludzkich kości powiedli ją przez główny plac, gdzie tłum rozstępował się przed książęcymi dostojnikami. Potem okrążyli od południa ka-

mienne zabudowania i ku zdumieniu Hoszitiwy zatrzymali się przed warsztatem garncarskim. Dziewczyna rozglądała się oszołomiona. W hałaśliwych ciasnych pomieszczeniach uwijały się dojrzałe kobiety i dziewczęta. Wyrabiały glinę, lepiły, modelowały i malowały naczynia lub doglądały pieca. Na widok Mokihika i kapłanów przerwały zajęcia i padły na kolana, bijąc czołem przed wspaniałymi gośćmi.

—Dlaczego zostałam tu przyprowadzona, panie? — zapytała dostojnika Hoszitiwa.

—Jesteś doświadczoną garncarką, czyż nie tak? Pochodzisz z rodziny garncarzy lepiących deszczowe dzbany?

Oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdumienia.

—Sprowadzono mnie tu, bym robiła dzbany? Cmoknął zniecierpliwiony.

—A po cóż innego?

Mimowolnie pobiegła wzrokiem ku książęcej rezydencji. Mokihik zauważył i zrozumiał jej spojrzenie. Przez ramię rzucił kilka słów w swoim rodzimym języku, a towarzyszący mu wojownicy zarechotali paskudnie.

Hoszitiwa zaczerwieniła się po korzonki wiosów. Jak mogło dojść do takiego nieporozumienia? Wszak Mokihik powiedział wyraźnie: została wybrana, by „rozweselić serce swojego pana”. Ani słowem nie wspomniał o dzbanach. Kiedy jednak znowu spojrział na nią spod półprzymkniętych powiek, doznała nagłego olśnienia: skłamał wtedy świadomie.

Ściągnęła brwi. Ale przecież rozkazał Beznosemu, by pilnował jej cnoty. Po chwili zrozumiała, że to nie Mroczny Pan potrzebował jej dziewictwa. Swą czystość miała przelać w lepienie przez siebie naczynia. Było rzeczą powszechnie znaną, że naczynia zrobione przez dziewicę są pod względem rytualnym o wiele lepsze od naczyń wykonanych przez kobietę znającą mężczyznę.

— ...uczynić dzban, który sprowadzi do Miasta deszcz — usłyszała dobitne słowa dostojnika. — Albowiem kiedy spadnie deszcz, rozweseli się serce nasze-

go szlachetnego *tlatoani*, księcia Jakala z Miejsca Trzcina, strażnika Świętego Pióra, Tego, Który Śledzi Niebiosa, władcy Dwóch Rzek i Pięciu Gór.

Hoszitiwa wpatrywała się w jego płaską, pozbawioną wyrazu twarz i dostrzegła w jego oczach coś, co sprawiło, że po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. To był wzrok człowieka posiadającego pełnię władzy.

Serce dudniło jej z wściekłości, gdy myślała: Przez osiem dni żyłam w hańbie. Niepotrzebnie uznano mnie za *niakai-jo*, a co gorsza nie mogę uczynić nic, by to zmienić.

Co za niesprawiedliwość.

Mokihik uderzył laską w kamienną posadzkę i obwieścił donośnie:

— Dziewczyno z północnej osady, dziewczyno, któraś jest prochem u sandałów naszego pana, do najbliższego przesilenia dnia z nocą sprowadzisz tutaj deszcz, albo ty i twoje plemię zostaniecie złożeni bogom w ofierze na ołtarzu krwi.

Zatem w jej imieniu kryło się zarazem jej przeznaczenie. W języku ludu słońca Hoszitiwa znaczyło „Dziewica, która sprowadza deszcz”. Tej nocy gdy przyszła na świat, niebiosa zesłały obfitą ulewę i rolnicy wraz z rodzinami cieszyli się deszczem, który nawodnił pola. Dlatego — jak twierdzili wszyscy w osadzie — jej dzbany były wyjątkowe. Niezawodnie ściągały deszcz.

Czując ucisk w piersi, odprowadziła wzrokiem dostojnika, a potem rozejrzała się po swoim nowym domu. Na pokrytej grubą warstwą pyłu podłodze walały się resztki kamieni do polerowania naczyń. Wszędzie stała charakterystyczna dla Miasta biała ceramika w czarne wzory: dzbany, kufle, kubki, misy i figurki. Tupa, wysoka, mocno zbudowana kobieta w długiej zakurzonej tunice z wyhaftowanymi na piersi symbolami nadzorczym — co oznaczało, że kierowała elitarnym cechem garncarek — bacznie przyglądała się nowej pracownicy. Pociągnęła nosem i skrzywiła się.

— Brudna — orzekła, ruchem ręki przywołując młodą kobietę z zielonym piórem we włosach.

Ta zaprowadziła Hoszitiwę do patia za warsztatem, kazała jej się rozebrać wręczając długą białą szatę z krótkimi rękawami. Szata wokół dekoltu i rąbka na dole miała charakterystyczny czarno-biały haft oznaczający, że Hoszitiwa jest nowicjuską. Kobieta serdecznie zaopiekowała się przy-byszką. Przeprosiła, że ze względu na niedobór wody nie może zaproponować jej kąpieli. Powiedziała jednak, że na swoje potrzeby napęlniły kamienne koryto piaskiem zmieszany z pokruszonymi igłami sosnowymi. Po natarciu się tą wonną mieszanką wychodziło się odświeżonym i czystym jak po kąpieli.

Powiedziała, że ma na imię Zielone Pióro i dlatego nosi je we włosach.

— Oczywiście nie stać mnie na prawdziwe pióro papugi— przyznała. — Trzeba by sprzedać wiele dzbanów, a my możemy zabierać tylko po kilka. Na szczęście z daleka nie widać, że to zwykle pióro indyka zafarbowane na zielono—dodała z dumą.

Niebieski haft na szacie Zielonego Pióra oznaczał, że jest garncarką średniej klasy; tatuaż na policzku zaś świadczył, że należy do plemienia Sów.

Hoszitiwa bez słowa wykonywała polecenia. Wciąż jeszcze nie doszła do siebie po tym, co odkryła. Jednak nie była *makai-jo*. A zarazem... była. Jej rodzina uważała ją za nieczystą i tylko to się liczyło.

Z rozpaczą myślała o tym, co przechodzą jej najbliżsi. Gdyby Mokihiik powiedział prawdę: że ich córka została wybrana i otrzymała zaszczytne zadanie sprowadzenia do Miasta deszczu, radowaliby się. Ucztowaliby i świętowali. Uwieczniliby tę chwilę na murze pamięci. Serce Ahotego przepęlniałaby duma. Nawet gdyby Hoszitiwa nie wróciła, jej rodzina znajdowałaby pociechę w fakcie, że bogowie wybrali ją do świętego dzieła. A gdyby wieść o tym się rozeszła, ludzie ze wszystkich stron ściągaliby do jej osady, by kupować pobłogosławione przez bogów deszczowe dzbany.

Tymczasem teraz jej rodzina oplakuje ją i jej hańbę. Matka umrze ze złamanym sercem. W sercu Ahotego zaś na zawsze pozostanie tylko gorycz i pustka. Wieść o nieszczęściu Hoszitiwy obiegnie okolicę, a gdy ludzie dowiedzą się, że stała się *makai-jo*, będą omijać jej osadę szerokim łukiem. Nie będą zaopatrywać się w niej w dzbany i wioska podupadnie.

Nie potrafiła już nawet płakać. Miała wrażenie, że jej

serce otoczyła gęsta mgła, broniąc dostępu uczuciom.

Kiedy wróciła do warsztatu, wyniosła Tupa zmierzyla ją wzrokiem.

—Umiesz szlifować?

—Jestem doświadczoną garncarką...

Hoszitiwa nawet się nie spostrzegła, kiedy wierzbowa witka smagneła ją po ramieniu, zostawiając czerwoną pręgę.

—Nie o to pytałam, bezczelna dziewucho.

—Tak — powiedziała Hoszitiwa, przelękając łzy. — Umiem szlifować.

Szlifowanie gliny stanowiło żmudne, niewdzięczne zajęcie. Miałki pył, który unosił się podczas tej czynności, drażnił płuca, wywołując kaszel i kichanie. W rodzinnej wiosce Hoszitiwy dziewczęta zmieniały się przy matach, dzieląc pracę sprawiedliwie, tak że nieprzyjemna robota nigdy nie przypadła tylko jednej z nich. Tutaj zaś powierzono ją nowej. Hoszitiwa przez cały dzień suchymi kolbami kukurydzy tarła sterty niewypalonych naczyń: dzbanów, mis i pucharów. Praca — oprócz tego że niewdzięczna — wymagała również olbrzymiej uwagi. Garncarka musiała baczyć, by nie przetrzeć dziury w ścianie albo nie ukruszyć delikatnej krawędzi. Pod koniec dnia Hoszitiwa była już tak zmęczona, że stukła kilka naczyń, za co została ukarana bolesnym smagnięciem witki Tupy.

Zaciskała jednak zęby i nie płakała. Przelękając żal i gniew, patrzyła na bezchmurne niebo nad Miastem. Nie było na nim cienia obłoku. Sprowadzenie tu deszczu na letnie przesilenie graniczyło z niemożliwością.

Ale ona tego dokona.

Hoszitiwa poczuła, że coś się w niej budzi. Jak woda, która właśnie wytrysła ze źródła i drąży koryto w poszukiwaniu swego miejsca w skomplikowanym porządku świata, tak w piersi Hoszitiwy — mimo całego zagubienia i emocjonalnego poranienia — rodziło się i dojrzewało nowe ja, na razie ostrożnie próbując swych sił. Kiedy dziewczyna dostrzegła i nazwała to, co się w niej narodziło, była zdumiona. Oto bowiem odkryła w sobie hardość.

I pragnienie zemsty.

Sprowadzę tyle deszczu, że zaleje całą dolinę. Zmyje wasze zbiory, budynki i marzenia. Pożałujecie, że mnie tu sprowadziliście.

Nie przemawiała przez nią spokojna pewność siebie. Hoszitiwa była jeszcze młoda, nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczyła. Ta nowa hardość i przekora nie brała się z przekonania o własnej wartości. Dziewczyna wciąż czuła się zagubiona, targały nią wątpliwości, a te nowe myśli wręcz budziły w niej strach. Czuła się tak, jakby dziewczyna, którą była przez szesnaście lat, nagle się rozszczepiła. Tam na półce skalnej, patrząc na armię jaguarów, trwożliwie wtulona w ukochanego, stała pierwsza Hoszitiwa. Wtedy dokonało się jej rozdwojenie. Pękła na pół niczym dzban, powołując do życia nową Hoszitiwę. To ona, ta druga dziewczyna, zsunęła się po linie i została uprowadzona przez wojowników. Nowa Hoszitiwa w niczym nie przypominała dawnej — śmiałej, pewnej siebie, znającej swoje miejsce w świecie i spokojnej o przyszłość.

Nowa Hoszitiwa była pewna tylko jednego: dopilnuje, by jej oprawcy ponieśli karę.

Zapadła noc, rodziny w dolinie i na tarasach gromadziły się na wieczorny posiłek. Po dziedzińcu krążyli kapłani, recytując modlitwy i grając na świętych pischcałkach. Nadworny astronom wspinał się na płaskowyż, by na rozgwieżdżonym niebie szukać znaków i omenów. Mieszkańcy składali sobie wizyty, plotkowali, grali, a wreszcie zaczęli szykować się do snu. Podobnie jak w jej rodzinie, która choć niebogata, miała niewielką kive, mężczyźni zeszli do podziemnych pomieszczeń, podczas gdy kobiety i dzieci spały na powierzchni w niewielkich pokojach.

Garncarki również spożyły swój wieczorny posiłek: gęstą gotowaną fasolę doprawioną papryczkami chili, podawaną na ciepłych plackach kukurydzianych. Potem kobiety jeszcze długo gawędziły, żartowały i czesały sobie włosy, podczas gdy Tupa, która zjadła cztery miski fasoli, hojnie raczyła się *pulque*, upijając się zupełnie jak Beznosy. Hoszitiwa spożyła strawę w milczeniu, nie przyłączyła się ani do śpiewu, ani do czesania. Kiedy zaś garncarki ułożyły się do snu pod da-

chem z wierzbowych gałązek wspartym na czterech słupach, znalazła sobie miejsce wśród nich, zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Obudziła się przed świtem i zaraz wymknęła się na placyk ^{Za} potrzebą. Gwiazdy wciąż jeszcze świeciły na niebie, ale na wschodzie pojawiła się pierwsza zapowiedź brzasku. Hosziti-wa stała na szczycie południowego muru i patrzyła na imponujące budowle wzniesione z kamienia i rzędów cegieł. W Mieście panował spokój, gdyż mężczyźni jeszcze nie wynurzyli się z kiv. Hoszitiwa wodziła wzrokiem po domach, pustych tarasach, opustoszałym placu, uśpionych kivach. Na twarzy poczuła chłodne smagnięcie wiatru i pomyślała o lodowatych oczach Mokihika. Nowe uczucia, które w sobie odkrywała, czerpały siłę z nieprzyjemnego, zimnego wiatru. Tym razem z nimi nie walczyła.

Wyobraziła sobie dostojnika, jak staje przed nią w bogatych szatach, i w myślach przemówiła do niego mściwie: „Pożałujesz tego, coś uczynił”.

Już miała wrócić do prowizorycznej sypialni przy warsztacie, gdy usłyszała śpiew. Rozpoznała go, więc obejrzała się na północ i rzeczywiście, na wzgórzu nad Miastem zobaczyła postać z szeroko rozłożonymi ramionami. To kapłan Gwiazdy Porannej witał brzask świętym hymnem.

Pieśń była tak piękna, że w sercu Hoszitiwy wezbrała nadzieja. Wtedy dostrzegła, że kapłanowi towarzyszy świta, wśród niej Mokihik trzymający okazały pióropusz, a obok stoi pusty książęcy tron. Czyli jednak. Mężczyzna, którego wzięła za kapłana Gwiazdy Porannej, okazał się księciem Jakałem.

Kolejne oszustwo. Następny kłamca zasługujący wyłącznie na nienawiść.

Po śniadaniu — gęstej papce z rozgniecionej kukurydzy — Hoszitiwę znowu skierowano do szlifowania naczyń. Pracując w pyłe, zmęczonymi rękami doskonaląc cudze naczynia, zazdrośnie przyglądała się garncarkom. Kobiety gawędziły i śmiały się, a spod ich oblepionych wilgotną gliną dłoni wychodziły gładkie naczynia. Żadna nie zwracała uwagi na Hoszitiwę skazaną na najniewdzięczniejsze zajęcie w całym warsztacie.

Pociechą w jej osamotnieniu były myśli o powodzi, którą sprowadzi na Tolteków. Oczywiście lud słońca zostanie cudownie ocalony. Dziewczyna wyobrażała sobie, że ściąga nad Miasto ulewę, która doszczętnie je zniszczy, zatopi podłego

księcia, jego dostojników oraz wojowników. Wezbrana rzeka porwie ich ciała niczym patyczki. Pożałujecie. Będziecie błagać, bym powstrzymała deszcz.

Tego wieczoru po kolacji jedna ze starszych kobiet, imieniem Jani, której włosy jeszcze nie były całkiem siwe, lecz twarz została już naznaczona zmarszczkami, dobrotliwie spytała dziewczynę, skąd w niej tyle gniewu.

Hoszitiwa spojrzała w uczciwą, pyzată twarz Jani. Choć garncarka miała na brodzie niebieski tatuaż Górskich Lwów, nieco przypominała jej matkę, dlatego odparła szczerze:

— Jestem *makai-jo*,

Jani zachłysnęła się i uniosła rękę do ust. Cicho wyszeptała zaklęcie, a w powietrzu nakreśliła znak chroniący przed urokiem. Trwożliwie spojrzała na Tupę popijającą w kacie *pulque* i snującą opowieść o swoich trzech mężach, których pochowała. Osoby uznane za *makai-jo* były wyrzutkami; ściągały nieszczęście na otoczenie; sprawiały, że mleko w piersi kwaśniało, a woda wrzała bez ognia. Wielu uważało, że oddają się czarnoksięstwu i służą demonom.

Jani wiedziała, że to nieprawda. Spotkała tylko jedną *makai-jo* — wiele lat temu — dziewczynę przyłapaną na miłosnych zabawach z kapłanem. Nieszczęsną zawleczono na główny plac, rozebrano do naga, ogłoszono *makai-jo*, a potem zaprowadzono do kamiennego ołtarza. Tam przywiązano ją i żywej — przytomnej i czującej — wycięto z piersi serce, po czym — jeszcze bijące — ukazano ludowi. Kochanka dziewczyny tylko odesłano do domu na południu.

Na szczęście Tupa nie usłyszała wyznania Hoszitiwy. Gdyby się dowiedziała, wyrzuciłaby wszystko z warsztatu i dokonała rytualnego oczyszczenia przez ogień. Przeklętą dziewczynę zaś...

Jani bała się myśleć, jaki los spotkałby Hoszitiwę, gdyby do przesądnej Tupy dotarło, że jej garncarka jest nieczysta.

— Co cię spotkało, dziecko? — spytała Jani z matczyną troską. Owa niewinna dziewczyna uznana przed laty za *makai-jo* była jej córką.

Hoszitiwa opowiedziała kobiecie swoje dzieje.

—Zostałam uznana za *makai-jo* — zakończyła — tylko przez kłamstwo Mokihika. Okłamał mnie i mój lud, bym nie mogła wrócić. Stałam się więźniem i jestem nim nadal, choć nie krępują mnie sznury ani nie pilnują strażnicy. Nie zamierzam jednak na zawsze zostać w tym strasznym miejscu.

—Strasznym? — zdziwiła się Jani. — Miasto nie jest straszne. Jest cudowne. Ludzie ściągają tu z najdalszych krain, by rozmawiać z bogami, kupować leki i ubrania, spotykać się z dalekimi krewnymi. Miasto to serce naszego ludu, Hoszitiwo.

— Ale rządzą nim Toltekowie.

— Nie zawsze tak było i być może — Jani zniżyła głos — nie zawsze tak będzie. Kocham Miasto. Tu się urodziłam. Tu nauczyłam się rzemiosła od matki, która nauczyła się go od swojej matki. Jestem ostatnia z rodu, bowiem nie mam dzieci. Mimo to nie czuję smutku. Misy i dzbany są moimi dziećmi.

Te słowa przeraziły Hoszitiwę. Poprzysięgła w duchu, że misy i dzbany jej nie zastąpią dzieci ani nawet nie staną się jedyną pociechą na starość.

W tej samej chwili ku jej zaskoczeniu — co on bowiem miał wspólnego z dziećmi? — powróciło do niej wspomnienie księcia Jakała witającego Gwiazdę Poranną.

Jego twarz. Tyle można było z niej wyczytać. Smutek, tęsknotę, samotność. Hoszitiwie przypomniały się słowa Beznosego, który mówił, że księżę chodzi smutny i przygnębiony, ponieważ pragnie wrócić do domu, a musi zostać w Mieście. Dziewczynę na moment ogarnęło współczucie, ale szybko przywołała się do porządku, przypominając sobie, że Jakał jest kanibalem, który pożera kukurydzę z ludzkim mięsem.

Poza tym czczył Gwiazdę Poranną. To wiele mówiło. Podczas gdy jej lud oddawał hołd słońcu i żył w zgodzie z jego niezmiennym przewidywalnym cyklem, Toltekowie wybrali na swoją przewodniczkę gwiazdę, która błąka się po nieboskłonie, to pojawiając się, to znowu znikając; gwiazdę, której powrotu nigdy nie mogli być pewni! To wyjaśniało ich niegodną zaufania naturę.

Nienawidziła księcia Jakala. Był podły i podstępny. Ilekroć wyobrażała sobie powódź, jego ciało jako pierwsze porywały gniewne, wzburzone wody.

A przecież tak pięknie śpiewał hymn ku czci Gwiazdy Porannej...

Wierzyła już, że istnieją dwie Hoszitiwy. A może było też dwóch Jąkali? Przesycony złem władca Miasta i mężczyzna, który tak zachwycająco śpiewał swojemu bogu.

Odepchnęła tę ostatnią myśl.

— Sprowadzę deszcz, który zniszczy ciemnych, i z dumą wrócę do swego ludu. Opowiem, jakich dzieł dokonałam i przestanę być *makai-jo*.

Jani pomyślała, że nigdy jeszcze nie słyszała, by z kogoś uznanego za *makai-jo* zdjęto klątwę, ale gdy popatrzyła na zaciśnięte usta dziewczyny, zrozumiała, co czuje Hoszitiwa.

— Posłuchaj mnie uważnie, dziecko. Zapanuj nad gniewem. Twoje życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej, a wściekłość naraża cię niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Jeśli panowie ją dostrzegą, uznają cię za zagrożenie i złożą cię w ofierze bogom na ołtarzu krwi.

— Będę ostrożna — upierała się Hoszitiwa.

Nie zamierzała tak łatwo zgasić ognia swojej furii. Korna i posłuszna Hoszitiwa nie dotarła do Miasta. Zamiast niej przybyła ta druga Hoszitiwa.

Jani sądziła, że to tylko dziecinne pogróżki, puste słowa pozbawione głębszego znaczenia. W jej mniemaniu Hoszitiwa udawała wszechmocną, ukrywając straszliwe poczucie bezsilności i bezradności.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że Jani mówi roztropnie, a pomimo to nie potrafiła usłuchać jej rady. Hardość i żądza zemsty były jak choroba, która ogarnęła całe ciało, ona zaś nie знаła na nią lekarstwa, nie umiała kontrolować tak silnych emocji. Przerażało ją, że w ogóle dopuszcza myśl i przeciwstawieniu się komuś tak potężnemu jak Mokihik. Lecz im bardziej próbowała zwalczyć to pragnienie, tym silniejsze się stawało, jakby karmiło się jej strachem i desperackimi próbami zdławienia go.

Jani dostrzegła w oczach Hoszitiwy toczącą się w niej walkę. Ostrzegawczo położyła dziewczynie dłoń na ramieniu.

— Jeszcze jedno słowo rady — rzekła. — Nie przyznawaj się pozostałym, że jesteś *makai-jo*. — Zerknęła przez ramię na starsze i młodsze kobiety zajęte plotkowaniem i układaniem włosów. Zniżyła głos. — Gdyby się dowiedziały, mogłoby się to dla ciebie bardzo źle skończyć.

ROZDZIAŁ 6

Powietrze przeszył krzyk.

Hoszitiwa obejrzała się zaskoczona. Zobaczyła rozjuszoną Tupę, która wysoko unosiła rękę z wierzbową witką.

— Durna babo! — darła się.

Garncarki odskoczyły, odsłaniając przedmiot furii nadzorczyń: klęczącą Jani niezdarnie zasłaniającą się przed razami.

— I to ma być dzban?! — wrzeszczała Tupa.

Jej nalana twarz była purpurowa z wściekłości. Pogardliwie wskazywała całym zgrabnym zdaniem Hoszitiwy naczynie, a potem — ku zdumieniu dziewczyny — strąciła je na podłogę i zmiażdżyła stopami. Witka raz za razem spadała na plecy nieszczęsnej garncarki. Pozostałe kobiety skulone w milczeniu czekały, aż tyrada się skończy, a rozjuszona Tupa wyjdzie z pracowni. Potem, jakby po

chwili wahania, bez słowa wróciły do pracy, przestępując nad pobitą kobietą. Kiedy Hoszitiwa chciała się zająć Jani, Zielone Pióro powstrzymała ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Nie pomagaj jej — przemówiła łagodnie. — Gdyby Tupa się dowiedziała, poniosłabyś srogą karę.

Hoszitiwa spojrzała na dziewczynę, powiodła wzrokiem po garncarkach, które jakby nigdy nic wróciły do ugniatania gliny, modelowania naczyń i mieszania farb, a wreszcie popatrzyła na nieszczęsną robotnicę, na której ramionach i nogach pojawiły się czerwone pręgi.

Praca w warsztacie garncarskim nie należała do bezpiecznych. Łatwo było zaciąć się ostrym nożykiem albo oparzyć o gorący piec. Dlatego Hoszitiwa wiedziała, że gdzieś na podorędziu muszą znajdować się medykamenty. Odszukała je, lecz kobiety chórem ją ostrzegły:

— Tylko Tupa może po nie sięgać.

Wtedy najstarsza pracownica — siwa jak gołębica, bezzębna i tak pomarszczona, że nie można było odczytać tatuażu jej plemienia — oświadczyła:

— W takim razie nic jej nie powiemy.

Po tej deklaracji Hoszitiwa mogła śmiało przemyć obrażenia Jani sokiem z aloesu i nałożyć na nie maść z ziół leczniczych i sadła.

— Dlaczego Tupa tak cię pobiła? — zapytała.

Wstyd i upokorzenie nie pozwalały Jani odpowiedzieć.

— Tupa katuje ją od miesięcy — wyjaśniła cicho Zielone Pióro.

Dopiero wtedy Hoszitiwa zwróciła uwagę na blizny pc[^] krywające ramiona i nogi Jani.

— Ale za co? — nie rozumiała.

— Ponieważ jej dzbany są najpiękniejsze — odezwała się inna kobieta, niespokojnie zerkając na dziedziniec, gdzie Tupa przepychała się przez tłum.

—Jani jest najlepsza z nas wszystkich — potwierdziła Zielone Pióro — a Tupa jej zazdrości.

—Dziękuję — wymamrotała Jani i pokuśtykała do swojej maty, na której leżała jeszcze nie uformowana misa.

Tupa wróciła po południu z bukłakiem napełnionym świeżą porcją *pulque*. Nie zwracając uwagi na podopieczne, siadła na macie przy drzwiach i regularnie pociągała napitku.

Tej nocy po wieczerzy, na którą dostały po *tamalli* z doprawioną na ostro dynią, kobiety były mniej ożywione, rozmawiały przyciszonymi głosami.

— Dlaczego Tupa cię bije? — zapytała Hoszitiwa, gdy nadzorczym zaczęła chrapać. — Przecież nie tylko z zazdrości.

Łagodna Jani o dobrotliwej twarzy, czesząca się w dwa warkocze owinięte wokół głowy, coraz bardziej przypominała Hoszitiwie matkę.

— Oto prawdziwy powód — powiedziała kobieta, sięgając do skórzanej sakiewki, jaką nosili wszyscy garncarze.

Wyjęła z niej kamień do polerowania, tak piękny i kształtny, że Hoszitiwa głośno krzyknęła z zachwytu. To dlatego Jani robiła najpiękniejsze naczynia.

Polerowanie było nie lada sztuką. Wymagało cierpliwości i dobrego oka, nade wszystko zaś — znakomitego narzędzia. Garncarze często całymi latami szukali „swojego” kamienia, który idealnie leżał w dłoni, „przemawiał” do wysuszonej gliny i tak prześlizgiwał się po powierzchni, by wydobyć z niej ukryty blask.

— Ten kamień od pokoleń przechodził w mojej rodzinie z matki na córkę. Tupa chce mi go zabrać. Traci rękę i liczy, że dzięki niemu jej naczynia znów zajaśnieją dawną urodą. Ale nie dostanie go. Wie też, że nie może go ukraść, bo nie będzie dla niej pracował. Jak ci zapewne wiadomo, właściciel musi podarować kamień z własnej woli.

Hoszitiwa doskonale rozumiała, o czym mówi Jani. W jej plemieniu po śmierci rzemieślnika narzędzia grzebano razem z mm, ponieważ nie pracowałyby dla żadnego innego. Jedynie narzędzia podarowane ze szczerego serca służyły

nowemu właścicielowi, ponieważ ich duch wiedział, że taka była wola poprzedniego pana. Sama Hoszitiwa ciągle jeszcze nie znalazła idealnego narzędzia, które pozostałoby jej wierne do końca życia i które mogłaby kiedyś przekazać córce.

—Tupa przynosi wstyd naszemu cechowi — powiedziała Jani, a pozostałe kobiety przytaknęły bezgłośnie.

—Wystawia nas na pośmiewisko — zawtórowała Zielone Pióro, wplatając innej garncarce we włosy wstążki z juki. Wyjaśniła Hoszitiwie, że ich cech przyjaźnie konkurował z cechem wyplataczy koszy, również składającym się z kobiet i dziewcząt. — Przy okazji każdego święta walczymy o nagrody w tańcu. Wyplataczki przestały się starać, bo i tak wiedzą, że przegramy. Tupa odebrała nam cały zapał.

—Naszą nadzorczynią miała zostać Jani — wyszeptała siwa bezzębna starszka — ale Tupa przekupiła ministra cechów. Nadzorca cechu to zaszczytne stanowisko. Ludzie poważają tych, którzy doglądają rzemieślników. Ale ponieważ nikt nie poważa Tupy, nasz cech stracił szacunek. Garncarstwo to szlachetny zawód, a Tupa przynosi nam tylko wstyd. Okryła nas hańbą.

Już wkrótce Hoszitiwa miała na własne oczy przekonać się, do jakiego stopnia Tupa jest zepsuta.

To było w czasie wyprawy po glinę. Każda garncarka miała obowiązek w niej uczestniczyć. Tupa rozkazała, by kobiety sprzedały część swoich naczyń i kupiły za to ofiary dla bogów.

Jako że okoliczne pokłady gliny już się wyczerpały, do najbliższego miejsca trzeba było wędrować cały dzień. W drodze garncarki recytowały i śpiewały pobożne hymny, bowiem glina była święta i stanowiła dar matki ziemi. Kiedy grupka pięła się w górę wąskim wąwozem, Hoszitiwa zastanawiała się, czy nie powinna zbierać własnego zapasu, tak by mogła przystąpić do realizacji swoich planów zemsty na Toltekach.

Garncarki rozpały ognisko, ugotowały fasolę do placków kukurydzianych, potem gawędziły i zaplatały sobie włosy, a wreszcie zasnęły pod gołym niebem,

śniąc o pokładach dobrej gliny, gdyż po powrocie miały lepić deszczowe dzbany na zbliżającą się uroczystość przesilenia wiosennego.

O świcie zaczęły przekopywać ziemię, nieprzerwanie modląc się i śpiewając. Napęłniały kosze gliną, nie przestając prosić matki ziemi, by pozwoliła swym dzieciom uszczknąć cząstkę siebie. Za każdy zabrany kosz zostawiały w ofierze kukurydzę, fasolę i dynię. Potem dźwigając na głowach ciężkie kosze, zeszyły na dół wąwozu i ruszyły w drogę powrotną do Miasta, gdzie ich świętym obowiązkiem było sprowadzenie deszczu.

Nie uszły daleko, gdy Tupa oznajmiła, że zostawiła na górze swój bukłak. Poleciła garncarkom, by maszerowały dalej, a sama odwróciła się i ciężko sapiąc zaczęła wdrapywać się na górę. Zaintrygowana Hoszitiwa bezszelestnie ruszyła za nadzorczynią i ze zgrozą patrzyła, jak ta ładuje do skórzanego worka zostawione przez nie ofiary. Niczego nie rozumiała. Wszak Tupa nie należała do bezbożnych Tolteków. Pochodziła z ludu słońca. A jednak przywiązała wór do paska, poklepała go i oblizwała się, jakby już nie mogła się doczekać uczyty.

Tej nocy Hoszitiwa długo nie mogła zasnąć. Po raz pierwszy nie myślała o swoim strasznym losie, lecz o niewyobrażalnym świętokradztwie Tupy i wpływie, jaki może ono mieć na dzbany deszczowe robione przez cech. Glina była darem matki ziemi, a zatem była święta. Dziewczyna przypomniała sobie słowa kobiet wypowiedziane podczas którejś wieczerzy: „Bogowie pogniewali się na mieszkańców Miasta i dlatego nie zsyłają deszczu”. Szeptano też, że od wielu wiosen nie nawiedził kanionu *kokopilau* z radosną piszczalką i worem pełnym szczęścia. Ludzie zaczęli opuszczać Miasto w poszukiwaniu lepszej ziemi, a Mroczny Pan musiał wysyłać wojowników, by sprowadzali jeńców, gdyż ktoś musiał pracować.

Mimo przytłaczających rozmiarów Miasta, jego budowli z kamienia i cegieł, tysiący ludzi każdego dnia przetaczających się przez kanion, codzienność niewiele różniła się od życia w maleńkiej rodzimej osadzie Hoszitiwy. Wszędzie czaiły się duchy, zjawy i bogowie, dlatego ludzie uważali na każde słowo i czyn w obawie, by nie urazić bóstwa lub nie dopuścić się świętokradztwa. Życie polegało na nieustannym balansowaniu między dobrym a złym losem. Ludzie nie mieli władzy ani nad szczęściem, ani nad pechem, starali się więc przynajmniej prze-

widywać, co może ich spotkać. Dlatego co rano, jeszcze zanim wstali z maty albo wyszli z kivy, szukali znaków. Robili tak wszyscy. Od księcia Jakala po chłopca, który pełił swój zagonek. Podobnie nadworny astronom co wieczór szukał na rozgwieżdżonym niebie zapowiedzi przyszłego losu.

Bogowie sprawowali władzę nad każdą sferą życia. Wszyscy mieli swoje bóstwa opiekuńcze: garnarze, wyplatacze koszy, ci, którzy barwili pióra, i ci, którzy robili dzidy; kucharze, służba, wojownicy i niemowlęta stawiające pierwsze kroki. Nawet gra w *patolli* miała swojego boga Macuilxochitla, do którego zawodnicy zanosili modły. Każdy dzień był poświęcony konkretnemu bogu. Każdy mieszkaniec Miasta skrupulatnie przestrzegał kalendarza świąt i uroczystości oraz towarzyszących im ofiar.

Nic więc dziwnego, że Hoszitiwie wcześniej nawet nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby łamać prawa ustanowione przez bogów. Czyżby w Mieście znajdowało się więcej takich bezbożników jak Tupa? Może to ich zepsucie i lekceważenie tabu spowodowało suszę?

Takie niespokojne myśli kłębiły się w umyśle Hoszitiwy, gdy szlifowała یدن z deszczowych dzbanów ulepionych przez Jani. Dzban był piękny, z dwoma uchami. Jani musiała go jeszcze pomalować i wypalić, by uwidocznili się charakterystyczny czarno-biały wzór. Kiedy na dziewczynę padł cień, podniosła głowę, licząc, że może to chmura przesłoniła słońce. Przed sobą jednak zobaczyła męską postać.

To był Mokihik ubrany w szkarłatną tunikę i szafirowy płaszcz. Szpakowate włosy zasłaniał pióropusz podkreślający jego dostojność. Pozostałe kobiety natychmiast upadły na kolana, bijąc przed nim czołem. Tylko Hoszitiwa dalej siedziała nieruchomo, śmiało patrząc na mężczyznę i nawet nie próbując ukryć płonącego w niej gniewu.

Mokihik minął ją i wszedł do warsztatu. Towarzyszyli mu dwaj mężczyźni wymalowani niebieską farbą. Hoszitiwa zdążyła się już dowiedzieć, że są to kapłani Tlaloca, boga deszczu. Często zaglądali do warsztatu, by sprawdzić, jak posuwają się prace nad deszczowymi dzbanami. Nigdy jednak nie towarzyszył im aż tak wysoki dostojnik.

Mokihik rążył po zakurzonej pomieszczeniu, ze ściągniętymi brwiami oglądając rzędy dzbanów, mis i figurek. Wreszcie zwrócił się do Tupy, która stała ze spuszczonej oczami w pozie pełnej szacunku, i zażądał, by pokazała dzbany ulepione przez nową dziewczynę.

Jej stopy spłaszczone od dźwigania takiego ciężaru, jakim było jej ciało, zaszeleściły, gdy stropiona przestąpiła z nogi na nogę.

— Nie dopuściłam jej do lepienia dzbanów, panie. Jest niegodna tego zajęcia.

Rozkaz, który padł, był krótki. Dziewczyna ma lepić dzbany.

Serce Hoszitiwy zatańczyło z radości. Głupiec, tym rozkazem przypieczętował własny los.

Po wyjściu dostojnika kobiety wróciły do pracy. Nikt ani słowem nie skomentował nieoczekiwanej wizyty możnego pana. Mimo to wszystkie kobiety doskonale czuły zmianę atmosfery i myślały tylko o jednym: Tupie nie podobało się wyróżnienie, jakie spotkało młodą pracownicę.

ROZDZIAŁ 7

Biała glina z Miasta zupełnie do niej nie pasowała. Hoszitiwa mogła w nieskończoność ugniatać ją, ubijać, dolewać wody, przemawiać do niej i modlić się nad nią. Daremnie. Ta glina i jej palce nie potrafiły się polubić.

Dziewczyna wiedziała, że wszelkie próby ulepienia z niej deszczowego dzbana są skazane na niepowodzenie. Każdy garncarz sam musiał zbierać glinę na swoje naczynia, bowiem tylko wykopując ją z ziemi, czuł, czy będzie posłuszna

jego palcom. Jeśli chciała sprowadzić na Miasto oczyszczającą powódź i uwolnić swoją krainę od samozwańców, musiała znaleźć swoją glinę.

Był ciepły wiosenny dzień. Garncarki pracowały nad swoimi dzbanami, a Tupa — popiwszy śniadanie *pulque* — chwiejnym krokiem szła przez dziedziniec, by spędzić dzień na przyjacielskiej partyjce *patolli* z kuzynką, nadzorczynią cechu wyplataczy koszy. Hoszitiwa postanowiła skorzystać z okazji. Wymknęła się z warsztatu i energicznym krokiem ruszyła wzdłuż południowego muru, gdzie rozbiła obóz rodzina handlarzy soli. Serce przepełniało jej pragnienie zemsty. W głowie dudniły myśli o karze. Podstępni mocarze pożałują, że uczynili Hoszitiwę *makai-jo*.

Wiatr zmienił kierunek, przynosząc obrzydliwy fetor. Na północnym murze dziedzińca dla przykładu powieszono głową do dołu trzech mężczyzn przyłapanych na podbieraniu kukurydzy z dzieży należących do bogów. Ich agonía trwała dwa dni, teraz ciała gniły na słońcu.

Okrutna kara — pomyślała Hoszitiwa — lecz konieczna. Nawet jej miłujący pokój lud nie tolerował łamania religijnych tabu. Naruszając tabu, narusza się bowiem ład świata i wprowadza niebezpieczny chaos. Hoszitiwa pamiętała, jak wiele lat temu ciotkę — starszą już kobietę — obudziło w nocy wycie zagubionego psa. Wyszła na zewnątrz, by poszukać zwierzęcia. W ciemnościach straciła orientację i wpadła do kivy. Choć zrobiła to nieumyślnie, zbezczeszczyła świętą podziemną komorę przeznaczoną wyłącznie dla mężczyzn, musiała więc zostać wydalona z plemienia.

Hoszitiwa uparcie szukała gliny w niewielkim wąwozie. Wreszcie pod kamieniami wypatrzyła wąziutki strumyczek, tak niewielki, że omal go nie przegapiła. W całej dolinie rośliny już dawno wyschły, a zwierzęta opuściły niegościnnie strony. Mimo to, kiedy Hoszitiwa nabrała garść ziemi i nastawiła twarz na muśnięcia słabego wiatru, poczuła, że gdzieś w pobliżu czeka na nią glina.

Wytrwale pięła się w górę i wkrótce jej wysiłek został nagrodzony. Trafiła bowiem na zagłębienie wyłożone kamieniami. To tu w porze deszczu tworzyła się sadzawka. Teraz była wyschnięta, ale bystre oko Hoszitiwy wypatrzyło coś, co można by uznać za brzegi szerokiego strumienia. Jej przypuszczenia potwier-

dziła obecność anemicznych krzewów uparcie walczących o przetrwanie. W pobliżu było nawet słycać śpiew ptaków. Dziewczyna upadła na kolana i zanurzyła palce w ziemi.

Rzeczywiście, była tam. Wysuszona i twarda, zanieczyszczona, szara, ale ta właśnie glina przemawiała do jej palców. Przez cały ranek Hoszitiwa wydłubowała z ziemi twarde bryły. Później w warsztacie namoczy glinę i wypłucze, ponownie namoczy i ponownie wypłucze — i tak raz za razem, dopóki nie oczyści jej z wszelkiego brudu — nie przestając modlić się i przemawiać do niej, aż wreszcie namówi ją, by stała się dzbanem, który przyciągnie uwagę bogów.

I wtedy Hoszitiwa sprowadzi deszcz, jakiego Mokihik i księżę Jakal jeszcze nie widzieli...

Właśnie nappełniła kosz i zamierzała wrócić do Miasta, gdy usłyszała śmiech. Rozejrzała się, ale nikogo nie zauważyła. Odstawiła kosz i na palcach zakradła się w stronę, z której dobiegał odgłos. Zatrzymała się za gęstym krzakiem. Rozchyliwszy gałęzie, zobaczyła zagajnik tak miękko i głęboko wtulony w łono płaskowyżu, że musiał chyba należeć do bogów. Szeroko otwartymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w drzewa, trawę, migotliwą taflę wody i kobierzec wiosennych kwiatów w pełnym rozkwicie.

Dopiero po chwili dostrzegła młode piękne kobiety w tunikach i spódnicach z najczystszej bawełny w kolorach tęczy, ozdobionych haftami, od których aż mieniło się w oczach. Kobiety grały na piszczałkach, grzechotały tykwami, uderzały w bębenki.

Oszołomiona dziewczyna wodziła wzrokiem po tym urokliwym zakątku, póki nie dostrzegła czegoś, co sprawiło, że głośno wciągnęła powietrze i przerażona zasłoniła usta rękami. Znieruchomiła, z bijącym sercem czekając na jakiś znak, że ktoś ją usłyszał. Na szczęście nie zauważyli jej obecności, więc — zamiast uciec, jak nakazywał rozsądek — została w swojej kryjówce, patrząc i nie wierząc własnym oczom.

Od przybycia do Miasta Hoszitiwa widywała księcia Jakała tylko z daleka — w czasie procesji, gdy sądził przestępców albo wysoko na wzgórzu, gdy witał Gwiazdę Poranną. Stał się dla niej odległym bóstwem odzianym w strojne szaty,

potężnym i tajemniczym. Tamta chwila na płaskowyżu, gdy niemal nagi modlił się do swego boga — a potem obejrzał się i ich oczy na moment się spotkały — dziś wydawała jej się nierzeczywista jak sen.

Teraz jednak ujrzała jego kolejne wcielenie, które zburzyło jej wcześniejsze wyobrażenia. Oto bowiem mroczny i podstępny władca Miasta... śmiał się!

Leżał na grubym tkanym kocu rozłożonym na trawie, jego brązowa skóra lśniła w słońcu. Miał na sobie przepaskę biodrową i płaszcz z połyskliwej zielononiebieskiej bawełny tak pięknej i mięsistej, że Hoszitiwa nie potrafiła nawet sobie wyobrazić jej dotyku. Długie włosy miał niedbale ściągnięte na czubku głowy, sterczące pasemka upodobniały je do ptasiego czuba. Na jego prawym nadgarstku przysiadła barwna ara. Książę podawał jej do dzioba kawałki owocu. Delikatność, z jaką karmił to na wpół dzikie zwierzę, i czułość, z jaką do niego przemawiał, zdumiały i tak już oszołomioną Hoszitiwę. Jak to możliwe, że to ten sam człowiek, który siedział bez ruchu na tronie, gdy ścinano jej stryja? I który skazał Beznosego na okrutną śmierć? I który dopuścił się kłamstwa, okrywając hańbą ją i jej rodzinę?

Przez twoje kłamstwo moja matka umrze niepocieszona! krzyczała w duchu. Czemu nie powiedziałaś prawdy? Dlaczego nie pozwoliłeś matce świętować wyróżnienia córki?

Dopiero wtedy Hoszitiwa zauważyła, że zagajnik sprawia nienaturalne wrażenie. Kamienie wyglądały, jakby je ktoś przyniósł i ułożył. Nie знаła większości kwiatów, które tam rosły. Drzewa też nie przypominały tych rosnących w okolicznych lasach. Tak, ten zagajnik na pewno nie był dziełem natury, lecz został stworzony przez człowieka.

Ale w jakim celu? I dlaczego został ukryty przed oczami postronnych? Czemu miały służyć te dziwne, przesadne i wystudiowane gesty, wykonywane jak pod dyktando. Czyżby to było...?

Zdumiona przez chwilę bała się dokończyć myśl.

Ta czwórka odprawiała święte nabożeństwo, co oznaczało, że zagajnik stanowił sanktuarium!

Święte miejsce! Miasto niszczyła susza — rośliny więdły, zwierzęta zdychały. Książę Jakal stworzył więc i pielęgnował to miejsce jako obietnicę dla bogów, że jeśli ześlą deszcz i przywrócą życie w dolinie, będzie troszczył się o nią tak samo jak o ten zagajnik.

Hoszitiwa wycofała się powoli. Serce ścisnął jej strach. Złamała święte tabu, a karą za to jest śmierć.

ROZDZIAŁ 8

— Co ty wyprawiasz? — warknęła Tupa, stając za Hoszitiwą. Ręce podparła na pełnych biodrach. — To ma być glina? Przypomina raczej łajno antylopy!

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko z pochyloną głową siedziała na słońcu, dodając do świeżo zebranej gliny piasek, który wzmacniał naczynie i sprawiał, że nie pękało.

Tupa chwyciła się za brzuch i zanosząc się śmiechem, oznajmiła, że ta nowa musi mieć kurz w głowie, skoro sądzi, że z t e j gliny można ulepić jakiegokolwiek naczynie. Po czym z głośnym czknięciem udała się do środka, by zajrzeć do pieca.

Hoszitiwa nie reagowała na drwiny. Całkowicie skupiła się na czekającym ją zadaniu, wszystko inne wyrzucając z myśli.

Tak przynajmniej sobie wmawiała. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że widok księcia Jakala w jego świętym ustroniu prześladował ją nocą i za dnia. Beznosy twierdził, że od śmierci żony władca nie wziął do łóża żadnej niewiasty. A wszak w zagajniku księciu towarzyszyły piękne młode kobiety podobne barwnym, eg-

zotycznym papugom. Hoszitiwa czuła się przy nich burym, nieciekawym ptakiem.

Sama nie rozumiała swoich uczuć ani reakcji. Co właściwie ją obchodzi, kogo Jakal bierze sobie do towarzystwa? Książę był przecież Mrocznym Panem, tym, który spożywa ludzkie mięso, i Hoszitiwa nie powinna ani na chwilę o tym zapominać.

Mimo to jednak nawiedzał ją we snach, a za dnia nie opuszczał jej myśli. Pozostałe garncarki widziały milczącą zawziętą robotnicę pochyloną nad gliną, w skupieniu modelująca alinę, wworowadzaiąca z dłońmi słodkie ścianki naczyń. Podziwiała upór i determinację, z jaką tworzyła deszczowe dzbany, i zazdrościła jej samodyscypliny. Nie domyślały się, że sztywno wyprostowane ramiona i skupienie na twarzy stanowią jej oręż w walce z nieposłusznymi myślami. Hoszitiwa pragnęła skoncentrować się na pracy, jej myśli zaś wołały krążyć wokół księcia Jakala.

Tupa obserwowała postępy podopiecznej i jej niezadowolenie rosło z każdą chwilą. Co za okropna grzebuła! A do tego jaka uparta! Kiedy kazała jej się pośpieszyć, smarkuła miała czelność oznajmić, że modelowanie rodzi się w głębinach duszy garncarza.

— To czynność duchowa — pouczyła ją Hoszitiwa, jakby Tupa, która lepiła dłużej niż ta leniwa dziewczucha chodziła po świecie, tego nie wiedziała.

Byle prostak słyszał, że glina wyczuwa nastrój garncarza, dlatego nie powinno się lepić, gdy czuje się smutek lub gniew. Ale ta krnąbrna pannica posługiwała się tym jako wymówką.

Hoszitiwa wymodelowała już dno i zaczęła kształtować ścianki naczynia. Słońce z każdym dniem przygrzewało mocniej, coraz więcej ludzi ściągało do Miasta na uroczystości przesilenia wiosennego. Na głównym placu panował tłok i rozgardiasz. Kapłani boga deszczu regularnie zaglądali do warsztatu, kontrolując przebieg prac.

Do dziewczyny stopniowo docierało, że znieprawidzeni Toltekowie w zasadniczych kwestiach niewiele się różnią od głęboko uduchowionego ludu słońca.

Prawa, jakimi rządziło się ich społeczeństwo, stanowiły przedłużenie porządku ustalonego przez bogów. Ponieważ to bogowie decydowali, kiedy wschodzi słońce, kiedy spadnie deszcz i czy zbiory będą obfite, ofiarę w postaci ludzkiego mięsa spożywanego z kukurydzą uważano za święty akt, który przynosił zaszczyt człowiekowi, a bogom się podobał. Hoszitiwę ciągle jednak to oburzało. Lud słońca ofiarował bogom kukurydzę, a nie bezbronnych ludzi. Zastanawiała się, czy przypadkiem właśnie nie dlatego bosowie nie zsyłała już deszczu ra Miasto

Ale deszcz przecież spadnie na Miasto — mitygowała się w duchu. Kiedy woda zmyje z doliny toltecką zarazę, ona, Hoszitiwa, zmieni imię, zamieszka gdzieś daleko i będzie wiodła żywot z podniesionym czołem.

Pewnego popołudnia na głównym placu rozległ się potężny ryk, gdy książę Jakal wymierzył sprawiedliwość, skazując jakichś przestępców na ścięcie toporem. Garncarki nie mogły uczestniczyć w tym wydarzeniu, gdyż musiały koncentrować się na swoim świętym zadaniu. Hoszitiwa próbowała skupić się na lepieniu, cały czas jednak miała przed oczami księcia w ogrodzie, gdy łagodnie przemawiając karmił barwną arę. Z zadumy wyrwał ją kolejny, tym razem bliższy ryk, gdy Tupa — bodaj już setny raz — podjęła próbę odebrania Jani jej magicznego kamienia do polerowania i pod byle pretekstem smagała bezbronną kobietę witką.

— Jak śmiesz obrażać bogów takim ohydztwem?! ^- wrzeszczała, trzymając nad głową misę, którą Jani właśnie wyjęła z pieca. Hoszitiwa uważała, że misa jest niezwyklej urody.

Kobiety wstały z mat i w milczeniu patrzyły, jak tłusta nadzorcym katuje Jani.

— Przez coś takiego nasz cech traci dobre imię! — darła się Tupa, raz za razem chloszcząc kobietę po nagiej skórze. — Przynosisz wstyd swoim siostrom! Okrywasz hańbą...

Urwała w pół słowa, gdy czyjaś silna dłoń unieruchomiła jej wzniesione ramię.

Tupa obdarzyła Hoszitiwę wściekłym wejrzeniem. W pracowni zapadła cisza. Nadzorcym i nowicjuszką mierzyły się wzrokiem, a pozostałe kobiety przyglądały

dały się temu z przerażeniem. Wreszcie Tupa — czując żelazny uścisk Hoszitiwy i widząc jej harde, nieugięte spojrzenie — pochyliła się i wyszeptała chrapliwie:

— Uważasz się za wyjątkową, ponieważ wyróżnił cię dostojny Mokihik. Ale czekaj no do przesilenia! Kiedy twoje dzbany nie sprowadzą deszczu, nikt już nie będzie cię osłaniał.

—Uważaj na Tupę — ostrzegła ją później Zielone Pióro, a pozostałe kobiety przytaknęły.

—Jestem ci wdzięczna — dodała Jani — ale równocześnie lękam się o ciebie.

W miarę jak zbliżały się uroczystości przesilenia wiosennego, atmosfera w warsztacie stawała się coraz bardziej napięta. Kobiet nie opuszczała świadomość, że kapłani liczą, iż to ich naczynia sprowadzą do Miasta deszcz. A przecież mijały kolejne wiosny i lata, a dzbany nie skusiły ani jednej kropli deszczu. W dolinie coraz głośniej mówiło się, że na Mieście ciąży klątwa. Co odważniejsi pakowali dobytek i opuszczali je pod osłoną mroku. Każdego ranka mieszkańcy odkrywali opuszczone palenisko, a w cechu ubywał jakiś rzemieślnik.

Wojownicy urządzali na głównym rynku parady — demonstracje siły, by mieszkańcy nie zapomnieli, że bogowie żądają od nich posłuszeństwa. Organizowali też krwawe igrzyska dla gawiedzi. Tłumy przyglądały się im i robiły zakłady, podczas gdy w świętych warsztatach — u wyplacaczy, garncarzy i rzemieślników ociosujących obsydian — wrzała gorączkowa praca.

Nawet Tupa usadziła na macie tłusty zadek, pomagając przy wyrabianiu gliny, lepieniu, szlifowaniu i polerowaniu oraz mieszaniu warzyw i kamieni, z których otrzymywano barwniki.

Hoszitiwa koncentrowała się na swoim jedynym dzbanie, formując krawędzie, usuwając ślady lepienia, susząc naczynie, szlifując je, a wreszcie ostrożnie, by nie ukruszyć delikatnej gliny, polerując kamykiem. Na końcu zaś rozgniotła liść juki, robiąc z niego pędzel, i nakładała na ścianki czerwoną farbę, którą pozostałe kobiety w głębi ducha uważały za brzydką. Jani i Zielone Pióro ze współczuciem pomieszanym z litością patrzyły, jak dziewczyna maluje symboliczne przedstawienia gęstych chmur oraz ulewnego deszczu.

Wreszcie nadszedł dzień wypalania. Kobiety nie spały całą noc. Tupa była wyjątkowo nieznośna, bowiem na niej spoczywała pełna odpowiedzialność. W zależności od tego czy praca garncarek zakończy się sukcesem czy porażką, mogła spodziewać się od kapłanów Tlałoca sowitej nagrody lub srogiej kary.

To była prawdziwa godzina prawdy. Jeśli glina nie została właściwie wysuszona albo jeśli w środku pozostały pęcherze powietrza, dni mozolnej dhubaniny pójdą na marne, bowiem naczynie pęknie pod wpływem temperatury. Kobiety z wielką ostrożnością kładły więc swoje naczynia na kamiennych półkach pieca, podczas gdy Tupa nadzorowała rozpalanie ognia. Kamienny piec przykryto dodatkowo ciężkimi derkami, by nie uciekało z niego ciepło.

Garncarki niespokojnie nasłuchiwały, czy nie rozlegnie się trzask oznaczający, że naczynie pękło. Modliły się, recytowały zaklęcia i obserwowały piec. Wreszcie Tupa uniosła rąbek derki i zajrzała do środka. Zobaczywszy popiół i dogasające płomyki, oznajmiła, że wypalanie zakończyło się sukcesem.

Wyciągały naczynie za naczyniem — oślepiająco białe misy, dzbany i kubki, wszystkie zdobione czarnymi wzorami, które miały przywołać deszcz. Z każdym naczyniem napięcie rosło. Pęknięte oznaczałoby bowiem zły omen. Wypalanie, w czasie którego nie zostało uszkodzone ani jedno naczynie, uważane było za znak przychylności bogów. Ostatni został w piecu dzban Hoszitiwy. Kobiety wstrzymały oddech, gdy Tupa sięgnęła po niego drewnianymi szczypcami. Oto miały ujrzeć dzban zrobiony ze zwykłej szarej gliny, do tego stworzony przez nowicjuszkę nie szkoloną przez ich cech. Tupa postawiła naczynie na macie z juki i delikatnie omiotła z popiołu. Wszystkie szeroko otworzyły oczy ze zdumienia. Zamiast tradycyjną białą ścianki mieniły się przepięknym złocistopomarańczowym odcieniem przywodzącym na myśl wschodzące słońce. Znaki zaś były nie czarne, lecz płomiennie czerwone niczym jesienne zachodzące słońce.

W całym Mieście nie było drugiego takiego deszczowego dzbana.

ROZDZIAŁ 9

Garncarki oczyściły ciała pachnącym sosną piaskiem i z dumą przywdziały nowe szaty z wyraźnymi znakami cechu przy dekolcie i wokół dolnego rąbka. Wyjątkowo starannie ułożyły włosy, po czym przez post i modlitwę szykowały się na przyjscie kapłanów Tlaloca, którzy mieli zabrać deszczowe dzbany.

Przesilenia zawsze stanowiły trudny okres, bowiem symbolizowały krańcowość: najkrótsze lub najdłuższe dni i noce, którym zawsze towarzyszył wyjątkowy upał lub chłód. Dlatego lud słońca wołał uroczystości zrównania, gdy dni i noce były równej długości, a nawet jeśli towarzyszył im upał lub chłód, wiadomo było, że nadchodzą łagodniejsze dni. Zrównania były świętem ładu, porządku i harmonii. Przesilenia — przeciwnie.

Szerokimi traktami Tolteków do Miasta z najdalszych stron ściągali pielgrzymi z darami dla bogów, by uczestniczyć w świętych uroczystościach. Szeroka dolina między ścianami kanionów była szczelnie wypełniona. Za dnia pielgrzymi uczestniczyli w nabożeństwach, tańcach i modlitwach na głównym placu. Nawiedzali też kivy, których podziemne komory nie były już zwykłymi sypialniami, lecz wrotami do świata duchowego.

W warsztacie garncarskim na desce stały rzędy nowiutkich lśniących deszczowych dzbanów. Naczynie Hoszitiwy odróżniało się od innych. Jej rodzina robiła tradycyjne biało-czarne dzbany, przeznaczone na wymianę. Złociste i żółto-czerwone misy wypalała jednak tylko na własny użytek, ponieważ na więcej nie wystarczało specjalnej gliny. Dlatego w Mieście nie znano wcześniej takich naczyń.

Jak na jej dzban zareagują kapłani boga deszczu?

Hoszitiwa modliła się, by go wybrali. Wtedy zostanie postawiony na środku dziedzińca pod bezchmurnym niebem, lśniąc w promieniach słońca, a bóstwa deszczu nie zdołają się oprzeć pokusie, by na niego zerknąć. Nigdy jeszcze bo-

gowie deszczu nie oparli się naczyniom Hoszitiwy. Piękno, symetria i oryginalny wzór deszczowych dzbanów radowały ich serca, więc hojnie napelniali je wodą. Tym razem dzban Hoszitiwy tak ucieszy ich serca, że ześlą na ziemię ulewę. Nieprzerwane strugi będą lały się z nieba tak, że wąziutki strumyk nabrzmieje i wypełni koryto, a potem wystąpi z brzegów. Ale na tym się nie skończy, deszcz wciąż będzie padał. Zaleje dolinę, wypłucze glinę z ubogich lepierek i cegły z pałaców dostojników, zniszczy ich domostwa oraz tarasy i tak zakończy panowanie Tolteków.

Takie myśli przebiegały przez głowę Hoszitiwy, gdy w warsztacie wraz z dwoma kapłanami Tlaloca pojawił się Mokihik w szkarłatnym płaszczu i szmaragdowej tunice. Garncarki powitały go pewnym szacunku milczeniem. Tego dnia wyjątkowo pozwolono im stać. Nawet Tupa, która rzadko przestawała mleć językiem, bez słowa patrzyła, jak dostojni goście powoli oglądają deszczowe dzbany. Z nieodgadnio-nym wyrazem twarzy przesuwali się wzdłuż półki ze świeżo wypalonymi naczyniami. Dotarłszy do końca, zatrzymali się i zmarszczyli brwi zaskoczeni.

Patrzyli na złocisty dzban.

Hoszitiwa znieruchomiała. Serce biło jej jak szalone. Nie skłoniła się jak jej siostry, ale stała z wysoko uniesioną głową, śmiało patrząc Mokihikowi w oczy. Kiedy w jego snirzeniu dostrzegła błysk zachwytu, z trudem powstrzymała się od triumfalnego okrzyku.

Tupa widząc, że dzban znalazł uznanie u dostojnika, zaczęła się chwalić:

— Sama znalazłam glinę, panie. W jej niepozornej szarości dostrzegłam przebłysk słońca.

Hoszitiwa przygryzła wargę. Gdyby wiedział, że to jej dzban, czy nie zniszczyłby go złośliwie, by dowieść swojej władzy?

Mokihik spojrzał ostro na Tupę.

— Ty ulepiłaś ten dzban?

— No cóż, właściwie nie. Jestem zbyt zajęta, by lepić. Mogłam powierzyć to zadanie jednej z moich garncarek, lecz rozkazałeś, panie, by dać szansę nowej dziewczynie, więc kazałam jej wypróbować tę glinę.

Hoszitiwie serce jeszcze mocniej zakołatało w piersi. Policzki jej płonęły. Mokihik zdradził się ze swoim zachwytem, zanim dowiedział się, że to ona ulepiła ten dzban! Jak teraz postąpi? Czy duma każe mu rzucić go na ziemię i zdeptać, czy też lojalność wobec księcia i pragnienie deszczu każą mu przełknąć dumę, tak że wybierze jej dzieło i dzban Hoszitiwy stanie na głównym placu?

Zaczął naradzać się z kapłanami, a gdy stało się jasne, że im również spodobał się złocisty dzban, Tupa nie omieszkała zapewnić:

— Mogę zrobić takich więcej, panie.

Mokihik ściągnął brwi niekontent.

— To jedyny taki?

— Dziewczyna jest opieszala, panie. Mój cech co dzień dostarcza liczne naczynia i figurki nie tylko na plac, gdzie przybywają kupcy z solą i innymi towarami, ale także dla świątyni i kapłanów. Ta leniwa dziewczucha jednak wcale się nie spieszy. Śpi nad swoim dzbanem. Drzemie, zamiast wziąć się do roboty.

Mokihik skinał na kapłana, by podał mu dzban, ledwo jednak mężczyzna wziął naczynie, rozpadło mu się w rękach.

Nad warsztatem zapadła głucha cisza. Wszyscy z przerażeniem patrzyli na połówki w dłoniach kapłana. Pęknięcie nowiutkiego dzbana, zwłaszcza przeznaczonego dla bogów, przynosiło wyjątkowego pecha. Hoszitiwa również była zszokowana, ale tylko przez chwilę. Błyskawicznie zrozumiała, co się stało.

Lepiąc dzban, hołubiła w sercu złe, samolubne uczucia, które karmiły się jej gniewem i żądzą zemsty. Zamiast dopuszczać tylko dobre i czyste myśli, kierować się dobrem ludu, zbecześciła swoją świętą misję, snując marzenia o śmierci i zniszczeniu. Dlatego dzban pękł. Hoszitiwę nagle ogarnął wstyd i żal.

Może jednak rzeczywiście była *makai-jo*?

W drzwiach pojawił się cień i garncarki padły na klęczki, czołem uderzając o ziemię. Tym razem Hoszitiwa poszła w ich ślady.

Mroczny Pan podróżował na mniejszym tronie, dźwiganym tylko przez sześciu niewolników, ale splendorem po wielokroć przewyższał Mokihika i kapłanów. Na kostkach i nadgarstkach nosił złote bransolety, we włosy miał wplecione srebrne i obsydianowe paciorki. Twarz ukrywał za wielkim wachlarzem z zielonych i niebieskich piór. Zsiadł z tronu. Sandały z najdelikatniejszej skóry, ozdobione srebrem i obsydianem, dotknęły zapylonej podłogi. Powiedział coś do kapłana i mężczyzna chwycił Hoszitiwę za ramię, podnosząc ją z podłogi. Zobaczyła ciemne oczy bacznie przyglądające się jej znad wachlarza i gęste brwi przecięte zmarszczką.

Książę odłożył wachlarz, wyciągnął ręce i kazał podać sobie połówki pękniętego dzbanu.

Przez długą chwilę bacznie przyglądał się obu częściom, najpierw prawej, potem lewej. Unosił je pod słońce, przysuwał do oczu, a wreszcie połączył. Złocisty dzban znów wyglądał jak nienaruszony. Jakal przypatrywał mu się z namysłem. Hoszitiwa myślała, że serce wyskoczy jej z piersi. To pewne, tak zły omen będzie musiała przyłacić życiem. I sama ściągnęła na siebie tę karę.

Wreszcie Jakal kazał Tupie powstać. Wskazał ostry nożyk, który nosiła w pochewce przy pasku, i polecił kapłanowi, by podał go Mokihikowi. Tupie krew odpłynęła z twarzy, gdy kapłan wyjął z pochwy obsydianowe ostrze i podał je dostojnikowi. Mokihik uniósł je ku słońcu, by książę Jakal mógł przyjrzeć się jego krawędzi.

Władca przeciągnął po płaskim ostrzu, potem uniósł palec, by wszyscy zobaczyli ślad jasnopomarańczowego pyłu. Kiedy wytarł palec o pęknięty dzban, pył idealnie się weń wtopił.

Tupa rzuciła się na klęczki.

— Zrobiłam to, by ratować cech, panie! Dziewczyna budziła zazdrość i niesnaski! A my musimy pracować w...

Ostrze jej własnego noża przeszło jej kark. Martwe ciało osunęło się na podłogę. Mokihik wyrzucił sztylet i rozpoczął procedurę mianowania nowej nadzorczy.

— Panie, jeśli wolno? — przerwała mu Hoszitiwa.

Kobiety głośno wciągnęły powietrze, a księżę Jakal spojrział na nią surowo. Ponieważ jednak nie kazał jej ukarać, Mokihik tylko patrzył z dezaprobatą, czekając, aż dokończy.

Dziewczyna poczuła suchość w ustach, serce łomotało jej z przerażenia. Musiała jednak naprawić to, co zepsuła. Owszem, to ręka Tupy zniszczyła naczynie, ale stało się tak z winy Hoszitiwy i jej nieczystych samolubnych myśli. Zrozumiała, że musi wyrzucić z serca gniew, nienawiść i żądzę zemsty, by w pełni poświęcić się świętemu zadaniu, do którego została powołana.

— Ta kobieta zasługuje, by zostać nową nadzorczy, panie — odezwała się, kładąc rękę na ramieniu Jani. — Jest posłuszna bogom i swoim władcom, a przy tym robi najpiękniejsze dzbany w całym Mieście.

Mokihik nadal bacznie jej się przyglądał. Hoszitiwa miała nadzieję, że dostrzeże w jej oczach nową pokorę i zrozumie, iż cicha wojna, jaką mu wypowiedziała — a o której z pewnością tylko ona wiedziała — właśnie się zakończyła.

Dostojnik spojrział pytająco na Jakala, który lekko skinął głową.

Hoszitiwę ogarnęła ulga. Pod opieką Jani łatwiej będzie tworzyć dzbany, które zachęcą bogów do zesłania deszczu na Miasto. Hoszitiwa zaś — już trzecia; ta, która właśnie się narodziła — będzie ze wszystkich sił wspierać ją w tym zadaniu.

Wtedy jednak księżę wyszeptał coś do Mokihika, który z kolei polecił kapłanom, by zabrali dziewczynę. Hoszitiwa z trudem powstrzymała okrzyk przerażenia.

— Błagam, darujcie mi życie! Obiecuję, że sprowadzę deszcz! — zaklinała się.

—Nie zostaniesz zabita, głupia — warknął Mokihiik. — Na razie — dodał na stronie.

Już mieli wychodzić, gdy Jani zatrzymała Hoszitiwę. Ze skórzanej sakwy przy pasku wyjęła swój osławiony kamień do polerowania i włożyła go dziewczynie do ręki.

— Nie mam córek — rzekła — więc po mojej śmierci ten kamień zostałby pogrzebany razem ze mną. Bogowie podarowali ci zwinne palce, Hoszitiwo. Ten kamień, który przez całe życie był moim wiernym i serdecznym przyjacielem, będzie szczęśliwy w twoich dłoniach. Razem sprowadzicie na Miasto deszcz.

Hoszitiwa ucałowała kobietę, życząc, by bogowie błogosławili jej i warsztatowi, po czym odwróciła się, po raz pierwszy od wielu dni czując wewnętrzny spokój. Kiedy jednak poczuła na sobie wzrok księcia Jakala, przeszył ją lodowaty dreszcz strachu.

On wie, że odkryłam święty zagajnik — domyśliła się.

ROZDZIAŁ 10

— Ej, ty! Dziewczyno!

Hoszitiwa podniosła wzrok. Nadworny kucharz trzymał talerz z parującym daniem z pancernika.

— Zanieś to panom.

Rozejrzała się, nie wiedząc, kogo mężczyzna ma na myśli.

— Pospiesz się, bo ostygnie!

Wstała z maty, na której pracowała nad deszczowym dzbanem, wciąż tępo gapiąc się na kucharza. Chyba nie wysyłał jej do prywatnych komnat księcia? W ciągu dwóch tygodni, które minęły od jej przeprowadzki do książęcej kuchni —

a zarazem od egzekucji Tupy i mianowania Jani na jej miejsce — Hoszitiwie pozwalano w spokoju pracować nad lepieniem deszczowych dzbanów.

— Ogłuchłaś? — warknął.

Hoszitiwa słyszała, że w nocy zniknęło dwoje podkuchennych, więc brakowało rąk do pracy. Nieśmiało wzięła talerz i wyrzwała na oświetlony pochodniami korytarz prowadzący z kuchni do książęcych komnat.

— Pospiesz się! — poganiał kucharz, więc przełamała lęk i wyruszyła na zakazane terytorium.

Życie w pałacu w niczym nie przypominało spokojnego warsztatu garncarskiego położonego przy południowym murze, z dala od ośrodka władzy. Garncarki pracowały w odosobnieniu, podczas gdy tu, w labiryncie pokoi i komnat, panowało nieustanne zamieszanie. Korytarzami przebiegali zaafierowani strażnicy, pisarze, tragarze, sprzątaczkę, służba — wszyscy w płaszczach i opaskach ułatwiających określenie ich zawodu oraz rangi. Książę Jakal, jako władca Miasta, zajmował największe komnaty na głównym poziomie, z którego wychodziło się wprost na dziedziniec. Pozostali dostojnicy i najważniejsi urzędnicy, tacy jak starszy pisarz, najwyższy kapłan i nadworny astronom, mieszkali w położonych na niższym piętrze skromniejszych apartamentach niczym tęcza okalających książęcą rezydencję. Mniej ważni urzędnicy otrzymywali pokoje na wyższym poziomie, a służba — przynajmniej ta jej część, która żyła w pobliżu książęcego majestatu — okupowała najwyższe piętro. Pozostali koczowali pod gołym niebem w obozie na równinie u stóp pałacu. Hoszitiwa dzieliła palenisko z podkuchennymi. Było co prawda częściowo zasłonięte drewnianą ścianką, dawało więc jakieś takie poczucie bezpieczeństwa, ale znajdowało się zbyt blisko baraków jaguarów jak na gust dziewczyny. Często słyszała, jak wojownicy oddają się grze w piłkę albo ćwiczą z maczugami bądź dzidami.

Hoszitiwy nikt nie pilnował ani nie nadzorował. Mogła spędzać na lepieniu tyle czasu, ile chciała. Mogła swobodnie się poruszać. Mogła w każdej chwili uciec. Oczywiście myślała o tym. Wystarczyło wmieszać się w tłum kupców i pielgrzymów nieustannie przetaczający się przez Miasto. Zanim ktokolwiek za-

uważyłby jej zniknięcie, już dawno byłaby daleko, wśród obcych, którzy nawet by się nie domyślali, że jest *makai-jo*.

Być może zrobiłaby to, gdyby Jani nie podarowała jej swojego kamienia, a ona nie obiecałaby, że sprowadzi tutaj deszcz.

Wiosenne przesilenie dawno już minęło, a nie spadła ani kropla deszczu. Nikt jednak nie winił za to garncarek ani Hoszitiwy, gdyż deszczowy dzban został zniszczony przez nad-zorczynię, która poniosła karę za swój bezbożny postępek. Teraz lud modlił się o deszcz po następnym przesileniu.

Inna służąca, niosąca dzban z wodą, już szła korytarzem. Hoszitiwa musiała niemal biec, aby dotrzymać jej kroku. Mięso pancernika napęniało jej nozdrza apetycznym aromatem, od którego ślinka napływała do ust. Hoszitiwa rzadko kosztowała mięsa, zwykle było to kilka kęsów królika lub jakiegoś ptaka. Najchętniej zjadłaby całego pancernika i jeszcze wylizała talerz.

Jednakże za okradanie księcia groziła śmierć.

Hoszitiwa widywała go niemal codziennie, od kiedy została przydzielona do kuchni. Już pierwszego dnia Mokihik polecił kucharzowi, by wygospodarował dla niej miejsce, gdzie będzie mogła lepić, i by obok dużych kuchennych pieców w kształcie pszczelich gniazd wybudował dla niej piec garncarski. Księżę Jakal często tamtędy przechodził w drodze na główny dziedziniec. To tutaj Jakal wymierzał sprawiedliwość, zbierał podatki, ustalał wysokość daniny, odwoływał się do praw boskich i ludzkich, rozsądzał spory, a także oskarżenia o bluźnierstwo lub świętokradztwo. Każdego popołudnia służba stawiała tron i rozwijała dywan, a poddani, którzy mieli sprawę do władcy, czekali w kolejce. Ludzie stawali przed Mrocznym Panem z bojaźnią, jego sprawiedliwość bowiem była szybka i bezwzględna. Jeśli uznał człowieka za winnego, karę wymierzano bez zwłoki. Ot, choćby dzień wcześniej — rolnik oskarżony o oddawanie moczu w czasie uroczystości religijnej został uznany za winnego świętokradztwa. Wystarczyło skinienie księcia, by jaguar wystąpił z szeregu i jednym pewnym ruchem pozabawił nieszczęsnego głowy. Dopiero gdy audiencja się zakończyła, a tłum uległ rozproszeniu, rodzina zabitego mogła zabrać z dziedzińca ciało.

Wszelako poddani oczekiwali od Jakala czegoś więcej niż tylko egzekwowania praw i uciszania gniewu bogów. W tych trudnych czasach szukali u niego duchowego wsparcia i otuchy. Kiedy rozeszła się wieść, że jakiś chłop znalazł na polu żywego dwugłowego węża, w Mieście zapanowała panika. Mokihiik kazał mężczyźnie przynieść gada, po czym udał się do pałacu na naradę z najwyższymi kapłanami i księciem. W czasie gdy obradowali, Miasto zamarło. Ustała nawet praca w warsztacie garncarskim. Nad kanionem zawisła cisza. Wszyscy z niepokojem czekali na werdykt. Czy dwugłowy wąż był dobrym czy złym znakiem?

Wreszcie Mroczny Pan pojawił się na dziedzińcu. Lud padł na klęczki, uderzając przed nim czołem. Dostojny Mokihiik ogłosił wyrok. Jego spiżowy głos odbijał się od kamiennych murów, dudnił nad barakami jaguarów, niosąc się po najdalsze zakątki kanionu: dwugłowy wąż to dobry znak. Uradowani ludzie wiwatowali i podniesieni na duchu wrócili do swoich zajęć.

Hoszitiwy jednak nie obchodziło, co dzieje się na ruchliwym dziedzińcu. Nie miała chwili do stracenia. Polecono jej, by na uroczystość zimowego przesilenia przygotowała co najmniej tuzin deszczowych dzbanów. Tym razem nie mogła liczyć na litość. Gdyby nie sprowadziła deszczu, zostałaby złożona w ofierze na ołtarzu krwi.

Teraz idąc ślad w ślad za drugą służącą, mijiała kolejne otwory drzwiowe zasłonięte grubymi kotarami. Nie wiedziała, co się za nimi kryje. Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Hoszitiwa bała się, że zgubi się w tej matni. Wreszcie dziewczyna z dzbankiem zatrzymała się, odsunęła czerwono--żółtą kotarę i weszła do oświetlonej pochodniami komnaty.

Mokihiik i księżę Jakal leżeli na tkanym kobiercu i oparci na łokciu przesuwali pionki po polach namalowanych na trzciniowej macie. Była to gra *patolli*, popularna na południu rozrywka, przyniesiona do Miasta przez Tolteków. Mieszkańcy tak ją polubili, że na wszystkich placach ciągle było słychać grzechot fasolek przemieszany z okrzykami triumfu lub rozpacz. Także ojciec, wujowie i kuzyni Hoszitiwy byli miłośnikami tej zabawy. Często widziała, jak przesuwiają barwne kamyki, rozgrywając przyjacielską — choć zaciętą — partyjkę. Żaden mężczyzna nie wyrusza! w podróż bez swojej planszy do *patolli*. Grało się w nią wszędzie i przy każdej okazji. Taka była siła tej gry.

Stawiając półmisek z mięsem między talerzami ze słodką opuncją, fasolą, dynią i plackami kukurydzianymi oraz dzbanem napełnionym *pulque*, Hoszitiwa ukradkiem rozglądała się po komnacie. Przypatrywała się płonącym pochodniom, kobiercom na ścianach, kwiatom w wazonach, a przede wszystkim mężczyznom, którzy rozbawieni po przyjacielsku rzucali fasolkami i przesuwali pionki. Obaj byli ubrani w bawełniane tuniki i płaszcze, a włosy mieli związane na czubku głowy. Hoszitiwa zastanawiała się, gdzie się podziały piękne kobiety, które widziała w sekretnym zagajniku.

Kiedy prostowała się po postawieniu talerza, Mokihik podniósł wzrok i w jego oczach pojawiło się coś, co ją przeraziło. Dostojnik był starszy od księcia, w jego czarnych włosach pojawiły się już pierwsze siwe pasma. Czas wyrył mu na czole i policzkach głębokie bruzdy nadające jego twarzy ponury wyraz. Może dlatego teraz, gdy patrzył na nią spod przymrużonych powiek, Hoszitiwa poczuła lodowaty dreszcz strachu.

Wiedziała, że Mokihikowi nie spodobała się decyzja księcia o przeniesieniu jej do pałacu. Wyraźnie czytała to w jego oczach, ilekroć na nią patrzył. Uważa, że powinnam była zginąć razem z Tupą — powtarzała sobie w duchu. — Jest przekonany, że rzucam zły urok. W jego obecności nigdy nie czuła się bezpieczna. Wszak to on błyskawicznie, bez cienia wahania wbił sztylet w kark nadzorczy. Mokihik przypominał jadowitego węża — czujnego, zawsze gotowego do ataku. Nigdy nie było wiadomo, kiedy zada następny śmiertelny cios.

ROZDZIAŁ 11

Hoszitiwa nigdy przedtem tyle się nie modliła, choć modlitwy i święte obrzędy stanowiły nieodłączny element życia ludu słońca. Zanosila modły przed snem i po przebudzeniu, pracując, zaklinała bogów, by łaskawym okiem spojrzeli na

jej deszczowe dzbany i sprowadzili nad Miasto upragnione chmury. Przestała snuć marzenia o straszliwej powodzi, która zabije jej ciemżycieli; przestała też nienawidzić Mokihiaka, przez którego stała się *makai-jo*, ponieważ z natury akceptowała swój los i dążyła do zgody ze światem. Często też myślała o Ahotem i swojej rodzinie. Żarliwie prosiła bogów, by jej bliscy zdołali zmyć straszliwe piętno posiadania wyklętej w rodzinie i by los znowu się do nich uśmiechnął.

I tym razem była tak pogrążona w modlitwie, że w pierwszej chwili nie zauważyła zgrabnych nóg, które się przed nią zatrzymały, ani suto zdobionego kraju bawełnianego płaszcza utkanego delikatnie niczym pajęczyna.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami w słońcu, wdychając aromatyczne zapachy dobywające się z pobliskich pieców kuchennych. Wokół niej stały naczynia z kukurydzą, a nad nią wisały warkocze cebuli i papryki. Służba krzątała się po kuchni, nie zwracając uwagi na siedzącą na macie garncarkę. Kobiety meły kukurydzę, otwartą dłonią rozbijały placki, odzierały ze skóry króliki i mieszały sosy bulgoczące w garnkach.

Wokół maty Hoszitiwy leżały naczynia w różnych stadiach zaawansowania — od nieforemnych brył suszącej się gliny po gotowe dzbany czekające tylko na wypalenie. Dziewczyna właśnie modelowała w dłoni nowe naczynie, gdy poczuła, jak czyjś cień zasłania jej słońce. Zmrużyła powieki i spojrzała na stojącą przed nią sylwetkę.

Wszyscy w kuchni krzyknęli spłoszeni i natychmiast padli na klęczki, przyciskając czoła do podłogi. Tylko Hoszitiwa nie drgnęła. Śmiało wytrzymała przenikliwe spojrzenie księcia Jakala.

— Skąd bierzesz tę glinę? — zapytał niecierpliwie, szturchając kosz skórzanym sandałem. Hoszitiwa, która całe życie chodziła boso, nie mogła oderwać wzroku od zdobionego obsydianem buta. — Pytałem, skąd bierzesz tę glinę.

Serce zabiło jej niespokojnie. Czyżby wiedział nie tylko to, że raz wypatrzyła go w jego sekretnym zagajniku? Czyżby domyślał się, że potem znowu próbowała go podpatrzeć i dlatego wróciła w to samo miejsce pod pretekstem szukania gliny, a tak naprawdę po to, by znowu go ujrzeć? Czyżby podejrzewał, że ma już za dużo gliny, bo tak często chodzi po nią do zagajnika w nadziei, że znów go

zobaczy — mimo iż wie, że łamie tabu i że gdyby ją przyłapano, czekałaby ją pewna śmierć?

— Garncarka nigdy nie zdradza swojego źródła — odparła.

Nie lękała się udzielić tak hardej odpowiedzi, ponieważ była to prawda i książę musiał o tym wiedzieć. Jego powieki drgnęły. Spojrzał na nią z nieodgadniwym wyrazem twarzy i Hoszitiwie nagle wydało się, że kuchnia, służba, Miasto i cały świat odpłynęły. Wiedziała, że nie powinna patrzeć na władcę, lecz nie mogła się powstrzymać. Na dwa bicia serca podniosła wzrok i dostrzegła w jego oczach pytanie.

Potem wszystko wróciło na swoje miejsce — kuchnia, służba, hałaśliwe Miasto — a książę bez słowa odwrócił się i wyszedł ze świątą. Kucharze i podku-chenne wstali z klęczek, z dziwnym wyrazem twarzy powiedli wzrokiem po Hoszitiwie, a potem po sobie.

ROZDZIAŁ 12

Zagajnik przestał go radować. Piękne kobiety, barwne ptaki, słodkie owoce, wonne kwiaty — wszystko to zmieniło się w proch.

Jakał nie rozumiał, dlaczego czuje się taki samotny. Wszak nieustannie otaczała go służba, dostojnicy, Mokihik i jaguarzy. Nigdy nie był sam. Skąd więc to poczucie osamotnienia? Miał do swej dyspozycji piękne służebnice bogów. W każdej chwili mógł zażyć z nimi rozkoszy i czasem to robił. Teraz jednak wydawała mu się ona pusta. Fizyczne obcowanie pozbawione radości tylko pogłębiało poczucie opuszczenia.

Obojętnie wybierał z czary orzechy i jagody. Podczas gdy służki śmiały się, śpiewały i grały na instrumentach, Jakal wracał myślami do dzieciństwa spędzonego w Tuli oraz do matki — pięknej i niedostępnej jak bogini. Do dziś pamiętał, jak całował jej pachnący perfumami policzek, a w nagrodę słyszał jej perlisty śmiech. Czasem dostrzegał ją, gdy wraz ze świtą sunęła przez pałac — barwny orszak rozbrzmiewający wysokimi kobiecymi głosami. Kiedy podrósł, zrozumiał, co znaczyła podsłuchana niegdyś rozmowa, gdy matka oznajmiła ojcu: „Spełniłam swój obowiązek wobec ciebie, panie. Dałam ci czterech synów”. Stąd wiedział, że wydanie go na świat i jego samego traktowała wyłącznie jak obowiązek. Akceptował to, ponieważ taka była rzeczywistość. Uważał jednak, że to smutne, i czasem zastanawiał się, czy — jeśli kiedyś spłodzi dziecko — w ten sam sposób będzie traktował swe potomstwo.

Nigdy nie skosztował matczynego mleka. Jak każde książątko został wykarmiony przez mamkę. Dlatego do dziś, wodząc czasem wzrokiem po głównym dziedzińcu Miasta, wypatrywał kobiet z dziećmi. Przywodziły mu na myśl samice zwierząt. Tak jak one nosiły swoje potomstwo, bawiły się z nim, otaczały je miłością i troską. Tu też, podobnie jak w jego rodzinnej Tuli, nieokrzesane i hałaśliwe chłopstwo kręciło się po targowisku. Kobiety trzymały niemowlęta przy piersi, mężczyźni nosili chłopców na ramionach. Traktowali dzieci identycznie jak małpy, jaguary czy papugi swoje młode. My, szlachetnie urodzeni, jesteśmy ponad to — mówił w duchu i głębiej pograżał się w melancholii.

Teraz jeszcze pojawiła się ta dziewczyna, która coraz częściej nawiedzała jego myśli. Hoszitiwa, spod której dłoni wychodziły najpiękniejsze naczynia, jakie widział. A kiedy na niego patrzyła, w jej oczach nie było nieśmiałości. Jej twarz przywodziła mu na myśl księżyc — okrągła, nieskazitelna, jeśli nie liczyć trzech kresek będących znakiem klanu żółwia, jak mu wyjaśniono. Kiedy Jakal zasiadał na tronie, by słuchać skarg i wymierzać sprawiedliwość, wzrokiem szukał jej w tłumie. Czasem widział ją w towarzystwie przyjaciółek. Chłonał wtedy jej śmiech, kołysanie bioder, wolność. Chciał poznać szczegóły jej prostego życia. Jak ludzie żyjący w tak prymitywnych warunkach mogli czuć się szczęśliwi, podczas gdy on, który opływał w dostatki, tonął w smutku?

Podniósł wzrok na błękitne bezchmurne niebo. Czy to przeze mnie deszcz omija dolinę? Informatorzy donosili mu, że lud zaczyna szemrać, obwiniać Tolteków o długotrwałą suszę. Coraz trudniej też było zapanować nad jaguarami — synami bogatych arystokratów. Ich dowódcy mówili otwarcie: trzeba przelać krew na przebłaganie bogów. Sami zresztą mieli ramiona i nogi wymazane krwią po tym, jak — zgodnie z nakazem bogów — nakłuwali ciała kolcami agawy. Także Jakal nosił podobne blizny, a raz w roku przebijał kolcem język — na wylot, aż ból stawał się nie do zniesienia.

Tyle przelanej krwi, a deszcz ciągle nie spadł.

Dlatego kiedy kupcy zaczęli rozpowiadać o dziewczynie, której imię znaczyło „Dziewica, która sprowadza deszcz”, bez wahania po nią posłał. Chciał tylko, by zrobiła to, co do niej należy. Nie spodziewał się, że w niepojęty sposób władnie jego umysłem.

Wiedział jednak, dlaczego tak się stało. O brzasku Ósmego Dnia, kiedy nagi korzył się, czekając nadejścia swojego boga, dziewczyna przyglądała się jego modlitwie. Nikt jeszcze — za życia Jakala ani wcześniej — nie odważył się złamać takiego tabu. Obecność dziewczyny tak go zdumiała, że nie wiedział, co zrobić. Jej gładka okrągła twarz jaśniała w pierwszych promieniach brzasku, a jej podłużne oczy bacznie go obserwowały. Wtedy doznał objawienia. Taka jest wola bogów — zrozumiał.

Lecz czemu to miało służyć? Tego wciąż nie pojmował. Wschodzący na niebie bóg nie poraził dziewczyny. Przeciwnie, Quetzalcoatl pozwolił jej złamać tabu i zachował ją przy życiu. Czy po to, by modlić się o deszcz?

A może znalazła się w Mieście z innego powodu?

Jakal nie znał odpowiedzi, ale jednego był pewien: nie życzył sobie, by natrętnie wdzierała się w jego myśli, pozbawiała go mocy.

Deszcz nie deszcz, trzeba coś z nią zrobić — postanowił.

ROZDZIAŁ 13

—To prawda, że Mroczny Pan do ciebie przemówił?

Hoszitiwa i Jani szły przez targowisko, przystając przy straganach i podziwiając towary, na które i tak nigdy nie było ich stać: wzorzystą bawełnę, skórzane sandały, jadeitowe wisiorki, biżuterię z obsydianu i coś, co fascynowało Hoszitiwę, ponieważ widziała to po raz pierwszy w życiu — morskie muszle. To wszystko były przedmioty, którymi mogły tylko sycić oczy, by potem swoje naczynia wymienić na praktyczne wiklinowe kosze, sól i ubrania z juki.

Zatrzymały się obok jednego z wielu sprzedawców obsydianu, ze względu na swój kolor nazywanego kamieniem nieba. I rzeczywiście mieni! się wszelkimi odcieniami niebieskiego — od błękitu po niemal granat. Czasem miał też zielonkawę zabarwienie lub zdobiły go żyłki. Najcenniejszy jednak był nieskazitelny szafirowy obsydian podobny do jaja drozda. Ogromna wartość tego kamienia brała się stąd, że aby go wydobyć, trzeba było ryć w ziemi dziury — niektórzy powiadali, że tak głębokie, iż zmieściłoby się w nich trzydziestu mężczyzn ustawionych jeden na drugim. Nawet węże ani pieski preriowe nie kopały takich jam. Jak daleko może kopać człowiek, nim wpadnie w przerażająca otchłań przwna-
leżną do innego świata? Nic dziwnego, że niewolnicy nie dożywali późnego wieku, skoro raz za razem — z narzędziami i skórzanymi workami — schodzili w dół szybu po wyciętych w skale stopniach.

Obsydian zawsze cieszył się wyjątkowym wzięciem wśród Tolteków. To właśnie w poszukiwaniu tego kamienia tu przybyli i dotąd kopalnie nie nadały z wydobyciem. Teraz jednak zaczęły krążyć plotki, że imperium Tolteków upadło, ponieważ już od ponad roku z Tuli nie przybywały karawany. Sprzedawcy pró-

bowali upłynnić nadwyżkę obsydianu w Mieście, lecz jego wartość ciągle spadała, co z kolei boleśnie odczuwali handlarze kukurydzą i tkaninami.

Hoszitiwa zerknęła na przyjaciółkę. Jani po śmierci Tupy wyraźnie odżyła; w promieniach słońca tryskała zdrowiem i energią. Incydent z księciem Jakałem miał miejsce zaledwie trzy dni temu, a już wszyscy o tym gadali. Plotki stanowiły bowiem ulubioną rozrywkę ludu słońca. Także w rodzinnej wiosce Hoszitiwy każdego handlarza lub przybysza najpierw usadzano przy ogniu, częstowano *pu-lque* i wypytywano o najświeższe nowiny.

— Zapytał o glinę — wyjaśniła dziewczyna, z zachwytem oglądając okrągłe dzwoneczki wykonane z metalu zwanego miedzią. Na nie również nie było jej stać.

Jani stanęła jak wryta i zdumiona spojrzała na przyjaciółkę.

— Mroczny Pan z a p y t a ł? — wyszeptwała. — Dziecko, książęta nigdy nie pytają.

Przeszły dalej i zatrzymały się obok handlarza sprzedającego miód. Hoszitiwa kosztowała miodu tylko raz, bardzo dawno temu, gdy jej wuj znalazł gniazdo dzikich pszczół i przyniósł je do domu (a po kilku dniach zmarł zatruty przez żądła, które broniące się owady zostawiły w jego ciele). Ponieważ na smakołyk ten można było trafić tylko w lesie, a zdobywało się go z narażeniem życia, stanowił rarytas i kupiec żądał zań złota, a w ostateczności srebra.

Na placu roiło się od ludzi. Ściągali tu z bliska i z daleka, by handlować, spotkać się z przyjaciółmi, plotkować, grać w *patolli*. Starsi wygrzewali się w słońcu i zabawiali dzieci opowieściami. Matki z dziećmi przytroczonymi do pleców targowały się przy straganach. Z pozoru był to dzień jakich wiele, a jednak wyczuwało się podskórny niepokój. Słońce bezlitośnie prażyło, kukurydza marniała na polach. Wszyscy wypatrywali chmur zapowiadających letnie ulewy, lecz niebo było czyste, błękitne.

Wszędzie za to pojawiały się złe znaki.

Ludzie znikali w tajemniczych okolicznościach. Zielone Pióro rozpląnęła się w powietrzu którejś nocy i garncarki były przekonane, że to sprawka jaguarów.

Czyżby potajemnie składali ludzi w ofierze, a ich ciała spożywali? To pytanie zadawali sobie w duchu wszyscy, nawet Jani, która na głos twierdziła, że Zielone Pióro uciekła na zachód, gdzie był jej dom. Aby zrekompensować brak rąk do pracy, wojownicy znów wyruszyli do osad i chwyтали jeńców, jak wiosną gdy Hoszitiwa stała się częścią ludzkich żniw. Tym razem jednak Iowy były mniej udane, większość jeńców nie przeżyła wycieńczającej wędrówki.

Były też inne znaki, związane z samymi Toltekami. Wszyscy zauważyli, z jakim niepokojem dostojnicy wypatrują posłańców z południa, przynoszących wieści z ich stolicy odległej o wiele miesięcy, położonej w rajskiej krainie, którą tolteccy służący opisywali jako pełną drzew i kwiatów, rzek i jezior oraz wszelkiej zwierzyny. Hoszitiwa dowiedziała się od nich, że wiele pokoleń temu, kiedy w Mieście pojawili pierwsi *tlatoque*, w dolinie nie brakowało drzew ani zwierzyny. Dlatego Toltekowie osiedlili się tu i podbili lud słońca.

Teraz jednak już od dwóch pokoleń deszcz omijał dolinę i ludzie obawiali się, że nigdy tu nie wróci. Szeptano, że to znak, iż panowie powinni wrócić do swej krainy na południu. Książę Jakal i jego dostojnicy z coraz większym niepokojem wyglądali posłańców z wieściami z Tuli, bowiem dotarły ich uszu pogłoski o trwających tam walkach. Mówiono, że nawet toltecka służba księcia ucieka nocą, by wesprzeć rodziny w obleganym mieście piramid.

Hoszitiwa i Jani przystanąły przy straganie z medykamentami i kościanymi kolczykami.

— Powiedz, dziecko — odezwała się cicho starsza kobieta — czy to prawda, że panowie jedzą indyki?

Dziewczyna nie chciała niepokoić przyjaciółki, ale musiała potwierdzić, że tak rzeczywiście jest. Jani cmoknęła z oburzeniem. Indyki były cennymi stworzeniami hodowanymi dla jaj i piór. Lud słońca spożywał je tylko w ostateczności, bowiem zjedzony indyk nie mógł już składać jaj ani dawać piór, które tak cenili.

Zaiste wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że bogowie odwrócili się od Miasta.

Rozległy się dźwięki trąby zapowiadające nadejście władcy. Wszyscy jak jeden mąż upadli na kolana, przyciskając czoła do rozpalonej ziemi. Następny sygnał oznaczał, że mogą powstać i ze spuszczonym wzrokiem słuchać orzeczeń księcia. Wojownicy wzrokiem przeczesywali tłum, upewniając się, że żaden śmiałek nie odważy się złamać prawa, patrząc na Mrocznego Pana. Mając ciągle w pamięci wcześniejsze egzekucje i widok gnijących ciał na północnym murze, Hoszitiwa zastanawiała się, jaki straszny los spotka nieszczęśników przyprowadzonych dziś przed oblicze Jakała.

Mokihik nakazał ciszę, po czym skryba odczytał z kory sprawę, z jaką przybyli do księcia dwaj mężczyźni. Chłop oskarżał sąsiada o zabicie psa. Pies stanowił cenną własność, bowiem nadawał się do polowania, ostrzegał przed niebezpieczeństwem, chronił gospodarzy i wreszcie stanowił pożywienie. Mężczyzn przyprowadzono przed oblicze Jakała. Pokrzywdzony przemówił, nie podnosząc wzroku na władcę.

— Panie, to była młoda suka, zdrowa i tłusta. Mogła wydać na świat wiele szczeniąt. Niech sprawca da mi pięć narzut z piór, bo tyle był wart mój pies.

— Panie — odparł na to sąsiad — przyznaję się do winy. Zabiłem psa tego człowieka, ale to był wypadek. A suka wcale nie była tak młoda i zdrowa, jak powiada. Była stara i wychudzona i wkrótce by zdechła. Nie jest warta nawet jednej narzuty, a co dopiero pięciu.

Obaj mężczyźni przywołali świadków, którzy mieli potwierdzić prawdziwość ich słów. Trzej przyjaciele pokrzywdzonego oświadczyli, że pies zaiste wart był pięciu koców. Winowajca jednak przedstawił również trzech przyjaciół. Ci z kolei mówili, że chłopu nie należy się żadne odszkodowanie. Obie strony zaczęły się wyklócać i grozić sobie pięściami. Napięcie rosło. Hoszitiwa czuła, że zaraz dojdzie do bójki. Wojownicy bacznie obserwowali sytuację, mocniej zaciskając ręce na dzidach.

—Gdzie jest truchło? — zapytał Jakał.

—Skoro suka i tak była martwa — odparł chłop — nie mogliśmy pozwolić, by się zmarnowało, i zjedliśmy je, panie.

Wydawało się, że sprawa jest nie do rozstrzygnięcia. Tłum czekał w pełnym napięciu milczeniu, a władca zadumał się, szukając rady w swym umyśle. Wreszcie przemówił do pokrzywdzonego.

—Zatrzymałeś zęby i kości?

—Tak, panie — odrzekł chłop. Z kości psa robiono bowiem narzędzia, a z zębów naszyjniki.

—Każdy wie, że zęby młodego psa są białe i silne, podczas gdy zęby starego są żółte i słabe. Przynieś zęby swojej suki — orzekł Jakal. — Jeśli będą białe, ten człowiek będzie musiał dać ci pięć narzut z piór. Jeśli będą żółte, sprawę uznamy za zamkniętą.

—Tak uczynię — powiedział chłop i zaczął się wycofywać.

—Panie, nie musisz posyłać po zęby! — zawołał drugi. — Dam mu pięć narzut z piór.

Mroczny Pan rozsądził jeszcze cztery spory, po czym wraz z orszakiem udał się do swoich komnat. Tłum rozproszył się i wrócił do swych zajęć, ale Hoszitiwa stała w miejscu, patrząc na plecy Jakala. Kiedy w progu odwrócił się i powiódł wzrokiem po zalanym słońcem dziedzińcu, zobaczyła w jego oczach coś, co ją uderzyło, a czego wcześniej nikt inny nie dostrzegł: możny i potężny książę czuł się samotny.

ROZDZIAŁ 14

Lato dobiegało końca, a lud z coraz większym niepokojem wyglądał deszczu. Potrzebowała go przede wszystkim kukurydza, której wysuszone liście błagały o

błogosławieństwo z nieba. Na dziedzińcu rozpoczęły się tańce przywołujące deszcz. Miały potrwać bez przerwy przez wiele dni, doprowadzając uczestników do krańcowego zmęczenia.

Hoszitiwa starała się nie chodzić do zagajnika, ale to było silniejsze od niej. Nieustannie widziała księcia Jakala — w snach, w glinie, którą wyrabiała — a wiatr przynosił melodię jego głosu. Od dnia, gdy rozstrzygnął sprawę zabitego psa i dostrzegła w jego oczach samotność, nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Jak to możliwe, by człowiek obdarzony takim bogactwem — który miał władzę nad ludźmi i bogami, którego każde życzenie i najmniejszy kaprys natychmiast spełniano, któremu przez cały dzień towarzyszyli dostojnicy, gwardia i przyjaciele — odczuwał samotność?

Zakradła się i zerknęła przez listowie. Znowu czeka! ją zawód. Po raz kolejny w zagajniku nikogo nie było. Czyżby księżę przyszedł tam tylko ten jeden raz, wtedy gdy zobaczyła go w towarzystwie tamtych pięknych kobiet?

Wtem usłyszała chrząknięcie.

Za plecami!

Odwróciła się i spojrzała prosto w smutne oczy księcia Jakala. Serce zakołatało jej w piersi. Brązowa skóra mężczyzny lśniła w słońcu, bransolety na nadgarstkach, kolczyki, naszyjnik i ozdoby wpięte we włosy mieniły się złotem. Płaszcz i tunika miały odcień głębokiego błękitu.

Hoszitiwa padła na kolana i ramionami zasłoniła głowę.

— Wybacz, panie! — zawołała. — Nie wiedziałam, że to święte miejsce! Nie wchodziłam tam! — Podniosła głowę. — Tylko patrzyłam.

W jego oczach ukrytych pod gęstymi brwiami dostrzegła rozbawienie.

—I cóż takiego zobaczyłaś? — spytał, gestem ręki nakazując, by powstała.

—Niezrównane piękno...

Na jego twarzy zagościła melancholia.

—Kiedy przybyliśmy do Miasta — powiedział — odkryliśmy, że bardzo się różni od naszej krainy na południu, więc stworzyliśmy ten zagajnik, by uradować naszych bogów.

—Panie, nie przychodziłam tu, by podglądać. Potrzebowałam więcej gliny — wyjąkała. — Sądziłam, że będzie...

—Więcej gliny? — powtórzył.

Wiedziała, że pił do pełnych koszy, które widział na dziedzińcu przy kuchni. Choć jego wzrok budził w niej lęk, głęboko wciągnęła powietrze, zadarła brodę i oświadczyła:

— Nakazałeś, panie, bym zrobiła tuzin dzbanów. Na to trzeba wiele gliny.

W jego oczach znowu błysnęło rozbawienie,

— Skazesz mnie na śmierć, panie?

Przechylił głowę na bok i popatrzył na nią z uznaniem.

— Raczej nie. Skoro znajduje się tu święta glina, bogowie nie mają nic przeciwko temu, byś po nią przychodziła. Nie możesz jednak postawić stopy w zagajniku, bowiem jest on ich świętym miejscem.

Nad nimi pojawił się jaskrawozielony ptak i ku zdumieniu Hoszitiwy sfrunął prosto na wyciągnięte ramię władcy.

— Nazywa się Czi Czi — powiedział Jakal, gładząc papugę po łebku. — Wychowałem ją od pisklęcia. Śmiało — zachęcił, by ją pogłaskała.

Nieśmiało wyciągnęła rękę, nie odrywając wzroku od jej masywnego zakrzywionego dzioba. Kiedy musnęła łebek papugi, ta natychmiast do niej przywarła. Dziewczyna gładziła na wpół oswojone stworzenie, pod gładkim upierzeniem wyczuwając dzikość. To zaś natychmiast skierowało jej myśli ku mężczyźnie, na którego ramieniu siedziała papuga.

Kiedy Jakal patrzył, jak Hoszitiwa delikatnie muska łebek ptaka, na jego twarzy znów zagościła melancholia. Dziewczyna zrozumiała, że ma do czynienia z kapryśnym mężczyzną o zmiennym usposobieniu. Przywodził na myśl rzekę,

która z daleka wydaje się stała i niewzruszona, z brzegu jednak widać jej rwący nurt i zmieniające się barwy. Dopiero kiedy się do niej wejdzie, odczuwa się jej moc i potęgę. Książę Jakal był jak owa rzeka.

Hoszitiwa nie pojmowała, jak kiedyś mogła uważać go za wcielenie zła.

Tyle pytań cisnęło jej się teraz na usta. Dlaczego niewolił lud słońca? Czemu pozwolił, by jaguar ściał nieszczęsnego starca — tylko dlatego, że jakaś dziewczyna za wolno wychodziła z kryjówki? Dlaczego skazał na okrutną śmierć biednego Beznosego, który głosił jego chwałę?

Rozległ się jednak chrzęst ziemi i w wąwozie pojawił się Mokihik w otoczeniu czterech jaguarów.

— Wszędzie cię szukaliśmy, panie — oznajmił z marsową miną.

Jakal westchnął, jakby niechętnie wracał do swych obowiązków *tlatoani* Miasta.

Odeszli, zostawiając Hoszitiwę przy zagajniku. Tylko Mokihik jeszcze się obejrzał, posyłając jej jadowite spojrzenie.

ROZDZIAŁ 15

Zbliżał się dzień jesiennego zrównania dnia z nocą. Od wielu dni trwały uroczystości i rytualne tańce. Teraz zaś nadeszła pora, by zgromadzić zapasy żywności na zimę. Z przeredzonych lasów w pobliżu Miasta dawno zniknęła gruba zwierzyna. Setki lat temu mieszkańcy mogli polować na jelenie i górskie owce, teraz musieli zadowolić się królikami.

W łowach uczestniczyli wszyscy — od naj nędzniej szego niewolnika po najwyższego *tlatoani*, czyli w tym wypadku księcia Jakala. O brzasku wszyscy zgromadzili się na północnym krańcu kanionu, gdzie zwiadowcy wypatrzyli liczne króliki. Ludzie ustawili się w rzędach i ruszyli, z podnieceniem myśląc o nadchodzącej uczcie. Pierwsze szły dzieci, kijami rozgarniając krzaki i nory, krzykiem i tupotem wypłaszając zwierzynę. Za nimi kroczyli młodzieńcy uzbrojeni w dzidy i łuki. Oni mieli za zadanie zabić króliki spłoszone przez dzieci. Następnie podążali starsi mężczyźni z zaostrzonymi kijami i toporami. Ostatni szereg zaś stanowiły kobiety z koszami.

Ta armia myśliwych początkowo statecznie przesuwała się na południe, lecz gdy z nor zaczęły czmychać spłoszone króliki, gryzonie, pieski preriowe, węże i jaszczurki, ludzi ogarnęło szaleństwo. Rozgorączkowani polowali na wszystko, co zobaczyli. Żadne zwierzę nie było bezpieczne — nawet ptaki, w które godzili kamieniami i strzałami. Młodzi myśliwi biegli pochyleni, przebijając dzidami wszystko, co się ruszało. Jeśli jakieś stworzenie ukryło się w zagłębieniu, starsi mężczyźni wyciągali je i dobijali. Truchła zostawiali kobietom, które podnosiły zakrwawione szczątki i wrzucały je do kosza. Wąwóz huczał od ryków ludzi i przeraźliwego pisku zaszczutych zwierząt. Biegając wraz z kobietami i wrzucając do koszyka zabite króliki, a żywe rozgniatając stopami, Hoszitiwa czuła, jak jej dusza wzbija się ku niebu z radości, że może uczestniczyć w tak zacnym wspólnym wysiłku. Serce w niej rosło na myśl o wieczorze spędzonym na ucztowaniu i napełnianiu pustego żołądka.

Do tego jeszcze zobaczyła księcia Jakala. Stał nad wąwozem i w strojnych kapłańskich szatach zrobionych z karma-zynowych piór papugi, w imponującym szmaragdowym pióropuszu, z ramionami wyciągniętymi ku niebu zanosił nieustanne modły o obfite łowy.

Wieczorem, gdy słońce znikało za horyzontem, dolina wciąż rozbrzmiewała radosnymi krzykami myśliwych oprawiających zwierzynę, piekących mięso i gotujących wnętrzności. *Pulque* lało się strumieniami. Pijani ludzie tańczyli do wóru bębnow i piszczałek albo kopulowali jak zwierzęta. Mroczny Pan z wysokości tronu obserwował tę powszechną radość. Strzegący go wojownicy mieli twarze wysmarowane krwią, ponieważ jedli tylko surowe mięso.

Następny ranek przywita! ludzi głuchą ciszą, bowiem w dolinie nie zostało się żywe stworzenie. To co nie zostało zjedzone, poddano obróbce. Mięso było suszone, z kości robiono narzędzia i broń, ze ścięgien — cięciwy, a z piór i sierści nowe ubrania i koce. Dzioby, zęby i szpony przeznaczano na amulety, talizmany i ozdoby. Nic się nie zmarnowało. Mieszkańcy doliny szykowali się do nadchodzącej zimy.

Nikt jednak nie odważył się nawet szeptem wypowiedzieć tego, co wszystkim ciążyło na sercu: tegoroczne łowy były mniej obfite niż poprzednie, a tamte — mniej niż wcześniejsze. Już teraz wiedzieli, że w przyszłym roku będą niewystarczające.

ROZDZIAŁ 16

Trzy dni przed zimowym przesileniem Gwiazda Poranna zniknęła. Toltekom wierzyli, że ich bóg Quetzalcoatl zstąpił do świata podziemnego, gdzie będzie przebywał przez pięćdziesiąt dni, nim znów pojawi się na niebie jako Gwiazda Wieczorna. Przez pierwsze dni po zniknięciu Gwiazdy Porannej Hoszitiwa dziwnie się czuła, co dzień o brzasku nie widząc na płaskowyżu sylwetki księcia Jakala oddającego hołd swojemu bogu. Przywykła do tego widoku, podnosił ją na duchu, wzbudzał wiarę, że dopóki *tlatoani* wita brzask, w Mieście wszystko będzie dobrze.

Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że brakuje jej również widoku samego mężczyzny i że księżę Jakal stał się dla niej kimś więcej niż władcą.

I oto nadeszła wigilia zimowego przesilenia. Minęło pół roku od dnia, gdy Tupa zniszczyła niezwykle złociste naczynie Hoszitiwy, ściągając gniew bogów na całe Miasto. Dlatego garncarki z niepokojem przyjęły wizytę Mokihika i kapłanów Tlaloca. W warsztacie już czekało dwanaście miodowozłotych desz-

czowych dzbanów Hoszitiwy postawionych razem z biało-czarnymi naczyniami jej sióstr z cechu.

Mokihik z kapłanami bacznie oglądali każde naczynie, upewniając się, czy nie ma jakichś rys lub niedociągnięć, które obraziłyby bogów. Nie wybrali wszystkich dzbanów Hoszitiwy, lecz tylko te najrówniej wybarwione, odrzucając mieniające się wieloma odcieniami, od złota po bladą czerwień. Pomalowani na niebiesko kapłani grali na piszczałkach z ludzkich piszczeli i modlili się, wybierając naczynia, po czym z wielką ceremonią wystawili je w obecności ludu na dziedzińcu.

Hoszitiwa ułożyła się do snu na swojej macie przy kuchni. Całą noc drżała. Nie z zimna — choć noc była lodowata — lecz ze strachu. Do zachodu słońca na niebie nie pojawiła się najmniejsza chmurka. Bała się, że jedna noc nie wystarczy, by niebo zaciągnęło się i rozpląkało nad Miastem.

Nazajutrz wszyscy po przebudzeniu niecierpliwie nasłuchiwali, po czym z niepokojem wynurzali się spod koców i nieśmiało wyglądali, by sprawdzić, czy bogowie wciąż ignorują ich błagania. Kiedy pierwsze promienie słońca pojawiły się nad płaskowyżem, ludzie ze zdumienia przecierali oczy.

Czy ich wzrok myli? Miasto stało się białe.

Otulony w ciepły płaszcz z futra i piór Mroczny Pan wyszedł na dziedziniec i powiódł wzrokiem po dolinie. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, biel. Nad kanionem wzeszło słońce, oświetlając białe głązy i krzewy, białe zbocza, białe tarasy i schody Miasta.

To nie był śnieg, tylko szron.

— To za mało, książę — odezwał się z namaszczeniem Mokihik. — Naczynia nie sprowadziły ani deszczu, ani śniegu. Bogowie są zagniewani. Musimy przywrócić równowagę.

To mówiąc, wskazał kamienny ołtarz na środku dziedzińca, który od wielu miesięcy nie pił ludzkiej krwi. Jakal domyślał się, kogo dostojnik zamierza złożyć w ofierze.

— Słusznie prawisz, przyjacielu. To nie jest deszcz ani śnieg — przyznał — ale szron. A szron oznacza wilgoć. Dla mnie to wyraźny znak, że bogowie zaczynają patrzeć na nas z przychylnością i wkrótce w naturze zapanuje równowaga.

Choć zgromadzony na dziedzińcu tłum nie miał powodów do ekstatycznej radości, słowa księcia obudziły w sercach wszystkich nadzieję, że bogowie jednak nie opuścili Miasta.

Stojąca z garncarkami Hoszitiwa poczuła, że w jej serce także wstępuje otucha, ponieważ rano, gdy obudziła się z niespokojnego snu, odkryła w sobie coś nowego. Oto bowiem narodziła się w niej więź z Miastem. Czyżby — myślała z nadzieją — dokonał się cud i przestała być *makai-jo*?

ROZDZIAŁ 17

Minał następny cykl księżycy, a deszcz ciągle nie spadł. Teraz zaś dobiegało końca pięćdziesiąt dni oczekiwania. Za trzy dni miała pojawić się Gwiazda Wieczorna.

Na mieszkańców Miasta padł strach, zbliżał się bowiem czas uczty z ludzkiego mięsa i kukurydzy. Wojownicy już od wielu nocy nie spali, tylko tańczyli przy ogniskach, a teraz paradowali po placu strojni w skórę jaguarów i pióropusze, dzierżąc w dłoniach dzidy i maczugi. Ich przeraźliwe ryki budziły powszechny lęk. Poprzedniej nocy też tańczyli wokół ognia, uderzając w tarcze i przenikliwym piskiem witając gwiazdy. Kiedy wstał świt, ustawili się w szyku przed kapłanami, odebrali błogosławieństwo i z tupotem rozbiegli się po dolinie.

Na ich widok ludzie odwracali plecy i głośno lamentowali. Hoszitiwa wiedziała, że zbliża się rzeź oraz rytualna uczta.

Wojownicy wrócili po trzech dniach, najadłszy się do syta. Dowodem powodzenia wyprawy były ludzkie czaszki na drewnianych ścianach ich baraków. Wyruszyli na południe, gdzie nie brakowało deszczu i spożywali ludzi pobłogosławionych opadami.

Hoszitiwa spodziewała się, że księżę Jakal wyruszy wraz z jaguarami, on jednak został w mieście. Założyła więc, że wojownicy przywiozą mu jego porcję ludzkiego mięsa. Tymczasem uroczystości odbyły się pod nieobecność jaguarów. W ten sposób Hoszitiwa dowiedziała się, że księżę ani Moki-hik, ani żaden z Tolteków mieszkających w Mieście nie jest kanibalem.

To odkrycie sprawiło, że jej fascynacja władcą — a także kiełkujące uczucie do niego — rosły i rozkwitały.

ROZDZIAŁ 18

Ktoś ją obserwował.

Nie potrafiła określić, skąd to wie. Nie miała dowodów. Nie przyłapała nikogo. A jednak gdy pochylona zbierała świętą glinę, wiedziała, że ktoś — albo coś — jej się przygląda.

Wyprostowała się i rozejrzała. Przez gałęzie nad wąwozem prześwitywało popołudniowe słońce. Kilka wiosennych kwiatów nieśmiało przebijało się na dnie zagłębienia w skałach, gdzie w porze deszczowej powstawałaby sadzawka,

a które od lat nie napełniło się wodą. Nikogo nie było widać. A mimo to czuła wyraźnie, że ktoś na nią patrzy.

Duch? Na tę myśl ciarki przebiegły jej po krzyżu. Ale czy duchy chodzą po świecie także za dnia?

Modliła się, by obserwator nie okazał się złym duchem, ponieważ oddawała się świętemu dziełu. Po powrocie Gwiazdy Wieczornej świecącej jasno na zachodnim niebie Miasto odzyskało swój duchowy rytm. Znowu odbywały się nabożeństwa ku czci licznych bóstw czuwających nad ludźmi. Hoszitiwa uparcie lepiła kolejne deszczowe dzbany. Nadchodziło letnie przesilenie, a wraz z nim ożywała nadzieja na deszcz.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że odwiedzając sekretny zagajnik, łamie tabu i gdyby została przyłapana, nie uniknęłaby śmierci, a mimo to ciągle tu wracała. Tym razem faktycznie potrzebowała gliny, miała więc prawo wspiąć się po zboczu wąskiego wąwozu. Wszakże napełniwszy kosz, nie potrafiła się zmusić, by wrócić prosto do Miasta. Ścieżka wiodąca do zagajnika zdawała się przywoływać ją do siebie.

Chciała zrozumieć, dlaczego nie potrafi wyrzucić z myśli księcia Jakala.

Zakradła się do świętego zagajnika, uważając jednak, by nie podejść za blisko. Choć ludzie nie zobaczyliby tego świętokradztwa, bogowie — owszem. Zajrzała przez krzewy i na chwilę oślepiły ją złociste promienie.

Potem go zobaczyła. Stał wśród kwiatów, na sobie miał tylko przepaskę biodrową. Jego ciało lśniło w blasku słońca.

Wstrzymała oddech i zakradła się bliżej. Zamrugła. Coś jej się nie zgadzało. Włosy Jakala były krótkie, obcięte nieco nad linią brody. I wydawał się szczuplejszy. Nie odrywała od niego oczu, gdy krążył, podziwiając kwiaty. Dopiero kiedy wyszedł z oślepiającego słońca, zrozumiała, że to wcale nie jest książę. Ahote!

Z jej ust wyrwał się krzyk zdumienia. Mężczyzna odwrócił się zaskoczony, a zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

—Ukochana! — zawołał, wyciągając ramiona,

—Ahote, wyjdź stamtąd! Szybko.

—Spójrz na te kwiaty! Podejdź tu, Hoszitiwo, lękaj się!

—Ahote, to jest miejsce święte.

—Co? — spytał zdumiony.

— Tu mieszkają bogowie!

Natychmiast opuścił zakazane miejsce i ponownie wyciągnął do niej ramiona. Ona jednak, choć uradowana jego widokiem, odskoczyła.

—Zapominasz, że jestem *makai-jo*?

—Właśnie że nie jesteś! — krzyknął z żarem, który tak dobrze pamiętała. — Dwa cykle księżycowe temu stryj przywiózł do Miasta naszą daninę kukurydzy i pytał o ciebie. Wszyscy mówili o dziewczynie z północy lepiącej zachwycające deszczowe dzbany. — Spoważniał i zniżył głos. — Po tym jak cię zabrali, w osadzie nastąpiły czarne czasy, Hoszitiwo. Twój ojciec zmarł. Jego duch nie udźwignął ciężaru przekleństwa i serce przestało mu bić. Daremnie próbowaliśmy o tobie zapomnieć. Klątwa rzucona na ciebie była niesprawiedliwa. Poza tym rzucili ją obcy, którzy służą innym bogom. Modliliśmy się za ciebie, Hoszitiwo, a kiedy stryj powiedział, że nie zostałeś zabrana do pałacu *tlatoani*, tylko mieszkasz z garncarkami, zrozumieliśmy, że tamten dostojnik nas okłamał.

—Skąd się tu wzięłeś? — spytała, sycąc oczy widokiem⁰ rok starszego i bardziej doświadczonego narzeczonego, którego jak sądziła, miała już nigdy nie zobaczyć.

— Byłem taki nieszczęśliwy! — wybuchnął. — Cały czas wrywałem się do Miasta, by cię szukać, ale wszyscy powtarzali, że nie żyjesz. Ja jednak nie wierzyłem. Czuję, że żyjesz, najmilsza. Po prostu wiedziałem, że wciąż oddychasz. Byłem tak zrozpaczony, że nawet nie potrafiłem już opowiadać dziejów naszego plemienia, opisanych na murze pamięci. Musiałem albo cię odnaleźć, albo poznać straszną prawdę o twoim losie. Przybyłem tu dla dobra naszego plemienia.

Potem wyjaśnił, że pierwsze kroki skierował do cechu garncarskiego, bo tam rozum nakazywał sprawdzić najpierw, i usłyszał, że Hoszitiwa poszła po glinę.

— Kobieta imieniem Jani powiedziała, gdzie to jest. I rzeczywiście znalazłem cię.

Hoszitiwa ucieszyła się, że kiedyś zwierzyła się starszej przyjaciółce. „Na wypadek, gdyby coś mi się stało” — powiedziała jej któregoś dnia — „muszę ci zdradzić, gdzie szukać złocistej gliny”. Zmilczała jednak o sekretnym zagajniku i o obrzędach, jakie odprawia tam ksiązę Jakal.

— Ucieknij ze mną — poprosił impulsywnie Ahote. — Ukryjemy się gdzieś, gdzie nie znajdzie nas Mroczny Pan ani jego gwardia.

Rok temu bez namysłu rzuciłaby koszyk i zbiegła razem z nim. Lecz teraz...

— Dałam słowo, że sprowadzę do Miasta deszcz. Młodzieńcza twarz jej narzeczonego pociemniała.

— Deszcz nie spadnie, Hoszitiwo. Wszyscy o tym szepczą. Kupcy, którzy przybyli do naszej osady, mówili, że mijali opuszczone wioski. Lud słońca ma dość życia w strachu. Całe rodziny uciekają na północ i na wschód, gdzie żaden człowiek jeszcze nie postawił stopy. Gdzie Mroczni Panowie nie mogą ich uściskać. Ucieknij ze mną. Będziemy szczęśliwi.

Ucałowała jego policzki, brodę, usta. Łzy płynęły jej po twarzy. Wyciągnęła ramiona i z całej siły uściskała chłopca, którego kochała od najmłodszych lat. Jej serce jednak myślało o innym. Uczucie, którym darzyła Ahote, w niczym nie przypominało gwałtownych, przeciwstawnych emocji, jakie budził w niej ksiązę Jakal. Nie wiedziała nawet, czy można nazwać je miłością. Była o rok starsza, ale wcale nie mądrzejsza. Nie miała pojęcia, jak postąpić. Nagle twarz chłopaka poszarzała.

— Co się stało? — spytała Hoszitiwa i od razu zrozumiała.

Nie byli sami.

Za nią stał Mokihik z dwoma jaguarami. Teraz wiedziała, skąd wcześniejsze uczucie, że ktoś ją obserwuje. Ktoś śledził ją i doniósł Mokihikowi.

Hoszitiwa i Ahote padli na kolana.

— Litości, panie — błagała dziewczyna. — Nie weszliśmy do świętego miejsca.

Na te słowa Mokihik tylko wyciągnął rękę i wskazał chłopca. Ahote trzymał w dłoni zakazany kwiat — żółtą aksamitkę dopiero co zerwaną z ogrodu poświęconego bogom. Na to onieśmielający samą posturą wojownik, z twarzą pomalowaną w pasy i cętki, okryty skórą jaguara, uzbrojony w maczugę i dzidę, w trzech susach dopadł do winowajcy, chwycił go za włosy i szarpnął do góry.

— Jutro bogowie wypiją twoją krew — warknął do Aho-tego Mokihik, po czym odwrócił się do Hoszitiwy i wskazał na ziemię. Laską rozgarnął liście i odsłonił zakrwawione szczątki lisa. — Czego górski lew nie pożre, zasłania w ten sposób, a potem przychodzi i dojada. Z pewnością wróci na żerowisko dziś wieczorem. I spotka go niespodzianka. Zastanie bowiem znacznie smakowitszy kąsek niżli marny lisek.

Hoszitiwa daremnie próbowała się wyrwać oprawcom, którzy powlekli ją do młodej osiki. Cisnęli ją na ziemię i przywiązali do drzewa, krępując dłonie za plecami tak mocno, że konopny szur wrzynał się w nadgarstki. Mokihik stanął nad nią. W jego oczach nie widziała złości ani satysfakcji, tylko pustkę.

—Potrzebujecie mnie do sprowadzenia deszczu — wycharczała.

—Do tej pory go nie sprowadziłaś. Naprawdę musisz być *makai-jo*. Jutro bijące serce tego chłopca uraduje bogów. Dopiero ono sprowadzi do Miasta deszcz.

Bezradnie patrzyła, jak znikają w wąwozie. Ahote potykał się, bo ciągle oglądał się na nią z przerażeniem w oczach. Hoszitiwa szamotała się, próbując uwolnić się z więzów. Lina była jednak mocna, a węzeł skomplikowany. Próbowała go rozluźnić: dysząc z wysiłku, poruszała dłońmi, naprężała mięśnie, unosiła ramiona. Wszystko na nic.

Kiedy zaszło słońce i zapadł zmrok, otoczyły ją budzące przerażenie odgłosy duchów, zjaw i istot nadprzyrodzonych, które ożywały tylko nocą. Dziewczynie wydawało się, że za każdym krzakiem i głazem czyha nieprzyjaciel, a każdy cień i ruch to demon.

A potem — gdy na czarnym niebie wzeszedł wiosenny księżyc — z oddali dobiegło dudnienie werbli. Uroczyste, dostojne, rytmiczne. Mieszkańcy Miasta rzadko je słyszeli, lecz wiedzieli, co oznacza. To kapłani szykowali się do najświętszego obrzędu. Hoszitiwa słyszała, że najpierw poszczą i okaleczają się, przebijając sobie języki kolcami agaw, by przed złożeniem właściwej ofiary przelać własną krew.

Ahote! Co mu uczynią? Od kiedy tu zamieszkała, w Mieście złożono tylko jedną ofiarę na ołtarzu krwi — dziecko, które urodziło się niewidome. Wyrwane z jego piersi serduszko trzepotało tylko przez chwilę, a potem zamarło. Mimo to kapłani oznajmili, że ofiara ucieszyła bogów, ponieważ serce dziecka było czyste.

Hoszitiwa wiedziała, że zanim wyrwą Ahotemu serce i jeszcze bijące pokażą ludowi, będą musieli go oczyścić. A tego można dokonać tylko poprzez...

Wstrzymała oddech i nastawiła uszu.

Gdzieś niedaleko skradał się wielki kot!

Ze zdwojoną siłą zaczęła się szamotać, próbując się uwolnić, choć zdawała sobie sprawę, że krew, która popłynie z jej nadgarstków, tylko przyciągnie bestię. Zaparła się piętami, usiłując wyrwać młodziutką osikę, lecz korzenie mocno trzymały drzewko.

Kot zbliżał się coraz bardziej. Hoszitiwa słyszała jego gardłowy pomruk, gdy wyczuł jej woń, a potem miarowy trzask gałązek przygniatanych przez potężne łapy.

Jej przerażenie rosło. Pot spływał jej po plecach. Serce łomotało.

Błagam — zaklinała w duchu swoich bogów, wijąc się i kręcąc. Szorstka kora raniła jej plecy, nadgarstki paliły z bólu. — Błagam! Ratujcie mnie!

Wtem poczuła coś na dłoniach. Mrówki? Coś szarpało i skubało jej nadgarstki. Próbowwała zobaczyć, jaka bestia zaatakowała ją od tyłu, gdy równocześnie z przodu zbliżał się drapieżny kot, jednakże widziała tylko ciemne okrągłe kamienie.

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. W oddali werble. Coraz bliżej — gałązki trzaskające pod masywnymi łapami.

I coś przy jej nadgarstkach. Coś miękkiego, upartego.

Nagle więzy spadły jej z rąk. Zerwała się błyskawicznie i obejrzała. Przy osice stał żółw, spokojnie przeżuwając sznur. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Od przybycia do Miasta nie widziała ani jednego żółwia — opiekuńczego ducha jej plemienia. Lecz oto nagle znalazł się tutaj. Wynurzył się ze swojego zimowego legowiska i znalazł Ho-szitiwę uwięzioną w wąwozie. Po ciemku doczłapał do osiki, odszukał jej dłonie i przegryzł sznury, nie podrażniając przy tym okaleczonych nadgarstków.

Hoszitiwa uśmiechnęła się w mroku.

— Dziękuję, dziadku żółwiu — wyszeptała i szybko się podniosła, by uciec, nim górski lew wejdzie na polanę.

Zatrzymała się jednak. W poświacie księżycy nerwowo rozglądała się za jakąś dziękczynną ofiarą dla żółwia. Wiedziała, że zwierzę nie tknie krzewu kreozotowego, który przebijał się przez wysuszoną ziemię. Nigdzie też nie było wody.

Czując, że kot jest coraz bliżej, dziewczyna przeszukiwała wzrokiem kamienie. Wreszcie wysoko nad głową zauważyła rosnącą w szczelinie kępę soczystego zielska. Szybko wspięła się, wyrwała garść i podała żółwiowi. Natychmiast zanurzył szary pomarszczony łebek w zielonych liściach. Hoszitiwa wiedziała, że zapewnią mu pożywienie i wodę. Odmówiwszy jeszcze krótką dziękczynną modlitwę, szybko zbiegła w dół wąwozu.

Świtało. Kapłani zadęli w trąby z rogów górskich owiec na znak, że wkrótce zostanie złożona ofiara krwi. Dźwięk rozniósł się po całej dolinie. Mężczyźni porzucili pola, a kobiety paleniska. Wszyscy wylegli na dziedziniec przed kamienną świątynią, gdzie od niepamiętnych czasów stał masywny ołtarz. Kapłani uderzali w bębny z wydrążonych dyń o membranach z wyprawionej ludzkiej skóry, potrząsali grzechotkami i grali na piszczałkach, witając słońce wschodzące nad placem.

Zanim Hoszitiwa, dokładając starań, by nikt jej nie zobaczył, zakradła się do Miasta, ludzie zdążyli przybiec z najdalszych zakątków doliny. Każdy musiał uczestniczyć w najświętszym obrzędzie.

Tłum żywił mieszane uczucia. Ołtarze krwi stanowiły wynalazek panów, lud słońca składał w ofierze tylko kukurydzę. Mimo to nikt nie odważył się zlekceważyć wezwania kapłanów mocarnych Tolteków domagających się, by każdy — od najmłodszego do najstarszego, nawet ślepcy i kulawi — uczestniczył w najcenniejszej ofierze składanej bóstwom: ofierze z ludzkiego życia.

Dziewczyna nigdy jeszcze nie widziała takiej ciżby. Nie sądziła, że w kanionie mieszka aż tylu ludzi. Kiedy słońce rozproszyło mrok, zobaczyła, że także na tarasach, dachach domów i pod murami jest gęsto od ludzi, dolina zaś przypomina morze ludzkich głów. Nawet ci, którzy nie widzieli uroczystości, doskonale słyszeli każde słowo kapłanów, gdyż ściany kompleksu świątynnego odbijały dźwięk i potęgowały go tak, że niósł się po krańce kanionu.

Ołtarz stał między dwiema olbrzymimi kivami na wyższym poziomie dziedzińca. Kiedy z niego nie korzystano, kamień był przykryty, więc w dni targowe ludzie przechodzili obok, nie zwracając nań uwagi. Dziś został odsłonięty. Niedługo szary, po dziesięcioleciach składania na nim ofiary krwi nabrał rdzawego odcienia. Wkrótce miała go zabarwić na czerwono świeżo przelana krew.

Chociaż na co dzień Hoszitiwa pracowała i spała w pałacowej kuchni w północnej części miasta, często wpadała do cechu po potrzebne materiały albo na zwykłą pogawędkę. Teraz także poszła najpierw do warsztatu. Tam oczyściła rany, nałożyła maść i owinęła nadgarstki bandażami z juki. Następnie zrzuciła brudną zakrwawioną szatę i ostrożnie wsunęła przez głowę czystą, przyjemnie chłodną. Wreszcie starannie uczesała włosy. Poświęciła fryzurze wiele czasu, wiedziała bowiem, że ofiara nie zostanie złożona szybko, gdyż najpierw kapłani i wojownicy musieli wielokrotnie okrążyć plac, by zwrócić na siebie uwagę bogów. Jej loki, zwinięte na skroniach, rozsypały się, więc Hoszitiwa rozczesała długie pasma i znów ułożyła w „kwiat dyni”, przytrzymując je wstążkami. Nie chciała, by zasłoniły haftowane godło mistrzyni garncarstwa, najważniejszego cechu Miasta. Ludzie musieli wiedzieć, że jest kimś ważnym.

Czyniąc te przygotowania, starała się nie myśleć o Jakalu. Zamknęła swe serce na niego i na uczucia, jakie w niej budził — pożądanie, współczucie, podziw — albowiem była pewna, że wiedział, iż Mokihik zostawił ją w górach jako ofiarę dla górskiego lwa. Czyszcząc stopy piaskiem zmieszany z sosnowymi igłami, powtarzała sobie, że Toltekowie to bezwzględni ciemięży ciele. A gdy wiązała w talii pas — że liczy się tylko Ahote. Kiedy wreszcie była gotowa, szeptem pomodliła się do łagodnych bóstw swojego ludu, jeszcze raz podziękowała dziadkowi żółwiowi za ocalenie i wyszła na oślepiające słońce, czując się jak wojownik przed bitwą.

Spektakl na placu na chwilę zaparł jej dech w piersi: werble i rogi, maszerujący wojownicy, kapłani w pióropuszcach i wzorzystych szatach, dostojnicy siedzący na tronach i wszechobecny, wznoszący się ku niebu dym kadzideł. Ze świątyn wyniesiono posągi bóstw, przystroiwszy je w pióra i bawełnę, i ustawiono na piedestałach. Stali tam: Tezcatli-poca, pan losu i czarów; Quetzalcoatl, pierzasty wąż, bóg przyrody i wiedzy; groźna Coyolxuahqui, siostra boga wojny, i inni, których imion prostaczkowie z ludu słońca nie potrafili zapamiętać ani wymówić. Wyniosli, przybrani w barwne szaty opuścili swe ciemne nisze, by uczestniczyć w ofierze złożonej ku ich czci.

Wśród nich zaś na wysokim tronie siedział książę Jakal w pióropuszu ze szmaragdowych piór kwezala powiewających na wietrze niczym proporce. Przystojny, nawet piękny — przyznawała w duchu Hoszitiwa, lecz ani na moment nie mogła zapomnieć, że to on uprawomocnił ten rytualny mord.

Krok za krokiem przedzierała się przez zatłoczony plac, przeciskając się między wpatrzonymi w ołtarz ludźmi. Po drugiej stronie muru obok baraków jaguarów płonęło już ognisko. Na nim zostanie upieczone ciało ofiary złożonej bogom.

Jakal powstał z tronu i nakazał ciszę. Wszyscy znieruchomieli. Nie było słychać nawet chrząknięcia, nawet szelestu. Wysoko na niebie kołował samotny orzeł, byстрыm okiem wypatrując w dole ofiary.

Hoszitiwa uparcie — a zarazem tak, by nie zwrócić na siebie uwagi — przeskakała się do przodu. Zatrzymała się jednak, gdy ze świątyni wynurzył się orszak kapłanów wlokących bezwolną ofiarę.

Oślepiiony słońcem Ahote był nagi, między udami spływała mu krew. Hoszitiwa z trudem zdławiła krzyk. Oczyszczenie, którego tak się lękała, już się dokonało. Pozbawiony męskości Ahote był niewinny jak dziecko.

Kapłani majestatycznie doprowadzili go do ołtarza i przyparli plecami do kamienia. Czterech przytrzymało go za ręce i nogi, a piąty dzierżył obsydianowy nóż, którym miał przeszyć pierś Ahotego. Obok stał ubrany skromniej pomocnik ze złotym pucharem. Gdyby chłopiec stracił przytomność, zostałby ocucony napojem, gdyż serce można było usunąć tylko, gdy ofiara była całkowicie przytomna.

Kapłan z nożem wystąpił i zaczął recytować modlitwę w języku zrozumiałym jedynie dla Tolteków. W powietrzu czuć było zapach kadzidła i rosnące napięcie. Kobiety płakały, mężczyźni niespokojnie przestępowali z nogi na nogę. Ofiarą na ołtarzu krwi był jeden z nich, zdrowy młodzieniec z tatuażem plemienia żółwi. W tłumie już rozeszła się plotka, że chłopiec terminował u bazarza i w przyszłości miał stać się Tym, Który Łączy Lud. Nikt nie może zgładzić człowieka, który czyta z muru pamięci. To tak jakby zabić całe plemię. Lecz Tolteków to nie obchodziło. Mężczyźni w tłumie

— rolnicy, kupcy, drwale i ceglarze — w bezsilnym gniewie zaciskali pięści, patrząc na chłopca usiłującego wyrwać się kapłanom. Nikt jednak nie śmiał podważyć decyzji panów.

Kiedy kapłan wznosił nóż, Hoszitiwa wreszcie przedarła się przez tłum i — nim strażnicy zdążyli ją zatrzymać — wpadła na dziedziniec. Stała przed zdumionym księciem.

— Ten chłopiec nie dopuścił się świętokradztwa, panie — ogłosiła. — Nie zdawał sobie sprawy, że ziemia, po której stąpa, jest święta. Kiedy mu powiedziałam, natychmiast stamtąd poszedł. Nie złamał nakazów prawa.

Grupka jaguarów wystąpiła z szeregu. Mokihik powstał z mniejszego tronu. Kapłan z nożem przerwał modlitwę i obejrzał się zaskoczony.

Jakal wyciągnął ramię, nakazując ciszę. Stał na podium, górując nad Hoszitiwa. On też był zdumiony, choć z innego powodu. Oto dziewczyna, która od miesięcy natrętnie nawiedza go w myślach, która miała czelność złamać tabu, a równocześnie przemawia pokornie, niemal błagalnie. Mimo że śmiało patrzyła mu w oczy, całą sylwetką — skulonymi ramionami i dłońmi błagalnie złożonymi na piersi — wyrażała uniżenie.

— Rzecz została już przesądzona — oznajmił, myślami wybiegając dalej.

Był zaszokowany jej zachowaniem, a zarazem je podziwiał. Powinien ją ukarać, a jednak nie potrafił się zmusić, by wydać tę córkę słońca jaguarom.

— Nie znasz prawdy, panie. — Hoszitiwa odwołała się do jego poczucia sprawiedliwości.

— Byłaś w świętym zagajniku?

— Byłam w pobliżu, zbierając glinę na święte deszczowe dzbany — odparła z naciskiem, przypominając mu w ten sposób, co sam rzekł, gdy ją tam przyłapał: „Skoro znajduje się tu święta glina, bogowie nie mają nic przeciwko temu, byś po nią przychodziła”.

— Tak czy owak chłopiec zbeczczył święte miejsce. Bogowie żądają ofiary.

— Panie, kiedy sprowadziłeś mnie tu, bym przywołała deszcz — płynęły jej desperackie słowa — w czasie lepienia dzbanów moje serce było smutne, bo tęskniłam za domem, płakałam za rodziną. Dlatego moje naczynia nie przywołały deszczu. Jeśli jednak będę wiedziała, że temu chłopcu nic nie grozi i że bezpiecznie wrócił do rodziny, me serce będzie przepelniała wdzięczność. Odzyskam spokój duszy, a glina to poczuje i stworzy dzban, który sprowadzi do Miasta deszcz.

Jakal przyglądał jej się z namysłem. Nad dziedzińcem, placami, tarasami i dachami zawisła głucha, pełna wyczekiwania cisza. *Tlatoani* Miasta, księżę Jakal z Miejsca Trzciny, strażnik Świętego Pióra, Ten, Który Śledzi Niebiosy, władca Dwóch Rzek i Pięciu Gór, odbywał naradę z samym sobą, nie przestając mierzyć wzrokiem dziewczyny. Wreszcie oznajmił z wyzwaniem w głosie:

— To za mało.

Wytrzymała jego spojrzenie. Wiatr przybrał na sile i przeszedł przez dziedzi-
niec, a na tłum padł cień drapieżnego ptaka.

—Uwolnij chłopca, panie — odparła Hoszitiwa — a będę służyła Miastu. —
Umilkła. Serce zabiło jej niespokojnie. — Będę służyła tobie, panie.

—Krew musi zostać przelana! — zahuczał mężczyzna imieniem Xikli, potęż-
nie zbudowany dowódca jaguarów, a jego ludzie uderzyli maczugami w tarcze.

Kiedy grzmot ucichł, Hoszitiwa rozpostarła ramiona i zawołała:

—Ocal tego chłopca, panie, i w zamian weź moje życie! Jakal pytająco uniósł
brwi.r

—Co cię łączy z tym chłopcem?

—Jesteśmy zaręczeni, panie.

Powieki księcia drgnęły. Długie zielone pióra lekko się poruszyły. Hoszitiwa
nie potrafiła odgadnąć, co błysnęło w oczach władcy. Zawód? Rozgoryczenie?
Cokolwiek to było, uniósł rękę, by nakazać kapłanowi zadanie śmiertelnego cio-
su, a ona rzuciła mu się do stóp. Nie zdążyła jednak do nich dopaść, bo ruchem
szybkim jak błyskawica opuścił ramię i grzbietem dłoni uderzył ją z taką siłą, że
runęła na plecy. Przed oczami zatańczyły jej gwiazdy. Lecz już po chwili, wciąż
leżąc na kamiennych płytach dziedzińca, patrzyła na władcę. Na jego twarzy ma-
lowało się obrzydzenie. Poczowała nienawiść, którą zaraz zastąpiła litość, bo zro-
zumiała, że nie brzydził się nią, ale sobą.

Nieoczekiwanie odżyło wspomnienie z dzieciństwa: jej kuzyn przyniósł do
osady osierococone lwiątko, które znalazł w górach. Wychował je i ułożył tak, że
zachowywało się jak udomowione psy. Aż pewnego dnia, gdy krewniak Hoszi-
tiwy karmił podrośniętego górskiego lwa, bestia rzuciła się na niego i zagryzła na
śmierć.

Taki sam był książę Jakal.

Nie odrywając wzroku od władcy, wstała. Lekko zachwiała się na nogach. Nie czuła krwi, która płynęła z rozciętej wargi. Wyprostowała ramiona i uzbroiła serce.

Przez ostatnie miesiące żyła jak w letargu, omamiona pozornym spokojem. Myślała wyłącznie o deszczu. Zapomniała o swojej wściekłości z początku niewoli, żądzy odwetu i nienawiści, która zapłonęła w niej, gdy zrozumiała, że Mokihik skłamał, by bliscy uznali ją za *makai-jo* i wyrzucili z pamięci. Teraz uczucia te wróciły niczym potężna fala, dziewczyna jednak nabrała dojrzałości i potrafiła nad nimi zapanować. Wtedy była zagubiona, emocje kłębiły się w niej, a ona nie potrafiła okiełznać ich i uczynić narzędziem walki. Dziś niepewność dziewczyny zastąpiła pewność siebie kobiety. Hoszitiwa poczuła, jak rodzi się w niej nowa siła. Nie bała się swoich uczuć. Przeciwnie, wykorzystywała je, czerpała z nich moc.

Uniosła brodę i odezwała się głośno, tak że jej głos poniósł się daleko nad milczącym tłumem.

— Jeśli chcesz deszczu, panie, uwolnij chłopca. Już nie zebrała. Żądała. Krew skapująca z brody popłynęła strużką między jej piersiami i choć była ubrana, poczuła się naga. Nie wiedziała, że oto ziszcza się proroczy sen jej matki.

Olbrzym, którego ludzie znali i lękali się — Xikli, przywódca jaguarów — ryknął i ruszył do niej z uniesionym oszczepem. Księżę jednak powstrzymał go ruchem ręki. Mokihik posłał swemu władcy ponure spojrzenie, a przy ołtarzu kapłan wciąż stał obok drżącego na całym ciele Aho-tego, w każdej chwili gotów zadać cios.

Głos Hoszitiwy nabierał mocy i pewności, niósł się echem nad tłumem.

— Ta kraina należy do mojego ludu, moich przodków. Jesteście tu przybyszami i obcymi. Tu rządzą bogowie ludu słońca, nie wasi. Deszcz nie pada, ponieważ nie oddaliście im czci i nie okazaliście szacunku.

Umilkła, śmiało patrząc w oczy jaguarom i dostojnikom. Na niebie zakrzyczał orzeł i ucichł, jakby wyczuł wagę chwili. Hoszitiwa przypomniała sobie słowa matki wypowiedziane w jaskini, gdy przerażone tuliły się do siebie: „Bogowie

wybrali cię i przeznaczyci do wielkich czynów". Co było jej przeznaczeniem? Ocalenie tego, który w przyszłości miał łączyć lud? Sprowadzenie deszczu do Miasta? Przywrócenie kultu bogów jej ludu?

— Bezczęścisz święte obrządki! — krzyknął wreszcie Mokihik.

Oskarżycielsko wycelowwała w niego palcem.

— Ty zaś ukrywasz tajemnicę! Świętokradcze ofiary! Zdarła bandaże z rąk, wysoko uniosła ramiona, by wszyscy je zobaczyli.

— Patrzcie na te zakrwawione nadgarstki! Ten człowiek przywiązał mnie do drzewa, składając w ofierze górskiemu lwu. Nie odmówił jednak żadnej modlitwy ani nie zapalił kadzidła. Zostawił mnie jako żalną ofiarę dla bóstwa, któremu nawet nie okazał szacunku. Jednakże bóg opiekuńczy mego plemienia, dziadek żółw, przegryzł więzy i mnie uwolnił.

Przez tłum przepłynęła fala szeptów. Ludzi byli zdumieni tym, czego świadkami się stali.

Hoszitiwa drżała na całym ciele. Nie wiedziała, skąd ta świadomość, ale wyraźnie czuła, że oto nadchodzi przełomowa chwila w jej życiu i w życiu jej plemienia. Kiedy jednak znowu odwróciła się do księcia, jej serce przeszył ból. Jej zwycięstwo bowiem oznaczało jego klęskę, a nie chciała go pokonać. Mimo to musiała. Dla Ahotego. Dla swego ludu.

Wtem rozległ się jeszcze czyjś głos. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. To była Jani. Nadzorczyńm cechu garncarek, która cieszyła się powszechnym szacunkiem i z którą liczyli się nawet Toltekowie, miała czelność wspiąć się po schodach na dziedziniec i stanąć obok Hoszitiwy. Z wyzwaniem w oczach stała ramię w ramię z młodą garncarką. Cisza ciągnęła się w nieskończoność. Wszyscy czekali na następny ruch. I oto, jedna po drugiej, garncarki wychodziły na dziedziniec i zajmowały miejsce obok swoich sióstr, w ten sposób wysyłając możnowładcom bezgłosną groźbę: zabijcie chłopca, a nie zobaczycie żadnego deszczowego dzbana.

Mokihik zobaczył, że ludzie z uznaniem kiwają głowami i szepczą coś między sobą. Nagle poczuł, że w tej pokornej dotąd trzodzie coś się budzi do życia.

Dziewczyna judziła ich, zaszczepiała w ich sercach i rozumach niebezpieczne pomysły. Stanowiła zagrożenie. Przypomniał sobie dawne powstania w miastach na południu, które dziś stały puste i opuszczone. Na własne oczy widział, jakich zniszczeń może dokonać rozwścieczony motłoch.

W powietrzu wisiało napięcie. Gwardia mocniej ścisnęła w dłoniach dzidy i maczugi, gotowa w każdej chwili ściąć ludzi jak kolby kukurydzy. Wszyscy z zapartym tchem czekali na decyzję władcy. Kto by się spodziewał, że jakaś dziewczynina, córka chłopów, odważy się mu przeciwstawić! To wprost nie mieściło się w głowie. Wszyscy chłonęli tę scenę, starając się zapamiętać najdrobniejsze szczegóły, bo czuli, że umieszczą ją na murach pamięci, by również przyszłe pokolenia opowiadały ją wieczorami przy ogniu.

Jakal siedział bez ruchu, podobny starożytnym bóstwom ze swoich piedestałów obserwującym te dramatyczne wydarzenia pustymi kamiennymi oczami, które od początku czasu oglądały niezliczone takie sceny. Prawdziwą władzę w Mieście sprawowali wojownicy. To im przede wszystkim musiał się przypodobać. Równocześnie jednak ucziwość podpowiadała, że dziewczyna ma rację: jej bogowie rządzą tu, jeszcze zanim nastąpi jego bóstwo. Widział także poruszenie tłumu. Do tej pory przypominał gładką taflę jeziora, teraz pojawiły się na niej fale, jakby jakiś ukryty prąd zburzył spokój. Powstanie łączyłoby się z przelewem krwi — co z pewnością odpowiadałoby jaguarom, ale oznaczałoby też, że nie byłoby komu zasiewać pól.

Księżę Jakal nigdy nie podawał w wątpliwość swego przeznaczenia. Przyszedł na świat dziesiątego dnia miesiąca, w dniu podporządkowanym Psu. Każdy zaś wiedział, że dziecko urodzone pod znakiem Psa posiada talenty przywódcy. Teraz jednak — gdy czując na sobie spojrzenia ludu, jaguarów, dostojników oraz kapłanów — stał przed ołtarzem krwi ze świadomością, że nie ma dobrego wyjścia z sytuacji, przez chwilę żałował, że nie może zrzucić brzemienia przywództwa.

Jakal nie był wszechwładnym panem jak król Tuli, lecz tylko *tlatoani*, władcą, który potrzebował wsparcia potężnych cechów. Jeśli nakaże kontynuowanie ofiary, wybuchnie powstanie. Jeśli przerwie uroczystość, zostanie uznany za słabego i nieodwracalnie straci autorytet. Oba rozwiązania oznaczały jego porażkę.

Wtedy doznał olśnienia.

—Niech bogowie zadecydują! — krzyknął nad głowami zebranych. — Zapytajmy ich i czekajmy na odpowiedź.

—Którzy bogowie, panie? — miała czelność zapytać Hoszitiwa.

Posiał jej mordercze spojrzenie. To stworzenie o twarzy okrągłej niczym księżyc, które rozpanoszyło się w jego myślach, teraz jeszcze przed poddanymi wystawiało go na próbę.

— Ci, którzy dziś na nas spoglądają. — Popatrzył na garn-carki. — Przystajecie na to?

—Tak, panie — odparła Jani, występując z szeregu.

—I zaakceptujecie wolę bogów? Wypełnicie, co nakażą?

—Tak.

Przyciszonym głosem odbył krótką naradę z Mokihiem, który skrzywiony w końcu dał rozkaz jednemu z kapłanów. Mężczyzna zniknął w budynku świątyni i po chwili wynurzył się z futrzanym tobołkiem. Jakaś z nabożeństwem rozwinął futro, które podał mu kapłan, i wyjął z niego jakiś ciemny przedmiot.

— To kamień przewodnik! — zawołał, pokazując go ludowi tak samo, jak wcześniej Hoszitiwa swoje rany. — Prastary duch, który przywiódł waszych panów do Miasta.

Kiedy pierwsi *pochteca*, kupcy z południa, zapuścili się tak daleko na północ, szli za talizmanem, który wskazywał im właściwą drogę i wreszcie doprowadził ich do tego kanionu. Przez następne pokolenia duch przewodnik spoczywał na honorowym miejscu w kamiennych murach świątyni. Po raz pierwszy od osiedlenia się tu Mrocznych Panów kamień ujrzał światło dzienne.

Lud w głuchej ciszy patrzył, jak książę wypuszcza ciemny przedmiot z rąk. Potem wszyscy jednym głosem krzyknęli, gdy kamień zatrzymał się tuż nad ziemią. Kamień przewodnik był zawieszony na nitce, którą władca trzymał w prawej ręce.

Hoszitiwa nigdy przedtem nie widziała takiego przedmiotu. Wyglądał jak kamień, a równocześnie lśnił niczym metal. Był długości męskiego ramienia, a kształtem przywodził na myśl smukłe ryby, jakie oglądała w strumieniu przy swojej rodzinnej wiosce. Jeden koniec był szerszy, więc kamień rzeczywiście mógł się skojarzyć z zawieszoną w powietrzu rybą.

— Zakręcę duchem przewodnikiem. Bogowie zadecydują, gdzie się zatrzyma. Jeśli wskaże północ, chłopiec wróci do domu, ponieważ jego dom znajduje się na północy. Jeśli duch wskaże południe, chłopiec wraz z niewolnikami trafi do Tuli. Jeśli zaś wskaże wschód lub zachód, chłopiec zostanie tutaj i będzie złożony na ołtarzu krwi.

To powiedziawszy, jeszcze raz pokazał wszystkim kamień, po czym położył palec wskazujący lewej ręki na grubszym końcu i mocnym pchnięciem wprowadził go w ruch.

Nikt się nie poruszył. Nikt nawet nie mrugnął. Wszyscy wpatrywali się w wirujący przedmiot, zastanawiając się, gdzie się zatrzyma. Kupcy, rolnicy i drwale — hazardziści z krwi i kości — bezgłośnie robili zakłady, chcąc się przekonać, czy zdołają odgadnąć wolę bogów.

Wreszcie kamień zaczął zwalniać. Potem kołysał się to w jedną stronę, to w drugą. Jakal nieruchomo trzymał nic, a duch przewodnik wskazywał to południe, to znowu północ. Południe... Północ. Wreszcie znieruchomiał.

Wskazując na północ.

— Bogowie przemówili — ogłosił *tlatoani*. — Puście chłopca — rozkazał kapłanom stojącym przy kamiennym ołtarzu.

Ze wszystkich gardeł wyrwał się radosny okrzyk. Wiwatowali zebrani na tarasach, dachach, pod ścianami, mężczyźni i kobiety. Wszyscy krzyczeli z ulgi i z radości. Uwolnienie Ahotego oznaczało bowiem, że to i c h bogowie kierowali świętym kamieniem. To zaś oznaczało, że bóstwa ludu słońca nie opuściły Miasta.

Gdy kapłani wypuścili chłopaka, nieprzytomny osunął się na kamienną posadzkę. Hoszitiwa podbiegła do niego. Żył, lecz był przerażająco blady i zimny.

Podczas gdy wojownicy niespokojnie zerkali na przywódcę, kapłani szukali rady u Mokihiika, a Jakal gniewnym krokiem ruszył do pałacu, Hoszitiwa przywołała Jani i pozostałe garncarki. Razem uniosły zwiotczalego Ahotego i zabrały go z dziedzińca.

Tłum się rozproszył. Ludzie wracali na swoje pola, do domów i codziennych zajęć. Kapłani, w swoich barwnych szatach przypominający stadko kolorowych ptaków, zostali na placu, sprzecząc się i debatując nad konsekwencjami ostatnich wydarzeń. Pozbawiona uczty z ludzkiego mięsa gwardia zaś w głuchym, pełnym wrogości milczeniu wróciła do baraków. Przywódca jaguarów, Xikli, na odchodnym rzucił do Mokihiika:

— Nie puścimy tego płazem.

ROZDZIAŁ 19

Pragną zemsty. Dokonają jej własnymi rękami. Sprowadzą nieszczęście na nas wszystkich.

Takie niespokojne myśli kłębiły się w głowie Mokihiika, gdy nocą szedł energicznym krokiem otulony w płaszcz z króliczego futra. Nie miał pióropusza ani bransolet, ani nawet pomalowanej twarzy. Szedł w tajnej misji i nie chciał przykuwać niczyjej uwagi.

Zemsta, która zaprzętała jego myśli, miała być dziełem jaguarów, nie bogów.

Tamtego dnia powinna była zostać złożona ofiara krwi. Wszyscy tak mówili. On sam, oddziały jaguarów, moiżni, kapłani i urzędnicy (ale nie służba, kucharze, strażnicy, nikt pochodzący z ludu słońca). Nawet jeśli nie z tego chłopca, to z kogoś innego. Zdaniem najbliższego doradcy owego dnia księżę nie postąpił roz-

tropnie. Mokihik, który zawsze porównywał Tolteków do ceglanego muru — solidnego, niezniszczalnego, czerpiącego siłę z jedności wielu elementów — dziś postrzegał swego *tlatoani* jako obluźowaną cegłę przy samej podstawie. Wystarczy, że podjudzeni przez dziewczynę chłopcy obluźują jeszcze kilka, a cały budynek runie.

Stąd to potajemne nocne spotkanie z przywódcą jaguarów. Trzeba naprawić szkody wyrządzone przez Jakalą.

Przed bramą w murze wzniesionym z pni drzew, przetransportowanych aż z odległych lasów północy, stał strażnik. Nieliczni byli wpuszczani do królestwa jaguarów. Rozpoznawszy dostojnika, strażnik otworzył bramę i natychmiast ją za nim zatrzasnął. Mokihik szedł przez opustoszały plac. Za dnia wojownicy doskonalili się tu w walce albo odbywali zacięte, nierzadko krwawe pojedynki.

Wszedł do wnętrza oświetlonego pochodniami. Jego cień przyłączył się do tańca cieni na ścianach. Mężczyzna wciąż myślał o nieszczęściu, jakie *tlatoani* sprowadził na nich wszystkich.

Jakal popełnił katastrofalny błąd. Wybrał poklask tłumy, obrażając bogów.

Kamień przewodnik z a w s z e wskazywał północ.

Nikt nie wiedział, skąd pochodzi ów tajemniczy przedmiot. Wiele stuleci temu w pobliżu Chichen Itza najeźdźcy splądrowali grobowiec jakiegoś ważnego dostojnika. Kamień stanowił jedną z ich zdobyczy. Jak tam trafił? Na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi. Legenda głosiła, że pokolenia temu zjawili się tu przybysze z wschodniego morza i to oni przywieźli ów metal wyznaczający północ.

Mity, legendy, baśnie. Dla Mokihiika w tym momencie liczyło się tylko, że książę z góry wiedział, jaka będzie rzekoma decyzja bogów. To zaś oznaczało, że w ogóle nie zapytał bogów o zdanie.

Dowódca spoczywał na kocu, leniwie rzucając kości na macie do *patolli*, choć przy nim nikt nie siedział. Nawet nie podniósł Wzroku, gdy do pomieszczenia wszedł Mokihiik. Dostojnik zaczął zdejmować płaszcz, lecz stwierdził, że w kwaterze kapitana panuje nieprzyjemny chłód, i pozostał w okryciu.

Xikli zaś miał na sobie tylko przepaskę biodrową. Jak wszyscy wojownicy imperium Tolteków mógł się poszczycić odpornością na każdą temperaturę i ból. O jego męstwie świadczył chociażby nos noszący ślady licznych złamań, i znaczne braki w uzębieniu. Uwagę przykuwała też niezwykła fryzura kapitana: czoło zasłaniała grzywka, na czubku włosy były związane w węzeł, nad uszami zaś krótko przystrzyżone, a na plecy spływa! długi ogon. Ułożenie takiej fryzury wymagało codziennych zabiegów. Xikli i jego ludzie przypominają ptaki — pomysłał Mokihik. — Tylko by muskali te swoje piórka.

Szczypcami wyrywali owłosienie na brodach, golili brwi i malowali nad oczami czarne łuki. W nosach, uszach i wargach nosili kolczyki, które zresztą co dzień zmieniali — to na kościane, to na obsydianowe, to na jadeitowe bądź złote. Długie godziny spędzali, ostrymi kamiennymi nożami usuwając owłosienie z całego ciała, a potem malując na nim skomplikowane wzory. Resztę czasu wypełniały im treningi i pojedynki toczone między sobą. Chętnie też paradowali po Mieście, wszem wobec prezentując dumnie wypięte torsy. Mokihik jednak nie żywił odrazy do umięśnionego kapitana. Przeciwnie, kochał go.

Dostojnik przybył do Miasta trzydzieści lat temu jako dwudziestopięcioletni młodzieniec. W ojczyźnie zostawił żonę i dziecko. Sprowadził ich po pięciu latach, gdy zapewnił sobie stanowisko doradcy księcia. Zona, którą uwielbiał, nie znosiła Miasta i wkrótce wróciła do Tuli. Mokihik nie znalazł sobie drugiej kobiety. Często zastanawiał się, czy to nie brakowi żony zawdzięcza, że dożył tak podeszłego wieku. Niewielu mężczyzn mogło się poszczycić ukończeniem pięćdziesięciu pięciu wiosen.

— Co tak długo, starcze? — spytał pogardliwie kapitan. Mokihik westchnął. Był drugą po księciu Jakalu osobą

w Mieście, a oto jak się do niego zwraca ten wojownik. Takie jednak prawa rządziły światem. Bez względu na to, jak wysoko się zaszło, zawsze był ktoś, kto zajmował wyższe stanowisko, i trzeba było znosić jego pogardę. W tym wypadku tym kimś okazał się dowódca jaguarów, który bezpośrednio podlegał królowi Tuli, władcy wszystkich Tolteków.

Dawno temu, jeszcze będąc chłopcem, Mokihik marzył, by zostać jaguarem. Niestety, do gwardii przyjmowano tylko najszybszych, najodważniejszych, naj-

bardziej wysportowanych. Mokihik nie spełniał tych warunków, więc musiał szukać szczęścia w administracji. Kiedy zaproponowano mu stanowisko w Mieście na odległej północy, przyjął je w nadziei, że pewnego dnia zostanie *tlatoani* tej krainy. To również wymknęło mu się z rąk, bowiem na władcę wybrano potomka rodu lepszego niż tego, z którego pochodził Mokihik. Nie zazdrościł Jakalowi. Książę był dobrym człowiekiem i sprawiedliwym. Szkoda tylko, że ostatnio rozum go opuścił.

Jaguar splunął z pogardą. Choć Mokihik był drugą po księciu osobą w Mieście, nie miał cierpliwości do gryzipiórków, którzy większość czasu spędzali nad księgami.

— Należało złożyć chłopaka w ofierze. Mamy prawo przelewać krew. Pochodzimy z najlepszych rodów. — Huknął pięścią w pokryty bliznami tors. — Wszystko przez tę przekłętą dziewczuchę. Książę pozwala nawet, by na niego patrzyła. Tymi swoimi oczami skradnie mu duszę.

— Wierzy, że bogowie przywiedli ją tutaj, by sprowadziła deszcz — odparł Mokihik. Nie próbował bronić dziewczyny ani Jakała, po prostu stwierdzał fakt.

Wojownik znowu splunął.

—Ale to córka zwykłego chłopca!

—Znalazła święty zagajnik — mówił w zadumie Mokihik. — Panujemy tu od tyłu pokoleń, a jeszcze nie zdarzyło się, by ktoś zabłądził do tego wąwozu i odkrył święte miejsce.

—Bo to wścibska smarkula! Ot co!

—Widziałeś jej deszczowe dzbany. Wyglądają jak zrobione ze złota. Ta niezwykła glina, z której je lepi, znajduje się tuż obok sanktuarium. To nie przypadek, że glinę, która zmienia się w złoto, można znaleźć tak blisko miejsca poświęconego bogom.

—Pozbawia naszego *tlatoani* mocy. A lud czerpie siłę ze swego pana. Jeśli pan jest słaby, lud również. Dziewczynę trzeba złożyć w ofierze.

Kiedy Mokihik nie odpowiedział, Xikli zerwał się na nogi.

— Jesteśmy wojownikami, a nie walczymy! — ciągnął z oburzeniem. — Gdzie są armie, które stawiają czoło moim jaguarom? Gdzie jeńcy, których możemy składać na ołtarzu krwi? W tym przeklętym Mieście dusimy się jak ptaki w klatce! — Spojrzał Mokihiowi w oczy. — Starcze, boję się, że nasza umiłowana Tuła upadła. Od dwóch lat nie docierają stamtąd żadne wieści. To miejsce także rychło stanie się przybytkiem upiorów. Nasze nasienie zostanie rozrzucone na cztery strony świata, a my sami znikniemy. Toltekowie pójdą w zapomnienie.

Mokihi z bólem musiał przyznać mu rację. Jak to się stało? Gdzież ta chwalebna przyszłość, o której tak marzyli?

— Dziewczyna poniżyła nasze bóstwa! — zagrzemiał Xikli. — Daj ją nam, a my złożymy ją w takiej ofierze, na jaką sobie zasłużyła. — Uśmiechnął się mrocznie. — Dopilnujemy, by konała powolną, straszną śmiercią.

Mokihi znowu westchnął. W żyłach czuł dziwną niemoc. Może kapitan miał rację? Złożenie dziewczyny w ofierze mogłoby przywrócić dawny porządek.

— Zgoda — powiedział. — Poczekajmy do przesilenia. Jeśli nie spadnie deszcz, wtedy oddam wam dziewczynę.

Kapitan odesłał go lekceważącym ruchem dłoni i Mokihi — prawa ręka Tego, Który Mówi — owinał się w płaszcz i ruszył do drzwi. Odchodził z ciężkim sercem. Tak bardzo chciał coś powiedzieć temu mężczyźnie, mimo blizn i zdeformowanego nosa uderzająco podobnego do Xóchitl, ukochanej żony, która opuściła go przed laty. Dzielili ich jednak zbyt wielka otchłań, by dało się nad nią przerzucić most. Jak zwykle po spotkaniu z jaguarem Mokihi wracał rozdarty. Z jednej strony był dumny, że Xikli został dowódcą jaguarów, a z drugiej strony raniła go jego pogarda. Któż mógł go jednak za to winić? Syn nie powinien zająć wyżej niż ojciec.

ROZDZIAŁ 20

Po dwóch tygodniach Ahotę odzyskał siły na tyle, by wrócić do wioski. Lecz choć błagał, by Hoszitiwa udała się razem z nim, wyjaśniła, że musi zostać w Mieście.

— Obiecałam, że będę służyła temu ludowi i księciu Jakalowi. Obiecałam, że sprowadzę deszcz.

Rozstaniu towarzyszyły łzy, gdyż oboje wiedzieli, że więcej się nie spotkają. Hoszitiwa życzyła mu długiego i szczęśliwego życia w roli strażnika muru pamięci.

— Wybaczcie, że stałam się przyczyną śmierci tancerza ducha — powiedziała na pożegnanie. — Myślałam o sobie zamiast o plemienu. Proszę, przekaz wszystkim, że bardzo tego żałuję. Wyjaśnij też mojej matce, że już nie jestem *makai-jo*. Obiecuję, że przyniosę rodzinie chlubę.

Po jego odejściu całą energię przełała na pracę. Zapomniała o śnie i jedzeniu, pracowała bez chwili wytchnienia. Ugniatała glinę, przemawiała do niej, zaklinała; usuwała pęcherze powietrza, suszyła, a potem godzinami polerowała dzban, śpiewając do niego, póki nie nabrał blasku najczystszej złota. Wreszcie — ręką pewną jak nigdy przedtem — wodząc jukowym pędzlem po ściankach, malowała wzory. Na żadnym etapie nie popełniła najmniejszego błędu. Stworzyła dzban idealny.

Tyle że choć dłonie i ciało były skupione wyłącznie na pracy, serce i myśli żyły własnym życiem.

Od dwóch tygodni książę Jakal nie opuszczał swoich komnat. Ponieważ kolejne podkuchenne znikwały nocą, z potrawami posyłano Hoszitiwę. Przez te czternaście dni ani razu nie zobaczyła mężczyzny, którego postawiła w tak niezręcznej sytuacji, że każda jego decyzja oznaczała jego porażkę. Nadworny kucharz niepokoił się o zdrowie swego pana, ponieważ talerze wracały nietknięte. Hoszitiwa wiedziała, że to przez nią. A przecież nie chciała pozbawić księcia władzy. Pragnęła jedynie uratować Ahotę.

Kiedy jednak przystojny *tlatoani* nawiedzał ją w snach i patrzył pełnymi smutku oczami; kiedy słyszała w myślach jego głęboki dźwięczny głos; kiedy przypominała sobie jego silne nogi, linię jego brody, kształt nosa — i gdy czuła w żyłach dziwny podniecający żar, a w łędźwiach nieznane jej łaskotanie — tłumaczyła sobie, że źródłem tego wszystkiego jest jej obsesyjne pragnienie, by sprowadzić do Miasta deszcz. Jakal rozkazał przecież, by sprowadziła deszcz. Te uparcie wracające myśli i obrazy mają jedynie przypominać o zadaniu, które jej powierzył.

Córka zwykłego kupca nie mogła w inny sposób myśleć o władcy Miasta.

Kiedy wstawiła dzban do pieca, garncarki przyszły, by się z nią modlić i czuwać. Przyłączyła się też cała służba i razem czekali, aż ogień zmieni się w popiół. Wreszcie wyciągnęła naczynie, którego ścianki mieniły się złotem brzasku, a wzory płonęły czerwienią zmierzchu. Wszyscy zarzekali się, że to najpiękniejsze dzieło, jakie widzieli.

Następnie Hoszitiwa z nabożną czcią przeniosła je do pracowni cechu i postawiła na półce obok innych dzbanów. Tym razem jednak, gdy kapłani Tlaloca wychwalali pod niebiosa naczynie Hoszitiwy, Mokihik stał bez słowa z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie potrafiła przeniknąć.

Kiedy jej dzban został wybrany i w wigilię przesilenia stanął na dziedzińcu, modliła się jak nigdy przedtem. Wiedziała, że po raz kolejny jej życie wisi na włosku. Jeśli jutro nie spadnie deszcz, będzie skazana na śmierć, a wojownicy wyruszą na północ i wyrzną w pień jej osadę.

Na placu — w żarze lejącym się z bezchmurnego nieba — trwały nieustanne tańce przywołujące deszcz. Ludzie modlili się, oddawali bogom swoje skąpe porcje kukurydzy, a najwyżsi kapłani w towarzystwie dostojników i jaguarów usiłowali przebłagać zagniewane bóstwa, składając ofiarę na ołtarzu krwi — zabijając nieszczęśnika przeznaczony do kopalni obsydianu.

Na oświetlonym setkami pochodni placu tańce i obrzędy trwały do późnej nocy. Potem nad miastem zapadła cisza. Ludzie położyli się na swoich trzciniowych matach i próbowali nie myśleć, że niebo jest zbyt rozgwieżdżone, by spadł z nie-

go deszcz. Jutro przypada letnie przesilenie. Dzień dłuższy od nocy. Zwiastun upalnej pogody.

Skrajności. Brak równowagi w naturze. A na polach usychała kukurydza.

ROZDZIAŁ 21

Xikli, dowódca jaguarów, bez słowa obserwował czwórkę swoich najlepszych ludzi. Szykowali się i malowali ciała staranniej niż zwykle, głośno odmawiając modlitwy. Pościli od świtu. Im bowiem powierzono świętą misję.

Wreszcie gdy zbliżał się brzask, Xikli dał znak. Wojownicy wyszli z baraków i bezszelestnie skradali się przez uśpione miasto do pomieszczeń, w których spała dziewczyna z północy.

Dziewczyna, która poniżyła ich bogów i pozbawiła ich ofiary krwi.

Tym razem, poprzysiągł w duchu Xikli, nikt im nie przeszkodzi; kapłani, Jakal ani kamienie dyndające na nitce. Kiedy w dniu przesilenia nad Miastem błysnie pierwszy promień, schwytają dziewczynę, zawloką na dziedziniec i tam w palącym porannym słońcu — bowiem z pewnością nie przesłonią go deszczowe chmury — rozciągną ją na kamiennym ołtarzu i wyrwą jej serce.

Tymczasem nieświadoma obecności ukrytych w mroku jaguarów Hoszitiwa spała na macie pod dachem z wierzbowych witek, osłaniającym kuchenny dziedziniec. Obok chrapała służba kuchenna: kucharz, podkuchenne, rzeźnik, kobiety mielące na żarnach kukurydzę i odpowiedzialne za robienie placków. Wszyscy spali niespokojnie, kręcąc się i wiercąc, a każdy śnił o deszczu i obfitych zbiorach.

Hoszitiwie śnił się Ahote. Nie ten okaleczony przez kapłanów, ale zdrowy, nie pozbawiony męskości. Piaszczystą ścieżką szedł do bezpiecznego kanionu, gdzie od pokoleń stała ich osada. Jej matka — zaskoczona i uradowana — podniosła wzrok, a do chłopca podbiegła uszczęśliwiona rodzina. Ojciec, wujowie i ciotki ściskali go, śmiali się, podawali mu jedzenie i picie, podekscytowani ciągnęli go do ognia, by opowiadał o Hoszitiwie i Mieście. Scena była tak wzruszająca, że Hoszitiwa płakała przez sen. Łzy toczyły się po policzkach, kapały na matę. Było ich tyle, że przemoczyły nawet ubranie. Wilgoć obudziła dziewczynę. Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że to nie ona płacze, lecz niebo. Gęste burzowe chmury⁷ przesłoniły gwiazdy i nad Miastem rozpętała się ulewa.

Zerwała się z maty, nie dostrzegając nawet pięciu zaskoczonych jaguarów, którzy wyszli z ukrycia i zdumieni spoglądali w górę. Tak jak pozostali mieszkańcy Miasta pędziła na dziedziniec przed świątynią. Tam lud już tańczył i śpiewał radośnie, wyciągając ramiona i odchylając głowy, całym ciałem chłonąc błogosławioną wodę. W dolinie ludzie wystawiali deszczowe dzbany i szczelne kosze na wodę, brodzili w strumieniu, który wreszcie obudził się do życia i płynął wartkim nurtem. Zrzucali ubrania i wystawiali ciała na deszcz.

Xikli i jego żołnierze skrzywili się, potem zaśmiali się radośnie i popędzili do baraków, by tam wykonać swój własny rytualny taniec.

Mroczny Pan po raz pierwszy od dwóch tygodni pokazał się ludowi. Stał na placu z wyciągniętymi ramionami. Deszcz spływał po jego imponującym pióropuszu i płaszczu z piór. Pochodnie zamigotały i zgasły, mimo to lud widział sylwetkę władcy i połyskujące złote bransolety na jego ramionach. Jąkał zaczął śpiewać hymn dziękczynny i natychmiast przyłączyły się do niego tysiące głosów, całym sercem wychwalające bogów, którzy zesłali upragniony deszcz.

Hoszitiwa radośnie ściskała Jani i pozostałe garncarki, gdy nagle obok niej wyrósł jaguar. Ulewa zmyła mu farbę z twarzy, przemoczyła skórę wielkiego kota. Chwycił dziewczynę za ramię i powłókł za sobą przez tłum, który na moment rozstępował się przed wojownikiem, by potem znów radośnie tańczyć.

Ku jej zdumieniu jaguar zaprowadził ją do głównego wejścia pałacu, z którego korzystał tylko książę. Wepchnął ją do środka, po czym stanął na dziedzińcu, trzymając straż.

Kiedy jej oczy oswoiły się z blaskiem pochodni, zobaczyła władcę siedzącego na imponującym drewnianym, bogato zdobionym tronie. Nie miał na sobie już pióropusza ani płaszcz, tylko przepaskę biodrową z karmazynowej bawełny przetykanej złotą nicią. Na jego opalonym torsie, wciąż lśniącym od deszczu, wisiał srebrny naszyjnik wysadzany obsydianem. Dwóch niewolników rozczesywało jego długie mokre włosy.

— Wreszcie! — zawołał, zrywając się z tronu. Niewolnicy drgnęli przestraszeni. — Sprowadziłaś deszcz!

Spojrzała na niego zaskoczona. Od tak dawna go nie widziała z bliska. Ucieszyła się, że jest cały i zdrowy.

— Ja i moje siostry z cechu garncarek, i kapłani, którzy odprawiali nabożeństwa, i tancerze, którzy przywoływali deszcz, i cały lud, który nieustannie się modlił, panie.

Roześmiał się radośnie.

— Nigdy nie zrozumieję ludu słońca! Dlaczego tak nienawidzicie pochwał i uparcie podkreślacie, że wszyscy są równi? W Tuli chwalimy zdolnych rzemieślników i wywyższamy ich ponad innych. W Tuli sprytni i przedsiębiorczy obywatele są sownie nagradzani, reszta zaś jest to tylko pył i proch pod ich stopami.

Serce biło jej tak mocno, że zagłuszało grzmot ulewy. Czyżby zapomniał o ich starciu sprzed dwóch tygodni, gdy jej zwycięstwo oznaczało jego klęskę? Gdy uderzył ją tak mocno, że rozciął jej wargę?

Niewolnicy odeszli i Hoszitiwa została z księciem sama w komnacie. Tu biło serce władzy Miasta. To tutaj *tlatoani* podejmował ważnych gości, spotykał się z najwyższymi kapłanami i odbywał narady z dostojnikami.

— Możesz wybrać swą nagrodę za sprowadzenie deszczu — powiedział z uśmiechem.

Wyjął pochodnię z uchwytu i ruchem ręki nakazał dziewczynie, by poszła za nim.

Hoszitiwa знаła układ tego poziomu pałacu, Jakal jednak zaprowadził ją na klatkę schodową, z której nigdy nie korzystała. Kiedy pięli się po stopniach, zastanawiała się, dokąd idą.

W wąskim korytarzu nie było słychać plusku deszczu ani śpiewu tłumów. Dziewczyna z trudem nadażala za wyraźnie rozradowanym Jakałem, który przekakiwał po dwa stopnie na raz. Schodom nie było końca, ale jej to nie przeszkadzało. Zrozumiała, że poszłaby za nim wszędzie.

Zewnętrzny taras piątego piętra należał do służby, lecz komnaty stanowiły wyłączną własność księcia i nikt nie miał do nich wstępu. Jakal i Hoszitiwa na moment wyszli na zewnątrz. Dziewczyna aż się zachłysnęła na widok tonącego w deszczu Miasta, ludzi radośnie chlapiących się w wodzie, bawiących się w kałużach, pijących deszcz i tańczących zapamiętałe, oraz kapłanów nieustannie wyśpiewujących hymny dziękczynienia.

— Tędy! — zahuczał Jakal i poprowadził ją przez komnaty, z których każda była piękniejsza od poprzedniej.

Pierwsza była komnata piór. Jedną ścianę pokrywały tam pióra złocistożółte, drugą pióra we wszystkich odcieniach niebieskiego wplecione w kobierce lub zwisające z festonów, trzecią i czwartą zaś — czerwone i oślepiające, czysto białe.

Następnie przeszli do skarbcza, od podłogi po sufit wypełnionego obsydianem we wszelkich odcieniach, kształtach i postaciach: od brył wielkich jak męska pięść po starannie oszlifowane i wypolerowane kamienie.

Wreszcie Jakal zaprowadził ją na dach nad piątym poziomem i pokazał olbrzymią klatkę zrobioną z drewnianych prętów. Hoszitiwa nigdy jeszcze nie widziała tylu niezwykłych ptaków.

— Wybieraj, co chcesz — oświadczył, rozkładając ramiona, jakby ofiarowywał jej cały świat. — Ta, Która Sprowadza Deszcz, dostanie wszystko, czego zażąda.

Hoszitiwa wpatrywała się w niego oszołomiona. Ten promienny uśmiech, energia... Wydawało się, że gdyby tylko zamachał ramionami, wzbiłby się w niebo. To było zaraźliwe. Poczula, że sama śmieje. Nagle księżę spoważniał.

— Ja to zrobiłem — powiedział cicho.

Poczula jego palec na brodzie. Choć rana zagoiła się i została po niej ledwie widoczna blizna, dotyk księcia palił jak uderzenie pioruna.

— Nie wiem, dlaczego cię uderzyłem.

Ściągnął gęste brwi, jakby przywoływał wydarzenie sprzed wielu lat, którego szczegółów już nie pamiętał.

Hoszitiwa jednak nie chciała wracać do tamtego dnia. Miała wrażenie, że tamta konfrontacja — zwycięstwo jednego i klęska drugiego — dotyczyła dwójga obcych, nieznanych jej ludzi. Popatrzyła na ptaki w klatce.

— Coś mi przypominają.

Oczy księcia były pochmurne jak niebo nad nimi. On też wracał pamięcią do wydarzeń sprzed dwóch tygodni, gdy był o włos od utraty władzy. Teraz deszcz odbudował jednak jego autorytet.

— Co ci przypominają?

—Piękne kobiety, które towarzyszą ci w czasie rytuałów w świętym zagajniku, panie. Są takie piękne. Przy nich czuję się taka niepozorna...

—Szare, niepozorne ptaki są silniejsze od tych kolorowych i rzucających się w oczy. Lepiej znoszą śnieg, upał i deszcz, powódź i suszę. Są silne i uparte. Potrafią przetrwać wszystko. Te ptaki zaś — wskazał egzotyczne stworzenia mieniące się barwami tęczy — mimo swego piękna i cudownego upierzenia są delikatne. Wypuszczone na wolność zginęłyby marnie.

Przerwał i przyjrzał jej się uważnie.

— Ty jednak, choć porównujesz siebie do szarego ptaka, wcale nie jesteś zwyczajna. Nie zapominaj też, że te niepozorne istoty cudownie śpiewają, swą pieśnią radując nasze uszy.

Ulewa niczym gruba ściana oddzielała ich od zewnętrznego świata. Osłonięci od deszczu nagle znaleźli się w małym własnym świecie, w którym byli tylko oni. Jakal przysunął się do Hoszitiwy. Mogła z bliska przyjrzeć się księciu, którego kiedyś nienawidziła i nazywała potworem. Widziała każdą najmniejszą bliznę na jego ciele, wilgotne czarne kosmyki włosów, obojczyk, na którym wciąż lśniły krople deszczu.

On zaś nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny, która umniejszała swą urodę i znaczenie, choć spod jej dłoni wychodziły prawdziwe cuda.

— Wybieraj — wyszeptał głosem cichym jak szum deszczu. — Dostaniesz, co tylko zechcesz.

Chłoneła wzrokiem ten obraz — potęga natury podkreślała potęgę człowieka. Emanował taką siłą i energią, że Hoszitiwa czuła się w jego obecności słaba i bezbronna. Jakal sprawiał, że serce podchodziło jej do gardła, w piersi brakowało tchu, a krew dudniła w żyłach. Sama nie rozumiała, co się z nią dzieje. Kiedy czuła na sobie spojrzenie jego ciemnych oczu, miała wrażenie, że duch opuszcza jej ciało i wzbija się wysoko ku słońcu.

— Chcę wrócić do domu — powiedziała.

W oczach księcia coś zamigotało. Wokół szalał deszcz i wiatr, szarpiąc jego włosami niczym czarnymi proporcami na dzidach jaguarów. Hoszitiwie wydawało się, że dostrzega w spojrzeniu władcy gniew. Nie wiedziała, że to serce zakolała-tało mu z przerażenia, gdy zrozumiał, że może ją stracić, i w tej samej chwili uświadomił sobie, że chętnie ofiarowałby jej to wszystko, co jej pokazał: pióra, obsydian i egzotyczne ptaki, a nawet znacznie więcej, byleby tylko została.

Dał jednak słowo.

— Zatem wrócisz — odrzekł, obrócił się na pięcie i poprowadził ją na dół.

Hoszitiwa nie posiadała się z radości. Znowu zobaczy matkę i Ahotego! Przywiezie wszystkim bawełniane szaty, srebrne puchary i ozdoby z obsydianu! Kiedy zdradzieckie serce ścisnęło się z bólu na myśl o rozstaniu z Jakalem, zignorowała to i powtórzyła w duchu, że najbardziej w świecie pragnie wrócić do domu.

Tymczasem do komnaty na dole, gdzie na drążku siedział Czi Czi, służba wniosła naczynia z gęstym brązowym napojem, sporządzonym z ziaren rosnących w dżunglach daleko na południu. Napój okazał gorzki i wcale jej nie smakował. Jakal nazywał go *chocolatl*. Pił zamyślony, milczący. Hozziti-wa zastanawiała się, skąd ta nagła zmiana nastroju. Na górze był taki wylewny, teraz zaś zamknął się w sobie.

— Czy wolno zadać pytanie memu panu?

Drgnął i spojrzał na nią. W jego wzroku malowała się melancholia. Czyż nie powinien się radować, że spadł deszcz?

— Dlaczego uwolniłeś Ahotego, panie? Nie musiałeś zdawać się na decyzję bogów.

Odstawił puchar.

— Zrobiłem to dla dobra poddanych. Uwolniłem chłopca, by sprowadzić deszcz.

W półmroku i migotliwym blasku pochodni Hozziti-wa nie widziała tęsknoty, która wyzierała z jego oczu. Nie wiedziała, jaka burza szalała w jego sercu, gdy myślał o miłości tak silnej, że jakaś dziewczynina była gotowa oddać życie, by ocalić syna chłopów.

Pomyślał o swojej żonie, w dzieciństwie przysłanej z Tuli wysoko urodzonej pannie, wybranej przez rodzinę na jego małżonkę. Kiedy zmarła, wydając na świat dziecko, nie zostawiła po sobie ni miłości, ni żalu. Jakal nie potrafił sobie przypomnieć, by ktokolwiek poruszył jego serce. A z całą pewnością nie pamiętał, by chciał dla kogoś oddać życie.

—Dlaczego czcicie Gwiazdę Poranną i Wieczorną? — zapytała Hozziti-wa.

—A dlaczego wy czcicie słońce?

—Słońce daje życie.

Jakal wstał z tronu i podszedł do wyjścia prowadzącego na zalany deszczem dziedziniec.

— Nie czcimy samej gwiazdy, lecz człowieka, którym niegdyś była, i boga, którym się stała. — Popatrzył na dziewczynę i podjął: — Dawno temu, kiedy moi przodkowie żyli w mieście zwanym Teotihuacan, władał nim dobry król imieniem Quetzalcoatl. Narodził się z dziewicy, bogini Coatlicue, podarował nam księgi, kalendarz i kukurydzę. Nauczył, że uprawianie kwiatów jest świętą czynnością. Sam spalił się na stosie, a jego prochy przybrały postać Gwiazdy Porannej. Obiecał też, że pewnego dnia powróci. Przybędzie z krainy ze wschodu i odbuduje wiarę swego ludu. Gwiazda pojawiająca się rano lub wieczorem przypomina nam o jego obietnicy powrotu i zaprowadzenia złotej ery.

Jakal wziął do ręki złoty medalion — jeden z wielu ozdabiających jego tors.

— Ten kwiat — powiedział — w moim języku nazywany *xochitl*, mój przodek otrzymał od samego Quetzalcoatla. W wisiorze znajduje się kropla krwi boga.

Hoszitiwa podziwiała mistrzowską robotę rzemieślnika: sześć idealnych złotych płatków, a w środku niebieskie oczko z obsydianu. Za nim, jak wyjaśnił Jakal, znajdował się pojemniczek z kroplą świętej krwi.

Czi Czi sfrunął z drążka, zatoczył parę kół pod sufitem i przysiadł na nadgarstku Jakala. Przechylił łebek i zaskrzeczał „Xochitl!”.

Jakal roześmiał się, wybrał kawałek soczystej opuncji i podał papudze.

— Po czym go rozpoznacie? — dopytywała się Hoszitiwa z nieudawanym zainteresowaniem. — Wiecie, jak wygląda Quetzalcoatl?

— Wiemy, że jest wysoki, ma białą skórę i brodę, a przybędzie ze wschodu.

Ogarnęła ją niewytłumaczalna radość, że wierzenia Jakala pokrywają się z jej wiarą.

— My także czekamy na powrót kogoś, kto przed wiekami chodził pośród nas. U nas nazywa się on Pahana. Dawno temu żyło dwóch braci, którzy zostali rozłączeni. Czerwono-skóry brat został tutaj, biały zaś, imieniem Pahana, wyruszył ku wschodzącemu słońcu, obiecując, że pewnego dnia powróci i pomoże bratu sprowadzić na świat Oczyszczenie. Wtedy wszyscy źle czyniący zostaną pokonani, a na całej ziemi zapanuje pokój i braterstwo.

To zaintrygowało księcia. Hoszitiwa wydawała mu się fascynująca, odkąd podglądała go, gdy witał Gwiazdę Poranną, i nie padła rażona piorunem za świętokradztwo. Złamała jedno z największych tabu, a mimo to nie została ukarana. Dlaczego? Czy dlatego, że bóg pragnął jej obecności w tamtym miejscu? Życzył sobie, by widziała, jak wschodzi na niebie? Ale czemu?

—To nie przypadek, że tu dotarłaś. To działanie bogów, oni cię prowadzą.

—Jestem prostą garncarką, panie. Bogowie nie dostrzegają mego istnienia.

Przez chwilę ważył jej słowa, po czym odparł z żarem:

— Stanowisz dla mnie zagadkę, Hoszitiwo. Od kiedy Mokihik przywiózł cię do Miasta, co dzień o tobie myślałem. Z pozoru wydajesz się zwykłą chłopską córką. A przecież zostałaś obdarzona dłońmi i talentem, które muszą pochodzić od bogów. Żadne naczynia nie dorównują twoim złocistym dzbanom deszczowym. Nawet te, które widziałem w swej rodzinnej Tuli, a uważa się je za najpiękniejsze na świecie.

Ku jej zdumieniu ujął ją za dłonie i wpatrywał się w smukłe palce, w opuszki stwardniałe od wyrabiania gliny.

— Jakimż cudem są twe ręce — wyszeptał. — Zastanawiam się, czy to przeznaczenie cię tu przysłało. Czy bogowie postanowili, że masz się tu znaleźć? Być może właśnie to mówi nam dzisiejszy deszcz.

Bała się odetchnąć, tak przerażał ją jego dotyk i bliskość.

— Dlaczego Toltekowie zabijają i zjadają ludzi?

Spojrzał na nią zaskoczony.

—Wszak to naturalny porządek rzeczy. Lew pożera antylopę, czyż nie tak?

—Owszem, lecz nie wydaje mi się, by puma pożerała pumę.

To go zaskoczyło. Dopiero wtedy Hoszitiwa uświadomiła sobie, że Jakal nie uważa jej ludu za równego Toltekom. Stali niżej w porządku świata, tak jak antylopa stoi niżej od pumy.

Nie rozumiał więc, dlaczego te praktyki budzą w niej wstręt. W jego świecie były naturalne.

— Tego żądają bogowie. Chcą krwi. Jej zawdzięczają moc.

— Moi bogowie żądają kukurydzy.

Już miał na końcu języka, że jej bogowie są słabi, ale wtedy przypomniał sobie, jak stawiała mu czoło na dziedzińcu i — by ratować twarz — musiał uciec się do magicznej sztuczki, choć ona o tym nie wiedziała. Zaczął się nawet zastanawiać, czy jej bogowie nie odegrali jakiejś roli w jego decyzji tamtego dnia.

Spojrzał dziewczynie w oczy. Tęczówki — gładkie kamienie w wartkim strumieniu. Podłużne oczy — liście drzew w jego dalekiej ojczyźnie. Dopiero teraz dostrzegł, że Hoszitiwa jest piękna. Owszem, nie miała urody rozpieszczonych eleganckich arystokratek z Tuli. Przywodziła na myśl raczej dojrzałe pola kukurydzy, żyzną glebę i życiodajny deszcz, który właśnie nawadniał ziemię.

W jego sercu obudziło się uczucie, jakiego nigdy nie zaznał, a lędźwie przeszły mu dreszcz, który — jak sądził — dawno już umarł.

— Opowiedz mi coś jeszcze o swym świecie, panie — poprosiła nie z ciekawości, ale by znowu słyszeć jego głos. Uwielbiała ten głęboki tembr. Mogła bez końca patrzeć na jego poruszające się usta, na dłonie trzepoczące niczym para gołębi.

Z nostalgią zaczął więc wspominać Tulę. Potężne piramidy, pałace, domy i ogrody nad rzeką. Barwne święta. Piękne arystokratki w strojnych szatach.

— A gry! Ileż to razy przegrywałem lub zdobywałem fortunę, stawiając na zwycięstwo zielonej bądź czerwonej drużyny, gdy grali w piłkę!

Słowa księcia płynęły nieprzerwanym strumieniem niczym deszcz za ścianami, aż znużona zasnęła na trzciniowej macie. Śniło jej się spotkanie z rodziną, jak przynosi dary, pożywienie i błogosławieństwo władcy. Kiedy się obudziła, leżała pod ciepłą narzutą z piór.

Księżę Jakal zniknął.

Przez labirynt korytarzy wyszła wreszcie na dziedziniec, spodziewając się pochmurnego, deszczowego dnia. Dlatego nie wierzyła własnym oczom, gdy ujrzała oślepiające słońce i czyste niebo. Wszystko było suche, jakby ziemia żarłocznie pochłonęła całą deszcz, niczego nie zostawiając dla ludzi. Nawet strumień znów płynął anemiczną wąską smużką. Ocalał tylko ten deszcz, który wpadł do wystawionych na zewnątrz naczyń. W miarę jednak jak zaczynało przygrzewać słońce, cenna woda parowała i ludzie w popłochu chowali je do mieszkań.

Zdruzgotany książę stał na placu. Hoszitiwa podeszła do niego. Kiedy na nią spojrział, w jego oczach malował się nie tylko zawód i smutek, ale również rozczarowanie. Bezradnie patrzyła, jak gaśnie w nich ostatni ognik życia.

Z płaskowyżu wrócili zwiadowcy. Na horyzoncie nie było ani śladu chmur. Deszcz przyszedł na krótko. Mokihik powiedział, Jakalowi, że w strugach wody dostrzegł *coyotla*.

— Ten najbardziej złośliwy z bogów śmiał się z nas. *Coyotl* zadrwił z nas sobie.

ROZDZIAŁ 22

Tymczasem wiele miesięcy wcześniej z odległej Tuli wyruszyło na północ pięćdziesięciu silnych i mężnych wojowników. Bez strachu pokonywali góry i rzeki, przedzierali się przez dżunglę, znosili upał i mróz, lecz okazali się bezsilni wobec jadowitych wężów, dzikich zwierząt i chorób, które bezlitośnie ich dziesiątkowały. W końcu tylko jeden, na skraju wyczerpania, dowlókł się do Miasta, gdzie został znaleziony i przyprowadzony przed oblicze Mrocznego Pana.

Przed śmiercią zdążył wyszeptać tylko kilka słów.

— Tuła spalona. Nic nie zostało z naszych pięknych świątyń, piramid i pałaców. Aztekowie.

Kiedy Miasto zapadło w sen i Hoszitiwa przewracała się z boku na bok nękana koszmarami, a kolejni mieszkańcy— których zniknięcie zostanie ogłoszone następnego ranka —w pośpiechu pakowali skromny dobytek i opuszczali przeklętą dolinę, szukając lepszych ziem na północy i zachodzie, księżę Jakal wezwał swojego sprawdzonego przyjaciela i doradcę.

— Nasze imperium upadło — powiedział cicho, gdy Mo-kihik wszedł do komnaty. — Zostaliśmy bez władcy, stolicy, ludu.

Mokihik osunął się na kolana i przycisnąwszy głowę do kamiennej posadzki, głośno zapłakał, przywołując bogów Tolteków.

— Nasz czas tutaj dobiegł końca — ciągnął smutno Jakal. — Wracaj do domu i spróbuj odszukać naszych rozproszonych braci. Weź ze skarbca obsydian, pióra, całe bogactwo, jakie tu zgromadziliśmy, i jedź. Może w Chichen Itza znajdziesz rodzinę.

Uściskali się, a potem pili *pulque*, oplakując koniec dobrych dni. Rankiem Mokihik zaczął pakować obsydian, pióra, sól i srebro — a zebrało się tego tyle, że potrzebny był oddział stu niewolników — po czym wyruszył do krainy przodków. Zanim jednak na zawsze opuścił Miasto, złożył jeszcze jedną wizytę, o której nie wspomniał władcy.

Wyrwana ze snu Hoszitiwa — karawana bowiem wyruszała w nocy — skłoniła się Mokihikowi, ale nie uklękła przed nim.

—Mój władca wierzy, że twoja obecność w Mieście jest wolą bogów i że oni cię tu sprowadzili. Być może to prawda — oznajmił wyniośle. — Czemu jednak służy twoja obecność: dobru czy złu, tego nie wiemy. Mogłaś zostać przysłana, by zniszczyć Miasto.

—Bądź je ocalić — odrzekła ze spokojem. Mokihik nie budził już w niej trwogi.

—Jest coś, o czym nie wiesz. Księżę uwolnił chłopca, który zbecześcił święte miejsce, zagajnik bogów. Nie mogłem na to pozwolić, bowiem jeśli bogowie

nie otrzymają ofiary z krwi, na świat spada chaos. Bałem się, że decyzja o wypuszczeniu chłopca rozgniewa bóstwa i zburzy harmonię. Teraz jednak wiem, że to ja zachwiałem równowagę świata, postępując wbrew woli mego pana. Nie ma ładu bez posłuszeństwa.

Wciąż nie rozumiała, o co chodzi dostojnikowi.

— Chłopiec nie odzyskał wolności — wyjaśnił. — Posłałem za nim jaguarów. Schwyтали go, wzięli do niewoli i sprzedali do kopalni obsydianu na północy, by do końca swego krótkiego żywota pracował ponad ludzkie siły.

ROZDZIAŁ 23

Hoszitiwa z ciężkim sercem szła korytarzami wiodącymi do komnaty księcia Jakala. Zamierzała prosić, by pozwolił jej wyruszyć na poszukiwanie Ahotego. Postanowiła zataić, że prawdę o strasznym losie chłopca zna od Moki-hika i że doradca postąpił wbrew woli swego pana.

Jakal siedział na tronie przygnębiony i zadumany. Towarzyszył mu tylko Czi Czi, przycupnięty na drążku. Zdumiona dziewczyna zobaczyła łzy płynące po policzkach władcy.

— Dlaczego płaczesz, panie? — wyszeptała.

— Nic nie mogło się równać z Tulą! Jej świątynie są pokryte złotem, srebrem, koralem i piórami! Jej blask oślepia oczy śmiertelnika! — Otarł z policzka łzę. — Lecz dziś już nic z tego nie zostało! Miasto obróciło się w proch! A wszystko to przeze mnie! — krzyczał z ogniem w oczach. — Moki-hik miał rację! Dałem ci się opętać! Stałem się słaby.

— O czym ty mówisz, panie? — spytała przerażona.

— Twierdziłem, że zmiłowałem się nad chłopcem dla dobra poddanych — podjął zduszonym głosem. — Ze uwolniłem go, by sprowadzić deszcz. Mokihiik jednak dostrzegł to, do czego nawet przed sobą nie potrafiłem się przyznać. Wypuściłem chłopca, by sprawić radość tobie. Ponieważ cię pragnąłem. Swe samolubne chuci przedłożyłem nad dobro ludu, nad wolę bogów! — krzyknął. — A teraz wszyscy ponosimy karę za moje zbrodnie.

— Nie! — zawołała, kładąc mu rękę na ramieniu. — Ten, kto okazuje współczucie, nie popełnia zbrodni. Panie, Ahotem nie wiedział, że wchodzi do sanktuarium. Jest prostym chłopcem, synem zwykłego chłopca, jak sam rzekłeś. Przybył tu z miłości do mnie i nieświadomie zbezcześcił miejsce poświęcone bogom. Nie wierzę, że byliby tak okrutni, by żądać krwi niewinnego!

Jakał zerwał się z tronu, chwycił ją za ręce, przyciągnął do siebie i zamknął w żelaznym uścisku. Szłochał w jej włosy, na karku i ramionach czuła jego łyzy. Oplotła go ramionami i mocno przytuliła, płacząc wraz z nim, jakby swoimi łzami chciała zmyć cały jego ból i cierpienie. Jak strasznie teraz żałowała, że nie może cofnąć czasu, ostrzec Ahotem, powstrzymać go przed złamaniem tabu.

Utrata Tuli i najlepszego przyjaciela, upadek jego dumnego imperium, poczucie, że został oszukany przez bogów — całą swoją rozpacz i ból Jakał przelał w pocałunek, którym zmiażdżył wargi dziewczyny. Lecz w tym pocałunku było też pragnienie i dotkliwy głód, jakiego nigdy przedtem nie czuł.

Hoszitiwa zaś zapomniała o Ahotem i o przeszłości. Został tylko Jakał, jego twarde mięśnie, parzący dotyk miedzianej skóry i jej imię szeptane na przemian z obcymi słowami. Położył ją na macie i wziął w ramiona. Płonęło w nich to samo pragnienie i pożądanie, więc poddała mu się — swojemu księciu, swojemu Mrocznemu Panu.

Później, gdy leżeli razem na trzcinowej macie, Jakał podparł się na łokciu i z zachwytem patrzył na cud zesłany mu przez bogów. Z jego oczu zniknęła melan-

cholia i smutek. Teraz promieniowały ciepłem, żarzyły się niczym drwa w ognisku.

— Czym zasłużyłem na taką łaskawość bogów? — zapytał cicho, gładząc Hoszitiwę po głowie. — Całe życie byłem samotny. Wychowałem się w pałacu, otoczony przyjaciółmi i służbą, a mimo to zawsze czułem się opuszczony. Może dlatego, że jestem *tlatoani* i zawsze wiedziałem, że przede wszystkim muszę myśleć o swoim ludzie, rodzinie i bogach. Nawet mi na myśl nie przyszło, że winienem również troszczyć się o własne serce. Nie kochałem mojej żony ani ona mnie. Nikt zresztą tego nie oczekiwał. Pobraliśmy się, ponieważ takie było życzenie naszych rodzin. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jaki smutek mnie drażży, póki nie poznałem, ile radości przynosi jedna chwila z tobą. Czuję się, jakby chmura przesłaniająca słońce zniknęła. Po raz pierwszy widzę, na czym polega prawdziwe życie. Choć pochodzimy z różnych światów i czcimy różnych bogów, od tej pory już nigdy się nie rozłączymy. Nie miałem pojęcia, jak wygłodniałe było me serce. Teraz jednak, gdy poznało smak sytości, nigdy nie zapomni tamtego głodu. Pragnę, byś była szczęśliwa. Sprawię, że będziesz szczęśliwa.

Zdjął naszyjnik i zawiesił go na szyi Hoszitiwy.

— Jak wiesz — oznajmi! z wielką powagą — jest niezwykle star)' i święty. Posiada nadzwyczajną moc, ponieważ znajduje się w nim święta krew Quetzalcoatla. On pomoże ci sprowadzać deszcz.

Talizman był piękny. W złotym kwiecie spoczywającym w zagłębieniu jej dłoni tańczyły promienie porannego słońca zagląającego do komnaty, w której spali. Hoszitiwa z zachwytem podziwiała precyzję klejnotu. Kiedy jednak odewała wzrok od wisiorka i spojrzała Jakalowi w oczy, zauważyła coś, czego jeszcze przed chwilą tam nie było. On nie wierzy, że sprowadzę deszcz — pomyślała.

W przeciwieństwie do niego Hoszitiwa czuła, że uda jej się tego dokonać dzięki mocy podarowanego naszyjnika, a kiedy spadną deszcze, jej pan odzyska wiarę. Jakże jednak mogła tu zostać, skoro Ahote cierpiał w kopalni obsydianu? Którą drogę powinna wybrać? Odejść i uratować Ahotego czy zostać i uratować Jakala?

W końcu wygrało poczucie obowiązku wobec Miasta i jego władcy. Odma-
wiając w duchu krótką modlitwę, by chłopak wciąż wtedy żył, powzięła decy-
zję, że wyruszy na poszukiwania Ahotego, kiedy wrócą deszcze.

ROZDZIAŁ 24

Hoszitiwa przez całe upalne lato pracowała nad jednym deszczowym dzba-
nem. Tymczasem przedłużająca się susza, brak zwierzyny, kurczące się zapasy
żywności i śmierć, coraz częściej zabierająca dzieci i starców, sprawiły, że ludzie
zaczęli tracić wiarę w bogów. Gospodarstwa pustoszały, w nie których dolinach
nie było już żywego ducha, a wiatr hulał w porzuconych domostwach.

Nawet wśród jaguarów zdarzały się przypadki dezercji. Ci, którzy nie chcieli
służyć słabemu *tlatoani*, postanowili wrócić do swej zrujnowanej stolicy na po-
łudniu. Na ich czele stanął Xikli, rezygnując z zamiaru poświęcenia dziewczyny
bogom, wychodząc z założenia, że skoro księżę wziął ją sobie do łóża, przekleń-
stwo spadnie na nich oboje i bez jego udziału. Ci, którzy pozostali, zrobili to wy-
łącznie ze ślepej lojalności, tak silnie wrośniętej w ich twardą skórę, że nie wy-
obrażali sobie, by mogli postąpić inaczej.

Nawet Jani przysłała się pożegnać — Jani, której przodkowie tutaj się urodzili.
Zamierzała z garncarkami szukać nowego miejsca.

— Chodź z nami, dziecko.

Hoszitiwa jednak nie mogła opuścić Jakała. Jego utrata wiary ją przerażała,
bowiem to z niej czerpał całą swoją siłę. Bez wiary był bezsilny. Dziewczyna już
dostrzegała pierwsze sygnały, że opuszcza go witalność i chęć do życia. Dlatego

ugniatając glinę i szykując barwniki, dotykała *xochitla* i modliła się, by bóg Quetzalcoatl sprowadził do Miasta deszcz.

ROZDZIAŁ 25

Minęło jesienne zrównanie dnia z nocą, po raz pierwszy od dawna świętowane bez wesołości. Coraz mniej ludzi uczestniczyło w obrzędach. Coraz dotkliwiej też dało się odczuć nieobecność Mokihika. Hozzitiwa co noc zasypiała w ramionach księcia Jakała, czując, jak jego melancholia się pogłębia. Gwiazda Wieczorna świeciła jaśniej i jaśniej, aż nabrała takiego blasku, że zastępowała księżyc i rzucała cień na ziemię. Hozzitiwa uparcie pracowała nad dzbanem.

Ludzie gromadnie opuszczali Miasto. Teraz już nawet nie pod osłoną nocy, lecz w biały dzień. Kukurydza nie obrodziła i mieszkańcy okolicznych wiosek dostarczyli jej znacznie mniej, niż wynosiła danina. Kiedy gwardia najechała kanion, by przelać krew w ofierze dla bogów, zastała tylko puste osady i porzucone gospodarstwa.

Wreszcie Gwiazda Wieczorna zniknęła na zachodzie i rozpoczął się okres, którego władcy Miasta najbardziej się obawiali — czas znany jako Osiem Dni, kiedy Ouetzalcoatl zaglądał w serca wyznawców, oceniał ich uczynki, upewniając się, czy zasługują na jego powrót.

Którejś nocy Hozzitiwę obudził zapach spalenizny. To płonęły baraki jaguarów. Po wojownikach nie było ani śladu. Czy sami podłożyli ogień, by mieszkańcy nie wykorzystali zostawionych tam przedmiotów do rzucenia na nich złego czaru? A może nieliczni już mieszkańcy Miasta puścili z dymem znie-

nawidzony symbol tyranii i okrucieństwa? Tego Hoszitiwa nie wiedziała, miała jednak pewność, że gwardia nie powróci.

Gdy księżę rozpoczął swoje czuwanie na płaskowyżu nad Miastem, co dzień wyglądając Gwiazdy Porannej — jak to czynił dziewiętnaście miesięcy temu, kiedy Hoszitiwa została zabrana z rodzinnego domu — garncarka zaczęła ozdabiać dzban. Nie szykowała go na uroczystość zimowego przesilenia, od którego dzieliły ich jeszcze dwa miesiące, lecz na obchody narodzin Ouetzalcoatla, którego święta krew pomagała jej w lepieniu deszczowych dzbanów.

Wtedy Jakal zachorował.

Ponieważ choroba zrodziła się w duszy, żadne leki nie mogły mu pomóc. Księcia doglądali kapłani i ich pomocnice, byli jednak bezradni. Tylko Hoszitiwa, która nawiedzała go nocą, by dzielić z nim matę, potrafiła obudzić w nim iskrę życia. Z czasem nawet i ona nie potrafiła wyrwać swego pana z letargu.

— Idź — powiedział. — Odszukaj rodzinę. Odszukaj swój lud.

On — nie mając dokąd wrócić — pogodził się z losem ostatniego *tlatoani* Miasta.

ROZDZIAŁ 26

Nadszedł ostatni z Ośmiu Dni. Tylko garstka mieszkańców została, by czekać w Mieście na powrót Gwiazdy Porannej. Nawet kapłani i ich pomocnice — na rozkaz Jakala, który kazał im ruszyć na południe i szukać rozproszonych Tolteków — opuścili świątynię.

Hoszitiwa była jedyną garncarką. Na dziedzińcu miał stanąć tylko jej dzban. Popołudniowe słońce prażyło ją w plecy, gdy szykowała jukowe pędzle i mieszała czerwony barwnik. Kiedy namalowała na glinie pierwszy pas, pomyślała o swoim umiłowanym Jakalu. Z każdą rodziną opuszczającą Miasto dusza powoli opuszczała jego ciało. Dziewczyna obawiała się, że kiedy ostatni mieszkaniec porzuci Miasto, jej pan umrze.

Ogarnęło ją poczucie takiej bezsilności, że ręka z pędzlem znieruchomiała. Nie mogła dalej malować. Popatrzyła na swój dzban i wreszcie zobaczyła, czym naprawdę był: daremnym wysiłkiem. Lud stracił wiarę, książę Jakal też. Czemuż zatem bogowie mieliby zesłać deszcz?

— To niesprawiedliwe! — krzyknęła. Jej głos odbił się echem w pustych korytarzach pałacu, po których już nie krzątała się służba. — Dlaczego nas karzecie? Po co mnie tu sprowadziliście, jeśli nie po to, bym sprowadziła tu deszcz? Dlaczego, o bogowie, jesteście tak okrutni?!

Nigdy nie czuła podobnej wściekłości. Roztrzaskam dzban — postanowiła. — Połamię na kawałeczki, które potem rozgniotę w pył pod stopami. Odwróć się od bogów i już nigdy nie będę ich czcić.

W oczach wezbrały jej gorzkie łzy rozczarowania. Kiedy ścisnęła naczynie, przygotowując się, by unieść je nad głowę i zniszczyć — ostatni deszczowy dzban w Mieście — łza skapnęła na ściankę i rozpuściła się w glinie.

Hoszitiwa znieruchomiała.

Wpatrywała się w powiększającą się wilgotną plamkę. Po chwili na glinę spadła druga łza. Hoszitiwa bez zastanowienia zanurzyła pędzel w barwniku i w miejscu, gdzie łzy wtopiły się w glinę, namalowała prostą kreskę. Następnie dodała krętą linię, kropkę i spiralę. Znowu zanurzyła pędzel. Dłoń poruszała się niezależnie od jej woli, jakby to pędzel kierował! dłonią, jakby wzory rodziły się gdzieś poza świadomością i wyobraźnią garncarki.

Hoszitiwa nie słyszała wiatru, nie czuła jego dotyku na skórze. Raz za razem pędzel zanurzał się w barwniku i wracał do dzbana, podczas gdy Hoszitiwa —

nieruchoma jak kamienny posąg — wpatrywała się w swoją dłoń pewnie malującą wzór na gładkiej ścianie.

Kiedy wreszcie odłożyła pędzel, wyprostowała bolące plecy i wyciągnęła zdętwiałe nogi, ze zdumieniem zauważyła, że na niebie świecą już gwiazdy. Przy pracy całkowicie straciła rachubę czasu.

Wreszcie spojrzała na wzór na dzbanie i jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziała.

Nie taki wzór zamierzała namalować. Właściwie to w ogóle nie był wzór. Nagle zrozumiała, dlaczego została przyprawiona do miasta.

Piec już od wielu godzin czekał przygotowany. Wsunęła do niego dzban i wyszeptała cichą modlitwę. Czekając, aż ogień tchnie w glinę życia, powiodła wzrokiem po płaskowyżu. Ściągnęła brwi.

Jakała tam nie było. Po raz pierwszy władca nie modlił się o powrót Gwiazdy Porannej. Jeśli gwiazda nie wróci ósmego dnia...

Hoszitiwa popędziła schodami na górę i stanęła na półce skalnej, na którą mógł wstępować jedynie książę Tolteków. Nisko urodzona chłopska córka z niepokojem wpatrywała się w niebo, ściskając *xochitl* Cjuetzalcoatla, z całego serca modląc się, by Gwiazda Poranna wróciła do Miasta.

I wtedy...

Iskra nad horyzontem. Kropka drżącego światła. Padła na kolana. Bóg jej ukochanego powróci! z krainy umarłych.

Popędziła, by zanieść wiadomość Jakalowi. Tupot jej stóp zakłócał ciszę gąsnej nocy. Wtem przypomniała sobie o dzbanie. Jeśli zbyt długo postoi w piecu, rozpadnie się.

O pierwszym brzasku wsunęła drewniane szczypce w ciepły popiół i wydobyła dzban na światło dzienne. Przewyższał urodą wszystkie naczynia, jakie do tej pory zrobiła i widziała.

Pobiegła korytarzami, nie mogąc się doczekać, kiedy pokaże księciu swój nowy deszczowy dzban.

— Mój panie! — zawołała. Spał na macie przykryty narzutą z piór. Ukłękła obok. — Mój panie... Mój najdroższy! Obudź się. Wzeszła Gwiazda Poranna!

Nie poruszył się. Jego powieki nawet nie drgnęły. Pierś nie podnosiła się ani nie opadała. Książę Jakal nie żył.

Przybyła za późno! Rzuciła się na niego ze szlochem. Jak los mógł być tak okrutny i zabrać go jej właśnie teraz, gdy zrozumiała, dlaczego bogowie ją tu przyprowadzili?

Wtedy usłyszała westchnienie. Odsunęła się. Pierś Jakala uniosła się i opadła. Powieki drgnęły.

Nie, jeszcze nie umarł, ale wszedł w czas konania, gdy oddech staje się nierówny, a puls tak słaby, że właściwie niewyczuwalny.

—Mój najdroższy! Umiłowany, twoja gwiazda zabłysła na niebie! Quetzalcoatl pojawił się na wschodzie.

—Urodziłem się — wyszeptał z trudem — by ujrzeć zmierzch świata. Teraz to wiem.

—Nie, najdroższy, urodziłeś się, by ujrzeć zaranie nowego świata. Błagam, nie odchodź. Muszę ci pokazać coś cudownego!

—Dla mnie i takich jak ja nie ma miejsca w owym nowym świecie, o którym mówisz — odparł. — Nazwałaś mnie kiedyś żądnym krwi i dzikim. Taki jestem. Orzeł nie może zmienić swej natury. Umiłowana — szepta! dalej — wierzyłem, że to przeznaczenie przyprowadziło cię do Miasta. Wierzyłem, że bogowie cię prowadzą. Dlatego nigdy nie spotkała cię krzywda. Szukałem znaków. Czekałem na mądrość, wskazówki od bogów. Nie otrzymałem ich i teraz wiem, że się myliłem. Życie to przypadek. Wszystkim, jak *wpatolli*, władza przypadek. Nic nie spoczywa w rękach bogów.

— Nie, najdroższy — tłumaczyła z twarzą zalaną łzami. — Dobrze myślałeś! Przynoszę przecudowne nowiny. Bogowie przemówili do mnie. Zaiste oni chcieli, żebym tu przybyła. Spójrz!

Wyciągnęła przed siebie złocisty dzban.

Oczy Jakala rozszerzyły się ze zdumienia. Podźwignął się i dotknął punkcika na skomplikowanym wzorze: drobnej ludzkiej sylwetki. Człowiek miał wyprostowane ramiona i nogi, każda kończyna zaś łączyła się z innym symbolem. Kiedy Jakal zobaczył, że człowiek w ręce ściska gwiazdę, spod powieki spłynęła mu zła. Uśmiechnął się.

— Jakież to... — szepnął i opadł na posłanie.

— Błagam, nie zostawiaj mnie.

— Nie mam woli, by zostać. — Jeszcze raz otworzył oczy, a na jego ustach pojawił się niemal niedostrzegalny uśmiech.

— Będę cię kochał przez całą wieczność — wyszeptał i zamknął oczy po raz ostatni.

Hoszitiwa wiedziała, że księżę Jakal, ostatni szlachetnie urodzony Toltek, nie żyje.

Ułożyła jego ciało, przykryła narzutą z piór. Następnie wrzuciła do nowego dzbana *xochitl* i zostawiła go u boku ukochanego.

Teraz musiała jeszcze wspiąć się na piąte piętro, otworzyć klatkę i wypuścić ptaki. Wyfrunęły i rozpierzchły się na cztery strony świata, wszystkie z wyjątkiem jednego. Mała zielona papużka zatoczyła krąg i sfrunęła na wyciągniętą rękę Hoszitiwy.

ROZDZIAŁ 27

Opuszczając Miasto z całym dobytkiem, zapasami jedzenia i zrolowaną matą na plecach, mijała porzucone domostwa. Wiele rodzin zostawiło kosze, naczynia, ubrania, sandały, nawet żywność. W niektórych domach widziała niepogrzebanych zmarłych. Nic nie mogła już dla nich zrobić. Ostatni raz posłuchała wiatru hulającego na dziedzińcu, spojrzała na promienie słońca wpadające do opustoszałych kiv. Wiedziała, że jest tutaj ostatnią żywą istotą. Po niej przez długie stulecia nie zajrzy tu żaden człowiek.

Pożegnała kanion. Zostały tam tylko duchy i wiatr nanoszący pył na pusty dziedziniec.

Czi Czi był jej jedynym towarzyszem w mozolnej wędrówce na północ. Nie opuszczał jej, gdy stawiała czoło niebezpieczeństwu, gdy słała się z głodu i pragnienia, gdy przerażona ukrywała się w jaskiniach. Ten piękny ptak był jedy-
ną pamiątką po mężczyźnie, którego kochała, i dodawał jej sił do walki.

Kiedy dotarła do rodzinnej wioski, w osadzie ani w kryjówce na skale nikogo nie znalazła. Napotkani wędrowcy powiedzieli jej, że wszyscy podążają na północ. Domyśliła się, że tam odnajdzie rodzinę.

Po drodze dotarła też do kopalni obsydianu, do której sprzedano Ahotego. Tam dowiedziała się, że nadzorcy uciekli, zostawiając niewolników zamkniętych w klatkach.

Zobaczyła kości i czaszki mężczyzn, którzy konali przykuci jeden do drugiego. Płakała, zawodziła, biła się pięściami po piersi, obwiniając się o straszliwą śmierć narzeczonego.

Na ziemiach, które pewnego dnia zostaną nazwane Mesa Verde w stanie Kolorado, Hoszitiwa znalazła górski szlak, którym mogło wędrować jej plemię. Zachowywała czujność, trzymała w gotowości łuk i strzały, ponieważ — jak ją ostrzeżono — w pobliżu znajdowała się jaskinia dzikiej bestii, która bezlitośnie atakowała ludzi.

Spragniona zeszła ze ścieżki w poszukiwaniu strumienia i trafiła na jaskinię owej bestii. Wszędzie leżały porozrzucone kości, widać też było ślady niedawnej obecności gospodarza. Jakie zwierzę mogło tu mieszkać? Niedźwiedź? Wtem rozległ się szelest i stękanie, a na wejście do jaskini padł cień. Hoszitiwa znalazła się w pułapce.

Pod słońce nie mogła dokładnie przyjrzeć się stworzeniu, ale po wielkości i kształcie domyślała się, że to górski lew. Skradał się do niej, groźnie warcząc. Powolutku cofała się, usiłując odciągnąć zwierzę od wejścia do jaskini, a równocześnie szukając dla siebie drogi ucieczki. Kiedy jednak stanęła w słonecznej zatoce, bestia znieruchomiła i podniosła na nią wzrok.

Hoszitiwa aż się zachłysnęła, gdy zrozumiała, że patrzy na człowieka.

Był nagi, chodził na czworakach. Włosy miał długie i splątane, brudne ciało pokrywały blizny i strupy. Twarz wydawała się dziwnie płaska, jakby nos mężczyzny został zmiażdżony, a potem się zagoił.

Dzikus utkwiał w niej wzrok. Zagiął palce zakończone długimi szponami. Jego ciało naprężyło się, szykując do skoku. Nagle jednak zamrugał. Spękane wargi poruszyły się i z gardła wydobył się chrapliwy głos.

— Hoszi...?

Ahote!

Chwyciła go w ramiona i przytuliła do piersi, kołysząc i przemawiając pieszczotliwie. Nigdy nie dowiedziała się, jak uciekł z kopalni, tajemnicą pozostało też, w jaki sposób utrzymał się przy życiu. Została z nim, troszcząc się o niego,

przywracając mu ludzki wygląd i rozmawiając, próbując pobudzić jego pamięć. Ten, który miał przechowywać w głowie dzieje całego plemienia, nie pamiętał nawet, jak się nazywa!

Wreszcie mogli ruszyć w dalszą wędrówkę. Po wielu tygodniach błąkania się i niebezpieczeństw Hoszitiwa i Ahote wreszcie odnaleźli swoich.

Zdziesiątkowane plemię osiedliło się na płaskowyżu na zachodzie i tam zaczęło budować osadę od nowa — dwupiętrowe domy z kamiennych bloków i błota zamiast cegieł, z drabinami zamiast schodów, i nową kivę. Hoszitiwa nie miała wątpliwości, że tu wszystko lepiej się ułoży.

Ahote nie mógł spłodzić dzieci, więc powiedział, by wyszła za innego. Hoszitiwa jednak nie szukała męża. Miała w życiu inny cel. Postanowiła, że z jej łona nie wyjdą dzieci. Plemię będzie jej dzieckiem, a zamiast mlekiem będzie karmić je mądrością.

Gdy już była w podeszłym wieku, odwiedził ją we śnie duch opiekuńczy jej plemienia i przemówił do niej. Dziadek żółw objawił, że jeszcze nie dopełniło się jej przeznaczenie, a ziemskie życie stanowiło zaledwie pierwszy etap misji powierzonej jej przez bogów. Żółw nakazał też, by wyruszyła w kierunku zachodzącego słońca, znalazła pustynię, na której jeszcze nie powstała stopa człowieka, i tam czekała na znaki. Kiedy zapytała, dlaczego ma się tam udać i czego powinna szukać, duch jej przodków odparł, że nie jest już dziewczyną lepiącą dzbany, lecz szamanką — wybranką, która ma ogłosić powrót zaginionego białego brata Pahany. Kiedy Pahana powróci do ludu słońca, wyjaśni żółw, nastanie złota era.

— Uważaj jednak — przestrzegł opiekuńczy duch plemienia. — Jeśli nie będziesz tam na niego czekała, biały brat zgubi drogę, a lud słońca nigdy więcej nie zazna złotej ery swoich przodków.

Nic nie mówiąc rodzinie, Hoszitiwa spakowała skromny dobytek, torbę z lekami, totemy i grudkę gliny, którą zabrała z Miasta. Załadowawszy też zapas wody oraz pożywienia i wzięwszy solidną laskę, na której od jakiegoś czasu się wspierała, odwróciła się plecami do wschodzącego słońca i ruszyła na zachód. Była stara, a czekała ją długa wędrówka. Nie miała jednak wątpliwości, że robi tak, jak nakazał dziadek żółw.

Znajdzie pustynię, nazwaną później Mojave, i będzie tam czekać — nawet przez stulecia, jeśli zajdzie taka potrzeba — na zabłąkanego białego brata Pahanę.

TLR

Dr Faraday Hightower A.D. 1910

ROZDZIAŁ 29

Faraday Hightower odchodził od zmysłów z niepokojem.

Abigail zaczęła za wcześnie rodzić. Dziecko miało przyjść na świat dopiero za tydzień, a oni byli na środku oceanu.

— Na miłość boską, Faradayu — powiedziała Bettina, siostra jego żony, szykując luksusową kabinę do odbioru porodu. — Jesteś lekarzem. Nie trać głowy. Bądźże spokojny, choćby dla dobra Abigail.

To było ich pierwsze dziecko. Faraday i Abigail Hightowerowie pobrali się niecały rok temu. Jak w takich warunkach miał zachować spokój?

Znajdowali się na pokładzie s/s Caprica, gdzieś w połowie drogi między Southampton a Nowym Jorkiem. Odwiedzili przyjaciół w Londynie, a teraz wracali do Bostonu pełni ufności i nadziei, z radością oczekując narodzin pierwszego dziecka. Faraday zaklinał żonę, by nie podróżowała w ciąży, lecz Abigail, będąc nowoczesną kobietą, nie uważała, by ciążę należało ukrywać lub traktować jak chorobę. Owszem, niektórzy pasażerowie patrzyli ze zgrozą, gdy śmiało chodziła po pokładzie, nawet nie starając się zakrywać obszernym płaszczem swego odmiennego stanu, ale to tylko sprawiało, że Faraday był z niej dumny i jeszcze mocniej ją kochał.

Kiedy zaczęła rodzić, zaniepokoił się. Było jeszcze za wcześnie. Abigail jednak była silna i razem modlili się w kajucie, która miała stać się miejscem narodzin ich córki Morgany. Już wcześniej ustalili, że jeśli to będzie chłopiec, otrzyma na imię Harold po nieżyjącym ojcu Abigail. Abigail uparła się też, że dziewczynka zostanie nazwana od przecudnej fata morgany, którą obserwowali na niebie nad Sycylią w czasie swej podróży poślubnej. Była bowiem pewna, że właśnie tej nocy zostało poczęte ich dziecko.

Faraday — absolwent medycyny na uniwersytecie Harvarda — miał doświadczenie w odbieraniu porodów. Mógł też liczyć na pomoc starszej siostry Abigail. Tę dwudziestosześcioletnią niezamężną pannę cechował upór i wewnętrzna siła. Mimo to jednak gdy Caprica rozcinała spokojne fale Atlantyku, Faraday Hightower głośno prosił Boga, by pomógł mu szczęśliwie doprowadzić matkę i dziecko do bezpiecznego rozwiązania.

Abigail pojawiła się w jego życiu, kiedy myślał, że powinien resztę życia spędzić samotnie. Miał czterdzieści lat, ustaloną pozycję w środowisku i swoje starokawalerskie nawyczki. Czas poświęcał pacjentom i uzdrawianiu, nigdy nie szukał miłości ani nie zastanawiał się nad założeniem rodziny. Aż do dnia gdy do jego gabinetu wkroczyło słońce słońce — Abigail ze zwichniętym małym paluszkiem. Od tej chwili stał się jej niewolnikiem.

Choć Faraday był światłym lekarzem, uważał, że leczenie przynosi skutek jedynie w połączeniu z wiarą. Miał szczęście na własne uszy słuchać Ellen White, a jej słowa były tak płomienne i przekonujące, że wstąpił do założonego przez nią Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Kiedy zaś w 1905 roku wydała książkę „Śladami Wielkiego Lekarza”, był nią zachwycony i czytał z równym nabożeństwem jak Biblię. Ellen White wyjaśniała w niej, że każdy doktor jest współpracownikiem Jezusa, Wielkiego Lekarza, pierwszego i jedyne go uzdrowiciela, który nigdy nie opuszcza bogobożnego medyka. Lekarz zatem, pisała dalej White, powinien wpuszczać do swego serca i duszy światło słowa Bożego. Pacjent zaś powinien widzieć swojego lekarza pochylonego w modlitwie, proszącego Boga o pomoc. W ten sposób bowiem nabiera ufności, a jego serce otwiera się na uzdrowicielską moc Boga.

Tak też Faraday postępował z Abigail przez całą ciążę. Kładł ręce na jej rosnącym brzuchu, prosząc Boga, by błogosławił ich dziecko i obdarzył je zdrowiem. Dlatego nie zdziwił się, że poród był krótki i łatwy. Teraz siedział na łóżku, zachwyconym wzrokiem patrząc na swoją cudowną żonę i dziecko ssące jej pierś. Przepęłniała go miłość, wewnętrzny spokój i zadowolenie. Wtem spojrzał za bulaj. Zobaczył gwiazdy i przypomniał sobie, że kapitan zawsze wprowadza do dziennika pokładowego informacje o narodzinach, zgonach i ślubach.

Cóż za wyróżnienie — pomyślał — że przyjscie na świat Morgany zostanie uwiecznione w dzienniku dowódcy s/s Ca-prica!

Nie chciał czekać do świtu, a wiedział, że pierwszy oficer jeszcze nie zszedł ze służby. Wstał z łóżka, ale żona zatrzymała go i poprosiła, by z nią został.

Obiecał, że wyjdzie tylko na parę minut. Abigail zrobiła tak żalostną minę, że wyjął z kieszonki zegarek i wcisnął go jej do ręki.

— Licz minuty, najdroższa. Dokładnie dziesięć — zapewnił, stukając w szkiełko. — Kiedy ta wskazówka zatrzyma się na tej cyfrze, będę znów u twego boku. Wtedy się pomodlimy.

Pobiegł do mesy, gdzie zastał pierwszego oficera. Ten znał pasażera podróżującego pierwszą klasą: bostończyka koło czterdziestki, lekarza o znakomitej renomie; na oko sądząc również członka śmietanki towarzyskiej — Hightower był wysoki i szczupły, a jego wydatnego czoła i rzymskiego nosa nie powstydzilby się Cezar. Krótko przystrzyżona bródka dodawała mu dostojęstwa.

Kiedy Faraday podzielił się z nim radosną nowiną, oficer nalegał, by wypili kieliszek sherry za zdrowie położnicy i dziecka. Hightower, choć członek Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, nie stronił od alkoholu. Jako lekarz znał zbawienne właściwości wina. Wznieśli toast za Abigail i Morgane. Schodzący ze służby drugi oficer przyłączył się do nich i nalegał, że on też musi wypić za zdrowie dziecka. Potem zjawił się kapitan.— ranny ptaszek, który zawsze jadł śniadanie przed wschodem słońca. Nie wypił sherry, tylko poprzestał na soku, podczas gdy drugi oficer dola! Faradayowi trunku. Potem wypili po następnym kieliszku i wkrótce całe towarzystwo radośnie wznosiło toasty za nowe życie i cud narodzin, gdyż kapitan sam był dumnym ojcem ośmiorga dzieci.

Hightower nigdy jeszcze nie czuł takiej radości! Takiego poczucia braterstwa! Nie miał pojęcia, że życie może być tak wspaniałą zabawą, a świat tak cudownym, błogosławionym miejscem. Raz za razem składał uroczyste przysięgi, że umieści Abigail na piedestale, a Morgana będzie jego jedyną księżniczką. Obu będzie służył niczym najkorniejszy sługa i niewolnik. Jego nowi przyjaciele tylko pomrukiwali z aprobatą. Sherry lało się do kieliszków, a kapitan rozdawał cygara.

Hightower jako pierwszy zauważył w drzwiach szwagierkę.

— Chodź szybko, Faradayu! Coś jest nie w porządku.

Wypadł z mesy, pędząc po trapach i pokładach do kajuty. Zjawili się też inni pasażerowie obudzeni wołaniem o pomoc Bettiny. Wyłamując palce, tłumaczyła, że kapłała maleństwo, gdy zaczął się krwotok. Abigail nie odezwała się ani słowem, więc kiedy Bettina umyła dziecko i podeszła, by zająć się siostrą...

Lekarz okrętowy robił, co w jego mocy, ale było już za późno. Abigail straciła zbyt wiele krwi. Leżała nieprzytomna, puls był ledwo wyczuwalny, z każdą sekundą uciekało z niej życie. Faraday chwycił w ramiona jedyną miłość swego życia i wyniósł ją na pokład, by zobaczyła błogosławione słońce wstające nad horyzontem, zalewające morze złocistą patoką.

— Spójrz, najdroższa — mówił zdesperowany. — Wschodzi słońce.

Nie wierzył, by można było umrzeć, gdy wschodzi słońce.

A jednak Abigail zmarła. Odeszła w jego ramionach, gdy na niebie wschodziła złocista kula słońca. Faraday nie chciał jej oddać. Dopiero interwencja kapitana i paru krzepkich majtków sprawiła, że puścił ciało żony. Nie chciał wierzyć, że odeszła. Wszak ślubowali sobie, że na zawsze będą razem. Była jego uśmiechem i radością. Jego pocieszeniem i nadzieją. Jak będzie żyć bez Abigail?

Miała zaledwie dwadzieścia lat.

Jeszcze przed ślubem Faraday zamówił u jubilera specjalny amulet dla niej: maleńkiego złotego jednorożca, jej ulubione baśniowe stworzenie. Tego dnia gdy powiedziała, że spodziewa się dziecka — zaledwie po trzech miesiącach małżeńskiego raj — czule zawiesił jej na szyi amulet, by strzegł jej i dziecka. Kiedy zmarła, zdjął go i schował do kieszeni, poprzysięgając, że więcej na niego nie spojrzy.

Złożyli ciało w chłodni. Tam też wyrwali z jej zaciśniętych palców zegarek. Faraday potem nie raz wyobrażał sobie, jak leżała odliczając minuty, patrząc na poruszającą się wskazówkę odmierzającą najpierw dziesięć minut, potem trzydzieści, później godzinę i następną, a on wciąż się nie pojawiał.

Zniszczył zegarek. Ilekroć na niego patrzył, myślał, co musiała czuć Abigail, mierząc czas, podczas gdy on pił z marynarzami, zaspokajając swoją próżność i egoizm.

Gorzej, zgrzeszył przeciwko samemu Bogu. Pierwsze bóle pojawiły się u Abigail w piątkowy wieczór i w tym zamieszaniu nie zwrócił uwagi, kiedy zaczęła się sobota — szabat. Dziecko przyszło na świat dobrze po północy, a on — zamiast zostać z żoną i dzień święty święcić — poszedł do mesy i pił z oficerami! W chłodnym świetle brzasku i śmierci Faraday Hightower uświadomił sobie, że wszystko to wydarzyło się w dzień Pański.

Poszedł na pokład, by się pomodlić. Padł na kolana, złożył dłonie i nie zważając na pasażerów przyglądających mu się ukradkiem lub ostentacyjnie go ignorujących, głośno zawołał:

— Ojcze Wszchemogący, wysłuchaj mego głosu i przemów do mnie z wysokości Twego świętego firmamentu. Błagam, przyjmij me korne przyznanie się do winy. Nie odwracaj się od nieszczęsnego grzesznika, lecz w swym miłosierdziu przygarnij mnie z ojcowską miłością. Pozwól mi wrócić na ścieżkę prawości i sprawiedliwości, bym swą pracą dalej głosił Twoją chwałę.

Gdyby w tym momencie ktoś kazał Faradayowi opisać Istotę, do której się zwracał, powiedziałby, że jest to chudy wysoki mężczyzna o brodzie Abrahama Lincolna i czarnych jak węgiel oczach, właściwie nieco podobny do jego dziadka ze strony ojca, który aż nazbyt często brzożową witką smagał pośladki wnuka. Faraday wyobrażał sobie Boga jako kalwinistę, który pod wpływem głębokiej analizy Ellen White złagodniał i zmienił się w adwentystę. Był zatem Bogiem, który w przeciwieństwie do dziadka Faradaya przebaczał.

A jednak tego ranka na pokładzie — gdy klęczał mimo bólu kolan, a z czoła spływał mu gęsty pot — choć nasłuchiwał uważnie przez szum wiatru wiejącego nad Atlantykiem, z otchłani ciszy, morza i niebios nie rozległy się słowa przebaczenia.

Podjął ostatnią rozpaczliwą próbę.

— Jestem pobożny! — krzyknął na cały głos. — Jestem sprawiedliwy! Jestem bogobożny i pokorny!

Potem runął twarzą na pokład i leżał szlochając, dopóki marynarze delikatnie nie podnieśli go i nie odprowadzili do kajuty, gdzie jego szwagierka Bettina, już ubrana w czarną krepe, doglądała go aż do Nowego Jorku.

TLR

ROZDZIAŁ 30

Nie mógł jeść ani spać. Została z niego tylko skóra i kości. Nie przystrzygał brody. Kazał Bettinie odsyłać pacjentów. Nie odbierał wizyt przyjaciół. Ból wypełnił cały jego świat, nie było ucieczki ani pocieszenia. Nawet tuląc drogą małą Morgane, nie czuł ulgi. Przeciwnie, na sam widok jej słodkiej anielskiej buźki głębiej pogrążał się w rozpacz.

Dlaczego Bóg odebrał mu ukochaną? Czym zasłużył na tak straszną karę? Czyżby niechcący obraził Boga?

Im dłużej się modlił, tym donośniej stała się głucha cisza po drugiej stronie.

Czyżby Bóg odwrócił się od Faradaya Hightowera?

Ponieważ uważał, że bez Boga nie może wykonywać zawodu, zamknął gabinet w Bostonie i oznajmił szwagierce, że nie będzie leczył, dopóki nie odnajdzie Boga. Po czym ruszył na Jego poszukiwanie.

Swoje przemyślenia notował w dzienniku.

„Liczyłem na wizje. W głębi ducha zazdrościłem Ellen White jej daru prorokowania. Nikomu się nie przyznałem, nawet najdroższej Abigail, ale często myślałem, że to musi być cudowne przeżycie. Ellen White ujrzała w swoich wizjach wojnę secesyjną i emancypację Murzynów. Mnie wystarczyłoby jedno małe objawienie. Tak oto w poszukiwaniu Najwyższego przemierzyłem Tybet, Indie i Chiny, wszystkie święte miejsca Ziemi, siedziałem u stóp świętych mężów.

W Bagdadzie spotkałem oświeconego muzułmanina, absolwenta Oksfordu władającego doskonałą angielszczyzną, który z zapalem czytał mi fragmenty swojej świętej księgi, Koranu. Słuchałem z ciekawością, niektóre zdania wręcz napełniały mnie radością, bowiem wyznawcy Mahometa czczą również Jezusa, którego nazywają Isą. Kiedy jednak przeczytał rozdział, w którym Mahomet

twierdzi, jakoby Jezus uniknął krzyża i wysłał na śmierć innego mężczyznę, podziękowałem mędrcom i odszedłem. W Indiach nawiedzałem święte miejsca hindusów, lecz politeizm i bałwochwalstwo (a przede wszystkim oddawanie czci świętym krowom!) okazały się ponad moje siły. Słuchałem opowieści sikhów o Jednym Bogu i zbawieniu, lecz nie zgadzałem się z koncepcją, że do poznania Boga można dojść wyłącznie dzięki pośrednikowi, którego nazywają guru. W Tybecie buddyjscy mnisi gościnnie przyjęli mnie w swym górskim klasztorze. Tam przysłuchiwałem się ich naukom o oświeceniu oraz cyklu śmierci i ponownych narodzin. Zbyt rzadko wszakże wspominali o Bogu, a już ani słowem o zmartwychwstaniu, więc w rezultacie wyjechałem stamtąd wyposzczony duchowo. Rok w Szanghaju nie wystarczył na zgłębienie religii zwanych konfucjanizmem i tao, w których za małą wagę przywiązuje się do kwestii zbawienia duszy i odkupienia grzechów. Tak zatem powróciłem do Bostonu przygnębiony i zagubiony, nie znalazłszy powrotnej drogi do Boga.

Wtedy dokonałem strasznego odkrycia".

Tak naprawdę w Faradayu od zawsze toczyła się wewnętrzna walka. Z jednej strony odebrał nowoczesne wykształcenie, a z drugiej wierzył w holistyczne podejście do leczenia i nie ufał nauce. Nigdy nie zapomniął szoku, jakiego doświadczył, gdy dwanaście lat wcześniej uczestniczył w pokazie nowej metody diagnozowania doktora Roentgena. Zobaczyć wewnątrz człowieka! Sam pomysł budził w Faradayu przerażenie i zgrozę. To pachniało czarną magią, wkraczaniem w sferę zakazaną dla zwykłego śmiertelnika. Co innego rozciąć ciało i usunąć z niego chory narząd. Bóg nie potępiał chirurgii. Ale żeby przeświecić człowieka? Przez skórę i mięśnie zajrzeć aż do jego duszy? Ta myśl przez długie miesiące nie dawała Faradayowi spokoju. Od tamtej pory nauka coraz brutalniej wdzierała się do medycyny — tak naprawdę do każdej sfery ludzkiego życia. Faraday odnosił wrażenie, że rodzaj ludzki oddala się od Boga i wiary, wybierając probówki i lupy.

Właśnie na tym polegało straszne odkrycie doktora Faradaya Hightowera. Wyruszył w podróż dokoła świata, by szukać dowodów obecności Boga, tymczasem znalazł automobile, elektryczność, ruchome obrazy, aeroplany i fizyków,

którzy odkryli niewidzialny świat nazwany kwantowym. Ludzie chętniej chodzili na wodewile niż do kościoła. Zamiast Boga pragnęli rozrywki.

Przez cały ten okres oparcie znajdował jedynie w szwagierce. Po pogrzebie Abigail zaproponował, by Bettina zamieszkała z nim i zajęła się dzieckiem. Bettina nie miała majątku, finansowo zależała od siostry, która była hojna ponad miarę. A ponieważ Faraday odziedziczył fortunę Abigail, czuł się w obowiązku zaopiekować Bettina.

Bettina nie posiadała nawet własnego domu (i szczerze powiedziawszy, szanse na małżeństwo też były nikłe, jako że Bettina nie miała urody swojej siostry ani jej radosnego usposobienia. Gdyby Faradayowi kazano pochwalić szwagierkę lub wygłosić komplement pod jej adresem, po dłuższym namyśle oświadczyłby, że jest przykładną chrześcijanką). Faraday znał prawdziwy powód, dla którego Bettina została bez majątku. Inny niż podawana przez nią wersja, że sprzedała dom, a pieniądze rozdała ubogim. Oczywiście nie mógł głośno się do tego przyznać, bo zachowałby się nie po dżentelmeńsku, a przy tym głęboko by ją zranił. Tak oto Bettina — nieświadoma, że szwagier wie o piętnie jej hańby — wprowadziła się do trzypiętrowej kamienicy przy Commonwealth Avenue w Back Bay.

Faraday spędził cztery lata na poszukiwaniu Boga, a po powrocie dowiedział się, że pod jego nieobecność Bettina znalazła adoratora, niejakiego pana Zachariasza Vickersa, który podróżował po wschodnim wybrzeżu, sprzedając Biblię kościołom, szkołom i księgarniom, a za darmo rozdając ją w szpitalach i sierocińcach. Był powszechnie lubiany i jeśli wierzyć Bettinie, skuteczny w głoszeniu słowa Bożego. Często też podróżował do Afryki, zawożąc Biblię misjonarzom i przy okazji ewangelizując dzikich pogan. Nie czynił tego z przyziemnej żądzy zysku, tłumaczyła dumnie Bettina, bowiem pan Vickers nie potrzebował pieniędzy. Otrzymał spadek, który wystarczał mu na utrzymanie.

Faraday nie domyślał się, że Bettina cierpliwie czeka, aż on otrząśnie się z melancholii, odzyska dawny wigor i wróci do medycyny, dzięki czemu ona wreszcie będzie mogła ułożyć sobie życie i znaleźć szczęście u boku pana Vickersa. To jednak nie było jej pisane. Kilka dni po powrocie szwagier oświadczył, że nie będzie więcej podróżował i nigdy nie wróci do medycyny.

ROZDZIAŁ 31

Wtedy przyszła Noc Desperacji.

Świat stał się dla Faradaya Hightowera miejscem strasznym i niepojętym. Był rok 1915. W Europie trwała wojna. Odbyła się premiera filmu „Narodziny narodu”, peanu na cześć Ku-Klux-Klanu. Albert Einstein ogłosił swą teorię względności. Aleksander Bell zademonstrował połączenie telefoniczne między Nowym Jorkiem a San Francisco. Nauka i zniszczenie triumfowały. Bóg i moralność przegrywały. Biblia stała się zbiorem pustych sloganów. Nawet pisma Ellen White przestały go poruszać. Jedzenie i picie straciło smak. Faraday spędzał całe dnie zamknięty w swoich pokojach na najwyższym piętrze kamienicy. Rzadko wypuszczał się na dół, a kiedy już to zrobił, widok słodkiej Morgany, która z dnia na dzień coraz bardziej przypominała Abigail, sprawiał mu taki ból, że wracał na górę i zamykał się tam na klucz.

Tamtej nocy Bettina próbowała go namówić, by zszedł na dół. Przypadały bowiem piąte urodziny Morgany (a zarazem piąta rocznica śmierci Abigail). Faraday zaś zrozumiał, że jego dusza umarła. Odebranie życia ciału wydawało się wtedy zwykłą formalnością. Faraday powiedział „dobranoc” i zamknął szwagierce drzwi przed nosem. Wszystkie szczeliny wypełnił gazetami z ich strasznymi tytułami. Zamknął też luft w kominku, by odciąć wszelki dopływ świeżego powietrza.

W liście pożegnalnym prosił Bettinę i Morganę o przebaczenie, zapisał im również cały majątek. Potem zapalił lampę gazową i zdmuchnął płomień. Siadł w ulubionym fotelu i z odchyloną głową przygotowywał się do przekroczenia progu Nieznanego, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Czyżby Bettina wyczuła woń gazu? Udał, że śpi i nie odpowiedział. Ona jednak uparcie się dobijała. Mówiła, że ktoś przyszedł z wizytą.

Faraday podniósł głowę. Gość o tej godzinie? Kiedy wyjaśniła, że to pacjentka, kazał ją odesłać do doktora Westona.

— To kobieta w podeszłym wieku — nalegała Bettina. — Mówi, że to pilne.

Faraday wstał i zakręcił gaz. W końcu był lekarzem, złożył przysięgę Hipokratesa.

— Przyrowadź ją — polecił szwagierce.

Otworzył okno, by ona ani pacjentka nie wyczuły zapachu gazu i nie domyśliły się, co zamierzał. Postanowił, że zamieni z kobietą kilka słów, a potem znów zajmie się odchodzeniem z tego łez padołu.

Kiedy jednak nieznajoma przekroczyła próg pokoju, wszelkie myśli o śmierci i samobójstwie pierzchły. Oto bowiem gościł w salonie cygańską wróżkę. Starą, pomarszczoną, w czerwonej chuście na głowie z dyndającymi nad czołem monetami, w niebieskim szalu na ramionach i w wielobarwnych spódnicach. Choć postarzała ją zniszczona przez słońce i wiatr cera, miała pewnie czterdzieści pięć lat jak Faraday.

— Czy to jakiś żart? — zapytał, gdyż jak przystało na dobrego chrześcijanina, unikał czarnej magii i okultyzmu, czyli tego, czego uosobieniem była ta kobieta.

Nie tłumacząc się ani nie przedstawiając, kobieta oświadczyła, że otrzymała przesłanie: miała przyjść do niego i wskazać mu drogę.

— Zaszło jakieś nieporozumienie — powiedział rozdarty między odrazą a dziwną fascynacją wobec tej dziwnej istoty.

Przysunęła się bliżej. Faradaya owiał zapach cynamonu, sadła i czegoś, czego nie potrafił nazwać. Monety zakołysały się i zadźwięczały.

— Ty jesteś Faraday Hightower — oznajmiła oskarżycielskim, jak mu się wydawało, tonem. Jej głos przywodził na myśl kurz i stary papier.

—Owszem.

—Poszukujesz duchowych prawd.

Każdy mógł jej to powiedzieć. Czy teraz wyciągnie kryształową kulę i proponuje, że za okrągłą sumkę przepowie mu przyszłość?

—Przysłała mnie Abigail. Tego było już za wiele.

—Precz, podła! Drwisz z mojego nieszczęścia!

—Nie przychodzę tu w swojej sprawie — odparła z dziwnym zaśpiewem, który Faraday uznał za romski akcent. — Przekazuję tylko to, co usłyszałam. Powiedziała, że nie ponosisz winy za jej śmierć.

—Wielki Boże! — zawołał, opadając na fotel. Skąd ta kobieta o tym wiedziała?

—Jestem tylko posłańcem. Możesz wysłuchać tego, co mam ci przekazać, albo nie. A potem pójdę.

—Idź. Nie wierzę ci.

—A jeśli powiem o złotym jednorożcu, uwierzysz?

—Mów — wyszeptał, ukrywając twarz w dłoniach.

—Ta, której imię jest Abigail, rzekła, że odpowiedź na wszystkie swoje pytania znajdziesz tylko w jednym miejscu na ziemi.

Faraday poderwał głowę.

— Gdzie? — spytał, równocześnie chcąc i nie chcąc się dowiedzieć.

Wtedy opowiedziała o pradawnej cywilizacji, która przed wiekami zamieszkiwała południowy zachód Ameryki, a która w tajemniczy sposób zniknęła. Podobno znaleźli wyjaśnienie wszystkich tajemnic i dzięki temu wrócili do Boga i do kosmosu.

—Rozmawiałem ze świętymi mężami wszystkich religii — jęknął Faraday — i niczego mi nie objawili. Jakim cudem jakieś wymarłe indiańskie plemię ma przede mną odsłonić to, czego szukam?

—To Abigail cię prowadzi, nie ja. Powiedziała, że od plemienia odłączyła się grupka świętych mężów i wyruszyła na zachód, osiedlając się na pustyni. Wieść niesie, że ich potomkowie wciąż tam żyją. Jeśli ich znajdziesz, podzielą się z tobą mądrością swych przodków, która pomoże ci odnaleźć Boga i odkupienie.

W jego duszy wciąż musiała się tlić iskra nadziei, bo na słowa „święci mężowie" w Faradayu obudziła się ciekawość.

— Gdzie dokładnie na zachodzie? — spytał. Podeszła do dużego globusa na mahoniowym stojaku i wolno zaczęła go obracać. Wreszcie kula się zatrzymała. Faraday spojrział. Brązowy palec kobiety znajdował się na styku granic czterech stanów: Kolorado, Utah, Arizony i Nowego Meksyku — regionie Stanów nazywanym Czterema Rogami.

Wróżka sięgnęła do szala. Przez chwilę było słycać tylko grzechot jej paciorków i monet, wreszcie wyciągnęła kartkę z dwoma rysunkami. Wyjaśniła, że je również zobaczyła w swoim śnie.

Faradayowi nic te bazgroły nie mówiły. To nie trzymało się kupy.

— Tutaj — oznajmiła, dźgając palcem w kartkę. Światło zamigotało w jej masywnych pierścieniach. — Tu znajdziesz to, czego szukasz.

Pierwszy symbol przypominał jakąś bezgłową istotę z licznymi kończynami. Drugi przedstawiał kwadrat przecięty zygzakowatą linią.

Kiedy zażądał, by mówiła jaśniej, oświadczyła, że musi już iść. Sięgnął po drobne, ale odmówiła i szybko się pożegnała. Zanim zbiegł na dół, wyszła na ulicę i rozplynęła się w mroku.

Faraday został sam, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Czy coś takiego jest w ogóle możliwe? Czyżby Bóg, którego drogi są dla człowieka niepojęte, przysłał ducha Abigail do Cyganki, która z kolei przybyła do niego, by odnalazł ścieżkę do Pana i zbawienia?

Doktor Hightower nie podjął pochopnie decyzji. Przez tydzień medytował i modlił się. O ile jego ludzka natura nagle obudziła się do życia i marzyła o przygodzie, o tyle jego bogobojna dusza wątpiła, czy powinien wierzyć w proroctwo jakiejś poganki praktykującej czarną magię. A może Cyganka została przysłana przez szatana? Może słuchając jej, narazi swoją nieśmiertelną duszę na wieczne potępienie?

Ale jeśli Abigail naprawdę nawiedziła ją we śnie?

Nie mógł zignorować tego wezwania. Złożył wizytę w muzeum przyrodniczym i dowiedział się, że faktycznie na południowym zachodzie Ameryki tysiąc

lat temu mieszkał lud, który u szczytu rozwoju nagle zniknął. Nikt nie wie, dokąd odszedł ani dlaczego.

Faraday pomyślał o garstce szamanów, którzy przeżyli i ruszyli na zachód. Być może ich potomkowie wciąż tam żyją i znają tajemnice Boga oraz wszechświata! Jak bardzo pragnął, by tak rzeczywiście było! Wreszcie uznał, że wizyta wróżki nie była dziełem przypadku. Wszak zjawiała się w chwili, gdy zamierzał targnąć się na życie. To musiał być znak od Najwyższego.

ROZDZIAŁ 32

Faraday wjechał do Zakazanego Kanionu z Morgana przyklejoną do pleców.

Podejrzewał, że Bettina, jadąca dostojnie na spokojnej klaczy, uważa go za szaleńca. Nie musiała mówić, czytał to w jej oczach. Faktem było jednak, że dzięki nowej energii i głodowi życia zaczął dostrzegać córkę, którą tak długo ignorował.

Morgana! Słodki owoc łona Abigail. Największy skarb, jaki posiadał. Choć Hightower wciąż opłakiwał utratę żony, ani na chwilę nie przestając myśleć o niej i swojej winie (pił z oficerami, podczas gdy Abigail wykrwawiała się na śmierć!), Morgana była balsamem na jego duszę. Z chwilą gdy tajemnicza Cyganka przebudziła go i wprowadziła na ścieżkę wiodącą znowu do Boga, zrozumiał, że nie może ani na moment rozstawać się z córką.

Morgana miała co prawda już pięć lat, ale wciąż jeszcze mogła podróżować na plecach ojca, gdy kasztanka pewnie stąpała po kamienistym szlaku. Wynajęli przewodników z plemienia Nawaho i wyprawili się w Góry Skaliste, by sycić oczy zapierającym dech w piersi krajobrazem i podziwiać ten niezwykły twór

Boskiej ręki. Morgana śmiała się i klaskała, pokazując cuda, które odsłaniały się przed jej oczami.

Z Bostonu podróżowali na zachód pociągiem. Faraday zaproponował Bettinie, by została w Back Bay, ona jednak oznajmiła, że jej miejsce jest przy córce Abigail, w ten sposób dając do zrozumienia, że Faraday nie nadaje się na rodzica. Ponieważ on z kolei uparł się, że weźmie ze sobą Morganę, Bettina musiała wyruszyć razem z nimi. Pewnego popołudnia wyszła, by odbyć szczerą, choć bolesną rozmowę ze swoim wielbicielem, panem Vickersem. Po powrocie oświadczyła, że Zachariasz życzy im powodzenia i będzie modlił się o ich rychły powrót.

Optymizm nie opuszczał Faradaya, gdy ich mała karawana złożona z kilku koni i mułów zbliżała się do docelowego punktu wyprawy, miejsca zwanego Pueblo Bonito, czyli „piękne miasto”, choć w miejscu tym od stuleci nikt nie mieszkał.

Znajdowali się w krainie Nawahów; podróżowali wzdłuż południowej granicy kotliny San Juan, słynącej z ograniczających ją imponujących czerwonych klifów. Ich uwagę przykuwały przede wszystkim porośnięte sosnami wzgórza i kamieniste odkrywki, gdyż tam setki lat temu mogły znajdować się osady, które tylko czekały, by je wypatrzeć. Tak przynajmniej twierdził ich przewodnik, pan Wheeler odpowiadający za ekspedycję. Sam od dwudziestu lat przeszukiwał ten teren i mógł się poszczycić kolekcją ponad dziesięciu tysięcy glinianych naczyń. Faraday wynajął go w Albuquerque wraz z jego dwoma pomocnikami, Indianami Jimmym i Sammym Pinto. Obaj nosili dżinsy i sztruksowe kurtki ściągnięte srebrnymi pasami. Długie włosy wiązali w kucyk, a na nie zakładali bandanki. To był pierwszy kontakt Hightowera z prawdziwymi Indianami.

John Wheeler był kowbojem — „Kiedyś wypasałem stada, hen, w Uta-a-h!” — ale nietypowym. Miał krzaczastą siwą brodę, szpakowate włosy zaplatał w dwa długie warkocze, na głowie nosił melonik, a choć na spodnie nakładał kowbojskie skórzane ochraniacze, najchętniej ubierał się w szafirową kurtkę (ulubiony strój Nawahów, jak się później przekonał Faraday), zaś na każdym jego palcu połyskiwał srebrny pierścień. Wheeler żuł tytoń i spluwał nim, gdzie popadło. Początkowo Faraday wątpił, czy dobrze wybrał, ale z czasem przekonał się, że

przewodnik znakomicie porusza się po labiryncie kanionów i lepiej niż ktokolwiek zna języki oraz kulturę mieszkańców tego niezwykłego regionu.

Kiedy jechali krętą drogą po wzgórzach porośniętych sosnami i jałowcami, pan Wheeler pokazywał domostwa Nawahów, zwane hoganami, oraz zagrody dla owiec i koni.

Mijali też liczne ruiny i stanowiska archeologiczne, w których krzątali się badacze.

Po pewnym czasie skręcili z głównego traktu w wąską ścieżkę prowadzącą obok ruin Kin ya'a, co w języku Nawa-hów oznacza „wysoki dom”. Jak twierdził pan Wheeler, była to droga, którą wytyczyli przed wiekami Indianie Anasazi. Niebo było tu błękitne i czyste, czasem tylko przemknęła po nim biała puchata chmurka. Mając takie niebo nad głową, człowiek otwiera duszę, bada zakamarki swego serca i rozumu, dokonuje nadzwyczajnych odkryć. To niebo proroków — pomyślał Faraday Hightower, przygotowując się na rychłe objawienie. (Czy tak samo czuła się Ellen White tuż przed tym, jak spłynęła na nią wizja?). Podziwiając surowe piękno okolicy, nagle zrozumiał myśl Thoreau: „Tylko dzikość przyniesie nam zbawienie”.

Jak można było nazwać miejsce tak czyste i boskie — zakazanym? Faraday nigdy jeszcze nie widział światła tak przejrzystego, nieba tak niebieskiego, skał tak połyskliwych złotem i czerwienią ani drzew tak zielonych, że aż nieprawdziwych. Zaiste było to miejsce nie z tego świata. Jego majestat i potęga przytłaczały. Cyganka nie kłamała, myślał Hightower. Tu z pewnością znajdę ludzi, którzy przeniknęli tajemnicę ducha i Boga.

Równocześnie w Faradayu odrodziła się druga pasja.

Zawsze lubił utrwalać piękno na papierze. Już w dzieciństwie nigdzie nie ruszał się bez szkicownika i ołówków. W czasie studiów ilekroć dawało mu się we znaki napięcie, uciekał w zaciszne miejsce i rysował jesienne drzewa, wiosenne kwiaty, zakochanych trzymających się za ręce. To działało na niego kojąco, przynosiło mu wewnętrzny spokój. Faraday bardzo dużo szkicował też w czasie

wakacji spędzonych z Abigail w Brighton — zwłaszcza uroczy Royal Pavilion, jego niezliczone kopuły i wieżyczki.

Wraz ze śmiercią żony opuściło go pragnienie rysowania. Kiedy podróżował po świecie w poszukiwaniu Boga, widział najpiękniejsze zabytki: egipskie piramidy, tybetańskie klasztory, Tadź Mahal, lecz ani razu nie sięgnął po szkicownik i ołówki. Leżały nietknięte. I oto na niedostępnych wyżynach Nowego Meksyku znowu zapragnął utrwalić na papierze niezwykle widoki. Uznał to za dobry znak.

Kiedy z głębokiej gardzieli znów wyjechali na otwartą przestrzeń, pan Wheeler przerwał milczenie.

—Rozgląda się pan i myśli pewnie, że to jakaś dzicz? — zwrócił się do Faradaya. — Tymczasem to miejsce jest sławne. Słyszał pan o książce „Ben Hur”?

—Oczywiście — odparł Faraday, który nie tylko o niej słyszał, ale również ją czytał.

—Lewis Wallace napisał ją — oświadczył z dumą Wheeler — kiedy był gubernatorem Nowego Meksyku.

Faraday uznał to za kolejny dobry znak, ponieważ „Opowieść z czasów Chrystusa” zaiste była budującym dziełem.

Wheeler wybrał na obozowisko przyjemne miejsce otoczone topolami i wydał dyspozycje Indianom. Potem wyciągnął rękę w stronę wąskiego strumyka wijącego się między obozem a prekolumbijskimi ruinami położonymi w głębi kanionu.

—Nazywają go Chaco River, ale tak naprawdę pojawia się tylko w porze deszczowej. Płynie na północ. Zna pan jakąś rzekę, która płynęłaby na północ?

—Nil.

—Co takiego? Nieważne. Cały ten teren... — W zwięzłych słowach wyjaśnił, że ruiny, do których ich przyprowadził, Pueblo Bonito, to największe prekolumbijskie miasto odkryte do tej pory. Choć wiele już odsłonięto, jego znaczna część ciągle znajdowała się pod ziemią.

Indianie najpierw pod czujnym wzrokiem Bettiny rozstawili jej namiot. Bettina przywiozła z Bostonu pokojówkę, ale kiedy wysiedli w Albuquerque i kobieta zobaczyła, co ją czeka, natychmiast podziękowała za służbę i pierwszym pociągiem wróciła na wschodnie wybrzeże. Pan Wheeler zaproponował Bettinie usługi swojej żony, Indianki, na co kobieta oświadczyła, że nie wierzy, by tubylcy potrafili spełnić jej wysokie oczekiwania, i heroicznie zaproponowała, że sama będzie dbać o potrzeby swoje i Morgany.

Faraday podziwiał jej siłę. Bettina, podobnie jak Abigail, była damą przyzwyczajoną do luksusów. Wśród tych skał w prymitywnym obozowisku musiała czuć się jak ryba wyrzucona z wody. A jednak ze stoickim spokojem znosiła niewygody, niezadowolenie okazując jedynie wyniosłym milczeniem.

—Zatem szuka pan jakichś szamanów — odezwał się przewodnik, gdy Indianie rozkulbaczyli konie, a nad ogniskiem piekły się jagnięce żeberka. Słońce gasło na zachodzie, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Bettina i Morgana udały się do namiotu, by przebrać się do kolacji. — Z jakiego plemienia? — spytał, zwijając papierosa i częstując nim Faradaya, który jednak odmówił, ponieważ miał jeszcze zapas kubańskich cygar.

—Nie wiem — odparł lekarz. — Powiedziano mi, że są potomkami ludu, który niegdyś zamieszkiwał tę okolicę.

—Dziwne. Lud, który tu mieszkał, już dawno się stąd wyniósł.

Wheeler zmrużył oczy i spojrzał na ruiny opuszczonego prekolumbijskiego miasta. W prostokątach okien i drzwi nie błyskało światło — archeolodzy wrócili już do swych obozowisk.

— Możemy tylko zgadywać — postanowił podzielić się swoją wiedzą — że wiele stuleci temu musiała się wydarzyć jakaś katastrofa albo kataklizm. Może susza, może zaraza, a może najazd. Co najdziwniejsze, w ruinach znajdują się nietknięte naczynia, noże, misy, strzały, odzież i biżuteria. Niektóre dzbany stały na palenisku, a sandały wisiały na kołkach. Zupełnie jakby mieszkańcy po prostu wstali i wyszli, zostawiając cały dobytek. Kto porzuca wszystko?

Faraday nie zamierzał łatwo się poddawać.

—Przecież ktoś musiał ocaleć!

—Indianie Hopi twierdzą, że wywodzą się z tego ludu. Skoro tak, dlaczego nadal tu nie mieszkają? Dlaczego te osady od stuleci są puste? Większość tubylców mieszka w dawnych osadach swoich przodków. A, tu są tylko jaszczurki i duchy.

—A lud, który tu żył? Jak się nazywał?

—Oni — Wheeler kciukiem pokazał swoich przewodników — nazywają *ich Anasazi*. W języku Nawahów znaczy to „odwieczni wrogowie”. Uważają to miejsce za przekłete. Kiedy ich przodkowie tu przybyli, a jak twierdzą antropolodzy, przyszli z daleka, hen! aż z Alaski, miejsce już było opuszczone.

—Dlaczego nazwali ich odwiecznymi wrogami, skoro ich nawet nie spotkali?

—Dawno temu wydarzyło się tu coś bardzo złego, doktorze Hightower. Nawahowie nie lubią o tym mówić. — Wheeler obejrzał się przez ramię na Bettinę i Morganę, po czym zniżył głos. — Nie chcę, żeby panienka i dziewczynka usłyszały. Mogłyby mieć koszmary. Archeolodzy dokonali dziwnych odkryć, ale nie chwalą się tym. Wolą trzymać dzioby na kłódkę.

—O jakie odkrycia chodzi?

—Karmi się nas bajeczkami o szlachetnych dzikusach. A owszem, to były dzikusy, ale bynajmniej nieszlachetne. Przynajmniej ci. — Machnięciem pokazał ruiny. — To kanibale.

—Skąd te podejrzenia? — zdumiał się Faraday.

—Naukowcy znaleźli szkielety pozbawione rąk i nóg. A w głębi kanionu sterzę kości. Czyściutkie, gładziutkie, jak ugotowane. Główki pościerane, jakby ocierały się o ścianki garnka. — Zaciągnął się dymem. — Natrafiono też na prekolumbijskie grobowce. Szkielety leżały w nienaturalnej pozycji. Tych ludzi nie pogrzebano, jak Pan Bóg przykazał. Wyglądali raczej jak ofiary rzezi, które padły, gdzie stały, i nikt ich nie pogrzebał. Niektórzy mieli jeszcze w kręgosłupach strzały, a w czaszkach tomahawki. Zdarzały się też kadłuby bez rąk i nóg, jakby zwycięzcy zabrali kończyny jako łup.

Faraday nie chciał tego więcej słuchać. Przybył tu w poszukiwaniu ludu, który znał odpowiedzi na jego duchowe rozterki; pragnął balsamu dla swej udręczonej duszy. I co znalazł? Rasę kanibali dopuszczających się straszliwych czynów?

Rozejrzał się, szukając pretekstu do zmiany tematu, i kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Uważnie przyjrzał się ruinom zalany księżycową poświatą. Wydawały się tak spokojne, a przecież...

—Co to było?

—Co?

—Tam w ruinach. Wydawało mi się, że widzę...-

—Lepiej nie przyglądać im się zbyt dokładnie. Jeszcze zobaczy pan coś, czego żaden człowiek nie powinien oglądać.

—Ale przysięgłbym, że...

Urwał, bo nie wiedział, jak nazwać to, co widział. Postać? Ruch? Cień? Coś nieuchwytnego. Nierealnego. Coś, co nie chciało być zobaczone.

— Słyszał pan o Ludziach Skórach? — spytał Wheeler, zerkając na braci Pinto i zniżając głos. Nie chciał niepokoić przesądnych Indian. — Nawahowie nawet nie wypowiadają tej nazwy, żeby bestia się nie pojawiła. To istota zdolna zadać straszliwy ból, a nawet zabić. Potrafi przybrać każdą postać, a co gorsza opanować ludzki umysł. Przenika do duszy człowieka, wchodząc do jego snów. Zawsze też pojawia się, gdy jesteś sam...

Jeśli John Wheeler chciał śmiertelnie przerazić Hightowera, odniósł pełny sukces. Faraday zmusił się, by odwrócić wzrok od ruin — czy mu się wydawało, czy ich wygląd niedostrzegalnie się zmienił? — i skierował rozmowę na przewodników, których miedziane twarze pochylały się nad garnkiem z duszoną kukurydzą doprawioną cebulą i ostrymi papryczkami. Próbując odgonić nienazwany strach, odezwał się donośnie, neutralnie, jakby pytał o pogodę.

—Ci wyglądają na całkiem pokojowo nastawionych do świata — powiedział o braciach Pinto.

—Czterdzieści lat temu — wyjaśni! Wheeler — armia wyłapała Nawahów i zapędziła ich do rezerwatów. Zmusiła ich do morderczej wędrówki, którą nazywają Długą Droga. Częściej mówi się o tym wydarzeniu jako o Szlaku Łez. Na pewno pan słyszał. Wielu Indian wtedy nie przeżyło.

— Nie dziwię się, że nas nienawidzą. Wheeler potarł nos.

—Coś panu powiem, przyjacielu. Nawahowie wierzą, że ludzie otrzymali od wyższych istot wskazówki, jak żyć. Ci, którzy nie postępują zgodnie z nakazami, ponoszą surowe konsekwencje. Pech, choroba, nieudane zbiory, wszystko to są skutki zejścia z właściwej ścieżki. Nie dziwiłbym się, gdyby Jimmy i jego bracia uważali, że Długa Droga to skutek ich własnych grzechów.

—To nie zmienia faktu — odezwał się Faraday nieznośnie protekcyjnym tonem białego człowieka nękanego poczuciem winy — że źle się z nimi obeszlismy i musimy naprawić wyrządzone krzywdy.

Zaprawiony w bojach stary Wheeler tylko wzruszył ramionami i zaciągnął się swoim cuchnącym papierosem.

— W sumie obie strony dobrze na tym wyszły — stwierdził. — Oni dali nam tytoń, my im konie.

Faraday niepokoił się jednak o zbawienie dusz Nawahów.

—Zostali ochrzczeni? — zapytał o braci Pinto.

—Czasem chodzą do kościoła. Lubią wino. Jeśli Sam pierwszy dorwie się do kielicha, wypija wszystko co do kropelki.

Faraday spojrzał na Wheelera zgorszony.

—To nie jest śmieszne — oburzył się.

—Niech pan słucha, przyjacielu. U Indian nie występuje koncepcja osobistej relacji z Bogiem. Wierzą w Wielkiego Ducha, ojca albo matkę wszystkiego. Mogą też wierzyć, że Duch wszystko stworzył. Szanują go i oddają mu cześć, ale nawet im na myśl nie przyjdzie, że tak potężną istotę obchodzą codzienne sprawy śmiertelników. To ludzie mają dbać o równowagę w świecie, strzec pokoju, unikać zła. Ludzie karzą złoczyńców, nie Bóg.

— Mają świadomość grzechu i kary?

— Nasłuchali się o tym po dziurki w nosie. Niech pan sam ich zapyta.

Faraday usłyszał w głosie Wheelera nutkę wyzwania, więc podszedł do braci Pinto i grzecznie spytał, co wiedzą o grzechu i karze; czy zdają sobie sprawę, że grzesznicy nie trafiają do tego samego miejsca, co sprawiedliwi.

Indianie energiczne potaknęli.

— Mówiąc o grzesznikach — ciągnął nie do końca przekonany — mam na myśli ludzi, którzy kradną, kłamią i śpią z cudzymi żonami. A także kobiety, które malują sobie twarze i sprzedają ciała. Ludzi, którzy piją i uprawiają hazard, nie troszcząc się o swoje dusze.

Znowu potaknęli.

— W takim razie — sprawdził ich — dokąd trafiają ci grzesznicy?

— Do Albuquerque! — odparli z szerokim uśmiechem. Wróciwszy na swoje miejsce, Faraday zmierzył Wheelera

lodowatym wzrokiem.

— To też nie było śmieszne — oświadczył.

— Wie pan... — Wheeler patykiem rozgarnął drewno w ognisku — ludziom wydaje się, że Indianie nie mają poczucia humoru. A oni je mają. I to wyjątkowe. Jest im niezbędne do przeżycia. — Urwał i niezmiennym głosem dodał: — Kolacja gotowa!

Kiedy Bettina zorientowała się, że będą musieli trzymać talerze na kolanach, oburzona zażądała natychmiast stolika. Sprowadzenie go potrwałoby wiele dni, na szczęście bracia Pinto byli mistrzami prowizorki i szybko sklecili stół z desek ułożonych na kamieniach (szwagierka Faradaya przykryła go nawet białym obrusem!). Następnie Bettina zauważyła, że pan Wheeler, na którego zmierzwioną brodę ciągle spadały jakieś okruszki, ma zwyczaj przeczesywania jej widelcem. On sam uważał to za piękny gest świadczący o jego wrażliwości na potrzeby dam. Kto bowiem chciałby patrzeć na mężczyznę, w którego brodzie zostają

okruchy i resztki jedzenia? Tymczasem to budziło w Bettinie takie obrzydzenie, że od następnego posiłku ona i Morgana jadały oddzielnie.

Kiedy bracia Pinto myli naczynia w wodzie przyniesionej ze strumienia, a Bettina i Morgana przygotowywały się do snu, Faraday postanowił rozprostować nogi, spacerując wśród cedrów, sosen i osik. Zatrzymał się przed płaskowyżem wyrastającym z równiny. W świetle gwiazd wydawał się czarny jak atrament.

— Wie pan — odezwał się Wheeler, stając obok Faradaya — co Nawahowie mówią o pełni księżyca? Że jest po to, by ludzie wiedzieli, jak wygląda mrok.

Faraday przyznał, że niewiele wie o Indianach.

— Biali mają dwa skrajne wyobrażenia o czerwonoskó-rych. Jedni uważają ich za głupich krwiożerczych dzikusów toczących nieustanne walki, a drudzy za mędrców siedzących pod drzewami, ćmiących fajkę pokoju i czekających, by podzielić się ze światem swą mądrością. Pan należy do tej drugiej grupy, prawda? Przyjechał pan na pustynię szukać duchowej mądrości? — Wheeler splunął sokiem z tytoniu. — Powiem panu, jacy naprawdę są Indianie. Nie podają w wątpliwość tego, czego nie rozumieją. Nie dzielą włosa na czworo. Po prostu akceptują. Niech pan spojrzy na to wzgórze. Czy nie przypomina profilu mężczyzny o masywnym nosie i gęstych brwiach? Tubylcy uważają, że to pradawny wódz, który strzeże ich i otacza opieką. Nie chodzą po tym zbocz. Nazywają tę górę świętą. Stanowi dla nich tabu. Dlaczego się na nią nie wspinają? Bo zdają sobie sprawę, że jeśli tam wejdą, przekonają się, że ich wielki wódz i protektor to zwykła kupa kamieni. Rozumie pan, co mam na myśli.

—Czy Hopi i Nawahowie należą do jednej grupy Indian?

—Ma pan szczęście, że bracia Pinto pana nie słyszeli! To wrogie plemiona. — Rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał butem. — Dwa całkiem inne światy. Hopi mieszkają jeden nad drugim w swoich pueblach. Ciągłe dobudowują nowe piętra, mieszkają w kupie, wrze tam jak w ulu. *Dine* zaś, bo tak nazywają siebie Nawahowie, wolą samotność. Swoje ho-gany zakładają z dala od uczęszczanych traktów i od innych osad.

—Dużo pan wie o Nawahach — zauważył Faraday, obserwując braci Pinto, którzy ze śmiechem grali w kości.

—Wypadałoby. Jestem żonaty z Indianką Nawaho. Nazywa się Mary Pinto i jest siostrą tych dwóch tam. Mam całą gromadkę mieszaińców, które kocham na zabój. Podziwiam Nawahów. Twardzi. Waleczni. Nie to co Hopi, którzy mieszkać w swoich domkach, spokojnie siejąc kukurydzę.

Faradaya zdumiały słowa kowboja. Wcześniej nie przyszło mu na myśl, że między plemionami mogą istnieć swary i podziały. Nagle ogarnął go niepokój. A jeśli szamani, których szukał, należą do grupy znienawidzonej przez okolicznych Indian?

—Czyli są wśród nich chrześcijanie? — upewnił się Faraday. Skoro żona Wheelera jest Indianką...

—He? Co? Pyta pan o moją żonę? Ależ skąd. Nie jest chrześcijanką. Zjawiają się tu misjonarze, ale nie potrafią nawrócić Indian na Jezusową drogę. Jak można kogoś na coś nawrócić, jeśli nawet się nie wie, w co on wierzy. Misjonarze nie próbują zrozumieć Indian. A szkoda. Mogliby się wiele od nich nauczyć.

—O tak, tu się z panem zgadzam — potaknął z przekonaniem Faraday.

—Biali przychodzą tutaj i nazywają Indian szlachetnymi dzikusami. Strasznie się nimi ekscytują, badają ich zwyczaje, zapisują ich słowa, ale za nic by się nie zgodzili, żeby ich córki wyszły za nich za mąż — rzekł z goryczą Wheeler, a Faraday dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że kowboj odmalował jego portret. — Małżeństwo z Indianką Nawaho ma swoje dobre strony — ciągnął z uśmiechem przewodnik. — Zięć za nic nie może zobaczyć twarzy swojej teściowej. To tabu, które narodziło się wiele pokoleń temu. Jakaś jędza nieustannie wtrącała się do związków swojej córki. Nieszczęsna dziewczyna wielokrotnie wychodziła za mąż, ale każdy w końcu ją rzucał, bo nie mógł znieść teściowej. Wtedy wielki wódz ogłosił, że żaden mężczyzna nie może spojrzeć na teściową. To potężne tabu utrzymuje się po dziś dzień. Jeśli mężczyzna choćby przypadkowo spojrzy na swiękrę, oboje zapadają na śmiertelną chorobę i umierają. Ożeniłem się z moją Mary dziesięć lat temu — dodał, wzdychając z ukontentowaniem — i od ślubu nie widziałem teściowej.

Splunął. Faraday nieznacznie się skrzywił.

— Oczywiście Nawahowie nie są idealni. Weźmy chociażby wodę. Któregoś dnia chłopaki chlapały się w *arroyo*. Młodszego porwał wir i zaczął tonąć. Ci dwaj — brodą wskazał Jimmy'ego i Sammy'ego — stali nad brzegiem, darli się i wymachiwali rękami, ale żaden nie wskoczył, by ratować brata. Nawahowie uważają ratowanie tonącego za tabu. Woda jest ich matką, ma prawo zabrać do siebie swoje dziecko. Całe szczęście, że byłem w pobliżu. Wskoczyłem do strumienia i wyciągnąłem dzieciaka.

W tym momencie ciszę nocy zakłóciło dziwne upiorne wycie.

—Wielkie nieba! — przeraził się Faraday, ale Wheeler tylko się roześmiał.

—To kojoty — wyjaśnił. — Tak ogłaszają schwytanie zdobyczy.

Faradaya przechodziły ciarki, gdy słyszał ten jazgot przypominający chichot złośliwych dziewcząt dręczących ofiarę.

— Faraday!

Odwrócili się i ujrzeli wysmarowaną kremem twarz Betti-ny i jej biały nocny czepek. Reszty nie mogli zobaczyć, ponieważ szczelnie zasłoniła się połami namiotu.

— Co to za hałasy? — zawołała

— To tylko kojoty, panienko! — .odkrzyknął Wheeler.

— Uspokoją się, kiedy zaczną żreć.

I rzeczywiście w tej samej chwili zwierzęta umilkły. Kiedy Bettina zniknęła w namiocie, Jimmy wyszeptał coś do Sammy'ego i bracia wybuchli gromkim śmiechem.

Faraday znowu skupił uwagę na upiornych ruinach po drugiej stronie doliny. Z niepokojem, ale i ciekawością myślał o czekających go poszukiwaniach.

— Dokąd mogli pójść? — zastanawiał się na głos nad losem Indian, którzy niegdyś tam mieszkali.

Wheeler wzruszył ramionami.

— Tego nikt nie wie. Po prostu zniknęli.

Może i zniknęli — pomyślał Faraday — ale nie na zawsze, ponieważ on ma zamiar ich odnaleźć.

— Jeśli to panu nie przeszkadza, chciałbym zacząć jutro z samego rana.

Wheeler spojrział na niego zaskoczony.

— A co ja mam do tego?! Moja noga tam nie postanie. Musi pan radzić sobie sam, doktorze Hightower.

— Co pan bredzi? Zatrudniłem pana...

— Jako przewodnika, to wszystko. — Wheeler popatrzył na rysujące się w mroku zarysy prekolumbijskiego miasta.

— Ja tam chodził nie będę.

— A kolekcja, którą pan się tak chwalił? Te ruiny, które pan odkopywał?

— Zgadza się. Zaliczyłem wszystkie ruiny w Utah, Kolorado, Arizonie i Nowym Meksyku. Wszędzie byłem, niektóre własnoręcznie przekopałem. Ale tam się nie zapuszczam. — Spojrzał Faradayowi w oczy. — I pan też nie powinien.

— Dlaczego?

— Odniosłem wrażenie, że jest pan chrześcijaninem. Prawdziwym, nie takim jak ci, którzy przychodzą do kościoła, gdy mają coś na sumieniu. Żyje pan zgodnie z Ewangelią, prawda? Otóż żaden bogoboyny chrześcijanin nie postawi stopy w tym mrocznym miejscu na drugim końcu kanionu.

— Mrocznym?!

— Przekętym. Nawiedzonym. Jak zwał, tak zwał. Ja się boję.

— Archeolodzy nie wyglądają na przestraszonych.

— Bo to pewnie ateści. Poradzę coś panu, jak bogoboyny chrześcijanin bratu w wierze. Nie bez powodu nazywają ten kanion zakazanym. Nie bez powodu też Nawahowie go omijają.

—Pogańskie przesady — zlekceważył ostrzeżenie Faraday, choć po plecach przebiegi mu zimny dreszcz. Zwłaszcza że znowu kątem oka dostrzegł, jak coś (albo ktoś) się porusza.

John Wheeler zmierzył wzrokiem hardego dżentelmena z Bostonu. Wysoki, zadbany, ze starannie przystrzyżoną bródką, gładko uczesany, w ciemnym garniturze, krawacie i wykrochmalonym kołnierzyku wyglądał raczej na kaznodzieję niż badacza.

— Skoro pan tak twierdzi — powiedział wreszcie. — Ale na mnie proszę nie liczyć.

ROZDZIAŁ 33

Tamtej nocy Faraday prawie nie zmrużył oka.

Toczył niemal fizyczną walkę ze swoim sumieniem. Pot przemoczył mu bieleznię, a nawet pryczę. Lekarz ukląkł i modlił się, póki zmęczone kolana nie odmówiły posłuszeństwa.

Błagał o wskazówkę, o światło, o obalenie strasznych słów Johna Wheelera. Nadszedł jednak dzień, a on nie doczekał się odpowiedzi. Stwórca milczał równie uparcie i bezwzględnie jak w dniu śmierci Abigail.

„Bóg wystawia mnie na próbę”, pisał Faraday w pamiętniku pod datą dwunastego września 19.15 roku, gdy poranna kawa stygła w cynowym kubku. „Nie daje mi łatwych odpowiedzi. Muszę toczyć nieustanną walkę. Kowboj twierdzi, że ruiny to nawiedzone miejsce. Powiada, że wydarzyło się tam coś strasznego i zło nadal tam mieszka. Czy mam tam pójść, stawić czoło szatanowi i w ten sposób

znaleźć drogę do Boga? Czy też mam się teraz odwrócić i w ten sposób dowieść czystości serca?"

W końcu postanowił, że nie może się wycofać. Z niepokojem i lękiem w duszy przygotował szkicownik, ołówki, lornetkę, kapelusz — i niedużą Biblię na wszelki wypadek — po czym wyruszył pieszo na drugi koniec kanionu. Wbrew jego zakazowi towarzyszyły mu konno Bettina i Morgana. Szwa-gierka oświadczyła, że nie zostanie w obozie z Wheelerem i Indianami. Uznała też, że odrobina słońca wyjdzie jej siostrzenicy na dobre.

Kiedy w przyjaznym blasku słońca zwiedzali ruiny, Faraday próbował potraktować swoje nocne niepokoje jako produkt wybujałej wyobraźni. W prekolumbijskim mieście znaleźli tylko piasek i skały. Żadnych bestii. Żadnych kanibali. Mimo to zachowywał czujność, choć sam nie wiedział, czego się obawia.

Bettina ostrożnie stąpała po gruzach, unosząc kraj spódnicy i odsłaniając wysokie trzewiczki. Nad głową trzymała parasolkę osłaniającą ją przed słońcem. Wyglądała, jakby omijała kałuże na Commonwealth Avenue. Tymczasem Morgana — żywe srebro — lekko jak ptak przeskakiwała z kamienia na kamień, zaglądała do zionących czernią otworów, krzyczała „Uuu!” i śmiała się z własnego echa. Pięciolatka, a jaka nieustraszona. Serce rosło ojcu z dumy.

Zostawiwszy córkę jej beztroskim igraszkom, zaczął wspinać się wyżej, podając się tajemniczej atmosferze ruin. Ogarnął go wzniosły nastrój.

Tam gdzie kiedyś stąpali ludzie — myślał — dziś przemykają tylko skorpiony i węże. Wysoko na niebie zaś wolno kołują orły, wracając do swoich gniazd.

Patrząc na puste kwadraty okien i opuszczone pomieszczenia, czuł się po trosze jak Schliemann, gdy odkrywał Troję, albo jak Evans, gdy odsłonił ruiny pałacu w Knos-sos.

Zatrzymał się na wyłożonej kamieniem posadzce znajdującej się między dwoma dużymi zagłębieniami, jakby studniami. Właściwie wyglądało to na bruk. Czyżby kiedyś znajdował się tu dziedziniec? Uwagę Faradaya przykuło coś — jakby kopiec — z tłucznia. Znajdował się dokładnie między otworami w ziemi, które Wheeler nazywał kivami, a sięgał do pasa. Wznosił się na środku posadzki

i — przynajmniej tak się wydawało Faradayowi — do niczego nie służył. Na pewno nie stanowił części ściany. Po prostu b y ł na środku dziedzińca.

Faraday spojrział na północ, gdzie już odsłonięto pierwsze piętro kamiennych domów i gdzie krążyła Bettina z Morgana, potem popatrzył na prawo, gdzie prastare miasto wtapiało się w skały kanionu. Pomieszczenia, tarasy, kivy, dziedzińce — to wszystko pasowało i miało uzasadnienie. Ale co znaczył ten bezsensowny kikut na środku?

Odłożył na ziemię składany fotel i szkicownik, które niósł pod pachą, po czym zaczął wydłubywać tłuczeń.

— Stój, bo strzelam!

Kiedy się ostrożnie odwrócił, zobaczył wymierzone w siebie lufy dubeltówki. Mężczyzna, który ją trzymał, miał kaprawą gębę i nie przemawiał czułym głosem.

—Zabieraj się stąd, złodziejskie nasienie, bo zatłukę. Faraday na wszelki wypadek podniósł ręce.

—Ależ ja... Doprawdy... Nie musi pan... —wyjąkał.

— Wystarczy, Unger. Daj spokój. Przestraszyłeś pana.

Faraday obejrzał się i zobaczył krępego mężczyznę w pomiętym białym garniturze. Czerwony i zadyszany dreptał w ich stronę, łysina błyszczała mu w słońcu.

—Zajął moje stanowisko! — warknął mężczyzna z dubeltówką.

—Nie widzisz, że to zwykły turysta? Naprawdę, Unger, ogrodź teren, jeśli nie chcesz, żeby wchodzili nań Bogu ducha winni ludzie. — Przybysz uśmiechnął się szeroko i *wyciągnął* rękę. — Harold Sayer z uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Prowadzę tam wykopaliska — machnął za siebie.

Faraday opuścił ręce, ale nadal podejrzliwie zerkał na strzelbę.

—O co właściwie chodzi?

—Przejdźmy tutaj, to panu wyjaśnię. Proszę uważać na linę.

Dopiero teraz Faraday dostrzegł rozciągnięty kilka centymetrów nad ziemią sznur.

— To stanowisko Unger a — wyjaśnił cicho Sayer. Dubeltówka i jej posiadacz nadal strzegli swojego terytorium. — W pewnym sensie naruszył pan prawo własności.

Faraday ściągnął brwi.

— Ten człowiek przywłaszczył sobie część ruin? Czy to zgodne z prawem?

— Niestety tak. Kiedyś każdy mógł plądrować ruiny i nikt nie był w stanie tego zabronić. Dlatego rząd postanowił zrobić z tym porządek. Wystarczy zapłacić i dostaje się zezwolenie na prowadzenie wykopalisk. To budzi w niektórych instynkty terytorialne. Może pan chodzić po ruinach, ale niech pan omija działki zaznaczone przez Ungera.

— Naprawdę by mnie zabił?

— Najpierw strzelaj, a potem mów, że wydawało ci się, że to jeleni.

Faraday zmrużył oczy i popatrzył pod słońce w miejsce, gdzie mężczyzna zwany Ungerem poklepywał dziwaczne rumowisko, jakby uspokajał spłoszonego konia. On także nie potrafił oderwać wzroku od tej sterty kamieni. Co się pod nią kryło?

— Jest pan archeologiem czy tylko pan zwiedza?

— Sam nie wiem, kim jestem — odparł, a widząc zaskoczenie na twarzy swego wybawcy, poczuł się w obowiązku wyjaśnić: — Jestem lekarzem. Można powiedzieć, że przyjechałem tu na urlop. Faraday Hightower. — Podali sobie ręce.

— Dobrze zna pan te ruiny?

Faraday sam nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie. Nagle zapragnął zdobyć jak najwięcej informacji o tym niezwykłym mieście, w którym żyła tajemnicza rasa.

—Wykopaliska są tu prowadzone od jakichś dwudziestu lat — poinformował Sayer. — Na razie odsłonięto dwieście pomieszczeń. Szacuje się, że jest ich jeszcze kilkaset.

—Jak...? — zaczął Faraday, ale zabrakło mu powietrza. Wszystko przez tę dubeltówkę. Każdy poczułby się dziwnie, gdyby nagle stanął twarzą w twarz ze swoją śmiertelnością.

— Jak stare — dokończył — może być to miasto?

—Tego jeszcze nie wiemy. Przypuszczamy, że budowano je przez wiele stuleci.

—A jego szczyt?

Sayer zmarszczył czoło i przyłożył rękę do ucha..

— Przepraszam, nie dosłyszałem. Faraday głęboko nabrał powietrza.

— Kiedy przypadł szczyt tej cywilizacji?

Sayer zacisnął różowe wargi ukryte pod cienkim wąsikiem.

— Może pięćset lat temu.

Nie, pomyślał Faraday, przelękając ciężko ślinę. To miejsce musi być starsze.

— Widzi pan te pale wystające z muru? — Sayer pokazywał konstrukcję pulchną ręką, nie dostrzegając, że rozmówca nagle źle się poczuł. — To całe pnie drzew. W kanionie pracuje druga ekipa archeologiczna zajmująca się wyłącznie ich liczeniem i zaznaczająca ich miejsce. Do tej pory naliczyli ponad dwieście tysięcy pni. Sprowadzili nawet botanika, który bada próbki drewna. Twierdzi, że większość drzew nie pochodzi z tej okolicy. Ściągano je z odległości nawet siedemdziesięciu kilometrów. A proszę pamiętać, że ci ludzie nie mieli koni ani nie znali koła. Niech pan sobie wyobrazi: wyciąć kamiennym toporem ćwierć miliona drzew, a potem na własnych ramionach przenieść je siedemdziesiąt kilometrów dalej.

—Zupełnie jak budowa egipskich piramid — wyszeptał Faraday, rozluźniając kołnierzyk.

—W całej Ameryce Północnej nie znajdzie pan niczego, co by temu dorównywało, doktorze Hightower. — Sayer podniósł jakąś skorupę, przyjrzał się jej i odrzucił. — Niewiele wiemy o ludziach, którzy tu żyli — podjął — ale na pewno potrafili stawiać pięciokondygnacyjne budynki na długo przed przybyciem białego człowieka i wybudowaniem Nowego Jorku. I jeszcze jedna zagadka, doktorze Hightower. Budowali również drogi, miejscami szerokie na dziewięć metrów, znakomicie zaprojektowane. Po co im były? Nie mieli koni, mułów ani innych zwierząt pociągowych. Nie mieli też wozów. Te pojawiły się dopiero z przybyciem Hiszpanów. Dlaczego więc Anasazi budowali na bezludziu gładkie brukowane trakty?

Faraday wyciągnął chusteczkę i otarł spocone czoło.

— Co takiego jest w człowieku — Sayer mówił dudniącym głosem, jakby prowadził wykład — że stawia monumentalne konstrukcje? Egipskie piramidy. Chiński Wielki Mur. Świątynie Majów. Może drogi stanowiły dla Anasazi rodzaj architektury stanowiącej przejaw władzy i dominacji?

Faraday patrzył pod słońce na dwie figurki spowite w biel — Bettinę i Morganę — przemykające wśród ruin niczym eteryczne zjawy. Przypominały ulotne wróżki, a nie istoty z krwi i kości. Przymknął oczy. W głowie mu szumiało.

— Podstawowe pytanie, doktorze Hightower, brzmi jednak: kto wznosi solidne kamienne konstrukcje, a potem je porzuca?

Faraday czuł, że gardło coraz mocniej mu się zaciska. Nie mógł złapać tchu. Działo się z nim coś złego.

— Hopi twierdzą, że są potomkami tych ludzi. Skoro tak, dlaczego nigdy nie wybudowali czegoś równie wielkiego?

Archeolog zgrabnie lawirował między kamieniami, ruinami i gruzem. Czasem podnosił jakąś skorupę, grot albo kawałek sznura jukowego. Faraday szedł za nim, z trudem dotrzymując kroku.

—Znaleźliśmy tu zaskakujące przedmioty — ciągnął Sayer. — Klatki na ptaki, papuzie pióra, muszle morskie, miedziane dzwonki. Nie pochodziły stąd.

Niektóre sprowadzono z miejsc odległych o tysiące kilometrów. Kto by pomyślał, że tak prymitywny lud mógł utrzymywać tak rozwinięte kontakty handlowe.

— Muszę usiąść — wydusił Faraday.

Sayer obejrzał się na niego i uśmiech zamarł na jego pulchnej twarzy.

— Boże, płynie panu krew z nosa!

Faraday dotknął wargi. Na wąsie poczuł coś ciepłego i wilgotnego. Kiedy odjął rękę, była czerwona od krwi.

— Nie czuję się najlepiej. Archeolog doprowadził go do głązu.

— To wysokość i suche powietrze. Niech pan odchyli głowę. O, tak. Zapomniałem, przecież jest pan lekarzem. Sam pan wie, co robić. Czy to pańska żona i dziecko tam spacerują?

Po pewnym czasie Faraday powstrzymał krwotok i poczuł się lepiej. Do tego stopnia odzyskał siły, że po powrocie do obozu zaczął planować wyprawę w głąb kanionu, żeby spotkać się z innymi archeologami. Wtedy jednak do namiotu weszła Bettina. Przyjęła pozę, którą zdążył aż nadto dobrze poznać — wyprostowaną, z rękami zaplecionymi na podoł ku. Oznaczało to, że zamierza coś oświadczyć i nie uznaje dyskusji.

— Faradayu, dziewczynka i ja nie możemy mieszkać w takich warunkach.

Choć miała na myśli prymitywne warunki obozowe, barbarzyńskie jedzenie i niemożność wzięcia kąpieli, Faraday podejrzewał, że źródła jej nagłej tęsknoty za Albuquerque należy dopatrywać się raczej w tym, że bracia Pinto zaczęli nazywać ją Białą Kobieta, Która Ucisza Kojoty, i przedrzeźniali ją za jej plecami.

— Śmiertelnie nas przeraziłeś swoim... swoim nosem. A twoja córka nie powinna być narażona na kontakty z poganami. Zabiorę Morganę do Bostonu.

— Nie — odparł natychmiast. — Morgana zostanie ze mną.

Potem przypomniał sobie, że Bettina skończyła trzydzieści jeden lat i po raz pierwszy zdobyła wielbiciela. Nie miał prawa jej zatrzymać.

—Ty jednak możesz wracać, Bettino — dodał nieco ciepłej. — Pan Vickers na pewno bardzo za tobą tęskni.

—A co z twoją córką?

—Znajdę dla niej guwernantkę.

—Guwernantka! — prychnęła zniecierpliwiona. — Córka mojej siostry nie będzie tak wychowywana. Trudno, zostanę, ale musisz znaleźć nam mieszkanie w porządnym mieście, gdzie Morgana będzie mogła chodzić do szkoły.

Dzięki pomocy Wheelera Faraday umieścił szwagierkę i córkę w przyzwoitym pensjonacie. Bettina natychmiast dała tam wszystkim do zrozumienia, że jest damą i oczekuje odpowiedniego traktowania. Lekarz nie chciał rozstawać się z córką, ale musiał przyznać rację szwagierce: dzikie obozowiska pod gołym niebem nie stanowią odpowiedniego miejsca dla małej dziewczynki. Obiecał jednak Morganie, że będzie często ją odwiedzał i przywoził jej prezenty.

ROZDZIAŁ 34

Wheeler miał na północ od kanionu Chaco sklep zbudowany z kamienia i pa-
li. Sprzedawał w nim konserwy, smalec w puszkach, suchary i herbatniki, mąkę,
cukier, kawę, sól i pikle. Miał też na składzie bele bawełny, lampy, naftę, sznury,
siodła i patelnie. Na ścianach wisiały poroża, wypchane grzechotniki i jaszczury
oraz futra wszelkiej maści. Milczący Nawahowie cierpliwie czekali, aż zostaną
obsłużeni. Zaopatrywali się głównie w leki, przyprawy, łopaty i siekiery, płacąc
turkusami i srebrem.

Faraday poznał żonę Wheelera — pulchną i nieśmiałą kobietę w niebieskiej
bluzce i długiej kolorowej spódnicy ściśniętej w talii srebrnym paskiem. Kowboj
pokazał mu też swoją imponującą kolekcję glinianych naczyń sprzed wieków.
Trzymając w ręku dzban — zdaniem Wheelera sprzed jakichś pięciuset lat —
wyobrażał sobie dłonie mężczyzny, który modelowa! i ozdabiał naczynie. Zasta-
nawiał się, jak mógł wyglądać ten mężczyzna, o czym myślał w czasie pracy.
Czy był żonaty? Czy miał dzieci?

Kiedy podzielił się tymi myślami z Wheelerem, ten powiedział:

— Przypuszczamy, że garncarstwem zajmowały się głównie kobiety.

Odwiedzając skład Wheelera, Faraday wiele się dowiedział o zwyczajach tu-
bylców. Przed sklepem zawsze siedział stary Indianin Nawaho, spokojnie ćmiący
papierosa. Nogi miał przykryte kocem. Wheeler wytłumaczył lekarzowi, że męż-
czyzna został sparaliżowany w czasie jednej z ostatnich walk z białymi żołnie-
rzami. Jego współplemieńcy co rano przynosili go z hoganu, a co wieczór odno-
sili.

—Biedaczysko — powiedział Faraday.

—Dlaczego pan tak uważa?

—To straszne, stracić władzę w nogach.

—Stary Ben tak nie uważa. Jest naprawdę szczęśliwy.

—Jak to możliwe? Mimo kalectwa?

— Niech pan go zapyta. Wyjaśni, że jest sparaliżowany tylko wtedy, gdy musi chodzić.

Faraday towarzyszył Johnowi Wheelerowi w podróżach po kanionie. Był wstrząśnięty warunkami, w jakich żyją Indianie. Przyjeżdżał tu z zupełnie innym wyobrażeniem. Grozą napawała go zwłaszcza ich bieda.

— Łaskawi biali dobroczyńcy ze wschodniego wybrzeża, Nowego Jorku i Filadelfii zatroskani losem swoich czerwonych braci przysyłają kufry ubrań, żeby biedni Indianie mieli co włożyć na grzbiet. Wie pan, co przysyłają ci kretyni? Znoszone suknie balowe i smokingi.

Faraday starał się chłonąć wszystko, co widział i słyszał, wciąż jednak krążył myślami wokół dziwnego postumentu z Pueblo Bonito. Śnił mu się, natrętnie wracał w myślach. Lekarz tworzył kolejne hipotezy i każdą odrzucał. To było błędne koło. Dlaczego tak go prześladowała ta sterta kamieni? Co w niej było takiego nadzwyczajnego?

Im usilniej starał się zapomnieć o kanionie Chaco, im dalej uciekał od zakazanych ruin, im bardziej ze sobą walczył, tym silniejsza była jego ciekawość. Odwiedzając z Wheelerem hogany Nawahów i puebla na płaskowyżach, słuchał opowieści i legend okolicznych Indian. Im lepiej jednak poznawał tę niezwykłą krainę pustyń, równin, kanionów i lasów, tym bardziej chciał rozwikłać zagadkę kamiennego kopca z Pueblo Bonito.

Na czym polegała tajemnica kanionu Chaco?

ROZDZIAŁ 35

Bettina i Morgana mieszkały w pensjonacie dokładnie dwa miesiące, gdy Bettina oznajmiła, że lokal nie spełnia jej oczekiwań. Na szczęście Albuquerque — niegdyś przystanek końcowy trasy Santa Fe, a teraz jedna z ważniejszych stacji tej linii kolejowej — nieustannie się rozwijało, więc nie brakowało nowych pensjonatów. Poza tym ściągało tu coraz więcej gruźlików i osób cierpiących na inne choroby układu oddechowego, więc w okolicy jak grzyby po deszczu wyrosły sanatoria. Dzięki temu w mieście pojawiała się coraz więcej „odpowiedniego towarzystwa”, jak to określała Bettina: lekarzy, pielęgniarek, naukowców, prawników. Pan Wheeler zauważył nawet, że dla Albuquerque największą tragedią byłoby znalezienie lekarstwa na gruźlicę. Tak więc wszystko powoli nabrało ustalonego rytmu: Faraday wyjeżdżał z panem Wheelerem i indiańskimi przewodnikami na poszukiwanie swoich szamanów, a Bettina starała się jak najlepiej ułożyć życie sobie i Morganie.

Na szóste urodziny Faraday podarował córce indiańskie paciorki, mokasyny i tradycyjną lalkę plemienia Hopi. Kiedy zabrał Morganę na przejażdżkę, zapytała, w co się ubiera fochy. Kiedy spytał, co ma na myśli, wyjaśniła, że słyszała jak pani Slocomb — właścicielka pensjonatu — twierdziła, jakoby Bettina Hightower stroiła fochy. Faraday głośno się roześmiał, pomyślał, że córka jest wprost urocza, i puścił incydent w niepamięć.

— Faradayu — oświadczyła Bettina tonem, który zwiastował komunikat nie podlegający dyskusji — musisz się zdecydować. Podróżujesz po tych przeklętych pustyniach od miesięcy, a wciąż nie znalazłeś swoich pogan. Twoja córka skończyła sześć lat. Potrzebuje stałego, pewnego domu.

Nie wspomniała o swoich niedawnych trzydziestych drugich urodzinach, bo nie chciała przypominać szwagrowi, że przekroczyła wiek, w którym większość kobiet była już żonami i matkami.

— Tak dłużej być nie może — zakończyła.

Poprosił ją, by przestała mu ciosać kołki na głowie. Ostatnio coraz częściej męczyły go bóle głowy, źle sypiał. A jeśli w ogóle zasnął, nękały go dziwne, bezsensowne majaki. Kiedy nie podróżował z Wheelerem, mieszkał z Bettiną i

Morgana. Te wizyty jednak nie przynosiły mu ukojenia. Nie tylko dlatego, że wciąż — choć minęło tyle tygodni — myślał o Pueblo Bonito i dziwnej stercie kamieni na dziedzińcu, ale również dlatego, że za każdym pobytem Bettina coraz wyraźniej okazywała swoje niezadowolenie.

Kiedy stwierdziła, że żaden pensjonat nie spełnia jej oczekiwań, wynajął bungalow na obrzeżach miasta. Miejsce było spokojne i zaciszne, ale Bettina skarżyła się na smród z pobliskich pastwisk. Wtedy Faraday ulokował szwagierkę i córkę w powszechnie szanowanym hotelu. Bettina wydawała się w miarę kontenta do chwili, gdy odkryła, że zaledwie kilka przecznic dalej znajduje się dzielnica o najgorszej reputacji. Narzekała, że ilekroć wygląda przez okno, widzi umalowane kokoty idące po zakupy.

Faraday słyszał o dzielnicy czerwonych latarni przy North Third Street i o zamieszaniu, jakie wywoływała. Przeciwnicy domagali się natychmiastowego zlikwidowania przybytków rozkoszy. Zwolennicy utrzymania dzielnicy argumentowali, że ich pracownice są zarejestrowane i muszą poddawać się badaniom lekarskim. W zależności od tego, które stronnictwo dochodziło do władzy, lokale były to zamykane, to otwierane — każdorazowo pod innymi obostrzeniami. (Ostatnio wprowadzony przepis nakazywał, by udające się po zakupy panie szły w odległości czterech kroków od siebie. Dlaczego? Tego nikt nie potrafi! wyjaśnić.) Szwagier usiłował wytłumaczyć Bettinie, że przecież owe kobiety nie zjawiają się tam służbowo, ale ona była głucha na wszelkie argumenty. Zażądała, by znalazł dla niej i Morgany inne lokum.

Sytuacja tak się zaogniła, że Faraday panicznie bał się wizyt w Albuquerque i przyjeżdżał wyłącznie z tęsknoty do córki.

— Zlekceważyłeś też — oznajmiła z naciskiem Bettina — wizytę pana Vickersa.

Od wyjazdu z Bostonu Bettina otrzymywała karty pocztowe i listy od Zachariasza Vickersa, który wyruszył na misję do Afryki. Na kartach pocztowych były zdjęcia półnagich tubylców, w listach opisy spotkań z lwami i innymi dzikimi bestiami. W końcu przybył na południowy zachód Stanów Zjednoczonych, przywożąc Biblie dla „biednych Indian z Arizony”, jak to ujęła Bettina. Zatrzymał się w Albuquerque na tydzień, w nadziei że przekona ją do powrotu na

wschodnie wybrzeże. Za miesiąc znowu będzie przejazdem w Albuquerque i tym razem zażąda ostatecznej odpowiedzi.

Faraday wpadł w przerażenie. A jeśli Bettina przyjmie oświadczyzny i wróci do Bostonu? Co wtedy zrobi z Morgana? Nie mógł kontynuować swoich podróży z panem Wheelere-m, zostawiając Morgana pod opieką obcych! Wziąć jej ze sobą też nie mógł!

Bettina dała szwagrowi dokładnie trzydzieści dni na podjęcie decyzji.

ROZDZIAŁ 36

— Nie mogę zdradzić, dokąd jadę. Przykro mi, doktorze Hightower, to tajemnica.

Faraday jednak nalegał i wreszcie Wheeler przyznał się, że jedzie do hoganu jednego z krewnych swojej żony, by być świadkiem uzdrowienia. Faraday zaklinał kowboja, by go ze sobą zabrał. Często słyszał o tej ceremonii i marzył, by choć raz zobaczyć ją na własne oczy. Wreszcie Wheeler ustąpił, zażądawszy najpierw obietnicy, że Hightower nie odezwie się ani słowem i będzie się zachowywał z najwyższą delikatnością i szacunkiem.

Faraday był uszczęśliwiony. Ochoczo zapewnił, że będzie siedział jak mysz pod miotłą i w żaden sposób nie zakłóci uroczystości.

Wcześniej kupił w Albuquerque płaską skórzaną teczkę na dokumenty i luźne kartki. Doczepił do niej długi pasek oraz sztywną torbę na ołówki i węgiel. Dzięki temu wszędzie mógł przenosić na papier to, co oglądał — rytualne tańce Hopi,

płaskowyże, kojoty wyjące do księżyca. Szkic z tajemnego obrządku Nawahów będzie perłą jego kolekcji.

— Gdzie w tym wszystkim jest Bóg? — spytał, gdy zatrzymali się nad strumieniem, szybko rozbili obóz, a bracia Pinto zajęli się pieczeniem żeberek i gotowaniem fasoli.

Wheeler najpierw przez chwilę przeżuwał fasolę.

—Bóg? — powiedział wreszcie. — Niechże się pan rozejrzy, doktorze. Bóg jest wszędzie. W górach. W kukurydzy.

—Mam na myśli Boga osobowego. Góry nie zbawiają. Gdzie jest sąd Boży? Gdzie kara i nagroda?

Wheeler żuł, przełykał, a potem zapił posiłek kawą.

— Drogi przyjacielu, kiedy przyjechałem tu przed wielu laty, byłem zupełnie jak pan. Głowę miałem pełną szczytnych ideałów i chwały Bożej. Zamierzałem być drugim Piotrem i wybawiać ludzkie dusze, łowiąc je w Bożą sieć. Aż pewnego dnia zrozumiałem, że nawet nie wiem, od czego je wybawiam.

Faraday spojrział na niego zdumiony.

—Był pan misjonarzem.

—Byłem duchownym, przyjacielu. Kwakrem. Kiedy nawróciłem się na naturalną wiarę tutejszych mieszkańców, odwiesiłem swój kapelusz i znalazłem pracę przy zaganianiu krów. Teraz poluję na ceramikę i obwożę turystów po ruinach. Zastanawiał się pan kiedy, dlaczego tak gardzi religią Indian?

—Trudno to w ogóle nazwać religią. Oddają cześć kamieniom i drzewom.

—Cóż, osobiście uważam, że nie tyle oddają im cześć, co uważają je za święte.

—Modlą się do nich. Sam widziałem, jak modlą się do głazów.

—Ja zaś widziałem, jak pan i inni chrześcijanie modlą się do dwóch związanych patyków. — A kiedy Faraday spojrział zaskoczony, wyjaśnił: — Krzyż. Modli się pan do niego, prawda?

—My modlimy się do Boga. Krzyż jest tylko symbolem. Ma przypominać nam o obecności Wszechmocnego.

—Tę samą funkcję spełniają kamienie i drzewa w religii Indian. Wyjaśnię to panu najprościej. Chrześcijaństwo to religia osobowa, skoncentrowana na pojedynczym człowieku zabiegającym o zbawienie swej duszy. Religia Indian jest wszechogarniająca. Koncentruje się na całej naturze i utrzymywaniu w niej równowagi.

Faraday w zadumie przeżuwał kęs jagnięciny.

— Coś panu powiem, przyjacielu. Indianie nie lękają się śmierci. Wie pan dlaczego? Ponieważ nie przyszli na świat ze znamieniem grzechu pierworodnego. Chrześcijanie zaś rodzą się z grzechem Adama i Ewy, a potem przez całe życie boją się, że umrą z tym grzechem i pójdą do piekła. Dlatego lękają się śmierci. Dla Indian śmierć po prostu utrzymuje równowagę w naturze.

ROZDZIAŁ 37

W hoganie panował półmrok, unosił się zapach stęchli-zny i dymu. Wszędzie tłoczyli się bliscy chorego. Przed wejściem do chaty uzdrowiciel rzucił na cztery strony świata pyłek kukurydzy, w ten sposób oczyszczając dom.

— Nawahowie wierzą — wytłumaczył Faradayowi Wheeler — że przyczyną choroby jest brak harmonii z naturą. Kukurydza przywraca ład, ponieważ ma w sobie moc Władczyni Zmian, która stworzyła Nawahów.

Mając oczy szeroko otwarte, Faraday słuchał przewodnika z zainteresowaniem. Zaintrygowała go koncepcja mocy stwórczej posiadającej żeński pierwiastek.

— U Nawahów ideał harmonii i spełnienia nazywa się *hozho* — tłumaczył po cichu Wheeler, gdy uzdrowiciel klęknął i zaczął wysypywać na podłogę piasek. — Taki wzór z piasku pomaga choremu skupić się na *hozho* i przywraca równowagę. Po rytuale rysunek zostanie zniszczony.

Uzdrowiciel cicho recytował modlitwy, podczas gdy między jego palcami miękko przesypywały się kolorowe ziarenka piasku, mężczyźni zaś uderzali kopytami jelenia w bębunki. Rozpalony chory leżał na kocu. Przyczyną gorączki było zakażenie rany. Faraday z trudem się powstrzymywał, by nie zerwać się i nie zawołać, żeby — zamiast głupio sypać piasek na ziemię — przemyli ranę środkami antyseptycznymi.

— Rysowanie piaskiem to inaczej *Iikhaah* — mówił dalej Wheeler — co oznacza „*yeii* wchodzą i odchodzą”. *Yeti*, czyli święte duchy. Niech pan zwróci uwagę, że rysunek znajduje się na wprost wejścia do hoganu, zawsze skierowanego na wschód. Dzięki *Iikhaah* duchy pojawiają się, kiedy trzeba, a potem znikają.

Faradaya świerzbiły palce, żeby narysować scenę. Choć złościły go te pogańskie praktyki, fascynowała go niezwykła, egzotyczna atmosfera. Nikt nie zauważył, jak sięgnął po kartkę. Nawet Wheeler, który z zapartym tchem śledził wydarzenia. Wszyscy jak zahipnotyzowani wsłuchiwali się w monotonną recytację uzdrowiciela.

Hightower nawet nie zdążył przyłożyć węgla do kartki, gdy ktoś krzyknął. Uzdrowiciel urwał w pół słowa, a potem z wszystkich gardel wyrwał się ryk oburzenia.

Wheeler chwycił go za ramię.

— Lepiej znikajmy.

— Wszystko wytłumaczę. Nie zrobiłem nic złego. Wheeler wyrwał kartkę ze szkicownika i rzucił ją uzdrowicielowi.

— Idziemy!

Wskoczyli na konie i długo pędzili galopem. Wreszcie Wheeler zatrzymał dyszącego wierzchowca i zwrócił się do Faradaya:

— Odstawię pana do Albuquerque, doktorze. Nie mogę dłużej świadczyć panu usług.

W milczeniu ruszyli do miasta. Kiedy znaleźli się parę kilometrów od kanionu Chaco, Faraday poczuł, że ciągnie go tam jakaś przemożna siła. Wspomnienie dziwnego kamiennego kopca odżyło z taką mocą, że kiedy na obrzeżach Albuquerque rozstawał się z Wheelerem, przestało go obchodzić zdanie kowboja — czyjekolwiek zdanie. Faraday wreszcie pogodził się z tym, co nieuchronne: musi wrócić do zakazanych ruin w kanionie Chaco.

ROZDZIAŁ 38

— Czy mam ci przypominać, że za siedem dni zjawi się tu pan Vickers, prosząc o odpowiedź na swoje oświadczenia?

— Na pewno zdążę wrócić, Bettino — mruknął Faraday, pakując torbę.

Nowy przewodnik, którego najął dzień wcześniej, już czekał na dole z wypoczętymi końmi.

— Faradayu, nawet nie spytałeś, czy zgodzę się wyjść za niego za mąż.

— Wrócę — powtórzył, zatrzasnąwszy torbę.

Kiedy brał swój szkicownik, zauważył w drzwiach sypialni Morgane. Patrzyła na niego błagalnie. Serce ścisnęło mu się ze wzruszenia. Dziewczynka z dnia na dzień stawała się coraz bardziej podobna do Abigail. Śliczne kruche dziew-

czątko o poważnej buzi i melancholijnym wejrzeniu. Miała sześć lat, ale duszę starej kobiety.

— Tatku, mogę z tobą jechać?

Znieruchomiał. Zamierzał jechać do Pueblo Bonito sam.

— Aniołku. — Przyklęknął przed nią. — Tatus musi pojechać sam. Ale niedługo wróci.

Jednakże te wielkie oczy, zbyt smutne jak na tak młodziutką osobkę, sprawiły, że zmienił zdanie.

Wszelako aby zabrać ze sobą Morganę, musiał wziąć też Bettinę. Zgodziła się pod warunkiem, że wrócą przed przyjazdem pana Vickersa. Tak oto dokładnie w rocznicę pierwszej wyprawy w Góry Skaliste wrócili do kanionu, który Nawahowie zwali zakazanym.

ROZDZIAŁ 39

Faraday nie mógł zasnąć.

Kręcił się niespokojnie, lecz to nie sny i majaki nie dawały mu zasnąć, lecz uczucia. Wreszcie poddał się i zapatrzył na tonące w księżycowej poświacie milczące ruiny Pueblo Bonito.

Coś go przyzywało.

Kiedy ich sześćosobowa ekspedycja dotarła do obozowiska o zachodzie słońca, przewodnik poradził klientowi, żeby przełożył wyprawę w ruiny do rana. Faraday nie mógł jednak dłużej czekać. Wysunął się ze śpiwora, wziął latarnię,

przewiesił przez ramię teczkę ze szkicownikiem i już miał opuścić obozowisko, gdy zatrzymał go głosik Morgany.

— Tatku? Dokąd idziesz?

Stała, rozchylając poły namiotu, w którym mieszkała z Bettiną. Skąd wiedziała, że nie śpię? zachodził w głowę Faraday. Uspokoił ją, że wychodzi na krótką przechadzkę, a potem kazał wrócić do środka i nie budzić cioci Bettiny. Kiedy jednak przeszedł kilkanaście metrów, obejrzał się i zobaczył, że jego sześciolatnia córka wciąż stoi w wejściu do namiotu. W białej koszulce nocnej wyglądała jak zjawa. Mimo wszystko nie zmienił decyzji. Jakaś nieznana siła kazała mu iść naprzód, do ruin opuszczonego miasta.

Faraday miał tylko nadzieję, że Unger, mężczyzna z dubeltówką, już się stamtąd wyniósł. Przeczucie podpowiadało mu, że pod stertą kamieni pogrzebano coś bardzo ważnego. Postanowił za wszelką cenę wyjaśnić co. Nie odstraszy go byle strzelba.

Dotarłszy na miejsce, przekonał się, że ktoś już usunął łupki i odsłonił duży kamień. Kiedy przyjrzał mu się uważnie w świetle latarni, zobaczył, że choć kamień właściwie jest szary, nabrał rdzawego odcienia. Wyglądał jak pomalowany. Kto go pomalował? I w jakim celu?

Rozejrzał się za jegomościem z dubeltówką. Wtedy, jakieś sto metrów na prawo, zauważył wejście, którego rok temu nie było. Unger nie zasypiał gruszek w popiele. Oczyszczono całą przestrzeń od kopca do najniższego poziomu ruin. Odsłonięto nowe ściany, a nawet — jeśli Faraday dobrze zgadywał — wnętrze obszernego pomieszczenia.

Podszedł tam ostrożnie.

Zbliżając się do ruin, poczuł, jak gardło mu się ściska, a na czoło występuje pot. Przypomniawszy sobie wcześniejsze niewytłumaczalne krwawienie z nosa, zaczął się zastanawiać, czy w okolicy nie unoszą się jakieś szkodliwe pyłki.

Nagle — szelest!

Faraday obejrzał się i zdumiony zobaczył przed sobą dziewczynę. Mogła mieć siedemnaście lat. Natychmiast rozpoznał charakterystyczną fryzurę Indianek Hopi — duże zwinięte loki, nazywane kwiatem dyni, oznaczające panieński stan. Miała na sobie długą karmazynowa spódnicę, a na nią wypuszczoną tunikę. Jego uwagę przykuł jednak tatuaż na czole: trzy ciemnoniebieskie pionowe kreski.

— Witaj — powiedział.

Wpatrywała się w niego bez słowa, ale Faraday zdążył już przywyknąć, że tubylcy — zwłaszcza młode Indianki — nie odzywali się do osób, którym nie zostali przedstawieni. Zapytał więc łagodnie, z uśmiechem:

— Jak masz na imię?

Ona jednak tylko się uśmiechnęła. Wydała mu się czarująca.

— Mówisz po angielsku?

Wymówiła słowo, które musiała powtórzyć, zanim wyobraził sobie jego angielską transkrypcję. Powiedziała *hoshi* i *tiwa*, ale tak jakby to było jedno słowo: Hoszitiwa. Kiedy zapytał, co ono oznacza, jeszcze raz je powtórzyła.

Na niebie pojawiło się kilka chmur. Na chwilę przesłoniły okrągły księżyc, ale potem znowu się rozpięchły. Dziewczyna wciąż stała, czarując go spojrzeniem swych podłużnych oczu. Upięte włosy okalały okrągłą twarz o miedzianej cerze. Faraday nie mógł oderwać od niej wzroku.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

Próbował ją schwytać. Cofnęła ją, odwróciła się i odeszła. Zrozumiał, że ma iść za nią. Lawirowali wśród rumowiska, skał, zburzonych ścian, kwadratów okien. Po niebie sunęły chmury, które sprawiały, że księżyc to słabiej, to mocniej oświetlał im drogę. Dziewczyna wiodła Faradaya wysoko, ponad granicę odkopanych ruin.

Już miał zapytać, dokąd go prowadzi, gdy stanęła. Powiódł wzrokiem po murze sięgającym ramion, kamieniach i piasku zasłaniających podłogę. Znajdowali się w niewielkim pokoiku, gdzie dawno temu ktoś mieszkał, kochał i umierał.

Wyciągnęła rękę i coś mu pokazywała. Pobiegł spojrzeniem za jej dłonią. W rogu zobaczył kopczyk kamieni.

— Czy coś tam jest? — wyszeptał.

Nie chciał zbudzić Ungera, który mógł mieć w pobliżu obozowisko.

Dziewczyna wciąż wskazywała na kopczyk, więc zaczął go rozgrzebywać. Ostrożnie i delikatnie — tak jak to robili archeologowie i Wheeler — by nie uszkodzić tego, co znajdowało się pod spodem. Po chwili wynurzył się jakiś gładki przedmiot. Faradaya ogarnęło podniecenie. Ostrożnie sięgnął i wziął do ręki precudne gliniane naczynie. Było całe.

Kiedy obracał je w dłoniach, zachwycając się jego złocis-topomarańczowym odcieniem, przypomniał sobie rozmowę, którą odbył z Wheelerem przy okazji oglądania jego kolekcji.

— Co to jest? — zapytał wtedy, podziwiając jakieś wyjątkowo piękne naczynie. — Jakiś dzban?

— To *olla* — wyjaśnił Wheeler.

— Oja?

— Pisz się to „olla”. Po hiszpańsku garnek. Nie wiem, jak nazywali je Indianie. Czasem rysunek przedstawia jakąś historię, ale trudno zrozumieć, o co chodzi. Nikt nie wie, co oznaczają poszczególne symbole.

Podniecenie Faradaya rosło, gdyż na *olli*, którą trzymał w rękach, znajdował się wyjątkowo piękny wzór. Nagle ogarnęło go uczucie spełnienia, jakby to właśnie ten dzban wzywał go od pierwszej chwili, gdy zjawił się w Pueblo Bonito.

— Czy wiesz, dokąd poszli ludzie, którzy go zrobili? — spytał, pokazując dzban dziewczynie.

Zmarszczyła czoło, co tylko uwydatniło tatuaż.

Powtórzył pytanie, gestykulując, jakby bawił się w szaradę. Na twarzy dziewczyny nagle błysnęło zrozumienie. Uniosła rękę i wskazała na zachód.

— Nadal tam są? — spytał podekscytowany.

Ona jednak nie odpowiedziała, więc dalej podziwiał naczynie. Kiedy obracał je w dłoniach, we wnętrzu coś zagrzechotało. Nie zdążył tam sięgnąć, bo nagle po plecach przebiegł mu dreszcz i włosy na karku zjeżył atawistyczny strach.

TLR

Oprócz nich w tych prekolumbijskich ruinach było coś jeszcze. Coś niewidzialnego.

— Ty też to czujesz? — zwrócił się do dziewczyny. Uniosła brwi.

Przyjrzał jej się uważnie. Nie dostrzegł nawet cienia strachu. Wytłumaczył sobie, że ponosi go wyobraźnia pobudzona przez te durne bujdy Nawahów i kowboja. Ludzie Skóry. Akurat. A mimo to, gdy dalej oglądał *ollę*, coraz wyraźniej czuł, że ktoś albo coś go obserwuje.

— Kto to? — krzyknął. — Unger, czy to ty? Dziewczyna drgnęła zaskoczona. Faraday natychmiast się

zawstydził. Taka dziewczynka się nie boi, a on — dorosły mężczyzna — tak? Mimo to ręce mu drżały. Pot spływał po czole. Żołądek ścisnął się tak mocno, jakby zaraz miał zwrócić kolację. Lekarz był pewien obecności jakiejś złej siły. Wiedział bez cienia wątpliwości, że jeśli natychmiast stąd nie odejdzie, będzie po nim.

Równocześnie jednak zdał sobie sprawę, że za chwilę dostąpi objawienia. Tak długo marzył o tym darze, lecz teraz, gdy miał go otrzymać, ogarnęło go przerażenie. Nie takich wizji pragnął! Chciał oglądać cudowne istoty, anioły i cherubiny. Nie mroczne siły, które czaiły się na progu świadomości. Nie! krzyczał w duchu. Odejdźcie precz, szatańskie wizje!

Włosy stanęły mu dęba. Ciało zlał zimny pot. Popatrzył na dziewczynę. Wyglądała normalnie, jak przeciętna Indianka. Nie budziła przerażenia. I wtedy przypomniały mu się słowa Wheelera: „Potrafi przybrać każdą postać. Zawsze też pojawia się, gdy jesteś sam...”

Faraday uciekł.

Trzymając prekolumbijski dzban, uciekał co sił w nogach, jak królik przed psem myśliwskim. Z krzykiem wpadł do obozu.

— Faradayu! — krzyknęła przerażona szwagierka. — Co ci się stało?

— Boże — powiedział i stracił przytomność.

Pueblo Bonito leżało prawie sto kilometrów od linii kolejowej. Przewodnik wraz z pomocnikami ułożyli Faradaya na wozie i co koń wyskoczy pojechali do najbliższej stacji. Tam zawiadowca zatrzymał pociąg towarowy jadący do Albuquerque. Bettina nie zgodziła się, by zawieźć szwagra do szpitala. Oświadczyła, że sama będzie go pielęgnować w wynajętym domu. Wezwała lekarza, ale ten stwierdził jedynie, że mężczyzna stracił zmysły, i zostawił go pod jej opieką.

Faraday przez długie dni miał gorączkę i bredził w delirium. Kolejny wzywani lekarze oświadczyli, że doznał szoku nerwowego.

Później przypominał sobie tylko oderwane sceny; wizje tak potworne, że nie mieściły się w głowie — jakby złe moce, które żyły w ruinach, wdarły się do jego umysłu i dalej go dręczyły. Widział ofiarę krwi — nieszczęsnego człowieka położonego na kamieniu, rozcinanie piersi i wyrywanie z niej jeszcze bijącego serca. Rzeź odbywała się na tym tajemniczym kamieniu ukrytym pod kopcem na środku dziedzińca.

Kiedy Faraday wreszcie w pełni odzyskał świadomość, dowiedział się, że będąc w delirium zażądał, by podać mu papier wraz z ołówkami, i godzinami rysował. Co takiego — Bettina nie wiedziała, ponieważ nikomu nie pokazywał rysunków. Tak oto pierwszego dnia po odzyskaniu świadomości patrzył na leżący przy łóżku szkicownik, bojąc się po niego sięgnąć. Nie chciał zobaczyć koszmarnych scen, które z pewnością narysował. Drżącymi dłońmi sięgnął po teczkę, ale nie mógł się zmusić do jej otwarcia. Przed oczami przemykały mu pojedyncze sceny. Znowu zobaczył potwory i upiory zamieszkujące prekolumbijskie ruiny. Jak mógł je narysować?! Wpuścić pod swój dach... Do swego życia... Przeszył go dreszcz zgrozy. Robiło mu się niedobrze na myśl, że naraził nie tylko swoją nieśmiertelną duszę, ale również duszę Morgany. A gdyby tak przypadkiem znalazła te szkice z samego piekła?

Początkowo zamierzał wrzucić całą teczkę do ognia, gdzie pożarłyby ją płomienie. Wyobrażał sobie, jak iskry strzelają w górę, wylatują kominem i wraz z demonami wracają do styksowych głębin, z których przybyły.

Wiedział jednak, że tylko się oszukuje. Mógł spalić rysunki, lecz demony go nie opuszczą. Dlatego — nawet nie patrząc na to, co wyszło spod jego umaza-

nych węglem palców, ani nie rozumiejąc, czemu właściwie tak postępuje — wsunął szkice do ukrytej kieszeni teczki, by nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Kiedy już nieco odzyskał siły fizyczne — choć nie duchowe — Bettina oświadczyła władczo:

— Faradayu, przebrała się miarka. Wyjeżdżamy stąd i koniec.

Była zdumiona, gdy przyznał jej rację. Nie zamierzał jednak wrócić do Bostonu, tylko postanowił ruszyć jeszcze dalej na zachód. Tajemnicza Indianka Hopi z Pueblo Bonito pokazała kierunek zachodni. zaproponował, że pokryje koszty podróży Bettiny koleją do Bostonu, i zasugerował, by przyjęła oświadczyni pana Zachariasza Vickersa.

Bettina zaskoczyła go, mówiąc, że kiedy leżał w delirium, pan Vickers złożył jej wizytę. Na dowód wysunęła rękę, pokazując szwagrowi zaręczynowy pierścionek z brylantem.

— Ponieważ jednak zaraz wyrusza do Afryki, gdzie spędzi rok, pobierzemy się dopiero następnej wiosny. Na razie, Faradayu, będę wywiązywać się ze swoich obowiązków względem ciebie i mojej siostrzenicy. W końcu nie masz nikogo innego.

Faraday spakował swoją kolekcję ceramiki (powierzając Bettinie wstawienie *olli* do skrzyni. Wciąż panicznie bał się nawet spojrzeć na to naczynie), a kiedy wsiadał do pociągu, ostatni raz popatrzył na krainę, w której przez rok szukał prawdy. Przypomniawszy sobie, z jakim zapalem tu przyjechał, nie mogąc doczekać się objawienia. Zamiast niego jednak otrzymał koszmary, od których za wszelką cenę chciał się teraz uwolnić.

Tylko jedno plemię mogło wypędzić demony, które wzięły go we władanie w kanionie Chaco. Potomkowie ludu, który wybudował tamto miasto.

ROZDZIAŁ 40

Faraday nikomu nie powiedział o dziewczynie, którą zobaczył w ruinach. Kto by mu uwierzył? Człowiekowi, który wrócił stamtąd, bredząc w malignie? Z pamięci naszkicował portret i często na niego patrzył, jakby w owalu jej twarzy, gładkich policzkach, księżycowej poświacie odbijającej się w podłużnych oczach i trzech intrygujących kreskach kryło się wyjaśnienie tego, co tamtej nocy go spotkało.

Trasa kolejowa z Nowego Meksyku kończyła się w Ban-ning w stanie Kalifornia. Właściwie był to tylko dworzec kolejowy, wokół którego wyrosło parę sklepów. Na szczęście znaleźli pensjonat i Faraday mógł od razu zająć się szukaniem odpowiedniego domu dla Bettiny i Morgany. Choć nie mógł się doczekać, kiedy wyruszy śladem szamanów, najpierw musiał zatroszczyć się o rodzinę.

Wypatrzyli dom na sprzedaż w Palm Springs, niewielkiej osadzie wciśniętej między rezerwaty Indian, a składającej się głównie z chat i namiotów, w których mieszkali gruźlicy i inni chorzy z płucnymi dolegliwościami. Właśnie tam wśród wydm i palm, za wysokim ceglany murem milioner, który zbił majątek na budowie linii kolejowych, postawił dziesięcioroizbową willę w stylu hiszpańskim dla żony cierpiącej na rozedmę płuc. Niestety wkrótce potem kobieta zmarła. Potentat wrócił do San Francisco, wystawiając dom na sprzedaż.

Wybudowanie Casa Esmeralda kosztowało majątek. Potentat na niczym nie oszczędzał. Krany w łazienkach były złote, podłogi wyłożone marmurem, drzwi — mahoniowe z szybkami z rżniętego kryształu. Cena była astronomiczna, ale Bettina i Morgana zakochały się w tej willi jak z bajki, więc Faraday porozumiał się z bankiem, by przelać pieniądze z Bostonu do Los Angeles. Zakup willi miał pochłonąć niemal cały majątek, jakim dysponował, wymyślili więc we trójkę małą intrygę. Ponieważ Faraday był szanowanym lekarzem z dyplomem uniwersytetu Harvarda, dali urzędnikom do zrozumienia, że zamierza otworzyć gabinet lekarski. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę gruźlików przyjeżdżających do Coachella

Valley, sukces miał zapewniony. Dlatego bank zgodził się zatrzymać pieniądze jako zastaw. Równocześnie co miesiąc określona kwota spływałaby na poczet spłaty pożyczki. W ten sposób Faraday miał pieniądze na życie, a zarazem stopniowo spłacał wille.

Na terenie majątku znajdowała się studnia głębinowa, więc mieszkańcy Casa Esmeralda nie byli zdani na łaskę i niełaskę natury, nie musieli też toczyć z Indianami batalii o dostęp do wody. Choć do domu nie doprowadzono gazu ani elektryczności, Bettinie to nie przeszkadzało. Elegancka, bogato urządzone willa w pełni zaspokajała jej próżność. Zresztą — jak oświadczyła — przecież to nie ona będzie zajmowała się gotowaniem, sprzątaniem et cetera.

— Na początek sześcioro służby — stwierdziła i zaczęła sporządzać listę obowiązków dla kucharek, praczek, pokojówek, a także ogrodników, ponieważ zamierzała w pełni korzystać z uroków fontann i ogrodu.

Faraday zaczął od rozpakowania swojej kolekcji, ale musiało minąć jeszcze kilka dni, nim zebrał się na odwagę, by wyjąć ze skrzyni *ollę* i przyjrzeć się naczyniu chłodnym okiem naukowca.

Ponieważ przestał się jej bać, mógł ją rysować z różnych Perspektyw, usiłując jak najwierniej oddać niezwykły złotawy odcień gliny i chaotyczne rysunki pokrywające wszystkie ścianki. Spotyka! się i rozmawiał ze wszystkimi okolicznymi kolekcjonerami ceramiki, w nadziei że pomogą mu odczytać opowieść zapisaną w czerwonych wzorach na glinie. „Dawno temu wydarzyło się tu coś bardzo złego, doktorze High= tower” — ostrzegł go kiedyś John Wheeler. Czy rysunki na dzbanie stanowiły świadectwo jakiegoś zapomnianego kataklizmu?

Odpowiedź wciąż mu się wymykała.

Faraday zrozumiał, że eksperci od kultury Indian i ceramiki nie wystarczą. Potrzebował kogoś, kto potrafiłby odczytać symbole namalowane na dzbanie, a może nawet zrozumiałby rysunki, które zostawiła Cyganka. Czy one w ogóle miały związek z Indianami? John Wheeler podejrzewał, że tak, ale nie potrafił wyjaśnić, co oznaczały.

Urzędnik w banku podsunął, by udać się do lokalnego biura do spraw Indian, które mieściło się w San Bernardino. Tam Faraday zastał stół zavalony księga-

mi, listami, zwiniętymi mapami, raportami rządowymi i pochylonego nad tym wszystkim człowieka nazwiskiem Johnson, który plasował się gdzieś między antypatycznym a apatycznym.

Kiedy zjawił się Faraday, Johnson właśnie przeżuwał kanapkę z szynką i nie zamierzał zrezygnować z posiłku tylko dlatego, że zjawił się petent.

— Urzędnicy do spraw Indian — oświadczył z pełnymi ustami — odpowiadają za szkoły, wymiar sprawiedliwości, podział produktów, przydział mieszkań i umowy. Taki urzędnik na dobrą sprawę pełni funkcję władz plemiennych. A proszę mi wierzyć, to niełatwe zadanie! — Wytarł tłuste usta serwetką zatkniętą za kołnierzyk. — Indianie są jak dzieci. Wymagają twardej ręki.

Faraday spytał Johnsona, czy obilo mu się może o uszy słowo „hoszitiwa”. Nie obilo. Bogiem a prawdą nie znał żadnego słowa w żadnym indiańskim nareczu. Kiedy Faraday zapytał, czy to może być nazwa plemienia, urzędnik pokazał mu listę plemion znajdujących się pod jego kuratelą: Czemi-wejowie, Cahuilla, Serrano, Luiseno, Diegueno... Lista ciągnęła się w nieskończoność i nie pojawiła się tam żadna Hoszitiwa.

Popijając posiłek zimnym mlekiem, urzędnik wyjaśnił następnie, że jego rejon obejmuje tysiące kilometrów kwadratowych, a w każdym rezerwacie jest mnóstwo wiosek. Każda grupa ma inną kulturę, język i potrzeby. Jakim cudem ma znać je wszystkie?

Na ścianach gabinetu wisiały zdjęcia Indian. Uwagę Faradaya przykuła fotografia podpisana: „Wódz Cabazon, ostatni wojownik plemienia Cahuilla”. Mężczyzna był ubrany w garnitur, białą koszulę i krawat, a na kolanach trzymał cylinder. Johnson prychnął pogardliwie i oświadczył zimno:

— Samo ubranie nie zrobi z nich białych.

— To pański cel? — zapytał Faraday. — Chce pan zrobić z nich białych?

Urzędnik wytarł z kącików ust resztki musztardy.

— Jak to mówią, trzeba zabić Indianina, by uratować człowieka.

Uwagi Johnsona niepokoiły Faradaya. Temu człowiekowi najwyraźniej nie zależało na zachowaniu indiańskiej kultury. Nawet „ostatniego wojownika plemienia Cahuilla” ubrał w strój białego człowieka.

— Na tym polega nasze niewdzięczne zadanie — ciągnął urzędnik. — Musimy sprawić, by ci ludzie zaadaptowali się w amerykańskim społeczeństwie. Wielu stawia opór. W kółko im powtarzamy, że jeśli chcą przetrwać, muszą odrzucić głupie stare zwyczaje. Nie mogę się doczekać, kiedy dobiegnie końca moja czteroletnia kadencja. Wie pan, że każą nam na jakiś czas przenieść się do rezerwatu? Kto to słyszał?

Johnson odwrócił się i zajął się konsumpcją placka brzoskwiniowego. Zajęcie to pochłonęło całą jego uwagę.

— Udanych poszukiwań — rzucił odwrócony plecami do gościa.

Faraday jednak nie dał się zbyć tak łatwo. Pustynia była wielka, plemiona Indian liczne i porozprasane. Potrzebował punktu zaczepienia.

— Bardzo pana proszę.

Johnson odwrócił się, zwięził oczka. Widząc jednak, że nie pozbędzie się pententa, westchnął i skapitulował.

— Co właściwie pana interesuje?

Po bolesnych doświadczeniach z Johnem Wheelerem Faraday poprzysiągł sobie, że już nigdy nikomu się nie zwierzy.

— Piszę książkę — powiedział. — Ostatnio pojawiło się duże zainteresowanie kulturą indiańską. Zwłaszcza sztuką. Symbolizmem. Mistyczne postacie i ich reprezentacje.

Nie zamierzał pokazywać temu prostakowi rysunków Cyganki ani swoich szkiców *olli*.

Johnson dumął przez chwilę, wreszcie pstryknął palcami.

— Przypominam sobie grupę antropologów z Nowego Jorku. Chcieli wybrać się na pustynię. Mówili coś o szamańskich symbolach wrytych w skałach. —

Wysunął szufladę i zaczął w niej grzebać. — Jest! — oznajmił triumfalnie, wyciągając jakiś list. — Niejaki doktor Delafield zwraca się z prośbą o zezwolenie na prowadzenie badań w pobliżu Bar-stow na pustyni Mojave. Tak naprawdę nie potrzebowali zezwolenia, bo nie wybierali się na tereny zamieszkałe przez Indian. Jak dla mnie to zwyczajna grupa turystów. Przykro mi, że nie mogłem bardziej panu pomóc — zakończył, wracając do placka.

Audiencję uznał za zakończoną.

Faraday wrócił na krótko do Casa Esmeralda, gdzie Bet-tina urzędowała wille. Doglądała uruchamiania fontann, ustawiania mebli, wieszania kotar w pokojach. Dyrygowała też ogrodnikami pracującymi w ogrodzie i sadzie.

Faraday uściskał i mocno ucałował córeczkę, w której długich kasztanowych lokach tańczyło słońce, i obiecał, że nie zostawia jej na długo.

TLR

ROZDZIAŁ 41

Wyruszył pociągiem i po całym dniu podróży przez miasteczka i góry dotarł do zakurzonego górniczego Barstow, znajdującego się dwieście kilometrów na wschód od Los Angeles. W sklepie sieci Harvey House zaopatrzył się w jedzenie, potem poszedł wynająć konie. Właściciel stajni okazał się bardzo życzliwy i pokazał na mapie, gdzie znajdują się skalne rysunki.

Początkowo wydawało się, że polowanie na antropologów jest skazane na porażkę. Petroglify znajdowały się bowiem wszędzie, w całym regionie, na olbrzymim terytorium. Na szczęście Barstow było małym miasteczkiem, a w takich wieści szybko się roznoszą. Dlatego na hasło „naukowcy z Nowego Jorku” dość szybko udało mu się zdobyć informację, że wybierali się do Kanionu Motyla u stóp Smith Peak.

O zmierzchu Faraday zobaczył obóz rozbity nad brzegiem wyschłego jeziora. Nad nim wznosił się Smith Peak, surowy samotny szczyt przypominający nieco ząb piły. Na jego skalistych zboczach hulał wiatr. Jadąc, Faraday przytrzymywał kapelusz i modlił się, by ci wykształceni ludzie znali odpowiedzi na jego pytania i wskazali mu drogę do szamanów. Demony z Zakazanego Kanionu towarzyszyły mu w drodze. Czuł ich obecność. Siedziały przyczajone pod jego czaszką, czekając na pierwszą chwilę słabości.

Kiedy podjechał, obóz wydał mu się dziwnie pusty. Ani śladu człowieka, tylko wiatr zawodzący wśród namiotów. A przecież w garnku nad ogniskiem pyrkotała kawa i paliły się lampy przed namiotami. Co tu się wydarzyło?

— Jest tu kto? — zawołał, a wiatr poniósł jego słowa.

Czekał z rosnącym niepokojem, wreszcie z namiotu wynurzył się młody mężczyzna, który wyglądał, jakby od dawna nie mył się ani nie golił.

—Niech pan lepiej jedzie! — krzyknął. — Mamy tu chorobę!

—Jaką? — odkrzyknął Faraday, zsiadając z konia, ale nie podchodząc do mężczyzny.

—Nie wiemy. Nie jesteśmy lekarzami.

—Wszyscy chorujecie?

—Nie, na razie tylko jeden.

Faraday z przyzwyczajenia zabiera! w podróż torbę lekarską, choć od dawna nie zamierzał do niej sięgać. Teraz dziękował losowi, że i tym razem stary nawyk okazał się silniejszy. Wszedłszy do namiotu, zastał ośmiu ludzi, którzy z niepokojem otaczali siwego mężczyznę leżącego na pryczy. Wyglądał, jakby spał, tyle że oddychał płytko. Wszyscy podnieśli wzrok na intruza, ale kiedy Faraday powiedział, że jest lekarzem, wydali okrzyk radości.

Podszedł do chorego i wyprosił zebranych. Wszyscy z ulgą uciekli na zewnątrz — z wyjątkiem młodej dziewczyny o niezwykłych platynowych włosach. Chyba nawet nie dostrzegła jego obecności. Siedziała u boku starca, tuląc jego bezwładne dłonie.

Otwierając torbę i wyjmując stetoskop, Faraday uważnie przyglądał się mężczyźnie. Ponieważ pozostali członkowie grupy byli młodzi i wyglądali na studentów, domyślił się, że chory to profesor Delafield, który przyjechał ze wschodniego wybrzeża, by badać indiańskie petroglify. Jakież to choróbsko go dopadło i doprowadziło do takiego stanu?

— Nie wiemy, co mu jest — odezwała się cicho młoda kobieta, uprzedzając pytanie lekarza. Nie odrywała wzroku od profesora. — Zaczęło się od osłabienia i zadyszki. Pracowaliśmy w kanionie. — Podniosła głowę i Faraday zobaczył niewiarygodnie czyste, niebieskie oczy. — Próbował dotrzymać nam kroku, ale z dnia na dzień coraz bardziej słabł, aż wreszcie nie mógł już nawet wstać z łóżka. Posłaliśmy po doktora z Barstow, ale gdzieś wyjechał. A profesor mógłby nie przeżyć podróży. Dzięki Bogu, że pan się zjawił.

Czyż to nie dziwne słuchać, jak ktoś dziękuje Bogu za sprowadzenie człowieka opętanego przez demony? Skąd jednak ta urocza istota miała wiedzieć, że

mroczne upiory opanowały jego duszę? Jak miał jej wyznać, że od kiedy Bóg się od niego odwrócił, stracił wiarę w swoją moc uzdrawiania?

Faraday metodycznie, tak jak go wyszkolono, przystąpił do badania. Sprawdził tętno, koloryt i dotyk skóry chorego. Wszystko w normie. Nie było widać objawów zakażenia ani problemów z sercem. Na pierwszy rzut oka wyglądał całkiem zdrowo. Skąd zatem to osłabienie i zadyszka?

Lekarz wyjął z torby urządzenie medyczne, które nabył tuż przed wyjazdem z Bostonu — najnowszy wynalazek zwany sfigmomanometrem. Przekonawszy się w szpitalu Johna Hopkinsa, jak skutecznym narzędziem diagnostycznym jest ten instrument, ten jeden raz postanowił zapomnieć o swojej nieufności wobec nauki i nowoczesnych wynalazków.

—Co pan robi? — zapytała dziewczyna, kiedy owinął opaskę wokół ramienia chorego.

—Mierzę ciśnienie krwi. Dzięki temu dowiem się, co dzieje się wewnątrz organizmu.

Przyglądała się z ciekawością, jak Faraday gumową pompką tłoczy powietrze do rękawa i słucha przez stetoskop, gdy powietrze schodziło z opaski. Odczyt na wskaźniku zaniepokoił lekarza, więc powtórzył badanie. Po czterech podejściach nie mógł mieć wątpliwości. Odczyt był prawidłowy. Mężczyzna miał niepokojąco niskie ciśnienie.

—Ile ma lat? — zapytał, patrząc w jej niewiarygodnie niebieskie oczy.

—Sześćdziesiąt siedem. Zawsze jednak dopisywało mu zdrowie. Nigdy nie chorował.

Powieki chorego drgnęły.

— Elizabeth...?

— Jestem, profesorze.

Faraday kontynuował wywiad,

— Czy ostatnio chodził wysoko w góry? — zapytał, podejrzewając, że zadyżkę spowodował skrzep krwi ulokowany w płucach.

—Nie.

—Skarżył się na coś jeszcze?

—Parę tygodni temu skręcił nogę w kostce, nic poza tym. Ból ustąpił i profesor wrócił do pracy.

—Panie profesorze — zwrócił się Faraday do pacjenta — nazywam się Faraday Hightower, jestem lekarzem. Jak się pan czuje?

Delafield sprawiał wrażenie przytomnego, patrzył na niego trzeźwym wzrokiem.

— Jestem tylko osłabiony. Nie... nie mogę złapać tchu... Już po wejściu do namiotu Faraday zwrócił uwagę na zapach i tak jak się spodziewał, nocnik stał pod łóżkiem. Pacjent cierpiał na biegunkę. Następne badanie było krępujące, więc — aby nie narażać godności profesora — wyprosił młodą kobietę. Dopiero wtedy zsunął koc i podciągnął koszulę pacjenta. Bliższe badanie ramion i nóg ujawniło dziwne niewytłumaczalne sińce, potem obmacał brzuch, pytając, gdzie boli. Mężczyzna nie czuł jednak bólu.

—Co pan jadł lub pił?

—Nic szczególnego.

Faraday zapytał o wypróżnienia i kolor stolca.

—Czarny...

—Jak smoła?

—Tak.

Lekarz usiadł, próbując połączyć w całość to, czego się dowiedział. Objawy wskazywały na krwotok wewnętrzny. Co jednak mogło być jego przyczyną? Wtedy przypomniał sobie o skręconej kostce.

— Jak pan leczył nogę? Jakie leki przyjmował? Profesor z wysiłkiem uniósł ramię i wskazał w stronę zaśmieconej szafki przy łóżku. Lampa, butelka z wodą, szklanka, grzebień, ołówek, kartki i...

Buteleczka aspiryny.

Faraday znalazł odpowiedź. To był krwotok żołądka. Profesor Delafield powoli wykrwawiał się na śmierć i nawet o tym nie wiedział.

— Krwotok! — zawołała młoda kobieta imieniem Elizabeth, gdy stanęli przed namiotem. Pozostali uczestnicy ekspedycji niespokojnie krążyli wokół ogniska. — Jak to możliwe? Zawsze tak bardzo uważał na zdrowie! Nie pali, nie pije alkoholu...

— Ale bierze aspirynę, prawda? Zmarszczyła czoło.

— Pigułki likwidowały ból, gdy skrzył nogę. Miał też lekką niestrawność, którą również leczył aspiryną.

— Ile tabletek przyjmuje?

— Jedną buteleczkę tygodniowo.

Faraday jęknął. Minęło dwadzieścia lat od wynalezienia aspiryny i ludzie zaczęli traktować ją jak panaceum. Łykali ją przy wszelkich dolegliwościach w nieograniczonych ilościach.

— Aspiryna nie jest cudownym lekiem — wyjaśnił Elizabeth. — A przyjmowana w nadmiernych ilościach może wręcz szkodzić. To co profesor uznał za niestrawność, było początkiem krwotoku, gdy została uszkodzona ściana żołądka.

— Ale nie wymiotował.

— Krew jest wydalana wraz kałem. To zdradziecka postać prowadząca do śmiertelnego wykrwawienia.

— Boże — wyszeptała.

— Powinno się go przewieźć do szpitala, ale jest zbyt osłabiony — mówił Faraday, równocześnie zauważając, jak światło lampy podkreśla miękkie platynowe

loki kobiety. — Trzeba więc przede wszystkim powstrzymać krwawienie. Mają państwo w obozie mleczko magnezjowe?

—Nie przypuszczam. Wyślę kogoś do Barstow. Jest tam drogeria.

— Niech kupi też piwo imbirowe, które wspomogę trawienie i uspokoi żołądek.

Kobieta miała na sobie białą bawełnianą koszulę wpuszczoną w spodnie koloru khaki. Podczas gdy lekarska część umysłu Faradaya koncentrowała się na kuracji profesora i udzielaniu wskazówek, inna część zdumiewała się widokiem kobiety w spodniach. Po raz pierwszy spotkał się z czymś takim. To go zaintrygowało.

—Panie doktorze — zapytała — gdyby się pan nie zjawił, czy profesor by przeżył?

—Wykrwawiłby się na śmierć, a wy nie wiedzielibyście nawet dlaczego.

Łzy błysnęły w jej cudownie niebieskich oczach i Faraday poczuł, jak w jego piersi coś się porusza. Zupełnie jakby upiory, które rozgościły się tam od wyprawy do Zakazanego Kanionu, na chwilę zostały strącone ze swoich szatańskich drążków.

Przepisał natychmiastową kurację: co godzinę szklanka mleka, a po niej niewielka porcja owsianki. Należało usunąć z namiotu aspirynę i regularnie przynosić mu do kontroli nocnik profesora. Czuł się okropnie, w tak niedelikatny sposób zwracając się do tej zjawiskowej istoty, bo nagle zapragnął, by uważała go za dżentelmena w każdym calu. Niestety przede wszystkim był lekarzem, a tu chodziło o ratowanie życia.

Elizabeth jednak w ogóle nie wydawała się skrepowana rozmową na tak drażliwe tematy. Może to kolejna cecha kobiety, która nosi spodnie? zastanawia! się w duchu.

Studenci przygotowali dla Faradaya łóżko w namiocie z zapasami. Kiedy gospodyni przeproszała za te spartańskie warunki, zapewnił, że mu to nie przeszkadza. Podczas swoich wędrówek sypiał w znacznie gorszych miejscach.

—Zresztą — dodał — najważniejsze jest teraz zdrowie profesora Delafielda.

—Profesora Delafielda? — powtórzyła, nie rozumiejąc.

—Urzędnik z biura do spraw Indian w San Bernardino powiedział mi, że ekipa profesora Delafielda prowadzi w tych okolicach badania nad petroglifami. Sądziłem...

—Urzędnik się nie mylił, doktorze Hightower. Lecz pańskim pacjentem jest profesor Keene.

Powiódł wzrokiem po mężczyznach siedzących przy ognisku.

— W takim razie kto...?

— Doktorze Hightower — odparła ze śmiechem. — Profesor Delafield to ja.

ROZDZIAŁ 42

Keene stopniowo wracał do zdrowia. Faraday przyszedł z pomocą w samą porę. Zdołał powstrzymać krwotok i odwrócić jego skutki. Elizabeth czuwała przy starszym mężczyźnie dzień i noc. Patrząc na nią, Faraday widział swoją córkę i wyobrażał sobie, jak za dwadzieścia lat, kiedy powali go choroba, będzie błagała obcych ludzi o pomoc.

Kiedy profesor mógł wreszcie usiąść i zjeść jajko na miękko, Hightower był zdumiony tym widowym znakiem świadczącym, że jednak nie stracił mocy przywracania zdrowia. A tego dnia gdy Keene po raz pierwszy opuścił namiot i wyszedł na słońce, Elizabeth zwróciła się do Faradaya:

— Nie wiem, co bym zrobiła, gdy pan się nie zjawił. Profesor Keene jest mi niezwykle drogi. Bóg pana zesłał.

Tym razem jej słowa sprawiły, że ciężar w jego piersi odrobinę zelżał.

Wiedząc, że Keene'owi nic już nie grozi, mógł skupić uwagę na tej niezwyklej istocie, która była profesorem antropologii, więcej — wykladała na uniwersytecie. Owszem, znał inne kobiety, które poświęciły się karierze naukowej, ale żadna z nich nie była tak wiotka i smukła, żadna też nie miała słonecznego blasku we włosach ani oczu w kolorze toni jeziora.

I nie nosiła spodni.

Elizabeth wytłumaczyła Faradayowi, że profesor Keene jest jej mistrzem.. Nie kierował się uprzedzeniami i pomógł w realizacji marzenia o karierze wykładowczynie akademickiej.

— Ojciec sprzeciwiał się, bym wykonywała męski zawód. Uważał, że w ten sposób zatracę swą kobiecość. Wróżył mi zgubę. Oświadczył, że nie odezwie się do mnie, dopóki nie oprzytomnieję, czyli dopóki nie wyjdę za mąż i nie urodzę dzieci. Matka oczywiście go popierała, bo całkowicie ją zdominował. Najlepiej świadczy o tym ten prosty przykład. Ojciec oczywiście jest przeciwny przyznaniu kobietom prawa wyborczego, ale dał jasno do zrozumienia, że gdyby Dwunasta Poprawka przeszła, będzie instruował matkę, na kogo ma głosować.

Siedzieli przy ognisku w ciepłych promieniach południowego słońca. Studenci rozeszli się po kanionie, by przerysowywać indiańskie petroglify, profesor Keene spał w namiocie. Faraday z trudem zmuszał się, by oderwać wzrok od krótkich jasnych włosów Elizabeth, ułożonych w fale. Uczesanie to stanowiło ostatni krzyk mody, a Faraday był tego świadom tylko dlatego, że Bettina postanowiła pójść z duchem czasu i obcięła włosy, pojawiając się w domu z krótką fryzurką, którą określała mianem „bob”. Niestety, o ile na Elizabeth Delafield wyglądało to uroczo, szwagierce nie dodało ani grama urody.

—Faraday — powiedziała w zadumie. — Interesujące imię.

—Właściwie ironia losu. Nie jestem zwolennikiem techniki. Nie dowierzam zwłaszcza współczesnej nauce. Uważam, że za szybko się rozwija. A mimo to,

przez matkę z domu Faraday, jestem spokrewniony z Michaeliem Faradayem, przez wielu uważanego za największego naukowca swoich czasów.

Potem opowiedział jej co nieco o sobie: o dzieciństwie w Bostonie, studiach na Harvardzie, nie wspominając jednak ani słowem o Abigail ani szamanach. Choć Elizabeth przyglądała mu się spokojnie, wiedział, że jego wygląd musi ją szokować. Od wyjazdu z Albuquerque jeszcze bardziej schudł, a ponieważ zawsze był szczupły, przypominał teraz kościotrupa. Do tego bardzo się opalił, co przy jego jasnej karnacji nie wyglądało naturalnie. Wiedział, że ludzi zdumiewa ten dziwny lekarz, który nie unika słońca.

— Zatem przyjechał pan w poszukiwaniu profesora De-lafielda — odezwała się.

— Przyznam, że spodziewałem się mężczyzny. Roześmiała się, odsłaniając rząd równiutkich zębów.

W jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

— To się nieustannie zdarza. Dlaczego potrzebuje pan mojej pomocy?

W pierwszej chwili zamierzał uraczyć ją tą samą bajeczką, co urzędnika z biura do spraw Indian, i powiedzieć, że pisze książkę. Wydawało mu się jednak, że za tymi spokojnymi niebieskimi oczami dostrzega bratnią duszę. Dlatego wyjaśnił, że szuka zaginionego plemienia szamanów (wciąż ani słowem nie wspominając o Abigail ani utracie wiary). Słuchała z wyraźnym zaciekawieniem.

— Potomkowie Indian Anasazi na tych terenach? Nigdy o tym nie słyszałam, ale cóż za intrygująca hipoteza! Należą do grupy uto-azteckiej?

— Nie mam pojęcia — odparł, nie mogąc oderwać wzroku od jej płowych włosów.

Nie nosiła kapelusza, w przeciwieństwie do większości kobiet troskliwie osłaniających twarze przed słońcem. Od czasu do czasu nie pogardziła też whisky, co stanowiło kolejne odstępstwo od kobiecego stylu życia. A kiedy potarła zapalną i jakby nigdy nic zapaliła papierosa, Faradayowi odjęło mowę ze zdumienia. Nigdy przedtem nie widział palącej kobiety. Elizabeth Delafield przejęła

wiele męskich obyczajów, a mimo to nie zatraciła ani odrobiny kobiecego uroku i delikatności!

— Anasazi to prawdziwa zagadka. Zniknęli bez śladu u szczytu rozwoju swej cywilizacji. Wie pan, wszyscy pytają: „Dokąd poszli?” Tymczasem nie to jest interesujące. Prawdziwe pytanie brzmi...

— „Dlaczego nie wrócili?”

W jej oczach pojawił się błysk. Odczytał jej myśl, dokończył za nią zdanie.

— Kultura Indian szybko umiera — powiedziała ze smutkiem. — Większość plemion żyje w rezerwach, gdzie rząd federalny dostarcza im jedzenie, ubrania i leki. W szkołach zmusza się Indian do mówienia po angielsku. Walczy się z ich językiem i obyczajami, zakazuje się odprawiania większości rytuałów. To tylko kwestia czasu, gdy rdzenna kultura indiańska zniknie. Śmierć każdego starca to niepowetowana strata, ponieważ wraz z nim umiera kolejna część tradycji. Dlatego staram się szukać śladów tej ginącej tradycji i zapisać ją, nim ostatecznie przepadnie. Jej ważny element zaś stanowią rysunki na skałach.

Faradaya zaniepokoiło słowo „ginąca”. Jeśli potężna cywilizacja, rozwijająca się w tym regionie od ponad tysiąca lat, ginęła w zastraszającym tempie, to o ileż bardziej zagrożony jest byt grupki szamanów strzegących mądrości Anasazi!

Równocześnie jednak Faraday poczuł iskrę ciekawości. W jego duszy znowu coś się otworzyło. Nagle uświadomił sobie, że Anasazi autentycznie go fascynują. Nie jako przewodnicy duchowi, ale jako ludzie, których kultura zniknęła.

Zapytał Elizabeth, co może znaczyć słowo *hoszitiwa*. Odparła, że najprawdopodobniej jest to imię.

— Brzmi jak słowo w języku Hopi.

— Zgadza się! Dziewczyna, która je wypowiedziała, była Indianką Hopi.

Kiedy pokazał Elizabeth portret dziewczyny, podekscytowana spytała, czy może go sfotografować. Posłusznie stojąc z kartką i czekając, aż ustawi aparat, postanowił, że pokaże jej też dwa rysunki, które dała mu wróżka.

Przyglądała im się przed dłuższą chwilę, marszcząc śliczne gładkie czoło.

— Zygzak często pojawia się w kulturze prekolumbijskiej — powiedziała wreszcie. — Nieraz widzimy go na skalnych piktogramach. Nie wiemy jednak, co oznacza. Niekoniecznie musi to być błyskawica. Za to ta druga postać, jakby bezgłowego mężczyzny z uniesionymi ramionami... To mi wygląda na drzewo Jozuego.

— Na co?

— Olbrzymie juki rosnące na pustyni. Musiał je pan widzieć, kiedy pan jechał tu z Barstow. Gdzie pan mieszka?

— Niedaleko Palm Springs.

— Parę kilometrów na północ od pana znajduje się miejsce nazywane Drzewem Jozuego, ze względu na liczne skupiska tych krzewów, ale to olbrzymi teren, doktorze Hightower.

Zaprowadziła go do głównego namiotu, w którym studenci opisywali i katalogowali znalezione piktogramy, badali skamieliny, porządkowali i oznaczali groty strzał oraz znalezione narzędzia. Rozwinęła mapę pustyni, w której pobliżu stała Casa Esmeralda.

— Pańskiej żonie podoba się życie w Coachella Valley? — zapytała neutralnym tonem. — Tamtejszy suchy klimat ponoć znakomicie wpływa na zdrowie.

Kiedy wyjaśnił, że jest wdowcem, odwróciła się i ich oczy się spotkały. Faraday dostrzegł w jej spokojnych niebieskich tęczęwkach błysk zainteresowania. Nagle przeszył go dreszcz pożądania. Zdumiała go ta reakcja. Wszak przyjechał tu szukać Boga. Mimo to nieustannie zatrzymywał wzrok na głębokich falach, w które były ułożone platynowe włosy Elizabeth, zastanawiając się, jakie byłyby w dotyku.

Na szczęście Elizabeth nie będzie wodziła go na pokuszenie. Z pewnością uważała go za starca. Co prawda miał tylko czterdzieści siedem lat, ale przeżycia w Zakazanym Kanionie i późniejsza choroba go postarzyły. W ciemnych włosach i brodzie pojawiła się siwizna. Choć ich różnica wieku wynosiła zaledwie dwanaście lat, Faraday zdawał sobie sprawę, że Elizabeth widzi w nim człowieka co najmniej o jedno pokolenie starszego.

Ignorując z nagłą intymną atmosferę, zostali w namiocie. Elizabeth pokazywała fotografie piktogramów znalezionych na skałach. Większości groziło zniszczenie, część już zniknęła z powierzchni ziemi.

— To zdjęcie zrobiliśmy pod Baker tuż przed tym, jak saperzy wysadzili zbocze pod kopalnię. Przypuszczamy, że te symbole wyryto w kamieniu setki lat temu.

Potem wytłumaczyła, co naprawdę sprowadziło ją na pustynię.

— Nie chodzi wyłącznie o udokumentowanie indiańskiej sztuki. Zamierzam zebrać te wszystkie zdjęcia i wydać album, który poruszyłby serca Amerykanów. Może to ich przekona i podejmą działania na rzecz tych prastarych dzieł sztuki, nim będzie za późno.

Widać było, że to jej pasja. Zarumieniona, z ogniem w oczach opowiadała o swoich marzeniach. Patrząc na nią, Faraday przypomniał sobie powiedzenie, że jeden zapaleniak jest wart więcej niż setka przeciętnie zainteresowanych. Jego uwagę przykuły dziwne rysunki sylwetek wysokich ludzi o niezwykle szerokich ramionach. Na głowach mieli coś, co przypominało odwróconą czarę.

— Co to jest? — zapytał.

— Nie mamy pojęcia — wzruszyła ramionami. — Nie po raz pierwszy jednak natrafiamy na takie rysunki. To niewątpliwie jakieś mityczne postaci. Może nawet pańscy Anasazi?

Przy okazji podzieliła się z nim legendą Nawahów, tłumaczącą zniknięcie Anasazi.

— Samo słowo jest interesujące. Właściwie powinno się je pisać tak. — Nakerśliła parę liter. — *Anaa* oznacza obcego, a zarazem wroga, a *sazi* przodków. Niech pan posłucha.

Sięgnęła po książkę zatytułowaną „Moja wyprawa w świat Dine” i zaczęła głośno czytać. W namiocie byli tylko oni. Jej głos był słodszy niż zapach perfum.

— „Jeden ze starszych plemienia Nawaho opowiedział mi, co spotkało ich odwiecznych wrogów. Rzekł: «Anaasazi posiadali nadludzką moc. Potrafili uno-

sić się w powietrzu i rozmawiać z istotami nadprzyrodzonymi. Źle jednak korzystali ze swych darów i wzbudzili gniew bogów, którzy zesłali na ich kaniony burze ognia. Jednooką bestię ziejącą ogniem i jednorogą bestię ziejącą ogniem. Anaasazi umieli przenosić się na błyskawicach, lecz nie wykorzystywali tej mocy zgodnie z wolą bogów. Ponieważ niszczyli wrogów błyskawicami, bogowie unicestwili Anaasazi, zsyłając na nich błyskawicę. Tych zaś, którzy ocalili, wysłali do nieba na strzałach ognia»".

—Błyskawice! — zawołał Faraday. — Czy to może mieć związek z drugim rysunkiem? — Potem zapytał: — Co to podanie właściwie znaczy?

—W tradycji Nawahów zachowało się mnóstwo historii o tym, co spotkało ludy mieszkające w Nowym Meksyku, zanim przybyli tu ich przodkowie z północy — powiedziała, zamykając książkę. — Żadna nie jest przyjemna. Powiedziałabym wręcz, że wszystkie są paskudne. A choć minęło tyle pokoleń, uraza wciąż jest silna i żywa.

Faraday postanowił zaryzykować i pokazać profesor De-lafield to, czego jeszcze nikomu nie pokazał. Liczył na jej dyskrecję. Złotą *ollę* powierzono bowiem jemu i tylko jemu.

Na widok rysunku jej oczy rozszerzyły się z zachwytu, a z różowych ust wyrwał się okrzyk.

— Toż to... piękne! I powiada pan, że znalazł to naczynie w kanionie Chaco?

—W Pueblo Bonito. Sam je wykopałem. Potrafiłaby pani określić jego wiek?

—Sądząc po kształcie i wzorach, dzban może pochodzić z trzeciej epoki. Z całą pewnością sprzed inwazji Hiszpanów. Prawdopodobnie został wykonany tuż przed Opuszczeniem. Niektórzy archeologowie próbują określać wiek przedmiotów na podstawie przyrostu słojuów drzew, ale to nowa metoda i jeszcze nie potwierdzono jej skuteczności. Na podstawie tego, co wiem o Chaco, datowałabym dzban na dwunasty wiek.

—Czy wzór coś oznacza?

—Przypuszczamy, że u Indian wzory geometryczne symbolizują ład natury. Harmonię. Ceramika stanowiła i nadal stanowi ważny element tej kultury. Naczynia nie pełnią wyłącznie funkcji użytkowej. Ich wyrób jest świętą czynnością. Garncarze modlą się przed pracą i w trakcie. Jednakże na tym dzbanie wzór jest chaotyczny. Nie widać harmonii ani równowagi. Odnosi się wręcz wrażenie pewnej brutalności. Być może stanowi zapis jakichś dramatycznych wydarzeń?

Faraday przypomniał sobie opowieści Johna Wheelera o kanibalizmie i rzeziach. Przeszył go lodowaty dreszcz.

— Równocześnie w tym chaosie jest jakieś piękno — mówiła w zadumie Elizabeth. — Nadzwyczajne piękno.

Połączyła kciuki i palce wskazujące, tworząc swego rodzaju ramkę, i wodziła nimi po rysunku, analizując odrębne elementy.

—Wielkie nieba! — zawołała nagle.

—Co się stało?

Faraday pochylił się, by spojrzeć na szkic. Doktor Delafield pachniała delikatnie różami.

— Niech pan spojrzy na tę czworonożną istotę. To może być pies albo owca. A tutaj... — Przesunęła ręce. — To może być drzewo. Tu zaś znajduje się symbol wody. A tutaj gwiazda.

— Czyli to wszystko stanowi całość — mrucał, po raz pierwszy dostrzegając na rysunku konkretne obrazy. — Nie przypadkowa plątanina kresek, zakrętasów i kropek, tylko konkretne przedmioty!

Nie pojmował, dlaczego nie dostrzegł tego, robiąc szkic. Jakim cudem widział tylko chaos, a nie oddzielne całości? Dopiero teraz, gdy urocze dłonie Elizabeth zamykały je w ramkę, zauważał poszczególne elementy: drzewo, człowieka, ptaka.

— Trzeba je wyodrębnić, by dostrzec, że to konkretne przedmioty — powiedziała. — Zupełnie jakby...

— Jakby co?

— Jakby znajdowało się tu ukryte przesłanie. Zagadka, którą trzeba rozwiązać.

— Zagadka?

Najpierw dwa rysunki Cyganki, a teraz jeszcze tajemnicza ceramika.

— Rozwiązania tej zagadki trzeba by szukać w kulturze Anasazi — ciągnęła Elizabeth. — Co dla nich oznaczały te symbole i geometryczne wzory? Niestety, za mało wiemy o pierwotnych mieszkańcach Nowego Meksyku. Pozbawione kontekstu symbole tracą sens... O, a to bardzo dziwne.

Nie odrywał wzroku od jej ślicznych dłoni przesuwających się do następnego rysunku. Elizabeth Delafield miała długie zgrabne palce. I nienaganny manikiur, choć wdrapywała się na skały i grzebała w ziemi.

— Doktorze Faraday, te symbole się nie powtarzają. Z czymś takim się jeszcze nie spotkałam.

— Może stanowią jakąś opowieść? .

— Dobrze, ale gdzie jest początek, a gdzie koniec? — Zatrzymała na nim spojrzenie swych cudownie niebieskich oczu, a on marzył, by w nich zatonać. — Raczej mamy do czynienia z nieustannie powtarzającą się historią, bez początku i końca.

— Przyjechałem tu w poszukiwaniu odpowiedzi, a znalazłem kolejne pytania — powiedział w zadumie.

I kolejny cud — dodał w myślach, sycąc wzrok jej niezwykłą urodą.

ROZDZIAŁ 43

— Właściwie nie wiadomo, co tak naprawdę oznaczają rysunki Indian złożone w skałach. Czy piktogramy mają znaczenie symboliczne czy dosłowne. Czy są przypadkowe czy przedstawiają konkretne zdarzenie — mówiła Elizabeth, gdy weszli do wąskiego *arroyo*.

Po obu stronach strumienia wznosiły się bazaltowe ściany pokryte dziwnymi rysunkami. Faraday starał się słuchać, co mówi przewodniczka, ale ponieważ szła przodem, mógł rozkoszować się widokiem jej ponętnej figur} i białych włosów, niczym latarnia morska wskazujących mu drogę.

Własna pożądlivość doprowadzała go do szału. Człowiek poszukujący duchowych prawd powinien odrzucić zmysłowe rozkosze. Obwiniął demony z kanionu Chaco i wiedział, że jeśli tylko wesprze się na swej niezachwianej chrześcijańskiej wierze, pokona złe moce i słabość ciała.

W pewnym momencie profesor Delafield posłała mu przez ramię uśmiech. On też się uśmiechnął dumny z siebie, pewien, że zwycięży pokusę. Wtedy jednak zaczęli się wspinać i jego samozaparcie osłabło.

Faraday przywykł, że długie spódnice zasłaniają kobiece nogi. (Oczywiście jako lekarz widywał nagie kobiece uda i łydki, ale spoglądał na nie wyłącznie oczami lekarza, nigdy z pożądaniem.) Dlatego teraz nie mógł oderwać wzroku od nóg Elizabeth, pokonujących niezbyt strome zbocze. Silne, jędrne mięśnie ud wyraźnie malowały się pod tkaniną, nie pozostawiając wiele dla wyobraźni. Hightowerowi brakowało tchu. A kiedy Elizabeth zatrzymała się i spojrzała na niego, poważnie się zaniepokoiła.

— Dobrze się pan czuje? Jest pan taki czerwony. Wymamrotał coś, że nie przywykł do wysiłku, i nalegał, by szła dalej. On ją dogoni. Usiadł na głazie i odczekał, aż Elizabeth zniknie za załomem drogi. Rozluźnił kołnierzyk i wachlował się kapeluszem. Dlaczego właściwie został w obozie? Przecież zdobył wszystkie informacje, których szukał.

— Musi pan kontynuować poszukiwania w rejonie Drzewa Jozuego — powiedziała dzień wcześniej w namiocie. — Zastanawiam się — dodała po chwili

— czy kwadrat z błyskawicą nie symbolizuje kopalni. Na tamtym terenie było ich kiedyś mnóstwo.

Właściwie nie miał już powodu, by dłużej mieszkać w obozie. A mimo to został. Musiał przecież upewnić się, że profesor Keene wraca do zdrowia. Musiał też dowiedzieć się jak najwięcej o Indianach od profesor Delafield i jej studentów. Musiał poczekać na poprawę pogody, żeby sporządzić kilka niezwykle ważnych rysunków...

Jednym słowem wymyśla! kolejne preteksty, byleby nie przyznać się, co — a raczej kto — naprawdę go tutaj trzyma: Elizabeth Delafield.

Na kamiennych ścianach Kanionu Motyla znajdowało się mnóstwo petroglifów. Faraday gorąco starał się skupić na wrytych w głazach postaciach ludzi i symbolach, ale w wąwozie było ciasno, a Elizabeth nieustannie muskała jego ramię, zwracając mu uwagę na niezwykle podobieństwo rysunku do owcy albo grzechotnika. Jej ciepły oddech czasem owiewał jego policzki, a kiedy wyciągała rękę, by pokazać mu coś w górze i tkanina bluzki napinała się na biuście, Faraday był bliski omdlenia.

Posługując się niedawno przebytą chorobą jako pretekstem, powiedział, że wciąż nie odzyskał pełni sił, więc musi wrócić do obozowiska i odpocząć. Elizabeth ochno się zgodziła.

Kiedy przy obiedzie zaczęli rozmawiać o szamanach, Faraday zapomniał o pożądlivosti, która nie dawała mu spokoju w *arroyo*. Swobodnie gawędził i śmiał się z gospodynią. W pewnym momencie poczuł się w jej towarzystwie na tyle dobrze, że opowiedział jej o swojej córce i o tym, jak owdowiał. Na tym przestał, ale ona zdawała się domyślać całej reszty.

Kiedy zapytała, kto opiekuje się Morgana, nie potrafił wyznać prawdy. Chciał sprawić na niej jak najlepsze wrażenie, a obawiał się, że nawet tak wyzwolona kobieta jak ona nie zaakceptowałaby, że mieszka bez ślubu z siostrą żony. Wiedział, że jego krótkie wizyty niezwykle gorszyły niektóre mieszkanki Albuquerque. Dlatego podał Elizabeth tę samą wersję, co wszystkim: że Morgana opiekuje się niezwykle odpowiedzialna i godna zaufania kobieta. Co w końcu było przecież prawdą.

Miał wrażenie, że czas po prostu zniknął. Razem z Elizabeth wędrowali po kanionach, z zachwytem dokonując coraz to nowych odkryć, a potem gorąco o nich dyskutując przy kolacji. Elizabeth fotografowała kamienne ściany i głazy pokryte rysunkami, a Faraday szkicował chmury, jastrzębie i przepiórki albo pustynne aksamitki. Pustynia Mojave była prawdziwym rajem dla malarza, który mógł tu znaleźć pełną paletę barw — od intensywnie pomarańczowych skrzydeł motyla przez kwitnące na różowo bignonie, szafirowe pióra grubodzioba, żółte wilgi, białe gołębie i wreszcie czarne brzuszki przepiórek, po wszystkie odcienie złota i brązu, którymi mieniły się skały i piasek pustyni. Faraday i Elizabeth chodzili na długie spacer, w blasku słońca i w poświacie księżyca rozmawiając na wszystkie tematy świata.

— Nie przypomina pan mężczyzn, których do tej pory znałam — powiedziała raz Elizabeth. — Moi koledzy po fachu nie traktują mnie poważnie, ponieważ jestem kobietą.

Mężczyźni, których znam na gruncie towarzyskim, sądzą, że moja praca to hobby, rozrywka, która wypełnia mi czas w oczekiwaniu na małżeństwo i macierzyństwo. Pan zaś szanuje mnie i to, co robię. To wyjątkowe.

Elizabeth też była wyjątkowa. Często przy pracy nuciała popularne melodie. Najchętniej ragtime'y Scotta Joplina. A jednak ta piękna Elizabeth, promienna jak wschodzące słońce, fałszowała niemiłosiernie. Ta niedoskonałość budziła w Faradayu rozczulenie i tylko pogłębiała jego zachwyt.

Był ciekaw szczegółów jej życia osobistego, ale nie pytał. Wszystko wskazywało, że w Nowym Jorku nie czeka na nią żaden mężczyzna. W miarę jednak jak ją poznawał, wyczuwał pewien dystans, jakby Elizabeth trzymała się na baczności i nie okazywała wszystkich uczuć.

Kiedy razem wspinali się w poszukiwaniu petroglifów, nieraz podawali sobie ręce albo Faraday chwycił Elizabeth w talii, by pomóc jej zeskoczyć. Coraz częściej zdarzały im się krótkie chwile milczenia, które z czasem się wydłużały. Nie kończyli zdań, stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy. Potem następowało przebudzenie i zaczęli rozmawiać o czymś prozaicznym.

Faraday zaczął podejrzewać, że Elizabeth walczy z uczuciem do niego, a to sprawiało, że jego pożądanie płonęło z podwójną siłą.

ROZDZIAŁ 44

Śniło mu się, że jest na pokładzie Capriki i pije z oficerami, gdy Abigail w kajucie wykrwawia się na śmierć. Musiał krzyczeć przez sen, bo kiedy przerażony obudził się i usiadł na łóżku, poczuł czyjaś czułą, troskliwą obecność. Po słodkim zapachu poznał, że to Elizabeth.

Przytuliła go, głaskała i uspokajała cichym szeptem. Wtedy coś w nim pękło i ze szlochem wyrzucił z siebie wszystko, całą prawdę — że przez swoją próżność i egoizm skazał żonę na śmierć. Kiedy wreszcie umilkł, Elizabeth odsunęła się i patrząc mu głęboko w oczy, powiedziała:

— Słuchaj, Faradayu. Wydanie na świat dziecka zawsze wiąże się z ryzykiem. To proces naturalny, nad którym medycyna tylko do pewnego stopnia zyskała władzę. W ostatecznym rozrachunku wszystko jest w rękach Boga. Moja babka zmarła, wydając na świat moją matkę. Mama potem przez wiele lat zadreżczała się, czuła się odpowiedzialna za jej śmierć. W końcu jednak zaakceptowała to i ty też musisz.

Osuszyła mu łzy i odezwała się łagodniej:

— Jesteś dobrym człowiekiem. Przybyłeś na pustynię pełen najlepszych, najczystszych intencji. Nie zjawiałeś się z oskardami i z toporami, jak ci, którzy szukają tu złota. Przybyłeś szukać zaginionego narodu. Nie potrafię sobie wyobrazić szczytniejszego celu.

—Gdybyż to była prawda, Elizabeth! Lecz ja żyję w kłamstwie! Oszukałem cię! — Szybko wyrzucał urywane zdania, bojąc się, że zaraz opuści go odwaga. — Ta Indianka Hopi, której portret ci pokazałem. Spotkałem ją o północy w kanionie Chaco. Ale nie byliśmy sami. Pojawiło się coś jeszcze. Jakaś szatańska obecność. Elizabeth, boję się, że szatan skaził mą duszę. Panicznie boję się wiekuistego potępienia. Odchodzę od zmysłów, myśląc, że umrę, nim odnajdę Boga i zbawienie. W kanionie prekolumbijskich Indian straciłem duszę. I tylko ich potomkowie żyjący gdzieś na pustyni mogą mi ją zwrócić. Jestem oszustem! Szarlatanem! Szukam Indian, by ratować własną duszę! Nie tak jak ty! Ty ratujesz ich kulturę, by ubogacić naszą cywilizację! Ja zaś jestem żalonym, miernym człowieczkiem kierującym się własnymi egoistycznymi pobudkami! Nie zasługuję na ciebie ani na twój szacunek!

Czule ujęła jego twarz w dłonie.

— Nonsens. Nie jesteś egoistą. Nie myślisz tylko o sobie. Widziałam twoje piękne szkice. Z każdego najdrobniejszego elementu emanuje szacunek i podziw. To dzieła artysty głęboko zaangażowanego i przejętego tym, co robi. Jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, Faradayu, ale jesteś taki jak ja... Pragniesz ratować ginące cywilizacje.

ROZDZIAŁ 45

Musiał wyjechać.

Po tym jak obnażył przed Elizabeth duszę, nie mógł zostać. Następnego ranka, gdy cała ekipa zebrała się przy śniadaniu, obwieścił, że jeszcze tego popołudnia wraca do Barstow, skąd najbliższym pociągiem uda się do Los Angeles, a

potem do domu. Choć to się wydawało niemożliwe, równocześnie rozsadzała go duma i pękało mu serce. Tego ranka bagaże pakowało dwóch Faradayów: jeden, który szukał zbawienia i miłosierdzia Bożego, i drugi, który pragnął tylko wziąć Elizabeth Delafield w ramiona.

Jego nowi przyjaciele wyrazili smutek z powodu nagłego wyjazdu, ale rozumieli, że bardziej potrzebny jest rodzinie. Wtem w wejściu do namiotu pojawiła się Elizabeth. Słońce przeświecające przez włosy tworzyło wokół jej głowy złocistą aureolę.

— Proszę, nie wyjeżdżaj — odezwała się. — Nie dzisiaj. Możesz pojechać jutro. Dziś chcę ci coś jeszcze pokazać.

Ich oczy się spotkały. Fakt, że Elizabeth prosi, by został, sprawił mu nieoczekiwaną radość.

— Co takiego chcesz mi pokazać?

— Właściwie chodzi o przysługę. Nasze czarno-białe fotografie nie oddają bogactwa barw petroglifów. Widziałam twoje rysunki. Masz niezwykle wycucie koloru. Na twoich obrazach niebieskie skrzydła motyli i lawendowe płatki hiacyntów wyglądają dokładnie tak samo jak w naturze. Pewnie żądam zbyt wiele, ale chciałam prosić, żebyś...

Iskra, która obudziła się w nim wiele dni temu, teraz zapłonęła jak ogień. Faraday już widział, jak pod jego palcami czarno-białe sceny nabierają barw.

Tak oto odkrył swoje nowe powołanie. Będzie wspierał Elizabeth. Oboje staną się kronikarzami ginącej cywilizacji.

ROZDZIAŁ 46

Pojechał do Barstow i nadał telegram do Bettiny, że nic mu nie dolega, ale jego pobyt nieco się przedłuży. Potem wrócił do obozu, gdzie Elizabeth już czekała z wodą, prowiantem i ręcznie naszkicowaną mapką. Chciała dotrzeć na miejsce po południu, kiedy światło jest najlepsze.

Ruszyli w górę wąskiego wąwozu. Faraday nie zwrócił uwagi na olbrzymiego żółwia wylegującego się na słońcu ani na uroczę kwiatki zwane gwiazdami pustyni, które ginęły marnie pod ich stopami, ani na ważkę, którą spłoszyli z robinnii. Rozsadzał go entuzjazm. Nie zapomniał o szamanach ani o demonach, które posiadały jego duszę w Zakazanym Kanionie, przed nim jednak rozciągała się nieogarniona zachwycająca pustynia, a w nim płonęło poczucie misji.

Elizabeth właśnie tłumaczyła, że idą do jej ulubionego stanowiska, gdzie petroglify najlepiej się zachowały, i że zamierza wykorzystać ten rysunek na okładkę, kiedy ciszę natury przerwał odległy potężny trzask.

— Co to było?

— Brzmiało jak grzmot — powiedział Faraday, choć nad Smith Peak nie uświadczylbyś ani jednej chmurki.

Kolejny huk odbił się echem od kamienistych zboczy.

— Strzelanina! — zawołała Elizabeth.

— Chryste Panie!

Czyżby trafili na myśliwych? Albo co gorsza na wyjętych spod prawa, którzy nie tak znów dawno panoszyli się na Dzikim Zachodzie.

Przyspieszyli kroku, bo strzały nie milkły. Prawdopodobnie ktoś znalazł się w opałach i potrzebował pomocy. Elizabeth zaczęła prawie biec, gdy zdała sobie sprawę, że strzały padają w pobliżu głazu, do którego podążali. Rzeczywiście, kiedy okrążyli masywną skałę, zobaczyli dwóch mężczyzn z rewolwerami, którzy bawili się w strzelanie do celu.

Na tarczę zaś wybrali sobie gład z petroglifami.

Z ust Elizabeth wyrwał się krzyk. Z uniesioną laską rzuciła się ku mężczyznom. Zdumiony Faraday jak skamieniały patrzył na rozwój wypadków. Podobnie oszołomieni strzelcy, którzy z otwartymi ustami tylko gapili się na szarżującą kobietę. Zaczęła ich okładać grubym kijem po głowach i ramionach, równocześnie zasypując przekleństwami. Upadli na ziemię, osłaniając się rękoma i jęcząc z bólu.

— Co cię opętało, paniusiu? — krzyczeli, a potem zerwali się na nogi i uciekli, przez ramię wykrzykując obelgi pod jej adresem.

Po chwili Faraday usłyszał parskanie koni i tętent kopyt.

Czerwona z furii Elizabeth, ciężko dysząc cisnęła kij i podbiegła do skały. Oczy rozszerzyły jej się ze zgrozy.

Ściana była poryta pociskami. Nie pozostał ani jeden cały petroglif.

Elizabeth czule gładziła poraniony głaz. Po chwili jej cichy płacz przeszedł w rozdzierający szloch. Zrozpaczona osunęła się na ziemię. Faraday klęknął obok.

— Tak mi przykro — mówił bezradnie.

Chciał ją przytulić, a równocześnie najchętniej popędziłby za dwoma żartownisiami i własnoręcznie ich udusił. Był rozdarty między czułością i wściekłością.

— Przepadło — wyszeptała z twarzą ukrytą w dłoniach. — Wszystko przepadło.

Kiedy wreszcie podniosła głowę, w jej oczach zobaczył ból, który przeszył go na wskroś. Te błyszczące od łez niebieskie tęczęwki i malujące się w nich pełne desperacji pytanie...

— Dlaczego to zrobili? Och, Faradayu, co ich podku-siło?

Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Znowu załapała się łzami, mocząc mu gors. Palce zacisnęła na jego rękawach. Jej pierś jeszcze przez chwilę rozrywał rozpaczliwy szloch, aż wreszcie umilkła z twarzą wtuloną w jego pierś. Klęczeli bez ruchu na pustym płaskowyżu.

— Kto zgadnie, co pcha człowieka do obrzydliwego czynu? — odezwał się wreszcie. — Nie ocalisz wszystkich petro-glifów, Elizabeth. To nie twoja wina.

W tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo są podobni. Jak podobne powodują nimi motywacje. Elizabeth podniosła ku niemu twarz, a on dotknął ustami jej warg. Słowa już nie wystarczały. Więcej, nie były potrzebne. Gdy się kochali, Faraday czuł, że opuszcza go cały ból i lęk. Liczyła się tylko ta silna piękna kobieta leżąca w promieniach pustynnego słońca. On zaś mógł tylko pytać, czym ten nędzny grzesznik zasłużył na taki dar Boga?

Kiedy potem leżeli wtuleni w siebie, Elizabeth wyznała:

— Faradayu, dwukrotnie zostałam głęboko zraniona. Dwukrotnie mężczyźni, których kochałam i którym ufałam, złamali mi serce. Stanowiłam wyzwanie dla ich męskiej dumy. Zdobywszy mnie, natychmiast mnie rzucali. Trzeci raz bym tego nie zniosła. Obiecuj, że nigdy mnie nie zdradzisz ani nie zranisz. Gdybyś to zrobił, moje serce by umarło i już nigdy nie zaufałam nikomu.

Złożył solenną obietnicę, do głębi poruszony jej wyznaniem i odkryciem, że ta silna Elizabeth może równocześnie być tak bezbronna. Przysiągł w duszy, że przy nim nie spotka jej nic złego. Gdyby w tym momencie ktoś próbował ją chociaż tknąć, Faraday Hightower zabiłby go bez wahania.

ROZDZIAŁ 47

— O czym marzysz, Elizabeth?

Siedzieli w swoim ulubionym wąwozie. Mieli koc i kosz z prowiantem, drzewa sosnowe zasłaniały ich przed intruzami i słońcem.

— Będiesz się śmiać — powiedziała. — Chciałabym kiedyś zobaczyć Egipt. Od dziecka marzyłam, by tam pojechać. Faradayu, chcę popłynąć Nilem, zwiedzić piramidy, usiąść u stóp Sfinksa. Chcę obejrzeć miejsce, w którym urodził się Mojżesz, gdzie Maryja i Józef ukryli się z małym Jezusem. Chcę pojechać na wielbłądzie, patrzeć na tancerki brzucha i pić obrzydliwą kawę. Może nawet zaciągnąć się dymem z fajki wodnej!

Pogładził ją po włosach.

— W takim razie koniecznie musisz tam pojechać.

— Za moją pensję? — zaśmiała się i wtuliła w niego. — A o czym ty marzysz, Faradayu?

— Żeby zabrać cię do Egiptu.

Roześmiali się i znowu się kochali.

Nazajutrz wydarzyła się katastrofa.

—Skończyła się kawa! — obwieścił Harry, człecBik ekipy, gdy Elizabeth wynurzyła się z namiotu.

—Niemożliwe — powiedziała. — Przecież oszczędzaliśmy.

—Nie możemy pracować bez kawy — oświadczył Harry. Miał dwadzieścia lat i durzył się w Elizabeth.

—Ja pojedę — zgłosił się Faraday. — Jakie zapasy trzeba jeszcze uzupełnić?

Nowojorczycy uznali, że po tak długim pobycie na pustyni należy im się odrobina rozpusty. Harry zamówił świeże pomarańcze. Joe, syn włoskich imigrantów, pierwszy student w rodzinie, poprosił o salami i czerwone wino. Cynthia, jedyna oprócz Elizabeth kobieta w ekipie, marzyła o szamponie do włosów. Wreszcie z długą listą w kieszeni Faraday wyjechał, obiecując powrót z bogactwami sezamu.

Wrócił czwartego dnia po południu z dwoma obładowanymi mułami. Ledwo wjechał do obozu, gdy z Kanionu Motyla przybiegł Harry, z daleka krzycząc o odkryciu niezwykłego petroglifu. Choć stęskniona Elizabeth marzyła, by zostać z

Faradayem, ciekawość zawodowa wzięła górę. Musiała natychmiast zobaczyć znalezisko.

— Jest tam, na samej górze — wysapał Harry. — Nie zdążymy wrócić, trzeba będzie przenocować.

Elizabeth zaklinała Faradaya, żeby z nią pojechał, ale stan profesora Keene'a się pogorszył, a sam Faraday czuł się zmęczony po wyprawie do Barstow. Dlatego zapakowawszy plecak, wyruszyła do Kanionu Motyla z Harrym i Cynthia, zostawiając pozostałą piątkę w obozie.

Dwa dni później zmordowana trójka wynurzyła się z kanionu.

— Przepraszam, profesor Delafield — kajał się raz za razem Harry. — Byłem tak podekscytowany, że zapomniałem zanotować położenie głazu.

Elizabeth padła obok ogniska, z wdzięcznością przyjmując od Faradaya kubek kawy. Wyjaśniła, że spędzili dwa dni na bezowocnych poszukiwaniach. Czym prędzej jednak zapewniła Harry'ego, że nie ma do niego pretensji i że za kilka dni spróbują jeszcze raz.

Kiedy słońce schowało się za wzgórzami na zachodzie, rzucając na wyschłe słońce jeziora różowe i białe cienie, w obozie było czuć wyraźne pogorszenie nastrojów. Cynthia przyrządzała kanapki na kolację, profesor Keene poszedł się położyć, Joe oświadczył, że ma do napisania kilka listów, a Harry powłókł się do namiotu, by szperać w mapach.

Elizabeth posłała Faradayowi przeciągłe spojrzenie.

—Co się stało? — spytała. Lekarz wpatrywał się w ogień.

—O co chodzi? — udał zdziwionego.

— Dziwnie się zachowujesz. Inaczej. — Rozejrzała się. — Coś się stało. Czuję wyraźnie.

Zerwał się i wyciągnął rękę.

— Możemy porozmawiać w cztery oczy? spytał, odchrząknawszy nerwowo.

Popatrzyła na niego zaniepokojona.

— Tam — powiedział. — Żeby pozostali nie słyszeli.

— Faradayu...

— To ważne, Elizabeth.

— Zaczynam się bać.

Wyprowadził ją z obozu i znowu odchrząknął. Przeszłował z nogi na nogę i ciągle oglądał się na namioty.

— Faradayu, chcesz mi coś powiedzieć czy nie? — zapytała wreszcie, gdy się nie odezwał.

— Niezupełnie. Chcę raczej dokądś cię zabrać. Spojrzała pytająco. Jeszcze raz popatrzył na coś za jej plecami. Nagle jego twarz się rozpogodziła. Uśmiechnął się i oświadczył:

— Ale najpierw zamknij oczy.

— Co?

— Proszę, kochana.

Na wszelki wypadek zasłonił jej oczy ręką i poprowadził przez obóz do jej namiotu, w którym płonęły lampy zapalone przez członków ekipy. Doprowadził ją do wejścia. Wszyscy już się tam zebrali podekscytowani, uśmiechnięci od ucha.

— No dobrze, *memsab*, możesz wejść — zakomenderował Faraday, a Joe wybuchł histerycznym śmiechem.

Elizabeth rozejrzała się po namiocie. Jej początkowe zmieszanie przeszło w zdumienie.

Umeblowanie, książki i bibeloty zniknęły. Podłogę wyścielały kobierce i poduszki. Na ścianach wisiały prześcieradła. Jednak nie zwyczajne, białe — ktoś namalował na nich widoki. Pierwszy przedstawiał rzekę z łódkami z trójkątnymi żaglami na tle piaszczystych wydmy i palm. Drugi — minarety i kopuły oraz za-

tłoczony bazar, a na nim zakwefione kobiety i mężczyzn w fezach. Trzeci wreszcie — potężne piramidy, a przed nimi rzeźbę lwa o twarzy nieznanego faraona — Sfinksa.

—Wcale nie zabrakło nam kawy. To był mój pomysł — pochwalił się Joe, potomek Włochów. — Uknuliśmy spisek. Doktor Hightower powiedział, że chciałby zrobić pani niespodziankę...

—A my się przyłączyliśmy! — dokończyła rozpromieniona Cynthia.

—Nie znalazłem żadnego petroglifu — mógł wreszcie przyznać się Harry. — To był pretekst, żeby wywabić panią z obozu na czas, gdy pozostali przygotowywali niespodziankę.

—Ja zaś — wtrącił z uśmiechem profesor Keene — byłem wymówką, która zatrzymała doktora Hightowera w obozie.

—Czyli nie pogorszyło ci się? — zapytała.

—Czuję się jak młody bóg! — oświadczył, po czym zwrócił się do pozostałych: — Może pozwolimy tym dwojgu podziwiać piękno Egiptu?

—Hej, Cynth, co z tymi kanapkami? — zawołał Joe, śliniąc się na myśl o salami przywiezionym przez doktora Hightowera.

Kiedy zostali sami, a głosy ekipy się oddaliły, Elizabeth stała i wtulona w Faradaya rozglądała się z niedowierzaniem po namiocie.

—Jak to zrobiłeś? — zapytała.

—Nie było łatwo — odparł ze śmiechem. — Musiałem zdobyć farby, przecieradła i kilka drobiazgów. Ale miałem wspaniałych pomocników.

— Wasza piątka musiała pracować dzień i noc.

— Twoi studenci cię kochają. — Spojrzał na nią. — I ja też — dodał cicho.

Zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła płakać. Faraday przytulił ją do siebie.

— Już dobrze, cii...

— Och, Faradayu. Jestem taka szczęśliwa. Nigdy nie byłam szczęśliwsza.

Powiodła wzrokiem po malunkach. Łatwo było poznać, które wyszły spod utalentowanej ręki Faradaya — kairski bazar tętnił życiem, wydawało się, że zaraz rozlegnie się głos muezina — a które zrobili pozostali.

— To ma być wielbłąd? — zapytała.

— Autorstwa Keene'a. Profesor jest z niego niezwykle dumny.

— Och, Faradayu — powtórzyła. — Faradayu...

ROZDZIAŁ 48

Faraday ponownie wybrał się do Barstow i wysłał kolejny telegram do Betty, zapewniając, że zdrowie mu dopisuje, i uspokajając, by się nie martwiła. Wiedział jednak, że wkrótce musi wrócić. Za długo przebywał poza domem, marzył, by uściskać córkę.

— Pojedź ze mną, Elizabeth. Razem szukajmy szamanów. Pomyśl, jakich odkryć wspólnie dokonamy!

Przyznała, iż w głębi duszy pragnie mu pomóc w poszukiwaniu szamanów i cieszy się, że ją o to poprosił. Jej rok przeznaczony na badania naukowe dobiegał końca i musiała wrócić na uczelnię. Wolałaby jednak zostać i kontynuować pracę w terenie. Faraday nie posiadał się z radości.

— Przypuszczam, że rysunek na złocistej *olli* to zapis wędrówki twoich szamanów — powiedziała. — Wspólnie z pewnością dotrzemy do prawdy. Choć większość indiańskich plemion z południowego zachodu już zbadano i opisano,

zostały jeszcze osady, do których nikt nigdy nie dotarł. Jeśli twoi szamani jakimś cudem uniknęli kontaktów z białymi, wciąż mogą żyć jak ich przodkowie. To dopiero byłoby fascynujące! Stanowimy idealny tandem, Faradayu! Razem napiszemy książkę i przedstawimy w niej nasze fantastyczne odkrycia!

Spoważniał.

— Musimy porozmawiać o małżeństwie, Elizabeth. Nie po raz pierwszy wracała ta kwestia.

— Faradayu, nie szukam męża. Cenię swoją niezależność. Chyba zdążyłeś się już o tym przekonać.

—Ale przecież musisz pragnąć dzieci! Uśmiechnęła się rozbawiona.

—Faradayu, nie każda kobieta marzy o dziecku.

Po raz kolejny go zadziwiła. Zakładał, że wszystkie kobiety marzą o macierzyństwie. W końcu do tego zostały stworzone. Jednakże pokrętnie podejście Elizabeth do życia sprawiało, że tylko bardziej ją kochał.

—W podróż poślubną zabiorę cię na rejs po Nilu.

—Już byłam w Egipcie.

—Kocham cię, Elizabeth. Pocałowała go.

—Ja też cię kocham.

Odprowadziła go na dworzec i podarowała mu upominek.

— Jest bardzo stare. Podobno ta sztuka powoli już wygasa.

Naczynia Pajutów stanowiły prawdziwy cud pomysłowości. Były to koszyki pokryte naturalną żywicą z sosny lim-bowatej, którą — po rozpuszczeniu do konsystencji gęstego syropu — łączono z miąższem kaktusa. Tą mazią wypełniano przestrzeń między plecionką, a następnie wlewano ją do środka. Tam gorącymi kamieniami wcierano ją, tworząc gładkie ścianki. Stwardniała masa była wyjątkowo szczelna i miała piękny bursztynowy odcień. W ten sposób zwykły koszyk zmieniał się w pojemnik na wodę.

Faraday zapewnił, że to będzie perła jego kolekcji. Elizabeth obiecała, że za miesiąc odwiedzi go w Casa Esmeralda. Pocałowali się na pożegnanie i Faraday wyruszył do domu, czując się najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem.

ROZDZIAŁ 49

Przywitał córkę, chwytając ją w ramiona i wirując z nią, aż głośno piszczała z zachwytu, Bettinę zaś, która powiedziała: „Długo cię nie było, Faradayu”, ledwie musnął ustami w policzek. Obu przywiózł upominki kupione przy okazji przejazdu w Los Angeles. Morgana dostała cukierki i czekoladowe całuski Hersheya, a Bettina zdrowe herbatniki z pełnoziarnistej mąki. Naczynie Pajutów postawił na honorowym miejscu swojej kolekcji. Na widok koszyka Bettina oświadczyła, że w życiu nie widziała większego paskudztwa. Faraday roześmiał się tylko i zabrał swoje dziewczęta na hulankę do Los Angeles. Zamieszkali w luksusowym apartamencie w hotelu Alexandria przy Spring Street. Zaliczyli obowiązkową wizytę w jednym z nowo otwartych kin przy Broadwayu. Tam z zapartym tchem śledzili przygody „Tarzana, króla małp” i śmiali się do łez z gamoniowatych policjantów, bohaterów filmu „Keystone Cops”. Wybrali się też samochodem do Santa Monica, gdzie zachwycona Morgana po raz pierwszy zobaczyła ocean. Jadalni wytworne posiłki w najlepszych restauracjach, a Faraday pozwolił Bettinie i Morganie szastać pieniędzmi.

Po powrocie do Casa Esmeralda poinformował szwagierkę, że będą mieli gościa, i polecił przygotować wolną sypialnię. Jako że postanowił rozpieszczać Elizabeth po trudach obozowego życia, wybrał się do Banning, by kupić coś wyjątkowego do jej sypialni.

Kiedy Elizabeth wysiadła z pociągu i wzywała tragarza, musiała przycisnąć palce do ust, by nie roześmiać się jak mała dziewczynka. Ale naprawdę czuła się jak nastolatka. Miłość Faradaya ujęła jej lat.

Przyjechała sprawić mu niespodziankę. Poważna pani profesor i naukowiec nigdy nie zjawiłaby się przed umówionym terminem. Lecz zakochana po uszy kobieta nie mogła wytrzymać długich siedmiu dni. Zresztą chciała go zaskoczyć, tak jak on zaskoczył ją „Egiptem”.

Kiedy jechała taksówką, patrząc na palmy, wydmy, pokryte śniegiem szczyty i idealnie błękitne niebo, czuła się bezgranicznie szczęśliwa. Rozsadzała ją energia i radość życia. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie swojego ukochanego Faradaya: mężczyznę, którego marzycielskość, rozbijająca niezręczność i urocze słabostki przywodziły na myśl Don Kichota. Kiedy jednak się kochali, cała jego niezręczność zniknęła. Na wspomnienie jego uścisku, dotyku ust serce mocniej jej zabiło. Z trudem się powstrzymała, by nie kazać kierowcy się pospieszyć.

Casa Esmeralda wyglądała dokładnie tak, jak ją opisał Faraday. Egzotyczna, luksusowa, położona na uboczu, otoczona wysokim murem. Będą spędzać tam dni i noce, spleceni w miłosnym uścisku. Faraday poprosił ją o rękę. Zamierzała przyjąć oświadczenia.

Widok pokojówki w schludnym mundurku jej nie zaskoczył. Pasowała do eleganckiej willi. Młoda kobieta poprowadziła ją do środka. Szelest ich ubrań stapiał się ze szmerem fontanny na dziedzińcu i szumem wentylatora leniwie obracającego się pod sufitem. Elizabeth była nieco zaskoczona panującym wokół idealnym porządkiem. Wyobrażała sobie, że zastanie tu pewien nieład, lepiej pasujący do gospodarza.

Pokojówka wprowadziła ją do saloniku. Brokatowe kotary, wyściełane fotele i perskie kobierce. Elizabeth poczuła się jak w rezydencji śmietanki towarzyskiej Nowego Jorku. Czekwała na Faradaya, z trudem panując nad podnieceniem.

— Słucham, panno Delafield?

Obejrzała się. W drzwiach stała kobieta. Sądząc po sukni, nie pokojówka ani gospodyni. Faktycznie, Faraday wspomniał o guwernantce, która opiekuje się jego córką.

—Przyjechałam do doktora Hightowera — wyjaśniła Elizabeth. — Spodziewa się mnie za kilka dni, ale postanowiłam przyjechać wcześniej.

—Męża nie ma w domu — powiedziała kobieta. Oszołomiona Elizabeth patrzyła, jak podchodzi do niej z wyciągniętą ręką. — Jestem pani Hightower.

Elizabeth popatrzyła na wyciągniętą dłoń, potem na uśmiechniętą twarz.

— Pani Hightower?

Nie doczekawszy się uścisku, kobieta cofnęła rękę.

— Powiada pani, że mąż się pani spodziewa?

— Przepraszam. Powiedziała pani „p a n i Hightower”? Bettina uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Tak. Doktor Hightower jest moim mężem.

Elizabeth bez słowa wpatrywała się w kobietę, potem rozejrzała się po gustownie urządzonej salonie kontrastującym z iberyjskim charakterem domu. Szukała jakichś wskazówek, czegoś, co pomogłoby wyjaśnić nieporozumienie. Znajdowała się w willi Casa Esmeralda w Palm Springs, która jak twierdził Faraday, była jego domem. Co jednak robiła tu ta kobieta nazywająca siebie jego żoną?

— Nie rozumiem... — zaczęła. Rzadko się zdarzało, by brakło jej słów.

Bettina ściągnęła brwi. Po chwili jednak zmarszczka zniknęła z jej czoła.

— Ojej — westchnęła cicho. — Znowu to samo.

To samo? zdziwiła się w duchu Elizabeth. Zaczynała się już domyślać. To zimne, wstrętne łaskotanie gdzieś pod czaszką było okropne. Nie, pomyślała, odpychając podejrzenia. Zaszło jakieś koszmarnie nieporozumienie. To inna Casa Esmeralda. Inny Faraday Hightower.

— Proszę, niech pani spocznie, panno Delafield. Wszystko pani wyjaśnię.

W głosie Bettiny brzmiał żal i współczucie.

Elizabeth posłusznie usiadła na kanapie ze złotymi wykończeniami i wciąż oszołomiona, nie wierząc własnym uszom, słuchała o zdradach Faradaya.

— Bardzo mi przykro, panno Delafield, ale nie pani pierwsza opacznie zrozumiała intencje mojego męża. Ja już dawno nauczyłam się akceptować jego słabość, ponieważ go kocham. Muszę też myśleć o dobru naszej córki.

Pani domu umilkła. Gdzieś w domu zegar wybił godzinę. Elizabeth nie miała pojęcia, co powiedzieć. Bezradnie wodziła wzrokiem dookoła.

— Proszę mi wybaczyć — odezwała się wreszcie — ale wciąż nie rozumiem. Poznałam Faradaya na pustyni niedaleko Barstow, gdzie razem z moimi studentami prowadziłam badania nad indiańskimi petroglifami. Doktor Hightower uratował życie jednemu z członków naszej ekspedycji. Zaproponowałam, by na jakiś czas się u nas zatrzymał.

Bettina słuchała w uprzejmym milczeniu, z dłońmi na kolanach.

— Powiedział mi... — Elizabeth urwała, czując na sobie wzrok kobiety. W jej oczach dostrzegła współczucie i coś jeszcze. Litość? — Faraday powiedział, że jest wdowcem. Ze jego żona zmarła, wydając na świat dziecko.

— Zgadza się. To była moja siostra, Abigail.

Abigail! To samo imię podał Faraday. Więc to jednak prawda.

— A potem pani... wyszła za niego za mąż? — spytała Elizabeth.

— By stworzyć mojej siostrzenicy, Morganie, rodzinny dom.

Elizabeth przymknęła oczy. To nie może być prawda! W ustach czuła suchość, w skroniach dudnienie krwi. Przypomniała jej się odpowiedź Faradaya sprzed kilku tygodni, gdy zapytała, kto zajmuje się Morgana. „Niezwykle odpowiedzialna i godna zaufania kobieta”.

Nie do końca kłamstwo? A może nie do końca prawda?

Elizabeth odchrząknęła.

—Pani Hightower, pani mąż zaprosił mnie tutaj. Powiedział, że mogę zostać w gościnie, jak długo zechcę. Czy... — Brakowało jej tchu. — Czy nie powiedział pani o tym? ;

—Przykro mi, nie wspomniał o tym ani słowem.

—To dlaczego mnie...?

W tej samej chwili do salonu weszła pokojówka z elegancką srebrną zastawą, nazywając gospodynię panią Hightower. Rozstawiła filiżanki i wysunęła się bezszelestnie.

— Panno Delafield... — zaczęła Bettina. Elizabeth widziała, jak drżą jej ręce, gdy sięga po czajniczek. — Planowałyśmy z córką kilkutygodniowy wyjazd do znajomych w Los Angeles. Przypuszczam, że Faraday zamierzał... — Na policzkach zakwitły jej czerwone plamy. — Przypuszczam, że zamierzał panią podejmować pod naszą nieobecność.

Elizabeth zbierało się na mdłości. Ta kobieta musiała mówić o jakimś innym mężczyźnie! Już miała powiedzieć, że z pewnością zaszło jakieś nieporozumienie, że musiała źle zapisać nazwę willi, gdy do pokoju wbiegła nienagannie ubrana dziewczynka o sprężynujących kasztanowych lokach. Elizabeth nie mogła oderwać wzroku od sześciolatki. Wyglądała identycznie jak dziewczynka na zdjęciu, z którym Faraday się nie rozstawał. Jego córka Morgana.

Kiedy dziecko zwróciło się do kobiety „mamo”, a słońce odbiło się w obręcze na palcu pani domu, Elizabeth poczuła, jak ogarnia ją lodowaty chłód. Nie mieściło jej się w głowie, że Faraday mógł ją tak oszukać, że był zdolny do zdrady. Ale przecież miała przed sobą dowody, a jako naukowiec nigdy nie lekceważyła faktów.

Przyszło jej na myśl, że może ta kobieta kłamie. Jednakże dziewczynka nazywała ją matką, a pokojówka zwracała się do niej „pani Hightower”. Faraday musiałby to zauważyć i jakoś zareagować. Nawet on nie jest aż tak roztargniony.

A przecież na Smith Peak wydawał się taki szczery, jego czułość nie była udawana. Elizabeth spotykała mężów, którzy zdradzali żony. Faraday w niczym ich nie przypominał.

No i oświadczył jej się!

Wyrzała przez strzeliste okno na słoneczne patio, gdzie kwitły ciemnofioletowe i pomarańczowe bugenwille. Wszystko wyglądało tak sielankowo i realistycznie, a jednak miała wrażenie, że to jakiś koszmar senny.

Popatrzyła na gospodynię, która siedziała bez ruchu, sztywno wyprostowana. Nagle poczuła się jak w pułapce. Jeśli kobieta mówi prawdę i rzeczywiście jest żoną Faradaya, sytuacja Elizabeth jest więcej niż niezręczna. Jeśli jednak kłamie — choć trudno sobie wyobrazić, dlaczego miałyby to robić — sytuacja jest równie okropna. Tak czy owak, dopóki nie zjawi się Faraday, znajduje się na przegranej pozycji.

—Kiedy... — zapytała, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła. — Kiedy spodziewa się pani jego powrotu?

—Najwcześniej za tydzień — odparła Bettina, choć doskonale wiedziała, że Faraday wróci jutro.

W tej samej chwili za jej przyklejonym uprzejmym uśmiechem Elizabeth dostrzegła coś jeszcze — wyzwanie. Mineę, która mówiła: „Spróbuj ze mną walczyć, a gorzko pożałujesz”.

—Chyba powinnam już pójść — odezwała się Elizabeth. Musiała stąd wyjechać, zebrać myśli, zastanowić się co dalej.

—Tak — zgodziła się Bettina, podnosząc się razem z nią. — Tak będzie najlepiej. Bardzo mi przykro, że w ten sposób się pani dowiedziała. Jak jednak wspominałam, nie jest pani pierwsza.

Elizabeth zmrużyła oczy i przyjrzała się kobiecie, która — choć młodsza od niej — zachowywała się niczym dojrzała matrona. Zupełnie jakby odgrywała rolę.

Choć kipiały w niej nie nazwane emocje, przepraszała za zamieszanie i starając się zachować resztki godności, opuściła wille. W duchu gratulowała sobie przezożności, dzięki której nie odesłała taksówkarza. Później, w zaciszu przedziału kolejowego i gabinetu uniwersyteckiego, będzie płakać i krzyczeć. Da upust gniewowi, spróbuje zrozumieć, co się stało. Napisze do Faradaya i zażąda wyjaśnień.

Kiedy Casa Esmeralda została daleko w tyle, Elizabeth pomyślała o dziewczynce o wielkich oczach, której ojciec często wyjeżdżał. Wyobraziła sobie jej życie w wymuskanym, cichym domu, który sprawiał wrażenie zimnego i pozbawionego miłości. Przypomniała sobie chłód, z jakim pani High-tower mówiła o swoim poczuciu obowiązku wobec męża. Wreszcie, przywołując słowa pani Hightower o planowanym kilkutygodniowym wyjeździe z dzieckiem, Elizabeth uświadomiła sobie, że zjawiając się przed czasem, nieświadomie trafiła w sam środek dramatu, w którym nie miała wystąpić.

Dramatu starego jak świat — myślała — w którym główną rolę odgrywają oszustwo, ambicja, zaborczość i zdrada. Jeśli wyjdę na ring — zastanawiała się, gdy taksówka mknęła pod wysokimi palmami — jeśli będę walczyć o Faradaya, o prawo do kochania go, jakie skutki to za sobą pociągnie?

A jeśli naprawdę jest żonaty?

Wracała z zamętem w głowie i bólem w sercu tak silnym, że — wiedziała o tym — nigdy nie ustąpi. Pod powiekami wzbierały jej łzy. Jeśli ta kobieta mówiła prawdę, jak ma z tym żyć?

A jeśli to wszystko było kłamstwo?

Po raz pierwszy w życiu profesor Elizabeth Delafield, która organizowała ekspedycje na niezbadane tereny, która szczyciła się, że w każdej sytuacji zachowuje spokój i trzeźwość myśli — po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, jak postąpić.

Stojąc w oknie i odprowadzając wzrokiem odjeżdżającą taksówkę, Bettina gratulowała sobie bystrości i trzeźwości umysłu. Nie miała pojęcia, że ów gość

zaproszony przez Faradaya to kobieta! I to nie zwyczajna kobieta. Bettina z daleka potrafiła rozpoznać cwana sztukę, która poluje na bogatego męża.

Westchnęła. Musiała do swojej listy dopisać kolejny obowiązek: strzec szwagra przed zakusami intrygantek, które nie przepuszczą żadnej okazji.

— Mamo?

Morgana pociągnęła ją za spódnicę. Spojrzała na dziewczynkę. Malutkiej została na buzi śmietana, ale tym razem Bettina jej nie skarciła, tylko pochyliła się czule nad dzieckiem.

— Morgano, widziałaś tę panią, która przed chwilą tu była? Chciała zostać gospodynią, ale moim zdaniem się nie nadaje.

Po trzech dniach poszukiwań Faraday wypatrzył wreszcie idealną toaletkę do sypialni Elizabeth. Kazał ją natychmiast przywieźć, by kobiecie mebelek już czekał na właścicielkę.

Minął jednak wyznaczony dzień, a Elizabeth się nie pojawiła. Faraday pojechał na dworzec i pytał, czy nie wysiadła jakaś kobieta szukająca Casa Esmeralda. Nikt nie przypominał sobie takiej osoby. Wysłał telegram do Harvey House w Barstow z pytaniem, czy ekspedycja profesor Delafield już wyjechała, i otrzymał odpowiedź twierdzącą: profesor Delafield i jej studenci opuścili miasto dziewięć dni temu.

Kiedy podpytywał Bettinę, czy pod jego nieobecność nie zjawili się jacyś goście, usłyszał, że była tylko kobieta, która ubiegała się o posadę gospodyni. Faraday poczuł narastającą panikę. Nie tłumacząc się szwagierce, informując tylko, że ważne sprawy wzywają go na północ, wskoczył do pierwszego pociągu i wypożyczył w Barstow konia. Kiedy jednak dotarł do słonego jeziora, które wyschło przed tysiącem lat, po Elizabeth ani jej obozie nie było nawet siadu.

Zeskoczył z konia, zdarł z głowy kapelusz.

— Gdzie jesteś, najdroższa? — zawołał.

Odchodził od zmysłów z niepokoju. Czy coś jej się stało? A może zachorowała?

Po powrocie do Casa Esmeralda zdesperowany wysłał telegram na adres uczelni, na której wykładała. Elizabeth jednak nie odpowiedziała. Wysłał drugi — tym razem do jej dziekana — wyrażając niepokój o profesor Delafield. Dziekan odpisał, że nie spotkało jej żadne nieszczęście. Czuje się dobrze, wróciła do obowiązków zawodowych i prowadzi wykłady.

Faraday ze zdumieniem wpatrywał się w litery. Był jak skamieniały. Nie czuł nic.

„Profesor Delafield czuje się dobrze i wróciła do obowiązków zawodowych”.

Faraday napisał do Elizabeth długi płomienny list, w którym pytał, co się stało, i błagał, by wróciła do Kalifornii. Kiedy nie odpowiedziała, napisał drugi i następny, zaklinając o wyjaśnienia. Nie doczekawszy się odpowiedzi i na te, zrozumiał, że Elizabeth go porzuciła, choć nie miał pojęcia dlaczego.

Wpadł w rozpacz. Czyżby byt dla niej tylko zabawką? Może kobieta, która pali papierosy i nosi spodnie, igra z mężczyznami, by zemścić się na tych wszystkich, którzy wcześniej potraktowali ją jak igraszkę. Tak trwała nieustanna karuzela myśli i uczuć — od bólu, przez smutek, po gniew.

Chciał wsiąść do najbliższego pociągu do Nowego Jorku, lecz Bettina przypomniła mu o jego zobowiązaniach wobec córki i wobec niej. Przygnębiony i apatyczny spędzał długie godziny na patiu Casa Esmeralda, przeglądając barwne szkice z pustyni. Pewnego dnia Morgana wdrapała mu się na kolana, otoczyła ramionkami jego szyję i spytała, dlaczego jest taki smutny. Przytulił ją mocno i ukrył twarz w jej kasztanowych lokach. Potem przyniósł swoje rysunki przedstawiające ruiny Pueblo Bonito, hogany Nawahów i puebla Indian Hopi.

Trzymając córkę na kolanach, siedział w promieniach słońca i opowiadał o scenie, którą narysował w wiosce Indian Hopi.

— Ten taniec to modlitwa o deszcz. Oni, aniołku, wierzą, że węże są ich braćmi, którzy zejdą pod ziemię i poproszą przodków, by sprowadzili deszcz.

Tych, którzy chodzą wokół placu i głośno się modlą, nazywają kapłanami wę-
żów.

Morgana z uwagą przyglądała się rysunkowi trzynastu mężczyzn, których cia-
ła były pomalowane na brązowo, a twarze na czarno. Mieli na sobie skąpe prze-
paski biodrowe, koszule z frędzlami i mokasyny. Na głowach zaś nosili czerwono-
nobrązowe pióropusze. Niektórzy trzymali żywe węże w ustach, inni — w dło-
niach, a jeszcze inni tańczyli z węzami oplecionymi wokół ramion.

— Byłem jednym z ostatnich białych, którzy widzieli tę uroczystość — opo-
wiadał Faraday. — Indianie nie mogą już odprawiać swoich rytuałów. Zostały
wyjęte spod prawa.

— Co to znaczy, tatku?

— To znaczy, aniołku, że Indianie nie dostali na nie pozwolenia. Rząd zaka-
zał im wykonywania ich tradycyjnych tańców.

— Dlaczego?

Potań brodę. Jak to wyjaśnić?

— Władze sądzą, że jeśli Indianie porzucą swoje tradycyjne obrzędy, staną
się jak biali.

Kiedy usłyszał o zakazie organizowania uroczystości, zadał Johnowi WHEELEROWI to samo pytanie.

„Kiedyś w ten sposób zapobiegano powstaniom” — odparł z niesmakiem
kowboj. — „No i przyjęło się uważać, że wystarczy zakazać im kultywowania
dawnych tradycji, a staną się pokorni jak owieczki”.

Faraday myślał o następnych pokoleniach, które taniec węża będą znały tylko
z opowieści. Czy jego rysunek będzie jednym z ostatnich świadectw ginącej tra-
dycji? Teraz żałował, że nie utrwalił na papierze innych wydarzeń. Żałował, że
Wheeler wtedy w hoganie zabrał mu szkic z rytuału uzdrowienia. Kowboj nie
miał racji, zabraniając rysowania i fotografowania świętych obrzędów Nawahów.
Jeśli się ich jakoś nie utrwali, wszystkie odejdą w zapomnienie.

Przeraziła go ta myśl. Przypomniał sobie Elizabeth i zapął, z jakim dokumentowała każdy prekolumbijski rysunek wyryty w skale. „Stanowimy idealny tandem, Faradayu!”. Serce znowu przeszył mu ból. Wiedział, że już zawsze tak będzie, ilekroć o niej pomyśli. Gdyby chociaż zrealizowali swoje marzenia o wspólnej pracy, gromadzeniu wiedzy antropologicznej i utrwaleniu jej na kartach książek.

Kiedy przekładał kartkę, by pokazać Morganie następny rysunek — przedstawiający Indianki Hopi przy żarnach — uświadomił sobie, że właściwie rozpoczął już misję, o której myśleli z Elizabeth. Wyprawy z Johnem Wheelerem zaowocowały bogatym, kolorowym zapisem indiańskich tradycji. Na krótko nad bólem po utracie Elizabeth wzięło górę znajome podniecenie, które poczuł na Smith Peak. Ożyło w nim pragnienie kontynuowania tej misji. Chciał znów podróżować ze szkicownikiem, tworzyć kronikę ginącej kultury.

Po raz pierwszy od wielu tygodni zapłonęła w nim iskra nadziei. Przełożył kartkę i wtedy odsłonił się portret dziewczyny, którą nazywał Kwiatem Dyni. Patrzył na jej podłużne oczy i pełne wargi, jakby liczył, że do niego przemówi.

—Co to jest, tatku? — zapytała Morgana, pokazując trzy pionowe kreski na czole dziewczyny.

—To tatuaż, aniołku. Indianie nacinają skórę i wcierają w nią atrament.

—Po co?

— Zdaje się, że to oznaka przynależności do plemienia. Dziewczynka przez dłuższą chwilę wpatrywała się w tatuaż.

—Czy my należymy do plemienia, tatku? — spytała wreszcie.

—Nie jestem pewien, aniołku — odparł, myśląc o snobistycznych Hightowrach i o ich prawdopodobnej reakcji na słowo „plemię”.

Morgana nie mogła oderwać wzroku od tatuażu. Nie wiedziała, co to takiego „plemię”, ale uznała, że cudownie byłoby do niego należeć.

— Gdzie mieszka ta dziewczynka? — drażyła.

— Pamiętasz ruiny, które zwiedzaliśmy w ubiegłym roku? Pokazywałem ci tam bardzo stare pokoje, w których dawno temu mieszkali ludzie.

Skinęła głową, jak przez mgłę przypominając sobie kamienie i potężne bloki skalne. Lepiej zapamiętała kolorowe jaszczurki, które w słońcu mieniły się wszystkimi barwami tęczy.

Opowiadając córce o tajemnicy kanionu Chaco, przypomniał sobie fragment o Indianach fruujących powietrzu i strzelających ognistymi strzałami, który przeczytała mu Elizabeth. Czy kiedykolwiek uda się rozwikłać zagadkę zniknięcia Indian Anasazi? myślał po raz kolejny.

ROZDZIAŁ 50

Kiedy przyszedł list, Bettina długo się zastanawiała, co począć z tym fantem.

Na kopercie widniało nazwisko Elizabeth DeLafield, a list był adresowany do Faradaya. Mimo to Bettina pozwoliła sobie go otworzyć, a gdy już przeczytała, co napisała tamta kobieta, zrozumiała, że musi natychmiast poczynić zdecydowane kroki. W każdej chwili mogła się tu zjawić ta intrygant-ka polująca na bogatego męża.

Stojąc w drzwiach pracowni Faradaya, Bettina powiodła wzrokiem po półkach, od sufitu po podłogę wypchanych książkami, po mapach zakrywających ściany, po gazetach i naukowych czasopismach porozrzucanych na posadzce. Wreszcie zatrzymała spojrzenie na samym Faradayu, który pochylony nad biurkiem pocił się nad kolejnym listem do jakiegoś eksperta od Indian z prośbą o następne informacje. I pewnie znowu w jej ślicznym domu pojawi się następne in-

diańskie paskudztwo. Na dywanie obok biurka siedziała Morgana, bawiąc się tradycyjną lalką Indian Hopi.

Bettina odkrząknęła.

—Faradayu, tak dłużej być nie może. Oderwał wzrok od listu.

—Słucham?

—Przyjechaliśmy tu, bo chciałeś szukać indiańskich szamanów. Tymczasem od tygodni nie ruszasz się z domu. A zapowiedziałeś, że nie wrócimy do Bostonu, dopóki nie osiągniesz wyznaczonego celu. Ale jeśli zrezygnowałeś, możemy natychmiast się spakować...

—Broń cię Panie Boże! — zawołał. — Nie zamierzam się wycofać! Przeciwnie, moje pole działania nieustannie się rozszerza, a moja misja staje się coraz donioślejsza!

—W takim razie sugerowałabym, żebyś zaczął działać, zamiast ślęczeć nad książkami i listami.

Faraday kupił konia i muła, namiot, matę i śpiwór, lampy, składany stolik, linę, mapy i busolę. Przygotował zapasy wody i suchego prowiantu, uzupełnił kartki w szkicowniku, węgiel i ołówki. Odzyskał chęć do życia, miał przed sobą nowy cel. Uklęknął przed Morgana i chwycił ją za ramionka.

— Wyjadę na krótko, aniołku — obiecał — a po powrocie przywiozę ci mnóstwo prezentów, nowych obrazków i opowieści.

Tym razem wyruszył bez przewodnika. Nie potrzebował żadnego Johna Wheelera ani braci Pinto. Krążył po pustyni, czasem przez wiele dni nie spotykając człowieka. Towarzystwa dotrzymywały mu tylko żółto-czarne kacyki wijące gniazda w drzewach Jozuego. Czasem pojawił się szczur, mający norę wśród liści juki, albo jaszczurka polująca na owady w spróchniałym przewróconym pniu. Nocą nieraz przemknął ryś, sowa albo kojot. Bywało też, że drogę zastępowały mu kukawki. Nieruchomiały, prostując długie ogony, a potem uciekały spłoszone. Naprawdę niebezpieczne były jednak tylko węże wijące się w piasku, stale gotowe do ataku. A choć czasem Faraday zatrzymywał się, by popatrzeć, jak du-

ży, pięć-ciocentymetrowy owad ciągnie większego od niego kosmatego pająka, przez większość czasu uwagę skupiał na krajobrazie.

Pierwszy symbol, który narysowała Cyganka, musiał przedstawiać drzewo Jozuego. Rzeczywiście przypominało ono nieco człowieka z uniesionymi rękami. Drugi symbol jednak — zygzak przecinający kwadrat — wciąż pozostawał dal Faradaya zagadką.

Jedno nie ulegało wątpliwości — Faraday Ffighttower, który rok temu wyruszył na poszukiwania Boga, w niczym nie przypominał dzisiejszego Faradaya Hightowera, który pragnął dokonywać coraz to nowych odkryć.

Kiedy błądy księżyc wschodził nad pustynią Moj ave, Faraday zanotował w dzienniku:

„Żyłem zamknięty w kokonie, nie dostrzegając innych. Teraz czuję się jak motyl, który wyrwał się na wolność. Kiedy dokonała się ta przemiana? W rozrzedzonym powietrzu kanionu Chaco? W hoganach Nawahów, które odwiedzałem z Johnem Wheelerem? Dzięki Elizabeth i jej zaraźliwemu entuzjazmowi? Gdzie szukać źródła nowej fascynacji? Musi pochodzić od Boga, bo kiedy patrzę na taniec orła Indian Cahuilla albo słucham bębnow Serrano, czuję to samo uniesienie co w katedrach Europy.

We wszystkim co robię, czuję rękę Boga. Teraz już wiem, że nieprzypadkowo znalazłem złocistą *olle*. Doprowadził mnie do niej Wszechmocny. On chce, bym odczytał, co jest na niej zapisane, i odkrył bogatą historię Indian Anasazi. Tak też uczynię, choćbym miał szukać po kres swoich dni.

Wszedłem na nową ścieżkę. Nie dostrzegłem tego zakrętu, nie zauważyłem drogowskazów. A przecież kroczę nią. Nie jest prosta, wije się w różnych kierunkach niczym wzór na złocistym dzbanie. W ten sposób jednak łączy mnie ze wszystkim i ze wszystkimi. Rozmawiałem ze starszym z plemienia Diegueno — choć oni zupełnie inaczej siebie nazywali. To miano, od nazwy hrabstwa, w którym mieszkają — San Diego, nadali im biali. Otóż ów starszy powiedział mi, że kiedy pierwszy raz zjawili się tu biali, wyłapali Indian, posłali ich do misji, ochrztili, zmienili im imiona. Odcieśli ich od korzeni — od plemion i ich tradycji.

Starszy mówił też, że sam już nie wie, jak naprawdę nazywało się jego plemię, nie zna jego mitów ani języka. Ten mężczyzna nazywał się José Rivera. Indianin czystej krwi noszący nazwisko białego człowieka!

Rozsadza mnie ciekawość. Chciałbym wiedzieć, co stało się z jego światem. Dokąd odszedł? Czy odbyło się to podobnie jak w kanionie Chaco? Jakie jeszcze tajemnice skrywają piaski tej pustyni? Ja mogę wyprowadzić swój rodowód od pewnego kowala imieniem Richard, który w szesnastym wieku mieszkał w Anglii w siole zwanym High Tower, gdyż górowała nad nim wieża. Każdy człowiek ma prawo do swojej przeszłości, do przodków.

Dziś doskonale rozumiem łzy Elizabeth, gdy para tamtych strzelców zniszczyła petroglify na głazie. Ja sam płakałem nad José Rivera.

Zrozumiałem coś jeszcze. W czasie samotnych nocy spędzonych pod gwiazdami wreszcie zajrzałem w głąb siebie. Kiedy przypominam sobie Faradaya Hightowera z okresu, zanim w jego życie weszła Abigail Liddell, jestem przerażony jego płytkością i egoizmem. Z jaką pychą ferował wyroki, decydował, co jest dobre, a co złe. Cytował Pismo i chodził przekonany o swej szczególnej relacji z Najwyższym. Wynosił się, choć uważał się za pokornego.

Mimo że nadal szukam zaginionych szamanów, przyświeca mi inny cel. Zostałem tu przysłany, by odzyskać to, co zginęło; zwrócić pełnoprawnym właścicielom".

Faraday wpadał do Casa Esmeralda, by odpocząć i nabrać sił po wycieńczającej wędrówce po pustyni, ale przede wszystkim, by zobaczyć Morganę i chwycić ją w ramiona. W samotnych ekspedycjach towarzyszył mu tylko portret Elizabeth, który kiedyś naszkicował. Czasem w nocy godzinami się weń wpatrywał i cicho rozmawiał z ukochaną. Nie wiedział, dlaczego go porzuciła, lecz nadal ją kochał. Wciąż też nie tracił nadziei, że kiedyś, wracając do Casa Esmeralda, zastanie ją tam.

Ponieważ Elizabeth zaintrygował wzór na złocistej *olli*, Faraday też obsesyjnie się nim interesował. Wmawiał sobie, że to pomoże mu odnaleźć szamanów, podczas gdy tak naprawdę dzban dawał mu namiastkę więzi z Elizabeth.

Podobne do ludzi sylwetki stały obok czegoś, w czym Elizabeth dostrzegła symbol wody. Czyżby szamani dotarli nad jakieś jezioro? Co zaskakujące, na dzbanie nie występował zygzak ani drzewo Jozuego. Czy to oznacza, że aby rozwiązać zagadkę, dwa rysunki Cyganki trzeba połączyć ze wzorem na naczyniu?

Faraday szukał nawet bliźniaka swojego dzbana, ale nie znalazł żadnego naczynia choćby trochę do niego podobnego. Obejrzał mnóstwo zbiorów, przeczytał katalogi, wertował książki i rozmawiał z kustoszami — nigdzie nie było drugiego takiego naczynia. Wszystkich to dziwiło, ponieważ — jak twierdzili badacze — garncarz zwykle trzymał się swojego wzoru i wielokrotnie go powtarzał. Hightower nawet wysłał do Smithsonian Institution zdjęcie *olli*. Odpowiedź ekspertów brzmiała: „To zaskakujące. Można odnieść wrażenie, że garncarz stworzył tylko ten jeden jedyny dzban. To z kolei jest niemożliwe. Takie umiejętności osiągało się po wielu latach i ulepieniu niezliczonych naczyń. Należałoby się zatem spodziewać, że zachowałyby się ich co najmniej kilka. W naszych archiwach jednak nie znajdujemy ani jednego”.

Tak Faraday stanął przed kolejną zagadką. Dlaczego doświadczony garncarz lepi tylko jeden dzban?

Morgana wyrastała na śliczne dziecko, z dnia na dzień coraz bardziej przypominając Abigail. Czasem gdy patrzył na Morganę i jej ciotkę, nie mógł powstrzymać się od porównań. Bettina, choć była rodzoną siostrą Abigail, nie miała ani jej urody, ani wdzięku. Morganę i Bettinę różniło jeszcze coś: córka Faradaya pokochała pustynię, jakby piasek miała we krwi. Nieustannie znosiła do domu małe węże i żółwie, jej ulubionym przysmakiem była opuncja, a czas najchętniej spędzała, wystawiając się na słońce. Bettina tymczasem przy każdej okazji dawała wyraz swojej niechęci do południowo--zachodniego regionu kraju i pustyni; nie znosiła wszystkiego, co miało związek z Indianami lub Hiszpanami, i robiła co w jej mocy, by w willi odtworzyć atmosferę bostońskiej kamienicy. Dlatego

ilekroć Faraday wracał do domu, okazywało się, że *olla* zniknęła z honorowego miejsca.

Bettina chętnie też wypowiadała głośno swoje sądy na temat ich obecnej sytuacji bez względu na to, czy Faraday chciał słuchać czy nie.

Co dzień w ich okolicę ściągali osadnicy, których Bettina nazywała przybłędami. Narzekała na rosnącą liczbę prymitywnych domów wyrastających w całej dolinie. Jeszcze gorsze były namioty suchotników. Tym jednym określeniem Bettina obejmowała wszystkich gruźlików i pacjentów z chorobami dróg oddechowych, którzy przyjeżdżali tu w nadziei, że suche, ciepłe powietrze ich wyleczy. Szwagierka sprowadziła dojrzałe drzewa i posadziła je wokół willi, by zasłonić widok na sanatorium i odgrodzić się od zarazków, które wiatr mógł przynieść do domu. Na próżno Faraday tłumaczył, że nie musi się tego obawiać.

— Dlaczego nie zamieszkają gdzie indziej? — narzekała przy byle okazji. — Po co przyjeżdżają tutaj, do zdrowych ludzi?

Pisała listy do senatorów, kongresmenów, nawet do gubernatora Kalifornii. Bezskutecznie. Rozpoczęła więc własną wojnę. Przydomowy sad rodził mnóstwo owoców. Część Bettina przeznaczała dla rodziny, resztę sprzedawała, tłumacząc sobie, że nie jest to prostacki zwykły handel, a raczej przejaw chrześcijańskiego miłosierdzia. Co nie przeszkadzało jej słono liczyć za każdy owoc. W końcu nie rosły za darmo. Nawet chrześcijańskie miłosierdzie miało swoje granice. Kiedy meksykański ogrodnik wyruszał wozem załadowanym morelami, pomarańczami, cytrynami, limonkami i awokado, zabraniała mu przystawać przed sanatorium i namiotami.

Oznajmiła też szwagrowi, że jedyną pociechą w tej „dziczy” są karty pocztowe od pana Vickersa. Często podkreślała, że Zachariasz nieustannie zapewnia ją o swym głębokim uczuciu i przypomina, że zgodziła się go poślubić. Założyła nawet album. Na każdej stronie umieszczała pocztówkę, pod nią zaś przepisywała wyznania, jakie adorator umieścił na odwrocie. Długie godziny spędzała, przewracając kartki, podziwiając śniegi Kilimandżaro oraz widoki z Serengeti i głośno wyrażając radość z powodu szczęścia owych dzikusów, którzy mogli doświadczać chrześcijańskiej troski pana Vickersa.

Bettina nie zaniedbywała opieki nad swoją siedmioletnią już siostrzenicą. Oburzona, że Morgana miałyby uczyć się w jednej sali z dziećmi biednych jak myszy kościelne przybłędów, zatrudniła guwernantkę oraz nauczycielkę śpiewu i gry na fortepianie. Na siebie zaś wzięła obowiązek wpojenia dziewczynce zasad etykiety i nauczania jej robótek. Wychowywała córkę Faradaya na damę. W duchu poprzysięgła sobie, że pod jej troskliwym okiem Morgana znajdzie męża ze śmietanki towarzyskiej.

ROZDZIAŁ 51

W parny poranek 1918 roku Faraday wyruszył do kanionu Andreas, gdzie jak się niedawno dowiedział, znaleziono tajemnicze prekolumbijskie petroglify nieznanego pochodzenia. Kiedy jeden z archeologów wysunął hipotezę, że są podobne do tych z okolic Chaco, Hightower wiedział, że musi tam pojechać. Obładował muła i osiodłał konia. Morgana wybiegła z domu, by jak zawsze pocałować go na pożegnanie. Podniósł ją, uściskał i obiecał, że będzie bardzo tęsknił.

— Zgadnij, co jest za miesiąc? — zapytała. Wiedział oczywiście, ale droczył się z nią, udając, że nie pamięta. — Moje urodziny!

Obiecał, że przywiezie wspaniały prezent. W tej samej chwili spłynęło na niego olśnienie. Wpadnie do Los Angeles i kupi jej pluszowego misia. Te nowe zabawki stały się ostatnio szalenie modne.

Uściskali się i ruszył w drogę.

Wrócił trzy tygodnie później z misiem przytroczonym do siodła. Na jego widok Bettina wypadła z domu.

— Morgana jest śmiertelnie chora! — krzyknęła, gdy zeskoczył z konia. — Szybciej, Faradayu!

Faraday przez moment patrzył z niedowierzaniem. Nigdy jeszcze nie widział Bettiny w takim stanie. Była rozchełstana, nieuczesana, blada jak śmierć.

— Szybciej! — ponaglała. — Nie pozwól jej umrzeć!

— Na Boga, Bettino! Wezwałeś lekarza?

— Oczywiście, że tak! Choć raz przydali się ci suchotnicy, którzy się tu panoszą. Przynajmniej lekarzy jest pod dostatkiem. Każdy, który ją badał, mówił, że jest bezradny. Morgana ma zakażenie krwi, Faradayu! Umiera!

— Zakażenie krwi!

Z tej choroby nie wychodził żaden dorosły, a co dopiero dziecko.

Popędził do sypialni córki. Morgana — z bandażem wokół głowy, rozpalona — leżała otulona w wełniane koce, które natychmiast zdarł. Jej puls bil słabo i szybko, płytko oddychała.

— Wezwij dziewczynę, żeby ją wachlowała! — krzyknął. — I przynieś wiadra zimnej wody! Mamy w domu jakiś alkohol?

Bettina pospiesznie wydała polecenia pokojówkom i wróciła do chorej.

— Kilka dni temu znalazłam ją rano nieprzytomną na podłodze w kuchni. Najprawdopodobniej przeleżała tam całą noc.

— Co to za rana? Uderzyła się w głowę?

Delikatnie zajrzał pod zapaskudzony bandaż. Widok był potworny nawet dla doświadczonego lekarza. Zielona ropa wypływała z trupiobladego ciała. A co najgorsze, obrzydliwa rana znajdowała się na samym środku gładkiego dziecięcego czółka.

Bettina wyłamywała palce.

— Obok niej znalazłam wieczne pióro. Stalówka była zakrwawiona. Faradayu, ona przyłożyła sobie pióro do czoła i rozorała nim skórę!

— Co?!

— Odkaziłam ranę wodą utlenioną i opatrzyłam czystą gazą, ale niemal natychmiast się zaogniła. Wtedy wezwałam lekarza z sanatorium położonego dziesięć kilometrów stąd. Robił co w jego mocy, ale...

Przerażony Faraday nie mógł oderwać wzroku od rany i niemal niewidocznych pionowych niebieskich kresek. Powieki dziewczynki drgnęły.

— Tatku...

—Ciii, maleńka. Tatus jest przy tobie. Zaopiekuję się tobą. Morgano, dlaczego to zrobiłaś?

—Chciałam być jak tak dziewczynka z twojego szkicownika... Żebyśmy należeli do plemienia.

—Wszystko przez te brednie o Indianach, które wbijasz do jej maleńkiej główki — oskarżyła go Bettina, tuląc dziewczynkę w ramionach i szlochając. — Znikasz na całe tygodnie, a kiedy już jesteś w domu, ignorujesz nas. Widzi, jak się gapisz w ten portret Indianki. Patrzysz na nią częściej niż na własną córkę!

—Pomódlmy się — powiedział, klękając przy łóżku.

Ze złożonymi dłońmi błagał Wszechmocnego, by zmiłował się nad tym niewinnym dzieckiem i przywróci! mu zdrowie. Bettina zaczęła głośno szlochać. Nawet po śmierci Abigail szwagierka nie płakała w jego obecności. Dopiero to uświadomiło Faradayowi grozę sytuacji.

Nie odstępował od łóżka córki, sam ją pielęgnował. Kazał rozstawić w pokoju leżankę i spał tam. Służące nieustannie wcierały w skórę dziewczynki alkohol i ją wachlowały. Faraday posłał pokojówkę do sąsiadów z prośbą o spleśniały chleb. Zgniótł go i przyłożył do rany. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego zielona pleśń na pieczywie zabija chorobę, ale było to lekarstwo stosowane od czasów biblijnych i Faraday wierzył w jego skuteczność.

Poił córkę naparem z kory wierzbowej i herbatką z kolcorośli. Stosował wszystkie naturalne leki, jakie przychodziły mu do głowy. Mimo to gorączka nie ustępowała. Puls dziewczynki słabł. Faraday wiedział, że jej nie uratuje. Została

tylko jedna, ostatnia, desperacka próba. Musiał zastąpić zakażoną krew dziewczynki czystą.

Czy to możliwe?

Po wyjeździe z Bostonu wciąż otrzymywał prenumeratę tygodnika medycznego „Boston Medical and Surgical Journal”. Czytał go w wolnych chwilach. Teraz przypomniał sobie artykuł o eksperymentach z transfuzją krwi. W pamięci miał też pewne sympozjum, na którym uczestników zachęcono do zbadania swojej grupy krwi. Faraday zgodził się z najwyższą niechęcią, ponieważ uważał, że to zbyt wydumane, niezgodne z naturą i Boską wolą. Z drugiej strony paliła go zawodowa ciekawość. Tak dowiedział się, że ma grupę krwi 0. Niedawno przeglądając gazetę, trafił na artykuł o badaniach nad łączeniem i mieszaniem różnych grup krwi. Pisano tam o jakichś szczególnych właściwościach grupy 0. Ale o jakich — nie pamiętał.

Drżącymi rękami przerzucał ostatnie numery „Boston Journal”, ale nie mógł trafić na ten artykuł. Bettina przyłączyła się do niego i sprawdzali numer za numerem. Czytali spis treści i odkładali egzemplarz za egzemplarzem.

— Faradayu, toż to szaleństwo! — mówiła. — Przetoczysz jej swoją krew?

—Próbowano tego. Czytałem o przypadkach...

—To zrób to! — krzyknęła. — Ratuj Morganę! Wreszcie znalazł. Autorem artykułu był doktor Reuben

Ottenberg z Nowego Jorku, który prowadził badania nad łączeniem grup krwi. Odkrył, że grupę 0 można podawać osobom z innymi grupami krwi. Użył sformułowania „uniwersalny dawca”.

Chociaż Faraday nigdy nie przeprowadzał transfuzji, a widział tylko dwa takie zabiegi, zdawał sobie sprawę, że jeśli chce uratować córkę, musi to zrobić.

Z torby lekarskiej wyjął szklane strzykawki, grube igły, gumowe opaski uciskowe i gruszki. Kazał Bettinie przez godzinę sterylizować je we wrzącej wodzie, potem otworzył żyłę na nadgarstku Morgany i upuścił jej tyle krwi, ile się odważył.

Potem nastąpiła najniebezpieczniejsza część zabiegu. Dużą strzykawką pobrał pół litra własnej krwi, przelał ją do sterylnego słoika, stale mieszając, by nie powstały skrzepy. Następnie dodał do niej pół litra sterylnego roztworu soli i ostrożnie, powoli wstrzyknął tę mieszankę Morganie.

Potem mógł tylko czekać i modlić się. Słyszał o przypadkach, gdy organizm chorego odrzucał przetoczoną krew, następowała wówczas śmierć pacjenta. Czuwał więc razem z Bettiną, nie spuszczać oka z chorej. Mijały kolejne minuty. W ciszy nocy słyszeli tylko równy oddech dziewczynki. Nie było żadnych niepokojących objawów.

Trzy dni później Faraday powtórzył procedurę. Pobrał krew Morgany i przetoczył jej własną. Równocześnie zwiększył dawkę naparu z kory wierzbowej. Wreszcie gorączka zaczęła spadać, a stan dziewczynki się stabilizował. Oboje — Faraday i Morgana — byli wycieńczeni. Faraday nawet dwa razy zemdlął. Wreszcie jednak nadszedł dzień, gdy obudziło go wołanie córki. Chwycił ją w ramiona i z płaczem kołysał, przysięgając, że już nigdy jej nie zaniedba. Potem ukląkł i dziękował miłosiernemu Najwyższemu, że ocalił dziecko.

Jeszcze przed przesileniem choroby, pewnej ponurej nocy, gdy wiatr zawodził nad pustynią, Faraday wyjął z ukrycia złotego jednoroźca, którego nosiła Abigail, i zawiesił go dziewczynce na szyi. Następnego ranka zobaczył, że jednorożec zniknął, a jego miejsce zajął złoty krzyżyk. Wiedział, że to Bettina dokonała zamiany, więc zostawił krzyżyk, a jednoroźca znalezionego na szafce przy łóżku znowu skrzętnie schował.

Morgana przeżyła. Co najdziwniejsze jednak, gdy rana wreszcie się zagoiła, na czole pojawił się tatuaż — czysty i wyraźny, jakby zrobiony przez zawodowca. Trzy fioletowe pionowe kreski na środku gładkiego czoła dziewczynki.

Bettinę, która wraz z powrotem do zdrowia Morgany odzyskała kontrolę nad sobą, tatuaż doprowadzał do furii. Żądała, by natychmiast go usunąć. Faraday wyjaśnił, że nawet gdyby zabiegu dokonał doświadczony chirurg, po usunięciu tatuażu zostałaby obrzydliwa blizna. Bettina postanowiła zatem, że Morgana zapuści grzywkę i będzie nosiła kapelusze. Pod żadnym pozorem ludzie nie mogli wiedzieć tego pogańskiego piętna.

— Nie możemy pozwolić — oświadczyła — by uważali twoją córkę za dziecko dzikusów.

Faraday, głaszcząc Morganę po głowie, prosił:

— Obiecuj, że więcej nie będziesz robić takich rzeczy. Nasze plemię nie potrzebuje tatuaży.

— A do jakiego plemienia należymy, tatku? Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, potem uśmiechnął się, pochylił i wyszeptał jej do ucha. Morgana zachichotała. Z progu przyglądała się temu milcząca, niezauważona Bettina.

ROZDZIAŁ 52

Faraday postanowił udać się do rezerwatu Morongo, więc wstąpił do sklepu, by uzupełnić zapasy. Pierwszy raz był w tym składzie, w którym kowboje i poszukiwacze złota zaopatrywali się w konserwy, maty, sześciostrzałowe rewolwery i tytoń. Wybrał już suchary, wołowinę i puszki z fasolą, ale żeby przejść dalej, musiał ominąć mężczyznę wielkiego jak góra, który dudnił donośnym głosem:

— Kiedyś byli tu tylko Indianie i kowboje. Potem ściągnęli hurmem poszukiwacze złota. Jak to się skończyło, zjawili się ranczerzy i osadnicy, którzy tłuką się o prawo do wody. — Strzyknął tytoniem do soplwaczki. — A pan? Do której kategorii pan się zalicza, jeśli wolno spytać?

Faraday popatrzył na górującego nad nim mężczyznę z kciukami zatkniętymi za szelki. Miał czarną jak smoła i wielką jak łopata brodę, ale uśmiechał się przyjaźnie. Opalone zmarszczki wokół oczu świadczyły, że wiele czasu spędzał na

dworze. Faraday pomyślał, że jegomość może znać okolicę, więc wyciągnął rysunek kwadratu przeciętego zygzakiem i zapytał, czy kiedyś widział taki znak.

— Wygląda jak błyskawica — podsunął. Mężczyzna cmoknął mięsistymi wargami ukrytymi pod sumiastym wąsem i gęstą brodą.

— Słyszałem o kopalni złota, którą tutejsi nazywali Błyskawica albo „Tam Gdzie Razi Grom”. Może to o to chodzi?

Faradaya ogarnęło podniecenie. Elizabeth wspominała coś o kopalni! Mężczyzna podszedł do wiszącej na ścianie starej mapy z 1899 roku i zaczął pokazywać wszystkie okoliczne odkrywki.

— Życzę powodzenia — powiedział. — Jest ich ze trzysta, ale tylko w nielicznych jeszcze prowadzą odwierty. Większość stoi opuszczona. Która z nich to Błyskawica? Sam pan musi zgadnąć.

Faraday zasięgnął języka u tubylców. Pamiętali kopalnię Błyskawica, ale ponieważ już dawno ją zlikwidowano, nikt nie pamiętał, gdzie właściwie się znajdowała. Udało mu się jednak zawęzić obszar poszukiwań do terenu, na którym — jak się okazało — rosło najwięcej drzew Jozuego. Pełen nadziei udał się w drogę. Był przekonany, że u celu znajdzie swoich szamanów.

Żałuję tylko — powiedział w myślach do Elizabeth, jak to ostatnio miał w zwyczaju — że nie ma cię tu ze mną i nie przeżywamy wspólnie tej przygody.

Był już październik. Faraday rozbił obóz nad strumieniem. Właśnie szkicował malowniczy głaz na tle rozgwieżdżonego nieba, z którego spadał deszcz meteorytów, gdy usłyszał przerażone rzenie konia i skrzyp kół. Kiedy rozległ się trzask i głośnie przekleństwo, Faraday zerwał się na nogi i pobiegł zobaczyć, co się stało, na wszelki wypadek zabierając siekierę.

Nieznajomy, któremu po prostu odpadło koło od wozu, okazał się katolickim duchownym o nazwisku McClory. Mężczyzna był po pięćdziesiątce, nosił okulary w złotych oprawkach, miał szczerą pogodną twarz i szpakowate włosy.

— To już drugi raz dzisiaj! — powiedział, patrząc na uszkodzony wóz.

Faraday zaoferował pomoc i wspólnym wysiłkiem w ciągu godziny naprawili koło. Ojciec McClory podziękował serdecznie, przeprasząc, że nie może wynagrodzić Faradayowi wysiłku, ponieważ należy do zakonu żebraczego. Wtedy lekarz zaproponował mu gościnę przy ognisku i posiłek.

McClory chętnie skorzystał z propozycji. Wyjaśnił Faradayowi, który o tym nie wiedział, że jego obozowisko znajduje się przy samym szlaku do rezerwatu Morongo, gdzie zakonnik pełnił posługę duchową dla Indian. McClory zaś właśnie podążał do Los Angeles wezwany przez biskupa.

Kiedy popijali kawę, zapytał, czy Faraday poszukuje złota.

—Niezupełnie — odparł lekarz. — Szukam kopalni.

—Nie rozumiem.

Faraday zastanawiał się, czy może powiedzieć mu prawdę. Co duchowny pomyśli o chrześcijaninie szukającym mądrości u pogan? A jeszcze usprawiedliwia to tym, że zmarła żona przysłała do niego cygańską wróżkę, która kazała mu odnaleźć szamanów!

W końcu jednak wyznał zakonnikowi wszystko i wyjaśnił, że choć nie wie, jaki związek może mieć kopalnia z jego poszukiwaniami, chce ją zobaczyć. Nie ze względu na złoto, ale w nadziei, że pomoże mu trafić do indiańskich świętych mężów. Na koniec opowiedział mu, co wydarzyło się w Chaco.

McClory przez chwilę siedział w milczeniu.

—A więc znasz prawdę — wyszepta! wreszcie. Faraday patrzy! na niego, nie rozumiejąc.

—Zawsze posługuję się złotem jako sprawdzianem — wyjaśnił zakonnik, nachylając się do niego konspiracyjnie.

—Jeśli rozmówca na hasło „złoto” reaguje jak dźgnięty ostrogą, wiem, że powoduje nim zwykła żądza zysku i nie ma co na niego liczyć. Prawda bowiem, bracie, jest taka, że ja również szukam plemienia świętych mężów.

Faraday słuchał osłupiały.

—Dotąd nikt inny nawet mi nie uwierzył... — wydusił przez ściśnięte z emocji gardło.

—Krażą o nich tylko legendy, bracie. Słyszałem ich mnóstwo. Sami szamani jednak, jeśli wierzyć podaniom, ukrywają się. Lękają się białych.

—Gdzie oni są?

—W Meksyku.

—W Meksyku? Na pewno?

McClory zdjął okulary, przetarł je chusteczką i znowu wsadził na perkaty nos.

— Legenda głosi, że opuściwszy kanion Chaco szamani ruszyli na południe, gdzie przyłączyli się do tajemnej sekty azteckich kapłanów. — Zakonnik umilkł i przez chwilę się namyślał. — Jesteś może mormonem, bracie?

Kiedy Faraday wyjaśnił, że należy do wspólnoty Adwentystów Dnia Siódmego, McClory znowu się zadumał. Wreszcie podjął decyzję. Podszedł do wozu i po chwili wrócił, do obfitego łona tuląc jak relikwię czarny worek.

Najpierw wyciągnął mapę konkwistadora.

— Pokazałem ją profesorowi uniwersyteckiemu. Oszacował, że ma co najmniej trzysta lat. Mogła nawet wyjść spod ręki jednego z żołnierzy Cortesa. Spójrz jednak na te słowa.

Faraday wpatrywał się we wskazane miejsce, ale nawet w blasku jasno płonącego ogniska nie mógł odczytać, co tam jest napisane.

— To po łacinie — wyjaśnił McClory. — Przetłumaczy! mi znajomy jezuita. „Tu przebywa ostatnich dwunastu pradawnych świętych mężów”. Widzisz ten aztecki znak? To symbol „wyjątkowo świętego męża”.

— Wyjątkowo?

Zakonnik wzruszył ramionami.

— Jezuita nie potrafił lepiej tego przetłumaczyć. Może powinno być „tajemnego”? Na pewno chodzi o coś więcej niż o zwykłego świętego męża. To musi być ktoś nadzwyczajny.

W Faradayu znowu ożyła nadzieja. Czyż to nie ironia losu, że duchowny wskaże mu drogę do pogańskich mędrców?

— Wybacz, ojcze, ale jak to się stało, że katolicki duchowny zainteresował się pogańską religią?

McClory obejrzał się przez ramię, choć byli zupełnie sami pod rozgwieżdżonym niebem.

— Słyszałeś kiedyś o Cjuetzalcoatlu, bracie? — spytał. Kiedy Faraday przyznał, że nie, McClory znowu sięgnął do czarnego worka. Wyjął z niego książkę „Jezus w Meksyku” autorstwa harwardzkiego profesora. Dreszcz przebiegł Faradayowi po plecach. Obiło mu się o uszy, jakoby niektórzy mormoni wierzyli, że dopełniwszy misji w Jerozolimie, Jezus odwiedził Nowy Świat. Przypatrując się rycinom przedstawiającym wysokiego, brodatego białego mężczyznę w długiej szacie zastanawiał się, ile może być w tym prawdy.

— Tutejsza legenda głosi — wyjaśnił McClory — że wybrani szamani strzegą złota Azteków w oczekiwaniu na powrót Quetzalcoatla... który może okazać się Chrystusem! To Jego szukam, nie szamanów.

Faraday zapanował nad podnieceniem i zmarszczył czoło.

— Ta mapa nie wygląda na kompletną — zauważył. Zakonnik przyznał, że faktycznie to tylko połowa oryginalnej mapy, ale słyszał o człowieku, który ma drugą część.

— Sadzę, że zdołałbym go przekonać, żeby mi ją sprzedał. Nie mam jednak pieniędzy.

— Dam je ojcu.

— Nie, nie, doktorze Hightower. W końcu mnie nie znasz.

—Nalegam. Po to tu przyjechałem — mówił pospiesznie Faraday. Gdyby tylko Elizabeth teraz tu z nim była! — Uratowałby mi ojciec życie, gdyby ci szamani z Meksyku okazali się tymi, których szukam.

McClory przemyślał to i wreszcie powiedział:

— Przyjmę pieniądze, bracie, ale pod jednym warunkiem.

Weźmiesz tę część mapy.

— Ależ ja ojcu ufam!

— Proszę. — Wcisnął mu ją do ręki. — Na wszelki wypadek. Gdyby coś mi się stało.

—Co mogłoby się ojcu stać?

—Inni też poszukują szamanów. Im chodzi jednak tylko o złoto, nie o mądrość. Nikomu o tym nie mów, bracie.

I bądź czujny. Na pustyni nawet kaktusy mają uszy.

O, Elizabeth, myślał Faraday, drżąc z podniecenia. Gdyby nie ty, nie wyruszyłbym do Drzewa Jozuego, nie pytałbym o kopalnie, nie spotkałbym ojca McClory'ego. Swój sukces zawdzięczam tobie!

Minęły już dwa lata... Czy odpowiedziałaby, gdyby dziś do niej napisał ?

Nie — postanowił. Zamiast pisać list, pojedę do Nowego Jorku. Wszystkiego dowie się z moich ust.

— Musimy zorganizować ekspedycję! — planował podekscytowany. Może Elizabeth wyruszy razem z nim? Do Meksyku! W głowie mu szumiało z uniesienia.

—To może być niebezpieczna wyprawa...

—Czego tylko ojciec potrzebuje!

—Będę musiał uzyskać zgodę biskupa.

—A później?

Dobili targu i następnego dnia wrócili razem do Los Angeles. Ojciec McClory udał się prosto do biskupa, a Faraday do banku. Kiedy zakonnik do niego dołączył, upoważnienie było już gotowe, wymagało jedynie podpisu Hightowera złożonego w obecności dwóch urzędników. Na jego podstawie ojciec McClory mógł podjąć z konta doktora Hightowera dowolną kwotę. Duchowny bronił się, że to zbyt wielka odpowiedzialność, lecz w końcu ustąpił. Ostatecznie umówili się, że dokładnie za miesiąc spotkają się w Casa Esmeralda. Biskup bowiem nakazał zakonnikowi znalezienie zastępcy, który zajmie się owieczkami z rezerwatu Mrongo.

Ponieważ Faradayowi zależało, by ekspedycja wyruszyła jak najszybciej, spędził jeszcze trzy dni w Riverside i San Bernardino, dobierając ekipę, kupując wozy i konie. Potem wrócił do Los Angeles, gdzie zamówił automobile, sprzęt, prowiant, leki i mapy — jako że to miała być ekspedycja z prawdziwego zdarzenia — i dopiero potem wyruszył do domu, by poinformować Bettinę o swych planach.

ROZDZIAŁ 53

Faraday jechał do domu, beztrąsko pogwizdując. Słońce świeciło jasno nad palmami i pokrytym śniegiem szczytem San Jacinto. Nic nie mogło zmać jego radości. Wkrótce zły los się odwróci, a on odnajdzie ścieżkę do Boga. Przed nim jeszcze jeden dzień odpoczynku. Wzmocni ciało pyszną kuchnią Bettiny, a duszę zabawą z Morgana, i następnego ranka razem z ojcem McClorym wyruszy do Meksyku, gdzie wreszcie znajdzie swoich szamanów.

Postanowił, że nie będzie zawiadamiał Elizabeth o ekspedycji. Opowie jej o wszystkim po powrocie i wtedy znów się połączą. Złoży u jej stóp mądrość, któ-

ra podziela się z nim szamani. Potem będą pisać książki ubogacone jej fotografiami i jego rysunkami.

Tyle myśli i planów kłębiło mu się w głowie — czy powinien zabrać w podróż Morganę... a jeśli tak, czy Bettina zgodzi się uczestniczyć w tak forsownej ekspedycji... czy zdoła znieść roczną rozłąkę z córką, bo nawet tyle może potrwać wyprawa — że w pierwszej chwili mózg nie zarejestrował tego, co dostrzegły oczy.

Przed domem stał duży wóz zaprzężony w szóstkę koni, a mężczyźni wstawiali do niego znajome przedmioty: obrazy, lampy, dywany. Bettina i Morgana stały na schodach ubrane do podróży. Każda trzymała po jednej walizce.

Faraday popędził konia. Nie mogły go zostawić! Czyżby szwagierka wreszcie postanowiła zrealizować swoją groźbę i zabrać Morganę do Bostonu?

Zeskoczył z siodła i podbiegł do bramy.

—Zostaliśmy eksmitowani — usłyszał.

—Co takiego? — zawołał i zażądał wyjaśnień.

Urzędnik bankowy — mężczyzna o ostrych rysach, wyglądający, jakby nawet słońce budziło w nim dezaprobatę — poinformował, że bank nie tylko ich eksmituje, ale także zabiera cały majątek na pokrycie zaległych rat, podatku i innych kosztów. Wszystkie transakcje dokonane przez Faradaya — zakup koni i wyposażenia na ekspedycję — zostały anulowane.

— Doktorze Ffighttower, na pańskim rachunku nie zostało zupełnie nic.

Pokazał Faradayowi księgę.

—Jak mogliście do tego dopuścić?! — ryknął lekarz.

—Doktorze Ffighttower, niejaki ojciec McClory przedstawił wystawione przez pana upoważnienie. Może pan sobie przypomina? Zostało przepisane przez jednego z naszych sekretarzy, a pan złożył na nim podpis w obecności dwóch naszych pracowników. Byliśmy bezradni. Gdybym ja przy tym był — dodał współczująco — lepiej bym panu doradził. Inaczej sformułowalibyśmy umowę. Ale cóż, wola klienta rzecz święta. Może robić ze swoimi pieniędzmi, co zechce, a

nam nic do tego. Zwłaszcza jeśli przeznaczą cały majątek na potrzeby Kościoła. W upoważnieniu napisał pan, że ojciec McClory może pobrać z konta sumę, jaką uzna za potrzebną. Najwyraźniej uznał, że potrzebuje całości.

Serce podeszło Faradayowi do gardła. Popełnił straszliwy błąd. Spojrzał na Morganę w niedzielnej sukience, czepku na głowie, z walizką w ręku.

— Proszę, niech państwo dadzą mi trochę czasu. Wyjaśnię tę sprawę.

— Moglibyśmy osiągnąć porozumienie, gdyby udało nam się z panem skontaktować trzy tygodnie temu. Tymczasem pan nie dość, że zalegał z płatnościami, to jeszcze zniknął bez śladu, podjąwszy znaczną kwotę. Uznaliśmy, że to szukanie wiatru w polu.

— Nie zniknąłem! Najmowałem ludzi, organizowałem ekspedycję!

Faraday jeszcze raz spojrział na liczby odnotowane w księdze rachunkowej. Na koncie nie został nawet jeden cent!

— Tłumaczyłem już pańskiej żonie — tłumaczył urzędnik. — Nie mamy innego wyjścia. Proszę pamiętać, że kupując tę posiadłość, podpisał pan umowę pożyczki pod zastaw domu. Bank i tak niezwykle idzie panu na rękę, zabierając meble i zamykając sprawę — dodał tonem sugerującym, że bank jest stratny.

Faraday zdjął kapelusz i palcami przeczesał włosy. Bez grosza przy duszy! Jak to możliwe?

— Bettina nie jest moją żoną! — zawołał. Bankowiec tylko wzruszył ramionami.

— Przykro mi, ale...

Wtedy tragarze zabrali się za skrzynie z ceramiką. Faraday kazał im natychmiast je odstawić. Zaintrygowany urzędnik polecił zaś je otworzyć. Jego chciwe spojrzenie natychmiast wyłowiło złocistą *ollę*. Zaproponował, że ją kupi. Faraday odmówił.

—Dobrze, doktorze Hightower, zawrzyjmy umowę. W zamian za ten złoty dzban pozwolę panu zostać w domu i dam pół roku na uregulowanie sprawy z bankiem.

—Zgódź się, Faradayu — prosiła Bettina, ale on po prostu nie mógł na coś takiego przystać.

Urzędnik przedłużył ofertę do rocznego pobytu w domu, podkreślając, że to niezwykle korzystna propozycja i że sam wszystko załatwi z bankiem. Kiedy Faraday w dalszym ciągu milczał, jego spojrzenie stwardniało.

Myślał przez chwilę, pocierając brodę.

— Wie pan co? — odezwał się wreszcie. — Teraz, kiedy lepiej przyjrzałem się tym meblom i bibelotom, widzę, że to nie pokryje pańskiego zobowiązania wobec banku. Może pan uregulować należności, wtedy nie wezwę szeryfa i nie każę aresztować pana za długi. Albo bank zabierze tę ceramikę, by wyrównać straty, i będziemy kwita.

Faraday stanął tuż przed nim.

— Jeśli pan tknie choć jedno z tych naczyń, zabiję pana — powiedział zimno.

Na podwórku zapadła cisza. Bettina przypatrywała się im szeroko otwartymi oczami. Sam Faraday był zdumiony swoją reakcją. Urzędnik poczerwieniał jak burak.

— Słyszeliście? — zwrócił się do tragarzy. — Groził mi! Mężczyźni jednak przestępowali z nogi na nogę i unikali

jego wzroku. Czy zobaczyli w oczach Faradaya szaleństwo? A może jego ton wskazywał, że nie żartuje? Niewykluczone, że zwyczajnie nie lubili pozbawiać ludzi dachu nad głową i nie pałali uczuciem do krwiopijców w białych kołnierzykach.

Nie ruszyli z odsieczą swojemu pracodawcy, więc urzędnik się wycofał.

Faraday patrzył, jak pieczętują drzwi Casa Esmeralda i odjeżdżają z całym jego dobytkiem. Nie zamierzał się jednak poddawać. Postanowił, że spotka się z

ojcem McClorym i wyjaśni nieporozumienie. Zresztą nie wszystko było stracone. Wciąż miał przecież połowę mapy konkwistadora.

ROZDZIAŁ 54

— Zrobili z pana, jak to mówią, frajera — wyjaśnił policjant z San Bernardino.

Faraday z ponurą miną wpatrywał się w fotografię ojca McClory'ego. Ojczulek trzymał przed sobą tablicę z numerem, ponieważ zdjęcie pochodziło sprzed pięciu lat, kiedy to McClory spędził kilka miesięcy w więzieniu.

—Naciągacz? — zapytał słabym głosem Faraday, nie ogarniając tego, co usłyszał.

—Maxwell McClory, człowiek o stu twarzach. Ostatnio oskubywał wdowy, zbierając datki na cele dobroczynne. Dawniej podawał się za agenta nieruchomości. Sprzedawał naiwnym działki na pustyni, przyczepiając do drzew Jozuego owoce i twierdząc, że to drzewka pomarańczowe.

—To znaczy, że nie jest katolickim zakonikiem?

—Ani trochę. Na numer z duchownym wpadł parę lat temu, kiedy zauważył, że budzi natychmiastowe zaufanie.

—Ale jak...? — wciąż nie rozumiał Faraday. — Pustynia jest olbrzymia. Rozbiłem obóz, a on przypadkowo tamtędy przejeżdżał. Do tego wydawał się doskonale wiedzieć, czego szukam.

—Współpracuje z tym jegomościem.

Policjant wyciągnął następne zdjęcia, a Faraday aż się zachłysnął. Od razu poznał brodatego wielkoluda, z którym wymienił kilka zdań w sklepie.

— Nazywa się Arrington. Kręci się w sklepach, gdzie zaopatrują się pełni optymizmu poszukiwacze złota. Sprzedaje im fałszywe mapy do skarbu albo prawo własności do nieistniejących kopalń. Zapewne trafił pan do jednego z takich sklepów, a Arrington zobaczywszy stuprocentowego dżentelmena, natychmiast zwiertzył w panu ofiarę. Powiedział mu pan, że czegoś szuka?

— Kopalni złota. Policjant skinął głową.

— Przekazał tę informację współnikowi. Wiedział, gdzie rozbija pan obóz, bo wskazał panu drogę do kopalni. Zgadłem?

Faktycznie, to Arrington zasugerował, żeby szukał właśnie w tamtym miejscu.

— Ale... — powiedział Faraday, wciąż nie wierząc, że tak łatwo dał się nabrać parze cwanych oszustów. — McClory miał dokładnie te informacje, których potrzebowałem. Ani słowem nie wspomniałem o niczym Arringtonowi. McClory pokazał mi książkę... — Zmusił się, by dokończyć, choć wiedział, jak idiotycznie to zabrzmie. — Książkę o Jezusie w Meksyku.

Policjant jednak wcale nie wyglądał na zdziwionego.

— McClory poluje na mormonów.

— Pytał, czy nie jestem mormonem! Ale o czym w ogóle mormoni mieliby rozmawiać z katolickim zakonikiem?

— Mówi im, że ma mapę prowadzącą do drugich złotych płyt, identycznych jak te, które znalazł Józef Smith. Twierdzi, że Jezus zostawił je w Meksyku dwa tysiące lat temu. Udało mu się w ten sposób naciągnąć całkiem sporą grupę mormonów. Pokazywał panu jakąś mapę?

Faraday nie rozumiał, jak mógł być tak naiwny.

— Mapę konkwistadora.

— To stary numer — powiedział łagodnie policjant.

— Oszuści mają połowę mapy, ofiara wyklada pieniądze na zakup drugiej połowy i skarb jest w zasięgu ręki. W obiegu są setki fałszywych map do skarbu. Nic dziwnego, pustynia wydaje się idealnym miejscem do ukrycia złota. Popularne jest też zagranie z mapą do łupu Jessego Jamesa ze słynnego napadu na pociąg. Ci jegomości są niezwykle pomysłowi. Czatuja na ofiary w sklepach, tak jak było w pańskim wypadku. Czytają też gazety codzienne, gdzie wyłapują nekrologi, informacje o poszukiwaniu spadkobierców i tego typu ogłoszenia.

Detektyw Boggs odprowadził Faradaya do drzwi, obiecując, że zawiadomi go, jeśli dowiedzą się czegoś o McClorym.

— Niech pan jednak nie robi sobie większych nadziei — ostrzegł. — To sprytne sztuki. Odgadują najskrytsze marzenia, najgłębsze tęsknoty, a potem znakomicie się przygotowują. Są niewiarygodnie przekonujący. W Saint Louis podawali się za chirurgów, którzy leczą raka. Mieli nawet przy sobie słoje z guzami.

Na progu Faraday jeszcze się zatrzymał.

—Jeśli kiedykolwiek spotkam tego McClory'ego... — zaczął.

—Spokojnie, doktorze Ffighttower. Niech pan samodzielnie nie wymierza sprawiedliwości. Samosądy nigdy nie kończą się dobrze.

—Zresztą pewnie już dawno się stąd ulotnił — powiedział przygaszony Faraday.

—Niekoniecznie. Musi pan wiedzieć, że ofiary stosunkowo rzadko się do nas zgłaszają. Wstydzą się albo nie chcą, by rodziny dowiedziały się, ile majątku przepadło. Ujawnia się średnio co dziesiąta osoba. A południowa Kalifornia to wymarzone łowisko dla takich jak McClory. Ściągają tu ludzie, którzy chcą zacząć życie od nowa, szybko się wzbogacić. To idealne ofiary. McClory nie wyniesie się stąd prędko. Jestem przekonany, że go dopadniemy.

Kiedy Faraday wrócił do Bettiny i Morgany, które rozbiły obozowisko jak zwykle Cyganki, nie wiedział, jak ma podnieść je na duchu. Najpierw dla niego zrezygnowały z wygodnej kamienicy w Back Bay, którą sprzedał przed wyjazdem na zachód. Teraz luksusową willę musiały zamienić na prowizoryczny na-

miot pod gołym niebem. Bettina gotowała fasolę nad ogniskiem, a przykucnięta Morgana śledziła wędrówkę jakiegoś żuka. Przez niego żyły jak przybłędy, którymi szwagierka tak gardziła.

Faraday czuł się jak skończony nieudacznik. Zostali bez grosza przy duszy i dachu nad głową. Na całym globie ludzie wylęgali na ulice, świętując koniec wojny. Świat wreszcie ogłosił pokój, tymczasem Faraday właściwie tego nie zarejestrował.

Mógł się tylko pocieszać, że przynajmniej Elizabeth nie wiedziała, jak monstrualnym durniem się okazał.

Zawijając ziemniaki w gazetę z olbrzymim nagłówkiem głoszącym: „Zawieszenie broni!” i wkładając je do ciepłego popiołu, Bettina popatrzyła na rozciągającą się wokół pustynię. Na horyzoncie góry, a wokół nic tylko piach i anemiczne rośliny. Do najbliższego miasta, Banning, odległego o prawie sto kilometrów, prowadziła nie droga, a dwie koleiny wyżłobione przez wozy zaopatrujące kopalnie. Nie było tam zabudowań, poczty, sklepu ani szkoły, lecz rozrzucone tu i ówdzie prowizoryczne domostwa, opuszczone chaty zniechęconych poszukiwaczy złota, ostatnie świadectwa rozwianych złudzeń i straconych marzeń. Deszczówkę gromadziło się jak cenny skarb, bo pokłady wody znajdowały się głęboko pod ziemią. Bettina nieraz zastanawiała się, co przyciąga ludzi do tego okropnego miejsca, co sprawia, że wybrali życie w skromnych domach rozrzuconych z dala od siebie? Może szukali tu ciszy i spokoju. A może coś ukrywali albo uciekali od przeszłości, którą zostawili za sobą, gdzieś w wielkim mieście. Pomyślała o Bostonie i ludziach znających ją i jej okropny sekret, mających wyrobione zdanie o panie Bettinie Liddell. Uwielbiała tamto miasto, ale nienawidziła jego mieszkańców. Tu zaś nienawidziła pustyni, ale za to ludzie jej nie znali. Nie po raz pierwszy Bettina Liddell znalazła dla siebie rolę i miała zamiar perfekcyjnie ją odegrać.

Oświadczyła Faradayowi, że jako mężczyzna ma obowiązek zatroszczyć się o Morgane i o nią. W końcu jest lekarzem i kiedyś ten zawód zapewniał mu całkiem dostatnie życie. Była gotowa się założyć, że weterani wojenni będą ściągali w te strony, by odzyskać zdrowie po zatruciu gazem musztardowym. Jego wykształcenie i doświadczenie bardzo się więc przydadzą. Na świecie wybuchła też

epidemia influency. Wielu chorych uciekało na pustynię, licząc, że suche i ciepłe powietrze ich wyleczy.

—Gdzie zamieszkamy? Pacjenci nie przyjdą do lekarza koczującego w namiocie.

—Ziemia nic tu nie kosztuje, Faradayu. Wystarczy, że ją zasiedlimy, a dostaniemy ją na własność.

Spojrzał na nią zdumiony. Jego szwagierka była gotowa wejść do grupy społecznej, na którą od dwóch lat patrzyła z najwyższą pogardą. Bettina osadniczką!

—To także wymaga pieniędzy — zauważył. — Musimy kupić materiały budowlane. Przepisy wyraźnie mówią, że trzeba postawić dom.

—Upokorzę się i poproszę o pożyczkę pana Vickersa. Jest majątny. Wiem, że nie odmówi mi pomocy.

Tak oto za pieniądze pana Vickersa przesłane z Bostonu miał stanąć ich nowy dom na parceli w miejscu zwanym Twen-tynine Palms. Bettina pojechała do urzędu w Los Angeles, wypełniła stosowne dokumenty i uiściła dziesięciodolarową opłatę. Wymagano od nich tylko, by postawili na działce dom i przynajmniej częściowo ją uprawiali, a po pięciu latach mieli znaleźć życzliwych dwóch sąsiadów, którzy zeznają oraz potwierdzą własnym podpisem, że rzeczeni gospodarze faktycznie tam mieszkają i dbają o ziemię.

Za resztę pieniędzy od pana Vickersa Bettina wynajęła robotników, którzy oczyścili teren, skłecili chatę i wykopali studnię. Kiedy budynek miał same ściany — więc wciąż jeszcze mieszkali w namiocie — obwieściła Faradayowi, że pan Vickers poprosił o przeniesienie do filii na południowym zachodzie kraju. Jego zwierzchnicy uznali jednak, że będzie bardziej potrzebny na wschodnim wybrzeżu. Oprócz tego miał nadal wyjeżdżać na misje do Afryki.

Po tym jak został już położony dach, Bettina zaczęła urządzać dom dla Faradaya i jego córki. Doktor Hightower natomiast — gdy wstyd i zgroza, że tak łatwo dał się oszukać, przygasały, znowu ruszył na poszukiwanie kopalni Błyskawica.

Zniknął na pięć tygodni. Wędrówka była mozolna, ponieważ w wyższych partiach padał śnieg i ziemię przykryła biała poduszka. Kiedy wrócił — wciąż bez informacji o szamanach, za to z mnóstwem szkiców przedstawiających wioski Indian z rezerwatu Morongo i kobiety wyplatające kosze — Bettina powitała go komunikatem:

— Minąłeś się z panem Vickersem. Przyjechał w odwiedziny. Przedłużył nawet pobyt w nadziei, że cię spotka. Po raz kolejny prosił, żebym wróciła z nim do Bostonu, lecz moim obowiązkiem jako chrześcijanki jest pozostać tu i zająć się córką mojej siostry.

Faraday z bólem przyznał jej rację. Nie chciał zostawiać Morgany pod opieką obcych gospodyń i guwernantek.

— Dał mi pieniądze — ciągnęła Bettina. — Nie chciałam przyjąć, ale powiedział, że gdybyśmy się pobrali, i tak należałyby do mnie. Nie chciał, żebym mieszkała jak nędzarka.

Pod nieobecność Faradaya dom zmienił się nie do poznania. Na ścianach pojawiły się tapety, na podłogach porządny parkiet, przybył też kamienny kominek. W ogrodzie rosły zimowe warzywa: kapusta, brokuły i kalafior, a w kurniku ogrodzonym przed wygłodniałymi drapieżnikami dorodne kury zapewniały jaja i pyszny rosół na niedzielę.

Ośmioletnia Morgana dużo czytała i pisała, uczyła się też deklamacji i haftu, a choć nie było ich stać na fortepian, Bettina nie zaniedbywała jej edukacji muzycznej. To prawda, mieli zapewniony bezpieczny, w miarę wygodny żywot. Kiedy jednak Faraday patrzył, jak jego Morgana w połatanej sukieneczce, bez pończoch gania po podwórzu koguta, wzbierała w nim furia. Moja córka nie powinna żyć w takich warunkach! krzyczał w duchu.

Tak w jego życiu pojawił się nowy cel. Faraday postanowił odnaleźć Maxwella McClory'ego.

ROZDZIAŁ 55

Faraday już od roku przeszukiwał okolice Twentynine Palms i Drzewa Jozuego, gdy Bettina oświadczyła, że zamierza urządzić w domu gospodę. Pan Vickers, który zajrzał ^w Boże Narodzenie przy okazji podróży na Hawaje, uznał warunki w miejscowym zajeździe za co najmniej niezadowalające. Jego zachwyty nad drzewami na posesji Hightowera, które tworzyły przyjemną atmosferę zwłaszcza dla znużonego podróżnika, podsunęły Bettinie pomysł.

— Po tych okropnych zniszczeniach wojennych podróże do Europy straciły na popularności. Coraz więcej osób woli spędzać wakacje w kraju. Przyszło mi na myśl, że z moim dobrym urodzeniem i umiejętnościami idealnej pani domu mogłabym tutaj otworzyć gospodę, która szybko zyskałaby uznanie gości.

Faraday przyznał, że szwagierka faktycznie potrafiłaby znakomicie zadbać o potrzeby urlopowiczów.

Zawsze przecież pamiętała o jego wygodzie. Latem moczyła prześcieradła i wieszła je na ganku, by chłodziły powietrze wpadające do mieszkania. Ilekroć wracał do domu, mógł być pewny, że będą czekały nań jego ulubione żeberka z przypieczonymi ziemniakami i placek wiśniowy. Nigdy też nie przeszkadzała, gdy po kawie siadał z Morgana i gładząc jej piękne włosy — balsam na wszystkie troski — pokazywał, dokąd podróżował i jakie zwierzęta widział. Sama bezszelestnie znikwała wtedy i wypełniała sobie czas.

Nie wyraził jednak zgody, by przerobiła ich dom na gospodę dla podróżnych. I tak troska o niego i Morgana wypełniała jej już cały dzień. Zresztą nie życzył sobie, by córka wychowywała się w towarzystwie obcych i przypadkowych ludzi.

Poza tym — dodał w duchu — kiedy dopadnie McClory'ego, ich warunki życiowe znowu się poprawią i Bettina nie będzie musiała prowadzić hotelu.

ROZDZIAŁ 56

TLR

Powietrze rozdzierało nieludzkie kwiczenie. Faraday podjechał do głazów, próbując zapanować nad przestraszoną klaczą. Do skowytu dołączyły ludzkie krzyki

Zeskoczył z siodła, bo klacz nie chciała dalej iść, i okrążywszy masywne głazy, osłonił oczy przed rażącym słońce, by zobaczyć, co się stało.

Ciemnobrązowa oślica z długimi uszami i krótką szorstką grzywą szamotała się, usiłując wyszarpnąć kopyto ze szczeliny skalnej. Kwicząc, wierzgała zadnimi nogami, próbując uwolnić się od atakujących wygłodniałych kojotów. Obok starzec usiłował odpędzić je laską.

Faraday z wyciągniętą bronią ruszył w ich stronę. Ku jego zdumieniu kojoty nawet nie drgnęły. Zwykle na widok człowieka czmychały spłoszone. Teraz, chociaż dwóch mężczyzn wrzeszczało na nie i wymachiwało rękami, nie ruszyły się z miejsca i obserwowały szamotaninę nieszczęsnej oślicy.

Wreszcie Faraday wystrzelił i kojoty się rozbiegły. Oślica jednak nadal kwiczała przerażona, nie reagując na próby uspokojenia jej przez starszego mężczyznę.

—Niech pan uważa! — zawołał Faraday. — Kopnie pana.

—Jeśli jej nie uspokoję i nie wyciągnę kopyta ze szczeliny, złamię nogę.

Faraday zmierzył wzrokiem spanikowane zwierzę. Oślica była masywna, niewiele mniejsza od konia, ważyła dobrze ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. Pobiegł do swojego muła, wyjął torbę lekarską i wrócił.

— Cii, już dobrze, Saro. Kojoty sobie poszły — próbował tymczasem uspokoić ją stary.

Faraday szybko otworzył torbę, wyjął strzykawkę do zastrzyków domięśniowych, napełnił ją płynem i podszedł do zwierzęcia.

— Niech pan uważa. Sara kąsa, kiedy się boi.

Oślica wciąż kwiczała, wierzgała zadnimi nogami, a na widok zbliżającego się Faradaya klapnęła żółtymi zębami. Lekarz czekał. Kiedy na moment przestała się szamotać, rzucił się do przodu, wbił zwierzęciu strzykawkę w kark i natychmiast odskoczył, w ostatniej chwili unikając kontaktu z gigantycznymi zębiskami. Błyskawicznie napełnił drugą strzykawkę i ukłuł jeszcze raz. Po chwili oślica przestała wierzgać i zaczęła się chwiać.

— Szybko! — krzyknął stary. — Zanim upadnie! Bo wtedy złamię nogę, jak amen w pacierzu.

Przytrzymując słaniające się zwierzę, Faraday i poszukiwacz złota rozpaczliwie próbowali poszerzyć szczelinę. Wreszcie udało im się uwolnić kopyto. Oślica runęła na ziemię i znieruchomiała.

Faraday natychmiast sprawdził puls. Bił. Potem sprawdził ślepie. Oślica żyła. Odetchnął z ulgą. Bał się, że ją zabił.

— Rana nie jest poważna — powiedział, wyciągając z torby środek odkażający oraz gazę i badając pęcinę nad kopytem.

— Jest pan weterynarzem? — zapytał stary, przykucając obok Faradaya.

— Nie, lekarzem. Przywykłem do mniejszych pacjentów — dodał z uśmiechem, bo mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego.

Sara miała łagodny pysk, duże senne oczy okolone rzęsami i białe nozdrza. Ciemnoczekoladowa sierść i jasne podbrzusze, smukłe nogi i drobne kopyta dodawały uroku temu, jak zapewniał właściciel, z natury łagodnemu i spokojnemu zwierzęciu.

Zanim Faraday zdążył opatrzyć ranę, zaszło słońce i na pustynię wypełzły długie cienie. Podniósł się, poszukiwacz złota razem z nim.

— Wdzięcznym bardzo za pomoc, doktorze. Wyciągnął- ; bym ją, gdyby nie te kojociska. Przez nie tak się zestrachala, biedulka. Mogłaby mi rozbić łeb. Sara i ja jesteśmy pana dozgonnymi dłużnikami. — Grzbietem ręki wytarł oczy i pociągnął nosem. — Bez niej bym przepadł. Nigdy się nie ożenił. Tylko ją jedną mam. Tak już kupę lat. — Wydmuchał nos w chusteczkę w czerwoną kratę. —

Do diaska! Żem się rozmazał jak stara baba! — Wyciągnął rękę. — Bernam jestem.

— Faraday Hightower. Uścisnęli sobie dłonie.

Bernam miał wyblakłe oczy i pomarszczoną suchą skórę, lecz choć stareńki — zachował silny i dźwięczny głos. Głaszcząc się po zaplamionej tytoniem brodzie, przechwalał się, że nikt na świecie nie wie tyle co on o pustyniach Kolorado, a zwłaszcza o Mojave.

Miał obozowisko w pobliżu miejsca zwanego Arch Rock. Zaprosił Faradaya, by siadł z nim przy ogniu i zjadł skromny posiłek złożony z fasoli i chleba.

— Biwakowało tu tyle sławnego luda, że ho! — pochwalił się Bernam, gdy na niebie błysnęły pierwsze gwiazdy. — Widzi pan te inicjały wyryte w tym tu głazie?

Faraday wyteńczył wzrok. *W. E. 1887*

— Wyrzył je nie kto inny, jeno sam Wyatt Earp we własnej osobie. Musiał pan słyszeć o strzelaninie w O. K. Corral. Największa sensacja od czasów, jak Lee poddał się w Appomattox. Od tamtej pory Earp zasłynął jako rewolwerowiec, ale tak naprawdę był poszukiwaczem złota. Zaglądał tu kilkanaście razy, szukając złotonośnej działki. Gadają, że dorobił się paru domów gry w Newadzie i wszyscy kłaniają mu się w pas. — Bernam pokręcił głową. — Kiedyś Dziki Zachód to było coś — powiedział z żalem. Mlecznymi oczami zapatrzył się w ogień, jakby wspominał własne, odległe w czasie strzelaniny. — Teraz już nie ma takich ludzi.

Otuleni w grube płaszcze, bo styczniowy chłód dawał się na pustyni we znaki, mężczyźni jedli w milczeniu, nakładając fasolę na chleb. Kawa perkotała na ogniu. Bernam po raz drugi wstał, żeby sprawdzić, jak się miewa Sara.

— Biedulka. Wciąż jej obiecuję, że przejdziemy na emeryturę. Zapracowała na nią. Mała komórka i spłachetek ziemi, żeby uprawiać warzywa. Kiedy tylko ubieram trochę grosza.

Bernam nalał kawę, przepraszając, że nie ma cukru.

— Zapasy skończyły się wiele dni temu. Nienawidzę gorzkiej.

Faraday sięgnął do swojej torby i wyjął dwa kawałki cukru.

— Moje ostatnie. Po jednej dla każdego.

Bernam popatrzył na kostkę cukru na pergaminowej dłoni.

— Wielcem wdzięczny, że podzielił się pan ostatnią. Popatrzył na półprzytomną Sarę, wciąż leżącą na boku.

Podszedł, przyklęknął przy niej i pogładził ją po szyi. Przyłożył do pyska zwierzęcia kostkę, a ono z wdzięcznością chwyciło ją wargami.

— Dobrze mi służyła — powiedział, wracając do ogniska i pijąc gorzką kawę. — Nigdy się nie skarżyła.

— Co pana sprowadziło na to odludzie, panie Bernam?

— Jaki tam pan? Tylko Bernam. Nawet jeśli miał imię, to juzem go zapomniał. To samo, co wszystkich. Złoto. — Zarechotał. — Jestem bodaj najbardziej pechowym poszukiwaczem złota po tej stronie Rio Grandę. Ale trza będzie zrezygnować z marzeń. Sara już nie daje rady. Łażę tu od ponad trzydziestu lat i niczemu nie znalazł. Dawno temu służyłem w marynarce handlowej. Da pan wiarę? Z morza przeniosłem się na pustynię. A pan coś znalazł?

— Nie szukam złota. W każdym razie nie wprost. Bernam zmarszczył nos.

— Jak można szukać złota „nie wprost“?

Kiedy Faraday opowiedział mu o szamanach, starszek nie wyglądał na zaskoczonego ani nie miał sceptycznej miny jak większość słuchaczy, tylko przyjrzał mu się spod runda zniszczonego kapelusza.

— Hightower. Takem myślał, że brzmi znajomo. Słyszałem o panu. Ludzie o panu gadają, wie pan? Nazywają pana zbzikowanym.

Faraday nie zrozumiał.

— Co o mnie mówią?

—Ze brakuje panu piątej klepki. Ale niech pan się nie przejmuje, to samo gadają o mnie. Każdego, kto łązi po pustyni, nazywają pomyleńcem. Nie warto zwracać sobie nimi głowy.

Faradayowi jednak nie dawało to spokoju. Bolała go świadomość, że ludzie plotkują o nim i nazywają go wariatem. Lecz najbardziej bał się tego, że Morgana może coś usłyszeć.

Czyszcząc talerz, jakby to był jego ostatni posiłek, Bernam powiedział:

—Szamani, tak? Krąży tu legenda o Indianach, którzy przybyli w te strony ze wschodu. Nie tutejsi, nie Cahuilla, nie Pajuci. Hopi i Nawaho też nie. Jacyś dziwni. Różnili się od reszty. Byli ostatnimi ze swojego plemienia.

—A ile byś chciał za tę informację? — spytał Faraday ostrożnie, nauczony doświadczeniem z McClorym.

—Ani grosza, doktorze. Jestem pańskim dłużnikiem po tym, co pan zrobił dla Sary.

Faraday postanowił zaryzykować i pokazał Bernamowi rysunki cygańskiej wróżki. Stary pokiwał głową.

— Ten zygzak wygląda znajomo. Chyba wiem, co to. Ale nie tu trza tego szukać. Musi pan przenieść się bardziej tam — machnął ręką na zachód.

Faraday zapytał, czy stary wie może, co znaczy „hoszitiwa”, lecz nie zdziwił się, kiedy ten pokręcił głową.

— W życiu nie słyszał.

Skończyli posiłek, dopili kawę. Nad ich głowami gwiazdy i księżyc świeciły tak samo jak od stuleci, hen w oddali kojoty przywoływały się odwiecznym dźwiękiem. Bernam często zaglądał do Sary, szepcząc coś do niej w mroku, Faradaya zaś nagle dopadło poczucie dojmującej samotności.

Myślami, jak niemal każdego wieczoru, wrócił do Elizabeth. Po raz kolejny zastanawiał się, gdzie teraz jest i dlaczego zniknęła. Jego gniew już dawno się ulotnił, teraz przybrał raczej postać słodko-gorzkiej melancholii. Z rozmarzeniem wspominał tamte sielskie tygodnie i wyprawy na Smith Peak. A potem przypo-

mniał sobie wyraz jej twarzy, gdy zobaczyła „Egipt”, i uśmiechnął się z czułością.

Później przypomniał sobie Morganę i spartańskie warunki, w jakich musiała żyć. Ilekroć wracał do domu, zastawał ją i Bettinę przy jakiejś pracy. A to pranie — kipiące kotły na kuchni i zapach ługu — a to prasowanie albo pieczenie. Faraday miał wrażenie, że ogień pod fajerkami nigdy nie gaśnie. Bettina i Morgana wiecznie chodziły spocone i zaczerwienione. Kiedy patrzył, jak na grządce okopują pomidory, chrzan i cebulę — jego najśladza córeczka z pobrudzonymi ziemią rączkami! — wyrzucał sobie swój egoizm. W duchu przysięgał, że wróci do praktyki lekarskiej, porządnie zaopiekuje się córką, a dopiero kiedy odłoży trochę grosza, znowu wyruszy na poszukiwanie szamanów. Jednakże już po dwóch dniach stara obsesja wracała. Czuł, że czas płynie nieubłaganie. A jeśli ostatni szaman Anasazi właśnie oddaje ducha? — pytał. Wtedy już nigdy nie zostałby wyzwolony z mocy demonów, nie zdołałby rozwiązać zagadki kanionu Chaco. Przerażony natychmiast pakował rzeczy, siodłał konia i muła, po czym znowu wyruszał na pustynię, po raz kolejny szukać odpowiedzi.

Na końcu wreszcie złorzeczył McClory'emu, ponieważ to przez tego oszusta Morgana zaznała biedy.

Minęło piętnaście miesięcy, odkąd tamten łajdak pozbawił go majątku, a Faraday wciąż nie potrafił wymyślić sposobu na odzyskanie pieniędzy. Nic nie przychodziło mu do głowy... Aż do dziś. Kiedy patrzył, jak stary Bernam pomaga oślicy wstać, spłynęło na niego olśnienie.

Gdy poszukiwacz złota wrócił do ogniska, oznajmiając, że starej dzierlatce nic nie będzie, Faraday zwrócił się do niego:

— Panie Bernam, wspomniał pan, że chciałby się pan odwdzińczyć za pomoc.

— Zrobię, co tylko pan zechce. Wszystko.

— Mam dla pana propozycję, która może okazać się korzystna dla nas obu.

Kiedy przedstawił plan, który właśnie narodził się w jego głowie, stary rozciągnął usta w szerokim bezzębny uśmiechu.

— To się spodoba Sarze — orzekł.

ROZDZIAŁ 57

Wiadomość nie przyszła od razu. Faraday wiedział, że musi uzbroić się w cierpliwość. Wreszcie w marcu po niezliczonych wizytach w urzędzie pocztowym w Banning Faraday odebrał list od Bernama. Natychmiast zamówił rozmowę telefoniczną z hotelem w Redlands, gdzie stary czekał na instrukcje. Rozmowa była krótka.

— Niech pan się z nim umówi. Spotkajcie się. Ja zajmę się resztą.

Ojciec McClory, który w tym tygodniu występował w roli biznesmena Johna Fincha, stanął przed drzwiami pokoju hotelowego i poklepał się po wydatnym brzuchu. Następny frajer, następne tysiąc dolarów. Kiedy Pan Bóg rozdawał rozum, on najwyraźniej dwa razy załapał się do kolejki. Zaśmiał się cicho, zastukał i przedstawił się, a kiedy drzwi się uchylily, wszedł do środka. Zdążył tylko powiedzieć: „Dobry wieczór, kapitanie...”, gdy poczuł ukłucie — jakby ukąszenie osy — w ramieniu. W tej samej chwili drzwi się zatrzasnęły i zdumionemu McClory'emu ukazał się ktoś, kto bynajmniej nie nazywał się kapitan Harding.

Mężczyzna z pistoletem w jednej ręce i ze strzykawką w drugiej.

— Zaskoczony? — spytał Faraday.

McClory zmrużył oczy. Skądś znał tego mężczyznę. Wysoki, chudy, głęboko osadzone oczy, przystrzyżona bródka. Przypomniiał sobie. Hightower. Ten dureń szukający szamanów.

—Co mi zrobiłeś? — warknął McClory, rozcierając ramię.

—Jak się czujesz w roli frajera, McClory czy jak ci tam naprawdę na nazwisko?

Faraday denerwował się, ale nie zdradził go ani głos, ani zachowanie. Wściekłość i żądza odwetu pomagały mu zachować pozorny spokój.

—O co panu chodzi? — spytał czujnie McClory, nie odrywając wzroku od broni.

—Przyszedłeś tu, licząc, że oskubiesz naiwniaka, niejakiego kapitana Hardinga. To mój przyjaciel. Naprawdę nazywa się Bernam. Wiedziałem, że nie oprzesz się pokusie.

Tu Faraday pokazał mu gazetę z zakreślonym na czerwono ogłoszeniem:

Historyk szuka informacji o hiszpańskim galeonie wiozącym transport złota, który zniknął u wybrzeży Kalifornii w 1652 roku. Nagroda. Kontakt: Los Angeles Clarion skrytka 788.

— Oczywiście gdybyś przeoczył to ogłoszenie albo nie złapał przynęty, wydrukowałbym inne: bogate wdowy szukające zaginionych siostrzeńców, mormoni szukający Quetzalcoatla, każdorazowo takie, jakim z pewnością byś się nie oparł.

Bernam doczeka! się tylko jednej odpowiedzi na ogłoszenie, a ponieważ Faraday dokładnie opisał mu McClory'ego, natychmiast rozpoznał oszusta w mężczyźnie, z którym wcześniej telefonicznie umówił się na spotkanie w restauracji. Bernam przedstawił się jako kapitan Harding, emerytowany kapitan marynarki, obecnie historyk amator. McClory powiedział, że ma mapę, na której zaznaczono miejsce, gdzie rozbił się galeon. Oczywiście najchętniej oddałby ją za darmo, ale jego ukochana mateczka potrzebuje operacji...

— Mój przyjaciel, pan Bernam, wspomniał, jak bardzo broniłeś się przed przyjęciem pieniędzy. Jak z troską radziłeś, by wrócił do Seattle i żył dalej ze swoich skromnych oszczędności. Nie omieszkałeś jednak dodać, że legenda głosi, jakoby galeon, który zatonął u wybrzeży Santa Barbara, wioził złoto Azteków i Inków.

Potem Bernam umówił się z McClorym, że ten przyniesie mu do hotelu mapę i tam dostanie pieniądze.

—Co mi podałeś? — warknął znowu McClory, nie przestając masować sobie ręki.

—Truciznę — odparł Hightower, pokazując pustą strzykawkę.

McClory zmarszczył nos.

—Nie wierzę.

—Nie musisz — odrzekł Faraday lodowatym głosem. — Zostało ci trzydzieści minut życia. A koniec nie będzie przyjemny.

McClory parsknął urywanym nieprzyjemnym śmiechem.

— Więc to tak? Przyszedłeś mnie zabić?

Faraday schował do kieszeni strzykawkę i wyciągnął ampułkę. Podniósł ją, by McClory zobaczył błękitną ciecz.

— To jest antidotum.

McClory wzruszył ramionami, ale czoło skropił mu pot.

— Dobra, złapałeś mnie. Pewnie chcesz odzyskać forszę? Nie ty pierwszy. Ale tym świństwem nie zmusisz mnie, bym ci cokolwiek oddał.

Zachwiał się lekko.

— Świństwem? — powtórzył Faraday. — Zapewniam, że podałem ci czystą truciznę. Zostało ci — spojrzał na zegarek — dwadzieścia sześć minut. Jeśli nie zwrócisz mi pieniędzy, umrzesz tu w tym pokoju, a policja nigdy nie odgadnie, co ci się stało.

McClory patrzył na ampułkę.

— Nie zrobiłbyś tego. Jesteś lekarzem.

— Ojcem — poprawił Faraday zduszonym szeptem. — Przede wszystkim jestem ojcem, dopiero potem lekarzem. Przeliczyłeś się. Zapomniałeś, jaką furie czuje ojciec, którego ukochaną córkę pozbawiono tego, co jej się należało.

—Faraday podszedł o krok, nie przestając mierzyć do oszusta z pistoletu- — Przez ciebie, McClory — powiedział tonem, którego tamten nigdy nie słyszał, w każdym razie nie u tego naiwnego frajera, którego z taką łatwością oskubał— do mojego domu wdarli się obcy, zabierając nam wszystko, a moja córeczka straciła dach nad głową. Przez ciebie została bez grosza przy duszy i nie ma przed sobą przyszłości.

Przysunął się jeszcze bliżej, tak że McClory widział wyraźnie, że lekarz nad sobą nie panuje.

— Za to, co zrobiłeś mojej córce, powinieneś zginąć na sto sposobów, a każdy powinien być boleśniejszy od poprzedniego.

McClory próbował wzruszyć ramionami, ale tylko poszarżał, pot spływał mu z czoła strumieniami.

— Nie spodziewałeś się, że znowu się spotkamy? Liczysz, że ofiary zawstydzone i upokorzone, że tak łatwo dały się wystrychnąć na dudka, nie będą cię ścigać ani nie zawiadomią policji. Tym razem jednak źle wybrałeś frajera. Owszem, jestem lekarzem. Nauczono mnie, jak ratować życie. Ale wiem również, jak je odebrać. Jeśli nie zwrócisz mi pieniędzy, zdechniesz jak szczur i nikt się tym nawet nie przejmie.

McClory oblizwał mięsiste wargi. Rozbieganymi oczami szukał drogi ucieczki, lecz Faraday zastawił drzwi. Oszust czuł wzbierające mdłości, pocił się na całym ciele.

—Nigdy nikogo nie zabiłem! Ja tylko zabieram pieniądze durniom, którzy sami ochoczo mi je dają! To wszystko!

—Żerujesz na słabych i zdesperowanych!

—Zeruję na pazernych! Proponuję mapę do skarbu, a ludzie są mi gotowi dać za nią wszystko, co mają. Sam nie jesteś lepszy. Szukasz jakichś szamanów Montezumy. Marzysz o ich bogactwach.

— Szukam bogactw, ale nie materialnych.

— Chciwość pozostaje chciwością, Hightower. Nie różnisz się od tamtych. Każdy chce się szybko wzbogacić. Mało komu chce się pracować.

— A tobie tak?

— Nie masz pojęcia, jak ciężko pracuję. Chryste, niedobrze mi. Chyba mnie nie zabijesz, co?

— Moje pieniądze, McClory. Zwróć je, to podam ci antidotum.

— Zgoda!

Faraday kazał McClory'emu położyć się w wozie i pod osłoną nocy — związawszy mu ręce oraz nogi i przykrywszy brezentem — zgodnie ze wskazówkami, które podał mu oszust, ruszył do jego domu u stóp San Bernardino.

Dotarli do ciemnego opuszczonego domu stojącego wśród sosen. Faraday rozwiązał McClory'ego i wyciągnął go z wozu. Oszust raz za razem wymiotował. Ubrania miał mokre od potu. Ślaniając się, wszedł do środka i powiedział Faradayowi, gdzie szukać pieniędzy.

Lekarz namacał obluzowane deski i uniósłszy je, zobaczył cynową skrzynkę. Zajrzał do niej. Była wypełniona banknotami. Na oko kilka tysięcy dolarów.

— To wszystko, słowo honoru! — zaklinał się McClory, padając na fotel, z którego uniósł się obłok kurzu. — Bóg mi świadkiem, to wszystko, co mam! Błagam... Antidotum...!

— Ukradłeś mi dziesięć razy więcej. McClory z trudem chwycił powietrze.

— Większość zabrał mój wspólnik. Część zainwestował... Jezu, czuję się strasznie.

— Jezus ci teraz ^{nie} pomoże — odparł Faraday, chowając banknoty do kieszeni.

— Daj mi odtrutkę! Umieram!

Wrócili do wozu. McClory ledwo trzymał się na nogach. Faraday znowu kazał mu się położyć. Tym razem go nie wiązał. McClory i tak był ledwo przytomny.

— Zajrzymy w jeszcze jedno miejsce — powiedział. Szarpnął lejce, koń ruszył truchtem.

Detektyw Boggs już czekał na komisariacie, ponieważ Faraday uprzedził go, że przyjedzie. Funkcjonariusze wyciągnęli nieprzytomnego McClory'ego z wozu.

— Podąłem mu środek nasenny — wyjaśnił Faraday. — Za kilka godzin się ocknie. Sądzi, że go otrujęm. Będzie zaskoczony, że jednak żyje.

— I siedzi w więziennej celi — dokończył z szerokim uśmiechem Boggs. Zmierzył wzrokiem Faradaya. — Muszę przyznać, doktorze Hightower, że mi pan zaimponował. Nie sądziłem, że jeszcze pana zobaczę. A już na pewno nie spodziewałem się, że pan złapie tego drania. Odzyskał pan swoje pieniądze?

Stojąc w świetle lampy gazowej, Faraday zmierzył policjanta równie spokojnym spojrzeniem. Wiedział, że pieniądze stanowią dowód i muszą zostać zwrócone policji.

— Niestety wszystkie przepadły.

Boggs zobaczył w oczach lekarza nową siłę, odwagę i determinację. Skinął głową.

— Nie zawsze się udaje — powiedział. — Dobranoc i życzę powodzenia.

ROZDZIAŁ 58

Faraday zapłacił Bernamowi dziesięć procent od kwoty zabranej McClory'emu, co stanowiło okrągłą sumkę. Stary chciał wziąć tylko połowę tego.

— Wystarczy mi, że pan dorwał tę gnidę — bronił się. — Nie masz gorszej podłości niż okradanie sierot i wdów.

Faraday jednak wcisnął mu do ręki całość, mówiąc:

— To na emeryturę Sary.

Wrócił do domu, odświeżył się, dał Morganie lalkę, którą kupił w Redlands, oświadczył Bettinie, że wyjeżdża na tydzień, objuczył muła i znowu ruszył na pustynię.

Poszedł za radą starego poszukiwacza złota i postanowił przeczesać teren na zachód od Arch Rock. Znajdowała się tam spora formacja skalna, znana jako Czaszka, i prastare drzewo Jozuego, nazywane przez tubylców La Vieja — Stara.

Kiedy wcześniej pokazał Bernamowi rysunek Cyganki, stary poszukiwacz złota natychmiast rozpoznał, co oznacza kwadrat przecięty zygzakowatą linią.

— Nie chodzi o kopalnię złota, doktorze. To skały. Ten zygzak oznacza dawkę. To żyła z innych skał niż kamień, w którym się znajduje. Ta przypomina piłę albo ostre zęby. Nie pamiętam, gdzie dokładnie była. Niech pan się rozejrzy w pobliżu Czaszki, na południe od Queen Valley. Tam trza szukać.

Kiedy rozbijał obóz w Jumbo Rocks, przypomniał sobie słowa McClory'ego: „Każdy chce się szybko wzbogacić”. Kiedy ogień już płonął, a kawa się parzyła, Faraday wyjął dziennik i zanotował:

„Rzeczywiście, McClory miał rację. Spieszyłem się, szukałem drogi na skróty do moich szamanów. Gdziekolwiek się udałem, liczyłem na pomoc innych. Pytałem Wheelera i braci Pinto, pytałem Elizabeth, potem miałem nadzieję, że McClory zabierze mnie tam, dokąd chciałem trafić. Niczego nie robiłem sam, wolałem polegać na cudzych mapach. Czekałem, aż ktoś mnie doprowadzi. Teraz widzę swój błąd. To samotne przedsięwzięcie. Ścieżka, którą muszę przejść sam. Ja i tylko ja. Szamani nie zdradzą mi swych tajemnic, jeśli pojawię się z armią.

Nie uważam jednak tego czasu za stracony. Zappełniłem szkicownik portretami zachwycających dzieł Bożych: niezwykłych krajobrazów. nieśmiałych młodych Indianek i scenek utrwalających życie, które wkrótce odejdzie w niepamięć. Zapisałem opowieści miłości. Zgromadziłem prawdziwe bogactwo. Jak bardzo żałuję, że nie ma teraz przy mnie Elizabeth!".

O świcie wyruszył pieszo, zostawiając konia i muła w obozie. Wspinał się na głązy, przeciskał przez szczeliny, przedzierał przez gęste zarośla. Przez cały poranek wspinał się, jak jaszczurka ślizgał się po stwardniałej lawie i czarnym bazalcie. Kaleczył sobie dłonie o głązy i kaktusy, odganiał z drogi ptaszniki, wycierał pot z czoła. Kłął, gdy ślizgał się i spadał. Kiedy skończyła mu się woda, wrócił do obozowiska. Tam napił się i zjadł, drapał się po karku, gdzie zostały kłujące kolce kaktusów, patrząc, jak słońce znika za horyzontem. Przed nim była kolejna noc samotności i czekania na świt.

Czwartego dnia poszukiwań Faraday wpadł w norkę jakiegoś gryzonia, stracił równowagę i runął na gładki kamień. Stoczył się na samo dno dolinki, której przedtem nie widział. Właśnie dźwigał się, otrzepując i sprawdzając, jak noga, gdy znieruchomiał. Oto bowiem stał przed gigantycznym czerepem. Widział olbrzymie oczodoły i ziejący otwór w miejscu, w którym powinien znajdować się nos.

Znalazł Czaszkę.

Ze zdwojoną energią wznowił poszukiwania. Gdzieś w pobliżu była skała z „błyskawicą”. Czuł to. Jeszcze trochę forsownej wspinaczki i trafił na niewielki kanion, przed którym rosło potężne samotne drzewo Jozuego.

La Vieja.

Sprawdził każdy centymetr piasku i kamieni. Nie znalazł niczego oprócz śladów skorpionów i węży. O zachodzie słońca coś w nim pękło. Po raz kolejny dał się wystrychnąć na dudka. Ale to już ostatni raz. Miarka się przebrała. Płakał, nawet wygrażał Bogu. Oświadczył, że kończy poszukiwania. Nie zmarnuje już ani dnia, ani godziny na uganianie się za szamanami.

Ścisnął portret Elizabeth. W blasku księżyca wpatrywał się w jej twarz i cudowne oczy. Nagle cofnął się w czasie.

Przypomniął sobie ich pierwszy pocałunek. Błogosławieństwo słońca, buczenie pszczoł w kwiatach, jastrzębie kołujące po niebie. Jak bardzo chciałby wskrzesić tamto popołudnie... *Jestem przy tobie, Faradayu...*

Podерwał głowę, rozejrzał się. Pustynia była jednak pusta. Piasek, kamienie i gwiazdy nad głową. *Tutaj...*

Zerwał się na nogi.

— Elizabeth? — Wszędzie poznałby jej głos. — Słyszę cię! Gdzie jesteś?

Idź za moim głosem...

Potykał się o kamienie, rył w piasku, kaleczył się o kaktusy, aż wreszcie opadł z sił. Wyobraźnia znów okrutnie z niego zadrwiła. Zrozumiał, że to demony, które opętały go w kanionie Chaco, znów się na niego uwzięły. Zapłakał gorzko, a kiedy otworzył oczy, dostrzegł blask. Kamień — dziwny, niemal idealny kwadrat o wymiarach sześć metrów na sześć. Coś takiego nie występuje w naturze.

Od górnego rogu do dolnego ukośnie przecinała go wyraźna zygzakowata linia.

Faraday wpatrywał się, nie wierząc własnym oczom. A potem głośno krzyknął.

Wzór był dokładnie taki jak na rysunku Cyganki! Później będę rozważał ten cud, postanowił. Później pomodłę się i podziękuję Bogu. Później będę zgłębiał tajemnicę zwłaszcza głosu Elizabeth. Teraz muszę znaleźć szamanów, którzy mieszkają w pobliżu!

Najszybciej, jak się dało, wrócił do domu, by uzupełnić zapasy i przygotować się do dłuższego pobytu na pustyni. Wstąpiły w niego nowe siły. Bettina zapytała, co takiego się stało, a on odparł, że jest po prostu w dobrym humorze. Ona jednak oparła dłonie na biodrach i zażądała, by wyjaśnił, skąd się wziął ten nagły dobry nastrój.

Faraday zatrzymał się w pół ruchu i przyjrzał się szwa-gierce, jakby ją widział pierwszy raz.

Sposób, w jaki spytała... To nie było pytanie, tylko żądanie. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jak władczą jest Bettina, jak dotąd dyrygowała jego życiem. Od chwili gdy bez Abigail wrócił do kamienicy w Back Bay, trzymając w ramionach małą Morgane, Bettina Liddell rządziła się, rozkazywała mu jak uczniakowi. Pograżony w żałobie i rozpacz, potem w melancholii i depresji, jeszcze później obsesyjnie skoncentrowany na *olli* i Kwiecie Dyni, a wreszcie nieprzytomnie zakochany w Elizabeth — właściwie nie dostrzegał kobiety, która zdominowała jego życie. Teraz jednak — jakby odkrycie Błyskawicy wreszcie otworzyło mu oczy i rozum — zaczął sobie przypominać drobne incydenty, które ukazywały Bettinę w innym świetle.

Na przykład wtedy, gdy Faraday siedząc w ogrodzie Casa Esmeralda nanosił współrzędne na mapy. Zjawiała się kobieta, mówiąc, że wraz z innymi paniami będą się spotykać, by robić bandaże i koce dla nieszczęsnych żołnierzy cierpiących w okopach Europy. Usłyszał, jak Bettina oświadcza, że nic jej to nie obchodzi, i odsyła tamtą z kwitkiem.

Albo parę dni później. Właśnie nalewał sobie w kuchni chłodną lemoniadę, gdy przyszła osadniczka. Szukała pracy. Zapewniała, że jest uczciwa i przyjmie każde zajęcie. Musi wykarmić dzieci, a jej mąż walczy na froncie we Francji. Bettina też odesłała ją z kwitkiem i jeszcze narzekała do Faradaya:

— Tym osadnikom przewraca się w głowach. Dostali za darmo ziemię, na której mieszkają. Całą resztę też trzeba im podać na talerzu? Nie ona pierwsza zastukała tu, żebrząc. Nie wyobrażasz sobie, Faradaju, ile ja muszę znieść! Nawet nie masz pojęcia.

Wtedy wziął stronę Bettiny. Była dobrą chrześcijanką, która często mówiła, że musi spełniać swój obowiązek, choć przyprawia ją to o ból serca. Rozumiał, że ręce ciągle wyciągające się po jałmużnę wyprowadziłyby z równowagi nawet najszlachetniejszą osobę. Tym bardziej podziwiał cierpliwość i upór, z jakim starała się zapewnić Morganie jak najlepsze warunki.

Trzeci incydent miał miejsce, gdy Faraday, świeżo wróciwszy z wyprawy, rozkulbaczał w stajni konia i muła. Zjawiała się farmerka, która przywoziła im mleko. Mieszkała szmat drogi od ich domostwa, ale chroniła butelki przed upałem, owijając je w chłodne wilgotne szmaty.

W Coachella Valley tego dnia panował skwar. Nawet wiatr nie wiał zmęczony upałem. Bettina popatrzyła na butelki, oświadczyła, że mleko jest skwaśniałe, i kazała kobiecie się wynosić.

— Ależ pani Hightower, obiecała pani, że tym razem mi zapłaci. Przejechałam taki kawał drogi. Potrzebuję pieniędzy na lekarstwa dla męża.

— Nie zamierzam płacić za skwaśniałe mleko.

— Nic nie poradzę na upał. Zresztą mleko wcale nie musi okazać się skwaśniałe. Nawet pani nie spróbowała.

— Podważa pani moje zdanie? Kobieta skuliła się pokornie.

— To chociaż wykorzysta pani maślankę. Będzie z tego pyszne masło.

Bettina jednak zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Dopiero wtedy zaskoczona zobaczyła Faradaya.

— Nazwał cię panią Hightower — powiedział.

— Głupie babsko — zlekceważyła to. — Wciąż ją poprawiam, ale nie może sobie tego wbić do głowy. Faradayu, musimy kupić auto. Ci leniwi niezorganizowani osadnicy niczego nie dostarczają na czas.

Na odczepnego powiedział, żeby jakieś wybrała, a w duchu obiecał sobie, że pójdzie za kobietą i zapłaci jej za mleko. Najpierw jednak musiał się umyć i odświeżyć, potem wprowadzić notatki do dziennika — opis tego, co w ciągu miesiąca udało mu się znaleźć, a czego nie. Gdyby nie zrobił tego na świeżo, potem by się pogubił i niepotrzebnie wracał na tereny, które już sprawdził.

Nigdy nie porozmawiał z osadniczką.

Następnie Faraday przypomniał sobie dzień, w którym Morgana nie wybiegła mu na powitanie.

— Jest zamknięta w pokoju za karę — oświadczyła Bettina z aż nadto znajomą surową miną.

— Co zrobiła tym razem? — spytał, wzdychając.

— Kichnęła, a kiedy powiedziałam: „Daj Boże zdrowie”, odparła: „A co się mówi, kiedy Bóg kicha?”. Posłałam ją do łóżka bez kolacji. To oduczy ją bluźnierstw.

Faraday zajrzał do pokoju córki. Morgana miała oczy zapuchnięte od płaczu.

— Mama się na mnie gniewa.

— Nieprawda — powiedział, sądząc, że córka mówi o Abigail. Nauczył ją bowiem, by co wieczór modliła się do mamy, która jest aniołem w niebie.

— Mówi, że bluźnię.

Wtedy zrozumiał, że miała na myśli Bettinę.

— Nie nazywaj jej mamą — poprawił łagodnie, zaniepokojony. W duchu postanowił, że będzie spędzał więcej czasu z córką, będzie jej pokazywał zdjęcia matki i dzielił się z nią wspomnieniami z krótkiego małżeństwa. — Bettina jest twoją ciocią.

Wszystkie te pozornie nieważne incydenty szybko umknęły mu z pamięci, teraz jednak złożyły się na obraz nowej Betti-ny. Faraday zastanawiał się, czy jego wcześniejsza ślepotą nie była w pewnym sensie zamierzona. Gdyby dostrzegął, co się dzieje — Bettina podająca się za jego żonę i obrzydliwie traktująca ludzi niżej postawionych — być może podjąłby inne decyzje. Możliwe nawet, że wróciłiby do Bostonu i nigdy nie poznałby Elizabeth ani nie znalazł Błyskawicy.

Faraday zdał sobie również sprawę, że już od pewnego czasu nie ufa szwagierce. Jak bowiem wytłumaczyć, że słowem nie wspomniał o pieniądzach odebranych McClo-ry'emu? Nie powiedział jej też o znalezieniu Błyskawicy, tylko zmyślił jakąś bajeczkę o nowym tropie prowadzącym do nieuchwytnych Indian.

Po tamtym dniu kiedy ujrzał siostrę zmarłej żony w nowym, nie najlepszym świetle, wrócił na pustynię i kontynuował poszukiwania wokół skały z dajką. Niczego ani nikogo jednak nie znalazł. Znowu ogarnęła go gorączka psychiczna,

tak uporczywa, że pewnego popołudnia wyjął szkicownik i zaczął rysować Blyskawicę; ze wszystkich stron, ze wszystkich możliwych ujęć, w każdym świetle — od świtu po blask księżyca. Rysował zapamiętałe, licząc, że w ten sposób gład odłoni przed nim tajemnicę. Nagle w jego duszy powiał lodowaty wiatr. Dostrzegł bezsens swoich wysiłków.

— Czyżbym przegrał? — krzyknął zrozpaczony. — Przybyłem za późno?

Wtedy padł na niego cień. Mężczyzna poczuł dziwny, ale nie nieprzyjemny zapach. Podniósł wzrok i zobaczył przed sobą niezwykłą postać.

Kobieta miała pomarszczoną, brązową jak orzech twarz, dwa białe jak mleko warkocze przerzucone przez ramiona i siwe krzaczaste brwi. Spod tych śnieżno-białych brwi spoglądały bystro ciemne oczy przypominające kamyki w strumieniu. Błyszczała w nich ciekawość i inteligencja. Faraday nigdy jeszcze nie widział tak starej twarzy. Najbardziej jednak zdumiewało jej ubranie: szkarłatna bluzka wpuszczona w długą skórzaną spódnicę z frędzlami. Talię nieznajomej opasywał srebrny pas wysadzany olbrzymimi turkusami, na jej szyi zaś wisiał imponujący srebrny naszyjnik, również turkusowy.

Faraday wstał i rozejrzał się dokoła. Skąd się tu wzięła? I czy to roztropne, by staruszka chodziła sama, obwieszona takimi klejnotami? Nie ulegało bowiem wątpliwości, że pasek i wisior — teraz jeszcze dostrzegł turkusowe pierścienie na jej palcach i srebrne kolczyki w uszach — są warte majątek.

— Kim jesteś? — zapytał.

Uśmiechnęła się, odsłaniając zaskakująco zdrowe zęby. Patrząc na jej sympatyczną twarz, Faraday pomyślał, że w młodości musiała być piękna.

Powtórzył pytanie.

Stała bez słowa. W jej białych włosach tańczył pustynny wietrzyk.

— Mówisz po angielsku? — zapytał zdesperowany. — Rozumiesz mnie?

— Rozumiem, Pahana.

— Ale... Jak się tu znalazłaś? — dopytywał się, rozglądając się dokoła. — Gdzie mieszkasz?

Pokazała jakiś punkt za jego plecami. W pierwszej chwili zobaczył tylko zarośla. Dopiero kiedy popatrzył przez lornetkę, z którą nigdy się nie rozstawał, dostrzegł w oddali chaty z wikliny, jakie nieraz widywał w rezerwatach.

Zapytał, do jakiego plemienia należy.

— Jestem potomkinią ludu słońca.

Nigdy nie słyszał o takim plemienu. Serce mocniej mu zabiło.

— Jesteś Indianką Anasazi? — wypytywał niecierpliwie.

— Nie znam takiego słowa — odparła.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że *anasazi* to słowo z języka Nawahów, określenie odwiecznego wroga. To oczywiste, że nikt by się tak sam nie nazywał.

Kobieta miała przerzucony przez ramię wór z jeleniej skóry, ozdobiony frędzlami i paciorkami. Położyła go na kamieniu i zaczęła grzebać w środku.

Nie była ubrana jak inni Indianie. Faraday zdążył już poznać większość plemion zamieszkujących ten region. Wszyscy nosili się jak biali, ta kobieta zaś miała na sobie tradycyjny strój. Przypomniał sobie, co Elizabeth mówiła o pojedynczych plemionach żyjących gdzieś na uboczu, wcale albo prawie wcale nie utrzymujących kontaktów z białymi. Czyżby trafił na takie plemię?

— Skąd przybył twój lud?

— Od wschodzącego słońca.

Ze wschodu! A na wschód od tego miejsca żyło zaginione plemię Anasazi.

Czy ta kobieta i jej plemię żyje tak samo jak jej przodkowie sprzed ośmiuset lat? pomyślał podekscytowany Faraday.

Oczyma wyobraźni już widział te naukowe rozprawki, które opublikuje, książki, cykle wykładów, gdy będzie podróżował po świecie, dzieląc się swoim odkryciem.

— Co się wydarzyło w kanionie Chaco? Ściągnęła brwi.

— Gdzie?

—Wiesz, co znaczy „hoszitiwa”? Skinęła potakująco głową.

—Bardzo stare, bardzo święte imię.

—Imię czego? Miejsca? Człowieka?

—Matka mojego ludu. Żyła dawno temu. Dziewczyna z Zakazanego Kanionu! Podała imię swej praprababki. Wreszcie był na właściwym tropie!

— Tyle chciałbym się dowiedzieć!

Myślami już pędził do przodu. Miał tyle pytań...

Kobieta wyciągnęła z worka glinianą fajkę. Faraday patrzy! z niedowierzaniem, jak nabija ją tytoniem. Chyba jej nie zapali? Tymczasem ona właśnie to zrobiła. Potarła krzemieniem o skałę, przytknęła ogień do główki fajki, a potem pykała, aż w powietrzu uniósł się cuchnący dym.

— Opowiedz mi wszystko — mówił Faraday. Rozsadzał go entuzjazm. — Jak żyje twój lud? Jakie macie tradycje? Jakie są wasze prawa i tabu?

Zaciągnęła się, wypuściła dym.

— Nie spotkaliśmy się, by rozmawiać o doczesnych sprawach, Pahana — oznajmiła.

Spytał, czy może ją narysować. Wzruszyła tylko ramionami, więc otworzył szkicownik i wyjął ołówki. Spokojnie ćmiła fajeczkę, podczas gdy on błyskawicznie rysował i zadawał pytania — o tajemnicę życia, Boga, duszę i życie wieczne. Nachyliła się ku niemu i spojrzała mu głęboko w oczy.

—Rzeknij, Pahana. Uważasz nas za dzikusów, a jednak szukasz naszej mądrości. Wasz lud nie ma własnej mądrości ani świętych nauk?

—To nie jest takie proste — wyjaśnił. — Nasze święte pisma nie są konsekwentne. I nie dają dowodów.

—Na co?

—Że Bóg istnieje. Że po śmierci jest życie.

— Życie po śmierci... Kiedy umrzesz, Pahana, chcesz iść do pięknego miejsca. Ulice brukowane złotem. Bramy z pereł. Wszyscy szczęśliwi.

—Niebo. Mam nadzieję, że tam trafię.

—A ja też?

—Jeśli ci się poszczęści.

—A jeśli nie chcę iść do tego miejsca? ' Faraday zamrugał skonfundowany.

— Pahana, nie przyszło ci do głowy, że to co dla jednego jest niebem, dla drugiego jest piekłem? Patrz dalej i szerzej! Dlaczego lękasz się śmierci? Śmierć to tylko zmiana scenerii.

Opróżniła fajkę, ponownie ją nabiła, zapaliła i ćmiła przez dłuższą chwilę.

—Pahana — odezwała się wreszcie — chcę ofiarować ci dar.

—Dar? — spytał, szybkimi ruchami kredki utrwalając jej szkarłatną bluzkę, skórzaną spódnicę, lśniącą w słońcu srebrno-turkusową biżuterię i bacznie mu się przyglądające brązowe oczy.

—Słuchaj, Pahana. Słuchaj tego, co cię otacza.

Nasłuchiwał, ale słyszał tylko ciszę pustyni.

—Co mam usłyszeć?

—Cisza ma własny głos.

—Mów jaśniej — poprosił.

Pokręciła głową.

— Nie jesteś gotowy. Jeśli chcesz poznać naszą mądrość, Pahana, najpierw musisz poznać siebie. — Wyciągnęła rękę i pokazała coś brązowym palcem. — Od tego zaczynamy...

Pobiegł wzrokiem za jej palcem. Nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego. Ot, ziemia. Piasek, na nim kępki trawy, luźne kamyki, ślady zwierząt. Zaintrygowany podszedł tam i stuknął butem. Pod podeszwą poczuł coś twardego. Ukłęknął,

zanurzył dłonie w piasku i odgarnął go. Ku swemu zdumieniu pod spodem znalazł drewnianą pokrywę, jakby tratwę pogrzebaną na środku pustyni.

Odciągnął ją i zobaczył otwór. Słońce oświetlało wnętrze groty. Właściwie nie była to grotka, tylko zrobione przez człowieka podziemne pomieszczenie. Rozpoznał je. To kiva, taka sama, jaką widywał w pueblach Indian Hopi i Zuni. Zajrzał do środka. Poczł zapach historii, woń wielowiekowego pyłu.

Kobieta powiedziała, że to musi być jego następny krok. Spojrzał na nią, na warkocze srebrne jak jej ozdoby.

—Błąkam się po tej pustyni już od czterech lat — powiedział. — Dlaczego dopiero dziś mi się objawiłaś?

—Poznałeś już odpowiedź. Nieznajomy, który cię oszukał, chciał doprowadzić cię krótką, szybką drogą do świętych mężów. Zaślepiiony pozwoliłeś, by zabrał ci wszystkie pieniądze, ale dopiero gdy je odzyskałeś, pojąłeś, że do prawdy nie dochodzi się na skróty, że nikt nie doprowadzi cię do przeznaczenia. Ze musisz iść wyznaczoną ci drogą, jakkolwiek trudna by była. Kiedy my wyruszamy na poszukiwanie wizji, Pahana, nie zabieramy przewodników, nie kupujemy map. Idziemy sami. Samotność wiedzie bowiem do prawdy.

Jeszcze raz zajrzał do kivy. Zobaczył kamienną ławkę pod ceglana ścianą, a na środku miejsce na ognisko. Przypomniał sobie, co John Wheeler mówił o kivach. To były święte miejsca, w których kapłani wkraczali w świat duchowy.

— Mogę tam zejść? — zapytał.

— Jak myślisz, po co ci ją pokazałam?

Zerwał się na nogi. O, gdyby była tu jeszcze Elizabeth! Gdyby dzieliła z nim tę cudowną chwilę...

Przelotna chmura na moment przesłoniła słońce. Poczł nagły chłód.

Elizabeth... Był przekonany, że to jej głos słyszał w nocy. Ale jak to możliwe? Czyżby nie żyła?

— Pahana — odezwała się surowo kobieta, przywołując go do rzeczywistości.

— Tak, tak — odparł. — Będę potrzebował drabiny. Na powrót zasłonił otwór drewnianą płytą — choć pale były stare, trzymały się świetnie, gdyż suche pustynne powietrze znakomicie je zakonserwowało — po czym spiesznie wrócił do domu po zapasy. Kobieta została na kamieniu, spokojnie ćmiąc fajeczkę.

Następnego dnia — Bettina ponownie spytała, co się wydarzyło, a on ponownie zbył ją mętną odpowiedzią — wrócił do kivy i spuścił drabinę. Już chciał wejść do środka, gdy Indianka go powstrzymała.

— Nie możesz tam wejść ot, tak sobie. Musisz się przygotować, Pahana. Musisz pościć i medytować, wypocić z ciała całą truciznę.

I wytłumaczyła, co musi zrobić.

ROZDZIAŁ 59

Odnalezienie kivy stanowiło przełom.

Faraday czuł, że rozpoczyna duchową wędrówkę, która odmieni jego życie. Nie żył jednak samotnie. Musiał pamiętać o Bettinie i Morganie. Tego wieczoru wezwał je obie do gabinetu, w którym trzymał mapy, notatki i szkice, by uprzedzić, że czekają je zmiany.

— Moja droga — zwrócił się do Bettiny — proszę, nie myśl, że nie doceniam poświęceń, na jakie dla nas się zdobyłaś. Dziś widzę, że lekceważyłem twoje potrzeby, pragnienia i aspiracje. Okradłem cię z radości i spełnienia, które przynosi małżeństwo i macierzyństwo. Proszę Boga, byś zdołała mi to wybaczyć. Jeszcze jest czas, Bettino. Jeszcze możesz urodzić dzieci. — Wiedział, że niedawno skończyła trzydzieści sześć lat. — Nade wszystko jednak zasługujesz, by zostać

żoną. Jutro dokładniej o tym porozmawiamy, ale wierz mi, gdy mówię, że pragnę nade wszystko twojego szczęścia.

Oczy jej zwilgotniały i Faraday po raz pierwszy zobaczył czułą, rozmarzoną Bettinę.

Następnie posadził sobie na kolanach Morganę — rosnącą jak na drożdżach dziesięcioletnią pannę — i powiedział, że czekają niezwykła, wspaniała przyгода. Szczegółów na razie nie może zdradzić. Zresztą nie chce pozbawić jej przyjemności czekania na cudowną niespodziankę.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat położył się spać spokojny, z nadzieją wyglądając w przyszłość. Od bardzo dawna, od kiedy Elizabeth skradła jego serce, nie śniła mu się Abigail. Ten nocy mu się przyśniła. Przyszła do niego pełna miłości. Poczuł zapach mimozy — jej ulubionych perfum — i dotyk jej ust. Otoczył ją ramionami i całował gorąco. Nagle jednak obudził się i przekonał, że to nie sen. Do jego łóżka przyszła Bettina, pachnąca perfumami siostry, ubrana w peniuar, który Abigail nosiła w czasie podróży poślubnej. Ustami wpiła się w wargi Faradaya, napierała na niego ciałem.

Wyskoczył z łóżka jak oparzony.

— Na Boga, co ty wyprawiasz?!

Bettina spadła na podłogę. Na jej twarzy malowało się zdumienie.

— Bettino, co ty robisz w moim łóżku?

Kurczowo zaciskała peniuar przy szyi, niezgrabnie podnosząc się z podłogi. Była śmiertelnie blada.

—Przecież... Sądziłam... Faradayu, mówiłeś o małżeństwie, dzieciach...

—Nie ze mną! — krzyknął. — Z panem Vickersem, oczywiście!

Wpatrywała się w niego bez słowa. Broda jej drżała, włosy miała w nieładzie, twarz białą jak kreda.

—Powiedziałem, że zwracam ci wolność — przemówił łagodniej — byś mogła wrócić do domu i poślubić pana Vickersa. Postanowiłem wysłać Morganę do

szkoły z internatem. Słyszałem, że w Pasadenie jest znakomita uczelnia dla dobrze urodzonych panien.

—Ale co z tobą? — wyszeptała z trudem. Drżała na całym ciele.

—Wyjeżdżam — odparł, wkładając szlafrok i zawiązując pasek. — Na dłużej niż zwykle. Pozbędę się domu.

Unikał jej spojrzenia. Wciąż czuł na ustach jej wargi. Cóż za koszmarne nieporozumienie!

— Nie wiem, co powiedzieć, Faradayu.

Trzęsła się tak, że zarzucił jej na ramiona kapek z łóżka. Nagle wydała mu się drobna i krucha. Jej krótkie włosy sterczały na wszystkie strony, zapach mimozy był tak silny, że aż nieprzyjemny.

— Źle to rozegrałem — przyznał, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

Bettina w jego łóżku! Nie miał pojęcia, że myśli o nim w ten sposób! Im szybciej wyekspediuje ją do Bostonu i narzeczonego, tym lepiej.

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

— Wydaje mi się, że ja źle to rozegrałam. Faradayu, pan Vickers nie istnieje.

Bij zabij, nie rozumiał. Patrzył tylko tępo. Zegar tykał na kominku. Bettina czekała na jego odpowiedź.

— Wymyśliłam go, Faradayu — odezwała się wreszcie, gdy cisza nieznośnie się przedłużała. — Kiedy przez pierwsze lata podróżywałeś po świecie, szukając Boga, a ja zostałam, by opiekować się twoją córką... Czułam wstyd. Mieszkałam u szwagra jak zwykła służąca. Trzydziestoletnia stara panna bez przyszłości. Wymyśliłam więc sobie wielbiciela.

Wysunął krzesło i ciężko na nie opadł. Bettina stała dalej. W miarę mówienia coraz bardziej się prostowała, odzyskiwała dawną pewność.

—Sam Zachariasz Vickers nie jest wymyślony — opowiadała spokojnie. — Wyczytałam to nazwisko w gazecie. To był miejscowy rzeźnik, który zginął pod

kolami wozu. Mój pan Vickers podróżował po kraju, sprzedając Biblię, i nawracał pogan w Afryce.

—Ale... Przecież masz jego zdjęcie.

—Zobaczyłam je w witrynie zakładu fotograficznego. Spytałam, czy jest na sprzedaż. Powiedziałam, że jestem portrecistką i chcę się posłużyć zdjęciem do ćwiczeń z rysunku. Nie mam pojęcia, co to za mężczyzna.

Faradayowi odjęło mowę. Oprawiła zdjęcie obcego mężczyzny w piękne ramki i wszędzie — w obozowisku w kanionie Chaco, w mieszkaniach w Albuquerque, w Casa Esmeralda, nawet tutaj, nad kominkiem — towarzyszył im pan Zachariasz Vickers.

—Ale... Karty pocztowe z Afryki... Całkowicie już odzyskała władzę nad sobą.

—Kupiłam w sklepie w Bostonie.

—Skąd wzięłaś pieniądze na budowę domu?

— Miałam biżuterię, o której nie wiedziałeś. Kredy rzekomo jeździłam po pieniądze do oddziału Western Union, udawałam się do jubilera w Banning i sprzedawałam swoje brylanty. Faradayu — dodała z wyrzutem — nawet nie zauważyłeś, że mój pierścionek zaręczynowy zniknął.

Pierścionek! Faraday był coraz bardziej zdezorientowany.

—Skoro wymyśliłaś sobie pana Vikcersa, to skąd wziął się pierścionek?

—Kupiłam go w Albuquerque, gdy wracałeś do zdrowia. Zawsze cię kochałam, Faradayu. Od pierwszego wejrzenia, od tego popołudnia, gdy złożyłeś wizytę mojej siostrze. Kiedy zmarła, byłam przekonana, że przeniesiesz swoje uczucia na mnie...

—Na Boga, Bettino! Zawsze będziesz dla mnie tylko siostrą. Nie potrafię myśleć o tobie w inny sposób.

—Marzyłam, że... że będę miała z tobą dzieci — mówiła cicho. — Pragnę dać ci syna. Syna — podkreśliła z goryczą

— nie jakąś tam córkę. Dziedzica nazwiska Hightower. Faradayu, przecież musisz darzyć mnie uczuciem. Inaczej dawno kazałbyś mi szukać własnego mieszkania. Chyba nie zatrzymałeś mnie tylko po to, by Morgana miała niańkę? Zawsze mi się wydawało, że łączy nas coś głębszego.

— Bettino, nigdy nie uważałem cię za niańkę Morgany. Jesteś członkiem rodziny. W dniu ślubu obiecałem Abigail... — ugryzł się w język.

—Co jej obiecałeś?

—Nieważne. Późno już, wracaj do łóżka.

—Powiedz, Faradayu — zażądała lodowatym tonem.

— Jaką obietnicę wymusiła na tobie Abigail?

Był zmęczony, nazajutrz czekały go przygotowania i wyprawa do kivy, gdzie miał nadzieję znów zobaczyć starą Indiankę. Dlatego nie zapanował nad sobą i — robiąc największy błąd życia — wygadał to, czego nigdy nie miał zdradzić. Nawet się nie domyślał, jak tragiczną pomyłkę popełnia, mówiąc:

— Kiedy starałem się o rękę Abigail, powiedziała mi coś o tobie. Uważała, że musi mnie uprzedzić przed ślubem, bo to mogłoby zmienić moje zamiary. Naturalnie później zapewniłem, że nic nie zmieni moich uczuć do niej i że nigdy nie zdradzę twojej tajemnicy.

— Mojej tajemnicy? — powtórzyła szeptem.

— Abigail — mówił najłagodniejszym, najserdeczniejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć — wyznała, że kiedyś, jeszcze jako dziewczynki, podsłuchałyście, jak wasza matka mówi, że ojciec Abigail nie jest twoim ojcem. Twoja matka przyznała się do romansu z waszym stangretem. Ukrywała to, wmawiając waszemu ojcu, że jesteś jego córką. Z czasem jednak twoje podobieństwo do stangreta stało się zbyt wyraźne. Abigail powiedziała, że ojciec wykreślił cię z testamentu, byś po jego śmierci została bez grosza. Dlatego otaczała cię opieką i zapewniała wsparcie finansowe. Wyraziła też nadzieję, że po ślubie zaakceptuje ten układ. Dałem jej słowo honoru, że bez względu na to co się stanie, będziesz mogła liczyć również na moją opiekę. I dotrzymałem obietnicy.

Wyrzuciwszy z siebie prawdę, Faraday od razu poczuł się lepiej. Ciężar spadł mu z serca. Czekał teraz, aż Bettina powie, jak bardzo się cieszy, że zna jej tajemnicę, i jak bardzo podziwia go za to, że nie złamał przyrzeczenia.

Tymczasem ona milczała. Faraday nigdy jeszcze nie widział u niej takiego wyrazu twarzy.

— Abigail wszystko to ci powiedziała? — wyszeptała wreszcie, szczerzej owijając się peniuarem.

Dopiero w tym momencie zrozumiał, jak niewybaczalny błąd popełnił.

Bettina obróciła się na pięcie i wypadła z pokoju. Po chwili usłyszał, jak drzwi jej sypialni zatraskują się z hukiem. Stał niczym przymurowany, nie mając pojęcia, jak postąpić. Kiedy usłyszał szloch szwagierki, przeszył go lodowaty dreszcz, bo w szlochu tym brzmiała niewyobrażalna gorycz i desperacja. Zaniepokojony podszedł do drzwi i zapukał.

— Bettino, proszę, wpuść mnie. Nie możemy tego tak zostawić.

— Wynoś się!

— Tatku?

Obejrzał się. Na korytarzu stała zaspana Morgana.

— Wracaj do łóżka, aniołku. Ciocia Bettina nie czuje się dobrze.

Zastukał jeszcze raz, a gdy nie zareagowała, nacisnął klamkę. Dzięki Bogu nie zamknęła się od środka.

Pierwszy raz oglądał jej sypialnię. Była schludna, wyłożona różową tapetą. Wszędzie stały świeże kwiaty, książki i kobiece drobiażdżki. Na stoliku leżał zaczytany egzemplarz „The Saturday Evening Post”, w rogu stał ręcznie nakręcany patefon. Wieczorami Faraday często słyszał dobiegające zza ściany sentymentalne melodie.

Bettina siedziała na łóżku, drąc swój album i zrzucając na podłogę pocztówki od pana Vickersa. Faraday schylił się po nie. Panoramiczne zdjęcia afrykańskich równin, cierniste krzewy, lwy, autochtoni uzbrojeni w dzidy i tarcze. Kiedy je odwrócił, zobaczył najróżniejsze nazwiska i adresy. Ani jedna nie była adres-

wana do Bettiny Liddell. Żadna też nie była podpisana przez Vickersa. Nie kłamała więc przed paroma chwilami!

— Miałam nadzieję... Modliłam się... — zawodziła. Usiadł, objął ją po bratersku i powiedział najłagodniej,

jak potrafił:

— Moja droga, jest mi ogromnie przykro z powodu tego straszego nieporozumienia. Wierz mi, to nie twoja wina. Jesteś wspaniałą, wartościową kobietą. Abigail jednak była moją żoną, więc w tobie od początku widziałem tylko siostrę. Nie umiem tego zmienić.

Wszystko mogłoby się dobrze skończyć, gdyby w tym momencie nie dojrzał czegoś nad ramieniem kobiety. Zdjęcia w ramce, stojącego nad kominkiem. Faraday zamrugał, bo doskonale znał tę fotografię, a równocześnie coś mu się nie zgadzało.

Kiedy uświadomił sobie, na co patrzy, było już za późno. Bettina dostrzegła wyraz jego twarzy. Obejrzała się i zrozumiałwszy, co się stało, splonęła krwistym rumieńcem.

Nad kominkiem w złoconej ramce znajdowała się ślubna fotografia Faradaya. Pan młody stał wyprostowany, z kapeluszem w ręku, a obok niego siedziała oblubienica w pięknej sukni ślubnej, z bukietem białych róż na kolanach.

Tyle że zamiast twarzy Abigail miała twarz Bettiny. Siostra jego żony starannie wycięła z innego zdjęcia swoją twarz i zasłoniła nią twarz zmarłej, zamieniając fotografię w swój portret ślubny.

Faraday cofnął rękę z jej ramienia.

Ich wzrok się spotkał.

—Indianie — wyszeptała.

—Co?

—To przez tych Indian. Oni mi ciebie zabrali.

—Bettino, co ty bre...

Zerwała się. W jej oczach płonęło szaleństwo.

— Przez dziesięć lat widziałeś tylko tych swoich przeklętych Indian, a na mnie nawet nie spojrzaleś!

Wypadła z sypialni. Siedział bez ruchu, ogłuszony, dopóki nie usłyszał w kuchni trzasku, a potem krzyku. Morgana!

Wpadł na korytarz i popędził do kuchni. Bettina trzymała jego córkę za rękę. Na podłodze leżał roztrzaskany kubek mleka. Ponieważ noc była chłodna, pod płytą kuchenną tlił się ogień. Nie puszczając Morgany, Bettina chwyciła rozżarzony pogrzebacz i przycisnęła go do znieawidzonego tatuażu na czole dziecka.

Morgana krzyknęła i zemdląła. W powietrzu uniósł się zapach palonego mięsa. Faraday podniósł córkę i wypadł na korytarz, podczas gdy Bettina bełkotała byś o Indianach, poganach i dzikusach.

Faraday dopadł swego gabinetu, zamknął się od środka i do rana nie odstępował Morgany, opatrując jej ranę.

Następnego ranka Bettina spokojnie krzątała się przy śniadaniu, nie wracając do wydarzeń ubiegłej nocy. Faraday bez słowa zaprzągnął konia, załadował swoją kolekcję prekolumbijskiej ceramiki, zarzucił Morganie płaszcz na ramiona i oddalił się klusem.

Po powrocie wręczył Bettinie kopertę z gotówką pochodzącą ze sprzedaży glinianych naczyń (aczkolwiek nie zdobył się na to, by pozbyć się złocistej *olli* z Pueblo Bonito).

— Morgana zamieszka na razie u Candlewellów — oświadczył. — Kiedy wrócę, ma cię tu nie być.

Kiedy zaprowadził Morganę do sąsiadów, wyjaśnił pani Candlewell, że córka potknęła się i upadła na rozżarzoną blachę. Dał kobiecie maści i zapas czystych opatrunków, pokazał, jak ma je zakładać. Usłyszawszy obietnicę, że cała rodzina sąsiadów zaopiekuje się troskliwie dziewczynką, zawiesił córce na szyi złotego jednorożca Abigail, prosząc, by dobrze go pilnowała. Klęknął przed dziewczynką

— dziesięciolatką o wielkich poważnych oczach — położył dłonie na jej ramionach i powiedział:

— Muszę na jakiś czas wyjechać, ale wrócę, obiecuję. Nie zapominaj ani na chwilę, że kocham cię najbardziej na świecie i zawsze noszę cię w sercu.

Wyjął zapieczętowaną kopertę i wcisnął ją między małe rączki.

— Pilnuj jej, aniołku. Jeśli nie wrócę do twoich urodzin, daj tę kopertę pani Candlewell. W środku jest mapa miejsca, do którego jadę. Nikomu jej nie pokazuj.

Faraday zapuszczał się na nieznane terytorium. W kivic mogły być skorpiony albo grzechotniki. Tylko dureń schodziłby pod ziemię, nie zadbawszy najpierw, by w razie nieszczęścia ktoś przyszedł mu z odsieczą.

Pocałował córkę i długo, mocno ją do siebie tulił. Potem odjechał. Dziewczynka stała na podwórku, odprowadzając go wzrokiem, póki nie zniknął jej z oczu.

Kiedy Faraday wrócił do domu, Bettiny już nie było. Zniknęła, zabierając ubrania i swój dobytek. Zostawiła tylko list, w którym przeproszała za wszystko i obiecywała, że będzie trzymać się od nich z daleka.

Teraz wreszcie mógł wyruszyć do kivy i rozpocząć kolejny etap swej duchowej wędrówki.

ROZDZIAŁ 60

Faraday zgodnie z instrukcjami starej Indianki zrobił konstrukcję z wierzbowych gałązek i przykrył ją kapami. Rozebrał się do naga i wszedł do środka. Polewając wodą gorące kamienie, w kłębach gęstej pary pościł, modlił się i medytował. Zapomniał o Bettinie, zapomniał nawet o Morganie i Elizabeth. Nie myślał o nikim ani o niczym, całkowicie skupiając się na duchowym świetle, który czekał nań w kivie.

Wynurzył się z namiotu gotowy i czysty niczym biała kartka, na której dopiero miały pojawić się słowa. Stał nagi i drżący w rześkim powietrzu poranka i czuł się jak nowo narodzone dziecko.

Ze sobą miał nowy pamiętnik, w którym będzie rejestrował swoje nowe życie — oprawiony w skórę, ze złożonymi brzegami kartek i czerwoną tasiemką do zaznaczania stron. Siadł na kamieniu. Słońce suszyło pot na jego skórze, a on notował:

„Dawno temu, w innym życiu, wyruszyłem w pielgrzymkę. Miałem konkretny cel. W podróży jednak zmieniłem szlak, wstąpiłem na inną drogę. Teraz rozpoczynam nową ekspedycję. Nie mogę się doczekać tego, co będzie mi dane ujrzeć”.

Kiedy przyszedł do kivy, stara Indianka[^] już czekała. Wcześniej zostawił na dole zapas żywności i wody, lampę oraz zapalki, a także nieodzowny pamiętnik, notatki, szkicownik i ołówki. I jeszcze kieszonkowe wydanie Biblii, dla otuchy.

Kiedy schodził w głąb pomieszczenia, szczebel drabiny pękł i Faraday spadł na dół, lądując tak niefortunnie, że złamał kość piszczelową prawej nogi. Na krótko stracił przytomność. Kiedy wróciły mu zmysły, zobaczył, że nie ma szans wydostać się na górę, bo drabina się zawaliła. U wlotu kivy nie było już Indianki. Wiedział jednak, że pomoc przybędzie. Po ustalonym czasie Morgana przekaże kopertę Joemu Candlewellowi, a mapa doprowadzi sąsiada na miejsce wypadku.

Do tego czasu Faraday będzie oszczędzał zapasy wody, sucharów i konserw, równocześnie oczekując duchowego objawienia.

Leżał, czując uporczywy ból. Zastanawiał się, jak poważne może być złamanie. Równocześnie jednak zdumiewał się, jak dziwnymi ścieżkami wędruje los i przeznaczenie. Gdyby nie poznał Elizabeth Delafield, nie dotarłby do składu, w którym zaopatrują się poszukiwacze złota; nie padłby ofiarą McClory'ego i nie straciłby majątku; nie zapuściłby się tak daleko na północ pustyni i nie spotkałby starej Indianki. Po kres swoich dni daremnie przeszukiwałby pustynię i niczego by nie znalazł.

Co wydarzy się teraz? myślał, czując narastający ból w nodze. Żałował, że nie wpadł na to, by wziąć do kivy torbę lekarską. I gdzie podziła się ta Indianka? Sądził, że przyłączy się do niego.

Kiedy słońce przesunęło się na niebie i w kivie zapanował mrok, Faraday potarł zapałką i zapalił lampę. Z niej też będzie musiał ostrożnie korzystać, póki nie zjawi się pomoc. Zaczął rozważać, czyby nie udało się jakoś usztywnić nogi, gdy nagle zaszumiało mu w głowie.

Przeraził się. Po chwili oczy zasnuła mu mgła. Czyżby na dnie kivy znajdowały się jakieś trujące opary?

Gdzie do licha jest ta stara kobieta? myślał rozeźlony. Czy usłyszysz mnie, jeśli zawołam?

Z każdą chwilą czuł się coraz gorzej. W głowie rozbrzmiewały jakieś głosy, kakofonia szmerów. Przed oczami pojawiały mu się jakieś dziwne sceny! Wielki Boże, mam halucynacje! — zrozumiał w chwili przytomności.

Głosy przycichły... monotonne mamrotanie ustało. Teraz słyszał tylko jeden głos. Wyteżał słuch, choć każdą komórkę jego ciała przenikał strach. Działo się coś dziwnego. Ogarnął go paniczny lęk, jak kiedyś w Zakazanym Kanionie. Teraz jednak nie mógł uciec jak wtedy.

Słuchaj, Pahana. Słuchaj i patrz.

To przemówiła stara Indianka. A przecież nie było jej w kivicie.

Mój lud nie odmierzał lat tak jak wy, Pahana. Abyś zatem mógł umiejscowić te wydarzenia w czasie, powiem ci, że działo się to roku, który wy znacie jako 1150; cztery stulecia przed tym, jak na kontynencie pojawili się ludzie nazywający siebie Hiszpanami.

Lud słońca mieszkał na terenie, który biali nazywają Czterema Rogami. Usłyszysz opowieść o Hoszitiwie, dziewczynie, której życie zmieniło się nieodwracalnie, gdy w jej wiosce pojawił się straszliwy Mroczny Pan ze swymi jaguarami...

W mózgu Faradaya obrazy przeplatały się z odczuciami. Choć zlanym lodowatym potem, czuł na skórze ciepło słońca i łagodny podmuch wiatru. Widział wschodzącą kukurydzę i pochylonych nad nią ludzi o brązowej skórze.

Usłyszał ostrzegawczy krzyk. Do wioski wbiegł chłopak. Pokazywał coś. Faraday wyteńczył wzrok i ujrzał drogę — prostą, brukowaną aleję — a na niej nadciągającą armię.

Wojska Mrocznego Pana...

ROZDZIAŁ 61

Kiedy się ocknął, był tak wycieńczony, że z trudem unosił głowę. W kivicie panował mrok. Jak długo leżał nieprzytomny? Cóż za zdumiewający sen! I wydawał się tak realny — szerokie brukowane drogi, wojownicy w skórach jaguarów, Mroczny Pan niesiony na tronie, człowiek nazywany Beznosym, konający na drzewie, piękne deszczowe dzbany, ludny targ, egzotyczne ptaki w klatkach, *chocolatl* i cztery postacie: Hoszitiwa, Ahote, Mokihik, Jakał. Faraday był gotów

przysiąc, że spędził pół życia w Mieście, pił *pulque*, czuł na skórze skwar słońca, doświadczył nadziei na deszcz i tragedii suszy.

Czy wszystko to było tworem jego wyobraźni?

Trzeba to utrwalić. Wzmocnił się wodą i sucharami, ułożył wygodniej — w nodze czuł teraz tylko tępy, ćmiący ból — po czym sięgnął po pióro. Szybko, póki szczegóły nie umknęły mu z pamięci, zapisywał, co widział.

„Rozwikłałem zagadkę kanionu Chaco! Mnie jednemu zostało to objawione! Brukowane drogi, których sensu nikt nie widział, kivy, kanibalizm, tajemniczy czerwony kamień na środku dziedzińca”.

Pisał gorączkowo, nie zważając na ból, pragnienie i wyczerpanie. Dopiero gdy dotarł do końca dziejów Hoszitiwy, odłożył pióro, dając odpocząć ręce, i zdumiony zauważył, że w kivi jest też stara Indianka.

Siedziała na kamiennej ławie, ćmiąc fajkę.

— Teraz, gdy poznałeś już historię Hoszitiwy i mojego ludu, zdradzę ci mądrość, której poszukujesz, Pahana.

Słuchał. W ceglanej komorze w kształcie pszczelego gniazda, w której unosił się zapach i mrok stuleci, kobieta snuła swą melorecytację. Dzielila się mądrością. Oświecała umysł Faradaya wizjami. Kiedy pytał, odpowiadała. Rozmawiali. Faraday nie czuł już bólu, nie zauważył, że nadszedł świt. Indianka skończyła dopiero, kiedy słońce stało już wysoko na niebie, a Faraday zaczął się piec w upale. Płakał, głęboko poruszony.

— Żegnaj, Pahana — powiedziała i zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła.

Znowu schwytał pióro i zaczął notować, póki miał świeżo w pamięci jej słowa. Wtem usłyszał skrzyp kół.

„Zaraz!” — zapisał. — „Tupot podków! Ktoś nadciąga! Jestem uratowany!”.

Odłożywszy pióro, zawołał głośno: . — Tutaj! Tu jestem!

Podeksycytowany patrzył, jak do kivy wsuwa się drabina, a potem schodzi jego wybawca. Zobaczył wysokie damskie trzewiczki, potem spódnicę khaki, szeroki skórzany pas i bluzkę z długim rękawem.

— Bettina!

Podeszła do niego i podała mu wodę. Przełykał łapczywie. Spytał, jak długo przebywał pod ziemią.

—Dwa dni, Faradayu — odparła.

—Chwała Panu Najwyższemu, że mnie znalazłaś! Będę potrzebował twojej pomocy. Nie wyjdę o własnych siłach, zламаłem nogę.

—Tak, wiem. — Podniosła się z ziemi i przysiadła na kamiennej ławie, najpierw przetarłszy ją chusteczką. — Zachowywałeś się tak tajemniczo i byłeś taki rozradowany, że któregoś dnia potajemnie pojechałam[^] tobą. Siedziałeś przy skale Błyskawicy i rozmawiałeś ze sobą. Potem wróciłeś po drabinę. Kiedy wypędziłeś mnie z domu, przyjechałam tu, zesłam na dół i przepiłowałam szczebel.

Faraday zerknął na połamane resztki starej drabiny i dostrzegł to, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Faktycznie szczebel nie był pęknięty, tylko przepiłowany.

—Stawiając nowy dom, zdobyłam wiele nowych umiejętności. Między innymi nauczyłam się piłować. To przez twoją głupotę znaleźliśmy się w tej pożałowania godnej sytuacji. Dałeś się oszukać i straciłeś majątek. Zostaliśmy wypędzeni z własnego domu. Gdyby nie twoja bezmyślność, żyłabym dalej jak dama. Nie musiałabym harować jak jakaś prostytutka z odciskami na rękach.

—Nie rozumiem. Dlaczego przepiłowałaś szczebel?

—Musiałeś dostać nauczkę. Musiałeś się przekonać, że jesteś słaby i bezradny. Chciałam cię upokorzyć.

—I jestem upokorzony! — zapewnił gorąco. — Dostałem nauczkę. O, Bettino! Wynagrodzę ci wszystkie krzywdy. Pomóż mi stąd wyjść, a zaczniemy od nowa! To będzie cudowne życie! Poznałem zdumiewające tajemnice.

Ona jednak dalej siedziała z dłońmi złożonymi na podolku.

— Muszę ci coś powiedzieć, Faradayu.

Jej głos brzmiał dziwnie. Usta miała ściągnięte.

— Moja siostra nie powinna była ci zdradzać prawdy o moim pochodzeniu. Postąpiła nieuczciwie względem mnie. Oboje zachowaliście się wobec mnie nie w porządku. A po tym, co niedawno spotkało mnie z twojej strony, postanowiłam, że więcej nie będę tego znosić.

— Wybacz, Bettino. Obiecuję, że wszystko naprawię. Nie uwierzysz, jak niezwykłego objawienia tu doznałem. Zgłębiłem tajemnice kosmosu...

Gestem nakazała mu milczenie.

— Abigail nie miała prawa zdradzać ci mojej tajemnicy. Nie miała prawa mówić o romansie naszej matki ze stangretem. Nikt jej nie upoważnił do dzielenia się z tobą tą informacją.

— Przepraszam — powiedział.

Jeszcze raz zapewnił, że wszystko jej wynagrodzi, i poprosił, żeby pomogła mu wyjść. Ona jednak nadal siedziała bez ruchu.

— Nie chcesz mi pomóc? — rozgniewał się. — Nic wielkiego. Dałem Morganie mapkę, na której zaznaczyłem to miejsce.

— Tę, Faradayu?

Bettina zeszła do kivy z płócienną torbą na ramieniu. Teraz wyjęła z niej znajomą kopertę.

— Znalazłam ją, gdy rozpakowywałam rzeczy Morgany po tym, jak zabrałam ją od Candlewellów.

Mapa! Podarła ją na jego oczach, a on mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak skrawki papieru — jego jedyna nadzieja na kontakt ze światem zewnętrznym — niczym płatki śniegu sfruwają na klepisko.

— Jakież ty byłeś ślepy, Faradayu. Powiedziałam ludziom, że jestem twoją żoną, a ty nawet się nie zorientowałeś.

— Po co to zrobiłaś?

W głowie mu szumiało. Niczego nie rozumiał. Dlaczego nie wychodzili?

— I ty jeszcze pytasz? Co za niewiarygodna tępota! Sama musiałam bronić swojej reputacji i zapewnić sobie szacunek u ludzi, skoro ty nie zamierzałeś tego zrobić!

— Nie straciłabyś reputacji, Bettino. Jesteśmy spowinowaceni. Zresztą na moją obronę mogę dodać, że byłem przekonany, iż poślubisz pana Vickersa. Który jak się w końcu dowiedziałem, nawet nie istnieje! A teraz bądź łaskawa pomóc mi stąd wyjść. Muszę nastawić sobie kość.

— Ty nieskończony głupcze — powiedziała cicho. — Mam wierzyć, że kupiłeś bajeczkę o panu Vickersie? Przez te wszystkie lata ani razu cię nie zdziwiło, że zjawia się tylko pod twoją nieobecność i że Morgana nigdy go nie widziała, ponieważ... dziwnym zbiegiem okoliczności... ilekroć składał mi wizytę, ona akurat bawiła się poza domem? Nie, Faradayu! Nie chciałeś dostrzec prawdy o panu Vickersie! Stanowił dogodną wymówkę i pretekst, by mnie opuszczać, nie zwracać na mnie uwagi!

Wpatrywał się w nią z przerażeniem, uświadamiając sobie, że mówi prawdę.

— Mam trzydzieści sześć lat, Faradayu — ciągnęła ze spokojem, który mroził mu krew w żyłach. — Wciąż jestem dziewicą. Już nawet nie mogę się łudzić, że kiedykolwiek zaznam miłości mężczyzny. Nawet jeśli posiadałam cień urody, przepadł wraz z moją młodością. Pustynia, słońce i lata usługiwania ci odcisnęły piętno na mojej twarzy i włosach. Nie jestem ślepa, widzę, że wyglądam staro. A jednak nie wszystko stracone. Znalazłam ocalenie. Powiedziałam Morganie, że pobraliśmy się w czasie jej pobytu u Candlewellów. Wyjaśniłam, że teraz już nie będę jej ciotką, lecz matką. Popełniłeś błąd, dając mi pieniądze ze sprzedaży twoich ohydnych skorup. Wykorzystam je bowiem i postawię moją wymarzoną gospodę.

— Na miłość boską...

—Najdłużej zastanawiałam się nad tym — podjęła, sięgając do głębokiej kieszeni spódnicy. — Wiedziałam, że mogłabym dostać za to okrągłą sumkę. Potem jednak zrozumiałam, że nie zaznam spokoju, wiedząc, że to ohydztwo stoi na jakiejś półce. Musiało zniknąć raz na zawsze.

Wyciągnęła dłoń, by zobaczyć, co ukrywała w kieszeni. Oczy rozszerzyły mu się ze zgrozy i niedowierzania. To był odłamek złocistej *olli*.

— Zmiażdżyłam twój obrzydliwy dzban, Faradayu — powiedziała, chowając ułomek do kieszeni. — Roztrzaskałam go w drobny mak i zachowałam ten jeden kawałek, by przypominał mi, jakie zwycięstwo odniosłam nad tobą i twoimi Indianami. Będę żyła spokojnie i dostatnio jako wdowa po tobie, mając za córkę Morganę.

Serce podeszło mu do gardła. Chciało mu się płakać na myśl o zniszczonym cudownym dzbanie deszczowym.

—Ludzie dostrzegą moją nieobecność. Zaczną szukać...

—Już rozpowiedziałam w sąsiedztwie, że wyruszyłeś w długą podróż do Meksyku w poszukiwaniu swoich szamanów.

Ogarnęło go przerażenie.

—Słuchaj, Bettino, ożenię się z tobą.

—Nie obrażaj nas obojga kłamstwami, Faradayu. To niegodne nawet ciebie.

—Nie kłamię. Jeszcze zanim się zjawiłaś, postanowiłem, że się z tobą ożenię.

Przyjrzała mu się z namysłem. Serce zabiło mu mocniej. Zapłonęła w nim iskra nadziei, którą natychmiast zgasiły słowa Bettiny.

—Naprawdę sądzisz, że po tym co się wydarzyło, mogłabym zostać twoją żoną? Dzielić z tobą łóżko? Ludzie mają rację, ty naprawdę jesteś nienormalny, Faradayu. Przecież wszystkim rozpowiedziałam, że jesteśmy małżeństwem. Twoja propozycja mnie już nie interesuje. Zbiorę same korzyści „małżeństwa” z tobą, bez jego upokorzeń. Zostanę powszechnie szanowaną wdową.

—Wdową? — powiedział słabo.

Wreszcie dotarło do niego to, co przeczuwał, odkąd zeszła do kivy: zostawi go tu na śmierć. Czy to możliwe? Teraz, gdy wreszcie otrzymał mądrość, której z takim poświęceniem szukał, tajemnice wszechświata mają umrzeć wraz z nim?

—Ty durniu — powiedziała gorzko. — Żyłeś, bujając w obłokach i stawiając zamki na piasku. Nawet córce nadałeś imię oznaczające ułudę. Mimo to pragnęłam cię. Nie masz pojęcia, jak bardzo musiałam walczyć, by mieć cię dla siebie. Choćby kiedy ta blond zdzira zjawiała się w Casa Esmeralda.

—Elizabeth Delafield? — spojrzał zdumiony. — Zjawiała się u nas? Na rany Chrystusa, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

—Znam ja takie. Pazerne. Polują na bogatych mężów. Ona nie była ciebie godna. Nosiła spodnie, jak mężczyzna. Powiedziałam jej, że jestem twoją żoną.

—Chyba ci nie uwierzyła?!

—Nie wiedzieć czemu wydawało jej się, że jestem twoją gospodynią. To mówiłeś ludziom? Że jestem płatną pomocą domową?

—Elizabeth nie uwierzyłaby, że mógłbym ją okłamać — powiedział słabym głosem.

Przeciągnął ręką po twarzy. Wielki Boże, co musiała sobie pomyśleć Elizabeth? Czy naprawdę uwierzyła, że ją okłamał? Potem przypomniał sobie, jak szybko uwierzył, że to ona się nim znudziła.

Przymknął oczy. Elizabeth. To nie ona go porzuciła. Żyje gdzieś teraz, przekonana, że ją oszukał, że chwile ich bliskości były zarazem cudzołóstwem. A może już nie żyje? Czy to dlatego jej głos doprowadził go do kamienia? Jeśli jego szwa-gierce uda się doprowadzić do końca swój diaboliczny plan, już nigdy nie zdoła niczego wytłumaczyć i naprawić wyrządzonej krzywdy.

Próbował się podnieść. Pod ścianą stała drabina — mocna i stabilna, jego droga na wolność. Ciało jednak go zdradziło.

—Gdyby tylko do mnie napisała — jęknął.

—Napisała, Faradayu. Trzy miesiące po swojej wizycie. Pozwoliłam sobie otworzyć ten list.

—Na Boga! Czy są jakieś granice twego okrucieństwa?

— Zachowałam ten list. Pomyślałam, że kiedyś może się przydać. Chcesz przeczytać?

Podawała mu kopertę z jego nazwiskiem i adresem. Doktor Faraday Hightower, Casa Esmeralda, Palm Springs, Kalifornia. Poznał wyrazisty, pewny charakter pisma Elizabeth. Drżąc cały, wyjął kartkę.

„Mój drogi Faradayu. Twoje listy spowodowały taki zamęt w moich myślach, że nie mogłam od razu odpisać. Musiałam to wszystko przemyśleć. Nie wiedziałam, co sądzić o całej sytuacji. Wierzyłam Ci, Faradayu, gdy powiedziałeś, że owdowiałeś. Być może nadal wierzę. Ta kobieta jednak tak przekonująco przedstawiła siebie jako Twoją żonę... Stąd moje wątpliwości. Do tego ta dziewczynka, która nazywała ją mamą. Rozumiesz moją rozterkę. Piszę jednak nie dlatego, że wszystko sobie poukładałam, a poczucie krzywdy ustąpiło. Piszę wyłącznie z poczucia obowiązku. Masz prawo znać prawdę.

Faradayu, spodziewam się Twojego dziecka. Nie oczekuję od Ciebie wsparcia. Ani finansowego, ani w żadnej innej postaci. Wyjeżdżam. Nawet gdybyś mnie szukał, nie znajdziesz. Powiadomiłam dziekana o swoim stanie i natychmiast mnie zwolnił. Opuszczam zatem uniwersytet w niełasce. Nie wrócę do rodziny, ponieważ ojciec i tak by mnie nie przyjął. Jestem sama, zdana na własne siły. Żegnaj, Faradayu. Nie żałuję czasu, który spędziliśmy razem. Zawsze będę ciepło Cię wspominać. Mam nadzieję, że znajdziesz swoich szamanów".

Faraday wpatrywał się w swoją nieporuszoną szwagierkę.

— Jak mogłaś to przede mną ukryć? — wyszeptał chrapliwie.

Elizabeth nosząca pod sercem jego dziecko! Zamknął oczy. Czy zmarła, wydając je na świat, a teraz jej duch krąży w pobliżu?

— Nie mogłam pozwolić, by zrujnowała moje plany dotyczące ciebie. — Wstała. — Muszę wracać. Moja córka zapewne czeka głodna na kolację.

Patrzył na nią ze zgrozą.

—Chyba nie zamierzasz mnie tu zostawić?

—W moim życiu nie ma już dla ciebie miejsca, Faradayu. Zostaniesz tutaj, w swoim indiańskim świecie.

—Pozbawisz Morganę ojca?!

—Z czasem o tobie zapomni.

—Toż to okrucieństwo! Sądziłem, że ją kochasz.

—Kochać ją? Morgana tylko mi zawadzała. Toleruję ją, to wszystko.

—Przecież... Kiedy miała zakażenie krwi i sądziliśmy, że umrze, byłaś zrozpaczona.

—Ponieważ była spoiwem, które nas łączyło. Gdyby umarła, nie miałabym dłużej pretekstu, by zostać pod twoim dachem. Morgana stanowiła moją polisę ubezpieczeniową. Teraz zapewni mi szacunek i reputację. Będzie potwierdzała mój status żony i matki. Nikt już nie będzie się nade mną litował, nie będzie widział we mnie żalostnej starej panny siejącej rutkę, jak to mówią. Nie obawiaj się, tak długo jak Morgana będzie spełniała swoje zadanie, będę jej zapewniała pożywienie, ubranie i edukację godną młodej damy. A gdy dorośnie, dopilnuję, by dobrze wyszła za mąż i zapewniła mi dostatnią starość.

Zimny, pozbawiony uczucia ton Bettiny stanowił zapowiedź zimnego, pozbawionego uczucia życia córki Faradaya.

—Daj mi szansę! Zmieniłem się!

—Ja również się zmieniłam — odparła Bettina z nogą na szczeblu. — Już cię nie kocham, Faradayu.

Sięgnęła do torby i rzuciła coś na podłogę.

— Zamierzałam wyrzucić to paskudztwo, ale postanowiłam zostawić ci na pamiątkę. Żebyś mógł wspominać swoją blond dzirę.

Faraday rozpaczliwie szukał jakiegoś argumentu; czegokolwiek, co przekonałoby ją do zmiany zdania.

— Popelniasz morderstwo, Bettino. Pomyśl o zbawieniu swojej nieśmiertelnej duszy.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z drabiny. W jej oczach zapłonęło dziwne światło.

— Moja nieśmiertelna dusza już dawno została skazana na wieczne potępienie.

Faraday poczuł, jak nagle przenika go chłód.

—Co masz na myśli?

—Tę noc na pokładzie Capriki, gdy narodziła się Morgana. Zaraz po tym jak wyszedłeś zarejestrować córkę, Abigail powiedziała, że źle się czuje. Kazała mi natychmiast po ciebie pobiec. Nie zrobiłam tego. Czułam, że ty i lekarz pokładowy zdołacie ją uratować, więc wołałam zwłóczyć. Siedziałam tam i czekałam, aż życie niemal całkiem z niej ujdzie. Dopiero wtedy po ciebie poszłam.

—Ty...? — Usta z trudem wypowiadały słowa. — Pozwoliłaś Abigail umrzeć?

—Chciałam mieć cię dla siebie, Faradayu. Byłam starsza, ja pierwsza powinnam wyjść za mąż. Ale cóż, wszak byłam tylko bękartem stangreta. Rozpieszczona Abigail zawsze zaś musiała postawić na swoim. Postanowiłam, że zabiorę jej ciebie i nic nie mogło mnie powstrzymać. Zostawiam ci trochę wody, Faradayu, żebyś miał czas dokładnie przemyśleć moje słowa. A teraz naprawdę już muszę iść. Z Los Angeles przyjeżdża architekt, mam milion spraw do załatwienia. Przerabiam nasz dom na zajazd.

Nagle oszołomienie ustąpiło i w Faradayu zakipiała wściekłość. Furia była silniejsza niż jakikolwiek lek przeciwbólowy. Zapomniał o osłabieniu, pragnieniu i bólu. Wstąpiła w niego nadludzka energia. Chwycił za kostkę wspinającą się Bettinę.

— Puszczaj! — krzyknęła.

Machała nogą, próbując się uwolnić. Szarpnął z całej siły. Straciła równowagę i runęła na klepisko obok Faradaya. Chwycił ją za włosy. Wyrwała się i z krzykiem zaczęła okładać go kulakami po głowie i ramionach.

Rozpaczliwie macał podłogę w poszukiwaniu broni, czegoś, czym mógłby zaatakować. Namacał pióro. Zamachnąwszy się, próbował dźgnąć Bettinę ostrym końcem.

— Zabiję cię! — ryknął.

Stoczyła się z niego, unikając ciosu. Dźwignęła się na nogi, zachwiała, a potem z całej siły kopnęła go i znowu rzuciła się ku drabinie.

I tym razem Faraday zdołał chwycić ją za kostkę i pociągnąć. Straciła równowagę. Spadła, obijając się o ścianę kivy, wzniecając kurz.

Faraday przyklęknął na jednym kolanie. Ból w nodze był potworny. Wydawało mu się, że zemdleje, ale udało mu się chwycić najniższy szczebel drabiny. Podciągnął się z trudem.

Bettina chwyciła go za kołnierz i z całej siły szarpnęła.

Wbił się w nią palcami, rozdzierając jej bluzkę. Ona paznokciami rozorała mu twarz. Tarzali się w kurzu. Raz Faraday był na górze, a raz Bettina.

Wreszcie wymierzyła mu potężny cios od dołu, aż uderzył głową w klepisko. Wyrwała mu się i rzuciła do drabiny.

Faraday z jękiem próbował podeprzeć się na łokciu. Bettina wspinała się po szczeblach. Usiłował znowu chwycić ją na nogę. Kopnęła go w rękę i tym razem na dobre mu się wymknęła.

Faraday krzyczał, wrzeszczał, ryczał, zaklinał, błagał, szlochał. Ona jednak niewzruszenie pięła się w górę. Kiedy weszła na ostatni szczebel i postawiła obie nogi na ziemi, wciągnęła za sobą drabinę.

—Szczeźnij tu! — krzyknęła i zaciągnęła drewnianą pokrywę nad wejściem do kivy.

—Na litość Chrystusa — błagał pogrążony w mroku. — Bettino! Nie rób mi tego!

Nasłuchiwał. Nogę rozrywał mu ból. Drżał od stóp do głów. Po chwili dotarło do niego przytłumione rzenie konia i stopniowo oddalający się skrzyp kół.

Złożył głowę na ramionach i szlochał, aż rękawy zrobiły się mokre od łez.

Po pewnym czasie usiadł prosto, wytarł oczy i zapalił lampę. Sięgnął po pióro i zanotował:

„To jednak nie była pomoc. Zjawiała się Bettina...”

Kiedy odtwarzał szczegóły ich rozmowy i szamotaniny, z oczu znowu popłynęły mu łzy — kapały tak obficie, że bał się, czy nie rozmyją atramentu. Popijając łyżkami wodę i żując twarde mięso, walczył z bólem i sennością. Wiedział, że musi zachować przytomność, że jeszcze chwilę musi pozostać przy życiu, aby dokończyć, napisać najważniejsze zdania.

„Jestem pogrzebany żywcem. Umrę tu. Wciąż jednak nie potrafię uwierzyć, że moje życie było daremne; że zostałem sprowadzony tutaj, by ktoś zdmuchnął je jak świecę. Mnie bowiem objawiono tajemnicę kanionu Chaco! I znacznie, znacznie więcej! Stara Indianka zdradziła mi przesłanie ukryte w złocistej *olli*, cudowny sekret, który świat musi poznać! Dlatego póki lampa płonie, póki mam powietrze, będę dzielił się tą nadzwyczajną mądrością. To mój testament dla mej najdroższej córki Morgany. Pewnego dnia mnie znajdzie, a choć już dawno nie będę żył, przemówię do niej”.

Pióro skrzypiało na papierze, gdy Faraday przelewał w atrament cały swój ból, miłość i rozpacz konania. Wreszcie światło lampy zaczęło gasnąć, a uwięzionego we własnym grobie żywego mężczyznę otoczył mrok. Na firmamencie pojawiły się gwiazdy i jeły wirować w swym odwiecznym niebieskim tańcu. Wtedy ciszę pustyni rozdarł dźwięk, który sprawił, że sowy, kojoty i inne nocne stworzenia znieruchomiały i zwróciły się w stronę olbrzymiego drzewa Jozuego znanego jako La Vieja. Wysokie, przenikliwe zawodzenie niosło się nad pusty-

nią, potem przeszło w cichy jęk, by wreszcie o świcie ucichnąć. Nad pustynią znów wróciła cisza.

TLR

Bettina AD. 1932

ROZDZIAŁ 62

—Co jej się stało w czoło?

—Cicho, dziecko! To nieładnie!

Morgana automatycznie poprawiła palcami kasztanową grzywkę, by zasłonić bliznę. Od dwunastu lat niezliczone razy słyszała to samo pytanie. W różnych formach — czasem przybierało postać wzroku wbitego w jej czoło — ale zawsze sprawiało ten sam ból. Nie dlatego, że blizna ją szpeciła, ale dlatego, że miała jakiś związek ze zniknięciem ojca. Przypominała, że ją opuścił.

Tym razem jednak zdołała zignorować tę uwagę i spokojnie podać księgę klientce, która razem z córeczką meldowała się na trzydniowy pobyt w Chateau Hightower, ponieważ całą uwagę skupiała na ciotce, która właśnie poprawiała bukiet przy wejściu do budynku.

Morgana powtarzała sobie, że ponosi ją wyobraźnia, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ostatnio Bettina dziwnie się zachowuje. Obcy, nawet znajomi, by tego nie dostrzegli. Ponieważ jednak Morgana od dwunastu lat — czyli od zniknięcia ojca — mieszkała sama z Bettina, doskonale zdążyła poznać ciotkę.

Po pierwsze, Bettina zmieniła fryzurę i makijaż. Co więcej, skróciła spódnicę i zaczęła się perfumować. Morgana wiedziała, że ciotka niedawno skończyła czterdzieści osiem lat. Może to normalne zachowanie u osób w tym wieku?

Bettina zaczęła również wykazywać zainteresowanie gośćmi płci przeciwnej, zwłaszcza przedstawicielami tak szacownych profesji jak medycyna czy prawo.

Parę miesięcy temu miał miejsce nieprzyjemny incydent z geologiem z Chicago. Zarezerwował pokój na cały miesiąc, wyjaśniając w liście, że będzie prowadził badania nad warstwami geologicznymi do rozprawy naukowej. Tymcza-

sem zatrzymał się tylko na trzy dni, a czwartego rano nieoczekiwanie się wyprowadził.

Morgana dopytywała się, czy jest niezadowolony z pokoju bądź obsługi, ale on tylko wymamrotał coś o konieczności nagłego powrotu do Chicago. Zapomniała o sprawie, dopóki tydzień później nie dowiedziała się, że mężczyzna przeprowadził się do pobliskiego motelu, a w mieście krążyły plotki, jakoby w Chateau Hightower doszło do jakiejś niezręcznej sytuacji z właścicielką w roli głównej.

Morgana wiedziała, że ciotce zdarza się lunatykować. Nieraz widziała Bettinę, jak wpatrzona w księżyc stoi przy parapecie albo snuje się po ogrodzie w koszuli nocnej.

—Co tu robisz, ciociu? — pytała, gdy była młodsza. A Bettina odpowiadała dziwnym głosem:

—Słyszysz go, córko? Błaga, by go uwolnić.

Z czasem Morgana przekonała się, że najlepiej po prostu odprowadzić ciotkę do łóżka, bo następnego ranka o niczym nie pamiętała; znów była chłodna i rzeczowa jak zawsze.

Czy właśnie to przytrafiło się geologowi? Może ciocia Bettina znów lunatykowała i tak się niefortunnie złożyło, że weszła do pokoju gościa hotelowego? Młody geolog mógł opacznie zrozumieć sytuację i szybko się wyprowadził.

Morganę zaniepokoiła też sprawa nieszczęsnej Polly Crew. Bettina oskarżyła pokojówkę o niestosowne kontakty z jednym z gości. Morgana nie wierzyła, by Polly była zdolna do czegoś takiego, i dopytywała się, skąd ciotka ma te informacje. Wybuch wszystkich zaskoczył, zwłaszcza że Bettina zrugła dziewczynę w obecności całego personelu, czego normalnie nie robiła.

Morgana zastanawiała się, czy to wszystko daje podstawy do niepokoju. Nawet jeśli tak — zdecydowała, podając kobiecie z dziewczynką klucz — nic na to nie poradzi. Za tydzień opuszcza Chateau Hightower i wróci tu dopiero za trzy lata.

Właśnie dlatego zamyślona Morgana nie zwróciła większej uwagi na pytanie dziewczynki o bliznę na czole. Wciąż bowiem szukała wyjścia z sytuacji, z której wyjścia nie było. Pomysł, by wyjechała do szkoły pielęgniarstwa, wyszedł od Bettiny. Ona sama skrycie marzyła, by kontynuować dzieło ojca. Chciała badać kulturę Indian i znaleźć się w elitarnej grupie naukowców, którzy poświęcili życie na jej ratowanie. Równocześnie jednak czuła, że ma dług względem ciotki, która ją wychowała i się dla niej poświęciła. Nie przeżyła nawet miodowego miesiąca, bo tuż po ślubie z Bettiną ojciec zniknął i odtąd musiała samotnie wychowywać siostrzenicę.

Bettina wychowała Morganę na damę — posłuszną i cichą. Dlatego dziewczyna karnie czytała podręczniki pielęgniarstwa, anatomii i fizjologii, które kupowała jej ciotka. Pod okiem Bettiny też ćwiczyła bandażowanie, robienie zastrzyków i podawanie leków, by w szkole mieć przewagę nad koleżankami. Wiedziała jednak, że — choć wróci tu, by pomagać w prowadzeniu zajazdu — Bettina będzie oczekiwała, by zajmowała się leczeniem i służyła swoją wiedzą mieszkańcom. Ciotka wyobrażała ją sobie bowiem w roli „podróżnej siostry miłosierdzia”, która będzie jeździć po domach, lecząc chorych i rannych. Na samą myśl o tym Morganę ogarniało przygnębienie. Stokroć bardziej bowiem wolała by rozmawiać ze starymi Indianami i zapisywać ich opowieści.

Zmagała się ze sobą dzień i noc.

Ilekcio samotnie wyruszała na pustynię, jej dusza próbowała wyrwać się na wolność. Nocą Morgana wymykała się z łóżka i biegła na otwartą przestrzeń. Podziwiała drobinki kwarcu i miki migoczące w księżycowej poświacie, chłoneła odurzającą woń krzewów kreozotowych i bylicy. W niczym niezmaconej ciszy wydawało jej się, że słyszy, jak tarcza księżycy przesuwa się po niebie. Ogarniało ją poczucie absolutnej, nieskrępowanej wolności. Spadające gwiazdy zdawały się zapraszać ją do zabawy. Biegnij z nami — szeptały, a dziewczyna zrzucała buty i śmigła po piasku, jak gwiazdy po nieboskłonie.

Pustynia przywoływała ją. Kusila tajemniczymi petrogli-fami, grotami strzał i śladami po ludziach, którzy kiedyś tu żyli. Wstydziła się przyznać przed sobą, ale nie zachwycała jej perspektywa pielęgnowania chorych. Co z tego, że ojciec był lekarzem? To nie oznaczało, że odziedziczyła po nim miłość do zawodu. Morga-

na nie była już dzieckiem. Miała dwadzieścia dwa lata. Czowała jednak, że powinna spłacić dług wobec ciotki.

Dlatego za tydzień o tej porze będzie wprowadzać się do pokoju, który na trzydzieści sześć miesięcy stanie się jej domem. Tam będzie musiała się poświęcić realizacji cudzego marzenia.

Bettina zauważyła wyraz twarzy siostrzenicy i od razu wiedziała, co się dzieje w jej głowie. Morgana nie chciała wyjeżdżać. Bettina jednak podjęła decyzję. Wyjazd stanowił element starannie opracowanego planu.

Bettina nosiła obrączkę i występowała jako pani Hightower. Kiedy pytano ją o męża, odpowiadała, że skoro minęło już dwanaście lat, a on nie dał znaku życia, zapewne nie żyje, ale dopóki nie będzie miała na to dowodu, nie nazwie się wdową.

— Wciąż nie tracę nadziei, że pewnego dnia Faraday stanie w tych drzwiach.

Bogiem a prawdą rzadko myślała o Faradayu. Jeśli już, to tylko nocą, gdy wiatr zawodził wśród topól albo kojoty podchodziły niebezpiecznie blisko zajazdu lub kiedy pustynia zamierała w upiornym bezruchu, który sprawiał, że Bettinę przeszywał zimny dreszcz, a serce tłukło jej się w piersi. Tylko w takie noce przerywała zajęcia, wyglądała przez okno na nieprzeniknioną ciemność ciągnącą się aż za horyzont, po nieskończoność. Ogarniało ją wtedy straszne przecucie. Wstrzymywała dech, słuchała bicia serca i wyęczała wzrok, czy na atramentowym niebie nie pojawi się zjawa.

Musiał konać w tej studni przez wiele dni, w powolnej agonii i bólu, spragniony i głodny — dręczyła ją przy takich okazjach myśl.

I zawsze gdy już była pewna, że jej serce zaraz zatrzyma się w piersi, a ona umrze na miejscu, wykonywała jakiś ruch, odkasływała, głęboko wciągała powietrze, mówiła coś na głos. Zamykała wspomnienia w klatce trzymanej w najgłębszym zakamarku mózgu i powtarzała sobie, że Faraday zostawił ją dla jakichś mrzonek, egoistycznie porzucił, wyruszając do Meksyku. Tętno znów zaczynało normalnie bić, a noc stawała się po prostu nocą.

Teraz Bettina przystanęła przed lustrem obok recepcji, upewniając się, czy spod włosów nie wyślizgnęła się treska. Ostatnio zdecydowała się na rolę subtelnej i łagodnej, zwłaszcza po tym jak tragarz, którego właśnie zwolniła, nazwał ją jędzą twardą jak gładz. Taki wizerunek — choć oczywiście nieprawdziwy i krzywdzący — nie służył interesom.

Dlatego Bettina wybrała się pociągiem do Banning, gdzie zaopatrzyła się w czasopisma kobiece oraz poradniki na temat urody i kobiecego zachowania. Najpierw zajęła się włosami, które ostatnio zaczęły jej rzednąć. Bettina słyszała o treskach, które ukryte pod włosami dodawały fryzurze objętości i młodzieńczej urody. Nie zamierzała jednak wydawać pieniędzy na tak kosztowną zabawkę, skoro mogła zbierać ze szczotki własne włosy i upychać je do jasnej pończochy zszytej w wąski wałeczek. Loki i loczki układane na tak zrobionej tresce wyraźnie odejmowały jej lat.

Zamieniła też białe bluzki i ciemne wełniane spódnice na zwiewne bawełniane sukienki w odcieniach różu i błękitu, kończące się w połowie łydki. Czerwoną szminkę zaś zastąpiła różową. Teraz nikt nie odważyłby się nazwać jej ani jędzą, ani twardą jak gładz.

Tego ranka jej fryzura była bez zarzutu. Żadna treska nie wysunęła się spod loczków.

Ściągnęła brwi, przypominając sobie, że włosy to jej najmniejsze zmartwienie. Znacznie bardziej niepokoiło ją to, że comiesięczna przypadłość stała się nieregularna. Cierpiała na uderzenia gorąca, zawroty głowy i bezsenność. Udała się nawet do lekarza w Riverside, gdzie nikt jej nie znał, a on orzekł:

—Po prostu nadchodzi ten czas, pani Hightower.

—Jaki czas?

—Menopauzy.

Słowo raziło ją jak grom. Znała to określenie i zjawisko, ale zawsze wydawało jej się, że to dotyczy innych kobiet. S t a r y c h kobiet.

Menopauza. Przekwitanie. Śmierć. Jej kobiecość umierała. Nagle Bettinę ogarnęło przerażenie. Lekarz wprawdzie podał diagnozę bez emocji, przepisał

jakieś sole i stwierdził, że „będzie musiała się przemęczyć”. Bettina jednak czuła się tak, jakby jej powiedział, że ma raka.

Jak ogłuszona siedziała na dworcu. Nawet nie zauważyła, kiedy odjechały dwa pociągi do Banning, więc do domu wróciła prawie o północy. Siostrzenica odchodziła od zmysłów z niepokoju. Bettina zapewniła Morganę, że nic się nie stało. Spotkała przyjaciół i zasiedziała się z nimi przy kolacji. Doprawdy Morgana nie powinna się tak przejmować. Tej nocy jednak leżąc w łóżku i czekając na pierwsze uderzenie gorąca, myślała o tym, jak strasznie zdradziło ją jej własne ciało. Czuła, jak jej wnętrze usycha — łono, które nigdy nie nosiło dziecka, błona dziewicza, która nigdy nie została przebita. Czterdziestoosmioletnia dziewczyna nagle poczuła palący wstyd i wściekłość.

Do rana nie zmrużyła oka, przeklinając swój los, przeklinając stangreta, który ją splodził, przeklinając matkę, Faradaya i Abigail, bluźniąc przeciwko Bogu. Dopiero kiedy przez zasłonki przedarły się pierwsze promienie słońca, zmęczona i wycieńczona pogodziła się z losem. Skoro tak musi być, trudno. Przyjmie tę kolejną złośliwość losu tak jak zawsze — z godnością i odwagą. Zresztą tylko ona wiedziała, że jest zasuszoną starą panną. Reszta świata widziała w niej żonę i matkę.

Najwyższy czas jednak pomyśleć o nieuchronnej starości.

Bettina starannie opracowała swój plan. Kultywowała przyjaźnie z wpływowymi osobami, które mogły wystawić list polecający do szpitala w Loma Linda — niezbędny, jeśli wziąć pod uwagę, że wykształcenie Morgany pozostawiało wiele do życzenia. W końcu jednak dziewczyna została przyjęta. Później Bettina widziała ją wśród sióstr Ellen White, które z samozaparciem służyły tysiącom biedaków mieszkających w Los Angeles, poświęcając im czas i dzieląc się jedzeniem. To z pewnością poprawi też status Bettiny, bo będzie świadczyło, że wychowała siostrzenicę na przykładną chrześcijankę. Po tym doświadczeniu Morgana wróci do Twentynine Palms i Bettina będzie spokojna, że na starość znajdzie w niej troskliwą opiekunkę. Dodatkową korzyść stanowił powszechnie znany fakt, że pielęgniarki na ogół wychodzą za lekarzy. Oczyma wyobraźni Bettina już widziała przyjęcia, które będzie wydawała ku czci młodej pary —

swojej pasierbicy Morgany i jej męża lekarza — i gale, na które jako członkini śmietanki towarzyskiej będzie zapraszana.

Wiedziała, że Morgana nie chce wyjeżdżać, ale boi się jej sprzeciwić. Rozgrzany do czerwoności pogrzebacz sprzed dwunastu lat skutecznie oduczył siostrzenicę nieposłuszeństwa. Morgana wyrosła na pokorną i ustepliwą. Bettina wciąż nie posiadała się ze zdumienia, jak gładko w końcu wszystko się ułożyło.

Przechodząc przez jadalnię, uśmiechała się do gości siedzących przy stolikach przykrytych lnianymi obrusami i rozkoszujących się słynnymi herbatnikami Bettiny, serwowanymi na chińskiej porcelanie. Dobre maniere obowiązują zawsze, także wtedy gdy mieszka się na pustyni.

Bettina przykładła olbrzymią wagę do swojej pozycji w społeczności Twentynine Palms. Zadbala, by wszyscy wiedzieli, że wywodzi się z bostońskiego rodu mogącego poszczycić się świetnym majątkiem i jeszcze świetniejszym drzewem genealogicznym. „Liddellowie to amerykańska arystokracja” — informowała gości, którzy pytali, skąd pochodzi (zawsze zdradzała ją jej bostońska wymowa). Nikt nie wiedział o stangrecie. Nawet Morgana nie знаła prawdy o pochodzeniu ciotki, więc Bettina mogła sama stworzyć swój wizerunek. Nieraz „wymykało” jej się, że jej przodkowie przybyli do Ameryki na pokładzie Mayflower; dawała też do zrozumienia, że należała do elitarnej organizacji Cór Amerykańskiej Rewolucji. Ani trochę nie przeszkadzało jej, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Czymże było dziedzictwo i pochodzenie, jeśli nie przypadkiem? Zresztą nikomu nie wyrządzała krzywdy. Podejrzewała wręcz, że jej goście i sąsiedzi nabierali lepszego mniemania o sobie, mogąc poszczycić się taką znajomością.

Bettina zawsze dbała, by goście nie przynosili wstydu jej zajazdowi. Początkowo więc nie przyjmowała ludzi z branży filmowej, których plasowała poniżej robotników i imigrantów. Z czasem jednak coraz więcej gwiazd kina zaczęło ściągać na pustynię, tworząc w ten sposób modę na Coachella Valley. To z kolei sprawiło, że coraz więcej turystów rezerwowało pokoje w nadziei na spotkanie z ulubioną gwiazdą. Wtedy Bettina uznała aktorów za pożądanych gości i otworzyła przed nimi podwoje zajazdu. Ci jednak nie zatrzymywali się u niej często. Gospoda Hightower nie miała basenu, kortu ani pola golfowego, a Bettina nie

zamierzała wyrzucać pieniędzy na takie fanaberie. Zmieniła tylko nazwę z „gospoda” na „chateau”, w broszurze zaś dawała do zrozumienia, że gwiazdy zjawiają się u niej nie po to, by zażywać ruchu na świeżym powietrzu, ale by odpocząć incognito po trudach pracy na planie. Turyści więc rezerwowali u niej pokoje, licząc, że wypatrzą wśród gości Jean Harlow lub Clarka Gable'a. To z kolei dało jej pretekst do podniesienia cen. Za możliwość otarcia się o gwiazdę trzeba przecież płacić.

Tak, Bettina odniosła sukces. Gospoda prosperowała. Jej właścicielka cieszyła się powszechnym szacunkiem. Faraday nie wrócił i nie zepsuł wszystkiego, jak to miał w zwyczaju. Morgana zaś miała zostać pielęgniarzką i żoną lekarza. Wydawało się, że nic nie zniweczy planu doskonałego.

Morgana stała za blatem recepcji, układając karty pocztowe, gdy zauważyła, jak wśród kaktusów czterech roślących chłopaków katuje drobny dzieciak. Kiedy przewrócili go na ziemię i Morgana zobaczyła krew, wypadła z krzykiem przed budynek. Napastnicy błyskawicznie się rozpierchli. Przyklękła przy chłopcu.

Czoło miał rozcięte kamieniem.

Pomogła mu wstać i przyłożyła czystą chusteczkę do rany.

— Już dobrze — uspokajała, widząc łzy w jego oczach. — Nie przejmuj się nimi. To tchórze, skoro wybierają na ofiarę kogoś młodszego od siebie.

— Mam czternaście lat — powiedział.

Była zdumiona, dałaby mu najwyżej dwanaście.

— Za parę tygodni obchodzę piętnaste urodziny — dodał chłopak i drżącym głosem zapytał: — Skaleczenie jest poważne?

— Nie, ani trochę. Przyłożę ci coś i raz-dwa się zagoi.

— Tak samo było z panią? — spytał, pokazując jej czoło.

Uśmiechnęła się.

— Mniej więcej — odparła, choć właściwie nie przypominała sobie okoliczności wypadku.

Pani Candlewell powiedziała jej, że kiedy miała dziesięć lat, potknęła się i upadła na rozgrzaną płytę kuchenną. Sama Morgana nic nie pamiętała.

— Wejść do środka, przemyjemy to jak należy. — W ostatniej chwili pohamowała odruch wzięcia go za rękę. Jeśli chłopak za parę tygodni naprawdę kończy piętnaście lat, z pewnością nie chciałby być traktowany jak maluch.

Już mieli przestąpić próg, kiedy podeszła do nich kobieta w szykownym kapelusiku na niezwyklej platynowych włosach.

— Witam — zwróciła się do Morgany. — Jestem Elizabeth Delafield. Widzę, że już poznałeś mojego syna, Gideona.

ROZDZIAŁ 63

Być teraz muchą na ścianie Chateau Hightower — myślała Polly Crew, siedząc w fordzie George'a Martina. Widziała, jak czwórka łobuzów czmycha, a Morgana Hightower pomaga wstać pobitemu chłopcu. Później usłyszała, jak elegancka kobieta przedstawia się jako Elizabeth Delafield.

Polly uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją. O, jakże by chciała teraz być w zajezdzie i obserwować rozwój wypadków; zobaczyć minę Bettiny Hightower, gdy zjawią się jej nowi goście; być świadkiem, jak dokonuje się misternie zaplanowana zemsta.

Polly pracowała jako pokojówka w Chateau Hightower, kiedy w zajezdzie zamieszkał młody student imieniem Zane, badający tutejszą faunę i florę. Szybko

narodziła się między nimi młodzieńcza miłość. Nic niestosownego, tylko długie spacerowanie, czasem niewinny pocałunek. Kiedy jednak Bettina Hightower usłyszała o sprawie, zrugła dziewczynę w obecności personelu i gości, głośno oskarżając ją o moralne zepsucie. Zszokowana Polly, która była dziewczyną i za nic nie dopuściłaby się nieprzyzwoitości, w milczeniu słuchała, jak Bettina nieodwracalnie rujnuje jej reputację, i ze zgrozą patrzyła, jak zmienia się wyraz twarzy Zane'a. Chociaż wyznał Polly miłość, teraz nabrał wątpliwości, czy to odpowiednia kandydatka dla niego. Wyjechał jeszcze tego samego wieczoru i więcej nie wrócił.

Wszyscy świadkowie sceny zaczęli wątpić w uczciwość Polly. Owszem, sprawiała wrażenie porządnej i miłej dziewczyny, ale ostatecznie to pokojówka, a wiadomo, jaką reputację mają służące.

Dopiero żona Joego Candlewella, Ethel, uratowała dziewczynę. Polly straciła matkę w 1918 roku, gdy w kraju szalała influenza. Kiedy potem jeszcze doszedł kryzys gospodarczy, Polly przeniosła się z ojcem na zachód w poszukiwaniu lepszego życia. Orville Crew kupił parcelę na pustyni i przekopywał ją w poszukiwaniu złota, podczas gdy Polly zarabiała na nich oboje, pracując w Chateau Hightower. Choć właścicielka potraçała pieniądze za mieszkanie (pokój dzielony z pięcioma innymi pokojówkami) oraz za wikt i opierunek, wystarczało najedzenie i narzędzia dla ojca zapamiętałe polującego na złoto. Orville Crew nawet w najgorszych chwilach nie tracił wiary.

— Możemy być biedni jak myszy kościelne — powtarzał córce — ale dopóki człowiek ma dobre imię, dorównuje książętom i cesarzom.

Nic więc dziwnego, że Polly nie potrafiła przyznać się ojcu, dlatego została zwolniona z Chateau Hightower. Modliła się tylko, żeby nigdy nie poznał prawdy. Niestety na pustyni wiadomości i plotki błyskawicznie się roznoszą. Kiedy Orville Crew usłyszał okropne historie o swojej córce, dostał ataku serca i zmarł u wejścia do swojej kopalni.

Chociaż Polly wszem wobec głosiła swoją niewinność, stała się wyrzutkiem. Tylko Ethel Candlewell domyślała się prawdy: Bettinie też wpadł w oko młodzieńcy, niewinny Zane. Nie miała dowodów, by poprzeć swą teorię, ale widziała, jakimi względami Bettina darzy przystojnych, dobrze wyedukowanych gości, zwłaszcza tych, którzy mogli się poszczycić tytułem profesora lub doktora przed

nazwiskiem. Ethei była przekonana, że właścicielka zajazdu zwolniła dziewczynę z czystej zazdrości. Żal jej się zrobiło biedulki, więc przygarnęła ją, dała jej mieszkanie i pracę w sklepie. Tam złamana, okryta hańbą Polly pracowała, dopóki nie uśmiechnął się do niej los.

Wszystkie przesyłki pocztowe i przekazy Western Union trafiały do sklepu Candlewellów. To stąd mieszkańcy odbierali listy, paczki i prenumeratę. Do obowiązków Polly należało sortowanie poczty zostawianej co dzień przez kuriera. Kiedy zobaczyła list zaadresowany do doktora Faradaya Ffightowera, w pierwszym odruchu chciała go wsunąć do woreczka z napisem Chateau Hightower, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

Faraday. Czy to nie on zniknął dwanaście lat temu? Mąż Bettiny? Polly przypomniała sobie plotki krążące w miasteczku. Mówiło się, że Bettina i Faraday wcale nie byli małżeństwem, że nazwisko Hightower i obrączka to oszustwo mające zapewnić Bettinie poważanie i pozycję społeczną. Polly zaś doskonale wiedziała, jak bardzo byłej pracodawczyni zależy na szacunku.

Wsunęła kopertę do kieszeni i otworzyła wieczorem w zaciszu swojego pokoiku na poddaszu.

List był napisany na gustownej papeterii z nagłówkiem: „Dr antrop. Elizabeth Delafield”.

Polly nie miała pojęcia, co oznacza „dr antrop.”, doskonale jednak wiedziała, jak wygląda list miłosny.

„Mój drogi Faradayu, mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Odzywam się po tylu latach, by donieść, że wreszcie skończyłam książkę i wkrótce ukaze się ona drukiem. Pozwoliłam sobie zamieścić kilka Twoich rysunków, więc chciałabym osobiście podarować Ci egzemplarz autorski. Zdaję sobie sprawę, że sytuacja może być niezręczna, ale jeśli mimo to pozwolisz, bym Cię odwiedziła, z chęcią zjawię się, by odbudować naszą przyjaźń. Wciąż z rozrzewnieniem wspominam nasze wspólne chwile z lata 1916 roku. Ogromnie bym się cieszyła, gdybyś wreszcie poznał swojego syna. To bystry chłopiec, wrodził się w Ciebie. Nie wie, kto jest jego ojcem. Gorąco jednak pragnęłabym mu to

powiedzieć i pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli zrobimy to wspólnie. Czekam na Twą odpowiedź. Elizabeth".

Na czole dziewczyny pojawiła się zmarszczka. Czyżby mąż Bettiny był wcześniej żonaty? Ale tu nic się nie zgadzało. Owa tajemnicza Elizabeth Delafield pisała o lecie 1916 roku. Polly wiedziała doskonale, że Morgana Hightower ma dwadzieścia dwa lata, ponieważ przyjaciele wydali skromne przyjęcie urodzinowe na jej cześć. To znaczyłoby, że Morgana miała sześć lat, gdy jej ojciec poznał Elizabeth Delafield. Polly jeszcze raz przeczytała list. Tym razem rzuciły jej się w oczy słowa „gdybyś wreszcie poznał swojego syna”. Syn, o którego istnieniu doktor Hightower nie wiedział. Owoc romansu, o którym Bettina Hightower nie miała pojęcia, skoro Elizabeth wspomina o „niezręcznej sytuacji”.

Zaiste wyjątkowo niezręcznej, zwłaszcza dla kobiety, która taką wagę przywiązuje do opinii. Pojawienie się kochanki męża z nieślubnym dzieckiem to bodaj najgorsze, co mogłoby ją spotkać,

Na Polly spłynęło natchnienie.

Nie planowała zemsty z przyjemnością ani dla złośliwej satysfakcji. Wiedziała, że źle postępuje i ojciec by tego nie pochwalił. Jednakże za sprawą tej kobiety, która zrujnowała jej życie, została na świecie sama jak palec. W młodym sercu zebrało się tyle bólu, gniewu i wściekłości, że Polly działała bez zastanowienia.

Raz w tygodniu Sandy Candlewell jeździł do Banning uzupełnić zapasy i nadać pocztę. Każdy, kto chciał wysłać telegram, dawał chłopakowi kartkę, a on udawał się z nią do telegrafisty. Sandy służył z dyskrecji. Nigdy nawet nie zajrzał do powierzonych mu kartek. Polly ważyła każde słowo: „Najdroższa Elizabeth. Przyjedź natychmiast. Jestem sam. Weź naszego syna. Twój na zawsze, Faraday”. Telegram pochłonął jej tygodniowe zarobki, ale co tam!

Czekała na odpowiedź, a kiedy ta dotarła do sklepu Candlewellów w postaci telegramu: „Najdroższy Faradayu, przyjadę z Gideonem dziesiątego. Kocham, Elizabeth”, przytknęła do niego zapalniczkę i patrzyła, jak żółty blankiet zwija się i płonie. Ani przez chwilę nie zastanawiała się, jak ten postępek wpłynie na życie

kobiety nazwiskiem Delafield i jej syna. Polly myślała wyłącznie o chwili, gdy życie Bettiny Hightower legnie w gruzach, jak wcześniej jej własne.

Teraz więc siedziała w fordzie George'a Martina zaparkowanym naprzeciwko zajazdu. Na kolanach trzymała torbę ze swoim skromnym dobytkiem, kapciuchem ojca i zaczytaną Biblią. Kiedy przekonała się na własne oczy, że jej intryga zadziałała, poprosiła George'a, by ruszył. Odwoził ją do Banning, gdzie chciała złapać pociąg, który miał powieźć ją do nowego miasta i nowego życia..

ROZDZIAŁ 64

— Jestem Elizabeth Delafield.

Kobieta powiedziała to z naciskiem, jakby spodziewała się po Morganie jakiejś reakcji. Dziewczynie jednak to nazwisko nic nie mówiło. Przemyła ranę chłopca jodyną i przyłożyła opatrunek, po czym wróciła za kontuar, by wpisać gości do księgi.

— Mają państwo szczęście — powiedziała. — Zwolniło się miejsce. Gość w ostatniej chwili odwołał przyjazd. Wszystkie pokoje są zarezerwowane aż do wakacji.

— Przecież zrobiłam rezerwację — powiedziała Elizabeth, zachodząc w głowę, gdzie się podział Faraday.

Ta dziewczyna to z pewnością jego córka. Dlaczego nie powiedział jej, że przyjeżdżają?

—Prawdopodobnie list nie dotarł. To się zdarza. Poczta wciąż bywa zawodna.

—Nadałam telegram.

Morgana spojrzała na gościa. Sandy Candlewell zawsze bardzo pilnował telegramów, ponieważ zwykle zawierały ważne wiadomości.

— Przykro mi. — To wszystko, co mogła powiedzieć. — Na szczęście możemy pani i pani synowi zaoferować ładną kwaterę.

Wpisując się do księgi, kobieta dziwnie zerknęła na Morgane, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Dziewczyna przywykła, że ludzie się na nią gapią, ale nie w taki sposób. Przeczytała wpis do księgi. „Dr Delafield”.

—O, jest pani lekarką.

—Antropologiem.

Delafield wyciągnęła rękę. Kiedy podały sobie dłonie, Morgana dostrzegła w oczach kobiety błysk zainteresowania. Nie uszło też jej uwagi, że pani Delafield przytrzymała jej dłoń nieco dłużej, niż wypadało. Po raz kolejny dziewczyna odniosła wrażenie, że tamta stara się coś jej przekazać.

— Proszę za mną — powiedziała, zdejmując klucz z haczyka i biorąc walizkę. Pani Delafield niosła drugą. — Kolację podajemy o siódmej — informowała, gdy szły przez werandę na kamienny chodnik. — Wszyscy jedzą o tym czasie, potem kuchnia jest nieczynna.

Ukradkiem zerknęła na tę niezwykłą kobietę. Ogarnęło ją niewytłumaczalne poruszenie.

Elizabeth Delafield nosiła męską koszulę wpuszczoną^w spodnie o męskim kroju. Morgana widywała już kobiety w spodniach, to stało się prawie normą w kurortach. One jednak na ogół wybierały fason zbliżony do spodni marynarskich, podkreślający kobiece krągłości. Pani Delafield zaś wyraźnie preferowała męski styl. A przecież równocześnie wybrała do tego niezwykle kobiecą i delikatną biżuterię. Jej ułożone w fale platynowe włosy i zaznaczone kredką brwi przywozdiły na myśl Marlenę Dietrich.

Do tego była antropologiem! Morgana wcześniej już spotykała naukowców tej specjalności — często przyjeżdżali tu, by prowadzić badania nad Indianami kultywującymi tradycje przodków — nigdy jednak nie widziała wśród nich kobiety. Ciekawe — myślała podekscytowana — czy będę mogła zadać jej kilka pytań?

Idąc za dziewczyną, Elizabeth z trudem hamowała podniecenie. Faraday! Może jest kilka kroków stąd? Patrząc na znakomicie prosperującą gospodę, cieszyła się z jego sukce- ; su. Może znalazł szamanów, a potem się ustatkował?

Telegram był krótki. „...Jestem sam. Weź naszego syna...” To w zupełności jej wystarczało. Za parę chwil znów się zobaczą!

— Proszę, oto państwa dwupokojowy domek. Morgana otworzyła drzwi i wprowadziła gości, pokazując

kominek, drzwi do sypialni i lampy naftowe.

—W domkach nie ma elektryczności, za to są łazienki. Niedawno je dodaliśmy i jesteśmy z nich bardzo dumni.

—Urocze — orzekła Elizabeth, wodząc wzrokiem po indiańskich narzutach, skórach i widoczkach z pustyni, zawieszonych na ścianach. Zachęciła syna, żeby zajrzał do drugiego pokoju i wybrał sobie łóżko.

—Nie mamy telefonu — mówiła dalej Morgana — ale nasi goście mogą korzystać z aparatu w sklepie pana Candle-wella. Można nawet zamawiać rozmowy międzystanowe — dodała, sama nie wiedząc po co.

Zapewne podświadomie zakładała, że tak wyrafinowana kobieta — antropolog! — która emanowała taką energią, w której uśmiechniętych oczach widać było taką inteligencję, z pewnością będzie odbywała jakieś ważne rozmowy telefoniczne. Podała jej klucz.

— Zaraz przyślę pokojówkę.

Doktor Delafield znowu dziwnie na nią spojrzała, jakby chciała coś powiedzieć. Nie odezwała się jednak, więc Morgana wyszła.

Elizabeth odprowadziła wzrokiem szczupłą wysoką dziewczynę o kręconych kasztanowatych włosach. Swój wyrazisty nos i wydatne kości policzkowe ewidentnie odziedziczyła po ojcu.

Elizabeth kusiło, by od razu zapytać o Faradaya, ale postanowiła najpierw się odświeżyć. Z trudem też się powstrzymała, by nie wygadać Gideonowi, że ta młoda pani to jego przyrodnia siostra. Od kiedy dostała telegram z zaproszeniem, odchodziła od zmysłów z radości. Ileż to razy w ostatniej chwili gryzła się w język, by nie powiedzieć Gideonowi prawdy. Wiedziała jednak, że chłopiec powinien usłyszeć wszystko od niej i od Faradaya — w odpowiedniej chwili i w spokojnej atmosferze.

Kiedy przed szesnastu laty pisała do Faradaya, była zraniona i rozgoryczona. Czuła się oszukana, ponieważ w czasie ich romantycznego epizodu w Smith Peak był żonaty. W liście napisała, żeby jej nie szukał. Być może nie usłuchał zakazu. Jednakże tak starannie zatarła ślady, że nie znalazłby jej, nawet gdyby chciał. Nie wiedziała, czy odchodził od zmysłów, czy robił wszystko, by znaleźć ją i zobaczyć ich dziecko? A może on również poczuł się oszukany i zdradzony i teraz jest zgorzkniałym starszym mężczyzną, w niczym niepodobnym do doktora Hightowera, którego znała?

W następnych latach Elizabeth wielokrotnie myślała o tym, by skontaktować się z Faradayem, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Wreszcie znalazła idealny pretekst. Jej książka wreszcie trafiła do druku, a Faraday — za sprawą swoich szkiców — był współautorem. Mogli spotkać się w interesach. Po to, by porozmawiać o wypłacie tantiem za zamieszczenie reprodukcji jego rysunków. Nawet najbardziej zazdrosna żona nie mogłaby się przyczepić.

Tak oto napisała do Faradaya.

A on odpisał!

„Jestem sam”. Co się za tym kryło? Czyżby jego żona umarła? Elizabeth miała nadzieję, że nie dotknął go aż taki cios. Wystarczyło, że zmarła jego pierwsza żona, matka Morgany. Liczyła raczej, że drugie małżeństwo zakończyło się przyjacielskim rozwodem. Pamiętała charakterystyczną dla wyższych sfer wy-

mowę pani Hightower i jej manieri. Może kobieta źle się czuła na pustyni i wróciła do Bostonu, zostawiając Faradayowi uprzejmy liścik pożegnalny.

Drżąc z podniecenia, Elizabeth otworzyła okiennice i wyjrzała przez okno. Pomyślała o dziewczynie w recepcji. Ewidentnie nazwisko Delafield nic jej nie mówiło. Zatem Faraday nie opowiedział córce o ich związku. Nie uprzedził jej nawet o przyjeździe Elizabeth. Zwykła ostrożność — pomyślała. Cały Faraday.

Powiodła wzrokiem po ładnie utrzymanym, otoczonym krzewami placyku z fontanną, stolikami i krzesłami. Gdzie jest Faraday? Siedzi nad książkami o szamanach? Rysuje jastrzębia w locie? A może zastanawia się, jak się ubrać na ich spotkanie po latach?

Ostatnia myśl sprowadziła ją na ziemię. Sama powinna się ogarnąć, długa podróż z Los Angeles dała jej się bowiem we znaki. Najpierw się odświeży i stannie ubierze, a potem pójdzie szukać Faradaya.

Może zrobię mu niespodziankę? zastanawiała się. W telegramie nie podała godziny przyjazdu, tylko datę. Prawdopodobnie Faraday oczekiwał ich dopiero wieczorem. Albo od wczesnego ranka czekał przed wejściem, wypatrując, i podał się akurat tuż przed jej przyjazdem? Wyobrażając sobie jego zaskoczenie i radość na twarzy, otworzyła walizki i zaczęła wyrzucać bluzki, koszule, swetry i spodnie. Jej jedwabna kobieca bielizna delikatnie pachniała różami. Czy będziemy kochać się jeszcze tego wieczoru? myślała. Nie mogła się doczekać pocałunków Faradaya, jego pieścizot i tego, jak później będzie leżała w jego ramionach. Nie zaznała mężczyzny od czasów Smith Peak. To były najszcześniejsze chwile w jej życiu.

Nie, prawie najszcześniejsze, poprawiła się, słysząc skrzyp otwieranych i zamykanych szuflad w sąsiednim pokoju. Najszcześniejsza była noc, kiedy na świat przyszedł Gideon.

Elizabeth nie przyjechała do Twentynine Palms tylko z powodu książki. Przyjechała także ze względu na Gideona.

Ona i jej syn od początku żyli jak nomadowie. Przenosiła się z pracy do pracy, to prowadziła wykłady, to badania. Nigdzie dłużej nie zagrzała miejsca, nigdzie nie zapała korzeni. Skutek był taki, że dziś — po piętnastu latach — cały ich dobytek mieścił się w jednym kufrze. Stare zabawki Gideona, ulubione książki Elizabeth, pamiątki i sprzęt fotograficzny — życie dwu osób zamknięte w starej skrzyni, która podróżowała z nimi z miasta do miasta. Tym razem miała trafić do Mesa Verde, gdzie Elizabeth właśnie szukała domu.

Czy to możliwe — odważyła się marzyć — że kufer trafi tutaj, a ja i Gideon wreszcie przestaniemy błąkać się po świecie? Chłopiec potrzebuje domu z prawdziwego zdarzenia.

Zjawiała się pokojówka z czystymi ręcznikami.

— Ta młoda recepcjonistka — zagaiła rozmowę Elizabeth — to córka właścicieli?

— Tak, to panna Ffighttower.

— A pan Ffighttower? — spytała od niechcienia, bacznie przyglądając się lampie.

— Chodzi o doktora? Jego już od dawna nie ma. Elizabeth spojrzała na pulchną siwą kobietę w białym mundurku pokojówki, jaki widywało się w tysiącach zajazdów w całej Kalifornii.

— Nie rozumiem? Jak to: nie ma?

Pokojówka rozejrzała się i zniżyła głos, skora do plotek.

— Zniknął dwanaście lat temu w atmosferze skandalu. Wtedy tu nie mieszkałam, ale ludzie mówią, że uciekł z miejscową dziewczyną. Podobno ukradł też pieniądze. Zostawił żonę i dziecko, a sam ulotnił się do Meksyku. Ale patrząc na panią Hightower, człowiek by się nie domyślił. Nie rozmawia o tym. Udaje, że nic się nie stało.

Pani Hightower! Czyli żona Faradaya wciąż tu jest! Musiała pozbierać myśli.

—Zniknął? — powtórzyła bezwiednie.

— Tak głosi plotka — odparła pokojówka, zanosząc ręczniki do łazienki. — Trzeba dwa razy pociągnąć, żeby dobrze spłukać — dodała, nie zauważając rozwartych ust i nagłej bladości rozmówczyni.

Kiedy wyszła, zamykając za sobą drzwi, Elizabeth wciąż stała w miejscu jak ogłuszona. Faradaya nie ma? Zniknął dwanaście lat temu? Jak to możliwe?

Kto w takim razie przysłał telegram?

Elizabeth podeszła do drzwi, otworzyła je i wyjrzała. Ogrodnik grabił ziemię przy fontannie. Starszy mężczyzna o twarzy jak orzech kokosowy. Spojrzał na nią spod ronda podniszczonego kapelusza, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

— Señor Faraday? Wyjechał dawno. Nie wiadomo dokąd.

Czyli to prawda. Wróciła do środka. W jej sercu hulał lodowaty wiatr. Tam gdzie przed chwilą panowało radosne podniecenie, teraz ziała pustka. Nagle zaświtała jej straszliwa myśl. Może nie żył? Może spotkało go jakieś nieszczęście?

— Mamo? Dobrze się czujesz?

Gideon siadł przy niej zaniepokojony. Elizabeth z całej siły przytuliła go do siebie. Najdroższe dziecko, dar Faradaya.

— Ktoś sprawił ci przykrość? — spytał, wysuwając chłopięcą bródkę. — Powiedz, jak się nazywa, a ja się z nim policzę!

Przeciągnęła rękę przez jego gęste włosy. Uwielbiała tę waleczność Gideona. Zawsze był gotów dla niej zabijać najstraszliwsze smoki. Uważał się za jej rycerza i nie mógł się doczekać, kiedy dorośnie, żeby się nią zaopiekować.

— Nie trzeba, kochanie. Jestem tylko zawiedziona. Chodzi o tego mojego starego znajomego, doktora Hightowera, z którym mieliśmy się spotkać. Właśnie się dowiedziałam, że go nie ma. Wyjechał dawno temu.

Przyłożyła chusteczkę do oczu i głęboko oddychała. Musi być jakieś wytłumaczenie. Wszystko wskazywało na żonę Faradaya. Któż inny otworzyłby list do niego adresowany i odpowiedział telegramem podpisanym jego imieniem? Ale

po co? Żeby ją upokorzyć? Czyżby pani Hightower po tylu latach wciąż jeszcze miała do niej żal?

Wie o książce, uświadomiła sobie Elizabeth. I liczy na tantiemy. W końcu znalazły się tam szkice Faradaya i wzmianka o nim. Tak, to wszystko tłumaczy.

Tylko po co ta szarada? Dlaczego nie napisała otwarcie? Dlaczego podawała się za Faradaya? Ponieważ wiedziała, że do niej bym nie przyjechała — odpowiedziała sobie na pytanie.

Nagle ogarnęła ją wściekłość. Poczula się oszukana, wystrychnięta na dudka. Padła ofiarą podstępu i złośliwości. Natychmiast stąd wyjedzie, zabierając Gideona. Nie da tej podłej kobiecie satysfakcji, że jej plan się powiódł, nie wspominając nawet o tantiemach ze sprzedaży albumu.

— Nic mi nie jest, kochanie — uspokoiła Gideona, zmuszając się do uśmiechu. — To ja powinnam spytać, jak się czujesz. — Walcząc ze łzami, zajrzała pod opatrunek. Był czysty. — Wszystko w porządku?

Oczami wyobraźni zobaczyła czekającą ich drogę. Była długa, niebezpiecznie kręta, wiodła przez górskie przełęcze. Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie poszukać innego lokum, ale wtedy przypomniała sobie, co mówiła Morgana, prowadząc ich do domku. Wiosna stanowiła w Twentynine Palms szczyt sezonu turystycznego. Każdy zajazd i hotel w promieniu siedemdziesięciu kilometrów miał komplet gości.

Elizabeth nie chciała tu zostawać ani chwili dłużej, ale wiedziała, że dla dobra syna powinni zjeść kolację i przenocować. Wyruszą jutro z samego rana.

Potem przypomniała sobie o książce.

—Gideonie — powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu — chyba będzie lepiej, jeśli nie będziemy się chwalić moją książką.

—Dobrze — zgodził się.

To było za mało. Mogło mu się coś wymknąć.

— Wiesz, że mój przyjaciel nazywa się Hightower i jest właścicielem tego zajazdu. Ta młoda pani z recepcji jest jego córką. Przypuszczam też, że poznamy

jego żonę. Może cię korcić, żeby wspomnieć o książce. W końcu on też w niej się pojawia. Mimo to...

Westchnęła. Znowu musi wybrać między prawdą a kłamstwem. Kiedy Gideon był malutki i zaczął pytać o ojca, nie mogła mu powiedzieć: „Popęłnił cudzołóstwo. Okłamał mnie. Twierdził, że nie jest żonaty. A kiedy napisałam, że spodziewam się jego dziecka, nie był łaskaw odpisać”. Choć w głębi duszy nie wierzyła, by Faraday mógł tak postąpić, miała dowody, a jako naukowiec wyciągała wnioski na podstawie faktów, nie domniemań. Analizując odciski dłoni na prekolumbijskich petroglifach, niektórzy badacze spekulowali, że symbolizują one wrota do innego świata, związek człowieka z naturą albo wreszcie szamana zaznaczającego swoje terytorium. Choć Elizabeth sama chętnie snuła romantyczne domysły, wiedziała, że z całą pewnością może twierdzić jedynie, iż wieki temu jakiś mężczyzna zanurzył dłoń w farbie i przycisnął ją do skały. To wszystko. Kropka.

Tak samo było z Faradayem. Choć bardzo chciała wierzyć w co innego, nie mogła ignorować dowodów, jakie zobaczyła szesnaście lat temu, odwiedzając Casa Esmeralda: żonę z obrączką na palcu, dziewczynkę, która nazywała ją mamą, i pokojówkę zwracającą się do niej „pani Hightower”.

Tylko jedna zagadka pozostawała niewyjaśniona: po co Faraday zaprosił ją do Casa Esmeralda?

Elizabeth przyjechała wcześniej, chcąc zrobić mu niespodziankę. Czy naprawdę planował wysłanie żony i córki na wakacje? Czy ona i Faraday mieli do powrotu rodziny mieć dom do wyłącznej dyspozycji?

Od niemal szesnastu lat myśli te nie dawały jej spokoju. Do dnia, gdy napisała do Faradaya o książce, a w odpowiedzi otrzymała telegram z zaproszeniem.

Teraz była jeszcze bardziej zdezorientowana. I zaniepokojona. Dokąd udał się Faraday?

Postanowiła skupić się na najpilniejszej kwestii. Do tej pory Elizabeth osłaniała syna przed okrutną prawdą i raczyła go miłą bajeczką, że związek z jego ojcem był piękny i czysty — co było prawdą — ale ważne przeszkody sprawiły, że nie mogli się pobrać. Dlatego rozstali się i każde żyło osobno. Zamierzała wy-

znać prawdę Gideonowi, gdy będzie starszy i na tyle dojrzały, by zrozumieć, co naprawdę się wydarzyło.

Ale co teraz? Najgorsze co mogło spotkać Gideona, to gdyby poznał prawdę od obcych. Elizabeth zaś zbyt dobrze wiedziała, jak szybko plotki roznoszą się w małych miasteczkach. Wystarczy parę dni, by wszyscy w promieniu stu kilometrów wiedzieli, że Gideon jest synem Faradaya Hightowe-ra, dzieckiem z nieprawego łoża.

— Widzisz, synku — powiedziała, gdy szykowali się do wyjścia — doktor Hightower zniknął bez śladu. Nikt nie wie, co się z nim stało. To może być bolesny temat dla jego żony i córki. Dlatego sądzę, że lepiej będzie, jeśli nie nikomu nie wspomnimy o książce. To będzie nasza tajemnica, zgoda?

— Nie ma sprawy!

Poklepała go po plecach. Wiedziała, że syn dotrzyma słowa. Otworzyła drzwi i w duchu przygotowała się na nieuniknione spotkanie z żoną Faradaya.

Był piątek, więc w piekarniku dochodził duży kurczak.

W inne wieczory na kolację podawała królika albo — jeśli nic nie wpadło w sidła — dania jarskie. Bettina z ukontentowaniem oglądała nakryte stoły w jadalni. Znowu komplet. Morgana powiedziała, że wynajęła dwupokojowy domek kobiecie z synkiem, która właśnie przyjechała z Los Angeles. Tak oto ostatnie wolne miejsca zostały zajęte. Bettina była przekonana, że nawet gdyby nie zjawiła się ta kobieta, do rana znalazłby się inny chętny — znużony podróżnik, który optymistycznie wyobraził sobie, że dotrze do Arizony w jeden dzień, ale przegrał z krętą męczącą trasą wiodącą przez Twentynine Palms. Takim gościom liczyła za pokój dwa razy więcej. W końcu nie mieli wyboru.

W ciągu tych kilkunastu lat osada znacznie się rozrosła. Skończyła się wojna, do kraju wrócili żołnierze zatruci gazem musztardowym. Twentynine Palms idealnie się dla nich nadawało — znakomity klimat, niezbyt wysoko położone, dobra komunikacja z dużymi miastami. Weterani ściągali rodziny i z czasem zasiedlili ponadsześćdziesięciohektarowy teren. CMteau Hightower, który oprócz głównego budynku hotelowego oferował gościom wolno stojące domki, cieszył

się w okolicy niezwykłą popularnością. Nic więc dziwnego, że gdy w kraju zapanował Wielki Kryzys, do drzwi kuchennych nieustannie stukały jakieś przybłędy, prosząc o datek albo pracę. Bettina, w której słowniku nie było słowa „datek”, dawała pracę. Płaciła najniższą stawkę w okolicy, równocześnie licząc najdrożej za pokoje. Dzięki temu do jej sakiewki wpadały okrągłe sumki. Dziś najbardziej obawiała się tego, że jeśli Franklin Roosevelt zostanie wybrany na prezydenta, gospodarka wyjdzie z zapaści. Wtedy pracownicy zażądałiby wyższych płac, a jej zyski by się skurczyły.

Na pustynię ściągало też wielu mężczyzn, którzy straciwszy pracę, postanowili szukać tu (czasem nawet z powodzeniem) złota. Spędzali całe tygodnie, kopiąc po dwadzieścia godzin dziennie, potem na krótko wyjeżdżali do domów, by uzupełnić zapasy żywności i spędzić czas z rodziną. Kiedy wracali do kopalń, zawsze zatrzymywali się w Chateau Hightower, by przed kolejnymi tygodniami harówki posilić się sutą kolacją. Bettina lubiła poszukiwaczy złota. Nigdy nie narzekali na ceny i zostawiali duże napiwki, pełni wiary, że tym razem los się do nich uśmiechnie.

Początkowo Bettina postawiła dla gości prowizoryczne chaty kryte płótnem. Za szkielet posłużyły jej pale z opuszczonych kopalń. Z czasem jednak wzniosła porządne ściany i dachy. Główny budynek był postawiony z cegły adobe. Piętro zajmowały Bettina i Morgana, na parterze zaś znajdowała się kuchnia, jadalnia, salon dla gości i recepcja. Dom okalała weranda, z której rozciągał się widok na ogród poprzecinany kamiennymi alejkami. Wody dostarczała wykopana przed laty studnia artezyjska, ale Bettina na wszelki wypadek kazała też zbudować kamienne zbiorniki, w których gromadziła deszczówkę z letnich burz albo topiła zimowy śnieg. Kiedy poziom wody w studni się obniżał, a zbiorniki wyschły, Bettina wprowadzała racjonowanie wody, a ona i Morgana odświeżały włosy, czyszcząc je na sucho płatkami owsianymi.

Teraz jednak była wiosna, wody nie brakowało, we wszystkich wazonach stały świeże kwiaty zebrane na pustyni. Kwiaty nic nie kosztowały, ale goście nie musieli o tym wiedzieć.

Krótko mówiąc, Bettina wiodła sielskie życie.

Kiedy Elizabeth z synem weszła do salonu, Gideon natychmiast podbiegł do radioodbiornika stojącego w mahoniowej szafce. Jego matka zaś duchowo przygotowywała się do nieuchronnej konfrontacji z żoną Faradaya.

Uśmiechając się uprzejmie do gości na kanapach i fotelach oczekujących dzwonka na kolację — choć serce jej pękało z zawodu, smutku i niepokoju, a w głowie brzęczała uparta myśl: gdzie podziwia się Faraday? — szukała czegoś, co by go przypomniało. Na ścianie jednak nie wisiał żaden jego rysunek, nigdzie też nie stała ceramika, którą z takim zapałem kolekcjonował. Elizabeth bardzo liczyła, że wreszcie zobaczy słynną *ollę*. Faraday pokazywał jej rysunki, ale one z pewnością nie oddawały całej urody naczynia. Tymczasem nigdzie nie było widać złocistego dzbana. Przeszła do jadalni i serce mocniej jej zabiło, gdy usłyszała głos, którego nie mogłaby zapomnieć, choćby bardzo chciała.

— Głupia — karciała pokojówkę Bettina. — Jeszcze się nie nauczyłaś, gdzie się kładzie widelec do sałatki?

Obejrzała się i zobaczyła w drzwiach gościa.

— Dobry wieczór. Witamy w Chateau Hightower — wygłosiła ulubioną formułkę i w tej samej chwili znieruchomiała. Rozpoznała blondynkę, którą wiele lat temu poczęstowała herbatą i której jak sądziła, na dobre pozbyła się ze swego życia.

— Witam, pani Hightower — odpowiedziała Elizabeth.

Mimo kłębiących się w niej uczuć starała się, by głos zabrzmiał spokojnie i uprzejmie. Zauważyła zdumienie na twarzy gospodyni. Najwyraźniej kobieta zupełnie się jej nie spodziewała. Czyli to nie Bettina wysłała telegram.

Czy mnie rozpoznała? zastanawiała się Elizabeth. Czy przypomniawszy sobie upokarzającą wizytę i nieprzyjemną rozmowę przy herbacie, kiedy opowiadała o zdradach Faradaya?

Bettina uśmiechnęła się. Kobieta nazwała ją „panią Hightower”. Jest bezpieczna. Nikt nie podważy jej statusu.

—Czyżby panna Delafield? Poznaję panią. Nie wiedziałam, że pani u nas gości.

— Wysłałam telegram, ale najwyraźniej przepadł — wyjaśniła Bettinie. — Na szczęście w ostatniej chwili ktoś odwołał rezerwację...

Panna Delafield? Mimowolne przejęzyczenie czy złośliwość? Właściwie trudno się dziwić, że kobieta nie czuje do niej sympatii. W końcu Elizabeth romansowała z jej mężem.

Na swoje usprawiedliwienie miała tylko, że wtedy uważała go za wdowca. To jednak nie był temat, który chciałyby teraz poruszać, choć nie ukrywała przed sobą, że pragnęłyby poznać tajemnicę zniknięcia Faradaya.

— Tak, zwykle o tej porze roku mamy komplet — odparła Bettina, zwracając uwagę na, męski krój koszuli rozmówczynie. — Rozumie pani, wiosna. Kwiaty, przyroda budząca się do życia... Ale akurat trzy osoby w ostatniej chwili zrezygnowały z przyjazdu.

Nie do końca była to prawda. Dwupokojowy domek był zarezerwowany dla niejakich państwa Greenów. Kiedy jednak się pojawili, Bettina zauważyła, że typowo anglosaskie nazwisko nie idzie w parze z wyglądem jego właścicieli. Poinformowała więc małżonków, że zaszło nieporozumienie i nie ma wolnych pokoi, ale jest przekonana, że znajdą nocleg w zajeździe Gelsona, pięćdziesiąt kilometrów dalej. Trzecia rezerwacja zwolniła się przypadkowo i była skutkiem incydentu z Greenami. Mężczyzna, który grzecznie czekał za nimi w kolejce, burknął, że nie będzie mieszkał u antysemitów, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Bettinie sprawiło to autentyczną przykrość. Przecież nie była antysemitką. Przeciwnie. Czyż nie okazywała sympatii pani Shapiro? Nawet podarowała nieśczęsnej wdowie ubiegłoroczny wek. To nie z powodu osobistych uprzedzeń nie przyjmowała w zajeździe Żydów. Robiła to dla ich dobra. Zawsze bowiem powtarzała, że każdy najlepiej czuje się w gronie ludzi mu podobnych.

— Mam nadzieję, że nie spodziewa się pani luksusów, panno Delafield — zwróciła się do gościa. — Jesteśmy skromny zajazdem, nie dorównujemy hotelom w Palm Springs, nastawionym na bogatą klientelę. Nie mamy elektryczności, basenu ani kortu tenisowego. Nasi goście przyjeżdżają, by znaleźć spokój i wytchnienie.

Elizabeth powiodła wzrokiem po mahoniowych meblach, porcelanowej zastawie i srebrnych sztuccach. — Zdaje się, że zajazd całkiem nieźle prosperuje — powiedziała. Miała dość. Marzyła, by zaszyć się w pokoju i tam przetykać gorczy rozczarowania.

Zajazd prosperował lepiej niż nieźle, ale Bettina nie zamierzała się tym chwalić przy tej wyrachowanej jędzy, którą mogły tu sprowadzić niskie pobudki. Czyż w liście sprzed lat nie pisała, że spodziewa się dziecka? Chateau Hightower cieszył się popularnością wśród turystów, którzy w przeciwieństwie do rozbestwionych krezusów wybierających Palm Springs woleli autentyzm, życie na łonie natury i przygodę. Nawet latem, gdy turystów odstraszały upały, Bettina nie narzekała na brak klientów. Przyjeżdżali wtedy Europejczycy, którzy chcieli doświadczyć skwaru pustyni. Początkowo niechętnie wynajmowała domki obcokrajowcom, ale szybko się do nich przekonała.

Lubiła zwłaszcza Niemców, Skandynawów i Hiszpanów, ponieważ nigdy nie narzekali, byli cisi i grzeczni i nigdy nie kwestionowali wysokości rachunku (a wraz ze zniknięciem amerykańskich gości ceny w jej zajęzdzie błyskawicznie rosły). Co więcej, im bardziej prymitywne były warunki, tym szczęśliwsi się wydawali. Dzięki temu gdy w zajęzdzie przebywali Europejczycy, mogła śmiało oszczędzać na nafcie, cukrze i mydle. Raz zdarzyło się, że grupka alpinistów z Monachium znalazła w pokoju grzechotnika. Zamiast zażądać zwrotu pieniędzy (jak to zrobiło małżeństwo z Michigan), uszczęśliwieni fotografowali się w towarzystwie jadowitego węża.

Pustynia stała się też mekką artystów i pisarzy. Ci, których nie było stać na modne hotele w Coachella Valley, przyjeżdżali do mniejszych osad na północy, gdzie światło było równie idealne, a krajobraz równie poetycki. Chateau Hightower mógł zatem poszczycić się goszczeniem licznych malarzy, a nawet jednego poety.

— Mamo! — podbiegł do nich Gideon. — Radio nie działa. Pani powiedziała, że czekają na nowe baterie.

Tak, radio zawsze robiło na gościach niesamowite wrażenie. Właśnie dlatego Bettina je wstawiła. Goście nie musieli wiedzieć, że kosztowne baterie gospodyni uznała za zbędny wydatek, więc urządzenie nigdy nie grało.

Kiedy do Bettiny dotarło, że chłopiec nazywa Delafield matką, a potem dostrzegła uderzające podobieństwo, pobladła jak ściana. Po chwili niezręcznego milczenia przeprosiła gości, tłumacząc, że musi coś sprawdzić, po czym wyszła z jadalni, kurczowo zaciskając dłonie.

Kobieta przyjechała z synem Faradaya! Jak śmiała! A w ogóle — po co? Czego chciała?

Nagle wszystko stało się jasne. Zajazd nieźle prosperuje. Wciąż polowała na pieniądze. Odbierze jej Chateau Hightower, oświadczając, że zajazd należy się synowi Faradaya!

— Boże — wyszeptała Bettina, wyszedłszy na korytarz. Rękę musiała oprzeć na ścianie.

W życiu nie była tak przerażona. Przez dwanaście lat mozolnego budowania życia na tej przeklętej pustyni niejednokrotnie zwycięsko wychodziła z oparów. Wkrótce Morgana miała pojechać do szkoły pielęgniarstwa i wrócić z mężem lekarzem.

A teraz misterny plan Bettiny mógł legnąć w gruzach.

W zajeździe Bettiny wszyscy siadali do posiłku równocześnie, co ułatwiało sprawną obsługę. Kiedy goście zajmowali miejsca przy długim stole, do jadalni wniesiono półmisek z pieczonym kurczakiem. Gospodyni potrafiła wykroić z niego dwanaście porcji. Ceremonialnie podawała pierś, udko i skrzydełko, zapowiadając: „Dla pana Crocketa. Dla panny Rodale”. Ostatnią porcję — szyjkę — dostała Elizabeth Delafield.

Gideon z szóstką dzieci został posadzony przy osobnym stoliku. Morgana czuwała, by dzieci cicho i grzecznie spożyły posiłek. Nie dostały kurczaka, za to otrzymały kopiaiste porcje puree ziemniaczanego i bladozielonego warzywa, którego nie rozpoznawały.

— Co to jest? — zapytał Gideon, podnosząc na widelcu kawałek jarzyny.

—A jak smakuje?

—Jak zielony groszek.

—To już wiesz.

To Bettina wpadła na pomysł zastępowania drogich warzyw kaktusem. Dobrze ugotowana opuncja rzeczywiście smakowała jak groszek. Na pustyni rosło jej pod dostatkiem, więc nic nie kosztowała.

Gideon skrzywił się komicznie i Morgana parsknęła śmiechem. Pomyślała, że dzieciak jest nie tylko uroczy, ale i inteligentny.

— Nie dałeś się nabrać, co? — powiedziała, czując, że temu chłopcu pokazałaby swoje ulubione zakątki pustyni.

Morgana chętnie pilnowała dzieci. Dawały jej namiastkę rodziny. Choć mieszkała z ciotką — która zarazem była jej macochą — zawsze czuła w sercu pustkę, którą mogłaby wypełnić tylko miłość sióstr, braci, ciotek, wujów i innych krewnych.

Zabawiała dzieci, pytając, skąd pochodzą i czy kiedyś widziały pustynię, ale często zerkała na ciotkę siedzącą przy głównym stole. Znajoma biała obwódka wokół ust świadczyła o niezadowoleniu. Bettinę zdenerwował przyjazd Elizabeth Delafield. Dlaczego?

Kiedy służące uprzątały talerze, Bettina zbierała zamówienia na napoje. Panie zwykle prosiły o kawę, dwie zażyczyły sobie sherry. Wiadomo było, że mężczyźni będą chcieli whisky. Była więc zdumiona, kiedy Elizabeth Delafield poprosiła o whisky z wodą. Pod dachem Bettiny mężczyźni nie pili mocnych alkoholi. Zastanawiała się, jak wybrnąć z sytuacji, kiedy usłyszała, jak jeden z gości — dość znany malarz, którego odwiedziny przynosiły zaszczyt zjazdowi — zwraca się do Elizabeth:

— Uroczy smyk.

— Gideon ma piętnaście lat — odparła Elizabeth, na co malarz oświadczył szarmancko, że to niemożliwe, by tak młoda istota miała tak dużego syna.

Bettina szczyliła się, że szanuje prywatność gości. Zawsze chwaliła się, że nie wtrąca się i nie zadaje niepotrzebnych pytań. Mimo to od każdego gościa żą-

dała dowodu tożsamości. Nie dlatego, że tak nakazywało prawo, nawet nie ze względów bezpieczeństwa. Ze wścibstwa. Lubiła znać wiek i wagę kobiet oraz ich stan cywilny. Czym prędzej zajrzała więc do księgi, sprawdzając dane Delafield. Wiedziała, co tam zobaczy. Dobrze znała takie kobiety: tleniły sobie włosy, goliły brwi i malowały je kredką, głodziły się. Wszystko po to, by odjąć sobie lat. Bettina była gotowa założyć się, że Elizabeth Delafield ma czterdzieści pięć lat, a próbuje uchodzić za trzydziestodwuletnią. Zaraz pozna jej sekret. Prawo jazdy nie kłamie. Wydaje się je za okazaniem metryki urodzenia.

Znalazła. Obok podpisu Delafield. Rubryka z rokiem urodzenia. 1881.

Patrzyła, nie wierząc własnym oczom. Elizabeth Delafield miała pięćdziesiąt jeden lat. Była od niej starsza o trzy lata. A wyglądała na o wiele młodszą.

Stojąc za kontuarem, Bettina czuła, jak budzą się w niej jakieś mroczne prymitywne instynkty. Z salonu dobiegały wybuchy wesołości. Nad nimi górował dźwięczący śmiech Elizabeth Delafield otoczonej wianuszkami mężczyźni najwyraźniej zauroczonych jej tanią, prostą swobodą. Bettina musiała oprzeć się o blat. Za oknem zapadał zmierzch. Nad pustynią szalał wiatr. Zobaczyła, jak podmuch wiatru podrywa z ziemi uschlą brunatną solankę i zanoszą wiecheć na pustynię, gdzie czeka go samotna obojętna śmierć.

Przed sobą znów zobaczyła podziemną ceglana komorę^z kopulastym sklepieniem, dobrze ukrytą pod drewnianą płytą. Usłyszała głos mężczyzny uwięzionego w środku, błagającego o pomoc...

Odpędziła ten obraz, wracając do rzeczywistości: ciepłego blasku lampy, jej hotelu. Jeszcze raz powtórzyła sobie, kim jest i jaką pozycję zajmuje. Właścicielka i kierowniczka Chateau Hightower, jedyne przyzwoitego zajazdu w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów.

— Phi! — prychnęła pogardliwie, zauważając, że kobieta wpisała się jako „doktor” Delafield.

To widomy znak, że blondyna wynosi się nad innych. Bettina była zdania, że tylko lekarze mają prawo używać tego tytułu. Reszta to typowi ludzie z kompleksami, którzy próbują w ten sposób podbudować swoje ego. Zresztą jakie zamieszanie to wprowadza! Na wołanie: „doktora!” zgłasza się taki i mówi: „Ja je-

stem doktorem. Literatury". Bettina wybuchłaby śmiechem, gdyby nie to, że wciąż była wściekła. Jak ta kobieta miała czelność się tu zjawić!? Co za tupet! I do tego jeszcze obnosząc się z tym swoim — nie ma na to innego określenia — bękartem.

Nie, nie okażę kipiącej we mnie furii — myślała. — Ostatecznie jestem damą. Utrę tej blond zdzirze nosa. Przez cały pobyt będę ją traktowała grzecznie i uprzejmie. Pozostanę taką Bettiną Hightower, jaką znają moi goście i sąsiedzi.

Kiedy wróciła do salonu, Gideon właśnie żegnał się z Morgana, która dawała mu książkę.

— Z niej dowiesz się wszystkiego o tutejszych Indianach — mówiła.

— Moja mama jest ekspertką od Indian — odparł z dumą. — Ale i tak dziękuję — dodał. — Na pewno przeczytam ją z przyjemnością.

Morgana impulsywnie uściskała chłopca. Bettina zmartwiała z przerażenia. Tych dwoje od pierwszej chwili się polubiło. To nie był dobry znak. Morgana nie może poznać prawdy.

— Pani Hightower — zwróciła się do niej Elizabeth — czy mogę prosić, żeby ktoś przyniósł nam do domku dwa kubki ciepłego mleka? — Zrezygnowała z whisky z wodą. — To nasz wieczorny rytuał.

— Oczywiście — odparła Bettina z wymuszonym uśmiechem.

Szykując mleko dla Delafieldów, Bettina patrzyła, jak pracownica przygotowuje czajniczek herbaty dla gości.

— Co ty wyprawiasz? Wsypałaś pięć łyżeczek!

— Taka jest zasada. Po jednej łyżeczce na filiżankę i jedna „dla czajniczka”.

— Nonsens — orzekła Bettina, wrywając dziewczynie czajniczek i odsypując dodatkową łyżeczkę herbaty. — Ten, kto wymyślił tę zasadę, nie musiał chyba liczyć każdego grosza ani ratować gospody przed plajtą. Łyżeczka na filiżankę w zupełności wystarczy.

Bettina również, o czym nikt nie wiedział, podawała najtańszą herbatę. Którejś wiosny na samym początku działalności zajazdu zauważyła, jak Joe Candlewell wyrzuca puste opakowania po herbacie dobrych firm. Spytała więc, czy może je wziąć, żeby trzymać w nich nasiona. Kiedy Joe się zgodził, zabrała je i gdy nikt nie widział, przesyłała do eleganckich puszek najtańszą herbatę. Od tamtej pory liczyła więcej za filiżankę, a jej goście żyli w przekonaniu, że piją importowaną darjeeling albo ulung.

Postawiła na płycie rondel z mlekiem i duchowo przygotowała się do nadchodzącej konfrontacji.

Elizabeth znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Kiedy ojciec wydziedziczył ją za urodzenie panińskiego dziecka, powiedziała sobie, że nic jej to nie obchodzi. Gdy jednak parę lat później zmarła matka i pan Delafield nie pozwolił Elizabeth przyjechać na pogrzeb, głęboko ją to dotknęło. Kiedy w końcu rok temu lata picia alkoholu dały o sobie znać i ojciec zapadał na śmiertelną chorobę, wciąż nie chciał jej znać. A choć Elizabeth przyjechała do szpitala, nawet na łożu śmierci odmówił spotkania z nią.

Po śmierci ojca po raz pierwszy poczuła się naprawdę samotna. Była zdumiona, wręcz zdegustowana swoją reakcją, ale sądziła, że to wkrótce minie. Tymczasem uczucie zamiast ustąpić, pogłębiało się, bo wreszcie uświadomiła sobie, jak straszny jest brak rodziny. Nie myślała jednak o sobie, tylko o Gideonie. Gdyby coś jej się stało, zostałby zupełnie sam.

A przecież nie musiało tak być. Miał siostrę.

Elizabeth zamierzała porozmawiać o tym z Faradayem, by przygotować grunt, a potem — delikatnie, ze zrozumieniem i spokojem — przekazać Morgannie i Gideonowi wiadomość. Teraz jej plan spali! na panewce, ponieważ okazało się, że Faraday już dawno zniknął ze sceny. Krążyła po pokoju, zastanawiając się, jak postąpić. Gideon miał prawo wiedzieć, że nie jest sam, że łączą go z kimś więzy krwi. Lecz jak miała mu o tym powiedzieć, nie zdradzając pozostałych faktów?

Rozległo się pukanie do drzwi i zaskoczona Elizabeth zobaczyła Bettinę z tacą. Sądziła, że mleko przyniesie pokojówka.

— Musimy porozmawiać — przeszła od razu do rzeczy Bettina.

— Oczywiście.

Gospodyni weszła do środka. Elizabeth zaniósła mleko Gideonowi do drugiego pokoju i powiedziała, że za chwilę przyjdzie. Wróciła do salonu, starannie zamykając drzwi.

— Jeszcze raz dziękuję za pyszną kolację — powiedziała, chociaż nie tknęła szejki.

— Nie chwałąc się, od Los Angeles po Phoenix nigdzie się człowiek tak nie naje, jak u mnie. Ale nie przyszłam tu na pogawędkę. Chłopiec wie?

Żadnego owijania w bawełnę. Bettina musiała się dowiedzieć, czy kobieta przyjechała tu w nadziei, że wyciągnie jakieś pieniądze dla swojego bękarta, może nawet zażąda udziałów w gospodzie, twierdząc, że w świetle prawa należy jej się połowa zysków.

— Pyta pani, czy Gideon wie, kto jest jego ojcem? Nie. Chciałam najpierw porozmawiać z Faradayem.

— Czyli chłopiec nie wie, że Morgana jest jego siostrą przyrodnią.

— Gideon — powiedziała Elizabeth z naciskiem — nie wie.

— Musi pani wiedzieć, panno Delafield, że Faraday nas opuścił. Złamał córce serce. Gdyby Morgana dowiedziała się, że ojciec miał romans, którego owocem jest nieślubny syn... Nie wiem, jak by to zniosła.

Elizabeth uważnie przyjrzała się rozmówczyni. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta przywiązywała olbrzymią wagę do wyglądu. Zupełnie jakby starała się dowieść, że nad wszystkim panuje — pomyślała Elizabeth i zaczęła się zastanawiać, czy przez panią Hightower przemawia wyłącznie troska o pasierbicę. Wyglądała na gotową do walki. Ale o co?

Nagle spłynęło na nią olśnienie. Przyjechałam z synem Faradaya! Sądzi więc, że chcemy zabrać jej gospodę albo zażądamy pieniędzy, spadku po Faradayu — uznała w duchu.

—Nie wydałam Morgany na świat — ciągnęła Bettina — ale ją na ten świat przyjął. Trzymałam ją w ramionach, gdy moja siostra po porodzie wykrwawiała się na śmierć. Wychowałam ją jak własną córkę, wszystko jej oddałam. Wiele dla niej poświęciłam i nie pozwolę, by ktokolwiek ją zranił.

—Pani Hightower, nie przyjechałam tu rozbijać rodziny. Byłam przekonana, że Faraday mnie zaprosił.

Wyjęła z kieszeni telegram. Bettina ze zmarszczką na czole czytała kartkę. Zaskoczona Elizabeth patrzyła, jak kobieta blednie, a ręka zaczyna jej się trząść.

— Bardzo dziwne — powiedziała drżącym głosem, zwracając blankiet. — Dlaczego ktoś miałby się podawać za mojego męża? Najwyraźniej padła panią ofiarą okrutnego żartu.

Elizabeth nie odrywała od niej wzroku. Nie była pewna, która z nich jest ofiarą czyjegoś pokrętnego poczucia humoru.

— Pani Hightower, nigdy nie okłamywałam Gideona. Byłam wobec niego szczerą, nie ukrywałam, że ja i jego ojciec nie byliśmy małżeństwem. Nigdy jednak nie zdradziłam mu, kto to był. Powiedziałam tylko, że pochodziliśmy z różnych środowisk i dzieliły nas przeszkody nie do pokonania, więc nie mogliśmy być razem. Co zresztą jest prawdą. — Złożyła telegram i schowała go do kieszeni. — Mój syn i ja zamierzamy opuścić zajazd jutro z samego rana. Obiecuję, że nic nie powiem pani siostrzenicy i że więcej tu nie wrócimy.

ROZDZIAŁ 65

Następnego ranka Elizabeth czuła się jak wyżęta. Źle spała. Nocą wróciły żywe wspomnienia ze Smith Peak i Kanionu Motyla, nie dając jej zasnąć. I Faraday, który wdarł się w jej życie niczym bóg słońca na rydwanie i na nowo obudził w niej miłość, namiętność i nadzieję — by potem przepaść bez śladu. Co kryje się za jego tajemniczym zniknięciem? Historia o ucieczce z ladacznicą i pieniędzmi nie trzymała się kupy. Może ruszył na poszukiwanie swoich szamanów i zgubił się — albo spotkało go coś jeszcze gorszego?

Ale kto wysłał ten okrutny telegram?

Spakowawszy się i zwróciwszy klucz od domku, krążyła jeszcze po głównym budynku. Dziwiło ją, że nigdzie nie widać żadnych śladów po Faradayu — żadnych zdjęć, książek z jego ekslibrisem, pamiątek. I ani jednego naczynia z kolekcji, o której tyle jej opowiadał. Nie wypatrzyła też naczynia Pajutów, podarku od niej, ani złocistej *olli*, która tak go fascynowała. Gdzie to wszystko się podziało?

I wreszcie córka Faradaya. Skąd ta blizna na jej czole? Szpecące znamię tak bardzo nie pasujące do uroczej, nieskazitelnej buzi.

Myśląc o tym wszystkim, wyszła na słońce i jej oczom ukazał się zdumiewający widok.

Na żwirze między zajazdem a piaszczystą drogą stał — chyba autentyczny — jaskrawoczerwony piętrowy autobus wprost z Londynu. Z tyłu miał kręte schody prowadzące na górę, a nad wejściem napis: „Ostrożnie! Schył głowę i uważaj, jak stąpasz. Jeśli źle staniesz i uderzysz się w głowę — zniż głos i uważaj, jak się wyrażasz”.

Fama głosiła, że autobus sprowadził z Anglii bogaty nowojorski przedsiębiorca. Zamierzał uruchomić linię autobusową po Coachella Valley, mylnie zakładając, że gwiazdy filmowe chętnie będą korzystać z tak ekstrawaganckiego środka transportu. Biedak nie pomyślał, że gwiazdy kina szukały w Palm Springs anonimowości i nie zamierzały przykuwać do siebie uwagi, jeżdżąc piętrowym czerwonym autobusem. Jego pomysł spalił na panewce. Przedsiębiorca nie zna-

laż kupca na samochód, zostawił go więc wśród wydm i wrócił do Nowego Jorku, przeklinając pustynię, gwiazdy kina i Dziki Zachód. Wtedy Joe Candlewell, jeden z pionierów, a przy tym rzutki przedsiębiorca, zaprzągnął kilkanaście mułów i z odległości sześćdziesięciu kilometrów przyholował pojazd do Twentynine Palms, w nadziei że będzie przyciągał uwagę podróżnych.

Obdarzony surową męską urodą Joe należał do tej nielicznej grupy osadników, którzy wybrali życie na pustyni, bo szukali samotności i wyzwania. Byli to twardzi ludzie o niezachwianej wierze we własne siły — samotnicy i myśliciele bezwzględnie przestrzegający zasad kodeksu etycznego — a przyjeżdżali na pustynię, by własnymi rękami wydobyć bogactwa, jakie złożył w niej Bóg. Joe Candlewell i mężczyźni jego pokroju, w tym samym stopniu co malownicze wydmy i niebo usiane spadającymi gwiazdami, tworzyli mistykę pustyni. Byli silni i samowystarczalni, a równocześnie potrafili sprawić, że kobieta czuła się przy nich zmysłowa i pożądana. Mieszkanki zajazdu nieraz podkreślały, że nigdzie na świecie nie ma mężczyzn takich jak oni. „To pustynni szejkwowie Zachodu” — powiedziała jedna z nich, powieściopisarka, ukończywszy właśnie książkę, nad którą pracowała całą wiosnę. Twierdziła, że z zachodami słońca nad Twentynine Palms i z jego męską populacją nic nie może się równać. Czy może zatem dziwić, że bohater jej romansu — pięćdziesięcioletni mężczyzna o walijskich korzeniach, obdarzony surową męską urodą, któremu żadna kobieta nie mogła się oprzeć — nosił dziwne podobieństwo do Joego Candlewella?

Jego ambitny dwudziestopięcioletni syn Sandy dostrzegał w czerwonym londyńskim autobusie jeszcze większy potencjał. Wyremontował silnik, zmienił koła, naprawił siedzenia i namalował na boku wielki żółty napis: PUSTYNNNA PRZYGODA DLA ŚMIAŁKÓW. Organizował dla mieszczuchów wyprawę po pustyni. Wsadza! ich do autobusu i wiózł po wertepach, mówiąc przez megafon: „Szanowni państwo, oto smak prawdziwej pustyni, gdzie życie jest twarde, a na każdym kroku w oczy zagląda śmierć”.

Odniósł zawrotny sukces.

To wszakże nie był jedyny pomysł przedsiębiorczego młodzieńca. Sandy postawiłby każde pieniądze, że rząd wkrótce uzna obszar, na którym rosły drzewa Jozuego, za pomnik przyrody i park narodowy. To zaś oznaczało jeszcze więcej

turystów. Przekonany, że miejsce szybko dorównałoby popularnością Yosemite i Yellowstone, zamierzał organizować wyprawy wspinaczkowe, biwaki i piesze wycieczki. Wypożyczałby i sprzedawał namioty, sprzęt i mapy, a przede wszystkim służył radą. Amerykanie oszaleli na punkcie wycieczek na łono natury. Dlaczego miałby z tego nie skorzystać? A jeśli przy okazji zbije majątek, nie będzie płakał.

Z autobusu wyskoczył kierowca — Sandy we własnej osobie — młody przystojny chłopak o olśniewającym uśmiechu, opalonej twarzy i szerokich barach.

— Witam! — zawołał, machając muskularnym ramieniem.

Z Chateau Hightower wyszło pięcioro gości. Przyłączyli się do pasażerów siedzących już w autobusie. Za nimi dreptała Morgana z dużym koszem.

— Znowu mam komplet — pochwalił się rozpromieniony, błyskając białymi zębami. — Zabieram jeszcze szóstkę i ruszamy w drogę.

Morgana, ubrana w pasiasty sweter wpuszczony w plisowaną spódnicę, podała Sandy'emu koszyk z prowiantem. Mężczyzna postawił go na przednim siedzeniu. Kiedy odwrócił się do niej z uśmiechem, jej serce zrobiło salto.

Nikt na świecie — z Sandym na pierwszym miejscu — nie wiedział, jak szalenie jest w nim zakochana. Morgana nie potrafiła określić, kiedy to się stało. Nie zaznaczyła w kalendarzu daty, którą mogłaby pokazać palcem i powiedzieć: „Tego dnia przestał być moim przyjacielem, a stał się obiektem westchnień”.

Sama nie zauważyła, kiedy z kościstego chłopaka z dołeczkami w brodzie zmienił się w wysokiego postawnego mężczyznę. Ona sama też — z chłopczycy, która łąziła z nim po drzewach — pewnego dnia przeistoczyła się w nieśmiałą nastolatkę marzącą o nim po nocach i wyobrażającą sobie pierwszy pocałunek.

Początkowo było to typowe dziewczęce zadurzenie, które jednak przeszło w głębokie zauroczenie. Aż wreszcie pewnego wieczoru gdy pili razem colę i słuchali w radiu Ben-ny'ego Goodmana, wyobraziła sobie, co by było, gdyby wziął ją w ramiona. Wtedy po raz pierwszy obudził się w niej głód miłości fizycznej.

Oczywiście nie mogła się do tego przyznać. Jemu ani komukolwiek.

Przed sobą miała trzy lata nauki w szkole pielęgniarstwa. Ale nawet gdyby jakimś niepojętym zdarzeniem losu została w domu i stałby się drugi cud — Sandy wyznałby, że też ją kocha — nie mogłaby nawet marzyć o wspólnej przyszłości. Ciocia Bettina nigdy by się nie zgodziła na ten związek.

— Jeśli wyjdiesz za męża, córko — powtarzała jej nieraz — to za człowieka, który nie utrzymuje się z pracy rąk. Pochodzisz z Hightowerów. Byle kto to nie dla ciebie. Co najmniej adwokat. Chętniej lekarz.

Nie było cienia nadziei.

— Sandy — powiedziała — poznaj doktor Delafield. Zatrzymała się z synem w naszym zajeździe.

— Witam panią — powiedział z uśmiechem.

— Miło mi poznać — odparła Elizabeth, podając mu rękę.

Jej dłoń zniknęła w olbrzymiej, stwardniałej od pracy łapie. Jego szczere uśmiechnięte oczy budziły zaufanie, ale także — pomyślała — fantastycznie wyglądałyby na srebrnym ekranie.

Elizabeth odwróciła się, słysząc piskliwy śmiech. Przed wejściem do zajazdu, ozdobionym doniczkami czerwonego geranium, stała Bettina. Ubrana w zwiewną, błękitną bawełnianą sukienkę furkoczącą wokół kolan rozmawiała z gościem malarzem. W promieniach porannego słońca wyglądała na beztroską i szczęśliwą, lecz w jej śmiechu brzmiała sztuczna nutka.

— Mamo, mogę pojechać?

Gideon stał ze wzrokiem utkwionym w słowie „przygoda”. Miał na sobie nowe szorty, które kupiła mu na wyjazd, i pasiaste podkolanówki. Koszula wyszła mu ze spodni, na czarnych przylizanych włosach zrobił się kogucik. Przypominał dziecko, a nie chłopca stojącego na progu męskości. Elizabeth żałowała, że nie może ubrać go w długie spodnie, co niewątpliwie dodałoby mu pewności siebie, ale nie było takich rozmiarów.

Gideon miał zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. To ją niepokoiło.

— U chłopców okres najintensywniejszego wzrostu przypada między trzynastym a czternastym rokiem życia — powiedział ostatni pediatra, z którym rozmawiała. — Wtedy rosną nawet do dziesięciu centymetrów w ciągu roku. Później, do osiemnastego roku życia, trwa powolny wzrost. Czasem wydłuża się jeszcze o kilka lat. Ponieważ Gideon skończył już czternaście lat, należy przypuszczać, że dużo więcej nie urosnie. Jak to wyglądało u jego ojca? Rozwijał się później? To może być dziedziczne.

Niestety Elizabeth nie miała pojęcia, w jakim wieku Faraday, który był wysokim mężczyzną, osiągnął swój wzrost. Modliła się, by po piętnastych urodzinach, bo to by oznaczało, że Gideon może liczyć jeszcze na kilkanaście centymetrów. Wiedziała, że drobna postura martwi chłopca i jest przyczyną okrutnych docineków kolegów.

— Niestety, synu — odezwał się Sandy, który usłyszał prośbę Gideona — mamy komplet. Ale na jutro są jeszcze wolne miejsca.

Elizabeth zamierzała natychmiast wynieść się z miasta, ale kiedy zobaczyła zrozpaczoną minę chłopca, zmiękła.

Właściwie, pobyt na świeżym powietrzu i słońcu dobrze by mu zrobił. Lekarze mówili, że powinien więcej się ruszać, bo brakuje mu energii.

— W drodze do Kolorado wyskoczmy sami na malowniczą wyprawę po pustyni — obiecała. — Co ty na to?

Ruszyli do samochodu, do którego tragarz wkładał już walizki.

—Doktor Delafield — odezwała się Morgana — pustynia bywa niebezpieczna, zwłaszcza jeśli nie zna się okolicy. Potrzebuje pani przewodnika. W ten sposób zobaczy też pani to, co najciekawsze.

—Kogo moglibyśmy wynająć?

— Jak to kogo? Mnie, oczywiście! Znam pustynię jak własną kieszeń!

Na to podeszła do nich Bettina.

— Morgano, masz mnóstwo zajęć — powiedziała ostro.

— Zapominasz, że za tydzień wyjeżdżasz?

— Wrócę przed południem, ciociu. A tak bardzo chciałabym pokazać doktor Delafield drzewa Jozuego. Gideonie

— zwróciła się do chłopca — chciałbyś się wybrać do Afryki?

— Żartujesz! — Oczy zabłysły mu z podniecenia.

— Zobaczysz, że nie. Zaraz wracam — powiedziała do Elizabeth. — Muszę przygotować prowiant.

Pobiegła, nie dając Elizabeth zaprotestować.

— Morgana jest niesamowita — orzekł Gideon. Elizabeth pękało serce, bo nie mogła powiedzieć: „To twoja siostra”.

W oczach Bettiny widziała niepokój. Obie obawiały się tego samego, choć każda z innego powodu. Z jednej strony Elizabeth chciała, by Morgana i Gideon dowiedzieli się o łączącej ich więzi, z drugiej — nie życzyła sobie żadnych związków z Bettiną Hightower.

Sama nie wiedziała dlaczego. Nie potrafiła tego ubrać w słowa. Po prostu w tej kobiecie było coś, co budziło niepokój. Choćby sposób, w jaki przypatrywała jej się wczoraj przy kolacji, albo szczególny ton głosu lub dziwny blask, który czasem pojawiał się w jej oczach. Elizabeth nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wdowa po Faradayu stąpa po linie, całą siłę i wolę wkładając w to, by nie runąć na ziemię.

Dlatego nie uśmiechało jej się podróżować z córką Faradaya. A jeśli przypadkiem się wygada? Jeśli wymknie jej się jakaś nieroztropna uwaga? Wtedy wszystko się wyda. Dlatego kiedy przystrojona w słomkowy kapelusz Morgana wróciła z koszem, kocem, lornetką i parasolką, Elizabeth powiedziała:

— Przykro mi, że zadałaś sobie tyle trudu, moja droga. Niestety, nam dwojgu bardzo się spieszy.

—Mamo! — zaprotestował Gideon. — Przecież w nowej pracy masz się zgłosić dopiero za tydzień.

—To tylko parę godzin — perswadowała Morgana.

— Nie pożałuje pani.

Dwie pary oczu wpatrywały się w nią błagalnie.

—W pobliżu Arch Rock jest zagadka, której nikt jeszcze nie zdołał wyjaśnić — kusila Morgana. — Może pani się to uda?

—Zgódź się, mamó! — nie dopuścił jej do głosu Gideon, który już siadał na tylnym siedzeniu samochodu. — Przecież uwielbiasz zagadki.

Słyszając błagalny ton syna, Elizabeth spojrzała na pogodną serdeczną dziewczynę, a potem na Bettinę, która — choć w jej oczach czaiło się coś mrocznego — uśmiechnęła się z przymusem. Poczwała nagły dreszcz na myśl, jak daleko posunęłaby się Bettina, by bronić tego, co uważa za swoje.

— Sądzisz, że sobie poradzisz z tym samochodem?

— zwróciła się do dziewczyny. Morgana popatrzyła na lśniący pojazd.

— Po jeździe zdezelowaną furgonetką prowadzenie tego cacka będzie prawdziwą przyjemnością.

Elizabeth dała jej kluczyki i siadła na miejscu pasażera, zastanawiając się, czy nie popełniła monstrualnej głupoty. Dziewczyna zajęła miejsce za kierownicą, odgrywając scenkę „dramatyczny wyjazd na podbój niezbadanych lądów”. Ruszyli, zostawiając za sobą Bettinę w głębokiej zadumie stojącą przed zajazdem.

— Chciałbym się tu wychowywać. To musi być bombowe — odezwał się Gideon, chłonąc wzrokiem wysokie palmy i czmychające z drogi króliki.

Jechali do oazy Mara, gdzie w ceglanych chatkach mieszkali łagodni Czemiwejowie i Indianie Serrano uprawiający grządki warzywne.

Morgana nie nazwałaby dorastania w gospodzie „bombowym”. Ciągłe pielgrzymki obcych ludzi zjawiających się o każdej porze dnia i nocy; chude lata, gdy ona i ciotka Betti-na musiały kupować używane ubrania; nieustające obowiązki... Dziewczyna zachowała z wczesnego dzieciństwa wspomnienia ślicz-

nych lalek w pięknych sukniach i uroczych pluszowych misiów, a także w pełni umeblowanego domku dla lalek. Od kiedy jednak wyprowadzili się z Casa Esmeralda, skończyło się dostatnie życie i zabawki — Morgana miała lalki z tektury i ubierała je w sukienki wycięte z katalogu mody.

— Tak, życie tutaj jest bombowe — odparła z uśmiechem.

Elizabeth nerwowo przetrząsała swoją olbrzymią torbę w poszukiwaniu papierosów. To jednak był błąd. Należało się uprzeć i ruszyć do Kolorado. Co wystarczy — gest, ruch głową, uniesienie brwi — by Morgana dostrzegła uderzające podobieństwo Gideona do Faradaya? A jeśli podekscytowany Gideon zapomni, że miał nie wspominać o książce i wygada coś Morganie?

Trzeba tę dwójkę jak najszybciej rozdzielić, postanowiła Elizabeth. Kiedy tylko dotrzemy na miejsce, wyślę Gideona, żeby podziwiał widoki. A potem co? Udać migrenę? Nie, to zły pomysł. Z migreną nie mogłabym prowadzić samochodu.

Zerknęła na zegarek. A może pilny telefon, o którym zapomniała? Tak, to będzie świetny pretekst, by jak najszybciej wrócić do zajazdu, a stamtąd pojechać do sklepu, gdzie jest telefon.

Elizabeth zapaliła camela, by zapanować nad nerwami.

— Kochasz pustynię, Morgano, prawda? — zagaiła.

— Gorąco. — Dziewczyna opuściła szybę, by poczuć wiatr we włosach. — Dawno, gdyby byłam małą, tata mawiał, że mam piasek we krwi. Wie pani, co mnie zdumiewa? Ludzie przyjeżdżają na pustynię i koniecznie chcą tu coś zrobić. Zmienić ją. Przerobić na coś innego. Dwa lata temu zjawił się mężczyzna z Ohio. Oświadczył, że wypuści tu stado bawołów i będzie urządził safari dla milionerów. Miał też ochotę sprowadzić lwy z Afryki, ale bał się, że nie przeżyją podróży. Joe Candlewell skrzyknął mieszkańców i poinformowaliśmy pana z Ohio, że jeśli wpuści na naszą pustynię chociaż jednego królika, gorzko pożałuje. Więcej już się tutaj nie pojawił.

Dzień, kiedy mieszkańcy Twentynine Palms stanęli zgodnym frontem przeciwko milionerowi ze wschodu, do dziś pozostał żywy w pamięci Morgany. Ra-

no do zajazdu przyszedł Sandy Candlewell, ogłaszając, że ojciec zwołuje pospolite ruszenie. Morgana wskoczyła do furgonetki Sandy'ego, a za nimi ruszył cały konwój pojazdów. Zatrzymali się przed gospodą, w której zamieszkał przedsiębiorca. Potem stojąc u boku Sandy'ego, słuchała, jak Joe informuje obcego, że tutejsi mieszkańcy nie życzą sobie, by ktokolwiek próbował tknąć ich pustynię.

Nigdy jeszcze Morgana nie czuła takiej dumy, takiej więzi z mieszkańcami miasta. Nigdy też nie patrzyła tak na Sandy'ego Candlewella. Wtedy po raz pierwszy zamiast chłopca, z którym łapała jaszczurki i wdrapywała się na drzewa, zobaczyła w nim mężczyznę. Wysokiego, silnego, przystojnego. Tamtej nocy spała niespokojnie. Odtąd Sandy często nawiedzał ją we snach, które sprawiały, że zrzucała kołdrę i zdumiona odkrywała w sobie nowe nieznane pragnienia.

Tak — myślała, skręcając na wyboistą drogę przy znaku „Szlak Utah”. Jednak może z dokładnością do dnia i godziny określić, kiedy się zakochała, zarazem kiedy narodziło się w niej marzenie, które nigdy się nie ziści. Odepchnęła wspomnienia.

— Czy wie pani — odezwała się do doktor Delafield — że w Kongresie jest już ustawa i powstanie tu park narodowy? Jestem gorącą rzeczniczką tego pomysłu. Ludzie przychodzą tutaj, wycinają juki i wykorzystują je na ogrodzenia albo jako opał. Bądź też wykopują kaktusy i sadzą w swoich ogródkach. Chuligani strzelają z pistoletów do indiańskich petroglifów.

Elizabeth zamknęła oczy. W jej pamięci ożył ciepły, słoneczny dzień, gdy trafili z Faradayem na parę wandalów zabawiających się w strzelanie do skały. Potem Faraday wziął ją w ramiona, próbując pocieszyć. Wtedy po raz pierwszy się kochali. Zastanawiała się, czy to tego popołudnia począł się Gideon.

— Sama trafiałam na mnóstwo zniszczonych petroglifów — odparła. — Co ludzie sobie wyobrażają? Czy traktowaliby Mona Lizę jak tarczę strzelniczą? A mimo to bez wahania celują do wrytych w skałę dzieł liczących ponad tysiąc lat. Skoro o tym rozmawiamy — dodała — wkrótce rozpocznę pracę w Kolorado jako strażnik archeolog parku narodowego w Mesa Verde.

— To kobiety mogą być strażnikami? — zdumiała się Morgana.

—My nie chodzimy z bronią i nie zajmujemy się zwierzętami. Perswadujemy. Wygłaszamy odczyty, organizujemy wycieczki po ruinach. Nie wiem dużo o ptakach ani roślinach, ale wystarczy dać mi do ręki grot strzały, a powiem, co jego właściciel jadł na kolację. Zdradzę ci tajemnicę. Zawiązali spisek przeciwko nam.

—Przeciwko nam?

Trzymaj się ogólnych tematów — mówiła w duchu Elizabeth. Tak nie wymknie ci się nic osobistego.

—Przeciwko kobietom — wyjaśniła. — Mężczyźni nie chcą, byśmy pracowały w rezerwatach i parkach narodowych.

—Dlaczego?

Samochód podskoczy! na wyboju. Gideon pisnął z zachwytu. Opuścił szybę i wyjrzał.

— Pierwsi strażnicy rekrutowali się spośród kawalerzystów, których armia już nie potrzebowała. To byli prymitywni ludzie, praktycznie analfabeci. Nie potrafili rozmawiać z ludźmi, ale dobrze wywiązywali się z obowiązku pilnowania parku przed kłusownikami i pożarami. Dlatego stworzono etaty dla drugiej grupy strażników przyrodników. To już byli wykształceni, dobrze wychowani mężczyźni z wyższych warstw społecznych, którzy odpowiadali za kontakt z turystami. Pierwsi strażnicy drwili z nich, nazywali babami. To z kolei niekorzystnie odbiło się na kobietach, które chciały podjąć pracę w parkach narodowych. Strażnicy przyrodniczy obawiali się bowiem, że obecność kobiet tylko pogłębi i utrwali ich wizerunek jako zniewieściałych mięczaków. Dlatego zwarli szeregi ze strażnikami kawalerzystami i blokują zatrudnianie kobiet. Zatrząskują przed nami drzwi. — Elizabeth delikatnie zaciągnęła się camelą. — Dlatego w całym kraju jest zaledwie garstka strażniczek. Ale to kiedyś się zmieni. Może dzięki kobietom takim jak ty.

— Ja? — roześmiała się Morgana.

Znowu pomyślała o swoim marzeniu, by studiować kulturę Indian, śledzić ich wędrówki, odkrywać ślady plemion, które niegdyś przechodziły przez te tereny.

Całym sercem pragnęła zgłębiać przeszłość, oddzielać prawdę od zmyśleń, poznać prastare legendy i przekazy. Bettina jednak życzyła sobie, by Morgana została pielęgniarzką. Mogła zrobić dla ciotki chociaż tyle. Już dawno podjęła tę decyzję i nauczyła się z nią żyć... aż do tej chwili. Doktor Delafield na nowo rozbudziła w niej marzenia i Morgana, wydawałoby się pogodzona z losem, znów zaczęła rozpaczać nad rychłym wyjazdem do szkoły.

Znaleźli się na otwartej przestrzeni. Mijali rozwaloną szopę, nad którą widać było częściowo zatarty napis: „Nigdzie w pobliżu nie ma takiego miejsca jak to, więc to musi być TO miejsce”.

— W czasie gorączki złota w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia — wyjaśniła Morgana — znajdował się tu skład handlarza tytoniem. Sprzedawał poszukiwaczom złota oraz Indianom papierosy i fajki, dopóki nie przyszedł kryzys i nie splajtował.

Na słońcu rdzewiały stare tabliczki. „Papierosy Cremo. Dwie sztuki — 25 centów”.

Elizabeth pomyślała o nieubłaganym kole historii, o snach i marzeniach po-
grzebanych w tych piaskach.

Faraday przyjechał tutaj, by zrealizować swoje marzenia.

Teren zmienił się z płaskiego na górzysty. Z ziemi wyrastały niezwykle głązy o fantastycznych kształtach. Gdziekolwiek spojrzeć — drzewa Jozuego i kobierzec czerwonych, niebieskich i żółtych kwiatów, a nad nimi świergoczące ptaki i wielobarwne motyle.

— Patrz! — zawołał Gideon.

Morgana przyhamowała. U stóp dużego głazu w piasku szamotało się pisklę.

— To pisklę jastrzębia — wyjaśniła. — O tej porze roku, późną wiosną, często widuje się na ziemi pisklęta jastrzębi i sów. Właśnie uczą się fruwać. Pierwsze próby nie są łatwe, bo do tej pory maluchy tylko siedziały w gnieździe i jadły. Kiedy runą na ziemię, tracą siły, trzepoczą skrzydłami i próbują się wzbić. Zwykle rodzice przylatują i karmią młode, dopóki nie nabiorą sił i samodzielnie nie pofruną.

Gideon z konsternacją przyglądał się nieszczęsnemu pisklęciu, które resztkami sił próbowało wzbić się w niebo.

— Nie możemy mu jakoś pomóc?

— Zobaczymy — powiedziała Morgana, odjeżdżając. — Lepiej nie zakłócać praw natury. Jeśli będziemy wracać, a ptak wciąż tu będzie, zabierzemy go. Robiłam to nieraz. Po kilku dniach napychania brzuszka i odpoczynku nabierają sił i odlatują.

Wreszcie zatrzymała samochód na piaszczystej drodze.

— Gideonie, pamiętasz, jak pytałam, czy chcesz wybrać się do Afryki? No i...? — pokazała coś przez szybę.

Gideon wyteżył wzrok, zmarszczył czoło. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

— To przecież słoń!

— Widzisz? Masz Afrykę, jak obiecałam.

Tysiące lat pracy piasku, wiatru i deszczu wyźłobiły w gigantycznych beżowych skałach potężny łuk nazywany

Arch Rock, rzeczywiście przypominający nieco słonia. Gideon wyskoczył z samochodu i popędził do głazów, zanim Elizabeth zdążyła krzyknąć, by uważał.

— No i? — zapytała, rozglądając się po okolicy. — Gdzie te tajemnicze rysunki, które chciałaś mi pokazać?

Dziewczyna poczerwieniała.

— Nie istnieją.

— Tak przypuszczałam — uśmiechnęła się Elizabeth. Zauważyła, jak dziewczyna zmieniła się z chwilą, gdy

znaleźli się na pustyni. Otworzyła się, dosłownie rozkwitła w oczach, jakby rzuciła ściskający ją gorset. Tak samo było z Faradayem pod Smith Peak. Przy-

jechał smutny i poważny, ale z każdym dniem rozluźniał się, stawał się radosny i pogodny. Jakaż chmura wisiała nad ojcem i córką, nie pozwalając im być sobą?

Szły wolno za Gideonem, który wyprzedzał je i zasypywał Morganę setkami pytań, na które cierpliwie odpowiadała.

Elizabeth przypomniawszy sobie, jak ubiegłego wieczoru syn opowiadał o niej: „Zauważyłaś tę bliznę na jej czole? Mówi, że się skaleczyła i miała taką samą ranę jak ja. Też musiała nosić opatrunek. Kiedy powiedziałem, że chłopcy śmieją się ze mnie, dokuczają i nazywają mnie karłem, powiedziała, że ją koledzy nazywali piątą klepką...” Morgana powiedziała to, Morgana powiedziała tamto. Z nikim jeszcze Gideon tak szybko się nie zaprzyjaźnił. Czy to intuicja? Czy ich dusze wyczuwały pokrewieństwo?

— Gideon, synku! — zawołała, postanawiając, że da mu pół godziny, a potem pod byle pretekstem wróci do miasta. — Chcesz sam pooglądać skały?

Ku jej uldze ochoczo pobiegł.

Kobiety usiadły na niskim kamieniu u stóp Arch Rock. Słyszając silnik, obejrzały się i zobaczyły czerwony autobus. Zasłoniły usta, bo — chociaż Sandy zwolnił — w powietrze wzbijały się tumany piasku. Pomachały wycieczce i londyński autobus pojechał dalej w głąb pustyni. Wyciągając następnego papierosa, Elizabeth zauważyła, że Morgana tęsknym wzrokiem odprowadza pojazd. Przypomniała sobie, jak nieśmiała stała się rano w obecności przystojnego kierowcy.

— Czy ten sympatyczny młodzieniec to twój chłopiec? Mówię o kierowcy autobusu.

— Sandy? — Zaróżowiła się. — Ależ skąd! Przyjaźnimy się. Znamy się od dzieciństwa.

Mimo to wciąż patrzyła za znikającym autobusem, jakby przejeżdżając zabrał jej serce. Językiem zwilżyła wargi, a jej policzki zalały się krwistym rumieńcem.

— Czyżby jednak chodziło o coś więcej? — zapytała Elizabeth z uśmiechem. — Dziecięce przyjaźnie często przeradzają się w miłość.

— To aż tak widoczne?

—Tylko dla kogoś, kto sam musiał ukrywać uczucie.

—Umarłabym, gdyby Sandy się czegoś domyślił.

—Jesteś pewna, że nie odwzajemnia twoich uczuć?

— Traktuje mnie jak młodszą siostrę. Nazywa mnie „mała”. Przypuszczam, że kocha się w Adeli Cartwright. W każdym razie ona na pewno zagięła na niego parol.

Elizabeth przymknęła oczy i przypomniała sobie wszystkie miłosne trójkąty, jakie знаła; zwłaszcza ten jeden, w który dała się wplątać jako ta druga, i to, jak tragicznie się wszystko skończyło.

— Proszę powiedzieć, czy z wiekiem miłość staje się łatwiejsza? No bo... — Morgana wyłamywała palce. — Miłość jest cudowna, wiem o tym. Ale sprawia też ból i rodzi strach.

Elizabeth spojrzała na jej młodziutką twarz, gładką cerę, jasne oczy i przypomniała sobie siebie sprzed trzydziestu lat. A zaraz potem pewnego młodego mężczyznę...

Studiowała wtedy antropologię na uniwersytecie w stanie Nowy Jork. Program studiów wymagał, by skończyła roczny kurs anatomii i fizjologii w pobliskiej akademii medycznej. Profesor anatomii odmówił prowadzenia zajęć z grupą w której była kobieta. Ustalono więc, że Elizabeth będzie siedziała pod salą wykładową i notowała. Niestety nie dopuszczono jej do udziału w sekcji zwłok, co było warunkiem zaliczenia. Bez zaświadczenia, że uczestniczyła w zajęciach w prosektorium, nie mogła zaliczyć przedmiotu, co oznaczało, że nie zrealizuje przewidzianego programu i nie otrzyma upragnionego dyplomu ukończenia antropologii.

Nie pomogły petycje do władz uczelni, błaganie dziekana, próby oczarowania wykładowcy. Żaden nie chciał wpuścić jej do świata zarezerwowanego wyłącznie dla mężczyzn. Na bardziej emancypowanych uczelniach studentki mogły uczestniczyć w zajęciach w prosektorium. Elizabeth jednak nie było stać na czesne tamtych uniwersytetów, a gdyby nie skończyła studiów, musiałaby wrócić do domu z — jak straszył ją ojciec — podkulonym ogonem.

Zdesperowana nie wiedziała, co robić, gdy nieoczekiwanie pomógł jej kolega ze studiów, Christopher Iverson, który wpadł jej w oko na wykładach o kulturach starożytnych. Ten wysoki przystojny blondyn jako jeden z nielicznych tolerował koleżanki studentki, zawsze odnosił się do nich uprzejmie i nigdy nie robił złośliwych uwag; a kiedy ich oczy czasem się spotkały, zawsze serdecznie się do niej uśmiechał.

Elizabeth, zupełnie jak teraz Morgana, miała dwadzieścia dwa lata i była zakochana po uszy.

Był słoneczny dzień i Elizabeth właśnie jadła śniadanie na trawniku, gdy przystojny Christopher Iverson spytał, czy może się przysiąść. Przed dziewczyną otwarło się niebo. Gawędzili, zjedli razem jabłko. W przepływie szczerości zwierzyła mu się ze swoich problemów i obaw, że nie zdobędzie dyplomu.

Christopher ściągnął swe cudowne brwi i oświadczył, że z pewnością znajdzie się jakieś wyjście. Obiecawszy, że pomyśli nad tym, odszedł, mrugając do niej porozumiewawczo, a Elizabeth zakochała się jeszcze bardziej.

Propozycja Christophera polegała na tym, by potajemnie wprowadzić Elizabeth do prosektorium, dać jej notatki i ryciny z wykładów, wyjaśnić, czego musi się nauczyć, żeby zdać egzamin, a przy okazji pokazać jakieś zwłoki, żeby z czystym sumieniem mogła zaświadczyć, że stała przy stole i widziała, na czym polega praca patologa.

I rzeczywiście, pewnej nocy zakradł się do stancji dziewcząt, a Elizabeth podekscytowana tą niezwykłą przygodą wymknęła się wraz z nim. Zaśmiał się, chwycił ją za rękę i razem pobiegli w kierunku budynków uczelni, choć Elizabeth trochę przeszkadzała długa spódnica, którą wtedy jeszcze nosiła.

Kiedy stanęli przed pogrążonym w mroku i ciszy wydziałem, Christopher otworzył boczne drzwi, przepuścił Elizabeth, a potem szedł obok, uśmiechając się do niej i szepcząc, jaka z niej dzielna panna.

Prosektorium znajdowało się na końcu długiego ponurego korytarza, w którym unosiły się nieprzyjemne zapachy. I znowu Christopher grzecznie przepuścił Elizabeth przodem, potem wszedł za nią, zamykając drzwi. Zapalił lampy pod sufitem i...

W prosektorium znajdował się cały rocznik Elizabeth — trzydziestu chłopaków. Stali stłoczeni z dziwnym wyrazem twarzy. Niepewnie spojrzała na Christophera, na co on również z błyskiem w oku powiedział: „To nie jest miejsce dla was, głupie suki” i zdarł prześcieradło przykrywające zwłoki kobiety.

Dziewczyna popatrzyła.

Zrobili z ciałem coś nieprzyzwoitego.

Zemdlała. Kiedy się ocknęła, leżała sama na podłodze prosektorium, przykryte prześcieradłem zwłoki przywrócono do właściwego stanu.

Od tamtej pory Elizabeth na korytarzach i w salach wykładowych spotykała się tylko z lodowatymi spojrzeniami. Koledzy studenci jasno dawali jej odczuć, że miejsce kobiety jest w domu, nie na uczelni.

Dopiero dzięki interwencji profesora Keene'a, który poruszony sytuacją kobiet usiłujących zdobyć zazdrośnie strzeżony męski bastion, przekonał dziekana, by przymknął oko na zajęcia w prosektorium, Elizabeth zdołała skończyć studia — z wyróżnieniem.

Tamten incydent zostawił jednak głęboką ranę. Elizabeth już nigdy nie potrafiła nikomu w pełni zaufać. Od tamtej pory też zaczęła nosić spodnie jako wyzwanie rzucone mężczyznom.

Odepchnęła bolesne wspomnienie i skupiła się na tym, co mówi Morgana.

— Pragnę wyznać Sandy'emu, co czuję, ale boję się, że mnie wyśmieje.

Kobieta skinęła głową.

— Strach przed odrzuceniem to bodaj najpotężniejsza siła zamykająca nam usta.

Druga to strach przez zranieniem — dodała w myślach, słysząc echo własnych słów wypowiedzianych przed laty w Kanionie Motyla. „Faradayu, dwukrotnie zostałam głęboko zraniona. Trzeci raz bym tego nie zniosła”. Obiecał, że przenigdy jej nie zrani... a potem to zrobił. Gardło jej się ścisnęło, pod powieki napłynęły łzy, ale Elizabeth zapanowała nad wzruszeniem.

— Ciotka wspomniała, że za parę dni wyjeżdżasz. Można spytać dokąd?

Morgana myślami była przy Sandym, żałując, że nie może jechać razem z nim autobusem, patrzeć na muskularne ręce, którymi trzymał kierownicę; śmiać się z jego żartów, wsunąć dłoni w jego rękę przy wysiadaniu, gdy tak troskliwie podtrzymywał ją, żeby się nie potknęła i nie upadła... Nie przestając myśleć o ukochanym, wyjaśniła kobiecie, że wyjeżdża do Loma Linda, gdzie przez trzy lata będzie się uczyć i mieszkać.

— Miałam szczęście, że się dostałam. Poziom jest bardzo wysoki, a chętnych mnóstwo. Zdałam egzamin wstępny ze znakomitym wynikiem.

— Jak udało ci się zdobyć tutaj taką wiedzę? Nie sądzę, żeby w okolicy były jakieś szkoły?

— Jest szkoła podstawowa, w której uczy dwóch nauczycieli. Ci, którzy chcą kontynuować naukę, muszą wyjeżdżać do szkół z internatem. Kiedy byłam mała i tatę było na to stać, ciocia Bettina zatrudniała guwernantkę. Kiedy przeprowadziliśmy się tutaj z Palm Springs, uczyła mnie sama. Dużo też dowiedziałam się od taty. Ogromnie interesował się Indianami, podróżował, notując ich opowieści, rysując ich i zbierając ceramikę. Godzinami oglądaliśmy jego zdobycze.

Morgana przełknęła łyżę na to słodko-gorzkie wspomnienie.

— Poza tym uczył mnie jeszcze weteran, którego płuca zniszczył gaz musztardowy. Zamieszkał w gospodzie na stałe. Miał niezwykle rozległą wiedzę i zaproponował, że w zamian za gościnę będzie mnie uczył. Był bardzo łagodny, cierpliwy i znał odpowiedź na każde pytanie. Przed śmiercią zdążył przygotować mnie do szkoły średniej. Cioci jednak nie było stać na szkołę z internatem, więc zapisałam się na czteroletni kurs korespondencyjny zakończony egzaminem. Skończyłam go i dostałam dyplom. Po tacie została nam też fantastyczna biblioteka, przeczytałam wszystkie jego książki. Ale chciałabym w końcu pójść do prawdziwej szkoły.

Wzmianka o Faradayu zaniepokoiła Elizabeth. To temat, którego trzeba za wszelką cenę unikać.

— A ten kurs pielęgniarstwa? To chyba jest prawdziwa szkoła.

—Mieszka się i pracuje na terenie szpitala. Tam też odbywają się zajęcia teoretyczne. Ale to nie to samo co studia na uczelni.

Elizabeth przyglądała się profilowi Mofgany. Dziewczyna odziedziczyła po ojcu nos i szczękę. Na szczęście nie były aż tak wyraziste i męskie jak u niego, więc nie odbierały jej urody.

— Nie sprawiasz wrażenia zachwyconej tą perspektywą.

— To ciocia Bettina chce, żebym tam pojechała. Przyznaję, to dobry zawód. Pielęgniarki zawsze są potrzebne, prawda?

Elizabeth wydmuchnęła dym i pomyślała o żonie Faradaya... Czy na pewno była wdową? A może Faraday od niej odszedł? Nie. Elizabeth pamiętała, jak bardzo kochał córkę.

— A co byś chciała studiować?

Morgana, identycznie jak ojciec, natychmiast się ożywiła, gdy opowiadała o swojej pasji. Zupełnie jakby ktoś zapalił światło.

—Indian. Ich kulturę. Historię. Ich wiedzę i mądrość. Pani najlepiej to rozumie. Gideon mówił, że jest pani eks-pertką od Indian.

—Nie wszystkich — odparła ze śmiechem. — W naszym kraju żyją setki plemion, a każde jest inne.

—Właśnie! Ileż to razy nasi goście spodziewają się, że zobaczą tu Indian w wojennych pióropuszech! Europejczycy napatrzą się na ryciny Siuksów i dziwią się, dlaczego Indianie Cahuilla nie ubierają się tak samo. Siuksowie żyją w chłodnym klimacie, więc potrzebują skórzanych spodni i ciężkich okryć. Tymczasem Indianie żyjący na pustyni nie muszą nosić takich ubrań. Ugotowaliby się w nich.

—Wiesz, Morgano — powiedziała z namysłem Elizabeth — mogłabyś połączyć te dwie rzeczy: pielęgniarstwo z Indianami. W ten sposób obie będziecie zadowolone: i ciotka, i ty.

—Ale jak?

—W rezerwatach dramatycznie brakuje opieki medycznej. Wykwalifikowaną pielęgniarkę przyjmą tam z otwartymi ramionami.

—Ciotka za nic by się nie zgodziła! — zaprotestowała Morgana, ale pomysł ją zaintrygował.

Podobnie jak ciekawiła ją doktor Delafield, która siedziała spokojnie, paląc papierosa z gracją gwiazdy filmowej. Morganie cisnęły się na usta setki pytań. Tak wyrafinowana kobieta z pewnością wiedziała wszystko o mężczyznach i miłości. Spokojnie i mądrze wybrnęłaby z każdej sytuacji. Ciekawe, czy miała wielu kochanków czy przeżyła tylko jedną płomienną miłość? Kto był ojcem Gideona? Czym oczarował doktor Delafield? Morgana natychmiast wyobraziła sobie filmowy romans pełen napięcia i tragedii, ekstazy i przeszkód, smutków i radości. I ostatnia scena, w której doktor Delafield całuje mężczyznę swego życia, a potem żyją długo i szczęśliwie. Pękając z ciekawości, a równocześnie nie chcąc wyjść na niegrzeczną, ostrożna badała grunt.

—Pan Delafield też jest antropologiem? Elizabeth spojrzała zaskoczona.

—Pan Delafield?

—Ojciec Gideona.

Elizabeth zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie znosiła określenia „panna z dzieckiem”. W ciąży nie obchodziło jej, co ludzie sobie myślą, nie zastosowała więc nigdy sztuczki, do której uciekały się inne kobiety w jej sytuacji, nazywając się wdowami — mimo że zaszła w ciążę w czasie wojny, kiedy łatwo byłoby wmówić ludziom, że jej mąż zginął na przykład we Francji. Potem położna podała jej słabe, kruchutkie dziecko i od tej chwili Elizabeth zrobiłaby wszystko, by osłonić swoje maleństwo. Nikt nie nazwie jej syna bękartem!

— postanowiła. Nienawidziła kłamstw, starała się zawsze wybierać prawdę. Wraz z pojawieniem się Gideona zrozumiała jednak, że w pewnych sytuacjach kłamstwo bywa konieczne.

— Jego ojciec odszedł, jeszcze zanim Gideon się urodził. — Elizabeth zerknęła na zegarek. To idealny moment, żeby „przypomnieć” sobie o pilnej rozmowie telefonicznej.

—Przykro mi, ale... — zaczęła, lecz Morgana nie pozwoliła jej skończyć.

— Biedaczek! Tak mu współczuję. Mój ojciec zostawił nas, gdy miałam dzie-
sięć lat. Oczywiście, nie mówię, że jest pani złą matką — dodała szybko. —
Przeciwnie, jest pani cudowną matką, każdy to widzi. Ale ojcowie też zajmują
ważne miejsce, prawda?

W oczach Morgany pojawiła się niewysłowiona tęsknota za czymś, co zapeł-
niłoby pustkę po ojcu. I smutek. Elizabeth wiedziała, jakie pytanie kryje się w
tych oczach: dlaczego ojciec mnie opuścił?

Tu jednak wkraczały na niebezpieczny grunt. Elizabeth musiała jak najszyb-
ciej wrócić do miasta. Już miała zawołać Gideona, gdy Morgana powiedziała:

— Sąsiedzi mówią, że tata miał talent malarski. Pamiętam, jak siedziałam u
niego na kolanach, oglądając szkice. Wtedy jednak byłam za młoda, aby je doce-
nić. Dałabym wszystko, żeby móc je znowu obejrzeć.

— Nie masz ich? — zdziwiła się Elizabeth.

— Podobno wszystkie rozdał—wyj aśniła Morgana, przypatruj ąc się barw-
nemu kobiercowi kwiatów.

Elizabeth odebrało mowę. Najpierw plotki, że Faraday ukradł pieniądze i
uciekł z kobietą podejrzaną konduity. Teraz jego córka, która nie może nawet
pocieszyć się podziwianiem wrodzonego talentu malarskiego ojca. Tego było za
wiele.

— Przepraszam — powiedziała Morgana, patrząc na stojącą kobietę. —
Zwykle nie rozmawiam o ojcu. Ale to, co pani powiedziała o Gideonie... —
Wzruszyła ramionami. — Wspomnienia o tacie to mój największy skarb.

I mój też — chciała dodać Elizabeth, z trudem panując nad wzruszeniem.

— Wie pani, o co bym zapytała tatę, gdyby się tu zjawił? „Gdzie byłeś?”,
oczywiście. Ale jest też inne pytanie, które od dawna chcę mu zadać. Wciąż o
tym myślę. — Zdjęła kapelusz i odgarnęła z czoła grzywkę. — Jestem pewna, że
zauważyła pani tę bliznę. Wszyscy ją dostrzegają. Nie wiem, skąd się wzięła.
Kiedy pytam ciotkę, odpowiada tylko, że to był wypadek. Ale czasem... w

snach... Widzę, jak tata pochyla się nade mną z niepokojem. Martwi się o moje czoło. Te sny są tak realne, że czasem zastanawiam się, czy nie są wspomnieniem. Gdyby teraz tu przyszedł, zapytałabym, skąd się wzięła ta blizna.

Kiedy znałam twojego ojca, jeszcze jej nie miałaś — chciała odpowiedzieć Elizabeth. — Pokazywał mi twoje zdjęcie. Czoło miałaś gładziutkie jak porcelana... Och, ja także mam do niego wiele pytań.

— Wstydzę się jej — podjęła Morgana, wkładając kapelusz.

Elizabeth znowu usiadła. O telefonie przypomni sobie za kilka minut.

— Wstydysz się blizny? Dlaczego?

— Nie wiem. Nie potrafię zapomnieć, że w Biblii Kain został napiętnowany za swoje grzechy. Zastanawiam się, czy oparzenie naprawdę było nieszczęśliwym wypadkiem. A może raczej karą za coś, co zbroiłam. Czasem, kiedy patrzę w lustro, ogarnia mnie wstyd i zadaję sobie pytanie, czy...

— Czy co?

Dziewczyna popatrzyła jej prosto w oczy.

— Czy ojciec nie wyjechał z mojego powodu; dlatego, że **coś** złego zrobiłam.

— Morgano, winisz się za jego zniknięcie?

— Ciotka mówi, że byłam bardzo upartym i niegrzecznym dzieckiem. Tej nocy, kiedy oparzyłam się w czoło, bawiłam się w kuchni. Ciotka wcześniej każała mi iść do łóżka, ale ja powiedziałam, że zostanę. Wtedy się potknęłam i upadłam na kuchnię... Ciotka twierdzi, że to była moja kara za nieposłuszeństwo.

Elizabeth zmarszczyła czoło. Opisując swoją córkę, Faraday nigdy nie użył słów: niegrzeczna, uparta, nieposłuszna.

— Po tamtym wypadku tata nas zostawił — ciągnęła cicho Morgana. — Ciotka nigdy nie powiedziała tego wprost, ale przypuszczam, że odszedł, bo miał dość moich rozrób. Był naukowcem. Cenił spokój. Nie mógł dłużej znosić niesforne, rozbrykanego dziecka.

Co za brednie ciotka naopowiadała tej dziewczynie? zaniepokoiła się Elizabeth. Dlaczego zrzuca na siostrzenicę ciężar winy i odpowiedzialności? I kim w ogóle jest ta ciotka? Wydawało mi się, że Morgana i pani Hightower mieszkają same.

—Wiesz, bliznę można usunąć.. Chirurgia plastyczna zrobiła niezwykle postępy. Lekarz wzięłby fragment skóry z innej części ciała i przeszczepił na czoło. Założę się, że po bliznie nie zostałyby nawet ślad.

—Nie stać nas na taką operację. A blizna wcale mi nie przeszkadza. Prawie wcale — dodała po namyśle.

Choć właściwie miło byłoby się od niej uwolnić. Ciotka Bettina nieustannie przypominała jej, żeby zasłaniała bliznę. Ileż to razy Morgana słyszała dyskretne chrząknięcie, a kiedy się odwracała, widziała, jak ciotka pokazuje na czoło, dając znak, by zasłonić szpecące piętno.

—Morgano — odezwała się Elizabeth, z całego serca współczując dziewczynie. Córce Faradaya. Siostrze Gideona. — Znasz może książkę „Szkarłatna literatura” Nathaniela Hawthorne'a?

—Słyszałam o niej, ale nie czytałam.

— Spróbuj do niej dotrzeć — zamknęła temat kobieta. Pora kończyć — pomyślała. Rozejrzała się za Gideonem.

Nigdzie nie było go widać.

— Wie pani, czego najbardziej się boję? — Morgana wstała, również rozglądając się za chłopcem. Oby gdzieś się nie zgubił. Na błękitnym niebie krążyły sępy. — W okolicy krąży opowieść o starym poszukiwaczu złota. Nazywał się John Lang. Pewnego dnia zostawił na drzwiach swojej chaty kartkę „Niedługo wracam”. Jego szczątki znaleziono dwa miesiące później. Robotnicy budowali drogę i w krzakach natknęli się na ciało pana Langa. Leżał pod kocem, jakby spał. W pobliżu został nawet popiół z ogniska i boczek zawinięty w papier. To było zaledwie sześć lat temu. Mężczyzna, który doskonale znał te tereny, zmarł. Ot, tak. Prawdopodobnie z zimna. Tak przynajmniej się przypuszcza. Nie daje mi

spokoju jedna myśl: że mojego ojca spotkał podobny los i że gdzieś tam leżą jego szczątki, czekając, aż ktoś je pogrzebie.

—Sądziłam, że wyjechał do Meksyku — zaczęła Elizabeth i szybko ugryzła się w język. — To znaczy... Jeden z gości zajazdu...

—Nie musi pani przeproszać, historia taty to już element lokalnej legendy. Wszyscy twierdzą, że uciekł do Meksyku z kobietą. Jeśli tak zrobił, nigdy mu nie wybaczę. Ale może ludzie się mylą?

Ta sama myśl zaświtała Elizabeth wcześniej. Teraz zaś przyszedł jej do głowy inny pomysł. Czemu by nie wyruszyć na poszukiwanie Faradaya?

Taki nagły wyjazd do Meksyku, a potem dwanaście lat milczenia — to do niego nie pasowało. Choćby w obozowisku pod Smith Peak. Faraday co pewien czas jeździł do Barstow, by nadać telegram. Można by nawet — plan powoli nabierał kształtu — wynająć detektywa. Elizabeth zaczęła się zastanawiać, czy Bettina podjęła jakiegokolwiek próby odszukania męża czy też po prostu zaakceptowała jego zniknięcie.

—Nie wiesz o nim niczego więcej? — zapytała ostrożnie. — Oprócz tego, że był lekarzem i rysownikiem?

—Mam wspomnienia z dzieciństwa. Byliśmy bardzo ze sobą zżyci. Ale kiedy zniknął, miałam dziesięć lat, a Bettina nigdy o nim nie rozmawia. Nie zachowała żadnych jego zdjęć ani listów. Powiedziała tylko, że pojechał na pustynię szukać złota.

Elizabeth z niedowierzaniem patrzyła na Morganę. Przecież Faraday prowadził pamiętnik. Zapisywał w nim wszystko. I co to znowu za Bettina? Powoli zaczynała się w tym wszystkim gubić.

— To znaczy — spytała, unosząc brwi — że nie masz niczego, co należało do twego ojca?

— Nie mamy nawet jego kolekcji ceramiki. Poszła na sprzedaż, żeby można było wybudować gospodę.

Elizabeth brakowało słów. Bogate — bezcenne! — dziedzictwo Faradaya Hightowera przypadło? Dlaczego żona pozbyła się rzeczy po nim, skoro rzekomo spodziewała się jego powrotu?

Wiatr szarpał rękawy jej koszuli i spódnicę Morgany, gdy rozglądały się za Gideonem. Siedząca na czerwonym kamieniu jaszczurka przyglądała się parze intruzów. Wtedy Elizabeth podjęła decyzję. Bez względu na to co zrobił Faraday po wyjeździe ze Smith Peak, bez względu na to czy okłamał ją, podając się za wdowca — teraz liczy się tylko to, by córka odkryła prawdę o nim. Miała prawo dowiedzieć się, czego szukał, i na własne oczy zobaczyć jego talent.

— Morgano — odezwała się z namysłem, rozdeptując niedopałek w piasku, a potem starannie zawijając go w chusteczkę, czego nauczyła się w czasie wykopalisk archeologicznych — muszę ci coś wyznać. — Głęboko zaczerpnęła tchu. — Przed laty krótko znałam twojego ojca.

Dziewczyna spojrzała na nią zdumiona.

— Naprawdę?

Elizabeth podeszła do samochodu, otworzyła tylne drzwi i wyjęła paczkę owiniętą papierem i przewiązaną sznurkiem, po czym dała ją Morganie.

— Dlatego tutaj przyjechałam. Żeby dać to twojemu ojcu. Kiedy jednak usłyszałam, że Faraday zniknął przed dwunastu laty, nie wiedziałam, jak postąpić. Wahałam się, czy dać ci to czy wyjechać, nie wspominając o niczym.

Dziewczyna niecierpliwie rozwiązała sznurek i zdarła papier, odsłaniając książkę zatytułowaną „Prekolumbijskie petroglify amerykańskiego południowego zachodu” ze zdjęciem na obwolucie.

— Kiedy Doznałam twojego oica — wiaśniła Elizabeth — fotografowałam głazy z wyrytymi na nich prekolumbijskimi rysunkami. Przyłączył się do nas na jakiś czas i rysował te głazy. Kiedy wybierałam ilustracje, postanowiłam oprócz moich zdjęć zamieścić niektóre szkice twojego ojca.

Morgana ostrożnie otworzyła książkę. Przełożyła stronę tytułową i znieruchomiała na widok pierwszego zdjęcia. Przedstawiało ekipę z obozu pod Smith Peak. W środku stali Elizabeth i Faraday.

— To mój ojciec? — zachłysnęła się dziewczyna. — Tak! Tak jest napisane pod fotografią!

Elizabeth przygryzła wargę. Teraz musi bardzo uważać. Owszem, chciała jak najszybciej opuścić Twentynine Palms, odgrodzić się górami i pustynią od tych dwu — a może trzech? — kobiet, które zostawił Faraday, ale nie mogła pozwolić, by ta dziewczyna nie miała żadnej pamiątki po ojcu.

— Nie przyjechał na zachód w poszukiwaniu złota, Morgano. Szukał Boga. Twój ojciec był niezwykle religijny. Wiedziałaś o tym? Po śmierci twojej matki przeszedł kryzys wiary. Objechał cały świat w poszukiwaniu odpowiedzi o sens życia, a kiedy dowiedział się, że gdzieś tu na południowym zachodzie żyją szamani, potomkowie pradawnych Indian, ruszył ich tropem właśnie na tę pustynię.

Dziewczyna wpatrywała się w nią z powagą.

— To były poszukiwania duchowe?

— Początkowo. Z czasem jednak zafascynowała go indiańska kultura, chciał opisać i utrwalić wszystko, co widział.

— Pamiętam to! Wyglądałam go, stojąc w oknie, a kiedy podjeżdżał, wybiegałam mu na spotkanie. Zawsze przywoził mi upominki, opowiadał niezwykle legendy i pokazywał swoje cudowne szkice.

Kiedy Elizabeth patrzyła, jak Morgana powoli przekłada strony i koniuszkami palców z nabożeństwem dotyka reprodukcji rysunków Faradaya, ogarnął ją smutek. Pomyśleć, że ta książka to jedyne, co córce zostało po ojcu. Jedyne, co zostało po Faradayu.

Może tak chciał los? pomyślała. Może nadszedł czas, by córka poznała prawdę o ojcu i dostała po nim pamiątkę? A może nadszedł również czas, by i Gideon poznał prawdę?

Syn pomagał Elizabeth w pracy nad albumem. Doskonale znał historię mężczyzny, który zjawił się pewnego wieczoru, ratując życie profesorowi Keene'owi. To Gideon wybierał zdjęcia do książki: uśmiechnięci robotnicy, posiłki przy ognisku, studenci pochyleni nad stołami, matka stojąca w kanionie obok mężczy-

zny, który nazywał się Faraday Hightower. Wydawało się, że oboje patrzą na skałę, ale po bliższej obserwacji można było dostrzec, że widzą tylko siebie.

Gideon był drobny jak na swój wiek, ale inteligentny. Choć Elizabeth go osłaniała, sam dowiedział się, skąd się biorą dzieci. Ile czasu upłynie, zanim odliczy miesiące od swoich urodzin i ustali, że dziewięć miesięcy wcześniej matka prowadziła badania na pustyni w towarzystwie studentów — wszystkich znacznie młodszych od siebie — chorowitego profesora Keene'a i obcego mężczyzny nazwiskiem Hightower?

—To on! — zawołała Morgana, trafiwszy na rysunek złocistej *olli*. — Poznaję go! To ten piękny dzban, który tata znalazł w Pueblo Bonito! Godzinami siedziałam przed nim, zastanawiając się, co oznacza ten wzór. Och, doktor Delafield, jakież to cudowne!

—Czarno-białe zdjęcia nie oddają jego urody. Żeby docenić jego piękno, trzeba zobaczyć też kolor. Miał przepiękny odcień dojrzałej brzoskwini. Wiesz, jak twój ojciec go nazywał? Kolorem nadziei.

—Kolor nadziei — powtórzyła Morgana, wodząc palcami po zdjęciu, obrysowując chaotyczny wzór, przypominając sobie popołudnia spędzone z ojcem. Złociste, jak to naczynie.

Przełożyła kartkę i ujrzała znajomą twarz.

— To ta dziewczyna! Sądziłam, że ją sobie wymyśliłam, ale to ona! Indianka Hopi z tatuażem! Przypominam sobie!

Tata powiedział, że należymy do sekretne go plemienia. Nazwał je plemieniem pluszowych miśków.

Patrząc, jak dziewczyna uśmiecha się przez łyżę, ocierając oczy chusteczką, Elizabeth podjęła decyzję. Kiedy już będą sami, daleko stąd — może w Kolorado, gdy już się zaaklimatyzują w Mesa Verde — wyzna Gideonowi całą prawdę. Poprosi, by nie mówił Morganie, bo choć są przyrodnim rodzeństwem, będzie dla niej lepiej, by o niczym nie wiedziała. Przynajmniej na razie. „Jej ojciec ją opuścił, Gideonie”

— powie synowi. — „Oznajmić jej teraz, że ojciec był cudzołożnikiem i miał dziecko z nieprawego łoża, to byłoby jak posypywanie solą świeżej rany”. A Gideon — jej mały dżentelmen — oczywiście będzie chciał postąpić po rycersku i oszczędzić Morganie bólu.

— Wróćmy już do zajazdu — powiedziała cicho do dziewczyny. — Zatrzymaj książkę. Będiesz mogła się nią cieszyć do woli. Gideon i ja naprawdę musimy ruszać w drogę.

— Niech mi pani powie... Sądzi pani, że mój ojciec był nienormalny?

— Słucham? — zdumiała się Elizabeth.

— O ojcu krążą różne opowieści. Ludzie mówią, że brakowało mu piątej klepki. Że był niezrównoważony. Kiedy ostatni raz wyjechał, całymi dniami płakałam, nie mogąc się doczekać jego powrotu. Godzinami stałam na podwórku, wyglądając go. Ciocia się na mnie gniewała, aleja wciąż wierzyłam, że tata wróci. Mijały tygodnie, miesiące, a ja wciąż czekałam na list, wypatrywałam go na drodze. Byłam nieutulona w żalu. Nie potrafiłam zrozumieć, jak mógł mnie opuścić, skoro byliśmy sobie tak bliscy. Nawet się nie pożegnał. Ale...

— miętosila wilgotną chusteczkę — jeśli był niezrównoważony psychicznie, to znaczy, że nie porzucił nas świadomie—Może nawet nie wiedział, co robi.

— Och, Morgano... — Elizabeth położyła jej rękę na ramieniu.

— Ciocia Bettina twierdziła, że tata miał urojenia. Że cierpiał na chorobę psychiczną, która tak się rozwinęła, że postradał rozum.

— Twój ojciec nie był chory psychicznie. Owszem, był marzycielem, chodził z głową w chmurach, ale psychicznie był tak samo zdrowy jak ty czy ja.

— Ale skoro był zdrowy, to znaczy, że zostawił nas z premedytacją. A jeśli nie, jeśli nie zrobił tego celowo, to ciocia ma rację: był chory na umyśle i po prostu o nas zapomniał. Jedno gorsze od drugiego.

Istniało też trzecie wytłumaczenie, ale Elizabeth nie chciała o nim wspominać. Zrobiła to jednak sama Morgana.

— A jeśli tata zmarł, to ktoś chyba go znalazł i policja by nas zawiadomiła.

— Czasem pustynia pochłania ludzi, Morgano. Dziewczyna wróciła wzrokiem do Indianki z włosami upiętymi w kształt kwiatu dyni. Patrząc na trzy pionowe kreski nad jej nosem, dotknęła swojego czoła.

— Nie pamiętam, skąd ta blizna, ale doskonale pamiętam, jak próbowałam zrobić sobie tatuaż wiecznym piórem. Chciałam wyglądać jak ona. — Podniosła na Elizabeth oczy pełne łez. — Powiedziała pani, że tata wyruszył w podróż duchową. Dlaczego przyjechał właśnie tu? Czemu wybrał to miejsce?

Elizabeth przez chwilę myślała, potem wzięła książkę i długopis, otworzyła tylną okładkę i na jej wewnętrznej stronie coś nabazgrała.

— To dwa tropy, które dostał twój ojciec. Pokazał mi je. Nie są dokładne, ale z grubsza oddają wygląd oryginałów.

Dziewczyna przechyliła głowę i przypatrywała się rysunkom. W pierwszym natychmiast rozpoznała drzewo Jozuego, ^ale znaczenia drugiego nie potrafiła rozpoznać: kwadrat ^z biegnącym ukośnie zygzakiem.

— Dziękuję — powiedziała cicho, zamykając książkę i przytulając ją do piersi.

Potem będzie chłonać każde słowo i zdanie, każdą fotografię. Będzie badała twarz mężczyzny ze zdjęć i uczyła się na pamięć każdej kreski jego rysunków. I będzie wracać pamięcią do cudownych chwil na zalanym słońcem patiu i do miłości ojca, w którą nie wątpiła.

Podniosła na Elizabeth oczy pełne łez i wzruszenia.

— To najwspanialszy dar, jaki kiedykolwiek dostałam. Zwróciła mi pani częśćkę taty. Jak mam pani dziękować?

Kobieta odwróciła wzrok. Gardło jej się ścisnęło. Miała jeszcze inną częśćkę ojca Morgany. Miała jego syna. Podniosła się energicznie i strzepnęła spodnie.

— Musimy już wracać. — Rozejrzała się. — Gideonie! Gideonie!

Kiedy wędrował wśród skał, trafił na niezwykle gładki: olbrzymi sześcian z biegnącą ukośnie zygzakowatą linią wyglądającą jak błyskawica. Przypędził, że-

by opowiedzieć o tym matce, ale ona nie dopuściła go do głosu, tylko oświadczyła, że muszą wracać.

W drodze powrotnej zatrzymali się w miejscu, gdzie widzieli szamoczącego się jastrzębia. Piskłę zniknęło. Wzbiło się w powietrze.

W zajęzdzie Morgana oddała Elizabeth koszyk z prowiantem, którego nawet nie tknęli.

—Niech pani wstąpi do Candlewellów uzupełnić paliwo i zapasy wody. — Uściskała Gideona. — Do widzenia. Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

—Obiecuj, że napiszesz — poprosił Gideon, a Morgana dała słowo.

W miarę jak oddalali się od Chateau Hightower, Elizabeth zaczęła się odprężyć. Mało brakowało, ale wkrótce zamieszkają daleko, w Kolorado, i nie będzie powodu, by kiedykolwiek znów przejeżdżać tą drogą. I będziemy bezpieczni od Bettiny Hightower — pomyślała, nie rozumiejąc skąd wzięła się ta myśl. Przecież nawet nie wiedziała, czy ciotka, o której wspominała Morgana, nosi nazwisko Faradaya.

Dziewczyna zaś wślizgnęła się cicho do zajazdu, by nie spotkać ciotki ani nikogo z personelu, i pobiegła prosto do sypialni. Nie chciała, by doktor Delafield wyjeżdżała. Miała do niej tysiące pytań o ojca. Duchowe poszukiwania! Dlaczego ciotka twierdziła, że szukał złota? A jego szkice były przepiękne. Tylko gdzie się podziały?

Siadła na łóżku z książką na kolanach i długo wpatrywała się w twarz mężczyzny, którego prawie nie pamiętała. Wysoki, szczupły, opalony, brodaty. Był naprawdę przystojny. A na wspólnym zdjęciu z doktor Delafield wyglądali cudownie.

Wolno przewracała kartki, chłonąc każde zdjęcie i słowo. Po raz pierwszy zwracała też uwagę na podpisy pod zdjęciami. Znieruchomiała, kiedy przeczytała datę. Lipiec 1916 roku.

Niecałe szesnaście lat temu.

Coś bzycało jej pod czaszką. Jakiś uparty głosik, który nie chciał dać jej spokoju.

W miarę jak oglądała zdjęcia, zaczynało do niej docierać, że doktor Delafield z największą niechęcią przyznała się, że przywiozła książkę — dopiero kiedy Morgana zwierzyła się, że nie ma żadnych pamiątek po ojcu. Dlaczego wcześniej nie pokazała albumu? Kiedy Morgana teraz o tym myślała, odnosiła wrażenie, że Elizabeth zamierzała wyjechać, w ogóle nie wspominając o książce Bettinie. Dlaczego?

Wróciła do zdjęcia z lipca 1916 roku. Przypomniała sobie, jak Gideon mówił, że niedługo kończy piętnaście lat. Co oznacza... Policzyła na palcach. Tak, został poczęty w lipcu 1916 roku!

Oprócz zdjęcia grupowego z ojcem w środku zespołu była też fotografia tylko ich dwojga: Elizabeth i Faradaya. Stali przed kamieniem pokrytym prekolumbijskimi rysunkami. Dopiero teraz Morgana dokładniej się przyjrzała i dostrzegła to, co umknęło jej wcześniej. Para nie patrzyła na Petroglify, tylko na siebie.

Morgana na łańcuszku ukrytym pod bluzką miała złoty amulecik. Nosila go od dzieciństwa, a ilekroć głęboko nad czymś myślała, palce szukały talizmanu i dotykały go. Teraz też głaskała małą figurkę, pamiątkę z dzieciństwa. Nagle zaświtał jej pewien pomysł.

Zerwała się z łóżka i z górnej półki szafy zdjęła pudełko. Od lat nie przeglądała zawartości, bo znajdowały się tam stare fotografie ludzi, których nie знаła: nieżyjących dziadków, krewnych, których nigdy nie poznała. Wyciągnęła je ze śmietnika, na który Bettina wyrzuciła je dwanaście lat temu. Teraz przypomniała sobie, że wśród nich było zdjęcie jej ojca z dzieciństwa. Wydobyła jej na światło dzienne i aż się zachłysnęła. Toż to wykapany Gideon!

Sfrunęła na dół, wskoczyła do zdezelowanej furgonetki, którą Bettina kupiła wiele lat temu, i ruszyła drogą, przez zakurzoną przednią szybę wyglądając samochodu Elizabeth.

Stał tam, przed sklepem Candlewellów. Elizabeth i Gideon właśnie wsiadali, zatraskując drzwi. Morgana nacisnęła klakson.

Wyskoczyła z samochodu, nie wyłączając silnika, i dopadła do ich samochodu, krzyząc i wymachując rękami.

— Gideonie! Czyż to nie cudowne? Jesteś moim bratem!

ROZDZIAŁ 66

— No pięknie, panienko — mruknęła Bettina. — Zupa się rozlała.

Zaintrygowana, dlaczego siostrzenica jak burza wypadła z domu, wskoczyła do samochodu i ruszyła z piskiem opon, poszła do pokoju Morgany i tam znalazła...

Książkę. I zdjęcie z dzieciństwa.

Czyli Morgana poznała prawdę. I znając ją, można było podejrzewać, że dziewczyna całemu światu pochwali się bratem.

Bettina wyszła z pokoju, zdecydowanym ruchem zamykając za sobą drzwi. Jednakże słysząc kroki krzątających się ludzi, została na korytarzu.

Sytuacja stała się co najmniej niekomfortowa. Za bardzo groziła skandalem. Kazać Delafieldom się wynieść? To na nic. Zawsze będzie istniało ryzyko, że blond zdzira i jej bękart tu wrócą. Trzeba znaleźć skuteczniejsze, definitywne rozwiązanie problemu.

Chwilę potem spłynęło na nią olśnienie. Wiedziała już, co musi zrobić.

— Przepraszam, że ukrywałam przed tobą prawdę, Gideonie, kochany synku — mówiła Elizabeth. — Żyjemy jednak w świecie okrutnych zaściankowych ludzi.

Wciąż byli w sklepie Candlewellów. Siedzieli na tarasie w cieniu fioletowej bugenwilli. Elizabeth przyniosła koszyk z prowiantem, który dostali od Morgany, ale żadne nie ruszyło kanapek ani owoców. Ethel Candlewell podała im schłodzoną coca-colę, ale napój też się zmarnował.

— Wiesz, że twój tata i ja nie stanęliśmy przed duchownym i nie wyrecytowaliśmy formułki — tłumaczyła spokojnie, jakby tylko oni siedzieli na tarasie obok ruchliwego sklepu i stacji benzynowej. — Ale bardzo się kochaliśmy, a ty byłeś owocem tej głębokiej miłości i oddania. Zawsze ci to powtarzałam. Niestety nie mogłam ci zdradzić nazwiska ojca.

Przykryła dłonią rękę syna.

— Gideonie, przez te wszystkie lata ukrywałam jego nazwisko, bo czekałam na odpowiedni moment. Tutaj nagle zrozumiałam, że on nigdy nie nadejdzie. Nie miałam pojęcia, że Faraday zniknął. Wybaczysz mi?

— Już dobrze, mam, rozumiem — oznajmił poważnie, mimo swojego dzieciennego wyglądu po raz kolejny zaskaku ją spokojną dojrzałością. — Przynajmniej mam teraz bombową siostrę.

— Nie tylko — dodała Morgana, dotykając opatrunku na jego czole. — Zostanie ci tu mała blizna. To będzie znak przynależności do naszego małego szczególnego plemienia.

Powiedziała to, ponieważ mimo swoich dzielnych zapewnień chłopiec miał w oczach niepokój i lęk. Do tej pory stanowił obiekt drwin ze względu na swój wzrost. Teraz jeszcze będą go wyzywać od bękartów.

Morgana ciągle myślała o swoim niezwykłym odkryciu. Elizabeth Delafield i jej ojciec byli kochankami! Jakież to cudowne i romantyczne! Oczami wyobraźni widziała zachody słońca i upojne noce pełne napiętności i zapewnień o dozgonnym uczuciu. Miłość ojca i Elizabeth otworzyła jej serce i umysł na miłość, jaka

mogłaby połączyć ją samą z Sandym Candlewellem. Musiała tylko zdobyć się na odwagę i okazać, co do niego czuje.

W wyobraźni Morgana układała ten scenariusz już setki razy. Zawsze jednak miejsce, czas i okoliczności były inne. Zmieniały się też słowa oraz wygląd Morgany. Tylko Sandy nieodmiennie wyglądał tak samo: bez kapelusza, ponieważ urzekąco ją to, jak jego ciemnoblonde włosy spadają mu na czoło, i w koszuli z podwiniętymi rękawami, bo uwielbiała jego muskularne opalone ramiona. W marzeniach Morgana na różne sposoby wyznawała Sandy'emu swoje uczucia, ale zakończenie było to samo. Sandy również wyznawał jej dozą miłość, mówiąc, jak bardzo się cieszy, że zrobiła pierwszy krok, bo jemu wciąż brakowało odwagi.

Tyle że wszystko to musiało zostać w sferze marzeń ze względu na ciotkę Bettinę. Owszem, odnosiła się do Candlewellów dość serdecznie, ale uważała, że stoją znacznie niżej od niej w hierarchii społecznej. Nieustannie przypominała Morganie, jakby czytała jej w myślach i znała jej najskrytsze pragnienia: „Nawet nie patrz na miejscowych chłopców. Podkreślała to za każdym razem, gdy Morgana — jak każda nastolatka — snuje marzenia o narzeczeństwie, ślubie i miodowym miesiącu na egzotycznej wyspie.

Niestety ciotka Bettina stanowiła przeszkodę, której nie pokonałaby nawet największa miłość ani namiętność.

Była też kwestia Adeli Cartwright. Wszyscy wiedzieli, że zagięła parol na Sandy'ego. A Adela była zdecydowaną dziewczyną, która zwykle stawiała na swoim.

Teraz jednak Morgana rozpaczliwie chciała doświadczyć tego, co połączyło Elizabeth z Faradayem. Chciała poznać smak tej samej cudownej namiętności. Czy zbierze się na odwagę, by wyznać Sandy'emu uczucie?

— Mogę zadać pani niedyskretne pytanie? — zwróciła się do doktor Delafield. — Dlaczego tata się z panią nie ożenił?

— Nie mógł. Był już żonaty. Morgana ściągnęła brwi.

— Nieprawda. Nie był. Nie w szesnastym roku.

—Owszem, był. — Dziewczyna jednak wciąż kręciła głową. — Morgano, jesteś pewna?

—Ja myślę. Ożenił się z ciotką Bettiną dwanaście lat temu, tuż przed swoim zniknięciem.

—Ależ szesnaście lat temu, kiedy odwiedziłam was w Casa Esmeralda, pani Ffightower powiedziała, że jest żoną Faradaya.

—Nie. Wtedy była tylko jego szwagierką. Może opacznie ją pani zrozumiała?

Nagle wszystko stało się jasne. Już wcześniej podejrzewała, że Faraday nie dostał listu, w którym informowała go o ciąży. Teraz miała pewność.

— Tak — potwierdziła. — W Casa Esmeralda zapewne zaszło nieporozumienie. Wydawało mi się, że twoja ciotka nazwała się żoną Faradaya. Może się przesłyszałam. To się zdarza.

Powiedziała tak ze względu na Mnroanę. Sama nie wierzyła, by można było mówić o nieporozumieniu. Z trudem tłumiała furję, która się w niej rodziła.

—A pani list do taty pewnie się zgubił — tłumaczyła Morgana, szukając jakiegoś wyjaśnienia tamtych wydarzeń. Nie potrafiła uwierzyć, że ciotka Bettina byłaby aż tak okrutna.

—Najprawdopodobniej.

Siedzieli w milczeniu: kobieta w średnim wieku, dziewczyna i chłopiec ze sterczącym kosmykiem włosów. Wpatrywali się w szklanki z coca-colą, a każde rozmyślało o tym, jak szybko i zdumiewająco może zmienić się życie.

— Dziwne — odezwała się Elizabeth. — Dwanaście lat temu, mniej więcej w tym okresie gdy twój ojciec zniknął, wciąż nawiedzał mnie ten sam sen. Widziałam Faradaya zagubionego na pustyni. Wołałam do niego. Mówiłam, by szedł za moim głosem, a znajdzie ocalenie. Sen powtarzał się przez kilka kolejnych nocy. Potem nagle się urwał i nigdy już nie wrócił. Ale był tak realistyczny, a jego szczegóły tak wyraźne, że przez następne kilka dni wciąż zaprzętał mi głowę. Czułam się, jakbym naprawdę była z Faradayem na pustyni i pomagała mu zna-

leźć drogę do domu. — Spojrzała na Morgane. — Później często się zastanawiałam, co ten sen mógł oznaczać.

Wstali od stolika.

— Jeszcze coś — powiedziała Elizabeth, wyjmując z kieszeni pomięty telegram. — Domyślasz się, kto to wysłał?

Wyjaśniła, że napisała list do Faradaya i dostała odpowiedź telegramem, a potem sama wysłała telegram, podając datę przyjazdu — ową rezerwację, która nie dotarła do zajazdu.

Morgana domyślała się, kto mógł za tym stać.

— Nasza pracownica. Ciotka zwolniła ją, dziewczyna czuła się skrzywdzona. Dostała pracę u Candlewellów, sortowała pocztę i telegramy. Pewnie wyobrażała sobie, że spłata nam figla — wyjaśniła, choć nie wierzyła, by Polly Crew chciała zrobić byleją pracodawczyni głupi kawał, raczej szukała zemsty.

— Na nas już czas — podniosła się Elizabeth. — Chcę dojechać do Banning przed zmierzchem.

Chciała jak najszybciej wyrwać się z tego miasta. Potrzebowała czasu, by wszystko przemyśleć; by w samotności przyjrzeć się swoim myślom i emocjom.

Po tylu latach okazało się, że Faraday był jednak wolny. Nie miał żony, nie popełnili cudzołóstwa. Ta kobieta bezwzględnie ją okłamała, by zatrzymać Faradaya dla siebie. Mogliśmy się pobrać, mogliśmy razem wychowywać Gideona

— gnębiła ją uporczywa bolesna myśl.

Jej wściekłość rosła. Miała ochotę wykrzyknąć to wszystko w twarz kobiecie, która zrujnowała im życie. I właśnie dlatego musiała jak najszybciej uciec z Twentynine Palms. Lecz Gideon chciał zostać.

— Mamo, pracę w Mesa Verde zaczynasz dopiero za tydzień — przekonywał. — Zostańmy tu przez ten czas. Proszę.

— Musielibyśmy poszukać pokoju.

— Ależ nie! — oburzyła się Morgana. — Wróćcie do zajazdu! Nie jesteście już klientami! Jesteście rodziną! Musimy powiedzieć ciotce — dodała, widząc wahanie Elizabeth.

— Chcę, aby miała świadomość, że poznałam prawdę.

— Czuję, że nie przyjmie tego entuzjastycznie — powiedziała kobieta, przypominając sobie wieczorną wizytę Betti-ny. — Może zażądać, bym razem z Gideonem opuściła miasto. Ma do tego prawo, a ja obowiązek uszanować jej wolę. Nieważne już, co się wydarzyło szesnaście lat temu. Czy była wtedy żoną Faradaya, czy ja się przesłyszałam, czy po prostu skłamała... To już przeszłość. Dziś sytuacja wygląda tak, że Bettina jest żoną Faradaya i zasługuje na szacunek.

Mówiła spokojnie i rzeczowo ze względu na Morgane i Gideona. W głębi duszy chciała pojechać do Bettiny i wygarnąć jej prosto w oczy, że jest podłą, odrażającą intrygantką. Jednakże dla dobra tych dwojga zachowa zimną krew. Jeśli Bettina każe jej się wynieść, wyjedzie.

Kiedy wrócili do zajazdu, zaniepokojona Bettina czekała na nich przed wejściem.

— Morgano, kiedy z takim pośpiechem odjechałaś furgonetką, zrozumiałam, że stało się coś złego. Zajrzałam do twojego pokoju i zobaczyłam zdjęcie Faradaya. Zatem znasz już prawdę. Wiesz, że Gideon jest twoim przyrodnim bratem. Bardzo się cieszę, mogąc poznać syna mojego świętej pamięci męża — zwróciła się do chłopca, wyciągając rękę.

Morgana spojrzała na ciotkę zdziwiona. Po raz pierwszy Bettina okazała, że pogodziła się z tym, co nieuchronne, i zaakceptowała fakt, że jej mąż nie żyje. Dziewczyna uznała to za dobry znak. Oczywiście wolałaby, żeby tata żył, ale słowa ciotki mogły stanowić przełom w ich stosunkach.

— Szczerze? Cieszę się, że prawda wyszła na jaw — ciągnęła Bettina. — Tajemnice są takie męczące. Ja też muszę coś wyznać — zwróciła się do Elizabeth. — Zbyt długo dźwigałam ten sekret. Panno Delafield, kiedy pani przyjechała do Casa Esmeralda, okłamałam panią. Nie byłam wtedy żoną Faradaya. Zdecydowałam się na tę szaradę przez wzgląd na niego, nie na mnie. Faraday był uroczym dobrym człowiekiem. Wtedy również był jeszcze bogaty, więc stanowił łakomy

kąsek. Wiele kobiet opacznie interpretowało jego grzeczność. Zjawiały się u nas, licząc na coś więcej. Dlatego aby go osłonić, podawałam się za jego żonę. Faraday wiedział o tym i akceptował to. Nie działałam za jego plecami. Skąd miałam wiedzieć, że pani jest inna? Ani słowem o pani nie wspomniał. Przepraszam za ból, jaki pani sprawiłam.

Elizabeth nie dowierzała jej, ale nic nie powiedziała.

—Czy Faraday dostał mój list sprzed szesnastu lat?

—Nic nie wiem o żadnym liście. Przysięgam, Bóg mi świadkiem. — Bettina odwróciła się, wprowadzając ich do środka. — Sądzę, że nie powinniśmy tego rozgłaszać, dopóki nie postanowimy, co dalej. Zgadza się pani?

Elizabeth chętnie na to przystała. Choć Gideon udawał odważnego, trudno było przewidzieć, jak lokalna społeczność zareaguje na wiadomość o jego pochodzeniu.

— Ty i Gideon z pewnością chcecie się bliżej poznać — zwróciła się Bettina do siostrzenicy. — Macie sobie tyle do powiedzenia. Idź na górę, skarbie, a ja pogawędzę sobie z panną Delafield. Wspólnie postanowimy, jak rozwiązać tę sytuację.

Obok recepcji znajdował się niewielki gabinet. Bettina pokazała Elizabeth krzesło, a sama usiadła naprzeciwko z dłońmi na kolanach.

— Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że to niezwykle delikatna sprawa. Obie musimy zrobić, co w naszej mocy, by uchronić dzieci przed złośliwymi plotkami.

Elizabeth przytaknęła powściągliwie, zastanawiając się, do czego zmierza gospodyni.

—To nieduża miejscowość. Nie byłoby dobrze dla Gideona, gdyby tutejsi mieszkańcy poznali prawdę. Obawiam się również, jak by wpłynęło na ich stosunek do Morgany, gdyby dowiedzieli się o wiarołomności jej ojca.

—Wtedy nie dopuszczał się zdrady — zwróciła uwagę Elizabeth.

—Zaiste. Skupmy się jednak na terażniejszości. Oto nagle pojawia się duży chłopiec, który okazuje się przyrodnim bratem Morgany, choć jego matka nie poślubiła jego ojca. Jak mamy przedstawić jego i panią naszej małej społeczności? Na Chateau Hightower nie może paść cień skandalu. Chyba to pani rozumie.

Elizabeth rozumiała aż za dobrze. Jej początki w roli panny z dzieckiem nie były łatwe. Miejscowy piekarz i rzeźnik nie chcieli jej obsługiwać. Została wyrzucona z licznych kółek kobiecych. Kiedy potem przenieśli się do innego miasta, gdzie Elizabeth znalazła posadę wykładowcy, pytanie o ojca Gideona w ogóle nie padało albo Elizabeth unikała tego tematu. Dzięki temu syn uniknął piętna dziecka z nieprawego łoża. Teraz jednak sytuacja się zmieniła i sprawę trzeba było jakoś rozwiązać.

— Panno Delafield — podjęła Bettina, nie czekając na odpowiedź — mam propozycję. Zapewniam, że chodzi wyłącznie o dobro chłopca i Morgany.

Przyjazd Delafieldów obudził w Bettinie dawno stłumione wspomnienia. Oto znowu miała osiem lat i dowiedziała się, że papa wcale nie jest jej ojcem. Rodzice kłócili się w sąsiednim pokoju, nazywali Bettinę dzieckiem z nieprawego łoża i bękartem. Nie rozumiała wtedy, co znaczą te słowa, ale brzmiały okropnie. Z czasem dowiedziała się, że matka dopuściła się ohydneho, niewybaczalnego postępu. „Stangret!” — szeptały pokojówki i podkuchenne, jakby romans ich pani był wybaczalny, gdyby wybrała bankiera albo księcia.

Od tamtej pory jej uwielbiany papa, pan Liddell, nie mógł na nią patrzeć. Nie dotykał jej, nawet się do niej nie odzywał. Całą miłość i uwielbienie przelał na Abigail. Wreszcie rodzice wysłali Bettinę do szkoły z internatem, podczas gdy Abigail została w domu. Matka ściągnęła Bettinę do domu dopiero po tym, jak ojciec nagle zmarł na serce. Próbowwała jej wszystko wyjaśnić. Nazywała Bettinę owocem miłości. Tłumaczyła, że ze stangretem łączyła ją głęboka miłość, że pan Liddell był surowy i wymagający, a prawdziwe szczęście znalazła w ramionach stangreta Jeremy'ego. To przyszło jednak za późno. Serce Bettiny stało się już zbyt twarde, by te tłumaczenia zdołały je poruszyć. Jej matka była występłą Jezabel.

Tak jak Elizabeth Delafield. Bettina rozkoszowała się myślą, jak zareagowaliby mieszkańcy, gdyby poznali prawdę. Natychmiast by napiętnowali nierządni-

cę i odtąd traktowali ją z miażdżącą pogardą. Jednakże choć perspektywa była niezwykle kusząca, Bettina za bardzo się obawiała, jak by to wpłynęło na jej reputację. Czy sąsiedzi dostrzegliby w niej cierpiącą, pokrzywdzoną wdowę i stanęli po jej stronie? A może wrzuciliby całą czwórkę do jednego wora, nazwanego skandalem Hightowerów, skazując na ostracyzm także Bettinę i Morganę? Wtedy — w najlepszym razie — Bettina zostałaby ośmieszona.

To jednak przestało się liczyć. Wszystko się zmieniło.

—Chłopiec powinien nosić nazwisko ojca — orzekła. — Niech pani pomyśli o jego szansach na ożenek. Rodzina narzeczonej z pewnością zechce poznać jego pochodzenie. Co wtedy powie?

—Zdaję sobie z tego sprawę, pani Hightower, ale nie będę kłamać i udawać, że łączyło mnie z Faradayem małżeństwo.

—Jest też inne wyjście, dzięki któremu Gideon oficjalnie może otrzymać nazwisko Hightower. Choć pociągnie to za sobą znaczne koszty i będzie wymagało poświęcenia mojego cennego czasu, dla dobra nas wszystkich, przez wzgląd na pamięć mego kochającego męża, jestem gotowa adoptować jego syna, Gideona.

ROZDZIAŁ 67

— Boisz się, skarbie? — zapytała Elizabeth. Morgana przeciągnęła szczotką po włosach z takim impetem, jakby chciała je wszystkie wyrwać.

—Czy się boję? Nie — odparła, śmiejąc się nerwowo. — Czy się niepokoję? Tak! Nigdy jeszcze nie sprzeciwiłam się ciotce.

—Na pewno się uda — uspokajała Elizabeth, zauważając, że Morgana po raz pierwszy zaczesła grzywkę na bok, odsłaniając czoło.

Wystarczył jej jeden dzień, by dostrzec, jak subtelnie Bettina manipuluje siostrzenicą. Dziewczyna nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Ciotka robiła to niedostrzegalnie, na setki sposobów. Wystarczył ruch głowy Bettiny, a Morgana natychmiast zasłaniała czoło.

„Kara” — powiedziała Morgana w Arch Rock. — „Wstydzę się”.

Dokładnie takich słów użyła, a Elizabeth pomyślała wtedy: „Zatem, Bettino, tak to robisz”.

Pojechała później do sklepu Candlewella i zamówiła rozmowę z Los Angeles. Dwa dni później przysłała paczka, którą Sandy Candlewell dostarczył do zajazdu. „Szkarłatna litera” Nathaniela Hawthorne'a. Wręczając książkę Morganie, Elizabeth powiedziała tylko, że powinna jej się spodobać. Dziewczyna pochłonęła powieść w ciągu dwóch dni, a gdy ją skończyła, wyszła ze swego pokoju odmieniona.

Hester Prynne, publicznie oskarżona przez mieszkańców Bostonu o zdradę i skazana na noszenie na piersi szkarłatnej litery A, zaskakuje wszystkich, czyniąc z symbolu hańby znak siły charakteru i pamiątkę swoich doświadczeń, nosząc go dumnie, jakby chciała powiedzieć: „Mój dawny grzech stanowi część mnie; wypierając się go, wypierałabym się samej siebie”.

Przeczytawszy ostatnią stronę, Morgana długo stała przed lustrem. Podniosła nawet lampę naftową, by dokładnie oświetlić znamię na czole. Blizna wielkości srebrnej dolarówki, wyglądająca jak księżycowy krater. Brzydka, nierówna, czerwona. Szkarłatna litera Morgany.

Przez dwanaście lat dziewczyna posłusznie robiła to, co kazała ciotka. Zapuściła grzywkę, nosiła kapelusze, zawiązywała apaszki, smarowała się kremami. Wystarczyło, że Betti-na powiedziała: „Zasłoń, córko”, a natychmiast sięgała po grzebień, czepek, puderniczkę.

Czemu pozwalała, by Bettina tak zdominowała jej życie? Odkąd żyła — już w pamiętanej jak przez mgłę kamienicy w Bostonie — ciotka rządziła każdą mi-

nutą i godziną jej życia. Książka Hawthorne'a otworzyła Morganie oczy i uwolniła ją. Nagle dziewczyna odzyskała siłę i pewność siebie. Od tej pory wszystko stało się proste. Tak jak Hester, mogła zrobić ze swoim życiem, co chciała. I nie miało to nic wspólnego z niewdzięcznością wobec ciotki. Morgana zamierzała pozostać w Twentynine Palms i nadal pomagać prowadzić zajazd, ale na swoich warunkach.

— Ta blizna mnie odróżnia — powiedziała następnego dnia w rozmowie z Elizabeth. — To moja tożsamość. Stanowi przypomnienie przełomowej chwili w moim życiu. Nieważne, że teraz jej nie pamiętam, może kiedyś sobie przypomnę. Na razie jednak przestanę uciekać przed samą sobą, wiecznie się ukrywać. Pokażę światu, jaka naprawdę jestem.

Zacząła bardziej zdecydowanie domagać się rozmów o ojcu. Kiedyś jedno słowo Bettiny ją uciszało, teraz jednak nie ustępowała tak łatwo.

— Chcę o nim rozmawiać — mówiła do ciotki. — Chcę się jak najwięcej o nim dowiedzieć. Gdzie są jego szkice? Co stało się z kolekcją ceramiki?

Najbardziej fascynowała ją złocista *olla*. Godzinami patrzyła na reprodukcję szkicu ojca. W skomplikowanym wzorze na ściankach naczynia dostrzegała niezbadaną fascynującą przyszłość, nieograniczone możliwości. Pojedynczy symbol — drzewo, gwiazda, zwierzę — prowadził do następnych, linie się łączyły, tworząc skomplikowaną pajęczynę. Dotykała palcem jednego z nich, a potem wybierała dowolną drogę — w górę, w dół, na bok. W każdym z tych symboli dostrzegała siebie. Mogła być tym cętkowanym kotem — zapewne jaguarem — albo gwiazdą z ogonem — zapewne kometą. Potem zaś patrzyła, jak symbolizowany przedmiot — ona sama — może poruszać się w różnych kierunkach, docierając do różnych punktów. Uświadomiła sobie, że nie jest skazana na tylko jedną przyszłość. Nie miała przed sobą tylko jednej konkretnej drogi.

— To nie będzie sprzeciwianie się ciotce, skarbie — tłumaczyła Elizabeth. Morgana skończyła się czesać i sięgała po ubranie. — Po prostu przedstawiś swój punkt widzenia. Nie chcesz zostać pielęgniarką. Masz inne cele. To proste. Kiedy byłam w twoim wieku — ciągnęła, z aprobatą patrząc, jak Morgana zmienia wizerunek na bardziej swobodny za sprawą otrzymanych od niej spodni — studentkom na mojej uczelni pozwalano jedynie na dziesięciominutową gimna-

stykę w długich wełnianych spódnicach i halkach, które ciągnęły się po ziemi. Musiałyśmy też nosić wysokie kołnierzyki i sztywne gorsety, które zmniejszały nam obwód w talii do czterdziestu pięciu centymetrów. Wy, współczesne dziewczęta, cieszycie się znacznie większą swobodą. Nam w tenisa pozwalano grać tylko dla przyjemności, nie na punkty. A jazda na rowerze była absolutnie zakazana.

Gdyby szesnaście lat temu Faraday dostał mój list — myślała równocześnie — może byśmy się pobrali i zostałabym macochą Morgany. Jak zupełnie inaczej wyglądałoby wtedy jej życie!

Lecz przecież wciąż nic straconego.

Przed przyjazdem do Twentynine Palms Elizabeth odnowiła znajomość z koleżanką, która wykładała na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Z myślą o synu zwiedziła nowy kampus w Westwood i wyjechała stamtąd z ulotkami i egzemplarzem studenckiego pisma „Daily Bruin”. Już niedługo przecież czekał Gideona wybór uczelni, a ona chciała, by skończył jak najlepszą.

Uniwersytet Kalifornijski cieszył się dobrą opinią, uczyło się tam ponad pięć tysięcy studentów. Wszyscy — bez względu na płeć — byli traktowani jednako. Morgana nie musiałaby walczyć z uprzedzeniami, których ofiarą padła Elizabeth trzydzieści lat wcześniej.

Oczywiście Morgana musiałaby znaleźć pracę. Nawet gdyby Bettina zgodziła się pokryć koszty nauki, trzeba by jeszcze wynająć mieszkanie. Na szczęście Elizabeth też mogłaby udzielić Morganie pomocy.

Tak jak jej udzielono pomocy w najtrudniejszej chwili życia.

Kiedy Elizabeth zastanawiała się, jak zarobić na utrzymanie, równocześnie zajmując się dzieckiem, profesor Keene zaskoczył ją, proponując, by z nim zamieszkała. Bardzo ją lubił, wyjaśnił, a sam nigdy nie miał dzieci. Zresztą chłopiec był synem lekarza, który uratował mu życie. Mimo podeszłego wieku — Keene miał już wtedy ponad siedemdziesiąt lat — zaproponował nawet, że się z nią ożeni. Był prawdziwym dżentelmenem i chciał ustrzec Elizabeth i jej dziecko

przed ostracyzmem. Elizabeth jednak nie widziała takiej potrzeby. Nie wstydziła się swego postępu ani tego, że nie jest mężatką. Kiedy Keene zmarł kilka lat później, cały majątek zapisał Elizabeth i Gideonowi, dzięki czemu mogła zrealizować swe marzenie o kampanii na rzecz ratowania prekolumbijskich petroglifów.

Ciepło, jakie rozlało się po jej duszy na myśl o dobroci zaznanej od Keene'a, przypomniało jej o zaskakującym pomysle Bettiny Hightower, która parę dni wcześniej zaproponowała, że adoptuje Gideona.

Elizabeth z punktu odmówiła. Gideon nie potrzebował drugiej matki i był zadowolony ze swojego nazwiska.

— Ależ pozostanie pani jego matką — perswadowała Bettina. — Ja będę tylko macochą. Takie sytuacje się zdarzają, na przykład jeśli po rozwodzie ojciec powtórnie się żeni. Dziecko może mieć i matkę, i macochę. Dzięki temu rozwiązaniu Gideon i Morgana staną się prawdziwym rodzeństwem. Oboje będą nosili nazwisko Hightower.

Elizabeth chciała, by Gideon miał więź z siostrą i utrzymywał z nią kontakty. Adopcja jednak nie wchodziła w grę.

— Gotowe! — zawołała Morgana. — Jak wyglądam? Elizabeth wstała z łóżka i położyła jej dłonie na ramionach.

— Jakbyś mogła podbić świat.

Nie powiedziała synowi o skandalicznej propozycji Bettiny. Następnego dnia wyjeżdżali do Kolorado, gdzie — miała nadzieję — szybko zapomni o Bettinie i jej idiotycznym pomysle.

Idąc na rozmowę z ciotką, Morgana czuła się pewna siebie i silna, zupełnie jakby doktor Delafield była dobrą wróżką, która za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dokonywała cudów.

Spokojnie i logicznie przedstawię Bettinie argumenty — przepowiadała sobie w duchu — wysłucham tego, co ciotka powie, grzecznie rozważę jej argumenty, po czym będę forsować swoją koncepcję, podkreślając, że nigdy nie zapomnę, ile ciotka dla mnie zrobiła; że zawsze będę wdzięczna za to, iż zapewniła mi wy-

godne życie, i że w przyszłości stokrotnie się odwdzięczę za wszystko, co od niej otrzymałam.

Wiedziała już nawet, co zrobi po otrzymaniu zgody ciotki na rezygnację ze szkoły pielęgniarstwa — napisze do Los Angeles, może rozejrzy się też za inną uczelnią, złoży niespodziewaną wizytę Elizabeth i Gideonowi w Mesa Verde... Wybiegała też myślami do Sandy'ego Candlewella.

Gdyby i dla niego znalazło się miejsce w jej nowym, wolnym świecie! Co innego jednak przekonać ciotkę, by pozwoliła jej studiować kulturę Indian na normalnym uniwersytecie, a co innego namówić, by zaakceptowała kandydaturę Sandy'ego na zięcia. „To Walijczycy” — oświadczyłyby.

— „A Joe zawsze ma brud za paznokciami. I zauważyłaś, jak jego żona się roztyła?”

Nie, nigdy nie uzna młodego Candlewella za kandydata godnego swojej siostrzenicy.

W dodatku Sandy wciąż nazywał Morganę „małą” i traktował ją jak siostrę.

Czemu w ogóle myśli o związku z nim? Zwłaszcza jeśli ma w perspektywie studia. Już teraz Sandy żartobliwie nazywał ją intelektualistką, przewyższającą go wiedzą i wykształceniem. Gdyby skończyła studia, czułby się gorszy od niej. Mężczyźni nie żenią się z kobietami, które pod jakimkolwiek względem ich przewyższają.

Weszła do recepcji, pytając pokojówkę o panią Hightower, i nagle znieruchomiała. W głowie zaświtała jej nieoczekiwana myśl.

Czy gdyby nadzwyczajnym zrzędzeniem losu Sandy wyznał, że odwzajemnia jej uczucia, zrezygnowałaby ze studiów, żeby z nim być?

Ta zaskakująca myśl tak ją zbiła z tropu, że Morgana w pierwszej chwili nie zauważyła, jak pod budynek podjeżdża furgonetka Sandy'ego. Usłyszała jednak silnik i wyjrzała. Wiedziała, po co przyjechał. Było południe. Raz w tygodniu za niewielką odpłatnością Sandy objeżdżał położone na uboczu osady i firmy, zbierając listy oraz paczki, które potem nadawał na pocztę.

Kiedy zobaczyła wysiadającego Sandy'ego, serce mocniej jej zabiło. Zaledwie cztery dni temu, siedząc z Elizabeth i Gideonem na tarasie sklepu Candlewellów, zastanawiała się, co zrobić, by poznać uczucia Sandy'ego. Potem przeczytała „Szkarłatną literę” i dziś już odmieniona, odważniejsza Morgana patrzyła, jak ukochany wynurza się z szoferki — opalony, silny, uśmiechnięty — i pozdrowia ogrodnika.

Zrobię to — postanowiła. Nagle rozterki, z którymi zmagala się od dwóch lat, czyli od czasu gdy zakochała się w Sandym, zniknęły.

— Witaj! — zawołała wychodząc przed budynek. — Nie mamy dziś dla ciebie listów ani paczek, Sandy!

Znieruchomiał, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

— Morgano! Na miłość boską, w coś ty się ubrała? Popatrzyła po sobie.

— Elizabeth mi je dała. To damskie spodnie. Prawda, że szykowne?

Ściągnął brwi.

— Nie widać twoich nóg.

Morgana dalej patrzyła na swoje ubranie, w piersi czując ukłucie bólu.

— Rety, dziewczyno! — rozległ się pisk z szoferki. Drzwi się otworzyły i z samochodu wyskoczyła Adela Cartwright. — Nosisz spodnie?!

Morgana spojrzała na rywalkę i ból w sercu przybrał na sile. Mimo kryzysu gospodarstwo ojca Adeli znakomicie prosperowało, o czym świadczyła jej elegancka spódnica i bluzka oraz rude włosy ostrzyżone zgodnie z najnowszą modą. Wszyscy wiedzieli, że zawsze roześmiana, dwudziestojednoletnia Adela z uroczymi piegami na nosku mogła zdobyć każdego mężczyznę. Wszyscy równie dobrze wiedzieli też, że Adela już wybrała. Sandy'ego.

— Trzeba przyznać — ciągnęła, podchodząc do Sandy'ego i ku zgrozie Morgany biorąc go pod rękę — że to niezwykle interesujący widok.

Dziewczynie odebrało mowę. Zawsze zazdrościła Adeli jej swobody w kontaktach z chłopcami, ale takie gesty były śmiałe nawet jak na nią. Teraz oboje —

Sandy i Adela — stali przed Morgana, nie kryjąc zaskoczenia, a ich komentarze mogły oznaczać jedynie dezaprobatę dla jej nowego stroju. Morgana czuła, jak dotychczasowa pewność siebie błyskawicznie ją opuszcza.

— Moim zdaniem wyglądasz bombowo — powiedział cicho Sandy.

Morgana jednak tego nie usłyszała, bo krew dudniła jej w uszach, bo z rykiem przejechał samochód, bo ogrodnik zawołał: „Hola, señor Candlewell!”. Nie wiedziała, co ze sobą począć, więc tylko stała bez ruchu. Adela pociągnęła Sandy'ego za ramię.

— Jedźmy, bo się spóźnimy — powiedziała. Uśmiechnęła się słodko do Morgany, po czym wróciła do samochodu i usiadłszy na miejscu pasażera, pomachała jej na pożegnanie.

Sandy stał, przestępując z nogi na nogę, i patrzył na Morgana, jakby coś cisnęło mu się na usta. Wreszcie wzruszył ramionami, rzucił: „Do zobaczenia” i odjechał.

A śmiertelnie upokorzona Morgana została sama w swoich nowych spodniach od Elizabeth.

ROZDZIAŁ 68

Tubylcy nazywali je paskudami.

Piaskowymi paskudami, paskudami pustynnymi, złośliwymi paskudami. Małe wiry powietrza, które tworzyły się nad pustynią w upalne parne popołudnia. Pojawiały się znikąd, porywając piasek, kamyki i jaszczurki, przechodziły nad kaktusami i wydmami, jakby chciały zapowiedzieć koniec świata, po czym zni-

kały równie nieoczekiwanie, jak się pojawiały, jak gdyby ktoś wyciągnął niewidzialną wtyczkę.

Elizabeth czekała w samochodzie, obserwując małą trąbę powietrzną przechodzącą nad stacją benzynową Candlewel-lów. Patrzyła, jak wir wciąga śmiecie i odpadki, po czym przenosi się nad gęste krzewy i tam znika.

Przyjechała zrobić tu zakupy przed podróżą do Kolorado. Wyjeżdżała z Gideonem już następnego ranka. Przechodząc obok tablic ŻYWE GRZECHOTNIKI NA ZAPLECZU oraz SPRZEDAŻ ORYGINALNYCH INDIAŃSKICH KOSZY, myślała, jak dziwnymi ścieżkami ostatnio chadzało jej życie. Kiedy dostała wiadomość, że otrzymała pracę w Mesa Verce, sądziła, że pojedzie prosto do Kolorado. Nieoczekiwanie jednak — na skutek zemsty skrzywdzonej pracownicy — trafiła do Twentynine Palms. Parę tygodni, a jak zdumiewająco zmienił się los jej dwuosobowej rodziny!

Gideon znalazł siostrę. Nie był już sam na świecie. Ona zaś nieoczekiwanie znalazła nowy cel w życiu. Postanowiła ustalić, co się stało z Faradayem.

Podczas krótkiego pobytu w Twentynine Palms niby od niechcienia podpytywała mieszkańców o okoliczności jego zniknięcia. Joemu Candlewellowi zadała pytanie, czy organizowali poszukiwania.

— Nie — brzmiała jego odpowiedź. — Bettina powiedziała, że wyjechał do Meksyku. Po co było organizować poszukiwania?

Ona jednak nadal nie umiała pozbyć się wrażenia, że coś jest nie w porządku. Choć była przekonana, że Faraday nie żyje, chciała zyskać pewność, poznać powód jego śmierci. Nie rozumiała, jak Bettina mogła tak łatwo pogodzić się ze zniknięciem męża. Nawet nie zgłosiła na policji jego zaginięcia. Elizabeth zostało sporo pieniędzy ze spadku po profesorce, więc stać ją było na wynajęcie detektywa. Postanowiła, że każe mu zacząć dochodzenie tutaj, w Twentynine Palms. Niech popyta w komisariatach i okolicznych miejscowościach. Może w ciągu tych dwunastu lat znaleziono jakieś niezidentyfikowane zwłoki? Może nierozwiązana zagadka wciąż figuruje w policyjnych kartotekach w Redlands albo San Bernardino?

Gdyby okazało się to konieczne — kiedy już Gideon zaaklimatyzuje się w szkole z internatem — była gotowa zrezygnować z posady w Mesa Verde i sama ruszyć na poszukiwanie Faradaya.

W sklepie poprosiła o gumę do żucia i papierosy, potem stanęła przed półką z gazetami, by wybrać lekturę na długą trasę. Właśnie leniwie przerzucała egzemplarz „Modern Screen”, bezmyślnie patrząc na fotosy Gary’ego Coopera i Helen Hayes z planu ich najnowszego filmu „Pożegnanie z bronią”, gdy zza regału z mąką, płatkami i pieczywem dobiegł ją głos.

—Biedna Bettina.

—Rzeczywiście, współczuję biedulce — zawtórował drugi głos. — To musiało być straszne, gdy tamta zjawiała się pod jej dachem.

—Do tego z chłopcem!

Elizabeth poderwała głowę i rozejrzała się. Kobiety stały niewidoczne za regałem. Kiedy się zorientowała, że to o niej plotkują, chciała się wycofać. W końcu co ją obchodzi ludzkie gadanie? A mimo to stała bez ruchu.

— Trzeba mieć tupet! Sądziś, że to naprawdę syn Faradaya?

Elizabeth rozpoznała głos jednej z kobiet. To była Selma Cartwright, właścicielka położonej jakieś siedem kilometrów stąd kurzej fermy. Łatwo było ją zapamiętać, bo silnie sepleniła. Drugiej rozmówczyni Elizabeth nie mogła zidentyfikować.

— Bez dwóch zdań. Ty nie pamiętasz Faradaya, ale ja go poznałam, kiedy wprowadzili się do doliny. Przystojny. Uroczy. Leczył mnie, kiedy skręciłam kostkę. Znakomity lekarz. A jaki taktowny! Zastanawiałam się, jak mógł się ożenić z tą oziębłą płastugą, Bettiną. Wcale się nie dziwię, że szukał pociechy gdzie indziej. Rozumiesz, co mam na myśli.

Policzki Elizabeth płonęły, ale wciąż stała jak skamieniała.

— Dasz wiarę? Ta zdzira jeszcze sobie wyobraża, że Bettina zaakceptuje bękart!

Elizabeth słuchała zdumiona. Jak się dowiedziały? Wtedy sobie przypomniała: Morgana biegnąca do ich samochodu z krzykiem: „Gideonie, jesteś moim bratem!”. Najwyraźniej ludzie robiący akurat zakupy usłyszeli to i plotka poszła w miasto.

Ściągnęła brwi. Przecież w 1916 roku Bettina nie była żoną Faradaya. Ale zaraz uświadomiła sobie, że plotkarze nie znają szczegółów i—jak to plotkarze — czego nie wiedzą, to zmyślą.

— Najbardziej szkoda mi chłopca.

Zatrzęsła nią furia. Jak one śmiały litować się nad jej synem! Rzuciła zakupy na najbliższą półkę i wybiegła ze sklepu.

Oparła się o samochód, przycisnęła rękę do żołądka i głęboko oddychała. Musiała się zastanowić. Gdy zamieszkają w Kolorado, Gideon będzie chciał utrzymywać kontakty z Morgana, przyjeżdżać do niej w odwiedziny — myślała gorączkowo. A ludzie będą się na niego gapić, obgadywać za jego plecami.

Jakiś kilometr dalej na pustyni pojawiła się kolejna piaskowa paskuda — miniaturowe tornado porywające rośliny, kamienie, wszystko, co stało mu na drodze. Poczowała się, jakby i ją schwytała trąba powietrzna, poobracała jak w wirówce, a potem ogłuszoną i zdezorientowaną cisnęła na ziemię.

Wróciły wspomnienia. Dziekan patrzący na nią z odrazą i mówiący: „Pani stan... bez ślubu...”, jakby słowa więzły mu w tym świętoszkowatym gardle.

Jej ojciec, gdy przyjechała go pielęgnować — odwracający głowę i nazywający ją dziwką.

Elizabeth zrozumiała, że do tej pory chowała głowę w piasek, ignorowała brutalną rzeczywistość. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że świat się nie zmienił. Ludzi nie obchodziło, co stało za konkretną sytuacją, jakie były powody takiej a nie innej decyzji. Kobieta, która rodziła panięńskie dziecko, automatycznie stała się nierządnicą.

Zakryła usta dłonią, tłumiąc szloch. Przez tyle lat uważała się za dzielną i mężną niczym Hester Prynne, która stawiała czoło światu. Tymczasem naprawdę starała się ukryć swój wstydlivy sekret, wybierając miasta, w których nikt jej nie

znał, udając, że nie słyszy pytań o męża. Pomyśleć, że równocześnie pyszniła się przed Morgana, że nigdy nie kłamała i nie udawała, że jest mężatką. A cóż innego robiła, jeśli właśnie nie to?

Kiedy otwierała drzwi i siadała za kierownicą, w uszach rozbrzmiewały jej słowa z Biblii o Bogu, który karze dzieci za grzech ojców.

Musiała kierować się dobrem Gideona. Choć w głowie jej się nie mieściło rozstanie z synem, zdawała sobie sprawę, że jeśli teraz oboje wyjadą do Kolorado, zachowają się jak złodzieje czmychający pod osłoną mroku i potwierdzą wszystkie plotki na swój temat. Groziło nawet, że cień skandalu będzie ciągnął się za Gideonem do końca życia.

Gdyby jednak został w Twentynine Palms i przyjął nazwisko Hightower, z czasem ludzie powinni go zaakceptować i piętno nieprawego pochodzenia by znikło.

Również myśląc o szansach syna na korzystne małżeństwo, Elizabeth niechętnie musiała przyznać rację Bettinie. Oczyma wyobraźni zobaczyła przyszłą narzeczoną syna. Piękną, inteligentną, dobrze urodzoną. I Gideona zakochanego w niej po uszy. A potem ojca dziewczyny pytającego:

—Jak nazywa się twój ojciec, młodzieńcze?

—Faraday Hightower, proszę pana.

Głęboka zmarszczka na czole starszego z mężczyzn. > "

—To dlaczego ty nazywasz się Delafield?

—Rodzice nie byli małżeństwem.

Potem zaś wyobraziła sobie tę samą rozmowę, gdy Gideon odpowiada: „Mój ojciec nazywał się Faraday Hightower i był cenionym bostońskim lekarzem” i zobaczyła, jak przyszły teść serdecznie uśmiecha się do Gideona.

Przez nieustanne zmiany adresu chłopiec nigdzie nie mógł zapuścić korzeni. Cały ich dobytek mieścił się w jednym kufrze. Nie tak powinien żyć jej syn! Chłopiec potrzebował własnego pokoju, ściany, na której wieszalby proporceyki, szafy, w której trzymałby stare zabawki i nową rękawicę baseballową.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i wjechała na piaszczystą drogę. Serce pękało jej na samą myśl o tym, ale Bettina miała rację: to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. Jako żona Faradaya Bettina mogła oficjalnie zmienić nazwisko Gideona z Delafield na Hightower. W końcu, jak powiedziała Bettina, Faraday z pewnością by sobie tego życzył.

Najpierw jednak Elizabeth musiała porozmawiać z adwokatem, przyjacielem z Filadelfii, który przeprowadził dla niej postępowanie spadkowe po śmierci profesora Keene'a i negocjował jej umowę z wydawcą. Postanowiła, że zadzwoni do niego i poprosi o radę. Nie ze sklepu Candlewella jednak, gdyż wszyscy mogliby słyszeć rozmowę, lecz z hotelu w Palm Springs, który także realizował połączenia międzystanowe.

Jeśli miała się zgodzić, by Bettina adoptowała Gideona, musiała mieć stuprocentową pewność, że umowa będzie chronić prawa jej i jej syna.

ROZPZIAŁ 69

Gideon potrzebował własnego pokoju.

Cóż, tapeta wszystko załatwi — uznała Bettina. W innej sytuacji nawet nie brałaby pod uwagę takiego wydatku, ale skoro chłopiec miał zająć pokój, w którym niegdyś mieścił się gabinet Faradaya — a dziś schowek — musiało to być pomieszczenie przygotowane specjalnie dla niego. Jego małe królestwo. A jeśli Faraday wróci z Meksyku i będzie chciał znowu zająć swój gabinet, coś się wymyśli...

Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w próbki tapet. Czy Faraday miał wrócić z Meksyku? Podniosła wzrok znad biurka i popatrzyła na pustynię, na którą kładły się długie cienie popołudnia, głązy złościły się w blasku zachodzącego słońca, a krzewy i kaktusy przybierały fantastyczne kształty. Wpatrywała się w ten znieawidzony krajobraz i nagle sobie przypomniała.

Faraday nigdy nie wróci.

—Ciociu? Mogę zamienić z tobą słówko?

—Tak — mruknęła, nie oglądając się. Potrząsnęła głową, odrzucając tamte nonsensowne myśli.

Choć spotkanie z Sandym i Adelą zachwiało pewnością siebie Morgany, w tej sprawie pozostała nieugięta. Dlatego odezwała się zdecydowanym głosem:

— Ciociu, proszę, pamiętaj, że doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś, i zawsze będę ci za to wdzięczna, ale nie chcę iść do szkoły pielęgniarstwa. Chcę zdać na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles i studiować kulturę Indian.

Bettina wpatrywała się próbki, które trzymała w rękach, wciąż się zastanawiając, która bardziej spodoba się Gideo-nowi.

Co prawda Delafield impulsywnie odrzuciła jej propozycję zaadoptowania chłopca, ale Bettina wiedziała, że wkrótce kobieta zmieni zdanie. Kiedy dotrą do niej plotki, za wszelką cenę będzie chciała osłaniać chłopca.

Bettina była z siebie dumna. Sprytnie to rozegrała. Oczywiście najpierw musiała starannie wybrać osobę. Nie mogła zwierzyć się Ethel Candlewell, która słynęła z dyskrecji. Za to Selma Cartwright za nic nie potrafiła dochować tajemnicy. Dlatego osobiście pojechała na fermę wybrać kurczaka na piątkową kolację i tam opowiedziała Selmie — naturalnie w najgłębszej tajemnicy, zaklinając na wszystkie świętości, by nikomu tego nie wygadała — na jak straszną próbę została wystawiona, gdy w jej zajeździe pojawiła się jakaś dawna flama Faradaya z ich nieślubnym dzieckiem.

Po tym Elizabeth Delafield zostawało tylko jedno wyjście.

Bettina uśmiechnęła się do siebie. Wkrótce Gideon miał należeć do niej.

— Ciociu?

—A czy to nie będzie kosztowne? — spytała, nadal odwrócona plecami. — Studia uniwersyteckie... Nie wiem, czy zdołam pokryć koszty...

—Znajdę pracę — zapewniła szybko Morgana, nabierając otuchy. — Mam doświadczenie w prowadzeniu hotelu. Mogę być kelnerką. Pracować w kuchni.

— Jeśli tego właśnie chcesz.

Morgana zamrugła powiekami ze zdziwienia. Nastawiła się na walkę.

— Nie sprzeciwiasz się?

Bettina wzruszyła ramionami i sięgnęła po następną tapetę. Tę z motywami futbolowymi.

— To twoje życie, skarbie.

Kiedy Bettina poszła wtedy sprawdzić, dlaczego dziewczyna tak nagle odjechała spod budynku, i zobaczyła zdjęcie młodego Faradaya, w głowie nagle zaświeciła jej się lampka. Jeszcze chwilę wcześniej chciała pozbyć się z domu i z miasta tej blond dziry i jej bękarta. Tak było, dopóki nie zobaczyła w Gideonie wiernej kopii Faradaya.

A kiedy już uświadomiła sobie, że Gideon to skóra zdjęta z Faradaya, bez chwili wahania zrozumiała, że po prostu będzie musiał pójść w ślady ojca i zostać znakomitym lekarzem.

W Twentynine Palms nie było lekarza ani przychodni. Ciężka choroba, operacja albo poród wymagały wyjazdu do położonego sto czterdzieści kilometrów dalej szpitala adwentystów w Loma Linda. Z drobniejszymi dolegliwościami i ranami mieszkańcy najczęściej przychodzili do Bettiny Hightower, która odziedziczyła po mężu podręczniki medycyny, narzędzia lekarskie i apteczkę. Ponieważ wszyscy głęboko szanowali lekarzy z Loma Linda, a sam doktor Faraday Hightower też był adwentystą dnia siódmego, tym większą wiarę pokładali w doktorowej.

Bettinę mile łechtał szacunek, jaki ludzie okazywali jej jako wdowie po lekarzu (w Bostonie wszyscy znaliby ją jako bękarta stangreta). Podobało jej się, gdy

przychodzili, by wyjmowała żądła pszczoł, leczyła ból gardła, nastawiała zwichnięcia, dlatego zawsze miała zapas wody utlenionej, jodyny i oczaru oraz bandażę i szczapki do nastawiania kończyn. O ileż ważniejsza jednak by się stała, mając pod swoim dachem prawdziwego lekarza! Do tego własnego syna!

— Mówisz poważnie? — spytała Morgana. — Sądziłam raczej, że będziesz się upierała, bym została pielęgniarką.

Bettina odwróciła się zaskoczona. Zapomniała, że dziewczyna jeszcze tu jest.

TLR

— Oczywiście, że tak — powiedziała, wracając do rzeczywistości. — Rób, co chcesz. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jeśli przeznaczę twój pokój dla gości. Zostało nam trochę farby z odnawiania jadalni. Jest gdzieś w składziku. Odmaluje cały dom. od strychu po piwnice.

— Dziękuję, ciociu!

Dziewczyna uściskała ciotkę i wybiegła.

Przeglądając następne próbki tapety, Bettina wróciła myślami do Gideona. Morgana przestała już ją interesować. W końcu lepiej mieć syna niż córkę, lekarza zamiast pielęgniarkę.

ROZDZIAŁ 70

Sandy Candlewell był na siebie wściekły.

Rozładowując worki na zapleczu sklepu rodziców, zastanawiał się, jak mógł być takim durniem. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Morgany, gdy podjechał po pocztę i na widok jej nowych spodni powiedział: „Nie widać twoich nóg”. Nie chciał, żeby to zabrzmiało jak krytyka. Morgana podobała mu się w spodniach. Morgana podobała mu się w e w s z y s t k i m . Tymczasem, jak to on, powiedział, co mu ślina na język przyniosła, i podpadł.

Potem próbował się poprawić, ale Morgana chyba nie słyszała. Do tego Adela poganiała, żeby już jechali. Wyświadczał jej przysługę. Kiedy zobaczył ją na drodze z paczką owiniętą w szary papier i sznurek, zjechał na bok i zaproponował, że ją zabierze, żeby zdążyła na przyjazd furgonetki pocztowej.

Głupio się czuł, odjeżdżając tak, zostawiając smutną i zranioną Morgane, a teraz zastanawiał się, czy w ogóle zdoła to naprawić. Za parę dni Morgana wyjeżdżała do szkoły pielęgniarstwa i miała wrócić dopiero za trzy lata.

Przerwał pracę i wytarł pot z czoła. Nie potrafił sobie wyobrazić tych trzech koszmarnych lat piekła i samotności. Sanford Candlewell bowiem też zakochał się w Morganie tego dnia, gdy stojąc ramię w ramię oświadczyli tamtemu jego mościowi, że nie wpuści na ich pustynię dzikich zwierząt i nie będzie urządził tu safari. Morgana emanowała wtedy takim zdecydowaniem i odwagą. W jej głosie pojawił się jakiś nowy ton, słońce zapalało rude iskry w jej kręconych kasztanowych włosach, a wiatr szarpał sukienką wokół jej zgrabnych łydek. Nagle Sandy zobaczył, że Morgana Hightower nie jest już dziewczynką, i wrócił do domu oszołomiony, stropiony, pełen uczuć, których nie rozumiał.

W następnych tygodniach jego zauroczenie tylko przybierało na sile. Morgana wypełniała jego myśli. Ilekroć ją zobaczył, serce biło mu jak młot. Kiedy podając koszyki z prowiantem, przypadkowo musnęła go ręką, puls mu przyspieszał. I wreszcie Sandy musiał zaakceptować, że się zakochał. Z natury otwarty i prostolinijny, zamierzał wziąć Morgane na piknik (może do Arch Rock, to było jej ulubione miejsce) i powiedzieć szczerze, co do niej czuje. W końcu czas by się ożenić — dumał. Ileż to razy matki panien na wydaniu żartowały z niego, że ma dwadzieścia pięć lat i wciąż jest kawalerem? Zanim jednak zdążył się oświadczyć, Morgana zaskoczyła go informacją, że ciotka wysyła ją do szkoły pielęgniarstwa. To skutecznie zamknęło Sandy'emu usta. Tej przeszkody nie przewidział i musiał sprawę dokładnie przemyśleć.

Przez następne miesiące Sandy bił się z myślami, choć w miarę jak zbliżał się wyjazd Morgany, jego uczucie do niej rosło. Nie dawało mu spokoju w dzień ani w nocy. Nawet teraz, gdy przerzucał worki. Najgorsza jednak była świadomość, że Morgana opuszcza Twentynine Palms i będzie się obracała w zupełnie innym, lepszym towarzystwie. Sandy zdawał sobie sprawę, że nie może konkurować z wykształconymi profesorami i lekarzami. Panicznie się bał, że Morgana już nie wróci. Czym są prostaczki z Twentynine Palms w porównaniu z wyniosłymi, sztywnymi dżentelmenami spacerującymi po dużym mieście?

Zamyślony zapatrzył się na majaczące na horyzoncie góry. Słońce zachodziło, na purpurowym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Do końca dnia miał jeszcze furę roboty, a potrafił myśleć tylko o Morganie.

Kochał ją za to, że jest taka mądra i czytana. Kiedy dwa razy w miesiącu do Twentynine Palms przyjeżdżała obwoźna biblioteka, Morgana zawsze pierwsza czekała przed sklepem z naręczem książek. Sandy nie skończył nawet ósmej klasy. Rzucił szkołę, by pomagać ojcu w warsztacie. Wystarczało mu, że umiał czytać i liczyć. Wiedział, że nie nadaje się do nauki, tylko do działania. Nie było bowiem rzeczy, której Sandy nie potrafiłby naprawić, ulepszyć, odnowić, nawet wymyślić. Z całej okolicy ściągali do niego ludzie, by wskrzesił martwe silniki, tchnął życie w szwankujące urządzenia, naprawił nienaprawialne — jednym słowem zrobił to, z czym inni sobie nie radzili. Nie przeszkadzało mu, że nie jest czytany. Wszyscy powtarzali, że Sandy Candlewell to krzepki i porządny chłopak, a do tego prawdziwy wybawca — koniec końców to chyba ważniejsze od edukacji.

Równocześnie czuł, że to, co sobą reprezentuje, nie wystarczy dziewczynie takiej jak Morgana, która łaknęła wiedzy niczym pustynia wody. Choć cierpiał, utrzymując w sekrecie żywione do niej uczucie, pragnął dać jej wolność. Miała prawo ruszyć w świat i osiągnąć sukces. On mógł ofiarować jej tylko obrączkę i dzieci.

Teraz jednak prześladował go widok jej smutnej buzi i tego, jak popatrzyła na swoje spodnie. Musiał to naprawić, przeprosić ją, by wiedziała, że dokądkolwiek się uda, on zawsze będzie myślał o niej z czułością i życzył jej szczęścia.

Jutro po południu — podjął decyzję — gdy wrócę z kolejnej wycieczki po pustyni, porozmawiam z Morgana.

Morgana zaś, ścinając kwiaty do wazonów, postanowiła, że ucieknie stąd, zanim Sandy podjedzie swoim czerwonym autobusem po turystów.

Skoro ciotka dała jej wolną rękę, nie mogła tracić czasu. Elizabeth o świcie wyruszała z Gideonem do Colorado. Na pewno mogła ją podwieźć aż do Los

Angeles. Tam Morgana chciała znaleźć niedrogi hotel, po czym pójść na kampus i zapisać się na uczelnię.

Wiedziała, że źródeł decyzji o tak szybkim wyjeździe nie należy szukać w jej pragnieniu wiedzy, tylko w bolesnym otrzeźwieniu. Tego dnia bowiem wreszcie dotarto do niej, że jej marzenia o Sandym Candlewellu są tylko tym — mrzonkami.

Sandy nie akceptował kobiet noszących spodnie. To nie ulegało wątpliwości. I umówił się na randkę z Adelą, na którą oboje niezwykle się spieszyli. Widziała. Nie była przecież ślepa.

Nie myśl, co by było gdyby — karciała się w duchu, ścinając pustynne astry o lawendowych płatkach i złocistym środku, jaskrawopomarańczowe kalochortusy, ogniście czerwone i fioletowe kwiaty kaktusów i niebieskie dzwonki. Na kompozycję na stół w jadalni wybrała dużą, obsypaną białymi dzwonkami gałąź bieluńia i długie zielone liście.

Lubiła swoje wieczorne wyprawy po kwiaty i poczucie wolności, jakie dawała jej pustynia, gdy była sama ze swoimi myślami, a nad jej głową kołowały jastrzębie. Tego dnia jednak myślała wyłącznie o Sandym i o rozstaniu z nim. Sądziła, że kiedy ciotka pozwoli jej studiować kulturę Indian, będzie w siódmym niebie. Tymczasem czuła tylko dziwną pustkę. Może w głębi duszy liczyła, że kiedy zdobędzie upragnioną niezależność, Sandy spojrzy na nią inaczej. Może będzie pisał, odwiedzał ją? Może nawet zgodzi się na nią czekać.

Ale przecież Los Angeles było ponad trzysta kilometrów stąd. To co najmniej pięć godzin szaleńczej jazdy. Jakie szanse miała taka miłość na odległość? Zwłaszcza jeśli inne dziewczęta — z Adelą Cartwright na czele — robiły do Sandy'ego słodkie oczy?

Właśnie obiecywała sobie, że będzie żyła jak tata, całą energię wkładając w zdobywanie wiedzy, a jeśli do jej drzwi zastuka miłość, przyjmie ją z takim samym entuzjazmem jak Elizabeth, gdy...

— Cześć, Morgano.

Obróciła się, omal nie wypuszczając kwiatów. —• Sandy!

Uśmiechnął się nieśmiało. Nie miał pojęcia, co właściwie tu robi. Przecież postanowił, że porozmawia z Morgana jutro po południu. Tymczasem jakiś impuls, silniejszy od postanowienia, kazał mu wziąć prysznic, przebrać się w czyste rzeczy i przyjechać do Chateau Hightower, gdzie jak wiedział, zastanie ją przy zbieraniu kwiatów.

Z tym naręczem kwiatów wyglądała jak panna młoda. Gdyby nie te spodnie. Właśnie. Dlatego przyjechał — przypomniał sobie. Miał ją przeprosić. Powiedzieć jej, że świetnie w nich wygląda. I że będzie za nią tęsknił, gdy wyjedzie do szkoły pielęgniarstwa. I jeszcze życzyć, by świetnie się tam bawiła, poznając nowych ludzi. A potem wyrazić nadzieję, że czasem wspomni przyjaciół z Twentynine Palms.

Kiedy jednak patrzył na tę cudowną dziewczynę mającą gwiazdy nad głową, zrozumiał, po co naprawdę przyjechał.

Morgana czekała. Nawet z odległości kilku metrów czuła zapach wody po goleniu i mydła. Włosy miał wilgotne. Przed przyjazdem tutaj umył się i przebrał. Włożył nawet białą świąteczną koszulę — chociaż bez krawata.

— Tak? — wyszeptała bez tchu.

Z dała od zabudowań gospody, w zapadającym zmroku, gdy lampy w pobliskich domach migotały niczym gwiazdy, które spadły na ziemię, nagle wydało jej się, że świat zniknął, a na ziemi została tylko ona i Sandy.

— Muszę ci coś powiedzieć.

Zrobił krok w jej stronę. Owionął go zapach kwiatów, które tuliła do piersi.

— Tak? — powtórzyła.

Czuła, że to coś ważnego. Sandy nigdy jeszcze nie był tak poważny.

Odchrząknął.

—Więc, tego... Słuchałem wiadomości w radiu i powiedzieli, że prezydent Roosevelt ustanowił Dolinę Śmierci pomnikiem przyrody.

—Och, Sandy! — zmusiła się do uśmiechu. — To rzeczywiście wspaniała wiadomość.

—Pani Hoyt i przedstawiciele Międzynarodowej Ligi Ochrony Pustyń spotkają się z Rooseveltem. Spróbują go przekonać, że lasy Jozuego również powinny zostać objęte ochroną. Morgano, to już tylko kwestia czasu, kiedy tu powstanie park narodowy. Tak czy owak — kopnął kamyk — pomyślałem, że będziesz chciała wiedzieć.

—Ja też mam nowinę — powiedziała.

Wieczorny wiatr suszył mu włosy. Właśnie takie najbardziej jej się podobały — trochę potargane, nie przylizane brylantyną, którą nakładał przy uroczystych okazjach. Marzyła, by wyciągnąć rękę i poczuć, jakie są w dotyku.

—Wreszcie zebrałam się na odwagę i powiedziałam cioci, że nie chcę iść do szkoły pielęgniarstwa, a ona się na mnie nie rozgniewała! Więcej, powiedziała, że mogę robić, co zechcę.

—Naprawdę? — zdumiał się Sandy.

Wszyscy w dolinie wiedzieli, że Bettina Hightower ma silny charakter i zawsze stawia na swoim. Był ciekaw, dlaczego tym razem ustąpiła. Ale nie to było ważne. Morgana nie wyjeżdżała!

— Ciocia zachowała się naprawdę na medal — podjęła, widząc nieskrywaną radość Sandy'ego. — Może nawet wesprze mnie finansowo.

Na jego czole pojawiła się zmarszczka.

—Finansowo?

—Zapiszę się na Uniwersytet Kalifornijski! Doktor Delafield ma tam znajomych, wystawi mi rekomendację. Wyjeżdżam jutro rano.

—Uniwersytet Kalifornijski? — powtórzył jak papuga.

— W Los Angeles?

— W Westwood, trochę za Los Angeles. Daleko, ale to znakomita uczelnia.

Patrzy! na jej ożywioną buzię. W zapadającym zmroku na tle kaktusów i kwiatów Morgana w swojej kremowej bluzce i spodniach wyglądała jak postać nie z tego świata. Wciąż przyciskała do piersi wielki bukiet.

— Znajdę pracę i dzięki wsparciu cioci Bettiny...

Z zapałem opowiadała o swoich planach studiowania kultury Indian, lecz pograżony w myślach Sandy słuchał piąte przez dziesiąte. Nie zaskoczyła go decyzja Morgany, ale zgoda Bettiny — owszem. Do tego jeszcze ciotka będzie ją wspierać finansowo? Morgana patrzyła na ciotkę przez różowe okulary. Reszta mieszkańców doliny serdecznie nie znosiła skąpej i pretensjonalnej Bettiny Hightower.

Przede wszystkim jednak próbował się pozbierać po ciosie, jaki zadała mu Morgana. Uniwersytet! Toż to gorsze niż szkoła pielęgnarska. Po pierwsze: cztery lata zamiast trzech, po drugie: znacznie dalej, po trzecie: jeszcze bardziej kosmopolityczne towarzystwo. Nie miał szans.

Dziewczyna spoważniała.

— Sandy, muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Po moim wyjeździe zaczną krążyć pogłoski...

Kiedy zaczęła opowiadać o Elizabeth Delafield i Gide-onie — plotkę, którą już znał — wrócił w myślach do dnia, gdy miał trzynaście lat i doktor Hightower przyprowadził do nich córkę. Tamtego dnia, dwanaście lat temu, trzymając za rękę córkę z bandażem wokół głowy, wyglądającym jak indiańska przepaska, doktor mówił coś o wypadku z piecem. Dziewczynka milczała. Mieszkała u nich kilka dni — nieśmiała, cicha jak myszka — gdy zjawiła się po nią ciotka i zabra-

ła ją do domu. Wkrótce potem doktor zniknął i więcej nie powrócił. Zaczęły krążyć plotki, że doktor Hightower uciekł do Meksyku z kobietą podejrzaną konduity. Mniej więcej w tym samym czasie przepadły wypłaty z jednej z kopalń i poszła fama, że to doktor Hightower je sobie przywłaszczył.

Pamiętał, że tamte plotki go dziwiły, bo zawsze uważał doktora Hightowera za prawego i uczciwego. Ale z ludźmi nigdy nie wiadomo. Teraz Sandy cieszył się, że po latach wszystko tak dobrze się ułożyło i Morgana poznała przyrodniego brata.

— Na razie trzymamy to w tajemnicy — zakończyła. — Wiesz, jak ludzie gadają.

— Rozumiem — odparł, zastanawiając się, czy mówić jej o plotkach, które Selma Cartwright rozsiewa stąd do Banning.

Wtedy jednak spojrzął na jej włosy, w których błyszczą gwiazdy. Wschodzący księżyc zalewał Morgane srebrzystą poświatą. Sandy płonął z miłości i pożądania; zabijała go świadomość, że dziewczyna jutro wyjeżdża i nie wiadomo, kiedy wróci.

— Cóż — powiedział, oglądając się przez ramię, choć • niczego tam nie było. — Na mnie już chyba czas. Mamaj pewnie czeka z kolacją i zachodzi w głowę, gdzie jestem.

Ugryzł się w język. Gadam jak trzynastolatek! Nic dziwnego, że Morgana widzi we mnie tylko kumpla z sąsiedztwa. Do] tego jeszcze wszyscy ci światowi mężczyźni, których pozna...

— Pewnie nie spotkamy się rano — dodał zduszonymi głosem. — Mam turystów z całej doliny. Musimy wcześniej wyruszyć, jeśli chcą zobaczyć żółwie i kojoty. W ciągu dnia zwierzęta chowają się przed upałem, ale tobie nie muszę tego mówić.

Czuł się jak głupek, tłumacząc jej coś, o czym doskonale] wiedziała. Wolał jednak bredzić od rzeczy, niż powiedzieć to, o czym n i e wiedziała. To upokorzenie przynajmniej jest mniejsze.

—Wiesz — odezwała się. — Westwood jest niecałe trzysta kilometrów stąd. Możesz mnie odwiedzać. A ja będę przyjeżdżać tu na weekendy, święta i wakacje... — umilkła. Po co mu o tym mówi?

—Może — odparł, chowając ręce w kieszeniach. — Dobra. To dobranoc.

Ręce ukryte pod kwiatami zadrżały.

— Dobranoc — wyszeptała z trudem.

Odwrócił się i odszedł. Słysząc było chrzęst jego butów na ziarenkach miki i kwarcu.

Morgana stała bez ruchu. Sandy nie szedł po prostu do domu. Odchodził z jej życia. Jęknęła głośno. Próbowwała się powstrzymać, ale Sandy usłyszał. Obejrzał się, zobaczył jej oczy pełne łez i w pięciu długich susach doskoczył do niej, chwycił ją w ramiona i zmiażdżył jej usta długim, twardym pocałunkiem. Zgnieciony bukiet pachniał odurzająco kwiatami, naturą i życiem.

— O Boże, jak ja cię kocham, Morgano — powiedział, odrywając się od niej.

Nie mógł się nazachwycać dotykiem jej ciała, jej bliskością, nieziemską urodą, cudem, jakim była. Łzy płynęły jej po policzkach.

—Ja też cię kocham, Sandy. Sądziłam, że nigdy mnie nie zauważysz.

—Dlaczego?

Wzrokiem pozerął jej twarz, włosy, ramiona.

—Adela Cartwright...

—To próżna lala!

Znowu ją pocałował, tym razem spokojniej i czule, choć cały drżał z zaborczej miłości. Marzył, by teraz się z nią kochać, tutaj, na kobiercu z astrów, bielinia i kwiatów kaktusa.

—Nie wytrzymam bez ciebie, Morgano.

—Nie będę daleko.

—Będę cię odwiedzał.

—A ja będę przyjeżdżała do domu.

Mówili jedno przez drugie, wylewając długo skrywane uczucia.

— Wyjdź za mnie, Morgano. Powiedz, że mnie poślubisz.

— Tak, Sandy! O, tak! Ale muszę się uczyć... Uciszy! jej obawy, kładąc jej palec na ustach.

— Oczywiście, że tak. Inaczej sobie tego nie wyobrażam. A kiedy już zdobędziesz dyplom, będziemy oprowadzać turystów po pustyni, opowiadając o Indianach, którzy kiedyś tu mieszkali.

Morgana miękła pod jego dotykiem. Nie myślała o pomarańczowych, różowych, fioletowych i żółtych płatkach plamiących jej bluzkę, nie czuła kłucia kaktusowych cierni. W tym momencie liczyło się tylko twarde, umięśnione ciało Sandy'ego. I cudowna przyszłość, jaka się przed nimi otwierała.

Uśmiechnął się do niej. W jego oczach błyszczały łzy szczęścia.

— Moja mądra dziewczyno. Z twoim rozumem i moją krzepą zawojujemy świat.

ROZDZIAŁ 71

— Błagam, Boże — żarliwie modlił się na kolanach Gideon. — Zrobię wszystko.

Do tej pory zawsze to matka jego osłaniała. Teraz jednak postanowił, że przyszła pora na zamianę ról. Kiedy tydzień temu siedzieli na tarasie przy sklepie i

mówiła mu prawdę o ojcu, cierpiał widząc, jak bardzo jest skrepowana, jak bardzo dręczą ją wyrzuty sumienia. Nie mógł patrzeć na jej ból.

Gideon nade wszystko pragnął ochraniać matkę, dlatego przeklinał swój mierny wzrost. Jak taki karzełek może stać się dla matki rycerzem w lśniącej zbroi? Gideon co noc prosił Boga, by w swojej łaskawości dodał mu centymetrów, jak gdyby Bóg był dotąd tak pochłonięty innymi sprawami, że Gideon Delafield umknął jego uwadze..

Teraz chłopiec nabrał otuchy. Poznał tożsamość ojca, a na zdjęciach zobaczył, że był wysoki.

Nie tylko matkę chciał osłaniać. Gideon Delafield marzył, by ratować ludzi. Nade wszystko pragnął zostać bohaterem. Pochłaniał książki Edgara Rice'a Burroughsa i Rafaela Sabatiniego. Chciał stać się jak kapitan Blood, Robin Hood czy trzech muszkietierowie i wszyscy ci dzielni rycerze na swoich śmiałych rumakach. A choć najczęściej wyobrażał sobie, jak ratuje piękne damy — przede wszystkim mamę, a teraz również Morganę — jego altruizm się tu nie kończył. Interesował go każdy przegrany, pokonany i ośmieszany.

Gdyby tylko troszeczkę urósł.

Morgana powtarzała, że pustynia doda mu sił. Nie myliła się. Spędził tu zaledwie kilka dni, a już czuł, że nabiera krzepy. To od wspinaczek po skałach — czegoś, czego nigdy przedtem nie robił. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Arch Rock, nagle odkrył zupełnie nowego Gideona, jakby z szafy wyszło jego drugie wcielenie i oświadczyło: „Uuuu! Oto ja, Gideon, władca skał”. Uszczęśliwiona nowymi umiejętnościami syna Elizabeth mówiła, że wspina się jak małpa (choć trzeba to otwarcie powiedzieć, wciąż trzęsła się nad nim jak kwoka nad kurczętami). Tak czy owak dzięki wspinaczkom Gideon czuł się dumnym bohaterem. Nie mógł się doczekać, kiedy pojedzie do Kolorado i tam zacznie myszkować po ruinach.

Słyszając pukanie, Gideon wstał z klęczek (modlił się przy łóżku, po raz kolejny próbując dobić z Bogiem targu) i poszedł otworzyć.

Odwiedziła go pani Hightower. Trzymała talerz ciasteczek, a w świetle lampy jej oczy błyszczały dziwną radością.

— Witaj, Gideonie. Już się przebrałeś w piżamę — powiedziała i weszła, nie czekając na zaproszenie.

— Mamy nie ma.

— Przyszłam do ciebie, skarbie. Możemy porozmawiać? O czymś bardzo ważnym?

Bettina całe popołudnie namyślała się, jak poruszyć z chłopcem kwestię adopcji. Uznała, że nie zda się na matkę, która z pewnością próbowałaby go odwieść od tego pomysłu. Bettina przedstawi koncept, podkreślając jego pozytywne aspekty. Zacznie na przykład od zdania: „Czy nie byłoby miło, gdyby Morgana oficjalnie była twoją siostrą? Mógłbyś wtedy tu zostać, co dzień odkrywać pustynię. Chodziłbyś do szkoły, mógłbyś dzwonić do mamy, pisać do niej, a ona przyjeżdżałaby do ciebie w odwiedziny”.

Kiedy jednak odstawiła ciastka i spojrzała na chłopca, uderzyło ją, jak zupełnie inaczej wygląda w świetle lampy. Wcześniej był tylko chłopcem. Teraz jednak, gdy lampa oświetlała go od góry, podkreślając wysokie czoło i śmiały nos, stał się kimś więcej. To jeszcze nie była twarz mężczyzny, ale zapowiedź przystojnego młodzieńca, na jakiego wyrośnie. Jakież on jest podobny do Faradaya! pomyślała Bettina.

Dotąd sądziła, że jej skrywana namiętność do Faradaya z czasem wygasła. Teraz jednak nieoczekiwanie rozgorzała w niej na nowo. Na razie była to tylko iskierka, która wystrzeliła z nie do końca wygasłego popiołu. Iskierka, która rozlała ciepło po całym jej ciele, gdy Bettina dostrzegła, że Gideon — choć niski — wcale nie jest kościsty jak jego rówieśnicy. Już teraz widać było zapowiedź szerokich barów, masywnego karku i potężnych dłoni, które nagle wydały jej się nieproporcjonalnie duże. Przypomniała sobie „Dawida” Michała Anioła i ku swemu zdumieniu zaczęła liczyć lata i myśleć: niedługo będzie miał dwadzieścia lat. Stanie się mężczyzną.

Usiadła na kanapie i poklepała miejsce obok siebie.

— Chodź, przysiądź się, drogi Gideonie. Przysiadł nieufnie.

— Powiedz, skarbie, co byś powiedział na to, żeby tu zostać? Twoja mama pojechałaby do Mesa Verde sama?

Jego nieufność wzrosła. Dlaczego nagle jest słodka jak miód? pytał sam siebie, na głos zaś zadał oczywiste pytanie:

—Dlaczego miałbym tu zostać?

—Ponieważ pustynia bardzo ci się spodobała. I byłbyś ze swoją siostrą, Morgana. — Kiedy milczał, Bettina zaczęła od innej strony. — Wiesz, twój ojciec zbudował ten dom. Jak ci wiadomo, cieszył się w okolicy wielkim uznaniem. Nie chciałbyś pójść w jego ślady?

—Chcę pojechać z mamą, pani Hightower.

—Nazywaj mnie ciocią, skarbie. Albo — powiedziała cicho, po raz pierwszy dostrzegając, że ma oczy identyczne jak Faraday — jeśli wolisz, możesz nazywać mnie Bettina.

Nic nie odpowiedział, tylko zacisnął usta, modląc się, by mama wreszcie wróciła. Zajrzała do domu w południe, mówiąc, że ma do załatwienia pilną sprawę w Palm Springs, ale wróci, zanim Gideon położy się spać. Gdzie się podziewała?

— Wiesz, skarbie — ciągnęła Bettina, przysuwając się bliżej — twoje włosy układają się identycznie jak u twego ojca. On też miał maleńkie zakole... O, tutaj.

Wyciągnęła rękę, by pokazać. Uchylił się.

— Kiedy dorośniesz, będziesz zupełnie jak on — ciągnęła, leniwie wodząc wzrokiem po przystojnej młodzieńczej twarzy. — Śmiem twierdzić, że nawet lepszy niż on. On bowiem miał brzydki zwyczaj lekceważenia obowiązków. Za to ty będziesz odpowiedzialny, prawda?

Jej głos stał się gardłowy. Gideonowi nie podobał się też nieco przyspieszony oddech i to, że na Doliczkach wkwitlv Jej rumieńce. Przysunęła się jeszcze bliżej. Poczul jej zapach. Duszną woń kwiatowych perfum zmieszanych z mydłem. Jej oddech pachniał alkoholem. Kiedy oblizła wargi, zauważył, że język ma czarny od ssania pastylek sen-sen.

— Jesteś taki nieśmiały. — Pogładziła go po policzku. — Taki nieśmiały chłopczyk. Ale przypuszczam, że to wkrótce się zmieni.

Gideon próbował się cofnąć. Na plecach poczuł boczną poręcz kanapy. Bettina natychmiast się dosunęła. Teraz przeciągnęła palcami przez jego włosy.

—Jakimż przystojnym mężczyzną będziesz — wyszeptała zmysłowo.

—Chyba pójdę poszukać mamy — odparł. Serce mu dudniło.

—Brakowało ci ojca. Wiem, co to znaczy. Kiedy byłam małą, papa za mną przepadał. Wola! mnie nawet od Abigail. Uważał, że jest rozpieszczona. Graliśmy razem na fortepianie, zabierał mnie na spacer, brał mnie w ramiona i nazywał swoją księżniczką. — Jej twarz pociemniała. — Ale to było, zanim dowiedział się o stangrecie i... — Patrzyła na Gideona niewidzącym wzrokiem. — Od tamtej pory nie chciał mnie znać. Nie rozumiałam, dlaczego mnie odrzucił. Ty pewnie czujesz to samo, myśląc o swoim ojcu...

Umilkła, znowu spojrzała przytomnie. Wpatrywała się w znajomą linię włosów, znajome tęczęwki. Twarz była młodsza, ale...

Bettina poczuła, jak w jej mózgu coś przeskakuje; coś wypada ze swojego miejsca. Zapomniała, co mówiła. Wnętrze domku nagle stało się obce. Takie chwile już jej się zdarzały. Krótka ucieczka z Tu i Teraz, gdy otaczający ją ludzie na moment stawali się kompletnie obcy. Tym razem jeden element pozostał realny i znajomy: twarz, na którą patrzyła. Wyraziste oczy, mocna szczęka, którą pewnego dnia zakryje broda.

— Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, Faradayu? — wymruczała. — Byłeś dla mnie taki dobry. Przyszedłeś do Abigail, ale nie zlekceważyłeś mnie. Powiedziałeś, że mam ładną suknię. I że jest mi w niej do twarzy. Nie przywykłam, że tak przystojni mężczyźni prawią mi komplementy. W tamtej chwili się w tobie zakochałam.

Przysunęła się jeszcze bliżej, przygważdżając Gideona do poręczy kanapy.

— Wiedziałeś o tym, Faradayu? — szeptała, zbliżając twarz do jego twarzy. — Wiedziałeś, że przez te wszystkie lata cię kochałam?

Kiedy ustami czule dotknęła jego warg, przymknęła oczy, rozkoszując się pocałunkiem. Jednakże Gideon, bliski łez, oparł dłonie na jej ramionach i z całej siły pchnął, aż runęła z kanapy na podłogę. Spojrzała na niego zdumiona.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała z urazą. Mrugając oczami, skupiona, ze zmarszczonym czołem wodziła wzrokiem po podłodze. Przypominając sobie, jak już raz mężczyzna zepchnął ją na podłogę. Faraday... Z łóżka...

Gideon zerwał się z kanapy i stanął za oparciem.

— Niech już pani idzie. Zaraz przyjdzie mama. Bettina wpatrywała się w niego, gdy tymczasem klapka w jej mózgu wróciła na właściwe miejsce. Kobieta wyprostowała się i strzepnęła spódnice.

— To nie było miłe — powiedziała.

— Niech już pani idzie — powtórzył, rękawem piżamy wycierając wzbierające w oczach łzy.

Bettina popatrzyła na niego dziwnie, potem podeszła do drzwi. Jeszcze raz na chwilę zatrzymała się w progu, patrząc na chłopca skulonego za kanapą. Ściągnęła brwi i powiodła wzrokiem po wnętrzu domku. Znowu zamrugowała i odkrząknęła.

— Nie powinieneś był tego robić — odezwała się mocniejszym głosem. — Nie, zdecydowanie nie powinieneś był tego robić.

ROZDZIAŁ 72

Elizabeth śniło się ognisko. To pewnie obóz u stóp Smith Peak, przy Kanionie Motyla. Poznawała charakterystyczny zapach jądłoszynu, którym często tam palili. Dym we śnie był wyjątkowo realistyczny. Czuła, jak otaczają ją jego kłęby. Oczy ją szczypały. Zakasłała. Dlaczego ognisko jest takie duże? Czemu Joe go nie pilnuje? Gdzie jest wiadro z wodą?

Dym gęstniał. Z trudem chwytała dech. Otworzyła oczy. Zorientowała się, że kasłała przez sen. Tylko dlaczego wciąż czuje zapach ogniska?

Usiadła. Wokół niej było pełno gryzącego dymu. Natychmiast oprzytomniała.

— Gideon?

Wyskoczyła z łóżka, potykając się o walizki. Kiedy po powrocie z Palm Springs zastała płaczącego Gideona, błagającego, żeby jak najszybciej stąd wyjechali, zamierzała opuścić Chateau Hightower natychmiast. Chłopiec nie chciał wyjaśnić, co się stało, ale jego zachowanie wyraźnie świadczyło, że spotkało go coś nieprzyjemnego. W drodze do Kolorado na pewno jej opowie. Droga jednak była niebezpieczna i kręta, a meteorolodzy zapowiadali nocne burze.

Zdecydowała, że wyjadą z samego rana.

Chwyciła za klamkę pokoju syna. Ani drgnęła. Drzwi były zamknięte na klucz. Przez szparę wypełzał dym.

— Gideonie! — załomotała w futrynę.

Drzwi zewnętrzne też były zamknięte. Jak to możliwe? Elizabeth chwyciła krzesło, zamachnęła się nad głową i roztrzaskała szybę. Przedarła się przez odłamki szkła i wyskoczyła na zewnątrz. Podbiegła do sąsiedniego okna. Zobaczyła nieprzytomnego Gideona. Leżał na łóżku, w pokoju unosił się gęsty dym.

Elizabeth zbiła szybę i weszła do środka. Z czterech ścian wybuchły płomienie, w okamgnieniu pożerając wiszące ozdoby i zasłonki, liżąc sufit nad głową Gideona.

Szlochając histerycznie, otuliła syna kocem. Dym gryzł ją w oczy, wypełniał płuca. Elizabeth wlokła Gideona do okna, wzywając pomocy. Joe Candlewell, który przejeżdżając obok zajazdu, dostrzegł pożar, już dobiegał do chaty.

— Niech pani weźmie go za nogi! — krzyknął do Elizabeth. — Szybko!

Walcząc z płomieniami i gęstym dymem, próbowała unieść bezwładne ciało syna i podać je Joemu. Wreszcie zdołali jakoś ułożyć Gideona na parapecie. Joe wyciągnął chłopca z płonącego budynku. W chwili gdy Elizabeth wypuściła z rąk stopy Gideona, jej koszula nocna zajęła się ogniem.

Z krzykiem próbowała wyjść przez okno. Jej stopy i nogi płonęły. Ogień w jednej chwili strawił cieniutką koszulkę, odsłaniając zwęglone, pokryte pęcherzami ciało Elizabeth. Runęła na ziemię, wijąc się i krzycząc. Włosy stanęły jej płomieniami, z białych zmieniając się w czarne.

Nadbiegli ludzie. Mężczyźni chwycili chłopca i zrzucili z niego płonący koc. Elizabeth jednak nikt już nie mógł pomóc, gdy wiała się na ziemi, machając szerniałymi ramionami, wrzeszcząc, płonąc jak pochodnia. Ktoś przybiegł z wiadrem wody, ale było już za późno.

Słyszając zamieszanie i krzyki, Morgana wyskoczyła z łóżka i wyrzała przez okno. Zobaczywszy strzelające w niebo płomienie, popędziła na dół i przyłączyła się do gości, którzy w piżamach i szlafrokach stali zbici w ciasną grupkę na dziedzińcu, starając się uniknąć płomieni. Zatrzymała się i popatrzyła na przeraźliwie wrzeszczącą żywą pochodnię wijącą się po ziemi. Przez moment nie rozumiała, na co patrzy. Dopiero po chwili z krzykiem: „Boże!” rzuciła się do Elizabeth. Joe Candlewell rzucił koc na płonącą kobietę, a mężczyźni chlustali kubłami wody, póki płomienie nie zgasły, a jej ciało nie znieruchomiało.

Morgana upadła na kolana obok zwęglonego, pokrytego krwią ciała. Elizabeth nie żyła.

Przybiegali kolejni ludzie, którzy zauważyli pożar. Ustawili się w rzędzie, podając sobie wodę. Dym i para z sykiem wzbijały się w niebo, gdy mężczyźni rzucali łopaty piachu na płonący domek i butami dusili pojedyncze płomienie wystrzelające w krzakach.

Morgana podbiegła do Gideona i przytuliła go do siebie. Przelewał się przez ręce, oczy miał zamknięte.

— Niech ktoś go stąd zabierze, zanim się ocknie! — krzyknęła zrozpaczona.

Tylko Sandy Candlewell zareagował na jej prośbę. Wziął śpiącego chłopca i zaniósł go do głównego budynku.

Pojawiła się Bettina w koszuli nocnej i lokówkach. Rozepchnęła tłum i spojrzała na zwęglone ciało Elizabeth Delafield.

— A co to? — zapytała.

Podeszła do niej Morgana.

—Ciociu, lepiej nie...

—To ma być człowiek?

Kiedy Morgana objęła ciotkę, by zabrać ją od tego widoku, rozżarzony kawałek drewna oderwał się od płonącego domu i przeleciał przed czołem Morgany. Nagle przed jej oczami ożyła scena z dzieciństwa. Kuchnia, rozgrzany do czerwoności pogrzebacz przyciskany do jej czoła i ból tak straszny, że straciła przytomność.

To nie był wypadek! Na nadgarstku czuła żelazny uścisk Bettiny podciągającej ją do góry tak, że stopami ledwo dotykała ziemi, Bettiny wrzeszczącej coś o Indianach. A potem pogrzebacz palący jej skórę. Potworny ból. Ciemność. Wreszcie przebudzenie z bandażem wokół głowy w pokoju ojca.

Sandy Candlewell dopadł do Morgany i chwycił ją w ramiona. Krzyki przerażonych gapiów zaczęły odpływać. Morgana miała wrażenie, że jej ciało nic nie waży. Ogień, atramentowe niebo, jasne płomienie i jeszcze jaśniejsze gwiazdy bladły. Wszystko przesłoniła biała, przerażona twarz Bettiny.

W tym jednym ułamku sekundy, zanim straciła przytomność, zrozumiała. Ciotka napiętnowała ją z premedytacją.

ROZDZIAŁ 73

Zwęglone ciało Elizabeth umieszczono w chłodni Can-dlewellów. Musiał jeszcze przyjechać koroner z Redlands, by potwierdzić przyczynę zgonu. Takie obowiązywały procedury w przypadku śmierci w pożarze. Zjawił się też szeryf hrabstwa, obejrzał spalony budynek i stwierdził, że przyczyną pożaru było niewłaściwe przechowywanie farby, szmat i terpentyny, które znajdowały się tuż obok budynku. Pożar i śmierć kobiety uznano za nieszczęśliwy wypadek. Elizabeth pochowano na cmentarzyku w pobliżu oazy Mara, gdzie spoczywali Indianie, badacze, żołnierze, kowboje, poszukiwacze złota i osadnicy — wielu w bezimiennych mogiłach. Elizabeth jednak otrzymała ładną kamienną płytę, a pożegnali ją wszyscy mieszkańcy okolicznych osad.

Gideon ani na krok nie odstępował Morgany. Nawet spał na leżance w jej pokoju. Nie pamiętał pożaru, nie widział ciała matki. Powiedziano mu, że udusiła się, ratując mu życie. Nikt słowem nie wspomniał o żywej pochodni, która z krzykiem płonęła na podwórku.

Błada i milcząca Bettina obsługiwała gości, którzy po pogrzebie przyjechali do zajazdu. Każdy przywiózł coś do jedzenia, wszyscy też pomagali w przygotowaniu szwedzkiego stołu. Przyszło tyle osób, że wszyscy nie zmieścili się w budynku. Ludzie stali nawet na żwirowanym podjeździe, na którym Sandy zaparkował swój czerwony autobus. Przywiózł nim żałobników aż z Yucca Valley i Desert Hot Springs. Choć domy stały często w odległości kilku kilometrów od siebie, osadnicy uważali się za rodzinę i odczuwali niezwykle silną solidarność,

którą okazywali zwłaszcza w trudnych chwilach. Dlatego wszyscy, którzy przybyli na pogrzeb, składali Gideonowi, Bettinie i Morganie wyrazy autentycznego współczucia.

Kiedy goście się rozeszli, a pokojówki sprzątały po kolacji, Bettina weszła do salonu, w którym siedzieli Morgana i Gideon.

— Mam komunikat — zwróciła się sucho do chłopca. — Jutro wyjeżdżasz. Rano spakujesz wszystkie rzeczy. Znajdę kogoś, kto odstawi cię do Banning. Potem radź sobie sam.

Morgana spojrzała na nią zdumiona.

— Jak to?

— Tak to. Gideon ma się stąd zabierać. Nie mogę wziąć na siebie ciężaru opieki nad dorastającym chłopakiem, który tutaj do niczego się nie przyda.

Morgana wstała i wysunęła bródkę.

— Jeśli Gideon odejdzie, to ja z nim.

— Jak sobie chcesz — odparła Bettina. — Oboje przynosicie mi wstyd. Nie wychowano mnie na niańkę dla pary bękartów.

Obróciła się i wyszła z uniesioną głową.

Czuła się znacznie lepiej. Snuła plany na przyszłość. Pożar stał się bodźcem do gruntownego remontu zajazdu. Zamierzała nawet wybudować basen, by przyciągnąć zamożniejszych klientów. Bogaci przedsiębiorcy, lekarze i prawnicy przyjeżdżali na pustynię w poszukiwaniu odpoczynku. Nie widziała powodu, by nie mieli zatrzymywać się w Château Hightower. Podobnie jak nie widziała powodu, by dłużej być wdową. Dwunastoletnia żałoba, doprawdy, chyba wystarczy. Czas pomyśleć o przyszłości. Powtórny zamążpójściu. Oczywiście brała pod uwagę tylko dobrze sytuowanego mężczyznę o wysokiej pozycji społecznej. A jak wiadomo, względów takiego mężczyzny nie zdobywa się, jeśli pod nogami przyszłej oblubienicy płata się dwójka niedorosłych dzieci. Dlatego musiały zniknąć.

Tej nocy Bettina spała niespokojnie, rzucając się w pościeli i wiercąc, jakby zamiast na miękkiej bawełnie leżała na kępkach ostu. Wreszcie obudziła się przed świtem, wciąż nie mogąc się wyzwolić z koszmarów, które przykleiły się do niej niczym nocna mgła. Otworzyła najniższą szufladę komódki i spod pachnącej naftaliną wełnianej bielizny zimowej wyciągnęła przedmiot, który ukryła tam dwanaście lat temu.

W bladym świetle brzasku rozwinęła go z jedwabnej chusteczki.

I oto leżał przed nią — wielkością i kształtem przypominający niedużą meduzę — pomarańczowozłoty odłamek pokryty tajemniczymi symbolami namalowanymi czerwoną kreską. Zachowany przez nią fragment złotej *olli*. Z jakiegoś powodu nagle wydał jej się ważny. Czyżby pojawił się w jej śnie?

Wciąż pamiętała dzień, w którym zniszczyła dzban. Faraday kazał jej się wynosić i nie wracać, potem zawiózł Morga-nę do Candlewellów, a sam pojechał siedzieć w tej głupiej podziemnej komorze. Bettina wróciła do domu — domu, który sama postawiła! — i z rozkoszą grzmotnęła naczyniem o kamienną posadzkę. Potem obcasem gniotła skorupy, póki przypomnienie, że Faraday wolał Indian niż ją, nie zamieniło się w gliniany pył. Dopiero następnego ranka przy zmiataniu znalazła ocalały fragment. Zamiast jednak wyrzucić go do kosza, wpatrywała się weń, mimowolnie zafascynowana wzorem na ścianie. Do dziś nie rozumie, dlaczego zatrzymała skorupę, pokazała Faradayowi w podziemnej komorze, a potem ukryła w szufladzie.

Teraz gdy obracała w palcach odłamek, po raz pierwszy zrozumiała, co przedstawia rysunek, i krzyknęła z przerażenia.

W rysunku bowiem ukrywał się potwór. Straszliwa istota z piekła rodem. Wytwór chorej pogańskiej wyobraźni.

Wzdrygnęła się z odrazy. Szybko zawinęła glinę w jedwabną chusteczkę i z powrotem ukryła w szufladzie. Włożyła szlafrok i wybiegła na zewnątrz, do zwęglonego domku. Joe Candlewell ostrzegwał, że trzymanie farb i rozcieńczalników w pobliżu budynku jest niebezpieczne. Nie mylił się. Na ziemi, w miejscu gdzie spłonęła żywcem Elizabeth, znalazła resztki zwęglonej tkaniny. Słońce

jeszcze nie pojawiło się nad horyzontem. W powietrzu wisiał chłód. Pustynia spała.

Bettino...

Obróciła się.

— Kto to?

Nic nie zakłóciło bezruchu poprzedzającego świt. Nawet kogut jeszcze nie przygotowywał się do porannej pobudki. Opustoszałe domki były ciemne i ciche. Wszyscy goście wyprowadzili się do innych gospód. Bettinę przeszył dreszcz. Szczelniej owinęła się szlafrokiem. Wiedziała, kto ją wołał. Nie pierwszy raz go słyszała. To Faraday.

Czy to możliwe, że wciąż żyje? Po tylu latach wciąż z niej drwi? Tak samo jak za pierwszym razem, wiele lat temu, gdy powiedział jej, że ładnie wygląda. Drwił, a ona uwierzyła, że wzbudziła w nim uczucia. Dręczył ją.

Czyżby jakimś cudem zdołał wydostać się spod ziemi? Czy dowodem był telegram? Telegram, który wysłał do swojej Delafield, każąc jej tu przyjechać.

Musiała się upewnić, że Faraday nie żyje.

Załadowała do samochodu drabinę, łopatę i siekiery, po czym wróciła do mieszkania, by się ubrać. Zastała Morganę i Gideona siedzących przy śniadaniu. Sięgnęła do puszki z kawą, wyjęła kilka dolarówek i rzuciła je na stół.

— Dajcie to Sandy'emu Candlewellowi za odwiezienie was do Banning. Ja muszę coś załatwić. Żebym was tu nie widziała, kiedy wrócę.

Jechała na złamanie karku; przez pola, taranując wszystko, co jej stanęło na drodze, zostawiając za sobą tuman kurzu. Furgonetka śmignęła obok grupy Indian zbierających drwa, minęła ziejący otwór kopalni, przed którą zmarł na serce ojciec Polly Crew. Samochód stękał i skrzypiał, ale Bettina bezlitośnie dociskała gaz, kurczowo obejmując palcami kierownicę. Nachylona przez zakurzoną szybę wypatrywała znaków rozpoznawczych. Choć minęło dwanaście lat, ona pamiętała je, jakby widziała je wczoraj.

Wreszcie dojechała do formacji skalnej, gdzie kończyła się droga. Będzie musiała sama zadźwigać na miejsce drabinę — tak samo jak dwanaście lat temu. To była ta sama drabina, po której wtedy wyszła z kivy.

Mimo wczesnej pory już panował skwar. Powietrze było tak nieruchome, że słyszała łopot skrzydeł przelatującego nad jej głową kruka. Na piaszczystej równinie rozciągającej się po lawendowe skały wzbijały się pustynne paskudy. Porwały piasek, żwir i rośliny, a potem nagle puszczały. Bettina nigdy jeszcze tak nienawidziła pustyni jak w tej chwili.

Szarpała się z ciężką drabiną, to wlokąc ją nad głazami, to przeciskając przez szczeliny. Wreszcie dotarła to tego pokracznego drzewa Jozuego, nazywanego przez tubylców La Vieja. Kiedy weszła do niewielkiego kanionu, zerwał się wiatr, zrzucając jej z głowy kapelusz. Podmuch podnosił tumany kurzu, sypał piasek w oczy. Złośliwa paskuda jak zwykle zaatakowała znienacka. Nagle Bettina znalazła się w samym środku małej trąby powietrznej. Wokół niej wirował piasek, kamyki, kawałki kaktusa. Wiatr wyszarpnął jej z ręki drabinę i cisnął nią o głaz, przez który biegła ukośnie zygzakowata linia. Drewno roztrzaskało się, wszędzie fruwały drzazgi. Bettinie wydawało się, że przez wirujący piach dostrzega jakąś postać. Kobieta. Stała, przyglądając jej się. Wyglądała na Indiankę.

Tornado przybierało na sile. Bettina szukała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać. Wtedy zobaczyła, jak wiatr porywa roztrzaskane kawałki drabiny. Z przerażeniem patrzyła, jak ostre drzazgi pędzą w jej stronę. Próbowwała odskoczyć. Osłaniając głowę rękami, usiłowała wyrwać się wiru.

— Nie stercz tak! — krzyczała do Indianki. — Pomóż mi!

Brnęła do miejsca, w którym zostawiła furgonetkę. Raz za razem smagały ją gałęzie krzewów. Wtem poczuła ostry ból między żebrami. Zachłysnęła się i upadła na głaz. W tej samej chwili wiatr ucichł. Bettina odgarnęła włosy z twarzy i mrugała powiekami, by usunąć spod nich piasek. Nagle spojrzała w dół i zobaczyła, że z piersi wystaje jej szczebel drabiny.

Osunęła się na kolana. Ból był nie do zniesienia. Na plecach czuła ciepłą lepką krew. Została przebita na wylot.

—Pomóż... mi... —jęknęła. Ale Indianka już zniknęła.

—Musisz jeść — łagodnie perswadowała Morgana. Gideon siedział przy stole. Przed nim leżała nietknięta kanapka z szynką, serem i pomidorem. Obok stała szklank mleka.

—Została z ciebie tylko skóra i kości.

—Mama zginęła, ratując mi życie — wyszeptał.

—Wiem, kochanie.

Rozumiała jego cierpienie. Jej serce też przepełniał ból.

— Powinienem był się obudzić! Dlaczego spałem? To przeze mnie mama nie żyje. — Rękawem wytarł nos. — Gdzie się teraz podziejemy?

— Nie martw się. Coś znajdziemy. Morgana pomyślała o szkole pielęgniar-
skiej. Jeszcze może się zgłosić. Bettina opłaciła czesne z góry. Ale co staniel się
z Gideonem? Może uda jej się namówić administrację szpitala, żeby zwrócono
pieniądze jej, a nie cioci Bettinie. Wtedy przez jakiś czas mieliby z czego żyć.

— Morgano! — W drzwiach stanęła Selma Cartwright. — Twoja ciotka mia-
ła wypadek. Znaleźli ją turyści. Jest ciężko ranna!

Joe Candiewell nie wiedział, co robić. Choć mieszkał na pustyni od lat, nigdy
jeszcze nie widział takiej rany. Bettina Hightower była przebita kawałkiem
drewna na przestrzał. Bał się ją dotknąć.

Spojrzał na Morgane, która weszła do sypialni.

— Turyści przywieźli ją tutaj — wyjaśnił — bo nie wiedzieli, kim jest ani
dokąd ją zabrać. Morgano, nie sądzę, by dało się ją przenieść do zajazdu. I... —
Zerknął przez ramię, nerwowo zwilżając wargi. — W ranie tkwi kawałek dREW-
na.... Boję się go usunąć. To może zwiększyć krwotok.

W kobiecie na łóżku trudno było poznać Bettinę. Cera straciła swój naturalny
odcień. Głowa, którą Bettina zawsze nosiła wysoko, leżała pod dziwnym kątem.

Spod potarganych włosów wystawała domowej roboty treska. Kobieta wyglądała słabo i krucho.

Dziewczyna podeszła do łóżka i spojrzała na ciotkę, która zaledwie kilka godzin temu wyrzuciła ją i Gideona na bruk.

Bettina otworzyła oczy i niespokojnie wodziła nimi po pokoju, jakby kogoś szukała.

—Mamo?

—To ja, ciociu. Morgana.

—Mamo, to ty?

Morgana przysiadła na łóżku.

—To twoja siostrzenica.

— Mamo, bardzo przepraszam — mówiła z trudem, urywanie. — Ja tylko pragnęłam, żeby ktoś mnie pokochał. Ale żaden mężczyzna nie chciał się ze mną ożenić. Służące nazywały mnie „biedną Bettiną”. Wiedziałam, co to znaczy. A skoro nie mogłam wyjść za mąż, to jak miałam mieć dziecko? Dziecko, które kiedyś by mnie pokochało? A nie tylko córkę siostry, która mnie nienawidzi.

— Nie nienawidzę cię, ciociu. — Przerażona Morgana nie mogła oderwać wzroku od kotka wystającego z piersi Bettiny. Wyglądał jak szczebel drabiny. To cud, że Bettina jeszcze żyła. — Boli cię, jesteś ranna — tłumaczyła łagodnie.

Spojrzała na Joego, który pokręcił głową. Ethel powiedziała, że lekarz dotrze dopiero za godzinę. Bettina nie przeżyje godziny.

—Musiałam to zrobić—jęczała.

—Co, ciociu? — pytała Morgana.

Krew wyciekała spod grubego opatrunku. Joe próbował zebrać ją wata. Bettina z trudem chwytła oddech.

— Musiałam... pozwolić Abigail umrzeć. Powiedziała... Faradayowi o mojej matce... i stangrecie.

Morgana położyła dłoń na czole ciotki. Było zimne i lepkie.

— Ciociu, o czym ty mówisz?

Krew bulgotała kobiecie w gardle. Ohydny drewniany kołek podnosił się i opadał z każdym, z trudem chwytanym haustem powietrza.

— Wtedy nie wiedziałam. Chciałam Faradaya. Był mój. Dlatego Abigail musiała wykrwawić się na śmierć. Ale... powiedziała...

Morgana cofnęła rękę.

— Co powiedziałaś?

— Faraday... i lekarz okrętowy mogliby... ją uratować. Musiałam poczekać, aż...

Dziewczyna wpatrywała się w nią ze zgrozą.

— Pozwoliłaś mamie wykrwawić się na śmierć? wyszeptała.

— Zdobyłam dziecko. Zdobyłam Morgane. Faradaya też musiałam zdobyć. Ale powiedziała mu o mojej matce i stangrecie.

Morgana nie wierzyła własnym uszom. Jej ciotka zabiła rodzoną siostrę?

Bettina toczyła wzrokiem.

— Madianiccy kupcy — wycharczała. Morgana musiała się pochylić, żeby usłyszeć.

— Co powiedziałaś, ciociu?

— Bracia... sprzedali go madianickim... kupcom.

— Nie rozumiem — powiedziała przez zaciśnięte gardło Morgana.

Wielkie mętne oczy wpatrywały się w dziewczynę. Zegar w korytarzu wybił pełną godzinę. Kobieta oddychała z coraz większym trudem. Rozpaczliwie walczyła o każdy łyk powietrza. Wyciągnęła rękę i macała po narzucie, szukając dłoni Morgany.

— Nazwali ją Morgana — szeptała, patrząc na nią nieprzytomnym spojrzeniem. — Dali córce imię oznaczające uludę. Wszystko to tylko bujanie w obłokach i zamki na piasku.

Nagle Bettina oderwała rękę od narzuty.

— Boże!—krzyknęła.

Otoczyła palcami zakrwawiony kołek i zanim Morgana zdołała ją powstrzymać, wyszarpnęła go z piersi, wołając:

— Faradayu!

Trysnęła krew. Morgana zerwała się na nogi. Joe rzucił się do łóżka i twardą, pokrytą odciskami ręką próbował zakryć ranę.

— Więcej opatrunków! — krzyczał. — Ręczniki! Cokolwiek!

Ethel usłyszała i przypędziła do pokoju. Odepchnąwszy Morgane, siadła na łóżku, przyciskając gruby ręcznik do poszerzającej się czerwonej plamy. Dziewczyna słaniając się, oparła się o ścianę. Nie mogła oderwać wzroku od białej, wykrzywionej, zmienionej nie do poznania twarzy ciotki.

Bettina kasłała krwią i szamotała się, aż wreszcie zamknęła oczy. W jej płucach coś zarzęziło, ciało przeszyły drgawki. Jeszcze jedno konwulsyjne drgnienie, ostatni oddech i znieruchomiała.

ROZDZIAŁ 74

— Pobierzmy się od razu — powiedział Sandy Candlewell następnego ranka. — Chcę się tobą zaopiekować, Morgano. Zaadoptuję też Gideona, żeby nikt nie mógł ci go odebrać. Jeśli będziesz chciała, będziesz mogła studiować. Ja zajmę się zajazdem. Proszę, Morgano.

Najdroższy Sandy. Kochała go najczulszą, najśłodsza miłością. Był jej podporą. Pewną i niezachwianą. Należał jednak do tego jej świata, który właśnie się zawalił.

— Daj mi czas — poprosiła.

Teraz musiała poszukać sukni, w której pochowa ciotkę.

Wszedłszy do pokoju Bettiny, przeżyła szok. Ciotka zwykle miała u siebie pedantyczny porządek, tymczasem na podłodze wały się ubrania, jakby histerycznie wyrzucała rzeczy z szafy, szukając odpowiedniej sukni na swoją tajemniczą wyprawę na pustynię.

Grzebiąc wśród ubrań w poszukiwaniu czegoś czystego, Morgana odkładała na jedną stertę spódnice i bluzki, na drugą bieliznę. W pewnym momencie trafiła na sukienkę w groszki, którą ciotka miała na sobie w wieczór pożaru. Morgana była tego pewna, ponieważ Bettina zawsze wkładała ją w piątki, zaliczając strój do kategorii odświętnych. Kiedy odkładała sukienkę, coś wypadło z kieszeni. Papierowa torebeczka z pieczętką apteki.

Zaciekawiona zerknęła do środka. Torebka była pusta, ale na dnie zostały resztki białego proszku. Na opakowaniu zobaczyła proste dwa słowa: „środek nasenny”.

Ściągnęła brwi. Bettina nie pochwalała tego rodzaju leków. Twierdziła, że sięgają po nie tylko słabi i tchórzliwi. W takim razie po co jej to było?

Dziewczyna dalej sortowała ubrania. Kiedy trafiła na szlafrok Bettiny, poczuła drażniący zapach spalenizny. Przytknąwszy tkaninę do nosa, rozpoznała jeszcze inny zapach — charakterystyczną woń terpentyny.

Z narastającą pewnością sięgnęła do kieszeni szlafroka. W środku były zapalniczki.

— Boże — wyszeptała. Nogi się pod nią ugięły. Chwiejnym krokiem zeszła z sypialni na dół, gdzie Gideon bawił się gałkami nieczynnego radia.

— Gideonie, czy w wieczór pożaru ty i mama jak zwykle piliście ciepłe mleko?

Na wzmiankę o matce jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe, nabrzmiały łzami.

— Czy tak, Gideonie? — zapytała łagodnie.

— Tak — powiedział.

Morgana z trudem przełknęła ślinę.

— I oboje je wypiliście? Łza spłynęła mu po policzku.

— Mama niechcący strąciła kubek. Dałem jej swoje, ale powiedziała, że muszę wypić, bo rosnę. „Nie będziemy płakać nad rozlanym mlekiem”, to były jej ostatnie słowa. Powinienem był się obudzić! — krzyknął. — Nie obudziłem się! Dlatego umarła!

Wybuchł płaczem. Morgana mocno go przytuliła. Przez długą chwilę kołysali się, stojąc obok radioodbiornika, który wyglądał dostojnie, ale nigdy nie działał, ponieważ Bettina uznała, że baterie są za drogie. Wreszcie dziewczyna wypuściła chłopca.

— Posłuchaj uważnie, Gideonie. To nie twoja wina, że się nie obudziłeś. W kieszeni sukienki Bettiny znalazłam środek nasenny. Dosypała go wam do mleka. Omyłkowo — dodała natychmiast.

Jej przerażenie rosło. Bettina pozwoliła, by siostra wykrwawiła się na śmierć, a potem zabiła Elizabeth Delafield.

— Jestem pewna, że było przeznaczone dla innego gościa. A może nawet dla niej samej. Miewała problemy ze snem. Lunatykowała. Sam więc widzisz — do-
dała równym głosem, odzyskując panowanie nad sobą. — Bettina się pomyliła.
Wypiłeś mleko ze środkiem nasennym i dlatego się nie obudziłeś. Rozumiesz?
To nie twoja wina. Nie obudziłbyś się, nawet gdybyś chciał. Ale wiesz co? Le-
piej nie rozpowiadajmy tego. Nie wypada mówić źle o zmarłych.

ROZDZIAŁ 75

Morgana weszła do pomieszczenia, w którym Bettina zamierzała urządzić
pokój dla Gideona — niegdyś gabinetu ojca, od dawna służącego za składzik. Z
łatwością znalazła pudła z medycznymi podręcznikami, które Faraday przywiózł
z Bostonu. Modliła się, by była wśród nich książka z odpowiedzią na dręczące ją
pytanie.

Wreszcie znalazła. Była na dnie pudła. „Histeria i rozum”. Morgana głęboko
nabrała tchu i otworzyła.

Kiedy po śmierci ciotki siedziała przy zmarłej — nieruchoma i bez życia jak
zwłoki, przy których czuwała — usłyszała rozmowę Selmy Cartwright i Ethel
Candlewell, które gawędziły w pokoju obok, nie wiedząc, że Morgana je słyszy.

—Zawsze podejrzewałam, że Bettina jest nieźrównoważona psychicznie —
oznajmiła swoim nieznośnym, pewnym wyższości tonem Selma. — Zupełnie jak
Faraday. Jedno warte drugiego.

—Jak możesz tak mówić — mitygowała Ethel — gdy biedulka leży w pokoju
obok? Boże, następna podróż na cmentarz.

—Na twoim miejscu nie pozwoliłabym Sandy'emu żenić się z Morgana.

—Dlaczego? — W głosie Ethel brzmiało zdziwienie, — Morgana to cudowna dziewczyna, szaleją za sobą.

—Niedaleko pada jabłko od jabłoni — odparła sentencjonalnie Selma. — Rozumiesz, co mam na myśli.

—Na miłość boską! Selmo, organizuję pogrzeb, a ty mi fundujesz zagadki?

— A jeśli to jest dziedziczne?

—Nie bądź niemądra. Faraday nie był chory psychicznie. Był tylko ekscentryczny.

—A może chorzy psychicznie wzajemnie się przyciągają? — snuła dalej rozważania Selma. — Może szukają kogoś podobnego do siebie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

— Co to ma wspólnego z Morgana?

—Może mieć to we krwi. Ze strony ojca i matki. Nie znaleźliśmy siostry Betty. Może była tak samo niezrównoważona?

—Selmo Cartwright, nie będę tolerować takich bredni. Nie wiesz, gdzie położyłam okulary? Nie mogę się odczytać. Co tu napisałam?

—Ja nie pozwoliłabym synowi ożenić się z dziewczyną, która może urodzić chore psychicznie dzieci. Powszechnie wiadomo, że szaleństwo jest dziedziczne.

—Morgana to przemiła dziewczyna, a jej ojca bardzo szanowałam. Uważam sprawę za zamkniętą. A teraz daruj, muszę pomóc tej biedulce zorganizować pochówek.

Wtedy słowa Selmy Cartwright zdumiały i zaskoczyły Morgane, teraz jednak — po kilku dniach — gdy zdążyła ochłonąć i przemyślała je, zaczęła się zastanawiać, czy nie było w nich ziarna prawdy.

Morgana otworzyła podręcznik napisany przez wiedeńskiego psychiatrę. „Psychotyczne i neurotyczne objawy występują, jeśli bolesne psychicznie do-

świadczenia z dzieciństwa zostają stłumione... Histerię powodują nieświadome pragnienia, traumatyczne przeżycia albo wyparte wspomnienia..."

Potarła oczy. To było dla niej za trudne. Uparcie jednak brnęła dalej.

„Jeśli trauma prowadzi do gwałtownego spadku poczucia własnej wartości, mogą pojawić się zaburzenia dysocjacyjne lub histrioniczne zaburzenie osobowości”.

Nie rozumiała tego medycznego żargonu, odnosiła jednak wrażenie, że słowa dobrze opisują jej ciotkę. Trauma z okresu dzieciństwa. Zaburzenie osobowości.

Bettina z premedytacją podpaliła domek Elizabeth.

Morgana zatrzasnęła książkę. Na próżno szukać w niej odpowiedzi, której być może nigdzie nie znajdzie. Fakt jednak pozostawał faktem. Jej ciotka ze strony matki, z którą łączyły ją więzy krwi, była nie zrównoważona psychicznie. W uszach ciągle jej brzmiały słowa Selmy Cartwright: „Szaleństwo jest dziedziczne”.

Selma miała rację. Dopóki nie zdobędzie więcej informacji, nie może wyjść za Sandy'ego Candlewella.

ROZDZIAŁ 76

Morgana wreszcie zmusiła się, by przejrzeć osobiste rzeczy ciotki. W szufladzie komódki znalazła plik dokumentów: metrykę urodzenia Faradaya Hightowera i Abigail Liddell, akty zgonu obojga starszych państwa Liddell oraz Abigail, akt ślubu Faradaya i Abigail, swoją metrykę urodzenia. Nigdzie nie było metryki urodzenia Bettiny ani aktu ślubu Bettiny i Faradaya.

To ją zaskoczyło. Dlaczego ciotka nie trzymała ich z pozostałymi dokumentami?

Z półki nad kominkiem zdjęła portret ślubny i sprawdziła z tyłu, czy ciotka nie wsunęła czegoś za ramkę. Nic tam nie znalazła, ale kiedy odstawiała fotografie, dostrzegła coś, czego wcześniej nie zauważyła: twarz Bettiny została doklejona. Nagle wszystko stało się jasne. Nie pobrali się! Ślub, obrączka, „pani High-tower” — wszystko stanowiło kolejne urojenie Bettiny.

Przeglądając pozostałe szuflady, w najniższej trafiła na coś, co ją zaskoczyło: zawinięty w jedwabną chusteczkę odłamek idealnie wpasowujący się w dłoń. Glinę o pięknym morelowym odcieniu pokrywał wzór namalowany ciemnoczerwoną kreską.

Zdumiona Morgana zrozumiała, że trzyma w ręku odłamek złocistej *olli*. Przymknęła oczy i otoczyła go palcami. Dawał jej poczucie więzi z ojcem. Tata kochał ten dzban. *Otta* w „kolorze nadziei” łączyła ich oboje. Ta skorupa znać dla niej więcej niż najdroższe brylanty.

W końcu dziewczyna zajęła się finansami zajazdu. W biurku gabinetu Bettiny znajdował się metalowy sejf. Morganie udało się go otworzyć. Zajrzawszy do księgi rachunkowej, ze zdumieniem stwierdziła, że gospoda przynosi zyski, a nie tylko straty, jak nieustannie wyrzekała ciotka. Odetchnęła z ulgą. Jednak nie zostali z Gideonem bez grosza. Będą mieli pieniądze na prowadzenie zajazdu, odbudowę spalonego domku i wygodne życie.

Kiedy jednak przełożyła kartkę, zobaczyła serię dziwnych wypłat gotówki. Za okładką znalazła kopertę z potwierdzeniami wpłat. Daty i wysokość kwot zgadzały się z wypłatami. Wszystkie potwierdzenia zostały wystawione przez wspólnotę Kościoła Odkupiciela, adresem była skrytka pocztowa w San Bernardino. Dopiero po chwili Morgana przypomniała sobie wędrownego kaznodzieję, który rok wcześniej zjawił się w Twentynine Palms i ogłosił tygodniowe rekolacje nawrócenia i uzdrowienia przez wiarę. Swoje nauki głosił na pustyni pod powiewającym sztandarem z napisem „Kościół Odkupiciela”. Większość mieszkańców poszła tam z czystej nudy i ciekawości. Dziewczyna jednak pamiętała, że ciotkę ogarnęła prawdziwa gorączka religijna. Co wieczór wymykała się na

„osobiste rozmowy duchowe” z pastorem. Teraz Morgana skojarzyła, że pierwsza wypłata pokrywa się terminem pustynnych rekolekcji. Od tamtej pory. Bettina co miesiąc wysyłała okrągłą sumkę na rzecz wspólnoty.

— Och, ciociu — szepnęła. — Jakże musiało cię dręczyć sumienie. Pozwolić umrzeć własnej siostrze... Poczucie winy musiało być przytłaczające.

Drżącymi rękami dalej przekładała papiery, aż trafiła na teczkę zawierającą korespondencję Bettiny z bankiem w Redlands. W pierwszym liście, datowanym cztery lata wcześniej — dwa dni po osiemnastych urodzinach Morgany — bank informował pannę Morganę Hightower, że doktor Hightower założył rachunek na jej nazwisko. Pieniądze miała otrzymać wraz z ukończeniem osiemnastego roku życia, co właśnie nastąpiło, zatem obowiązkiem banku jest przekazanie jej całej sumy. Kwota była gigantyczna: pięć tysięcy dolarów. Bank podkreślał też, że zgodnie z wolą doktora Hightower a pieniądze może podjąć wyłącznie panna Morgana Hightower. Nikt inny, nawet jej ciotka Bettina Liddell, nie może ich tknąć.

Morgana pierwszy raz widziała ten list. Skąd pochodziły te pieniądze? Plotka głosiła, że przed wyjazdem do Meksyku ojciec ukradł jakieś wypłaty. Czy to właśnie te pieniądze? Niemożliwe. Nikt nie robi napadu, żeby potem ulokować pieniądze w banku.

Drugi list, datowany tydzień później, był adresowany do Bettiny.

„Szanowna pani Hightower, choć stała się Pani macochą swojej siostrzenicy, nie możemy przekazać Pani pieniędzy. Instrukcje Pani męża były wyraźne. Kwotę może podjąć wyłącznie Morgana Hightower”.

W trzecim liście bank informował Bettinę, że owszem, może w każdej chwili przyjechać z siostrzenicą. Panna Morgana jest proszona tylko o przywiezienie metryki urodzenia.

Ostatni dokument stanowiło potwierdzenie przelania pieniędzy na konto zjazdu.

Zaskoczona Morgana szperała w pamięci. Rzeczywiście wkrótce po jej osiemnastych urodzinach Bettina wyjechała na kilka dni. Mniej więcej w tym

samym czasie z pracy zrezygnowała pokojówka, rówieśnica Morgany. Bettina wróciła z podróży w znakomitym nastroju i w nowej sukni.

Morgana z rosnącym niepokojem przeglądała pozostałe papiery. Coraz więcej wypłat z rachunku zajazdu, coraz więcej czeków opiewających na coraz wyższe sumy na rzecz Kościoła Odkupiciela. Kiedy wreszcie zabrakło środków na koncie, Bettina wzięła pożyczkę hipoteczną pod zastaw gospody. Potem zaczęły się listy od wierzycieli, domagających się spłat — w tym informacja z banku, że jeśli nie ureguluje zaległych rat, nieruchomość przejdzie na jego własność. Monit wystawiono na trzy dni przed śmiercią Bettiny.

Morgana patrzyła na rozrzucone na biurku dokumenty i papiery. Straci gospodę. Po raz drugi zostanie eksmitowana z własnego domu.

ROZDZIAŁ 77

— Nie przejmuj się, synu — uspokajał Joe Candlewell spod maski forda, którego właśnie naprawiał. — Zrobimy, co w naszej mocy, by wam pomóc. My, osadnicy, możemy na siebie liczyć w trudnych chwilach. Nie zostawiamy swoich bez pomocy.

Nie dopowiedział tego, co mówili wszyscy mieszkańcy. Nieszczęsna dziewczyna. Najpierw jej matka zmarła, wydając ją na świat, potem opuścił ją ojciec, a teraz odeszła ciotka opiekunka. Biedulka trzykrotnie została osierocona. A do tego jeszcze ten biedny chłopaczek, wyglądający najwyżej na dwanaście lat, który w takich strasznych okolicznościach stracił matkę. Joe zamierzał zorganizować zbiórkę pieniędzy i dopilnować, żeby dla obojga znalazł się dach nad głową, mo-

że jakaś praca. Jednakże ze względu na kryzys nie było szans na uratowanie zajazdu.

Sandy ponowił propozycję małżeństwa, ale Morgana w ogóle nie chciała o tym słyszeć. Nie mogła mu tego zrobić. Sandy marzył o potomstwie, a ona postanowiła, że nie wyda na świat dziecka, dopóki nie sprawdzi historii rodzinnej i nie dowie się, czy chorobę psychiczną ma we krwi czy też jest wolna od podobnego obciążenia.

Najlepiej byłoby teraz wyjechać z Gideonem, zacząć gdzieś od nowa. Nie mogłaby patrzeć, jak ktoś inny kieruje zajazdem. Albo — tak jak to się stało z innymi hotelami — jak gospoda popada w ruinę. Wszyscy zdumiewali się, jak dzielnie Morgana znosi ten tragiczny cios. Nie mieli pojęcia, że rzekoma odwaga to tak naprawdę pustka. Dziewczyna nie czuła nic. Wypierała wspomnienia pożaru. Na noc łykała proszek nasenny, by spać bez snów. Nie potrafiła płakać. Dręczyło ją poczucie odpowiedzialności za śmierć Elizabeth — domyślała się, że z ciotką coś jest nie tak, ale w żaden sposób nie zareagowała.

Walizki były już spakowane i załadowane na furgonetkę. Morgana chciała wyjechać, zanim pojawi się komornik z nakazem eksmisji. W imieniu Gideona wystosowała pismo do wydawcy Elizabeth, informując o śmierci autorki i prosząc, by tantiemy przekazywać synowi doktor Delafield. Choć książka nie rozchodziła się jak świeże bułeczki, przyszedł czek wystarczający na pokrycie czynszu i skromne życie w Los Angeles, dopóki Morgana nie znajdzie pracy. Miała doświadczenie w prowadzeniu hotelu i restauracji, mogła też pracować w kuchni. Obawiała się jednak, że pracodawcy nie przyjmą jej ze względu na młody wiek. Gideon upierał się, że też pójdzie do pracy, ale Morgana nie chciała o tym słyszeć. Miał kontynuować naukę i koniec.

Dziewczyna posłała po kufer, który Elizabeth zostawiła w ostatnim miejscu zakwaterowania. Znajdował się w nim cały dobytek zgromadzony przez Gideona i jego matkę: książki, ubrania, sprzęt fotograficzny i notatki. Nie było w nim jednak pieniędzy ani niczego, co można by spieniężyć. Kufer stał już na pace razem z walizkami.

Pokojówki płakały. Wszyscy zapewniali, że będą tęsknić za Morgana. Za Gideonem, którego zdążyli polubić, też.

— Odnóście się do nowych właścicieli z szacunkiem i służcie im równie dobrze, jak mojej ciotce i mnie — zwróciła się Morgana do dziewcząt ze łzami w oczach.

Ukryła przed nimi prawdę, dając do zrozumienia, że ona i Gideon opuszczają Twentynine Palms w poszukiwaniu przygód. W rzeczywistości umierała z przerażenia. Mieli niewiele pieniędzy. Co ich czeka, kiedy fundusze się skończą? Jak poradzą sobie sami w wielkim obcym mieście?

Pomyślała o amulecie schowanym pod sukienką. Nosiła go niemal całe życie. Najwyraźniej nigdy nie przyniósł jej szczęścia, ale może chociaż teraz przyniesie okrągłą sumkę, gdy sprzeda go w lombardzie.

Na zwirowanym podjeździe przed gospodą zatrzymał się samochód. Wsiadł z niego młody mężczyzna w ciemnym garniturze i kapeluszu. Pokojówki przyglądały się bez słowa, jak podchodzi do drzwi, trzymając w ręku skórzaną teczkę.

— Dzień dobry — odezwał się z czarującym uśmiechem. — Szukam doktora Hightowera. Dobrze trafiłem?

Morgana próbowała mu się przyjrzeć, ale oczy zasłaniało rondo kapelusza.

— Doktor Hightower to mój ojciec. Nieznajomy wyciągnął zadbaną, gładką dłoń.

— Mike Singletary — przedstawił się. — Z kancelarii adwokackiej Whalena, Adamsa, Edwardsa i Lipa. Mogę rozmawiać z pani ojcem?

— Nie ma go. Zniknął w 1920 roku.

— Och!

— Mówi się, że nie żyje — wygadała jedna z dziewczyn.

— W takim razie — młody mężczyzna otworzył walizkę i wyjął z niej kopertę — to należy do pani.

Zaskoczona Morgana wpatrywała się w nabazgrane słowa: „W Razie Mojej Śmierci Dać Faradayowi Hightowerowi z Twentynine Palms w Stanie Kalifornia”.

— Co to jest?

— Nie mam pojęcia, panienko. Jestem tylko posłańcem. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. W policzkach zrobiły mu się urocze dołeczki. — Ponieważ jestem świeżo upieczonym adwokatem z wielkiej kancelarii, zawsze wysyłają mnie z dokumentami. Ale kiedyś — dodał, ponieważ dziewczyna była ładna — zostałem współnikiem.

Morgana jednak, która właśnie rozdzierała dużą kopertę i wyjmowała zawartość, nie usłyszała tej przechwałki.

Drogą nadbiegł Gideon, który poszedł pożegnać się z Candlewellami. Przed budynkiem zaczęli się gromadzić gapie ciekawi, co oznacza przyjazd młodzieńca w eleganckim samochodzie.

— Co się stało, Morgano? — spytał zadyszany Gideon.

— Mam nadzieję, że to dobre wieści — dodał młody adwokat.

Pokojówki podziwiałały jego prążkowany garnitur i szeptały między sobą.

W środku przesyłki znajdowały się dwie koperty. W pierwszej był list od niejakiego Bernama. Morgana czytała, nie zwracając uwagi na gęstniejący tłum ani na pokojówki flirtujące z przystojnym młodzieńcem, ani nawet na Gideona, który obserwował ją z niepokojem.

„Drogi Doktorze, nigdy nie zapomniałem, co Pan dla mnie zrobił, jak Pan uratował Sarę. Jak Panu wiadomo, wy-dobrzała i znowu była energiczna jak dawniej. Mówiłem Panu, że chcę przejść na emeryturę. I chciałem to zrobić, kiedy zapłacił mi Pan za ten figiel, który splataliśmy McClory'emu. Ale kiedy się pożegnaliśmy, znów obudziła się we mnie dusza poszukiwacza złota i pomyślałem, że spróbuję jeszcze raz. Razem z Sarą wybraliśmy się hen!, do Calico. Za pieniądze od Pana kupiłem działkę — legalnie i uczciwie, a jak. Ale ledwom trafił na żyłę, straciłem całe zainteresowanie. Chyba zależało mi na farcie, a nie na złocie. Złożyłem to wszystko w banku. Sara i ja nie potrzebujemy wiele, dobrze

nam się żyje w naszej chacie na pustyni: Co bym robił z tymi wszystkimi cudenkami? Cha, cha. Nie wiem, ile jeszcze życia mi zostało. Nie mam dzieci, więc zapisuję wszystko Panu i pańskiej ślicznej córeczce. Należy się Panu. Dzięki Panu ziściło się moje marzenie. Gdyby nie uratował Pan mojej Sary i nie dał mi pieniędzy na ostatnią działkę, mój sen nigdy by się nie spełnił. Z poważaniem, Bernam".

Z drugiej koperty wyjęła wyciąg bankowy. Na widok kwoty omal nie zemdlała. To była fortuna.

—Co się stało? — zapytał znowu Gideon, widząc, że pobladła.

—Wszystko w porządku — uspokoiła go. — Jednak możemy zatrzymać gospodę.

Pokojówki i gapie zaczęli wiwatować, pan Singletary zbierał podziękowania za przyniesienie tak dobrej nowiny, a Ethel Candlewell z całej siły ścisnęła Gideona. Tylko Morgana nie uczestniczyła w ogólnym poruszeniu. Wyjęła z kieszeni jedyny ocalały fragment złocistej *olli* zawinięty w jedwabną chusteczkę. Odśloniła go i przypatrując się tajemniczym symbolom, przypomniała sobie godziny spędzone nad reprodukcją ojca; wychodzenie od jednego symbolu i sprawdzanie, jak wiele połączeń z niego i do niego prowadzi. Na odłamku dzbana też znajdował się rysunek. Przedstawiał człowieczka.

W tej właśnie chwili Morgana zrozumiała, że ten człowieczek to ona, a ciotka nieprzypadkowo zatrzymała ten odłamek — nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy. Nic nie dzieje się bez powodu, jak mawiała Elizabeth.

Dziewczyna wiedziała już, co musi zrobić. Nie pojedzie do Los Angeles. Znalazła swoje powołanie. Nie wymagało od niej studiów ani opuszczenia zajazdu. Morgana miała bowiem ustalić, co naprawdę spotkało jej ojca, Był uzdrowicielem. Ocalił życie kobiecie. Sarze Bernam. A zagadka ukryta w symbolach złocistej *olli* była pasją jego życia.

Dotarcie do prawdy o losach ojca będzie również hołdem złożonym Elizabeth. Faraday bowiem był miłością jej życia. Będzie też darem dla Gideona. Morgana udowodni, że Faraday Hightower nie porzuci! swych dzieci.

Owego poranka, siedem dni po złożeniu w grobie Bettiny Liddell, złożyła też ostateczny ślub. Jako że — z obawy przed przeniesieniem na dalsze pokolenia choroby psychicznej — zrezygnowała z posiadania dzieci, postanowiła zamknąć swe serce.

TLR

Morgana 1942

ROZDZIAŁ 78

Morgana była tak roztrzęsiona, że omal nie rozjechała żółwia. Zdołała go ominąć dosłownie w ostatniej chwili. Obejrzała się jeszcze, czy na pewno nie zrobiła krzywdy pustynnemu wędrowcowi, i docisnęła gaz do dechy. Jechała furgonetką trasą Cottonwood Spring, łączącą wyżynną i nizinną część pustyni. Za sobą zostawiła drzewa Jozuego i potężne kaktusy, a przed sobą miała nizinę porośniętą niskimi krzewami krezotowymi. Pograżona w myślach nie zareagowała na odległy huk, sądząc, że to grzmot.

Gideon.

Oświadczający przy śniadaniu, że zaciągnie się do armii.

— Po moim trupie — odparła Morgana. Spodziewała się takiej deklaracji i nie zamierzała poddać się bez walki.

Gideon wzruszył ramionami i posmarował masłem grzanekę.

—Mogs, Stany Zjednoczone oficjalnie przyłączyły się do wojny. Od Pearl Harbor minęły cztery miesiące. Mam obowiązek się zaciągnąć.

—Masz obowiązek myśleć o nas. — Podniosła wzrok znak rachunków. — Mamy tylko siebie, Gideonie. Gdybyś się zaciągnął, zostałabym sama.

—Nie musisz być sama, Mogs. Clyde Billings ci się oświadczył.

— Nie chcę wychodzić za mąż.

Zwłaszcza za Clyde'a — dodała w myślach. Morgana od trzech lat walczyła ze swoim pociągiem do przystojnego handlarza nieruchomości. Clyde był pioruńsko przystojny, dowcipny i inteligentny, a do tego zabawny i dobry. Morgana nie zakochała się w nim, ale wymagało to od niej nadludzkiego wysiłku woli. Na serdeczność i przyjacielskość pozwalała sobie wyłącznie wobec żonatych i

tych, którzy nie wykazywali nią najmniejszego zainteresowania. To byli bezpieczni mężczyźni. Clyde taki nie był.

— Słowo daję, Mogs. Dlaczego nie wyjdiesz za mąż? Czułbym się sto razy lepiej, gdybyś kogoś sobie znalazła.

Morgana nigdy nie wyjaśniła bratu, dlaczego nie zamierza wychodzić za mąż. Nie miał pojęcia, że panicznie boi się tego, iż po rodzicach odziedziczyła inklinację do choroby psychicznej. Nie chciała ryzykować przekazania szaleństwa swoim dzieciom.

Zasięgała informacji, gdzie tylko mogła. Czytała podręczniki psychologii, pisała do profesorów i specjalistów, jeździła nawet do psychiatrów w Los Angeles. Wszyscy potwierdzali, że faktycznie niektóre choroby psychiczne — schizofrenia czy psychoza maniakalno-depresyjna — są dziedziczne i Morgana mogłaby przekazać potomstwu chorobę. Na bieżąco też śledziła wiadomości o badaniach genetycznych nad chromosomami oraz czymś, co ostatnio nazwano DNA, i coraz silniej utwierdzała się w przekonaniu, że pod żadnym pozorem nie wolno jej mieć dzieci.

—Bądź rozsądna, Mogs. To zbyt poważna sprawa. Ważniejsza niż nasz mały światek.

—Ważna to jest pompa, którą trzeba naprawić, zanim zwali się nam tu dwadzieścioro dwoje gości.

W zajeździe panował wzmożony ruch. Niedawno w okolicy odkryto dwie żyły złota, co natychmiast ściągnęło do nich tłumy pełnych nadziei poszukiwaczy. Gospoda Hightower (Morgana już dawno zrezygnowała z pretensjonalnego Chateau) przeżywała oblężenie.

Gideon nie przyznawał się, ale na front ciągnął go nie tylko patriotyzm. Kiedy był młodszy, uwielbiał pustynne wyprawy z siostrą w poszukiwaniu śladów ojca. Teraz jednak miał już dwadzieścia cztery lata i chciał zobaczyć świat. Zresztą duchowe pielgrzymki ojca stanowiły pasję Morgany, nie jego. Morgana trzymała mężczyzn na dystans — choć kilku było poważnie nią zainteresowanych i niejedną jej się oświadczył — i unikała miłości. Prawdziwą płomienną miłością darzyła tylko mapy i kompas. Najwyraźniej zrezygnowała z badań nad cywilizacją

Indian i z ratowania ich kultury, ponieważ cały wysiłek włożyła w badanie przeszłości i szukanie śladów ojca. Gideona zaś przeszłość niewiele interesowała. Musiał szukać dla siebie przyszłości.

To nie znaczy, że chciał rozstać się z Morgana. Była nie tylko jego siostrą, ale także całą rodziną, wybawicielką, bohaterką. W czasie tych koszmarnych miesięcy po śmierci mamy na jej ramieniu mógł się oprzeć, na jej łonie mógł wypłakać cały swój ból, jej głos koił go, pocieszał i zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Całowała go, karmiła, matkowała mu. Zabierała go na pustynię, odkrywając przed nim jej cuda. Dzięki niej zrozumiał, że duch mamy wciąż żyje wśród skał, tkwi w petroglifach, unosi się na wietrze, ani na chwilę go nie opuszczając.

— Mogs — perswadował — nie możesz chować głowy w piasek. Wojna nie skończy się tylko dlatego, że ty będziesz ją ignorować. Zresztą wszędzie trąbią, że już niedługo zostanie wprowadzona powszechna mobilizacja, i będę musiał iść do wojska.

Morgana przesiadła się na krzesło obok brata. Położyła mu ręce na ramionach, zmuszając, by spojrzał jej w oczy.

— Dopóki to się nie stanie — powiedziała z żarem — nie puszcę cię, Gideonie. Twoja matka zmarła tydzień przed moją ciotką. Wychowały nas same, oprócz nich nie mieliśmy nikogo. Z dnia na dzień oboje zostaliśmy sami. Od tamtej pory radzimy sobie razem, wspólnie walczymy, budujemy nowe życie, mogąc na siebie liczyć. Jeśli wstąpisz do marynarki, jak będę mogła się tobą opiekować? Jak ty będziesz mógł opiekować się mną?

Gideon był dla niej więcej niż bratem. Jego uderzające podobieństwo do Faradaya z roku na rok stawało się wyraźniejsze. Jego obecność stanowiła dla Morgany namiastkę posiadania ojca.

— Aj, Moggie — cmoknął, widząc w jej oczach łzy.

— Nie płacz.

— Mówię „nie”, Gideonie Delafield, i koniec dyskusji. Morgana dawno przestała udawać, że są kuzynami.

Otwarcie mówiła, że są rodzeństwem. A choć często nalegała, by zmienił nazwisko na Hightower, co — jak uważała — było jego świętym prawem, Gideon uważał, że w ten sposób zdradziłby pamięć matki. Nazwisko pozostało więc takie jak dawniej, ale tylko ono. Kiedy chłopak skończył szesnaście lat, zaczął intensywnie rosnąć i do osiemnastych urodzin wydłużył się o dwanaście centymetrów. Wciąż był dość niski, ale jego muskularna sylwetka i wyprostowana postura sprawiały, że nikt nie odważyłby się już nazwać go krasnalem.

Teraz jeszcze chciał zrealizować swoje marzenie o bohaterskich czynach. Marynarka wojenna nadawała się w sam raz.

Kiedy dalej upierał się przy swoim, Morganie puściły nerwy.

— Na miłość boską, Gideonie! Myślisz, że jeśli wstąpisz do marynarki, zrobisz się o dwadzieścia centymetrów wyższy? — palnęła i natychmiast tego pożałowała.

Wyraz jego twarzy, szok i ból...

— Boże, Gideonie, przepraszam! — zawołała, wyciągając do niego rękę.

Brzydziła się sobie. Kochała Gideona nad życie, za nic nie chciała go skrzywdzić.

— Nic się nie stało — powiedział cicho, unikając jej wzroku. — Wszystko przez tę wojnę. Człowiek zaczyna gadać głupoty.

Bez słowa zostawiła go przy stole, bo już tydzień temu miała zawieźć paru rodzinom dostawę świeżych pomidorów i sałatek w słoikach. Pędząc furgonetką po płaskiej pustyni, pokonując przełęcz, a potem znów wyjeżdżając na równinę, Morgana wciąż myślała o porannej scysji z Gideonem. Zraniła go, ale on też jej nie oszczędzał. Twierdził, że chowa głowę w piasek i nie dostrzega cierpień innych ludzi. Ależ to nie o to chodziło! Morgana nienawidziła wojen. Wszelkiej przemocy. Odkrycie, że ciotka była morderczynią, uczyniło z niej zaprzysiężoną pacyfistkę. I jeśli Gideon otrzyma wezwanie do wojska, rękami i nogami będzie walczyła z tym narzuconym poborem.

Potężna eksplozja zatrzęsła samochodem i wyrwała Morganę z zamyślenia, przywołując do rzeczywistości. Kobieta ogarnęła wściekłość. Przekleci poszukiwacze złota! Znowu wysadzają skały! A przecież to niezgodne z prawem.

Ostro skręciła w lewo, zjeżdżając z drogi, i pomknęła na przełaj. Zdezelowany samochód podskakiwał na wybojach i kamieniach. Następny wybuch po drugiej stronie niskich wzgórz wzbudził w powietrzu tuman piachu i kamieni. Morgana docisnęła gaz.

Kiedy jednak objechała wzgórze, zamiast poszukiwaczy złota, oskardów i namiotów zobaczyła coś, co na chwilę odebrało jej mowę.

Przez pustynię, niczym podstarzałe dinozaury, przedzierały się pomalowane na obrzydliwy bury kolor pojazdy opancerzone z wymalowanymi białymi gwiazdami. Gigantyczne gąsienice miażdżyły wszystko, co napotkały na drodze. Czołgi! Morgana nie wierzyła własnym oczom. Kiedy jednak któryś z nich wystrzelił, wzbijając kolejny tuman piasku i roślinności, wyskoczyła z szoferki. Przytrzymując kapelusz z szerokim rondem, pędziła prosto na czołgi, machając drugą ręką i zdzierając sobie gardło. Mężczyźni w otwartych włazach też zaczęli coś wołać i pokazywać. Morgana zdarła kapelusz i machając nim jak flagą, zagroziła drogę stalowym bestiom.

Czołgi zwolniły i stanęły. Otwierały się kolejne włazy, z których niczym krety z nor wynurzali się kolejni mężczyźni. W nieruchomym powietrzu rozległy się gwizdy uznania. Morgana włożyła na głowę kapelusz i podparła się pod boki, jakby mówiła: „Śmiało, przejedźcie mnie”.

Zza czołgów wyjechał dziup. Z wciąż pędzącego samochodu wyskoczył mężczyzna.

— Co pani wyprawia? — krzyknął.

Nosił oficerskie dystynkcje, ale Morgana nie miała pojęcia, jaki stopień wojskowy oznaczają.

— A wy co wyprawiacie?

Zdarł słoneczne okulary, odsłaniając głęboko osadzone brązowe oczy.

— To teren wojskowy.

Silny podmuch wiatru omal nie zerwał Morganie kapelusza z głowy. Przytrzymała go lewą ręką.

— Jaki teren wojskowy? Toż to pustynia! Nie będziecie swoimi diabelskimi czołgami niszczyć mojej pustyni!

— Pani pustyni? — Rozpiął kurtkę munduru i oparł ręce na biodrach. — Panielko, jesteśmy żołnierzami armii Stanów Zjednoczonych. Mamy prawo tu być.

— Guzik mnie to obchodzi. Nawet gdybyście byli samym prezydentem Rooseveltem, nie pozwoliłabym wam gwałcić tej ziemi.

Z dżipa wyskoczył kierowca.

— Ojcie O'Neill, dowódca pyta, dlaczego się zatrzymaliśmy.

Morgana szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Ojcie O'Neill? Dopiero wtedy pod wojskową kurtkę dostrzegła czarną koszulę i białą koloratkę.

— Powiedziałam „diabelskimi” do duchownego?

Uśmiechnął się.

— Tak, do diaska.

— Przepraszam. Nie spodziewałam się, że wjadę na sam środek pola walki. Co tu robią te czołgi?

Duchowny miał wyjątkowo sympatyczny uśmiech.

— Nie słyszała pani o nowym poligonie w Camp Young? — spytał O'Neill.

— Szkolimy tu oddziały wyruszające do Afryki Północnej. Jestem przekonany, że pisano o tym w lokalnej prasie.

W zajeździe panował taki ruch, że Morgana od tygodni nie przeglądała gazet.

— Obawiam się, że musi pani do tego przywyknąć — powiedział łagodniej.

— Zagościmy tu na dłużej. Przyjrzała mu się uważnie.

— Dlaczego duchowny bawi się w wojenkę? Poczzerwieniał.

—Szukali oficera, a ja byłem akurat pod ręką.

Zdjął czapkę i otarł pot z czoła. Morgana podziwiała jego gęstą brązową czuprynę bez śladu siwizny. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat.

Pod jej spojrzeniem poczerwieniał jeszcze bardziej. Z sekundy na sekundę coraz bardziej jej się podobał. A kiedy dostrzegła na kołnierzu kurtki krzyżyk, znak kapelana wojskowego, przypomniała sobie, że O'Neill jest duchownym. To był najbezpieczniejszy mężczyzna pod słońcem. Bezpieczniejszy nawet od żonatego.

— Jestem Morgana Hightower. Wyciągnęła rękę.

— Major Robert O'Neill, kapelan wojskowy. — Miał silny uścisk dłoni. — Morgana? Oryginalne imię.

—Zostałam nazwana od ułudy. Uniósł brwi.

—Zamki na niebie.

—A, fatamorgana. Czyli jest pani nie z tego świata? . Roześmiała się.

— Niech ojciec popyta. Ludzie powiedzą, że jestem aż nadto z tego świata.

Po raz pierwszy odkąd poprzysięgła nigdy się nie zakochać, pozwoliła sobie na swobodną rozmowę z mężczyzną, nawet niewinny flirt. Od tak dawna zachowywała wobec mężczyzn dystans, że zapomniała, jaka to może być przyjemność. Wszystko dlatego, że czuła się absolutnie bezpieczna. Przecież nie zakocha się w duchownym. To jej na pewno nie grozi.

— Chłopcy mieli wystarczająco długą przerwę — powiedział, dając znak żołnierzom, którzy wyskoczyli z czołgów, by pogapić się na młodą kobietę. — Miło było panią poznać, ale musimy wracać do swoich obowiązków.

Jeszcze raz popatrzyła na czołgi z otwartymi włazami, z których machali do niej i gwizdali żołnierze, i na potężne lufy wycelowane w dziewiczą przyrodę, po czym z ciężkim sercem wróciła do samochodu.

Wojna dotarła na jej pustynię.

ROZDZIAŁ 79

—To nie jest nasza wojna, Gideonie — powtórzyła, gdy po raz kolejny wrócił do tematu wojska.

—To wojna Ameryki, a zatem i nasza. Pete Candlewell i George Martin już się zgłosili.

—Oni nie są jedynakami. Martinowie mają siedmiu synów. Ja mam tylko ciebie. Gideonie, pomyśl o mnie.

—Myślę o chłopcach z USS Arizona. Morgana opuściła ramiona.

—Gideonie, to szantaż emocjonalny.

Współczuła rodzinom chłopców, którzy zginęli w Pearl Harbor, ale zaciągając się do marynarki, Gideon nie przywróci im życia. Spojrzała bratu prosto w oczy.

—Bóg mi świadkiem, Gideonie — powiedziała drżącym głosem. — Jeśli się zgłosisz, nigdy się do ciebie nie odezwę.

—Każesz mi wybierać między ojczyzną a tobą? — zapytał autentycznie zdumiony.

—Jeśli zgłosisz się do komisji poborowej, możesz tu więcej nie wracać. Rozumiemy się?

Dwa dni później, jadąc przez koryto wyschłego jeziora do położonego na uboczu osiedla, zobaczyła dwa niewielkie czołgi, wojskowy łazik i dżipa po podwozie zapadnięte w piasku. Młodzi rekruci wyjaśnili jej, że od dwóch dni czekają na ciężkie wozy, które mają ich stąd wyciągnąć. Żołnierze byli pogodni, ale Morganie ścisnęło się serce, gdy widziała, jak garną się do rozmowy; niepytani opowiadają, skąd pochodzą, a każdy stara się zwrócić na siebie uwagę.

Biedne dzieciaki tęskniące za domem i rodzinami. Zauważywszy, że mają na wszystkich tylko jeden dwustulitrowy pojemnik wody i skrzynkę ciastek figowych, dała im jedzenie, które wiozła dla klientów: świeże owoce, pomidory, ogórki, bochny chleba i mleko. Kiedy patrzyła, jak nieśmiało, ale z nieskrywaną wdzięcznością przyjmują dar, serce jej się krajało i ze zdwojoną siłą nienawidziła wojny.

— Żałuj, że tego nie widziałaś — powiedziała jej tego samego popołudnia Ethel Candlewell. — Jak okiem sięgnąć, namioty. Chłopcy myjący się pod gołym niebem. Okropne warunki. — Ethel mijala obóz w drodze powrotnej z Blythe, gdzie odwiedzała siostrę. — Powiadam ci, nie tak powinno się traktować żołnierzy.

Morgana powtarzała sobie, że nie obchodzi jej, jak armia traktuje żołnierzy. Jej wkładem w trud wojenny będzie oszczędzanie żywności, założenie przydomowego ogródka, który zapewni jej samowystarczalność. Niech jednak ojczyzna nie żąda, by poświęcała własnego brata.

ROZDZIAŁ 80

Byli wszędzie.

Co dzień przybywali nowi rekruci, więc armia zagarniała coraz większe pola pustyni, by oswajać żołnierzy z warunkami, w jakich przyjdzie im walczyć w Afryce Północnej. Nie można było już przejechać przez pustynię, by nie trafić na ćwiczenia ze strzelania, manewry albo latające nisko samoloty.

Obszar uznany za poligon ciągnął się od Pomony w Kalifornii po Phoenix w stanie Arizona i od Yumy przy granicy z Meksykiem po Searchlight w Nevadzie. Wojsko stawiało kolejne baraki i organizowało coraz to nowe koszary. Większość tych chłopców po raz pierwszy trafiła na pustynię. Teraz był kwiecień, więc nie mogli narzekać. Ale co zrobią w lipcu i sierpniu, gdy temperatura dochodzi nawet do pięćdziesięciu stopni Celsjusza?

Morgana, która szczerze współczuła rekrutom i martwiła się o nich, toczyła wewnętrzną walkę na dwóch frontach. Po pierwsze — z własnym sumieniem, które usiłowało ignorować los tysięcy chłopców w mundurach, stacjonujących niemal pod jej progiem, po drugie — z Gideonem, który co dzień prosił, by pozwoliła mu się zgłosić do wojska.

Wreszcie po nieprzespanej nocy postanowiła, że — choć to będzie wyjątkowo niewdzięczna misja — musi przekazać coś ważnego zwierzchnikom Camp Young.

Najpierw jednak z większą niż zwykle troską zadbała o swą aparycję. Starannie podwinęła do środka przystrzyżone do ramion włosy i grzywkę. Potem długo przebierała w szafie, nim zdecydowała się na kremową spódnicę i różową bluzkę. Nakładając szminkę, mówiła sobie, że musi wyglądać odpowiednio, jeśli chce, by dowództwo potraktowało ją poważnie, a nie uznało za nawiedzoną wariatkę. Podwinięte loki, ubranie i szminka nie miały żadnego związku z kapela-
nem O'Neillem, który od paru dni na dobre zagościł w jej myślach. A chciała

rozmawiać właśnie z nim tylko dlatego, że nie mogła zjawić się w obozie i oświadczyć: „Muszę mówić z gościem, który tutaj rządzi”.

Mimo to kiedy godzinę później dojeżdżała do obozu, uświadomiła sobie, że cieszy się na, powtórne spotkanie z przystojnym kapelanem.

Camp Young — położony na całkowitym bezludziu — znajdował się na południowy wschód od Cottonwood Spring, przy wschodniej granicy Coachella Valley. Zbliżając się, Morgana widziała rzędy namiotów i baraków pokrytych cynowymi dachami. Wszędzie dżipy, czołgi i pojazdy wojskowe wszelkiej maści. Mnóstwo mężczyzn. Hałaśliwe okrzyki. Nawet trąbka. Nie spodziewała się, że będzie tu panował taki ruch.

Szykują się do wojny.

Nagle ogarnął ją smutek. Najchętniej wróciłaby do swojego zajazdu, gdzie goście byli cisi i uprzejmi, a podwieczorek serwowano na porcelanie.

Podjechała do bramy z drewnianym szlabanem. Podszedł do niej młody strażnik z karabinem i zapytał, co ją sprowadza.

Kiedy poprosiła, by ją zaprowadzono do majora O'Neila, chłopak ponownie zapytał, w jakiej sprawie przyjechała.

— Prywatnej — odparła, nie zwracając uwagi na żołnierzy, którzy gapili się zza ogrodzenia.

— Przykro mi, to teren wojskowy. Cywilom nie wolno...

— Na miłość boską! — Wskoczyła z samochodu i poprawiła kapelusz. — Proszę poinformować majora O'Neilla, że przyjechałam.

Do budki energicznym krokiem podszedł oficer bez kurtki, w koszuli rozpiętej pod szyją, z rozluźnionym krawatem.

— Jakieś problemy, kapralu?

Morgana wiedziała, że to oficer, bo strażnik natychmiast wyprężył się i zasalutował, a gapiący się żołnierze czmychnęli.

— Przyjechałam do majora O'Neilla, a ten człowiek nie chce mnie przepuścić.

Oficer był wysoki, po pięćdziesiątce. Miał długi nos i smętne spojrzenie.

— Jest pani jego krewną?

— Znajomą — odparła. Pilnowali tego obozu lepiej niż Fort Knox! — Nie przyszłam, żeby szpiegować. Mam tylko kilka sugestii na temat państwa kampanii pustynnej.

Polecivszy strażnikowi, by wezwał O'Neilla, oficer zwrócił się znowu do Morgany.

— Kilka sugestii?

Popatrzyła na szwadron odbywający właśnie musztrę.

— Wasi rekruci nie zdają sobie sprawy z warunków, jakie panują na pustyni. To nie jest piknik u cioci. Tu są koryta jezior, doliny, skały i wąwozy. Panują ekstremalne warunki. Latem temperatura przekracza czterdzieści stopni w cieniu, a zimą spada poniżej zera. Znikąd pojawiają się burze piaskowe, gwałtowne ulewę mogą powodować podtopienia. Wszędzie są grzechotniki, skorpiony i ptaszniki.

— To już zauważyliśmy.

— Zdajecie sobie sprawę, jak latem dają się tu we znaki owady? Pańscy ludzie będą potrzebowali jakiejś ochrony. Najskuteczniejszy jest „Flit”.

— Już zamówiliśmy.

Zmrużyła oczy, myśląc, że przy koszarach przydałoby się kilka palm.

— Dziś obserwowałam pańskich ludzi w czasie ćwiczeń. Mieli wysokie buty. To najgorsze obuwie na ten klimat, pogarsza krążenie. W ogóle powinno się unikać skórzanych elementów garderoby. Lepiej zastąpić je grubym płótnem. Zauważyłam też, że pańscy żołnierze noszą szorty. To błąd. Po pustyni nie wolno chodzić w krótkich spodniach, które nie chronią nóg przed otarciem o kamień,

zadrapaniem o ciernie i ukąszeniami owadów. Tu nawet drobna ranka może doprowadzić do zakażenia.

— Rozumiem — powiedział oficer. — A znajdzie pani może coś godnego pochwały?

Przez chwilę przyglądała się żołnierzom, którzy z powrotem grawitowali ku ogrodzeniu i patrzyli ciekawie.

— Oliwkowe czapki z dużym daszkiem. Dobrze chronią przed ostrymi promieniami.

— Bardzo dziękuję — powiedział z uśmiechem, odsłaniając ukraszony przedni ząb. — Nie omieszkam przekazać tych sugestii wyższej instancji. Widzę, że idzie ojciec O'Neill. Wpuścić — zwrócił się do strażnika i odszedł.

Morgana wsiadła do samochodu i czekała, aż O'Neill podejdzie do posterunku. Kiedy drewniany szlaban się podniósł, wjechała na teren koszar.

— Dzień dobry! — zawołał kapelan.

Był ubrany w idealnie wyprasowany mundur w kolorze khaki. Na kołnierzyku połyskiwał krzyżyk. Krótko przystrzyżone brązowe włosy miał przykurzone piaskiem.

— Chciałabym zamienić z ojcem kilka słów. Gdzie mogę zaparkować?

Gapie się rozproszyli, szlaban opadł. Morgana zostawiła samochód przy ogrodzeniu.

— Widziałem, że rozmawiała pani ze starym — powiedział O'Neill, pochodząc do niej.

— Ze starym?

— Z generałem Pattonem. Organizatorem i koordynatorem szkolenia pustynnego. Nie wiedziała pani?

— W takim razie rozmawiałam z właściwą osobą. Udzieliłam mu kilku rad.

O'Neill uśmiechnął się, a równocześnie zmarszczył.

—Radziła pani generałowi Pattonowi, jak prowadzić wojnę?

—Nie mam pojęcia o wojnie. Za to znam się na pustyni.

Major zaproponował kawę w kantynie, ale nie zamierzała przyjąć zaproszenia. Wykonała zadanie — uświadomiła wojskowym, z czym będą musieli się zmierzyć — więc może wracać do domu.

— Filizanka kawy znakomicie mi zrobi — powiedziała.

W kantynie — namiocie z podłogą zrobioną z nierównych desek — unosił się zapach jedzenia, dymu papierosowego i cicha muzyka. O tej dość wczesnej porze nie było wielu gości. Mężczyźni pochylali się nad gazetami, krzyżówkami, pączkami i kawą. Niektórzy byli w moro, inni w mundurach. Część siedziała w grupkach, rozmawiając cicho; inni woleli spędzać czas samotnie. Wszystkich łączyło jedno: młodość.

Morgana zajęła z majorem O'Neillem miejsce przy wolnym, długim stole. Zapytał, czy pije kawę z mlekiem i cukrem, a po chwili wrócił z dwoma kubkami i babeczkami cynamonowymi zapakowanymi w serwetkę.

— Jak tu spokojnie — odezwała się, mieszając kawę. Przy sąsiednim stole siedział młodzieńki rekrut. Musiał niedawno skończyć osiemnaście lat. Pochylny nad papeterią pisał jak szalony, od czasu do czasu przerywając, by polizać koniec ołówka kopiowego.

— Zmieniłaby pani zdanie, gdyby zobaczyła, co się tu dzieje w czasie posiłków — odparł O'Neill, kładąc na stole ciastka.

I w czasie rozdawania poczty — dodała w duchu, myśląc, jak bardzo ci chłopcy muszą tęsknić za rodziną i domem.

—Niestety — powiedział O'Neill, widząc, jak Morgana poprawia się na krześle — mebli nie zaprojektowano z myślą o wygodzie.

—Ale można by dodać temu miejscu trochę uroku. Wystarczyłyby obrusy i kwiaty.

—Rzeczywiście warunki są dość spartańskie. Generał Patton stara się jednak do minimum ograniczać „uślicznia-nie”, a koncentrować się na taktyce i przygo-

towaniu praktycznym. Większość naszych żołnierzy to piechociarze. Przyjechali tu, by zdobyć kondycję i przywyknąć do surowych warunków pustynnych. Dlatego wszystkim bez wyjątku, także oficerom, przysługuje jedna menażka wody dziennie.

—Zaczyna się — przerwała. — Pewnie dowództwo uważa, że trzeba racjonować porcje wody.

—A nie?

—Jeśli człowiek jest na pustyni i odczuwa pragnienie, powinien pić. Ciało działa jak naturalny zbiornik wody. Nieraz ludzie umierali z wyczerpania, choć mieli menażki pełne wody.

W tym momencie z głośników nad ich głowami popłynął głos Glenna Millera. „Nie chodź aleją zakochanych z innym. Czekać, już wkrótce wrócę do domu”.

— Majorze... a może kapelanie? Która forma jest właściwsza? — zapytała.

Nagle poczuła się skrepowana. Dlaczego po prostu nie wstanę i nie wyjdę? myślała.

—Każda jest dobra. Większość rekrutów zwraca się do mnie per ojciec.

—Tego dnia gdy zatrzymałam czołgi, powiedział ojciec, że znalazł się tam, ponieważ szukali oficerów, a ojciec był pod ręką. Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Roześmiał się.

—Zupełnie nie umiem kłamać.

—To co naprawdę ojciec tam robił?

—Jeśli kapelan chce nawiązać autentyczny kontakt z żołnierzami, powinien uczestniczyć w ich codzienności. Więc kapelani towarzyszą im wszędzie: w czasie manewrów, ćwiczeń na strzelnicy, musztry. Nie nosimy broni, nie używamy jej. Ale maszerujemy z chłopcami przez pustynię, razem z nimi ćwiczymy zakładanie maski. Przechodzimy dokładnie to samo, co rekruci.

Zauważyła, że nie wypił kawy, tylko miesza ją i wpatruje się w wirujący płyn, jakby coś tam zgubił.

— Dlaczego pani zatrzymała czołgi? — zapytał wreszcie. — Naprawdę chodziło wyłącznie o ratowanie pustyni?

Drgnęła zaskoczona. Skąd wiedział? A może ona też nie umie kłamać?

— Dlaczego ojciec pyta?

— Pani reakcja wydawała mi się bardzo emocjonalna. Proszę wybaczyć — przeprosił — ale pracując jako kapelan wojskowy, a przedtem w parafiach, nauczyłem się słyszeć to, czego ludzie n i e mówią. Czasem też zapominam, że ludzie nie zawsze muszą szukać u mnie duchowego wsparcia. Skrzywienie zawodowe, jeśli można tak powiedzieć.

— Jestem przeciwniczką wojny, majorze. Nie akceptuję wojska, karabinów, czołgów, mundurów.

O'Neill wciąż mieszał kawę, nie odrywając wzroku od kubka.

— Można spytać dlaczego? Z pobudek religijnych?

— Wiele lat temu byłam świadkiem niezwykle gwałtownych i brutalnych scen. W mojej własnej rodzinie. Brzydzę się wszelką agresją.

Spodziewała się, że usłyszy to samo, co powtarzał Gideon: o obowiązku obrony kraju. On jednak milczał. Więcej, odnosiła wrażenie, że kapelana coś dręczy.

Oderwał wzrok od kawy i spojrzał jej w oczy z powagą i uczciwością. Major O'Neill miał kanciastą twarz z wydatną szczęką, głęboko osadzonymi oczami i gęstymi prostymi brwiami. Morgana poczuła, że kapelan zamierza jej udzielić jakiejś niebezpiecznie szczerzej odpowiedzi. To ją przeraziło.

Nastrój rozproszył jednak szeregowiec, pytając:

— Przepraszam, czy może ojciec podać śmietankę? Dopiero teraz Morgana zauważyła, że w ciągu tych kilku

minut niemal wszystkie krzesła się zappełniły.

— Przepraszam — zapytał z kolei chłopak siedzący obok duchownego. — Wie ojciec, która godzina?

Morgana była pod wrażeniem. Kapelan najwyraźniej cieszy! się dużą popularnością.

— Lubi ojciec żołnierskie życie? — spytała, pijąc kawę. Była gorzka.

— Chyba nikt nie lubi. Z wyjątkiem samej góry. To dlaczego się zaciągnąłem? — uprzedził jej pytanie. — Kiedy w Europie wybuchła wojna, wiedziałem, że dość szybko Stany Zjednoczone też się w nią zaangażują. Zaciągnąłem się, ponieważ wiedziałem, że kapelani będą potrzebni. Przeszedłem odpowiednie szkolenie, a ponieważ jestem absolwentem Union Theological Seminary i pracowałem jako kapelan w uniwersytecie Columbia, przyznano mi stopień oficerski. Okazało się, że przecucie mnie nie myliło. Cztery miesiące temu, tuż przed Pearl Harbor, w całej armii mieliśmy zaledwie stu czterdziestu kapelanów. Po ataku ta liczba z dnia na dzień rośnie. Duchowni tłumnie zaciągają się do armii.

Zahaczyła wzrokiem o krzyżyk na kołnierzyku munduru. Coś jej się przypomniało.

— Czy mogę sprawdzić ojca wiedzę biblijną?

— Jak najbardziej. Od tego między innymi jestem.

— O co chodzi w zdaniu: „Sprzedali go madianickim kupcom”?

— To z Księgi Rodzaju. Historia Józefa. Ojciec podarował mu barwną szatę, czym wzbudził zazdrość jego braci, którzy sprzedali Madianitom Józefa jako niewolnika. Dlaczego pani o to pyta?

— Kiedyś obilo mi się o uszy. — Piosenka zmieniła się na „Chattanooga Choo Choo”. — Powinnam już wracać. Mamy okropny ruch — powiedziała, nie ruszając się z miejsca.

— Ruch?

— Prowadzę zajazd w Twentynine Palms i mamy komplet gości. Muszę pomóc przy wydawaniu lunchu.

W kantynie zrobiło się gorąco. Morgana zdjęła kapelusz i zaczęła się wachlować.

— Od dawna mieszka pani... — zaczął kapelan, ale wtedy zauważył jej odsłonięte czoło. Zgubił wątek, szybko odwrócił wzrok i odchrząknął. — Od dawna mieszka pani na pustyni? — zapytał, odzyskując panowanie nad sobą.

Morgana włożyła kapelusz, zasłaniając czoło. Zupełnie zapomniała o tatuażu.

—Od dziecka.

—Dlatego tak dobrze ją pani zna. Pani rodzice przyjechali tu jako osadnicy?

—Tata był kiedyś głęboko wierzącym chrześcijaninem, ale potem przeszedł kryzys wiary i przyjechał tu w poszukiwaniu odpowiedzi.

—Znalazł ją?

—Nie wiem. Zaginął dwadzieścia dwa lata temu. Tuż przed swoim zniknięciem powiedział, że dokonał cudownego odkrycia. Nie wiem, co to było, ale znajdowało się gdzieś na pustyni. Szukam tego albo śladów jego wędrówki, ale na razie bezskutecznie.

—Niezwykle — powiedział cicho, znowu uważnie się jej przyglądając. Major O'Neill posiadał umiejętność płynnego przechodzenia od lekkiej pogawędki do powagi. — Jak człowiek zabiera się do szukania ojca na gigantycznej pustyni?

Wzrokiem zahaczył o serdeczny palec lewej ręki, gdzie spodziewał się zobaczyć obrączkę. Dlaczego tak atrakcyjna młoda kobieta nie wyszła za mąż?

— Mam kilka tropów — odparła.

Zauważyła, że kapelan marszczy czoło. Zaskoczona zastanawiała się, co spowodowało tę zmarszczkę. Chodziło o tatuaż? Powinna wyjaśnić? Milczenie się przedłużało. Morgana postanowiła, że po prostu wstanie i się pożegna, gdy kolejny rekrut — jego świeżo ogolona czaszka wydawała się taka delikatna i krucha — poprosił kapelana o mleko.

Teraz już wszystkie miejsca przy stołach były zajęte. Rekruci jedli, palili, czytali prasę i pisali listy. Widać jednak było, że kapelan znajduje się w centrum ich uwagi. Czyżby traktowali go jak ojca, choć nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat? Czy zwierzali mu się? Opowiadali o tęsknocie za domem? Smutek, który ogarnął Morgane, gdy weszła do kantyny, teraz ją przytłaczał. Biedni

chłopcy, tak daleko od rodzinnych domów, szykujący się na wojnę i być może — śmierć.

Wstała, nie dopiwszy kawy, nawet nie tknąwszy ciastka. Podziękowała majorowi za poczęstunek i nalegała, by został. Nie musi odprowadzać jej do samochodu. A jednak zrobił to.

— Więcej nie będę zawracać głowy — obiecała, ruszając. — Jestem przekonana, że wasi generałowie wiedzą wszystko o warunkach panujących na pustyni.

— Zapraszam, zawsze będzie pani tu mile widziana. Morgana jednak wiedziała, że to jej ostatnia wizyta w Camp Young, w wojsku i u kapelana Roberta O’Neilla.

Mimo to — gdy pędziła przez pustynię, dociskając gaz do dechy, by jak najszybciej uciec od wojny — jej myśli uparcie krążyły wokół przystojnego majora. Coś w jego postawie ją niepokoiło, choć nie potrafiła tego ubrać w słowa. Dopiero gdy wjechała w wyższe partie pustyni — gdzie wśród drzew Jozuego rosły sosny limbowate i jałowce — zrozumiała, co ją gnębiło. Jak sługa Boży może uczestniczyć w aktach przemocy?

Przy Arch Rock zwolniła i przystanąła. W południowym słońcu „słoń” nabrał bladobrazowego odcienia. Morgana przypomniała sobie, jak Gideon po raz pierwszy się tu wspinał, a Elizabeth podarowała jej książkę z reprodukcjami szkiców jej ojca. Jak inaczej wtedy wyglądało życie.

Zacisnęła palce na kierownicy i oparła głowę na dłoniach, z całej siły zaciskając powieki, aż wypłynęły spod nich łzy. Ci nieszczęśni chłopcy! Te młodzieńcze twarze! Promienne, roześmiane. A przecież uczono ich zabijać. Ilu z nich nie wróci? Gideon miał rację. To tylko kwestia czasu — być może prezydent właśnie w tej chwili podpisuje dekret o powszechnej mobilizacji? — gdy miliony chłopców trafią do wojska. Bez względu na to czy chcą walczyć czy nie.

Na myśl o wojnie i zabijaniu zbierało jej się na mdłości. Najchętniej rzuciłaby się przed szeregi i powstrzymała wojska, tak jak wcześniej powstrzymała czołgi. Ale cóż może jedna kobieta? Ale gdyby wszyscy mężczyźni na świecie odłożyli broń i powiedzieli: „Nie pójdziemy”?...

Tak jednak nigdy się nie stanie. Pomyślała o mężczyznach, którzy odmawiali służby wojskowej, powołując się na przekonania religijne, moralność lub poglądy filozoficzne. Czy zdołałaby przekonać swojego brata, by zachował się jak oni? Nie. Rwał się, by zostać bohaterem.

Płakała nad chłopcami z Camp Young. Nad Gideonem.

I nagle przypomniała sobie scenę z filmu. „Nie jestem zmęczona, Scarlett. A gdyby to był Ashley? I mógłby liczyć tylko na obcych? Oni wszyscy, każdy z nich — to może być Ashley”.

ROZDZIAŁ 81

Gideon z pomocnikiem naprawiali na podwórza pompę, ale chłopak myślami był daleko.

Jak przekonać Morganę?

Wiedział, jak bardzo jest przeciwna wojnie. Przypuszczał nawet, że zna przyczyny jej odrazy do przemocy w każdej postaci. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że musi walczyć. Nie może pozwolić, by na świecie panoszyli się despoti. Zresztą jedynie udział w wojnie może dodać mu wzrostu. Gideon, który skończył dwadzieścia cztery lata, wiedział oczywiście, że nie urośnie już ani o centymetr, ale wzrostu dodają nie tylko centymetry.

Jak przekonać Morganę, by pozwoliła mu się zaciągnąć? Żałował, że nie wyszła za męża.

— Nie wiesz, że ludzie nazywają cię starą panną? — zapytał raz, w nadziei że przerażona natychmiast popędzi przed ołtarz z jednym z licznych wielbicieli.

Ona jednak tylko się roześmiała.

— Mam trzydzieści dwa lata, Gideonie. To nie starość! Zresztą szkoda mi teraz czasu na zamążpójście. Całą moją uwagę pochłania zajazd i poszukiwanie ojca. Trzeba ustalać sobie priorytety'.

Dziesięć lat temu obiecała, że ustali, co naprawdę stało się z ich ojcem, i początkowo Gideonowi dawało to otuchę. Z czasem jednak jego duchowe rany się zabiły. Powiedział Morganie, że pogodził się z brakiem ojca. Po ponad dwudziestu latach nie ulegało wątpliwości, że Faraday High-tower nie żyje. Gideon zaakceptował również to, że Faraday nie ożenił się z jego matką. W miarę jak dojrzał, zaczął dostrzegać, że związki mężczyzn z kobietami nigdy nie są proste ani oczywiste. Całkiem niewykluczone, że ojciec nawet nie wiedział o ciąży Elizabeth. Chłopak próbował wyjaśnić to siostrze, licząc, że wtedy skoncentruje się na własnym życiu i przyszłości, lecz ona nie zamierzała rezygnować z poszukiwań. Ostatnio podejrzewał, że Morgana szuka nie tyle dowodów na zaginięcie ojca, co jego tajemniczych szamanów. Sama nie wiedząc kiedy, porzuciła własne cele i marzenia, a podjęła duchową wędrówkę ojca.

Najpierw zatrudniła detektywa, zlecając mu odnalezienie ojca. Powiedziała mu wszystko, co wiedziała, i zachęciła, by przesłuchał sąsiadów, mieszkańców doliny, wytropi! najdalszych znajomych Faradaya. Zapłaciła mu nawet za dotarcie do wszystkich uczestników ekspedycji Elizabeth do Smith Peak. Miała nadzieję, że któreś z nich usłyszało od doktora Hightowera coś, co nie dotarło do uszu Elizabeth. Wysłała go również do Bostonu, gdzie miał wypytać starych znajomych, kolegów po fachu, sąsiadów i pacjentów. Liczył się każdy najdrobniejszy ślad. Detektyw udał się także do kanionu Chaco, gdzie znalazł starego kowboja nazwiskiem Wheeler.

Po dwóch latach podróży po kraju detektyw zgromadził mnóstwo informacji na temat Faradaya Hightowera, ale nie spotkał nikogo, z kim lekarz kontaktowałby się po swoim zaginięciu. Mimo to Morgana nie chciała zaakceptować, że ojciec nieodwracalnie zniknął z jej życia.

Najlepszym dowodem był tatuaż — uważał Gideon.

To się zdarzyło rok po pożarze. Przez dwanaście miesięcy Morgana koncentrowała się na prowadzeniu zajazdu, zachowując spokój i rezerwę. Nie starała się nawiązywać kontaktów z gośćmi, traktowała ich uprzejmie, lecz z dystansem. Nigdy też nie rozmawiała z Gideonem o Bettinie ani o Elizabeth, ani o tym, co je spotkało. Dopiero w rocznicę śmierci Bettiny obudziła się z krzykiem. Nie chciała powiedzieć bratu, co jej się przyśniło, tylko parę dni później pojechała do Los Angeles. Wróciła bez szpecącej blizny na czole. Wszyscy gratulowali jej decyzji i podziwiali znakomitą robotę chirurga plastycznego, który usunął nierówną skórę, zastępując ją gładką, wyciętą z uda Morgany. Po pewnym czasie ślad po szwie prawie całkiem zniknął. Trzeba było uważnie się przypatrzeć, żeby go dostrzec.

Potem, znowu bez wyjaśnienia, wyjechała na dwa dni do San Diego. Kiedy wróciła, na czole miała trzy granatowe pionowe kreski.

—Po co, Mogs? — dopytywał się Gideon. — Dlaczego to zrobiłaś?

—Ponieważ miałam je, kiedy tata widział mnie po raz ostatni — odparła szczerze.

Choć Gideon powątpiewał, by zrobienie tatuażu coś zmieniło, siostra nieoczekiwanie odzyskała pogodę, otwartość i pewność siebie sprzed pożaru, zupełnie jakby lekarz, który rozciął jej czoło, uwolnił demony przeszłości, a zaszywając je, uniemożliwił im powrót. Gideon miał nadzieję, że właśnie tak się stało i że siostra naprawdę doszła do siebie, ponieważ nie zamierzał rezygnować z udziału w wojnie,

Morgana weszła na podwórko, gdzie jej brat — potargany i umorusany jak dzieciak — naprawiał pompę. Niezbyt wysoki, za to jaki silny. Zbierało jej się na łzy. Jego brak będzie dotkliwszy niż cios zadany nożem w samo serce.

—Gideonie — odezwała się. Wyprostował się, wycierając ręce w szmatę.

—Zmieniłam zdanie. Możesz się zaciągnąć. Uśmiechnął się szeroko.

—Dzięki, Mogs. Już to zrobiłem.

ROZDZIAŁ 82

Morgana łomotała kluczem francuskim w silnik z takim impetem, że — Suzie Knapp była gotowa się o to założyć — było ją słyszeć aż w San Bernardino. Suzie widywała już rozzłoszczoną Morgane, ale nigdy aż tak wściekłą.

— Dlaczego to diabelstwo nie chce działać? — krzyknęła Morgana.

Pochylała się nad silnikiem furgonetki. Od dziesięciu minut bezskutecznie usiłowała zapalić. Suzie żałowała, że jej mąż akurat złapał fuchę trzydzieści kilometrów stąd.

— Może skoczę do Candlewellów i zawołam Joego? — zaproponowała.

Suzie Knapp — pulchna rudowłosa kobieta, która dzięki uroczym piegom nie wyglądała na swoje trzydzieści trzy lata — była córką osadników z Wisconsin. Zaopatrywała mieszkańców w promieniu siedemdziesięciu kilometrów w mleko, śmietankę, sery i masło ze swojej mleczarni. Wyszła za mąż za cieślę i miała z nim trójkę dzieci. Kiedy Jimowi Knappowi brakowało zleceń, pomagała w gospodarstwie Hightower.

Była też najlepszą przyjaciółką Morgany.

— Nie mam czasu, żeby biec do Candlewella!

— Morgano, uspokój się. Naprawdę chyba odrobinę przesadzasz.

— Nie przesadzam! — Morgana z furią popatrzyła na uparty silnik.

Ja przesadzam? myślała z zawziętością. Major O'Neill też uznał moją reakcję na obecność czołgów za zbyt emocjonalną. Wszyscy się na mnie uwzięli czy co?

— Ja tylko mówię... — zaczęła Suzie i ugryzła się w język.

Od powrotu z Camp Young — czyli już od tygodnia — Morgana była wściekła jak osa. Nie chciała opowiedzieć, co się tam wydarzyło — rzekomo udała się, by udzielić wojsku wskazówek, jak należy zachowywać się na pustyni — ale najwyraźniej coś musiało ją ugryźć. Suzie nigdy jeszcze nie widziała przyjaciółki tak rozdrażnionej.

— Może Sandy wrócił już z Banning... — podjęła Suzie i urwała w pół słowa, wpatrując się w coś za plecami Morgany.

Morgana odwróciła się, a kiedy zobaczyła majora O'Neilla stojącego na podwórku wśród kurcząt, serce mocniej jej zabiło.

Upłynął tydzień od jej wizyty w Camp Young i postanowienia, że nigdy tam nie wróci i nigdy więcej nie będzie miała nic wspólnego z wojskiem, wojną, a nade wszystko, że nigdy nie zobaczy tego mężczyzny. Mimo to, choć były to ostatnie chwile, gdy mogła się cieszyć Gideonem, zanim spakował walizki i pojechał do San Diego, myślami ciągle wracała do intrygującego kapelana.

— Majorze! — przywitała go.

O'Neill wyglądał co najmniej zabawnie w zakurczonym mundurze polowym, zakurzonych butach i zakurzonych rękawiczkach.

— Panno Hightower — odparł, nerwowo odchrząkując. Nie chciał tu przyjeżdżać. Próbował się wykręcić, wysłać kogoś innego — swojego zastępcę — ale w końcu oficer polityczny przekonał go, że tylko on się nadaje do tego zadania.

— Tylko ojciec nawiązał jaki taki kontakt z lokalną społecznością. Bez ojca sobie nie poradzimy.

Niestety, owym „kontaktem” była kobieta, która zaszła mu za skórę jak żadna inna. Od kiedy zobaczył, jak niczym Boży anioł zemsty szarżuje na czołgi, nie potrafił wyrzucić jej z myśli. Dlatego wiedział, że za wszelką cenę musi jej unikać.

Tymczasem znalazł się na jej terytorium i miał poprosić o pięciominutową rozmowę, choć wiedział, że nawet pięć sekund będzie dla niego zgubne.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem.

— Ależ skąd — odparła, równocześnie zastanawiając się, jak wygląda.

Czy mam potargane włosy? Boże! Jestem ubrana w kombinezon Gideona!

— Czy mógłbym pani zająć chwilę?

— Właśnie wyjeżdżam, tylko nie mogę uruchomić tej przeklętej maszyny.

Kopnęła oponę.

— Dosłownie minutkę.

— Nie mam minutki, majorze — warknęła, rzucając klucz francuski, bezceremonialnie ściągnając kombinezon i odsłaniając pomiętą bluzkę oraz spódnicę.

— Muszę jak najszybciej pojechać do Queen Valley. — Zmarszczyła brwi. — Nie ma ojciec może w dzipie zapasowego gaźnika?

— Nie przyjechałem dzipem. Mam motocykl. Spojrzała zdumiona.

— Przyjechał ojciec motocyklem?

Nie potrafiła wyobrazić sobie duchownego na motorze.

— Bardzo panią proszę, to zajmie tylko chwilkę.

— Zawiezie mnie ojciec? Proszę.

— Słucham? Zawieźć panią?

— Do Queen Valley. Musimy się spieszyć.

Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

— Ale dla...?

— Później wyjaśnię. Potem będzie mógł ojciec zajmować mi tyle chwilek, ile dusza zapagnie.

Major O'Neill był ostatnią osobą, z którą chciałyby zostać sam na sam, lecz sprawa na pustyni wymagała jej natychmiastowej interwencji. Morgana potrzebowała środka transportu, a kapelan go miał.

— Suzie, pilnuj zajazdu, dobrze? — poprosiła przyjaciółkę i sięgnęła do samochodu po kapelusz. — Szybciej, majorze! — zawołała.

Uwadze Suzie Rnapp — która wiedziała, że wyjdzie za Jima Knappa, jeszcze zanim zostali sobie oficjalnie przedstawieni, i która uważała się za ekspertkę od spraw sercowych — nie umknęło to, jak Morgana mimowolnie poprawiła włosy ani jak przystojny oficer się zarumienił. Nagle zrozumiała źródło całotygodniowego rozdrażnienia przyjaciółki.

— O nic się nie martw! — zawołała za nimi z domyślnym uśmiechem.

Morgana nie lubiła motocykli, uważała je za piekielne maszyny. Widziała jednak maszyny w koszarach — miały przyczepione z boku solidnie wyglądające kosze. Lecz kiedy przemknęła przez kuchenne drzwi zajazdu, kuchnię, korytarz, recepcję, by wreszcie wypaść na podjazd przed budynkiem, skamieniała. Przed gospodą owszem, stał wojskowy motocykl otoczony wianuszkami dzieci pożerających go wzrokiem.

Tyle że z boku nie było miejsca dla pasażera. Dotknęła amuletu pod bluzką i pomodliła się, by uchronił ją przed wypadkiem na tej strasznej bestii.

— Proszę — powiedział O'Neill, podając jej wojskowy hełm zawieszony na kierownicy motocykla.

Morgana zsunęła na plecy słomkowy kapelusz i założyła na głowę stalowy hełm, zapinając pod brodą pasek.

Major O'Neill nałożył gogle, wsiadł, a ona wskoczyła na siodełko za nim. Rozejrzała się za uchwytem, ale niczego takiego nie zauważyła, więc chwyciła mężczyznę w pasie, powtarzając sobie, że nic jej nie grozi. To przecież duchowny.

Kiedy jednak uruchomił silnik i ruszyli, musiała mocniej go objąć. Przez warstwę ubrania poczuła jego twarde naprężone mięśnie i nagle w ustach zrobiło jej się sucho, a gardło jej się zacisnęło. Poniewczasie pożałowała, że nie zwróciła się o pomoc do Joego Candlewella.

Kiedy mijali oazę Mara, gdzie turyści fotografowali się z Indianami, Morgana zawołała, przekrzykując ryk silnika:

— Niech ojciec jedzie dalej! Powiem ojcu, gdzie skrócić! I błagam, szybciej!

Skęcili w Szlak Utah i pędzili po wyboistej drodze. Pokonali pasmo górskie i wjechali na teren chroniony. Mijali powykręcane juki i ogromne głazy, które wyglądały, jakby rozrzucił je tu jakiś olbrzym. Morgana z całej siły trzymała się majora, bo trasa była zdradziecka i kilkakrotnie motocykl wzbił się w powietrze. Morgana galopowała tędy konno, mknęła furgonetką i samochodem osobowym, ale jazda motorem stanowiła nowe ekscytujące przeżycie. Nigdy jeszcze nie doświadczyła tak uskrzydlającej wolności i radości. Krzyczałyby głośno, gdyby nie powstrzymywała jej myśl o czekającym ją nieprzyjemnym zadaniu.

Modliła się, by zdążyli dopaść kłusowników.

— Dokąd jedziemy? — krzyknął O'Neill przez ramię. Naprzód przed siebie, bez końca, po horyzont i jeszcze dalej!

— Jeszcze trochę. Niech ojciec jedzie, powiem, gdzie skrócić! — odkrzyknęła, zastanawiając się, co to za sprawę miał do niej.

Stojąc przed nią na podwórku, wyglądał na skrepowanego i niezadowolonego, jakby musiał zrobić coś, co budziło w nim niesmak.

Odpędziła te myśli. Prowadzili teraz wyścig z czasem.

George Martin miał cztery samoloty pasażerskie oferujące przeloty nad pustynią. Właśnie wracał znad rzeki Colorado, gdy nad Queen Valley wypatrzył obóz kłusowników. Natychmiast zawiadomił Morgane. Od kilku miesięcy na tym terenie nieustannie znajdowali szczątki orłów przednich. Chciała dopaść kłusowników na gorącym uczynku.

— Tutaj! — krzyknęła, gdy dojechali do masywnej formacji skalnej. — Tu! Niech pan się zatrzyma!

Major O'Neill zwolnił, a Morgana zeskoczyła, nie czekając, aż motocykl się zatrzyma. Rozpięła pasek i zrzuciła hełm na ziemię. Kiedy pędziła do szczeliny, za którą było widać smukłe palmy, usłyszała, jak z silnika dobywa się seria odgłosów przypominających strzały z karabinu. Obejrzała się. Major z rękami na biodrach stał nad motocyklem i kręcił głową. Coś musiało się zepsuć. Pobiegnęła dalej.

Poczuła woń padliny, jeszcze zanim ją zauważyła. Odarte ze skóry prosię gnijące w słońcu. Nad nim brzęczały muchy, potężne kruki z łopotem czarnych skrzydeł walczyły o zdobycz. Kłusownicy uciekli, zostawiając jeszcze ciepłe ognisko i ślady trzech samochodów, z których każdy odjechał w inną stronę świata.

Morgana usłyszała kroki, a potem szept majora O'Neilla.

—Chryste Panie!

—Spóźniliśmy się — powiedziała, przyklękając, by przyjrzeć się zakrwawionym szczątkom rzuconym w piach.

—Co to jest? — zapytał, ale nie potrzebował wyjaśnienia. Miał przed sobą szczątki orła przedniego pozbawionego skrzydeł, szponów i ogona.

Morgana spojrzała na O'Neilla oczami pełnymi łez.

—Tego chcieli schwytać żywego. Widocznie niechcący zranili go albo zabili, więc odrąbali to, na co jest największy popyt, a resztę zostawili.

—Nie wiedziałem, że tu są orły — powiedział, czując, że chciałby powiedzieć co innego, lecz tylko te słowa przyszły mu do głowy.

—Mają gniazda na szczycie Queen Mountain. Znaleźli je strażnicy rezerwatu, a kłusownicy jakimś cudem się o tym zwiedzieli. Obserwowali orły, by ustalić, jak daleko się zapuszczają. Potem rzucili padlinę na przynętę i czekali. To ich stała metoda. Kiedy ptak przylatuje do padliny, wystrzelają siatkę z kuszy. To niebezpieczne dla orła. Zwykle kończy się dla niego poważnymi obrażeniami albo śmiercią.

—Dlaczego próbują chwytać ptaki w niewolę?

—Pasjonaci nie żałują grosza, by mieć w swojej ptaszarni prawdziwego orła. Milionerzy, którzy nie wiedzą, na co wydawać pieniądze...

Wstała i bezsilnie kopła nogą piasek.

—Ale... Dlaczego odcięli...?

—Trofea — wyjaśniła zduszonym głosem. — Niektórzy chętnie kupują skrzydła, szpony albo pióra. — Opadła na głaz. — Znowu przemoc...

—Zakopać go?

Podniosła na majora zalaną łzami twarz. Zakopać? Pochować? Koloratka, krzyżyki na kołnierzyku munduru, współczujący wyraz twarzy i smutek w głęboko osadzonych brązowych oczach. Może jeszcze chciałby odprawić nabożeństwo za to nieszczęsne zwierzę?

— Nie, dziękuję — odparła cicho, wstając i ocierając łzy. — Niech będzie pożywieniem dla kruków i innych ptaków, dla kojotów i mrówek, które czyszczą pustynię.

Dwoje ludzi stało przez chwilę w milczeniu, a nad ich głowami walczyły kruki i niecierpliwie kołowały sępy.

—Nic tu po nas — stwierdziła w końcu Morgana i ruszyła w stronę motocykla.

—Niestety mam złą wiadomość — powiedział O'Neill.

— Silnik się przegrzał. Nie wiem, co się dokładnie stało. Sprawdziłem olej. Nie wycieka. Może to problem z zastawkami, ale nie mam narzędzi, żeby to naprawić.

— To znaczy, że musimy poczekać?

Nie chciała z nim tu utknąć. Był niebezpiecznie przystojny. Nawet jak na księdza.

— Na to wygląda — odparł.

Na jego twarzy dostrzegła konsternację. On też nie chce tu ze mną utknąć.

— Cóż — powiedziała, gdy wiatr przyniósł smród gnijącego mięsa. — Tu zostać nie możemy.

Rozejrzała się. Między jukami i kaktusami zauważyła kilka głazów, w których cieniu mogli się ukryć.

—Długo to potrwa? — spytała. Wzruszył ramionami.

—Jakieś pół godziny.

Dwadzieścia pięć minut dłużej niż przeznaczył na załatwienie swojej sprawy.

W milczeniu szli po piasku. Morgana oglądała się na obozowisko kłusowników, nie mogąc sobie wybaczyć, że nie uratowała orła. Major O'Neill zmagął się z myślami. To nie był chyba odpowiedni moment, by wyłuszczyć, co go sprowadziło do Gospody Hightower. Wyraźnie wstrząsnęła nią śmierć orła. Szła przygarbiona, jakby przytłaczał ją ciężar pustyni. Nie mógł dorzucać jeszcze ciężaru problemów ośmiu tysięcy żołnierzy.

Kiedy znaleźli się w cieniu, Morgana opadła na kamień i odgarnęła z twarzy wilgotne włosy. Zauważyła, że O'Neill zerka na jej czoło, po czym natychmiast odwraca wzrok. Zaproponowała, by usiadł, ale powiedział, że musi rozprostować nogi. Przeszedł kilka kroków, potem wrócił, krążąc niczym człowiek w pułapce niezdecydowania. Unikał jej spojrzenia, za to patrzył na wszystko inne: jastrzębie, chmury, odległe wzgórza. Morgana odnosiła wrażenie, jakby zbierał się na odwagę.

— Powinnam wytłumaczyć, skąd ten tatuaż — zaczęła. Zatrzymał się i spojrzał na nią. Jego twarz nikła w cieniu, sylwetka odcinała się na tle intensywnego błękitu nieba.

— Nie musi pani.

— Ciągle zapominam, że go mam i że szokuje. Kiedy byłam dzieckiem, miałam na czole tatuaż. Nie wiem, skąd się wziął. Ciotka Bettina, która opiekowała się mną po zaginięciu ojca, nigdy nie chciała mi tego powiedzieć, a ja nie pamiętałam. Musiałam być bardzo mała, kiedy... — Wzruszyła ramionami. — Na kilku moich zdjęciach z dzieciństwa widać te znaki. Miałam je przez co najmniej dwa lata i tata się nie sprzeciwiał. To ciotce się nie podobały. Pewnie dlatego wypaliła mi piętno na czole.

Zamrugął zdumiony.

—Co proszę?

—Gorącym pogrzebaczem. Chciała usunąć tatuaż.

—Boże. — Usiadł przy niej tak, że dotykali się ramionami.

—Przez wiele lat miałam bliznę, wreszcie poszłam z tym do chirurga plastycznego.

Spojrzał na jej czoło. Morgana niemal czuła na skórze dotyk ciemnobrązowych tęczynek tak ciepłych, że aż grzały.

— Chirurg znakomicie się spisał, blizna zniknęła niemal bez śladu — ciągnęła, zastanawiając się, dlaczego mu to wszystko opowiada. — Wszyscy zachwycaли się, jak świetnie wyglądam. Ja jednak obsesyjnie myślałam o tatuażu. Niezbyt dobrze pamiętam podróż do San Diego, szukanie salonu tatuażu, marynarzy gapiących się na mnie, gdy siedziałam w fotelu. Doskonale za to pamiętam pokój, jaki wtedy we mnie wstąpił. I nowe siły. Blizna symbolizowała tyranie mojej ciotki. Pod jej opieką nie mogłam żyć własnym życiem. Chciałam wymazać dwanaście lat spędzone pod jej butem po zniknięciu taty.

Popatrzyła na O'Neill.

—Czy to brzmi bardzo idiotycznie? — spytała, wciąż nie rozumiejąc, dlaczego zdradza obcemu mężczyźnie swoje najgłębsze tajemnice.

—Nie. Chciała pani znowu stać się tą dziewczynką sprzed odejścia ojca.

—Właśnie — potaknęła pełna podziwu dla jego przenikliwości. Równocześnie dostrzegła złotą plamkę w jednej z jego brązowych tęczynek.

Odwróciła wzrok. Major O'Neill miał w sobie coś, co zachęcało do zwierzeń. Nic dziwnego, że cieszył się taką sympatią wśród żołnierzy.

—Wstyd też ustąpił.

—Wstyd?

— Ciotka Bettina w kółko powtarzała, że blizna to przypomnienie kary Bożej za moje nieposłuszeństwo i hardość. Czułam się napiętnowana. Dopiero gdy usunęłam bliznę i ponownie zrobiłam sobie tatuaż, odzyskałam szacunek do siebie.

Major O'Neill uważnie słuchał każdego słowa, ale równocześnie obracał na palcu prawej ręki obrączkę, tak samo jak wcześniej mieszał kawę w kubku. Z pozoru spokojny, w głębi duszy targany wątpliwościami.

— Kiedy znów miałam tatuaż, zaczęłam się zastanawiać, jakie plemię mogło taki nosić. Czirokezi? Siuksowie? Co oznaczały te trzy kreski? Zaczęłam gromadzić informacje na ten temat. Zebrałam sporo materiału. Kiedyś może napiszę o tym książkę. — Uśmiechnęła się nieco smutno. — Wie ojciec, jak to jest. Znajduje się pasję, ale życie ściąga człowieka na ziemię. Trzeba wymienić dach, wykopać nową studnię i tak dalej.

— Ustaliła pani pochodzenie znaku? Pokręciła głową.

— W wielu plemionach, od Indian Seminole po Czu-maszów, robiono na twarzach tatuaże. Miały one różne znaczenie. Czasem stanowiły znak rozpoznawczy plemienia, czasem oznaczały pełnioną funkcję. Być może miały też chronić przed złym urokiem albo leczyć z choroby. Niektórzy Indianie do dziś wierzą, że tatuaż sokoła zrobiony wokół oczu zapewni sokoli wzrok. Indianie Dakota utrzymują, że tatuaż zapewnia przyjęcie do świata zmarłych, bo pradawna Kapłanka nie wpuszcza tam ludzi bez tatuażu.

Dotknęła kresiek na swoim czole.

— Co jednak one oznaczają, nie wiem. Brat uważa, że mój tatuaż ma związek z zaginięciem ojca. — Zastanawiała się, czy nie mówi za dużo, ale major O'Neill słuchał z ciekawością. — Gideon twierdzi, że w ten sposób symbolicznie podjęłam misję tary, który poszukiwał indiańskich szamanów. Może i tak, ale ojca próbowałam znaleźć bardziej ze względu na Gideona niż siebie. Mój brat wcale go nie znał. Gadam od rzeczy, prawda?

Uśmiechnął się.

—Proszę, niech pani opowiada dalej.

—Gideon jest moim bratem przyrodnim. Ludzie uważają, że tata porzucił nas i wyruszył w pogoni za swoim egoistycznym marzeniem. To nieprawda. Tata zostawił mi pieniądze. Był wielkoduszny, nie myślał o sobie. Ocalił życie kobiecie.

Nazywała się Sara Bernam. Jej mąż z wdzięczności zapisał tacie cały swój majątek. Ludzie kochali mojego ojca. Nie był łajdakiem.

—Chce pani dowieść tego Gideonowi.

—To m o j e marzenie.

Spojrzała w ciepłe oczy mężczyzny, który wysłuchał niezliczonych wyznań, tajemnic i zwierzeń. Nagle zapragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

— A o czym marzy ojciec? Przepraszam — wycofała się natychmiast, gdy się zawahał. — To zbyt osobiste pytanie. Prowadząc zajazd na pustyni, nauczyłam się bezpośredniości, to tworzy bardziej domową atmosferę.

Ale przecież nie dlatego spytała. Naprawdę chciała lepiej go poznać.

— To wcale nie nazbyt osobiste pytanie — odparł O'Neill. — Po prostu ludzie rzadko pytają duchownego o jego marzenia. Pewnie zakładają, że niczego nie brakuje nam do szczęścia. Tymczasem duchowni, jak wszyscy, żywią jakieś pragnienia. Mam nadzieję, że nie wyjdę na próżnego, jeśli przyznam, że w przyszłości chciałbym zostać biskupem. Tyle chciałbym dokonać. W Kościele trzeba zaprowadzić tyle zmian, wprowadzić go w nowoczesność, by lepiej odpowiadał na potrzeby wiernych. Cóż jednak może skromny ksiądz? Za to biskup posiada wpływy i władzę.

Słowa pełne ognia — pomyślała Morgana — ale w oczach widać wewnętrzną walkę. Ta duchowa udreka, którą dostrzegła w czasie rozmowy w kantine, teraz stała się widoczniejsza. Morgana nagle dostrzegła cienie pod jego oczami.

— Mówiła pani, że Gideon jest pani przyrodnim bratem? Macie różne matki?

Morgana wstała i zapatrzyła się w dal. Przerażliwy krzyk Elizabeth... Jej płonące ciało wijące się po ziemi... Potem bezruch... Zwęglone szczątki.

— Może sprawdzimy, co z motorem? — odezwała się głośno, próbując odpedzić koszmarne wspomnienia. — Musimy jak najszybciej zawiadomić szeryfa o ucieczce kłusowników. Dziś wymknęli się w ostatniej chwili, następnym razem ich aresztujemy.

O'Neill przyglądał się jej przez chwilę, zastanawiając się, co znaczy ten unik, potem wstał i powiedział:

— Spróbować nie zawadzi.

Podszedł do motocykla i usiłował go uruchomić. Kiedy maszyna nawet nie warknęła, Morgana zaczęła się zastanawiać, czyby nie iść do domu pieszo. To jednak zajęłoby jej wiele godzin. Major wrócił w cień skały.

— Co to była za pilna sprawa, majorze?

— Może darujmy sobie tego majora...

— Uwaga! — przerwała mu Morgana.

Rzuciła się w jego stronę, chwytając go za rękaw i odciągając z takim impetem, że stracił równowagę. Zderzył się z nią i oboje się zachwiali, kurczowo się siebie trzymając. Wreszcie znieruchomieli. Stali twarzą w twarz, mężczyzna opierał ręce na ramionach Morgany. Nie mogli oderwać od siebie wzroku. Pierwszy oprzytomniał Robert. Odsunął się.

— Co się stało?

Zaśmiała się nerwowo, wciąż nie mogąc ochłonąć.

— To — wyjaśniła, pokazując coś w piasku. Obejrzał się i dopiero teraz zauważył pod krzewem niewielką norkę.

— To nora wiewiórek — powiedziała Morgana, odsuwając się.

Trzymał ją za ramiona tak mocno, że pewnie po powrocie do domu zobaczy tam odciski jego palców. Nie bolesne sińce. Przyjemne wspomnienie uścisku.

— Zwykle zauważa się ją dopiero, gdy się w nią wejdzie i złamie nogę.

— Aha — odparł Robert, wpatrując się w norę.

Bał się podnieść wzrok na Morganą. Jej bliskość, ciepło jej ciała, zapach szamponu. Nagle zakręciło mu się w głowie.

Wreszcie odwrócił się do niej. Ich oczy znów się spotkały. Dzielił ich tylko wąski pasek pustyni i wiatr porywający złocisty piasek.

—Dziękuję — powiedział wreszcie. — Nie chciałbym teraz złamać nogi.

—Zwłaszcza że ja nie umiem prowadzić motoru.

Znowu umilkli. Tylko krzyk szybującego wysoko jastrzębia przypominał im, że nie są jedynymi istotami pod sklepieniem nieba.

— Na pustyni wszędzie czyhają niebezpieczeństwa — dodała Morgana, wracając w cień skały. Dlaczego serce tak szybko jej biło?

— Może powinna pani przestrzec generała Pattona? Obejrzała się zaskoczona i zobaczyła, że Robert łobuzersko się uśmiecha. Serce zaczęło jej bić jeszcze szybciej.

Wyjął paczkę lucky strike'ów i poczęstował ją.

— Nie palę — odparła.

Wiele lat temu, gdy zafascynowana Elizabeth Delafield we wszystkim usiłowała ją naśladować, kobieta ostrzegła, by nigdy nie sięgała po papierosy; ona sama bezskutecznie usiłowała rzucić nałóg. „Za to whisky jest dobra” — zachęcała.

— „Rozgrzewa serce i wlewa w duszę otuchę”. Morgana nie sięgnęła ani po jedno, ani po drugie.

— Gideon i ja mamy różne matki — przyznała wreszcie, uznając, że O'Neill ma prawo do odpowiedzi.

Zapalił papierosa, zaciągnął się, przytrzymał dym w płucach i wydmuchnął.

— Elizabeth Delafield na pewno by się ojcu spodobała. Patrzyła na świat z duchowej perspektywy.

Zauważywszy, że dym leci na Morgane, O'Neill stanął po jej drugiej stronie, by nie drażnił jej zapach papierosa.

—Mówi pani, jakby sama tak nie robiła.

—Bo nie robię. Uważam się za realistkę, majorze. Nie wierzę w anioły ani w świętych, w bogów ani w mity. Wierzę w to, czego mogę dotknąć i co mogę zo-

baczyć; w to, co człowiek może uczynić; w to, co ja mogę uczynić. — Dotknęła ciepłego kamienia. — W to wierzę. W ten twardy, pewny głaz. Stoi tu od tysiącleci i będzie stał jeszcze długo po tym, jak ja obrócę się w proch.

Morgana nie wierzyła jeszcze w percepcję pozazmysłową, w kobiecą intuicję, w *déjà vu*, w jasnowidzenie, w przesłania z zaświatów. Jej zdaniem nie było też cudów, aniołów stróżów, świętych patronów ani duchów strzegących śmiertelników. Przekonała ją o tym straszliwa śmierć Elizabeth.

Robert słuchał jej manifestu, zastanawiając się, czy Morgana prowokuje go do dyskusji czy prosi, by ją przekonał, że jest inaczej. Zaintrygowała go, ale nie wiedział, jak zareagować, więc zapatrzył się w przestrzeń na wzgórza mające na zachodzie. Nagle dostrzegł tam dziwny blask.

— Czy to jezioro? — zapytał.

Sądzi, że jestem ateistką — pomyślała Morgana i w tej samej chwili również zobaczyła migoczącą w słońcu srebrzystą tafłę.

— To *fatamorgana*. Indianie uważają to zjawisko za święte. A ojciec wierzy, że na świecie są święta miejsca? Nie takie, które człowiek wybrał, bo postawił tam kościół albo odwiedzał świętego męża. Chodzi mi o miejsca święte z natury, ze swojej istoty, nawet jeśli nie powstała tam stopa człowieka.

Popatrzył na kobietę siedzącą na czerwonozłotym głazie; kobietę w pomiętej bluzce i w kapeluszu zasłaniającym tatuaż; kobietę, która za wszelką cenę starała się go przekonać, że w nic nie wierzy, a równocześnie wykazywała żywe zainteresowanie *sacrum*. Zaskakiwała go i intrygowała. Ojciec O'Neill nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego.

Dotyk jej ramion pod jego palcami...

Odwrócił wzrok.

— Święte miejsca? Właściwie nie zastanawiałem się nad tym. A pani wierzy w ich istnienie?

— Kiedy byłam małą, tata zabrał mnie do kanionu Chaco w Nowym Meksyku. Niewiele pamiętam z tamtej wyprawy, ale potem przeczytałam wszystko, co

napisano o tamtym miejscu. Wie ojciec, że w tym kanionie są miejsca, gdzie skały mówią? Naprawdę można usłyszeć ich mruczenie. Niektórzy twierdzą, że to energia zaginionych Indian Anasazi, że nigdy stamtąd nie odeszli, wciąż tam żyją, tylko my nie możemy ich zobaczyć. Indianie zaś uważają, że kanion był świętym miejscem na długo przed tym, zanim zamieszkał tam człowiek.

Wstała, wystawiając twarz na podmuchy ciepłego wschodniego wiatru.

— Czytałam książkę „I Ching”, gdzie jest napisane, że na ziemi i niebie są szczególne miejsca, w które udają się święci mędrcy, by wykorzystać ukryte w tych miejscach siły. Czyż nie dlatego Jan Chrzciciel wybrał Jordan?

Robert wpatrywał się w nią zdumiony. Czytała „Księgę Przemian”?

— Cóż — odparł — kiedy Mojżesz ujrzał płonący krzew, Pan rzekł do niego: „Nie zbliżaj się tu. Zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą”.

Morgana pogładziła lawendowy kwiat bromelii rosnący w szczelinie głazu. Wytrwała, dzielna roślina, która wybierała miejsca, gdzie wody było mało, a wiatr był silny.

— Hopi — powiedziała — wierzą, że na początku czasu babka Pajęczyca stworzyła dwóch mężczyzn, by strzegli ziemi. Jeden ruszył na biegun północny, a drugi na biegun południowy. Każdy uderzał w bębenek. Energia, jaką wyzwalaly te drgania, przenikając w głąb skorupy ziemskiej, obudziła Ziemię do życia. Podobno punkty, w których ta energia jest najsilniejsza, to miejsca święte. Wchłonęły w siebie więcej niż inne drgań bębenków.

Kapelan przypomniał sobie Eden, stworzony przez Boga i uświęcony przez Niego. Po raz pierwszy od czasu kiedy został duchownym, zaświtała mu myśl, że na świecie mogą istnieć inne Edeny, których człowiek jeszcze nie odkrył. Pomyślał o swoich niedzielnych nabożeństwach odprawianych pod gołym niebem przy prowizorycznym ołtarzu, gdy wierni siedzieli na beczkach po paliwie albo wprost na gołej ziemi. Do tej pory uważał, że uwłaczają majestatowi Boga. Teraz jednak...

— Zawsze chciał ojciec zostać duchownym? — zapytała Morgana, wyobrażając go sobie jako niewinnego chłopczyka wyglądającego jak aniołek w białej komeżce.

Odsunął się, bo za bardzo się zbliżyła — nie tylko w sensie fizycznym, ale także w inny sposób, którego nie potrafił ująć słowami — i podszedł do dużego rdzawego głazu od tysiącleci modelowanego przez piasek, deszcz i wiatr.

—Chciałem służyć Panu od najmłodszych lat. Pragnąłem spłacić swój dług wobec Kościoła.

—Dług?

—Jestem podrzutkiem. Zakonnice znalazły mnie na stopniach przytułku. Mieszkałem tam, dopóki nie zaadoptowali mnie O’Neillowie.

Kiedy zobaczył jej minę, uśmiechnął się i wyjaśnił:

— Nie wszystkie sierocińce są jak z powieści Dickensa. Siostry świętej Anny otaczały nas miłością i troską. Miałem niespełna jedenaście lat, gdy zabrali mnie od nich O’Neillowie i płakałem jak bóbr, bo nie chciałem opuszczać przytułku. Ale O’Neillowie okazali się dobrymi ludźmi. Prostymi, uczciwymi, pełnymi miłości.

— Muszą być z ojca dumni — powiedziała cicho.

— Zmarli wiele lat temu. Adoptowali mnie w jesieni życia.

Rzucił papierosa i rozgniółł go butem. Rozejrzał się wkoło, powiódł wzrokiem po potężnych skałach, kwitnących złoto, czerwono i niebiesko kwiatach, lekkich obłokach, drzewach Jozuego i kaktusach ciągnących się aż po horyzont.

Przypatrując się wyrazistemu profilowi Roberta, Morgana poczuła nagły przypływ czułości. Był tak niesamowicie przystojny. I dobry, i cierpliwy. A jednak... nosił w sobie jakąś tajemnicę. Czy właśnie dlatego tak ją pociągał? A może sprawił to jego uśmiech, w którym unosił jeden kącik ust nieco wyżej niż drugi? Albo silne bary rozsadzające kurtkę munduru? Lub jego śmiech, cichy i głęboki? Bądź najpiękniejsze dłonie, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny?

—Jaką właściwie miał ojciec do mnie sprawę? Otrząsnął się z zadumy i odchrząknął.

—Panno Hightower, słyszała pani może o USO? Pokręciła głową.

— Prezydent Roosevelt zwrócił się do prywatnych instytucji z prośbą o zorganizowanie rozrywek dla żołnierzy przebywających na przepustce. Armia Zbawienia, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet i podobne organizacje odpowiedziały na apel, tworząc United Services Organization. W całym kraju powstają centra, w których przebywający na przepustce wojskowi mogą poczuć się jak w domu. Mogą tam liczyć na kawę i paczki, rozrywkę, pomoc w pisaniu listu et cetera.

Słuchała z ciekawością, myśląc o Gideonie.

— Wśród naszych żołnierzy w Camp Young spada morale. Najczęstszy i najpoważniejszy problem to tęsknota za domem. Chłopcy czują się osamotnieni i wyalienowani. Wielu myśli, że wszyscy o nich zapomnieli. Wiedzą, że to nieprawda, a mimo to tak czują. Rozmawiałem o tym z oficerem politycznym i podsunął, by stworzyć w Twentynine Palms coś w rodzaju USO. Dlatego postanowiłem zwrócić się do pani.

— Dlaczego akurat do mnie? Uśmiechnął się skrepowany.

— Przyznam, że najpierw zasięgnąłem języka. Potrzebujemy łącznika ze społeczności lokalnej, a wszyscy podkreślali, że Morgana Hightower cieszy się w okolicy powszechnym szacunkiem. Zna pani tych ludzi. Posłuchają pani.

Morganie brakowało słów. Prosił, by zaangażowała się w to, czego za wszelką cenę starała się uniknąć. Znowu jednak pomyślała o Gideonie — samotnym, z dala od domu.

—W okolicy jest sporo muzyków, którzy chętnie zapewnią rozrywkę żołnierzom z Camp Young. W samym Twentynine Palms mamy sześciuosobowy męski zespół, który gra ballady, polki i tradycyjne melodie osadników.

—To bardzo sympatyczna propozycja i z pewnością żołnierze bardzo się ucieszą. Jednakże...

—Jednakże?

Wyczuwała jego skrepowanie i zastanawiała się, co może być jego źródłem.

—Sądzę — wydusił wreszcie — że chłopcy zamieniliby wieczór z bandzo i gitarami na pięć minut z panią.

—Ze mną?

—Pamięta pani — mówił szybko — jak piliśmy razem kawę w kantynie? Zauważyła pani, jak szybko zapełniły się miejsca przy naszym stole?

—Wszyscy lgnęli do ojca.

—Bynajmniej — odparł, odwracając wzrok. — Chcieli usiąść jak najbliżej ślicznotki.

Wiatr przybrał na sile. Przynosił odurzający zapach bylicy i kwiatów. Niebo wydawało się bardziej błękitne niż zwykle. Przeplływały po nim białe puszyste chmury. Mocne podmuchy szarpały kapelusz Morgany, a major O'Neill nagle poczuł, że kibicuje wiatrowi, licząc, że wygra z kapeluszem i uwolni gęste, kasztanowe loki.

Zdumiony i nieco przerażony tymi nowymi emocjami znowu odchrząknął, próbując sobie przypomnieć, o czym mówił.

— Kiedy chłopcy zwierzają mi się z tęsknoty za domami i rodzinami — podjął — najczęściej opowiadają o matkach, siostrach, ukochanych i żonach. Koncerty to znakomity pomysł, ale żołnierzom najbardziej doskwiera brak kobiecego towarzystwa.

Morgana wstrzymała dech, modląc się, by O'Neill nie przerywał. Nagle poczuła, że mogłaby w nieskończoność słuchać jego głębokiego modulowanego głosu. Potem, wstydzając się swoich myśli, przypomniała sobie młodych chłopców w kantynie, którzy tak ją wzruszyli.

—Porozmawiam o tym z sąsiadkami, dobrze?

—Dziękuję — powiedział i dodał, że silnik powinien być już ostygnąć i teraz pewnie zaskoczy.

Kiedy jednak odwracał się, by to sprawdzić, Morgana dostrzegła, że jego przystojna twarz nagle spochmurniała. Uświadomiła sobie, jakim ciężarem musi być zapewnianie duchowego wsparcia tysiącom żołnierzy. Zwłaszcza tym, którym doskwiera tęsknota za domem.

Tak, z pewnością to właśnie tak dręczyło majora kapelana Roberta O'Neilla.

ROZDZIAŁ 83

Kiedy Morgana poprosiła o widzenie z majorem O'Neil-em, spodziewała się, że wartownik natychmiast skieruje ją do kapelana. On jednak zadzwonił z budki, a ponieważ z jakichś powodów musiał mówić głośno, Morgana słyszała każde jego słowo.

— Tak, proszę ojca. Mówi, że nazywa się Morgana High-tower. Słucham? Nie, nie wiedziałem. Bardzo przepraszam. Nikt mnie nie uprzedził, że nie wolno jej wpuszczać. — Młody wojskowy obejrzał się przez ramię na Morgane, która siedziała w samochodzie z łokciem opartym o opuszczoną szybę. — Tak, proszę ojca, sądzę, że to usłyszała. — Słuchał przez chwilę. — Dobrze, proszę ojca.

Morgana nierozumiejącym spojrzeniem patrzyła, jak wartownik podnosi szlaban, a potem słuchała wskazówek, jak dotrzeć do warsztatu, gdzie — jak wyjaśnił — zastanie kapelana. Słuch jej nie mylił? Major zakazał, by ją wpuszczano? Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Podziękowawszy chłopakowi, wjechała na teren jednostki.

Minęło dziesięć dni, od kiedy major O'Neill zjawił się u niej z prośbą, by zorganizowała rozrywkę i towarzystwo dla rekrutów. Wciąż miała w pamięci tamten

dzień. Zwierzenia przy obozowisku kłusowników i to, jak uratowała kapelana przed złamaniem nogi, a także to, jak potknął się, a ona go schwytała. Pamiętała wszystko to żywo, ponieważ wciąż czuła dotyk jego ciała. Bojąc się, że wspomnienie jego oczu, głosu, bliskości wypełni cały jej świat, z podwójną energią zajęła się ratowaniem morale armii.

Rozmawiała z przyjaciółkami i sąsiadkami, jeździła po okolicznych osadach, starając się wzbudzić zainteresowanie problemem. Co dzień też informowała telefonicznie kapelana, co już udało jej się załatwić. Przyjmował jej relacje z zadowoleniem i entuzjazmem, ale kiedy wczoraj zadzwoniła z informacją, że ma listę pań gotowych zorganizować w koszarach punkt USO, telefonista zamiast z O'Neillem połączył ją z oficerem politycznym. Ten zaś poinformował ją, że kapelan nie czuje się dobrze. Choć zapewnił, że to nic poważnego, Morgana bardzo się zaniepokoiła.

TLR

Przez całą noc przewracała się niespokojnie, wreszcie podjęła decyzję. Nie ulegało wątpliwości, że majora O'Neilla coś gnębi. Dostrzegala to, ilekroć się spotkali, za każdym razem coraz wyraźniej. Wyczuwała, że ma to związek z jego posługą i obowiązkiem podtrzymywania żołnierzy na duchu. Może to wyczerpało go emocjonalnie.-

Dlatego postanowiła osobiście udać się do obozu. Wcale nie po to — mówiła sobie — by znów nasycić oczy jego widokiem.

Morgana jechała furgonetką między rzędami namiotów — od jej poprzedniej wizyty wyrosły setki nowych — mijała góry skrzyń i grupki żołnierzy, którzy na jej widok machali i gwizdali.

Kiedy wreszcie dotarła do prowizorycznego warsztatu pod blaszanym dachem, zrozumiała, dlaczego wartownik musiał mówić tak głośno. Zobaczyła Roberta O'Neilla, który z podwiniętymi rękawami i umazaną smarem twarzą naprawiał motocykl.

— Witam! — zawołała, wyłączając silnik i otwierając drzwi furgonetki.

Podniósł głowę. Uśmiechnął się, ale uśmiech nie rozjaśnił też oczu.

Czyli nie zaszło żadne nieporozumienie, pomyślała. Major O'Neill nie życzy sobie moich odwiedzin.

Zrobiło jej się przykro. Dlaczego wydał rozkaz, by jej nie wpuszczano? Podszedłszy bliżej, zauważyła, że ma głębokie cienie pod oczami i bladą twarz. Wyraźnie też schudł. Na dobre jednak zaniepokoiła się, gdy zauważyła na koloratce smugę czarnego smaru.

— Cieszę się, że ojciec stanął na nogi — przywitała go, udawaną rzeźkością usiłując zamaskować niepokój.

—Stanałem na nogi?

—Kapitan Johnson mówił, że źle się ojciec czuł.

— Źle sypiam. — Raz za razem wycierał czyste już ręce w szmatę. — Nie mogę spać.

Drgnął, kiedy gdzieś w głębi rozległ się hałas.

—Przyjechałam nie w porę? Słyszałam rozmowę. Nie życzył ojciec sobie, żeby mnie tu wpuścił.

—Panno Hightower — zaczął, potem zmienił zdanie i zapatrzył się na grupę żołnierzy biegnących w szortach i białych koszulkach. — Po prostu — dokończył — nie jestem odpowiednio ubrany.

Potał szczękę. Morgana zauważyła na niej wyraźną szczecinę. Jego słowa nie brzmiały przekonująco. Nie chciał się z nią spotkać z innego powodu. Ale z jakiego?

— Przyjechała pani w sprawie Młodych Dam? Właśnie tak postanowili nazwać grupę kobiet, które

w niedzielne wieczory miały przyjeżdżać do koszar na tańce. Morgana liczyła, że pierwszy taki wieczorek odbędzie się już za dwa tygodnie.

Wysiadła z szoferki, a kiedy podmuch podwiał jej sukienkę, wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę.

— Wszystko idzie znakomicie, majorze. Jak z płatka — zapewniła ze sztucznym ożywieniem. — Nie, przyjechałam w innej sprawie.

Jak miała mu powiedzieć, co ją sprowadza, nie mówiąc przy tym prawdy. Nie mogła przecież oświadczyć: „Choruje ojciec, a ja podejrzewam, że to choroba duszy”. Musiała podać mu „lekarstwo”, które ze sobą przywiozła, ale tak, by się nie zorientował.

— Przywiozłam trochę książek do waszej biblioteki. To wspólny dar od moich przyjaciół i sąsiadów. Są kryminały, opowieści z Dzikiego Zachodu, książki przygodowe. Żołnierzom na pewno się spodobają.

— Książki... Tak.

Tym razem jego uwagę odwróciło odległe grzechotanie broni na strzelnicy. Na widok jego udręczonej twarzy Morgana na dobre się zaniepokoiła. Delikatnie położyła dłoń na jego odsłoniętym przedramieniu.

— Majorze, co się stało? — zapytała cicho.

Popatrzył na nią. Mimo osłabienia i wycieńczenia — czy on w ogóle jadł? — w ciemnobrązowych oczach wciąż płonął złoty ognik.

Czekała. Oderwał od niej wzrok i powiódł nim po obozie, żołnierzach, sprzęcie wojskowym, jakby coś ważył w myślach; badał wszystkie „za” i „przeciw”, przygotowywał argumenty. Wreszcie — podjąwszy decyzję — ściągnął brwi, spojrzał na nią i odezwał się tak cicho, że tylko ona mogła słyszeć:

—Panno Hightower, Lawrence'a z Arabii zapytano kiedyś, dlaczego mężczyźni wyruszają na wojnę. Odpowiedział: „Ponieważ patrzą na nich kobiety”. Sądzi pani, że to prawda?

—Nie wiem — odparła z trudem.

—Kiedy zaciągnąłem się do wojska, wyobrażałem sobie, że kapelan ma głosić kazania, udzielać chrztów i ślubów, chować zmarłych, modlić się, służyć duchową poradą i nawiedzać chorych. Oczami duszy widziałem, jak będę budował morale i dawał zbawienne rady. Tymczasem wie pani, czego uczono nas na kursie? Znajdowania rannych żołnierzów i udzielania im pierwszej pomocy albo ostatniego namaszczenia. Nauczono nas, jak wybierać miejsce na pochówek, jak pisać raporty z pogrzebów i listy kondolencyjne. Wszystko tutaj kręci się wokół śmierci.

Zacisnął ręce, aż pobielaly mu kostki.

— Panno Hightower — podjął z powagą i głębokim przekonaniem — wojna jest zła. Walka to zło. Uczy się nas zabijania braci, podczas gdy ja całym swoim jestestwem wierzę, że powinno się nadstawiać drugi policzek. Nie chcę ruszać na front, Morgano, ale żołnierze będą mnie tam potrzebowali. To wewnętrzne rozdarcie mnie zabija.

Patrzyła na niego. Co mu odpowiedzieć? Szczerość jego słów wzruszyła ją tak, że przez zaciśnięte gardło nie mógł się wydostać żaden dźwięk.

Robert dostrzegł w jej oczach smutek. Wiedział, jak musiało nią wstrząsnąć jego wyznanie. Sam nie potrafił sobie tego ułożyć w głowie. W nocy nie umiał zasnąć. Prawie nie jadł. Już od wielu tygodni major kapelan Robert O'Neill czuł,

że jakiś niewidzialny mur odgradza go od żołnierzy, którym miał służyć. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. W jego duszy toczyła się walka. Jej też nie rozumiał. Niektórzy potrafili zaakceptować swoje powołanie, bez chwili wahania iść tam, dokąd ich prowadziło. Tymczasem on od dnia, gdy podjął decyzję o wstąpieniu do armii, czuł się wewnętrznie rozdarty. Liczył, że z czasem gładko, jak w nową skórę, wejdzie w rolę kapelana polowego. Tymczasem nowa skóra piekła go i z dnia na dzień coraz bardziej uwierała.

Spuścił głowę, jakby zamierzał się modlić, a potem podniósł ją i udreńczonymi oczami spojrzał na Morganę.

— Trwa we mnie nieustanna walka serca z rozumem. Jedno każe mi pójść w jedną stronę, drugie w drugą. Czuję się jak hipokryta. Jak śmiem twierdzić, że mogę wskazać Kościołowi drogę, skoro sam pogrążam się w trzęsawisku wątpliwości i zwątpienia? Morgano, świadomie biorę udział w czymś, co uważam za złe.

Była wstrząśnięta. Sądziła, że jego wyczerpanie to skutek przeciążenia obowiązkami, tymczasem okazało się, że to coś znacznie poważniejszego. Rozpaczliwie szukała w myślach jakiejś odpowiedzi.

— Nie może ojciec poprosić o przeniesienie? Albo odmówić dalszej służby ze względu na konflikt moralny?

— Tak, mogę! — odparł z zaskakującą siłą. — Na tym polega problem! To byłoby zbyt łatwe. Nie wolno mi tak postąpić. Zaciągając się do armii, złożyłem przysięgę. Zobowiązałem się, że będę służył tym, których mi powierzono. A oni potrzebować mnie będą przede wszystkim na placu boju. Wciąż się zastanawiam, czego oczekuje ode mnie Bóg. I zadrezczam się, bo wygląda na to, że Bóg oczekuje, bym postąpił wbrew swoim najgłębszym, najszczerzszym, fundamentalnym przekonaniom.

— Ale... Przecież nie trafił ojciec do wojska z poboru. Zaciągnął się ojciec dobrowolnie.

— Tak, ale nie wiem, po co to zrobiłem! Jestem tu outsiderem! Z dnia na dzień moja izolacja się pogłębia.

—Bardzo współczuję — powiedziała. — Może ojciec z kimś o tym porozmawiać?

—Rozmawiałem z Bogiem, ale nie rozumiem Jego odpowiedzi.

—Miałam na myśli rozmowę z człowiekiem.

—Próbowałem. Z innym kapłanem, rabinem Isaacsem. Trochę mi pomógł, ale niewiele. — Uśmiechnął się. — Poradził, żebym się pomodlił.

—Podobno jestem dobrym słuchaczem — zaproponowała cicho Morgana.

—Dziękuję pani — odparł — ale obawiam się, że i tak za dużo już powiedziałem. Zrzucam na pani barki ciężar, choć powinno być odwrotnie. Nieważne. Proszę pokazać te książki, które pani przywiozła.

Marząc, by zarzucić mu ramiona na szyję i z całej siły do siebie przygarnąć, głaskać po głowie, całować i pocieszać, Morgana zaprowadziła Roberta do pomarańczowych skrzynek z tomami opowiadań, wierszy, biografiami. Potem otworzyła drzwi szoferki.

— Pomyślałam, że to może się ojcu spodobać — powiedziała.

To właśnie było lekarstwo, które mu przywiozła. Upewniwszy się, że ma czyste ręce, Robert wziął od Morgany duże albumowe wydawnictwo. Przeczytał tytuł: „Prekolumbijskie petroglify amerykańskiego południowego zachodu” autorstwa doktor Elizabeth Delafield i spojrział na Morgane.

—Czy to nie...?

—Zgadza się, to matka mojego brata.

Rozłożył książkę na masce samochodu. Wiatr przerzucał kartki, więc Morgana przytrzymała jedną stronę, a O'Neill drugą. Otworzył! na karcie tytułowej z fotografią Elizabeth.

— Piękna kobieta — powiedział cicho.

Później zatrzymał się na podpisanym zdjęciu grupowym, w którym z nazwiska wymieniono Faradaya Hightowera, a potem bez większego zainteresowania

przerzucał kartki z fotografiami petroglifów. Dopiero gdy trafił na stronę z czarno-białą reprodukcją szkicu *olli*, znieruchomiał.

— Zdjęcie nie oddaje mu sprawiedliwości — powiedziała Morgana z bijącym sercem. Zatrzymał się przy tej fotografii! — Oryginalny dzban był złocistopomarańczowy, a wzór czerwony.

— Przepiękne. Nie znam się na indiańskim garncarstwie, ale potrafię rozpoznać talent i umiejętności. Ten wzór wyszedł spod pewnej ręki. Niech pani spojrzy na te proste linie.

Ona jednak patrzyła na dłonie przytrzymujące łopocące strony; na kształtne palce błogosławiące gaźniki i wino podczas eucharystii.

— Tata uważał, że ten dzban był niepowtarzalny — odezwała się podniesiona na duchu jego zainteresowaniem. Właśnie na taką reakcję liczyła. — Szukałam innych, podobnych. Przeczesałam wszystkie katalogi, obejrzałam wszystkie zbiory muzealne, a nigdzie nie znalazłam drugiego takiego.

— Gdzie teraz jest? W pani zajeździe?

— Niestety, dzban został zniszczony przed wielu laty. Udało mi się jednak zachować kawałek. — Wyjęła z kieszeni odłamek owinięty w jedwab. — Daje wyobrażenie, jak wyglądał cały dzban.

Kiedy rozwinęła chusteczkę, oczy Roberta zabłysły na widok złocistopomarańczowej ceramiki. Głęboko wciągnął powietrze i przez dłuższą chwilę nie wypuszczał.

— Cudowne — wyszeptał, leciutko wodząc palcem po odłamku w kolorze moreli.

— Wie ojciec, jak mój tata nazywał ten odcień? Kolorem nadziei.

Spojrzał na nią.

— Kolor nadziei — powtórzy! cicho.

Wziął odłamek i delikatnie położył sobie na dłoni. Kiedy zobaczyła, jak jego napięcie ustępuje, naprężone ramiona się rozluźniają, a rysy twarzy łagodnieją, zrozumiała, że „lekarstwo” zaczyna działać.

— Parę lat temu przeczytałam o archeologu z uniwersytetu stanu Nowy Meksyk — powiedziała — który oceniał wiek i miejsce powstania ceramiki na podstawie gatunku gliny, z jakiej została wykonana. Spotkałam się z nim i pokazałam mu ten odłamek. Ocenił go na jakieś osiemset lat.

Kiedy Robert podniósł na nią oczy, dostrzegła w nich iskrę życia.

— To znaczy, że wyszedł spod dłoni garncarza żyjącego na długo przed pojawieniem się białych w Ameryce — powiedział z nabożeństwem. — Ciekawe, co oznacza ten wzór?

— Tata uważał, że zawiera jakieś ukryte przesłanie. Próbowałam je odczytać, ale dysponuję tylko tymi dwoma zdjęciami. Elizabeth mówiła, że tata zrobił dokładne rysunki całego wzoru, przedstawionym na *olli*. Bez nich nie rozwiążemy zagadki tego szyfru.

— Nie ma pani szkiców?

— Przepadły dawno temu.

Nie mówiła całej prawdy. Po śmierci Elizabeth Morgana sprowadziła do Twentynine Palms jej kufer, a gdy już się pozbierała, otworzyła go i przejrzała zawartość. Wśród ubrań, książek, notatek i starych fotografii ludzi, których nawet Gideon nie rozpoznawał, natrafiła na oryginalne negatywy zdjęć obu szkiców. Zaniósła je do atelier i zamówiła powiększenia, potem zleciła malarzowi pokolorowanie zdjęć na podstawie uratowanego odłamka. Oba rysunki oprawiła w gustowne ramki i zawiesiła na honorowym miejscu w zajeździe. Niestety one też nie pozwalały na odtworzenie całego wzoru, gdyż Elizabeth sfotografowała tylko dwa z czterech szkiców Faradaya. Morgana żyła nadzieją, że pewnego dnia odnajdzie oryginały.

Robert baczniej przyjrzał się rysunkowi na glinie.

— To chyba człowiek. Trzyma coś w rękach.

—Elizabeth mówiła, że ojciec miał hipotezę, jakoby wzór przedstawiał historię stworzenia.

—Genesis! Na prekolumbijskim dzbanie! Zdumiewające.

Stojąc tuż obok niego, czując dotyk jego ramienia, patrząc na odłamek *olli* w jego dłoni i słysząc zachwyt w jego głosie, nagle zapragnęła coś mu wyznać.

— Majorze, nikomu się do tego nie przyznaję, ale czasem gdy jestem ma pustyni, czuję, że gdzieś w pobliżu błąka się duch mojego ojca. Krąży po pustyni, nie może zaznać spokoju, jakby trzymały go tu jakieś niedokończone sprawy. Może mój ojciec zginął nagłą śmiercią i czeka, aż ktoś pogrzebie jego szczątki? Może muszę dokończyć to, co on zaczął, by jego dusza zaznała spokoju?

Spojrzał na nią. Zaskoczona zobaczyła w kącikach jego oczu kurze łapki. Uśmiechał się.

— A mówiła pani, że nie uznaje żadnej duchowości — powiedział cicho, a jego bliskość, głębia jego spojrzenia i nowe życie, które weń wstąpiło, sprawiły, że Morganie na chwilę zabrakło tchu.

Stali na środku obozu wojskowego, trzymając album Elizabeth. Szumiał wiatr, obok nich przechodzili lub przebiegali mężczyźni z karabinami, w warsztacie wrzała praca, a Morgana czuła, że oto w ich znajomości dokonał się jakiś przełom.

— Mogę pożyczyć tę książkę? — przerwał Robert. Morgana głęboko zaczerpnęła powietrza, a potem je wypuściła.

— Proszę ją zachować, majorze.

Sprzedawała ją w zajeździe razem z widoczkami z pustyni i innymi pamiątkami. Album cieszył się sporą popularnością.

Popatrzyła na zlocistopomarańczowy odłamek *olli* wciąż spoczywający na dłoni kapelana.

— Ale ten odłamek mogę zostawić ojcu tylko na trochę, pod warunkiem że będzie ojciec na niego bardzo uważał.

Nie musiała tego dodawać. Widać było, że Robert będzie go traktował z równym nabożeństwem jak hostię.

— Morgano — powiedział cicho — przyznaję, nie byłem pewien, czy cieszę się, że pani mnie odwiedziła... — Przygryzła wargę. — Teraz jednak wiem. Cieszę się, że pani przyjechała.

ROZDZIAŁ 84

Zadudnił grzmot. Morgana otworzyła oczy. Spojrzała na budzik. Północ.

Kolejny odległy grzmot. Nad pustynię nadciągała burza. A przecież był dopiero lipiec. Monsuny zwykle pojawiały się w lipcu i sierpniu.

Coś było nie w porządku.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna, wyglądając odległej błyskawicy. I rzeczywiście niebo rozdarła następna — najniebezpieczniejsza, dzieląca się na odnogi, uderzająca w kilku miejscach. Morgana z niepokojem popatrzyła na południowy wschód, tam gdzie leżał Camp Young.

Na zaśmieconym biurku, gdzie walał się modlitewnik, niedokończone kazanie, listy i lista żołnierzy, potrzebujących duchowego wsparcia, na honorowym miejscu stało oprawione w ramki zdjęcie. Sześć zakonnic w habitach na stopniach przytułku, uśmiechających się do obiektywu. „Matki” Roberta O’Neilla.

Kochał każdą z nich, przepelniała go wdzięczność dla tych niezwykłych kobiet, które przygarniały do dziewiczych piersi porzucone niemowlęta, karmiąc je

miłością, radością i nadzieją. Szalejąca nad obozem burza doskonale oddawała to, co działo się w jego duszy. Jakże pragnął teraz poczuć dotyk szorstkiego habitu i poczuć, jak te anioły Boże biorą na siebie cały jego ból i cierpienie.

Wszystkie one już przeniosły się do Ojca Niebieskiego, a przytułek dawno został zburzony. O'Neillowie — drodzy starsi państwo, którzy dali dom chłopcu, zbyt dużemu, by ktoś chciał go adoptować — także już nie żyli. Robert O'Neill (nie znał swojego prawdziwego nazwiska, nie wiedział nic o swoich prawdziwych rodzicach) został na świecie zupełnie sam.

Chociaż... może niezupełnie.

Morgana Hightower nieustannie towarzyszyła mu w myślach. Zwłaszcza teraz, gdy przeglądał otrzymaną od niej książkę. Pustynny wiatr szarpał namiotem, noc głośno protestowała przeciwko obecności tych umundurowanych intruzów, a Robert wpatrywał się w rysunek dzbana sprzed ośmiuset lat i myślał o tej niezwykłej kobiecie, która postawiła jego świat na głowie.

Żałował, że ją poznał.

Cieszył się, że tak się stało.

Przenosił wzrok z reprodukcji na gliniany odłamek. Czuł, że Morganę łączy z tym prastarym dzbanem szczególna więź. Teraz również on został wciągnięty w ten krąg, stał się częścią zagadki, którą skrywała *olla*. Ostatnie dwie doby ślęczał nad albumem i odłamkiem. Wierzył, że chcą mu przekazać coś ważnego, a mimo to nie potrafił odkryć, co to takiego.

Rozmasował skronie. W głowie mu szumiało, w brzuchu burczało. Kiedy ostatnio coś zjadł? Położył odłamek obok reprodukcji, w nadziei że w szerszym kontekście znaczenie sylwetki na glinie stanie się jaśniejsze. Wtem poderwał głowę. Co to było?

Szept. Za namiotem.

Wyjrzał, ale zobaczył tylko ciemność i kołyszące się na wietrze latarnie. Szept przybrał na sile — to deszcz szumiał na brezencie. Nie huraganowa ulewa, delikatna mżawka. Kiedy jednak Robert wyciągnął rękę i poczuł na dłoni delikatne krople, uświadomił sobie, że deszcz z jakiegoś powodu jest bardzo ważny.

Wrócił do biurka, wziął odłamek *olli*, Kiedy wpatrywał się w niego, trzymając go w wilgotnej dłoni, wyraźnie usłyszał głosy szepczące w deszczu. Wpatrzył się w małą postać narysowaną czerwoną kreską, skupiając na niej całą uwagę. Wszystko dookoła — biurko, prycza, ściany namiotu — zniknęło. Robert widział jedynie wąski głęboki tunel, a na jego końcu jedyny w całym wszechświecie przedmiot: złocisty odłamek naczynia, na którym przed stuleciami ktoś namalował ludzką postać.

A na zewnątrz szeptał deszcz...

Ludzik trzymał w każdej ręce jakiś przedmiot, stopy też opierał na jakimś przedmiocie. Wszystko to były symbole posiadające ukryte znaczenie. Ale jakie? Kapelan Robert O'Neill stał bez ruchu w blasku lampy. Na zewnątrz wiatr i deszcz szarpały namiotem, jakby próbowały zerwać płócienne ściany, które osłaniały mężczyznę przed szalejącym żywiołem nocy.

Ludzka postać spoczywająca w zagłębieniu jego dłoni. Wyciągnięte ramiona, a w mikroskopijnych dłoniach...

Zadudnił grzmot, przetoczył się z hukiem.

Miniaturowe czerwone stopy stojące na...

Następna błyskawica. W namiocie rozbłysnął blask silniejszy od setek słońc.

Czerwony człowieczek uwięziony w glinie nagle się poruszył.

Robert krzyknął.

Znowu błysk pioruna i oślepiający blask rozjaśniający wnętrze namiotu. Kapelan padł na kolana oszołomiony tym, co zobaczył. Kłódki jego duszy nagle zniknęły, a ona sama się otworzyła. Z serca opadły kajdany, runął zamykający ją kamienny mur. Słyszał tylko szepty, głos deszczu. Zaczął drzeć na całym ciele tak mocno, że omal nie wypuścił bezcennego złocistego ułamka.

Zacisnął palce na glinie i przytulił ją do serca.

— Boże! — zawołał z zamkniętymi oczami, wznosząc twarz ku niebu. — Chwała Panu Najwyższemu! Wreszcie rozumiem!

Drżący, zlany potem modlił się z nową żarliwością i wiarą. Przepęniała go wdzięczność. Rozmodlony nie zauważył, kiedy monsunowa burza przetoczyła się dalej, mknąc na północ niczym mścicielskie rydwany bogów.

W ciszy, która potem ogarnęła obóz, Robert O'Neill wciąż doświadczał pełni wiedzy i objawienia. Drżał w ekstazie. Pot spływał mu z czoła. Chciał na zawsze pozostać w stanie tego niezwykłego uniesienia, lecz ono było tylko narzędziem, które miało otworzyć mu oczy. Teraz nadszedł czas działania.

Wiedział, co musi zrobić najpierw.

Kluczyki od dżipa były w stacyjce. Wartownik bez wahania podniósł szlaban, rozumując, że kapelana widocznie wzywały pilne sprawy Boże. Robert mknął najszybciej, jak na to pozwalał wilgotny piasek i szalejąca nawałnica. Po kilku kilometrach wyprzedził burzę i jechał pod rozgwieżdżonym niebem.

Nie myślał. Działał pod wpływem impulsu. Rozsadzała go energia duchowa. Pędził na północ drogą Cottonwood Spring. Musiał spotkać się z Morgana.

Minął przełęcz i wypadł na otwartą przestrzeń, gdzie w księżycowej poświacie niczym groteskowe sylwetki kalek rysowały się drzewa Jozuego. Pędził przed siebie, oczy mu płonęły. Nagle chmury przesłoniły księżyc, pogrążając pustynię w nieprzeniknionym mroku. Robert ze wszystkich sił starał się nie zgubić drogi.

— Nie! — krzyknął rozpaczliwie, gdy na szybę spadły pierwsze krople deszczu. Nie mógł tu utknąć.

Dodał gazu, próbując wyprzedzić deszcz. On jednak pędził za nim. Gniewne chmury kłębiły się na niebie, zagrzemiał grom, jakby natura chciała upokorzyć tego śmiertelnika jaśniejącego nowo odkrytą chwałą Pańską. Robert włączył wycieraczki, które tylko rozmazały błoto. Ulewa przybrała na sile, chlusnęła po szybie, zmywając brud. O'Neill widział grząską drogę i srebrne krople deszczu, nic więcej. Woda bębniła na brezentowym dachu niczym niekończąca się seria z karabinu maszynowego.

Wtem przed samochodem wyrosło coś dziwnego. Robert pochylił się, przypatrując się uważnie, nie wierząc własnym oczom. Gigantyczny most na środku pustyni. Po co? Odpowiedź zjeżyła mu włosy na głowie. To most nad

strumieniem, który latem wysycha, ale zimą zamienia się w rwącą rzekę. On zaś jechał wzdłuż koryta.

Robert nie wierzył, że Bóg zesłałby mu tak cudowne objawienie tylko po to, by skazać go na śmierć w odmetach wezbranej po monsunie rzeki.

Wtedy jeep wpadł na kamień. Robert stracił panowanie nad kierownicą.

Robert był w niebezpieczeństwie.

Morgana nie miała pojęcia, skąd to wie, ale bez chwili zwłoki ubrała się i wybiegła na dwór. W powietrzu pachniało wilgocią i wyładowaniami elektrycznymi. Burza jeszcze nie dotarła nad Twentynine Palms, ale była blisko. Kobieta widziała na horyzoncie mroczne skłębione chmury siekące deszczem. Wiedziała, że na pustyni właśnie powstają nowe strumienie, które spływają po zboczach i łączą się w jedną rwącą rzekę. Zaczął się sezon gwałtownych burz i powodzi.

Niebezpieczna pora roku.

Samochód przestał się obracać i znieruchomiał, choć silnik nadal pracował. Koła buksowały w błocie. Robert jednak nie zdołał wyprzedzić burzy. Kiedy wyszedł, by w świetle latarki ocenić sytuację, w ułamku sekundy doszczętnie przemókł.

Skierował snop latarki na błotnistą drogę, a potem na most, który okazał się naturalną formacją skalną znaną jako Arch Rock.

Schronił się pod nią i drżąc z zimna, zastanawiał się, co robić.

Kiedy deszcz ustanie, będę mógł podłożyć pod koła kamienie i wykopać samochód z grzędawiska — układał plan. Tylko kiedy przestanie padać? Rankiem żołnierze na pewno dostrzegą zniknięcie samochodu. Ile jednak czasu minie, zanim ktoś wpadnie na pomysł, by zapytać wartownika i w ten sposób dowiedzieć się o mojej nocnej eskapadzie? Zresztą nawet to niewiele da, bo i tak nikt nie wie, dokąd się wybrałem...

Ku swemu zdumieniu Robert nie odczuwał niepokoju. Wciąż płonął w nim ogień Boskiej iluminacji. W porównaniu z tym wypadek i szalejąca nad głową burza nic nie znaczyły. Zależało mu tylko na tym, by spotkać się z Morgana. Musiał jej powiedzieć, co odkrył na glinianym naczyniu.

Kiedy do wycia zawieruchy dołączył inny odgłos, Robert uznał, że to nadciągająca kolejna, gwałtowniejsza burza, więc schował się głębiej w załomie, tam gdzie nie docierał deszcz.

Morgana pędziła jak szalona. Im dalej jechała błotnistą drogą, im bardziej zbliżała się do szalejącej burzy, tym wyraźniej czuła, że Robert jej potrzebuje.

Ale gdzie? Czy w obozie? A może wyjechał stamtąd i gdzieś na pustyni dopadła go ulewa?

Ryk przybierał na sile. Robert usiłował przedrzeć wzrokiem kurtynę deszczu, by zobaczyć, co jest źródłem dźwięku, gdy nagle zobaczył dwa drżące kręgi światła.

Samochód!

Chwała Panu! To już drugi cud tej nocy. Robert wysunął się spod skalnego łuku, by machaniem rąk zwrócić uwagę kierowcy i z przerażeniem zobaczył, że samochód mknie z zawrotną prędkością, a co gorsza jedzie prosto na unieruchomionego dżipa.

Morgana z całej siły ścisnęła kierownicę, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności. Deszcz lał jak z cebra. Reflektory oświetlały zaledwie skrawek drogi tuż przed samochodem. Na szczęście znała trasę na pamięć, mogła nią jeździć z zamkniętymi oczami. Jeśli pod koła nie wyskoczy jej jakieś zwierzę, bez problemu dotrze do Camp Young.

Furgonetka uderzy prosto w dziupa! Robert wypadł na drogę, wymachując ramiionami i krzycząc:

— Stój! Stop!

Morgana zamrugała powiekami. Co tam się pojawiło? Człowiek!

Wcisnęła hamulec i napinała mięśnie, usiłując zapanować nad kierownicą, gdy samochód wpadł w poślizg i bokiem sunął prosto na wóz terenowy.

Kiedy wreszcie się zatrzymał, Morgana mocno potrząsnęła głową, a potem spojrzała na człowieka, który biegł do niej w strugach deszczu. Robert!

Jednym susem wyskoczyła z szoferki.

— Skąd się tu wzięłeś?

— A ty skąd się wzięłaś? I unisono:

— Nic ci się nie stało?

Chwycił ją za rękę i grzęznąc w błocku, uciekli pod Arch Rock, by schronić się przed ulewą.

Najpierw chaotycznie mówili jedno przez drugie, dopiero po chwili ochłonęli i uspokoili się na tyle, by poczekać na swoją kolej.

— Czuję, że znalazłeś się w opałach — mówiła Morgana, w duchu żałując, że nie wzięła ręcznika, którym mogłaby otrzeć mokrą twarz Roberta.

— Jechałem, bo musiałem ci coś wyznać — mówił O'Neill, równocześnie myśląc, że Morgana wygląda zjawiskowo nawet z mokrymi włosami przyklejonymi do twarzy. — Morgano, od kiedy się poznaliśmy, bez przerwy o tobie myślałem. Próbowałem cię unikać, ale los ciągle stawiał cię na mojej drodze.

Serce zamarło jej w piersi. Robert zaraz wyzna jej miłość. Nie! To nie może się stać!

— Morgano, stał się cud!

— Błagam, Robercie...

Ogarnęło ją przerażenie, a równocześnie radosne uniesienie. Kiedy chwycił ją za ramiona, przeszył ją prąd. Stał tuż obok. Wszystko: wiatr, deszcz, pustynia, zniknęło. Nie mów tego! krzyczała w duchu.

— Od kiedy zaciągnąłem się do armii, czułem się jak outsider. Poczucie wyobcowania w pewnym momencie wzięło górę nad wszystkim. Byłem jak obcy, żyjąc pośród braci. Wtedy zjawiłaś się ty i...

Uniosła ku niemu twarz.

— Tak, Robercie?

— Jestem pacyfistą, jak ty, Morgano. Wiesz o tym. Wierzę w Jezusa Księcia Pokoju i staram się Go naśladować. To po co wstąpiłem do armii? Zanim to zrobiłem, modliłem się do Boga, prosząc Go o odpowiedź. On jednak nie odpowiadał. Udałem się do biskupa. Powiedziałem, że jakaś siła pcha mnie do wojska, choć nie potrafię wytłumaczyć tego impulsu. Uznał, że to właśnie jest odpowiedź Boga. Nie mogłem zignorować powołania.

Patrzył jej w oczy z żarem. Jego spojrzenie paliło równie mocno jak dotyk jego dłoni na jej ramionach.

— Wciąż jednak nie mogłem się pogodzić z rzeczywistością. Patrzyłem na tych młodych naiwnych chłopców, którzy pełni szczytnych idei porzucili swoje farmy i miasteczka, by się zaciągnąć. Wiedziałem, co ich czeka. Co dzień kłóciłem się o to z Bogiem. Dlaczego dopuszcza do wojny?

Dlaczego żąda od tych chłopców, by oddawali swoje młode życie?

Chłodny podmuch wdarł się pod skałę. Na pokrytej szczytną silnej szczytce Roberta lśniły krople deszczu.

— Jakoś udawało mi się zagłuszyć niepokój sumienia, dopóki nie pojawiłaś się ty, Morgano. Jakoś sobie radziłem. Stąpałem po linii, ale jakimś cudem zachowywałem równowagę. I oto zjawiałaś się ty. Z narażeniem życia stawiałaś czoło czołgom. Poczułem się wtedy, jakby ktoś postawił przede mną lustro. Nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Ty miałaś odwagę otwarcie głosić swe przekonania, a ja nie potrafiłem się na to zdobyć. Od tamtej pory prześladowała mnie świadomość, że powinienem robić to, co ty: zatrzymywać czołgi. Nie znalazłem ani chwili spokoju. Byłaś mi wyrzutem sumienia.

Morgana mrugnęła, nie rozumiejąc. Zmarszczyła czoło. To nie była deklaracja uczuć. Ale dlaczego wyjechał w taką pogodę, by z nią rozmawiać?

— Czuję, że coś cię dręczy, Robercie. Dlatego dałam ci album Elizabeth i odłamek *olli*. Liczyłam, że to przywróci ci nadzieję.

— I właśnie to jest ten cud, Morgano! — zawołał. Cofnął ręce, obrócił się na pięcie, podszedł do skraju

kamiennej półki zasłaniającej ich przed ulewą, popatrzył na deszcz i wrócił. Emanował radością i energią.

— Dziś, Morgano, siedząc w namiocie nad reprodukcją *olli*, nagle usłyszałem szept. Sądziłem, że rozmawiają przechodzący obok żołnierze, ale kiedy wyjrzałem, okazało się, że to tylko zaczyna padać deszcz. Nie potrafię tego wyjaśnić, Morgano, ale fakt, że zaczęło padać, był w jakiś sposób znaczący. Wróciłem do środka, trzymając w ręku odłamek dzbana i... przysięgam!... słyszałem w deszczu ludzki głos. Istnieje jakiś związek... nie, nie pytaj, skąd to wiem... między tym prekolumbijskim naczyniem a deszczem. Kiedy połączyłem te dwa elementy, poczułem, jak rozpada się mur. Mur, który więził mnie w ciemnościach zagubienia i niewiedzy. Deszcz zmył cegły i otworzył mnie na szepty. I wtedy, patrząc na ludzką postać narysowaną na dzbanie, doznałem objawienia. W jednej chwili wszystko stało się jasne i zrozumiałem.

—Zrozumiałeś? — powtórzyła jak zahipnotyzowana. Czuję, jak rodzi się w niej nowe nieznanne uczucie, którego nie potrafiła nazwać.

—Zrozumiałem, że jestem duszpasterzem. Zapomniałem o tym. Zapomniałem, że żołnierze, tak samo jak każdy inny wierny, potrzebują pasterza. Nie ja wybieram sobie parafię i dusze, które są mi powierzone. Służę tym, których postawił przede mną Bóg. I cóż z tego, że ci ludzie będą walczyć? Bóg powołał mnie, bym wypełniał Jego wolę, nie swoją. Wcześniej, Morgano — ciągnął — wybudowałem mur oddzielający mnie od moich owiec i mojego powołania, a w ten sposób odgrodziłem się też od Boga i Jego woli. Deszczowy dzban objawił mi, że wszystko jest ze sobą połączone. Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, stanowimy jedną rodzinę i musimy wzajemnie sobie pomagać. Nikt nie jest samotną wyspą.

Znowu chwycił ją za ramiona. W jego głęboko osadzonych oczach płonął ogień.

— Teraz rozumiem, dlaczego zaciągnąłem się do wojska. Bóg zaprowadził mnie tam nie ze względu na samą służbę w armii. Zrobił to, byśmy my dwoje się spotkali. Ty bowiem miałaś złocistą *olle*, która była narzędziem mojego przebudzenia, Bożego objawienia. Sądziłem, że jako kapelan powinienem koncentrować się na śmierci. Myliłem się. Powinienem być głosicielem życia. Bóg chce, abym przypominał żołnierzom, że mimo wojny i śmierci jest też życie. Mam głosić im posłanie nadziei i niewyczerpanej miłości Najwyższego.

Morgana słuchała z zapartym tchem. Deszcz i pustynia zniknęły. Nawet noc się rozproszyła. Został tylko Robert, jego głęboki modulowany głos, którego dźwięk wlewał w jej serce nadzieję i sprawiał, że dusza wzbijała się ku niebu.

— Wiem już — mówił dalej — co przedstawia postać na odłamku *olli*. Tamten człowiek w jednej ręce trzyma laskę pasterską, a drugą dłoń opiera na rogatym stworzeniu przypominającym górską owcę. Morgano, ta postać to wizerunek Jezusa Dobrego Pasterza, który powołał mnie, bym strzegł Jego trzody. Zapomniałem o tym. — Zniżył głos i przysunął się bliżej. — To nie przypadek sprawił, że się poznaliśmy. Nie przypadek sprawił, że przyniosłaś książkę Elizabeth i odłamek dzbanu. Wprowadziłaś mnie z powrotem na ścieżkę Pana, Morgano. Masz moją dozgonną wdzięczność.

Była pewna, że teraz Robert ją pocałuje i ta myśl budziła w niej przerażenie. On jednak tego nie zrobił. Odsunął się i cofnął dłonie z jej ramion. Długo patrzyli na siebie w strugach ulewnego deszczu.

— Muszę wracać — odezwał się wreszcie. — Zabrałem samochód bez zezwolenia. — Uśmiechnął się. — Szkoda by było, żebym stanął przed sądem wojennym teraz, gdy wreszcie oprzytomniałem. — Ujął jej twarz w dłonie. — Wyprowadziłaś mnie z krainy mroku, Morgano. Niech Bóg ci to wynagrodzi.

Potem nachylił się i pocałował jej mokry od łez policzek.

ROZDZIAŁ 85

Młode Damy zrobiły furorę.

Ustalono, że w każdą niedzielę w południe panie z komitetu będą przyjeżdżać do koszar i podawać w kantynie kawę oraz pączki, rozmawiać z chłopcami, pomagać im pisać listy. Wieczorem zaś będą się odbywały tańce.

Morgana, Ethel Candlewell i Suzie Knapp rozwoziły ulotki od Blythe po Riverside, wieszały ogłoszenia w bibliotekach i kościołach, zamieszczały też informacje w prasie.

Odzew przerósł najśmielsze oczekiwania. Kobiety, które samodzielnie mogły przyjechać do obozu, zachęcano, by zabierały pasażerki. Sandy Candlewell zaś kursował po całej dolinie swoim wielkim czerwonym autobusem, z najdalszych osad zbierając ochotniczki.

Z góry ustalono też surowe zasady: żołnierze musieli odnosić się do dziewcząt z szacunkiem. Nie było mowy o spacerach sam na sam ani o umawianiu się

na randki. W czasie zabawy nie podawano alkoholu, a dziewczęta miały opuścić koszary o dwudziestej trzeciej.

Wszystkie mieszkanki południowej Kalifornii chciały podbudowywać morale swoich żołnierzy. Tej niedzieli Morgana wyruszyła do Camp Young furgonetką wyładowaną pączkami i innymi ciastkami, dzbanami lemoniady, książkami, prasą, gumą do żucia oraz papierosami, po drodze zabierając dziewczęta. Dotarła na miejsce razem z innymi samochodami i autobusami, w których siedziały rozchichotane panny i poważne matrony. Morgana wmawiała sobie, że robi to dla chłopców, dla Gideona — że włącza się w wojenny wysiłek narodu.

Wiedziała jednak, że przyjechała tu, by zobaczyć Roberta.

Tamtej pamiętnej nocy, gdy burza ucichła, a deszcz ustał, pomogła mu wyciągnąć samochód z błota, a potem patrzyła, jak pełen energii i woli życia jedzie na południe, z powrotem do swoich obowiązków. Teraz w ciepły czerwcowy wieczór przysłuchiwała się, jak orkiestra gra „The White Cliffs of Dover” i „That Old Black Magic”. Na deskach kantyny pod czujnym okiem przyzwoitek dziewczęta tańczyły z żołnierzami i piły bezalkoholowy poncz. Zająwszy miejsce na skraju parkietu, Morgana przyglądała się Robertowi, który ze szklanką w ręku rozmawia! z oficerami. Od tamtej burzy zmienił się nie do poznania. Dopiero teraz, gdy wrócił do siebie, Morgana zrozumiała, jak straszne katusze musiał przechodzić.

Taki pewnie był, nim zaciągnął się do wojska — pomyślała. Energiczny, pełen zapału, świadomy swoich celów i przekonany o słuszności tego, co robi. To wszystko sprawiało, że zakochiwała się w nim coraz bardziej. Zastanawiała się, czy tylko ona poczuła magnetyzm, jaki między nimi się pojawił. A może Robert też był go świadom? To była przerażająca myśl, ale Morgana pocieszała się, że nowo nawrócony Robert za nic nie złamałby ślubu celibatu.

Dlatego nie zamierzała tłumić kiełkującego w niej uczucia. To było dla niej nowe doświadczenie. Pierwszy raz zakochała się bez wzajemności, do tego w mężczyźnie, o którym nie mogła nawet myśleć. To uderzało do głowy. Mogła hołubić tę miłość, snuć niewinne marzenia o Robertcie, radować się jego bliskością — wiedząc, że nic jej nie grozi.

Najdroższy Robercie, ofiarowałaś mi dar miłości. Nie mogę wyjść za mąż, więc sądziłam, że nigdy nie będzie mi dane jej doświadczyć. Ty jednak mi ją ofiarowałaś i zawsze będę nosiła w sercu to uczucie...

Patrzyła, jak idzie do niej przez parkiet. W mundurze wygląda! przystojnie, nic więc dziwnego, że mimo koloratki i krzyżyka na kołnierzyku niejedna panna wodziła za nim tęsknym wzrokiem. Był wyprostowany i pełen energii. Tak kroczy mężczyzna, który widzi sens tego, co robi. Wyciągnął rękę.

— Zatańczymy?

Kiedy weszli na parkiet, orkiestra zmieniła melodię z szybkiej i tanecznej na wolną i romantyczną. „Smoke Gets in Your Eyes” powinno się tańczyć policzek przy policzku, ale Morgana z Robertem zachowywali dystans. Morgana starała się też nadać rozmowie lekki ton, opowiadając o ostatnim liście od Gideona.

— Jest zakochany w marynarce. Służy na lotniskowcu. Nie chce zdradzić nazwy ani dokąd płyną. Za to szczegółowo opisuje marynarzy i oficerów. Mówi, że ciągle sporo mu brakuje do starego wilka morskiego. Strasznie za nim tęsknię.

Na parkiet weszły kolejne pary. Robert przyciągnął Morganę bliżej.

—Zauważyłem, że na niedzielne imprezy przykrywasz tatuaż. Nałożyłaś tyle pudru, że nie widzę kresek na czole.

—Mam wrażenie, że ludzie się go boją. I zawsze się na niego gapią.

—Mogę zadać ci osobiste pytanie, Morgano? Wiem, że musisz opiekować się bratem, ale nie rozumiem, dlaczego tak pełna życia i piękna dziewczyna jak ty nie wyszła za mąż.

Serce mocniej jej zabiło. Poczula, jak oblewa się rumieńcem.

—Nie każda dziewczyna marzy o ślubnej obrączce, Robercie — odparła lekkim tonem. — Zresztą muszę prowadzić zajazd.

—Słyszałem o kobietach, które prowadzą zajazd, a jednak mają mężów — zripostował. Spojrzał jej w oczy, jakby czuł, że za jej decyzją kryje się coś więcej.

—To długa historia — próbowała go zbyć.

Morgana pomyślała o mężczyznach, którzy jej się podobali, a mimo to trzymała ich na dystans. Sandy Candlewell przez dłuższy czas ponawiał oświadczenia, ale wreszcie się poddał i ku zdumieniu wszystkich — z Adelą Cartwright na czele — ożenił się z nikomu nieznaną dziewczyną z Oxnard. Potem jej sercu najpoważniej zagroził chyba tamten sympatyczny przystojny adwokat, Mike Singletery, który dziesięć lat temu przywiózł informację o spadku po jakimś Bernamie. Często przyjeżdżał do niej z Los Angeles, aż wreszcie delikatnie musiała dać mu do zrozumienia, że traci czas. Od tamtej pory przepadł bez śladu.

—Lubię długie opowieści — nalegał Robert.

—Ta ci się nie spodoba. Zresztą — odparła, zmuszając się do uśmiechu i beztroskiego tonu — ty też nie możesz się ożenić, więc powinieneś to zrozumieć.

Zatrzymał się na środku parkietu i spojrzał na nią zaskoczony.

—Jak to: nie mogę się ożenić?

—Jesteś księdzem.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

—O Boże — powiedział cicho. — Chyba zaszło nieporozumienie.

—Jak to?

—Sądzisz, że jestem katolikiem.

—A nie jesteś?

Wokół nich pod błyszczącą kulą tańczyły pary.

—Morgano, jesteś taka wykształcona i tyle wiesz. Mówiłem ci, że skończyłem Union Theological Seminary. Zakładałem, że wiesz o protestanckich korzeniach tego seminarium. Nie jestem katolickim duchownym, należę do kościoła episkopalnego, który wywodzi się z anglikanizmu. Nasi duchowni nie składają ślubu celibatu. Możemy się żenić.

—Ale... Sierociniec... Mówiłeś, że wychowały cię zakonnice.

—Episkopalne.

Cofnęła się. Uniosła rękę do ust.

—Morgano, dobrze się czujesz?

—Trochę mi się... — Przyłożyła dłoń do czoła. — Potrzebuję świeżego powietrza.

Odwróciła się i wybiegła z kantyny.

Na zewnątrz pary rozmawiały, śmiały się, paliły. W ciepłym powietrzu pachniało tytoniowym dymem. Morgana czuła, że się dusi. Potykając się, na oślep biegła między namiotami, aż znalazła schronienie na małym ogrodzonym placu, gdzie piętrzyły się skrzynie. Wreszcie była sama.

Tam znalazł ją Robert.

— Morgano? Wachlowała się dłonią.

— Nie palę, więc źle znoszę dym papierosowy. W zajeździe proszę gości, żeby palili na dziedzińcu. Zakreśliło mi się w głowie. Już mi przeszło.

Przyjrzał jej się uważnie.

—To moja wina, że wzięłaś mnie za katolickiego księdza. Powinienem był od razu to wyjaśnić.

—Nie, nie — zapierała się. — To nie dlatego. Owszem, przyznaję, że nieco mnie to zaskoczyło, ale uciekłam z powodu duchoty i dymu. — Zmusiła się do nerwowego śmieszku. — Można powiedzieć, że akcja naszego komitetu okazała się zbyt skuteczna.

—A więc? — drążył. — Ta długa historia?

—Słucham?

— Miałaś mi wyjaśnić, dlaczego nie wyszłaś za mąż. Jak opisać słowami poczucie wyobcowania, które nie

opuszczało jej od dziecka? To, że zawsze czuła się inna niż pozostałe dzieci? Może źródła tego trzeba by szukać w plotkach o dziwactwach jej ojca? A może

w tym, że była sierotą wychowywaną przez ciotkę i nigdy nie miała normalnej rodziny? Potem jeszcze doszła blizna na czole, która odróżniała ją od innych.

I wreszcie należałoby sięgnąć jeszcze głębiej — do lęku przed porzuceniem, który nie pozwalał jej się zakochać; do lęku przed przekazaniem dziedzicznych skłonności do choroby, który nie pozwalał jej wyjść za mąż i urodzić dzieci.

Nie, nie mogła o tym powiedzieć Robertowi.

— Właściwie to wcale nie jest taka długa historia. Tak naprawdę nie ma o czym mówić. Nie zarzekam się, że nigdy nie wyjdę za mąż, po prostu nie miałam czasu na... jak to ująć?... kultywowanie związku. Rozumiesz, o co chodzi. Ale kiedyś może...

— Strasznie dużo tych „kiedyś może...” ci się nazbierało. Spojrzała zaskoczona. Uśmiechał się i mówił bez złośliwości. Mimo to dosłyszała w jego komentarzu nutę krytyki.

—Do czego pijesz?

—Przepraszam. To była uwaga nie na miejscu. Chcesz? Możemy wrócić do kantyny.

Morgana miała w głowie mętlik. Robert był o krok od odkrycia, co do niego czuła. Na szczęście w ostatniej chwili zdołała nad sobą zapanować. Teraz za to pojawił się nowy problem. Robert przestał być „bezpieczny”. Coraz wyraźniej też się nią interesował, uważnie słuchał każdego jej słowa. „Strasznie dużo tych «kiedyś może...» ci się nazbierało”. To zdanie świadczyło, jak niebezpiecznie bliski był odkrycia jej tajemnic i drogi do jej serca.

Kiedy wracali do kantyny, Morgana zmagала się z nowym problemem: jak odkochać się w Robertcie O'Neillu?

ROZDZIAŁ 86

Nie mógł spać. Morgana nie pojawiła się już na dwóch wieczorkach, nie przyjeżdżała do obozu, a ilekroć dzwonił do gospody, była zbyt zajęta, by podejść do telefonu. Robert nie zamierzał dłużej tego tolerować.

Tego dnia postanowił zrezygnować ze śniadania, by posiedzieć przy chorych, a potem od razu pojechał do Gospody Hightower. Mimo wczesnej pory słońce już prażyło. Zapowiadał się kolejny skwarny dzień; kolejny dzień, gdy żołnierze w czasie musztry będą mdleli z wycieńczenia albo od udaru słonecznego. Niemiłosierny upał zmusił go do zrzucenia munduru. Po powrocie z lazaretu przebrał się w świeże ubranie — spodnie i błękitną koszulę z krótkim rękawem, jedyne cywilne ciuchy, jakie miał. Nie tylko zrezygnował z koloratki, ale także rozpiął koszulę pod szyją, mimo to wciąż wydawało mu się, że się dusi. Jeszcze zanim dotarł do dżipa, koszula już lepiała mu się do pleców.

Jechał na złamanie karku. Jeśli chciał uzyskać od Morgany jakieś wytłumaczenie, musiał dopaść ją z zaskoczenia.

Choć pod sufitem pracowały na pełnych obrotach dwa elektryczne wentylatory, a okna były szczelnie pozasłaniane przed upałem, twarz Suzie Knapp błyszczała od potu. Lipiec na pustyni — mówiła sobie jak co roku o tej porze — nie jest dla mięczaków.

Drzwi się otworzyły i do zajazdu wszedł przystojny mężczyzna. Suzie odchrząknęła i błyskawicznie poprawiła fryzurę.

—Słucham pana? — odezwała się, posyłając mu swój najbardziej czarujący uśmiech i w ten samy chwili uświadomiła sobie, że to przecież kapelan O'Neill. Pierwszy raz widziała go w cywilnym ubraniu.

—Szukam Morgany — powiedział, zdejmując okulary słoneczne. — Brakowało jej mi... nam na wieczorkach.

Suzie wyłapała tę poprawkę i natychmiast zorientowała się, że duchowny nie przybywa w sprawach służbowych. Choć Suzie Knapp miała męża, dzieci i skończone trzydzieści trzy lata, co kwalifikowało ją do kategorii statecznej matrony, pozostała niepoprawną romantyczką. Nieraz rozmawiała z Morgana o czarującym i przystojnym kapitanie O'Neill. Kapelanie — poprawiała ją Morgana, jakby to cokolwiek zmieniało. Suzie wiedziała swoje: mężczyzna to mężczyzna, bez względu na to co nosi pod szyją. Nieważne — koloratkę, krawat w paski czy muchę w groszki.

— Niestety, spóźnił się ojciec. Właśnie pojechała do Banning. Zabrał ją Sandy Candlewell.

— Banning?

Rozejrzał się, jakby ściany recepcji mogły udzielić mu odpowiedzi. To nie pasowało do Morgany — opuścić zajazd w szczycie sezonu. Suzie poprawiła plik kart pocztowych i przesunęła o pięć centymetrów długopis.

— Nie powinnam tego zdradzać... — odezwała się, nie patrząc kapelanowi w oczy. — Morgana prosiła, żeby nikomu nie mówić.

— Na Boga! Zachorowała?

— O nie, nic takiego. Nie pojechała do lekarza. Po prostu... Nie chciała, żeby ludzie się dowiedzieli.

Robert popatrzył na szczerą twarz kobiety i niebieskie oczy, które nie potrafiły kłamać.

— Ludzie czy ja? — docisnął. Zwiesiła ramiona.

—Przykro mi. Morgana nie chciała, żeby ojciec się dowiedział o jej wyjeździe. Osobiście uważam, że nie postąpiła uczciwie, znikając bez pożegnania. Zwłaszcza że szybko nie wróci.

—A konkretnie?

—Nie wcześniej niż za miesiąc.

—Miesiąc?!

—Może później. Sandy odwozi ją na pociąg do San Francisco. Ojciec O’Neill, ona postanowiła zgłosić się do Czerwonego Krzyża.

Przez chwilę wpatrywał się w Suzie, potem założył ciemne okulary, podziękował i wypadł na ulicę.

Pędził drogą jak szalony, trąbiąc, wyprzedzając inne auta, licząc, że doścignie furgonetkę Candlewella. Kiedy dotarł na stację, zobaczył przed budynkiem znajomy samochód. W środku nikt nie siedział.

Zahamował i wyskoczył z dżipa. Przeleciał jak burza przez zatłoczoną poczekalnię i wpadł na peron w chwili, gdy konduktor gwizdnął, a pociąg wolno ruszył. Biegł wzdłuż wagonów, zaglądając w okna. Skład powoli nabierał prędkości. Wtem Robert zobaczył Morganę. Siedziała przy oknie.

— Morgano!

Nie usłyszała.

Robert rozpędził się i na oczach zdumionych gapiów chwycił za poręcz wagonu służbowego, po czym podciągnął się i stanął na podeście.

Przez chwilę łapał oddech i rozmasowywał nadwreżone ramię. Potem wszedł do kołyszącego się wagonu. Był pusty. Robert schował do kieszeni okulary. Kiedy oczy przywykły mu do półmroku, przeszedł do wagonów pasażerskich.

Szedł, rozglądając się na prawo i lewo. Mijał żołnierzy, biznesmenów, matki z dziećmi. Morganę wypatrzył dopiero na początku drugiego wagonu. Siedziała sama przy oknie.

Włosy miała ułożone w modne fale, na głowie — kapelusik z furkocącą woalką. Okno było uchylone. Pęd powietrza podrywał marszczony kołnierzyk różowej bawełnianej sukienki. Podeszedłszy bliżej, Robert zobaczył jej dłonie w rękawiczkach, położone na prostej płóciennej torebce. Jej zamyślony profil wydał mu się smutny. Patrząc na jej szczupłe ramiona kołyszące się w rytm pociągu, uznał, że Morgana wygląda krucho i delikatnie; w niczym nie przypominała kobiety, która zatrzymała czołgi na pustyni.

Dopiero teraz uświadomił sobie też, że ten pospieszny wyjazd bez pożegnania pachnie ucieczką.

Przypomniał sobie, co mówiła o materiałach, które zgromadziła na temat indiańskich tatuaży — że kiedyś, gdy znajdzie czas, może je opublikuje. Wiedział, że po śmierci Elizabeth Delafield zrezygnowała z marzeń o studiowaniu kultury Indian, całkowicie poświęcając się prowadzeniu zajazdu i opiece nad Gideonem. Choć nadal gromadziła informacje o Indianach, niczego więcej z nimi nie robiła, zawsze mówiąc: „Może kiedyś”. Tyle wymówek — pomyślał Robert.—Czego tak się bała?

Stanął nad nią.

— Morgano?

Spojrzała na niego z uprzejmym uśmiechem.

— Tak?

Wtem go rozpoznała. W cywilu Robert wyglądał zupełnie inaczej. Rozpięta koszula odsłaniała ciemne włoski porastające tors, a krótkie rękawy — ramiona. Morgana pierwszy raz widziała bicepsy Roberta. Były opalone. Dopiero po chwili dostrzegła brak koloratki. Zniknęła, podobnie jak czarna koszula i krzyżyk na kołnierzyku munduru. Przed nią nie stał duchowny, tylko mężczyzna.

— Robercie! — zawołała bez tchu. — Co...? Skąd się tu wziąłeś? Nie zauważyłam cię na peronie.

— Przyjechałem za tobą. Wskoczyłem w ostatniej chwili. — Potarł ramię i uśmiechnął się. — Mogę się przysiąść? Kiedy siadając, musnął ją nagim ramieniem, przeszył ją prąd.

— Robercie, co tu robisz?

— Martwiłem się o ciebie. Nie przyjeżdżałaś do koszar, nie zjawiałaś się na tańcach. Nie odbierałaś moich telefonów. Zajrzałem do gospody i twoja przyjaciółka powiedziała, że wyjeżdżasz do San Francisco. Ze być może wrócisz dopiero za kilka miesięcy. Wtedy na pewno już trafię na front. Morgano, jak mogłaś wyjechać bez pożegnania?

Spuściła wzrok na dłonie. Nerwowo zaplatała palce.

— Uznałam, że tak będzie najlepiej. Robercie... — zaczęła, ale on zdumiony patrzył przez okno.

— Gdzie się podział świat? — zapytał.

Obejrzała się. Rzeczywiście za szybą było białe, zupełnie jakby jechali w gęstej chmurze.

— Dojeżdżamy do przełęczy Banning — wyjaśniła.

— To morska mgła. Nadciąga nocą znad Pacyfiku.

— W lipcu? — zdziwił się. Pochylił się, by dokładniej się przyjrzeć. — Tak daleko od oceanu?

— Przykrywa dolinę nocą — wyjaśniła zmienionym głosem.

Kiedy był tak blisko, brakowało jej tchu. Sama nie wiedziała, co czuje. Konsternację, że ją odnalazł. Ekstremalną radość.

— Zawsze jednak zatrzymuje się na przełęczy — tłumaczyła dalej. — Nazywamy ją majową kołdrą albo czerwcowym kocem. Czasem pojawia się także w lipcu. Mgła zostaje na dłużej w kanionach, ale po pewnym czasie znika.

Robert całym sobą chłonał ten niezwykły widok. Brakowało mu słów na opisanie swojego zachwytu. Mgła wypełniała kanion niczym bele waty, tylko wyżej w promieniach słońca jaśniały szczyty skał.

— Twoja pustynia chyba nigdy nie przestanie mnie zdumiewać — powiedział cicho, jakby się bał, że głośniejsze słowo rozproszy mgłę.

Nagle wypełniony pasażerami wagon zniknął i zostali zupełnie sami.

Nie tego chciała Morgana. Uciekała przed Robertem. Tymczasem tu czuli się sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

— Jeśli chcesz znać naukowy termin, to jest to zjawisko mgły adwekcyjnej.

Mów, mów bez przerwy — powtarzała sobie w duchu. Wyglądaj przez okno, nie zwracaj uwagi na nagie opalone ramię muskające twoje, na cudowny zapach jego wody po goleniu...

—Pojawia się, gdy masy ciepłego powietrza z lądu przemieszczają się nad chłodną powierzchnię oceanu. Zimny prąd kalifornijski powoduje powstanie chłodnego wilgotnego powietrza, które jak sam widzisz...

—Morgano — przerwał, kładąc palec na jej brodzie i zmuszając ją do odwrócenia głowy. Zajrzał jej w oczy. — Dlaczego chciałaś wyjechać bez pożegnania?

—Nienawidzę pożegnań. Uznałam, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli po prostu wyjadę bez słowa. Zgłaszam się do Czerwonego Krzyża — dodała szybko, nie dopuszczając Roberta do głosu. — Potrzebują pielęgniarek. Co prawda nie skończyłam kursu, ale dużo nauczyłam się od ciotki i z podręczników ojca. Umieję bandażować, robić zastrzyki, nie mdleję na widok krwi.

—Ale dlaczego San Francisco? Czerwony Krzyż działa też w Los Angeles.

Zacisnęła wargi.

— Pomyślałam, że lepiej zniosę rozłąkę z domem, jeśli wyjadę dalej.

Nie spuszczał z niej wzroku.

— Dlaczego odnoszę wrażenie, że coś przede mną ukrywasz? — powiedział cicho. — Morgano, proszę, porozmawiaj ze mną.

Kiedy nie odpowiedziała, rozejrzał się po wagonie. Znów widział żołnierzy, biznesmenów, i matki z dziećmi. Wyciągnął rękę.

— Chodź, poszukamy spokojniejszego miejsca.

Opierała się tylko przez chwilę. Wystarczyło lekkie pociągnięcie, by wstała i posłusznie wyszła za Robertem na łącznik między wagonami. Koła dudniły tu głośniejsz niż w środku, wiatr szarpał ubrania.

Pociąg mozolnie piał się po stromym zboczu. Na chwilę wynurzył się z mgły na zalany słońcem płaskowyż. Zaraz potem jednak znowu wrócił w tonące we mgłę doliny. Gęsta mgła tłumiała turkot kół i odgłosy lokomotywy.

Morgana spojrzała na Roberta. Jak bardzo chciała rzucić mu się w ramiona. Pamiętała jednak o swoich obawach — prawdziwym powodzie, dla którego uciekała. Nie rozmawiała o nich z nikim. Nawet z Gideonem, nawet z Suzie, swoją najlepszą przyjaciółką.

— Nie przejmuj się, Robercie. Nie należę do twojej trzódki. Nie musisz się o mnie martwić.

Wiedział, że nie powiedziała tego, by go zranić.

— Morgano, nie przyjechałem tu jako pastor. Przyjechałem jako twój przyjaciel; jako ktoś, komu twoje dobro leży na sercu. Czuję, że coś cię męczy. Pozwól sobie pomóc.

Spojrzała mu w oczy. Zasługiwał na szczerą odpowiedź.

— Zapytałeś kiedyś, dlaczego jeszcze nie wyszłam za mąż. Robercie, ja nigdy nie wyjdę za mąż.

— Dlaczego?

— Podejrzewam, że tata był chory psychicznie, a to jest dziedziczne. Jeśli wyjdę za mąż, mogę przekazać szaleństwo swoim dzieciom.

Ściągnął brwi.

— Skąd to podejrzenie?

— Kiedy byłam małą, łączyła mnie z tatą szczególna więź. Tata nigdy by mnie nie zostawił. Nie odszedłby bez pożegnania. A już na pewno nie zniknąłby bez śladu, nie próbując potem się ze mną skontaktować. To znaczy, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Ciotka twierdzi, że ojciec miał omamy, że cierpiał na chorobę psychiczną, która z czasem się pogłębiała, aż doszło do tego, że nie wiedział, kim jest ani kim my jesteśmy.

— A może... — zaczął Robert.

— Gdyby nie żył — wpadła mu w słowo, uprzedzając pytanie — ktoś przecież znalazłby ciało, policja by nas zawiadomiła.

— Bywa, że ludzie znikają bez śladu.

—Owszem — przyznała cicho. — Ale po tym co powiedziała ciotka, zaczęłam sporo czytać na ten temat, rozmawiałam ze specjalistami. Robercie, naprawdę nie można wykluczyć, że tata cierpiał na chorobę psychiczną.

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

— Wyjaśnij, co to ma wspólnego z wyjazdem do San Francisco? W dodatku bez pożegnania.

Czekał na odpowiedź. Pociąg wolno piał się w górę, kołysząc się na zakrętach.

— Jeśli nie chcesz powiedzieć, zaakceptuję to — przerwał milczenie. — Ale, Morgano, ty mi pomogłaś. Chcę odwdzińczyć się tym samym.

Popatrzyła na przystojną twarz, głęboko osadzone brązowe oczy, które nawiedzały ją we snach. Jak bardzo pragnęła wszystko mu wyznać, pozwolić, by okazał jej troskę i zrozumienie.

— Tamtego wieczoru na tańcach — wyjaśniła. — Kiedy uciekłam. Zaskoczyłeś mnie. Przestraszyłeś.

— Na Boga, Morgano, jak mogłem cię przestraszyć?

— Sądziłam, że jestem bezpieczna! Robercie, do tej pory musiałam się bronić przed zakochaniem. Ale z tobą... Uważałam, że nie mamy szans. Tymczasem... Robercie, naprawdę nie rozumiesz? Muszę uciec od ciebie. Od nas.

— Uciec i zniknąć?

— Tak! Tak właśnie robię! Zawsze tak robiłam. Słowa same układały się na języku. Zdumiona Morgana po raz pierwszy odkrywała najgłębiej skrywaną prawdę o sobie. Prawdę, której sama nie знаła.

— Otoczyłam się tyłoma murami, że sama nie potrafię się przez nie przedrzeć. Tyle chciałabym zobaczyć: obrzędy i święta wszystkich plemion, nie tylko tych żyjących w pobliżu. A mimo to nieustannie wynajduję wymówki, by tego nie zrobić. Wyczuliś to, gdy powiedziałaś, że moje „może kiedyś” za bardzo się piętrzą. Robercie — ciągnęła — kiedy poznałam Elizabeth, pragnęłam jeździć po

kraju, zapisywać indiańskie mity i legendy, ratować przed zapomnieniem prastare tradycje, tak jak to robił mój ojciec. Ale wraz ze śmiercią Elizabeth umarły również moje marzenia. Zrezygnowałam ze studiowania kultury indiańskiej, zamknęłam się na świat. Zaszyłam się na pustyni, bojąc się wszystkiego i wszystkich.

—Powiedz, Morgano — prosił ciepłym serdecznym tonem, z oczami pełnymi współczucia. — Czego tak bardzo się boisz?

—Nie mogę — odparła zduszonym głosem.

Był tam, czaił się tuż pod powierzchnią. Paniczny lęk, który tak długo tłumiła i spychała w głąb duszy, że wydobyć go z ukrycia przypominało morderczy poród.

Ale przecież obok stał Robert, który miał balsam zdolny ukoić każdy ból.

Pociąg zaświstał, gdy Morgana wreszcie wyrzuciła to z siebie.

—Moja ciotka była morderczynią! Robercie, siostra mojej matki zabiła dwie kobiety!

—Boże miłosierny — wyszeptał Robert.

—Obudziły mnie krzyki. Kiedy dobiegłam na miejsce, Elizabeth jeszcze żyła, ale nikt by jej nie rozpoznał. Płonęła niczym żywa pochodnia. Wiła się po ziemi. To było... potworne. A stała za tym moja ciotka.

Morgana ukryła twarz w dłoniach i szlochała. Robert przyciągnął ją do siebie i przytulił, pozwalając jej wypłakać się na swoim ramieniu. Każdy rozpaczliwy szloch przeszywał jego serce sztyletem. Łzy szczypały go pod powiekami, gdy Morgana wyrzucała z siebie straszną opowieść o zazdrości i szaleństwie. Bettina siedząca przy łóżku i czekająca, aż siostra wykrwawi się na śmierć. Bettina podkładająca ogień, zamykająca drzwi na klucz. Roberta zalała fala smutku i gorącego pragnienia, by wziąć na siebie cały ból Morgany. Nie mieściło mu się w głowie, że tak długo musiała samotnie dźwigać ten straszny sekret.

Odsunęła się.

— W moich żyłach płynie również jej krew, Robercie — podjęła z twarzą zalaną łzami. — Noszę jej geny. Teraz rozumiesz? Nie chodzi tylko o ojca. Choroba psychiczna pojawia się też w rodzinie mojej matki.

Robert szukał słów pocieszenia.

—Czy to jednak nie za duży zbieg okoliczności? Ze strony ojca i matki...?

—A może tacy ludzie się przyciągają? — odparła, przypominając sobie pod słuchane słowa Selmy Cartwright.

— Podświadomie wyczuwają pokrewną duszę? Zdarza się przecież, że małżonkowie są zewnętrznie do siebie podobni. Bardzo często ludzie zakochują się w kimś do siebie podobnym. Widzą twarz, którą mogą pokochać i której mogą zaufać. Nawet nie zdają sobie sprawy, że tak naprawdę widzą swoją twarz. Może tata wyczuł w mamie kogoś podobnego do siebie?

Robert wyjął czystą złożoną chusteczkę i delikatnie osuszał nią policzki i usta Morgany.

— Rozumiem, że obawiasz się, czy nie przekażesz dzieciom dziedzicznej choroby — tłumaczył spokojnie — ale przecież nikt nie wie, jakie będzie jego potomstwo. Nikt nie zna planu, jaki Bóg ułożył dla jego życia. Każde ludzkie istnienie jest darem i błogosławieństwem. Musimy przyjąć je z miłością, nawet jeśli boimy się, że będzie ułomne. Jestem podrzutkiem. Nie mam pojęcia, kim byli moi rodzice ani dlaczego mnie porzucili. Może urodziłem się z jakąś genetyczną skazą, która sprawi, że umrę młodo. Ale, Morgano, to nie przeszkadza mi radować się życiem, czerpać z niego pełnymi garściami. Nie możemy pozwolić, by naszym życiem władał strach. Niech kształt nadają mu ambitne zamierzenia, radość. Kto wie, może nie wrócę z wojny...

—Nie mów tak! — Położyła mu palec na ustach. Odsunął jej dłoń.

—Może nie wrócę do domu, Morgano, ale to nie znaczy, że nie mam teraz, dzisiaj, tu z tobą żyć pełnią. Każda chwila to dar, trzeba z niego korzystać.

Zaświstał gwizdek, pociąg zakołysał się na torach. Południowe słońce zalewało świat złocistą patoką. Kiedy pociąg wjechał w ostry zakręt, wagon zakoły-

sał się i Morgana straciła równowagę. Upadła na Roberta, chwytając się jego koszuli. Złapał ją i otoczył ramionami. Stali tak wtuleni w siebie, podczas gdy pociąg jechał dalej, kołysząc się na boki.

Morgana drżała w ramionach Roberta. Uniosła ku niemu twarz, która przywodziła mu na myśl kwiat słonecznika. Marzył, by mówić z nią teraz o miłości i małżeństwie, ale bał się, że na to za wcześnie. Nigdy jeszcze nie doświadczył takiej miłości — tak głębokiej, tak żywej, czasem aż przytłaczającej. Chciał wykrzyknąć tę miłość Morganie i całemu światu. Jego ukochana jednak stała teraz nad krawędzią. Potrzebowała czasu. On zaś musiał ją umocnić i uspokoić.

— Morgano — powiedział, ujmując jej twarz w dłonie — pozwól sobie pomóc tak samo, jak ty mi pomogłaś. Proszę, zdaj się na mnie.

— Nie potrafię.

— Przypomnij sobie deszczowy dzban. Nie ogarniamy całego wzoru. Każdy z nas widzi tylko cząstkę. Tę, na którą akurat patrzy. Tak samo jest z Bożym planem. Nie ogarniamy całości, nie wiemy nawet, co kryje się po drugiej stronie naczynia. Widzimy tylko to, co akurat pojawia się przed naszymi oczyma. Musimy się z tym pogodzić. Wspólnie temu podołamy, Morgano.

Pod powiekami znowu wezbrały jej łzy. Zadrżała, pełna nadziei. Już sama bliskość Roberta i coś jeszcze — pragnienie, pożądanie — sprawiły, że z jej ramion zniknął ciężar. Morgana czuła, jak jej przytłoczony duch rozpościera skrzydła, wyrywając się na wolność. Robert poznał prawdę o Bet-tinie i nie zareagował obrzydzeniem ani odrazą. Przeciwnie, stał się skałą, na której mogła się wesprzeć.

— Znam specjalistę — podjął, chusteczką osuszając jej łzy. — To psychiatra, jeden z najlepszych w branży. Napiszę do niego, przedstawię twój przypadek. Znajdziemy odpowiedzi. Nieważne, jak długo to potrwa. Nikt nie powinien dźwigać takiego brzemienia. Morgano, zrezygnujesz z pracy w Czerwonym Krzyżu? Przynajmniej na jakiś czas?

— Dobrze.

— Wsiądziesz ze mną na najbliższej stacji i wrócimy razem do Twentynine Palms?

— Tak, Robercie.

Marzył, by czule scałować każdą łzę, która płynęła po jej policzku, ale tylko objął ją mocno, by poczuła, że już nie jest | sama; że jest przy niej, pomoże jej i nigdy nie opuści. Wspólnie pokonają jej lęki.

I oto nagle mgła zniknęła. Morganę oślepiły ostre promienie południowego słońca. Skrzywiła się i dłonią ocieniła I oczy. Robert wyjął z kieszeni swoje okulary, nałożył jej na uszy, a potem delikatnie oparł na nosie. W duchu poprzysiągł, że tak jak teraz osłania ją przed ostrym słońcem, tak | zawsze będzie osłaniał ją przed wszystkim, co bolesne.

ROZDZIAŁ 87

Siedzieli w ciemnej zatłoczonej sali kinowej, mając dla siebie jeden podłokietnik i opakowanie popcornu. Robert otrzymał już rozkaz i za tydzień wyruszał na front. Siedzieli więc na widowni z innymi żołnierzami, którzy przyszli z żonami i dziewczynami na komedię „Droga do Maroka”. Kiedy Bob Hope popatrzył na pustynię i powiedział: „To tu opróżniają klepsydry?”, publiczność wybuchła śmiechem, a mężczyźni, którzy po raz pierwszy w życiu trafili na pustynię, zaczęli spontanicznie klaskać.

Morgana jednak zaczęła płakać, ponieważ krążyły plotki, że ten kontyngent rusza właśnie do Maroka, a ona wiedziała, że Robert mógł znaleźć się w tej grupie.

Przechylił głowę.

— Nie wolno płakać na komedii — wyszeptał, podając jej chusteczkę.

Od dnia w pociągu Morgana i Robert spędzali razem każdą chwilę: spacerowali, pomagali w kantynie, udzielali moralnego wsparcia. Choć rozmawiali na wszystkie możliwe tematy, ani razu nie padło słowo „miłość”. Nigdy też nie mówili o przyszłości. Wokół nich pary błyskawicznie się zakochiwały i jeszcze szybciej pobierały, a potem żegnały we łzach. Teraz każda chwila liczyła się za sto, a uczucia należało kondensować. Nie było czasu na tradycyjne zaloty. Wojna zmieniła wszystko, nawet miłość.

Kiedy film się skończył, wszyscy wylegli na upalne ulice. Kończy! się lipiec i temperatura w Palm Springs nie spadała poniżej dwudziestu pięciu stopni. Trwał okres monsunowy, więc powietrze było wilgotne, a niebo nad pustynią czasem rozcinały błyskawice.

Morgana i Robert podeszli do dżipa. Wokół wszyscy wskakiwali do samochodów i odjeżdżali, machając i wykrzykując pożegnania.

Jechali do Twentynine Palms w milczeniu. Morganę ogarniał narastający niepokój. Robert przez cały wieczór zachowywał się przyjacielsko i sympatycznie, ale czuła, że zamierza jej powiedzieć dziś coś ważnego. Czyżby chciał poprosić ją o rękę? Jeśli się oświadczy, odmówię — postanowiła. Choć jej wyznania przyjął spokojnie i ze zrozumieniem, wciąż nie opuszcza! jej lęk.

Przez trzydzieści minut podróżowali w milczeniu, obserwując spadające gwiazdy, patrząc na przemykające stada kojotów i na niezmiernie, niemal księżycowy krajobraz. Nagle Robert zatrzymał się obok gęstej grupy drzew Jozuego, oznajmiając, że musi rozprostować kości. Na wzgórzach wyły i szczekały kojoty. Gdzieś w pobliżu zahuczała sowa.

Morgana wysiadała z bijącym sercem. Jednak jej się oświadczy. Czowała to. I była przygotowana. Nawet miała ułożoną odpowiedź: „Nie, Robertcie. Kocham cię, ale nie mogę za ciebie wyjść”.

Jego wojskowe buty skrzypiały na piasku. Jaki samotny odgłos. Jakby on i Morgana byli jedynymi ludźmi na świecie. Odwrócił się i popatrzył na nią oczyma ginącymi w mroku. Nie miał czapki. Kurtkę od munduru zostawił w samochodzie. Na szyi odcinała się biała koloratka, która kiedyś — jak sądziła Morgana — była tarczą zapewniającą jej bezpieczeństwo, gwarantującą, że Robert się

w niej nie zakocha. W kinie kątem oka nieraz dostrzegła, że patrzy na nią zamiast na ekran, jakby sprawdzając, czy znowu mu nie uciekła.

— Morgano — odezwał się w ciszy nie przerywanej żadnym ludzkim odgłosem. — Chcę cię o coś prosić.

— Tak, Robercie?

— Morgano, czy zgodzisz się...

Czekała z bijącym sercem. Nie chciała go ranić, ale nie miała wyjścia.

— Zgodzisz się pisać do mnie, kiedy wyjadę? Mrugnęła zaskoczona.

— Pisać do ciebie? Tak... Oczywiście.

Odwrócił się i ruszył do samochodu. Morganę ogarnął straszliwy zawód. A potem złość na siebie. Czego się spodziewałaś? wyrzucała sobie w duchu. Sama mu powiedziałaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż.

Zatrzymał się obok drzew Jozuego. Olbrzymie juki wznosiły do nieba ramiona — czasem wyprostowane, czasem powykręcane jak kończyny paralityka.

— Kiedy tu przyjechałem, wydawało mi się, że drzewa Jozuego są groteskowe — odezwał się. — Teraz uważam, że są piękne. Kryją niezwykle skarby. Wiedziałaś o tym?

Podeszła do Roberta. Wieczorny wiatr szarpał fałdy jej spódnicy.

— Co masz na myśli?

— Jeśli uważnie się popatrzy, można w nich znaleźć najróżniejsze cudeńka.

Spojrzała zaskoczona.

— Nie żartuję. Sprawdź, jeśli nie wierzysz. Ta juka wygląda, jakby skrywała jakiś skarb.

— Robercie — spytała ze śmiechem — co ty bredzisz?

— Zrób to dla mnie. Sprawdź, czy mam rację.

Dla świętego spokoju pobieżnie przeszukała niższe gałęzie. Szperając między wąskimi, przypominającymi ostrze sztyletu liśćmi, czuła tylko, jak spod palców czmychają spłoszone myszy i jaszczurki.

— To naprawdę... — zaczęła. Wtem coś zauważyła. Błysk światła wśród ciemnego brązu gałęzi.

Ściągnęła brwi, sięgnęła głębiej i wyciągnęła skarb. Pierścionek z brylantem.

Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak światło gwiazd migocze w mistrzowskim szlifie kamienia.

— Założę się, że dobrze wybrałem rozmiar — mruknął Robert.

Chciała coś powiedzieć, ale brakowało jej tchu. Czekał cierpliwie. Nabrała powietrza, wypuściła je, znowu nabrała.

Serce biło jej z podniecenia i strachu. Odwróciła się do niego.

— Robercie, mówię poważnie. Nie mogę mieć dzieci, póki nie nabiorę pewności...

Ujął jej twarz w dłoń.

— Nie żenię się z tobą dla dzieci — powiedział. — Żenię się z tobą dla ciebie. Morgano Hightower, kocham cię z całego serca. Jesteś dla mnie cenniejsza od powietrza. Znam cię od dwóch miesięcy, a mam wrażenie, jakbym znał cię od zawsze. Pragnę spędzić z tobą resztę życia, kochać cię i nie opuścić aż do śmierci oraz... jeśli tylko mi się uda... czasem też rozśmieszyć. Morgano, czy zechcesz zostać moją żoną?

— Ja też cię kocham, Robercie, ale boję się — powiedziała ze łzami w oczach. — Ojciec mnie opuścił, teraz także Gideon. Nie mogłabym stracić jeszcze ciebie.

Zrobił obrażoną minę.

— A ja zadałem sobie tyle trudu. Przyjechałem po południu, wybrałem idealne drzewo, cały się podrapałem, próbując schować pierścionek, a potem umiera-

łem z przerażenia, że po ciemku nie poznam tego pienińskiego krzaka, i niewiele brakowało, a tak by się stało.

Morgana spojrzała na odblaski połyskujące w kamieniu srebrzącym się w świetle księżyca. Po raz pierwszy musiała stawić czoło swoim najgłębszym lękom. Od dziesięciu lat nie pozwalała sobie się zakochać z powodu kilku zdań wypowiedzianych przez złośliwą i wścibską plotkarę. Teraz z perspektywy czasu zastanawiała się, czy Selma Cartwright rzeczywiście nie wiedziała, że Morgana siedzi w pokoju obok, gdy radziła Ethel Candlewell, by nie wyraziła zgody na ślub Sandy'ego z siostrzenicą stukniętej Bettiny Hightower. Czyż Selma nie upatrzyła sobie Sandy'ego na zięcia?

Pora z tym skończyć. Strach nie będzie dłużej rządził jej życiem! Wreszcie dopuści do głosu serce.

— Cóż, chyba masz rację — odparła, dając mu pierścionek. — Zadałeś sobie tyle trudu, że nie wypada odmówić.

Wysunęła lewą dłoń, rozsuwając palce tak, że z łatwością wsunął pierścionek.

Wtulila się w ramiona Roberta z taką naturalnością, jakby robiła to już tysiące razy — i rzeczywiście robiła w snach, w marzeniach, w głębi serca. Właśnie takiego uścisku się spodziewała — czułego, podniecającego, dokładnie takiego, jaki powinien być. Pocałunek jednak stanowił prawdziwy szok. Nawet najśmielsze wyobrażenia nie przygotowały jej na tę falę pożądania, nienasycone pragnienie.

Robert przygotował sobie mowę przypominającą nieco jego niedzielne kazania, pełną kunsztownych zdań i poetyckich cytatów. Męczył się nad nią przez tydzień, pisząc i skreślając, z pietyzmem dobierając słowa, szlifując każde zdanie. Potem ćwiczył przed lustrem, starannie dobierając intonację, gest, uniesienie brwi. Teraz jednak to wszystko wypadło mu z głowy. Dopuścił do głosu nowy język. Nie język słów, lecz ciała. Zmiażdżył Morganę w uścisku i całował ją z żarem, który jego samego przerażał.

Wychowany w sierocińcu major kapelan Robert O'Neill, który tak długo nie mógł znaleźć celu w życiu, teraz bezgłośnie dziękował Bogu, wszechświatowi,

człowiekowi, który zwerbował go do wojska, doktor antropologii nazwiskiem Delafield i prekolumbijskiej garncarce sprzed ośmiuset lat, której klucz uwolnił jego duszę.

ROZDZIAŁ 88

Uroczystość odbyła się przy Arch Rock w obecności grupki przyjaciół. Nabożeństwo sprawował kolega kapelan, rabin Isaacs. Morgana i Robert wypowiedzieli słowa ułożonej przez siebie przysięgi: „Jedna bryła złota znaleziona na pustyni, dwa życia nierozzerwalnie splecione”. Pięćdniowy miodowy miesiąc spędzili w białej stiukowej willi otoczonego palmami hotelu przy trasie 111, gdzie nieliczni śmiałkowie szukali w basenie ucieczki od niemal pięćdziesięciostopniowego upału.

Piątego sierpnia 1942 roku — parę dni po tym, jak generał Patton wyruszył, by objąć dowództwo kampanii w Afryce Północnej — major Robert O'Neill wsiadł do pociągu i pożegnał się z Morgana, obiecując, że wróci.

Pisał do niej co dzień, czasem nawet kilka razy dziennie, ale listy docierały nieregularnie, a niektóre przepadały gdzieś w drodze. We wszystkich dominował pogodny, optymistyczny ton. Każdy zaczynał się i kończył zapewnieniami o miłości. Robert pisał o swoich ludziach, misji i radości wypełniania Bożej woli. Kiedy odjeżdżał, Morgana podarowała mu odłamek złocistej *olli*. Robert ani na chwilę się z nim nie rozstawał, trzymał go razem z modlitewnikiem.

Każdego popołudnia Morgana — podobnie jak pozostali mieszkańcy doliny — szła do Candlewellów odebrać pocztę od swoich bliskich służących za oceanem. Zbierali się przed sklepem i czekając na przyjazd furgonetki pocztowej,

wymieniali się informacjami. Potem rozjeżdżali się do domów, by z rodzinami lub w samotności czytać listy od najbliższych — w wypadku Morgany od Roberta i Gideona.

Mimo lęku o męża i brata Morgany nie opuszczała radość i nadzieja. Czuła się jak wtedy, gdy poznała Elizabeth i ta otworzyła przed nią świat. Przez te kilka krótkich tygodni dziesięć lat temu żyła pełna nadziei i marzeń. Wszystkie zgasły w noc pożaru. Robert jednak na nowo rozpalił w niej fascynację kulturą indiańską. Morgana zamawiała najnowsze książki na ten temat i planowała trasy, które przemierzą razem — najpierw rezerwat Suquamish w północnej części stanu Waszyngton, potem wschód, gdzie będą poznawać zwyczaje Czejenów i innych plemion Wielkich Równin, wreszcie południe i Floryda, gdzie żyje plemię Seminole, noszące tatuaż podobny do tego, który ma Morgana. Tyle planów, tyle możliwości!

Coraz wyraźniej odczuwało się skutki wojny. Brakowało paliwa, butów, cukru. Masło w ogóle zniknęło. Zastąpiło je białe mazidło o nazwie „oleo”. Do każdej paczki dodawano żółty barwnik, dzięki któremu smarowidło przynajmniej wyglądało jak masło. Kobiety rezygnowały z nylonowych pończoch i teraz szew na łydce malowały kredką. Wszyscy uprawiali przydomowe zagonki i czekali na wieści z Europy, Afryki, Azji i Pacyfiku.

Kiedy Morgana pierwszy raz zwymiotowała, sądziła, że to zatrucie pokarmowe. Drugiego ranka uznała to za gripę żołądkową. Trzeciego — nie mogła dłużej się okłamywać.

Spełniły się jej najgorsze obawy.

Podczas podróży poślubnej starali się zabezpieczać, ale wojna i tykający zegar zrobiły swoje. Ulegli gorączce, która przetaczała się przez kraj. Kochali się impulsywnie, namiętnie, nie myśląc o jutrze.

List, w którym informowała Roberta o ciąży, był lekki i pogodny. Pisała, jak bardzo się cieszy, że spodziewa się dziecka, zapewniała, że dawne obawy zniknęły bez śladu. Zastanawiała się, czy ją przejrzał. Nawet jeśli tak, było to bez znaczenia. Robert jechał na wojnę. Nie mogła obciążać go własnymi troskami.

Prawda bowiem wyglądała tak, że Morgana truchlała ze strachu. By nie przecoczyć szaleństwa swego ojca w mikroskopijne żyły kształtującego się dziecka, niemal do przesady dbała o zdrowie. Co dzień chodziła na długie spacery, unikała dymu papierosowego, nie piła kawy ani wina, starała się zachować wewnętrzny spokój, unikać napięć i stresów — do tego stopnia, że zrezygnowała w pracy w komitecie. Często odwiedzała Arch Rock, gdzie oddawała się medytacjom i kontemplacji oraz prowadziła długie duchowe dialogi z Gi-deonem — modląc się o jego zdrowie i bezpieczeństwo — oraz z Robertem. Przykładała wtedy rękę do piersi, gdzie pod tkaniną bluzki czuła złoty amulet, który nosiła niemal przez całe życie. W jego znajomym dotyku szukała pocieszenia i otuchy i modliła się, by przynosił też szczęście dziecku rosnącemu w jej łonie.

ROZDZIAŁ 89

„Pamiętać musisz to, że pocałunków sto...”

Siedziały z Suzie Knapp w kinie Palace przy Palm Canyon Drive, otwartym cztery lata wcześniej premierą „Przeminęło z wiatrem”, ulubionego filmu Morgany i jej przyjaciółek. Wszystkie zgodnie twierdziły, że Ashley to mięczak, i nie rozumiały, jak bohaterki mogły o niego walczyć, skoro to Rett był naprawdę interesujący. Teraz oglądając ostatnie sceny „Casablanki” i słuchając ostatnich wersów „As Time Goes By”, żeńska część publiczności nie mogła wybrać między Rickiem Blaine'em a Viktorem Laszlo.

Morgana otarła oczy chusteczką. Nie ona jedna. Na widowni było słycać pociąganie nosem i chlipnięcia. Wybrała się na ten film piąty raz od listopada, kiedy to alianci zdobyli Casablanke.

Dzięki temu czuła się bliżej Roberta.

Film się skończył, zaświeciły się lampy. Suzie pomogła Morganie wstać. Uważała, że przyjaciółka w swoim stanie już nie powinna podróżować, lecz Morgana — choć była w dziewiątym miesiącu ciąży — się uparła. „Casablanke” grano w tym samym kinie w Palm Springs, do którego zaprosił ją Robert tego wieczoru, gdy jej się oświadczył. Teraz walczył w Tunezji. Tylko w ten sposób mogła poczuć się bliżej niego. Zresztą Ethel Candlewell i inne doświadczone matki z doliny uspokajały, że pierwsze dziecko nigdy nie spieszy się na świat.

— Humphrey Bogart musiał nosić buty na koturnie, bo Ingrid Bergman jest od niego wyższa — mówiła Suzie, gdy wracały do Twentynine Palms.

Był rześki kwietniowy wieczór. Na rozgwieżdżonym niebie świecił jasny pełny księżyc. Morgana nucila „As Time Goes By”, patrząc na pustynię i spadające gwiazdy, które zawsze przynosiły szczęście.

—A to co? — zapytała nagle.

—Co?

—Tam. Ktoś rozpalił ognisko. Zatrzymaj się.

—Poco?

—Tu nie wolno rozpalać ognia. To może skończyć się pożarem. Suzie, zatrzymaj się.

—Na miłość boską, Morgano, nie możesz pilnować całego rezerwatu. Pomyśl o swoim stanie. Powinnaś siedzieć w domu.

—Nie mogę udawać ślepej. Ktoś musi zwrócić tym ludziom uwagę, a ty doskonale o tym wiesz. Skręć tam.

Zdezelowany ford Suzie podskakiwał na wybojach.,,

—Dobrze, tylko dokąd mam jechać?

—Tam, widzisz tę poświatę?

—Nie widzę żadnej poświaty.

— Po prostu jedź w tym kierunku, dobra? Przejechały kilkaset metrów, póki przed nimi nie wyrosła formacja skalna. Morgana wyskoczyła, zanim Suzie zdołała ją powstrzymać, i z trudem przeciskała się przez szczeliny w skale. Księżyc świecił tak jasno, że rzucał na ziemię długie cienie.

— Morgano, co ty wyprawiasz? — zawołała Suzie, biegnąc za przyjaciółką.

— Są za tymi głazami. Liczą, że nikt nich nie zauważy. Kiedy jednak przeszła na drugą stronę, nie zobaczyła ani ludzi, ani ogniska, a poświata zniknęła.

— To dziwne. Przysięgłabym... — Chwyliła się za brzuch. Suzie natychmiast do niej dopadła.

— Co się stało? Morgano?

— Boli...

Przyjaciółka wzięła ją pod rękę.

— Dobrze, wracamy do samochodu. Musisz jak najszybciej znaleźć się w domu. Sprowadzę Ethel.

Morgana jednak stała bez ruchu.

— Suzie, odeszły mi wody.

— Zdążymy. Do domu dojedziemy w niecałą godzinę. Przeszył ją skurcz tak potężny, że osunęła się na kolana.

— Nie mogę.

Suzie patrzyła przerażona. To przyszło zbyt nagle. Za wcześnie. Coś było nie tak. W panice rozglądała się dokoła, patrzyła na głazy, kamienie i krzewy osrebrzone poświatą księżyca. Nierealna sceneria, jak z sennego koszmaru.

— Poczekamy, aż skurcz minie, potem zaprowadzę cię do samochodu.

— Chyba nie dam rady się podnieść.

— W porządku, posiedź chwilę. Złap oddech. To pewnie tylko skurcze przepowiadające, zaraz ci przejdzie.

Morgana jednak chwyciła ją za rękę i spojrzała na przyjaciółkę wielkimi przeżartymi oczami.

—Nie. Suzie, dziecko zaraz się urodzi!

—O Boże.

Suzie myślała przez chwilę, później popędziła do forda, przyniosła z niego koc, latarki i zapas wody, który zawsze brała na wszelki wypadek.

— Rozpalę ognisko — powiedziała, zbierając chrust — żebyś nie zmarzła.

A tak naprawdę po to, by odstraszyć dzikie zwierzęta.

Podczas gdy Morgana siedziała na głazie, trzymając się za brzuch, Suzie oświetlała miejsce, szukając równego terenu. Przykleknąwszy, odgarnęła żwir i kamyki, potem wygładziła piasek i rozłożyła koc.

— Morgano — odezwała się zaniepokojona, gdy rodząca usiadła na kocu — na pewno nie chcesz, żebyśmy wróciły do miasta?

—Suzie, będziesz musiała mi pomóc. Poradzisz sobie. Rodziłaś trzy razy.

—W szpitalu! I dawali mi eter! Przyjeżdżałam ze skurczami, a wychodziłam z dzieckiem!

Morgana parsknęła śmiechem. Jej twarz lśniła od potu.

—Jesteśmy córkami pustyni, Suzie. Pionierkami. Nie damy się tak łatwo.

—Wy może przyjechaliście tu wozami zaprzężonymi w konie, ale moją rodzinę przywiózł autobus.

Morgana leżała na plecach, rękami ściskając brzuch. Kiedy skurcze ustąpiły, popatrzyła na gwiazdy — kobierzec migotliwych światełek nad ciemną pustynią — i ogarnął ją dziwny spokój. Jestem we właściwym miejscu. Tak miało być.

Suzie już dawno przestała się dziwić temu, co robi Morgana. Ta niezależna, twarda i energiczna kobieta, która zarzekała się, że nigdy nie wyjdzie za mąż, została żoną; jest zaprzysiężoną pacyfistką, a poślubiła oficera; nie chodziła nigdy

do kościoła, a wybrała na męża duchownego. Dlaczego teraz Suzie miałyby się dziwić, że Morgana na miejsce porodu wybrała pustynię?

— Oddychaj powoli, głęboko — instruowała, dalej szukając chrustu. Zaskoczona i ucieszona znalazła nawet spore gładkie kawałki drewna przypominające szczeble drabiny.

Kiedy drewno zajęło się ogniem, a w niebo zaczęły strzelać iskry, Suzie opadła na pulchne kolana, żałując, że w kinie zjadła tyle popcornu.

— Jeszcze nie przyj.

— Muszę — wydyszała Morgana.

Pot zrosił czoło Suzie. To wszystko działo się za szybko. Coś było nie tak.

— Czytałam gdzieś — powiedziała z udawanym optymizmem — że to najpiękniejszy, najwznieślijszy moment w życiu kobiety.

— Muszę pozbawić cię złudzeń... — jęknęła Morgana. Przyszedł następny skurcz. Skrzywiła się. — Boże, jak boli!

— Śmiało, wrzeszcz. Nie będzie to pierwszy krzyk, jaki usłyszała ta pustynia, a z pewnością nie ostatni.

Morgana była gotowa się założyć, że jej wrzask dotarł aż do Pasa Oriona, bo zobaczyła, jak trzy gwiazdy rozpryskują się, a potem znowu się łączą. Przebudowują kosmos — pomyślała.

Suzie trzęsły się ręce. Weź się w garść, Suzie Knapp — skarciła się bezgłośnie. — Indianki robią to od tysiącleci.

— Ale one uczyły się tego od swoich matek i babek. W mojej rodzinie wierzono się w szpitalu.

— Co?

— Nic. W porządku, możesz znowu przeć.

W głowie Suzie kłębiły się strzępki koszmarnych opowieści o porodach: ułożenie pośladkowe albo poprzeczne, zaplątana pępowina, martwy płód, łożysko przodujące.

— Nie ma się czego bać — uspokajała Morgana przyjaciółkę między skurczami. — To naturalne.

Tak, zawał serca też — pomyślała Suzie.

— Pamiętasz, jak się śmiałyśmy — dyszała Morgana.

— „Przeminęło z wiatrem”. Prissy...

— „O Boże, panienko Scarlett! Ja nie umiem przyjmować dzieci!” — naśladowała piskliwy głos służącej. Zaśmiała się nerwowo i powiedziała: — Pięknie, ty podtrzymujesz mnie na duchu. Powinno być odwrotnie.

Suzie nigdy nie czuła się tak bezsilna. Dwie kobiety na środku pustyni miały przyjąć na świat dziecko. W głowie kłębiły jej się pytania, na które nie знаła odpowiedzi. Czy jastrzębie polują nocą? Czy sowy atakują ludzi? Czy kojoty rzucają się na żywych?

Ból tak się nasilał, że w pewnym momencie rodząca opuściła ciało, by odpocząć, spacerując między gwiazdozbiorami. Niech te dwie trochę popracują — pomyślała, pływając po gwieździstym oceanie. Patrzyła na galaktyki, komety, planety i księżyc. Zobaczyła twarz Indianki Hopi, którą jej ojciec spotkał w kanionie Chaco. Dziewczyna miała wytatuowane na czole trzy pionowe kreski. A potem ujrzała własne odbicie w lusterku i rękę z wiecznym piórem. Więc tak to się stało...

— Widzę główkę! — krzyknęła Suzie z zachwytem pomieszczonym z przerażeniem. — Jeszcze trochę poprzyj, Morgano!

I oto na kocu pojawiło się dziecko, kwiląc jak kociak.

— Nic mu nie jest? Jest zdrowe?

— Twój synek czuje się świetnie. Poczekaaj, muszę jeszcze skończyć.

Morgana wyciągnęła ramiona.

—Daj mi go potrzymać.

—Chwileczkę.

Suzie drżącymi rękami zdjęła sweter i owinęła nim dziecko. Na pewno wszystko w porządku? Chłopczyk miał zaciśnięte oczka, z szeroko otwartej buzi wydobywał się głośny krzyk niezadowolenia. Dziesięć paluszków u rąk, dziesięć u nóg.

Morgana leżała bez ruchu, rodząc łożysko. „Twój synek”. Chłopczyk.

Ustaliła z Robertem, że dziewczynce dadzą na imię Rachel, a chłopcu Nicholas.

Suzie wykorzystała swój podręczny zestaw krawiecki — wożony w aucie na wypadek, gdyby coś się odpruło albo guzik się urwał — by odciąć i zawiązać pepowinę. W końcu podała dziecko Morganie.

Matka otoczyła opiekuńczymi ramionami nowe życie i spojrzała na maleńką, wymazaną krwią buźkę oświetloną blaskiem księżyca.

— Będiesz nosił imię Nicholas — wyszeptała. — Nazywasz się Nicholas O'Neill.

Odchyliła głowę i po raz pierwszy ujrzała za sobą groteskowo powykręcane gałęzie. Morgana Hightower O'Neill wydała na świat swojego syna Nicholasa u stóp La Vieja, najstarszego drzewa Jozuego na tej pustyni.

Suzie pospiesznie sprzątała łożysko, zanimby wzbudziło zainteresowanie drapieżników.

— Wygląda na zdrowego, Morgaño — powiedziała, niespokojnie oglądając się przez ramię. W krzakach słychać było drapanie i sapanie. To dzikie zwierzęta, które ściągnął tu zapach krwi. — Nie musisz się bać — mówiła głośno, gadaniem próbując zagłuszyć własny lęk.

Właśnie, że muszę — pomyślała wyczerpana położnica. Choć Suzie była jej najbliższą przyjaciółką, nie wiedziała o jej obawach. Morgana sięgnęła po złoty

amulet, który zawsze nosiła na szyi, i włożyła go w zaciśniętą piąstkę niemowlęcia.

— Wody... — szepnęła. — Szybko.

Kiedy Suzie przyłożyła jej kubek do ust, Morgana zaprotestowała:

— Nie... Do ręki.

Zaskoczona Suzie naląła wody w złożoną dłoń i patrzyła, jak przyjaciółka polewa nią główkę dziecka, szepcząc:

— Ja cię chrzczę w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Niech nasz Pan, Jezus Chrystus, strzeże cię przez wszystkie dni życia.

Wtedy Suzie Knapp zalała się łzami.

ROZDZIAŁ 90

Kolejny dzień i wciąż znaku życia od Gideona.

Morgana zaznaczyła krzyżykiem następny dzień bez listu od niego. To już sześć tygodni.

Listy od Roberta wciąż docierały, mimo ciężkich walk toczonych w Afryce Północnej. Pisał, że alianci spodziewają się szybkiego zwycięstwa, i zapewniał, że zdąży wrócić, by usłyszeć pierwsze słowo Nicholasa i zobaczyć jego pierwsze kroki.

Morgana starała się podzielać optymizm męża, ale za bardzo martwiła się o Gideona.

Na szczęście zajazd — który stał się punktem ^przesiadkowym dla pracowników podróżujących z południowego wschodu do San Diego, gdzie konstruowano bombowce — przeżywał takie oblężenie, że nie miała czasu się martwić. Amerykański przemysł zbrojeniowy tak bardzo potrzebował pracowników, że do prac do tej pory zarezerwowanych dla mężczyzn zaczęto przyjmować kobiety. Do Gospody Hightower co dzień przyjeżdżały panie w niebieskich kombinezonach, praktycznych pantoflach i ochronnych okularach, które w skrzynkach z narzędziami nosiły drugie śniadanie. Morgana i pozostali goście z zapartym tchem słuchali opowieści o linii montażowej liberatorów B-24, gdzie kobietom powierzano tak odpowiedzialne zadania, jak instalacja przewodów, pasów bezpieczeństwa czy włazów i luków. Kobiety mówiły też o tym, jak nowa praca zmienia ich życie. Ponieważ nosiły spodnie, urzędniczki traktowały je ostrym, a mężczyźni przestali ustępować im miejsca w zatłoczonym autobusie.

Wojna dotarła do Gospody Hightower.

Życie Morgany całkowicie koncentrowało się na Nicholasie. Nie rozstawała się z synkiem ani na chwilę. Nawet w recepcji, gdy meldowała przybywających gości, trzymała go w koszyku, owiniętego w niebieski becik. Wszyscy zachwycaли się tym uroczym cichutkim dzieckiem, choć Morganę nadzwyczajny spokój chłopca niepokoił.

—To nie jest normalne — zwierzała się Suzie.. — Dzieci powinny płakać.

—Niekoniecznie — uspokajała przyjaciółka . — Moja Linda była cicha jak aniołek. A co z niej wyrosło? Postrach Twentynine Palms.

Ponieważ Morgana nie mogła znieść myśl o nawet kilkuminutowym rozstaniu z Nicholasem, postanowiła wykorzystać patent okolicznych Indian. Sandy Candlewell zrobił lekką konstrukcję wyściełaną miękką flanelą, w której Morgana wszędzie nosiła synka, budząc zaskoczenie przyjezdnych i rozbawienie miejscowych. W końcu nie co dzień widziało się białą kobietę z indiańskim nosidełkiem. A widok tatuażu na jej czole tylko potęgował wrażenie.

ROZDZIAŁ 91

Kiedy trzynastego maja 1943 roku dotarła wiadomość o zwycięstwie aliantów w Afryce Północnej, przyjaciele i sąsiedzi przybiegli do zajazdu pogratulować Morganie i zapytać, kiedy wróci Robert.

— Niedługo — odpowiadała, choć nie miała pojęcia, kiedy to nastąpi. Co dzień wyglądała listu lub telegramu, jednakże mijały dni, a ona wciąż nie dostała wiadomości ani od Roberta, ani od Gideona.

Wreszcie miesiąc po kapitulacji armii państw Osi w Tunisie dotarł list ze szpitala polowego „gdzieś w Afryce Północnej”, z datą z końca maja. Była to nabazgrana przez lekarza kartka, w której informował panią O'Neill, że jej mąż, Robert, odniósł ranę. Lekarz zapewniał, że stan pacjenta jest dobry i wkrótce powinien odzyskać zdrowie. Major kapelan O'Neill został ranny podczas walk w miejscowości Kafsa kilka dni przed kapitulacją państw Osi. Przedarł się przez ostrzał mózdzierzy, by wspierać konającego żołnierza, i odłamek pocisku utkwił w jego prawym udzie. Za swoje bezprzykładne męstwo kapelan otrzymał medal.

Następny list, który przyszedł trzy dni później, był już napisany przez samego Roberta ze szpitala w Algierze. „Dostałem szrapnelem w nogę. I to oczywiście na dzień przed kapitulacją. Zaraz po przyjeździe ze szpitala polowego dostałem twój list. Po dniach spędzonych w oparach morfiny po raz pierwszy od wypadku spojrzałem na świat przytomnym wzrokiem. I cóż ujrzały moje trzeźwe oczy? Twój list, najdroższa, i zdjęcie naszego synka!”.

ROZDZIAŁ 92

Wciąż nie było wiadomości od Gideona. Morgana w geście ostatecznej desperacji pojechała do Camp Young, gdzie oficer łącznikowy wysłuchał jej opowieści i obiecał zrobić, co w jego mocy. W końcu była żoną jednego z nich. Poza tym zawdzięczali jej akcje organizowane przez komitet Młodych Dam. Obiecał, że zadzwoni, tymczasem osobiście zjawił się w zajeździe.

— Przykro mi, pani O'Neill. Pani brat został uznany za zaginionego.

— Co to oznacza? Nie wiedzą, gdzie jest?

— Niestety, tak. Podniosła głos.

— Mówi mi pan, kapitanie, że armia Stanów Zjednoczonych zgubiła jednego ze swoich żołnierzy?

— Przykro mi, pani O'Neill, tylko tyle udało mi się ustalić.

Robert w szpitalu w Afryce, Gideon zaginiony gdzieś na Pacyfiku. Morgana miała wrażenie, że jest rozdarta na pół między dwoma różnymi zakątkami świata, a nic z niej nie zostało w Twentynine Palms.

ROZDZIAŁ 93

Telegram przyszedł w wietrzny październikowy dzień, gdy nad pustynią szalała Santa Ana, powodując burze piaskowe oraz trąby powietrze i pustosząc ogrody. Telegram nadano w Ministerstwie Wojny. Na jego widok pod Morgana

ugięły się kolana. Suzie Knapp zadzwoniła do Candlewellów. Natychmiast zjawiała się Ethel i Sandy, który zgłosił się na ochotnika, ale został uznany za niezdolnego do służby wojskowej. Morgana nie była pierwszą osobą w dolinie, która dostała taki telegram. Wszyscy wiedzieli, co on oznacza.

Pytanie brzmiało tylko, czyje nazwisko zobaczy w środku. „Z przykrością informujemy...” Gideon. Morgana zemdląła.

— To niemożliwe, Suzie. Mój brat nie mógł zginąć.

Kiedy Morgana odzyskała przytomność, leżała na kanapie w salonie zajazdu z kompresem na czole i nogami na poduszce. Obok stały Ethel Candlewell i żona George'a Martina, i inni, którzy przybiegli usłyszawszy o telegramie z Ministerstwa Wojny. Nie wpuszczając do pokoju personelu ani gości, siedzieli z oszłomioną Morgana, która wciąż wpatrywała się w blankiet.

Wreszcie zdjęła kompres z głowy i usiadła.

—Bardzo wam dziękuję, że przyszliście. Ale mój brat nie umarł.

—Morgano... — zaczęła Suzie.

—Mówię poważnie, Suzie. Gdyby Gideon nie żył, wiedziałabym. Poczulałabym. — Zamachała telegramem, jakby był nieistotną listą zakupów. — To pomyłka. Rząd nieustannie popełnia takie błędy. Jest tylu żołnierzy i takie zamieszanie. Łatwo o nieporozumienie. Zobaczycie, dostanę telegram, w którym przeproszą za pomyłkę.

Jednakie tego samego wieczoru w swojej dawnej panińskiej, a dziś małżeńskiej sypialni Morgana klęknęła ze złożonymi dłońmi przy otwartym oknie. Od otrzymania informacji minęło parę godzin. I choć uparcie nie przyjmowała do wiadomości treści telegramu, do jej serca zakradł się strach. Czy to prawda? Czy Gideon naprawdę zginął?

— Boże, błagam, wysłuchaj mnie — szeptała do Wenus, Marsa, Wielkiej Niedźwiedzicy i Mlecznej Drogi. — Wiem, że dawno z Tobą nie rozmawiałam, ale wierzę, że tam jesteś. Proszę, Boże, nie pozwól, by Gideon umarł. Jest za

miody. On tylko chciał spełnić obowiązek wobec ojczyzny. Proszę, spraw, by mój brat wrócił, a postawię Ci tu kościół i poproszę Roberta, by w nim służył.

Następnego ranka do Morgany dotarła prawda. Siedziała właśnie przy kuchennym stole. Kucharka i pokojówki chodziły na paluszkach, szepcząc, a Suzie trzymała na kolanach pyzatego Nicholasa.

— To moja wina — odezwała się głucho, nie tknąwszy kawy ani jajek. — Ustąpiłam, choć nie powinnam była. Gdybym się wtedy uparła, Gideon by się nie zaciągnął.

Popadła w depresję. Suzie Knapp zajęła się prowadzeniem zajazdu, a wnuczka Ethel Candlewell opiekowała się półrocznym Nicholasem. Stwierdziła, że to idealne dziecko, bo nigdy nie płacze ani nie grymasi.

Ponieważ Gideona pochowano na tymczasowym cmentarzu gdzieś na południowym Pacyfiku, Ethel Candlewell zorganizowała nabożeństwo, na którym pojawiło się tylu uczestników, że potem zabrakło dla nich jedzenia. Dowódca z Camp Young wygłosił wzruszającą mowę, w której parafrazował Shelleya, mówiąc że „Gideon Delafield rozproszył mroki naszej nocy”. Ponieważ Gideon zginął ratując ośmiu kolegów, pośmiertnie odznaczono go medalem za bezprzykładną odwagę, męstwo i poświęcenie.

Tej samej nocy Morgana pojechała do Arch Rock i długo siedziała bez ruchu, myśląc o bracie. Wróciła dopiero o świcie, a choć wciąż była pogrążona w żalobie i wiedziała, że nigdy do końca nie przeboleje jego śmierci, pociechę czerpała ze świadomości, że zginął jako bohater. Przecież tego zawsze najbardziej pragnął.

ROZDZIAŁ 94

Morgana ubierała bożonarodzeniowe drzewko, gdy zjawił się wojskowy z paczką.

Oczywiście w Twentynine Palms nie przystrajano prawdziwych choinek. Większość mieszkańców wybierała niewielkie drzewka Jozuego albo dużą solankę. Morgana zawsze ustawiała w holu duży kaktus w doniczce, ozdabiając go łańcuchami i świecidełkami.

Choć wciąż była w żałobie po Gideonie, nie zamierzała rezygnować z obchodzenia świąt.

— To pierwsze Boże Narodzenie Nicky'ego — wyjaśniła Suzie, która pomagała jej ubierać drzewko. — A jeśli Robert wróci akurat do domu, ucieszy się na widok dekoracji.

Morgana nie przyznawała się głośno do strachu, który ścisnął jej serce. Od tygodni nie dostała wiadomości od Roberta. Pojechała do Camp Young, licząc, że tam się czegoś dowie, ale usłyszała, że w Afryce Północnej trwają intensywne działania wojenne, komunikacja jest utrudniona, a większość akcji jest objęta tajemnicą wojskową. Oficer starał się ją uspokoić, tłumacząc, że poczta jest dostarczana bardzo nieregularnie, i prosił, by uzbroiła się w cierpliwość.

I oto pięć dni przed Bożym Narodzeniem, gdy na pustyni leżała cieniutka warstwa śniegu, przed zajazdem zjawił się wojskowy z paczką dla Morgany.

Zostawiwszy ośmiomiesięcznego Nicholasa w ciepłej kuchni, by pod czujnym okiem kucharek i pokojówek dalej bawił się na kocu misiem, Morgana poszła z paczką na górę i usiadła na łóżku, długo wpatrując się w podany na niej adres zwrotny: „Gdzieś w Afryce Północnej”. Bała się ją otworzyć.

Mijały minuty. Na dole goście wchodzili z tupotem do budynku i odwieszając płaszcze, dziwili się, że na pustyni może być tak zimno. Słysząc było śmiechy i trąbienie samochodów. Za oknem Morgany bezszelestnie padały białe płatki śniegu.

Wreszcie zdarła sznurek i papier. Zaczęła wyjmować przedmioty.

Odłamek złocistej *olli*, wciąż owinięty w jedwabną chusteczkę, w której dała go Robertowi. Skorupa prekolumbijskiego dzbana, którą wojna zaniósła na drugi koniec świata, teraz wróciła do domu.

Fotografie w tak okropnym stanie, że zdjęcie zakonnic przed sierocińcem rozpadło się Morganie w rękach. Robert musiał oglądać je co wieczór, w każdej wolnej chwili — skulony w bunkrze albo w czołgu wyjmował z koperty zdjęcia i sycił oczy sielskimi nostalgicznymi scenami. Morgana wszystkie je знаła, wiedziała, jakie wydarzenia upamiętniają: Robert siedzący dumnie na harleyu rocznik 1925, którego dostał od rodziców na osiemnaste urodziny; uśmiechnięci, siwiutcy O'Neillowie z dwudziestoczteroletnim Robertem w dniu jego święceń; Morgana w szykownym ślubnym kapelusiku pod Arch Rock; Nicholas w beciku pięć dni po urodzeniu.

Dlaczego jej to odesłał?

Na samym dniu leżał list od Roberta.

Na dole zadzwieczał telefon. Usłyszała głos Suzie Knapp, która informowała rozmówcę, że pani O'Neill odpoczywa i nie wolno jej przeszkadzać. Nicholas, który beztrudno bawił się na kocyku pod opieką zauroczonych nim pokojówek, nie wiedział, że na górze jego matka otwiera list napisany osiem tygodni temu w szpitalu wojskowym we francuskim Maroku.

Robert podyktował go pielęgniarce, która — jak zapewniała w nagłówku — zanotowała każde jego słowo.

Łzy wezbrały Morganie w oczach. Robert, który napisał tyle listów w imieniu żołnierzy nie mogących zrobić tego samodzielnie, teraz sam potrzebował pomocy.

„Najdroższa Morgano, rana jest poważniejsza, niż pisałem. Chciałem oszczędzić Ci niepokoju, zresztą ciągle wierzyłem, że będzie lepiej. Wciąż w to wierzę, ale chcę, byś przygotowała się na to, że być może nie wrócę do domu. Zakażenie ciągle się rozprzestrzenia. Lekarze nie mogą go powstrzymać. Jestem słaby. Wezwałem już kapelana. Morgano, nie boję się śmierci. Wreszcie ujrzę Boga w Jego chwale — Wszechmocnego, którego tak poszukuję. Dlatego na wszelki wypadek

odsylam Ci odłamek *olli* i moje ukochane zdjęcia. Nie chcę, żeby potem się zawieruszyły".

Na wszelki wypadek? Potem?

Morgana szybko otarła łzy, żeby nie spadły na bezcenny list. Zauważyła stare ślady łez na kartce. Pielęgniarki? Czy jego własne?

„Powiedziałem Ci kiedyś, Morgano, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Wierzę w to, ponieważ patrząc w przeszłość, muszę spytać: dlaczego właśnie tamtego dnia skierowano mnie na pustynię z czołgami, podczas gdy ani wcześniej, ani później to się nie stało? Teraz rozumiem, że jesteśmy pokrewnymi duszami, albo — jak uczył Platon — jedną duszą w dwóch ciałach. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie czułem Bożej obecności jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Przebudziłaś mą duszę, Morgano, otworzyłaś mi oczy na Świętość, która nas otacza. Teraz wszędzie dostrzegam piękno, nawet w śmierci.

Jeśli z woli Bożej nie wrócę do domu, wiedz, że choć czas, jaki przyszło nam razem spędzić na ziemi, wydaje się krótki, to nasza miłość będzie trwać wiecznie. Pewnego dnia znowu się zjednoczymy. Jestem o tym głęboko przekonany. Równie głęboko jak o tym, że nieprzypadkowo przyniosłaś mi książkę Elizabeth. To wszystko element Bożego planu. Wstąpiłem do wojska nie po to, by służyć w armii, lecz po to, by znaleźć drogę do pustyni, na której mieszkasz. Teraz chyba rozumiem też, dlaczego.

Morgano, tej nocy gdy Ci się oświadczyłem, obiecałem, że wrócę i że razem odnajdziemy Twego ojca. Wciąż zamierzam dotrzymać słowa. Jeśli jednak nie będę mógł wrócić do Ciebie ciałem, będę przy Tobie duchem. Pomogę Ci także już teraz. Myślałem o ostatnich słowach Twojej ciotki; jej wzmiance o Madianitach. Zaczynam się zastanawiać, czy to na pewno były tylko majaczenia. W tym może kryć się wskazówka. Kiedy po raz pierwszy spytałaś o ten cytat, skupiłem się na barwnej szacie i zazdrości braci. Ta historia ma jednak ciąg dalszy, Morgano. Księga Rodzaju 37: 24. Bracia wrzucili Józefa do studni. Może Twój ojciec wpadł do szybu kopalni i tam zginął?

Nie przestawaj go szukać. W tym czasie próby bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy prawdy. Jeśli Twój ojciec znalazł, czego szukał, musisz wydobyć to

na światło dzienne. Jestem już zmęczony, lekarz zalecił mi odpoczynek. Napiszę znowu, kiedy będę silniejszy. Z listem przesyłam miłość. Oddaję Ci serce i duszę. Myśl o mnie, najdroższa, i módl się za mnie. Twój na zawsze, Robert".

Morgana wpatrywała się w poplamiony łzami list sprzed ośmiu tygodni i z niezachwianą pewnością wiedziała, że Robert nie żyje. To były jego pożegnalne słowa. Leży w jakimś obcym grobie daleko stąd i to tylko kwestia czasu, kiedy dotrze drugi koszmarny telegram.

—Nie — powiedziała na głos.

Wstała. List, zdjęcia i *olla* spadły na podłogę.

—Nie — powiedziała znowu.

To nie może być wszystko. To nie może być jedyne, co zostało. Przygnębiający list i parę starych fotografii.

— Nie!

Poczuła, jak wzbiera w niej furia. Nie ta rozpalona jak pogrzebacz, którym kiedyś wypalono jej piętno na czole, lecz lodowata, jaką odczuwa się stojąc przy zimnym kamiennym nagrobku.

Krażyła po pokoju. Kleła. Wreszcie rozgniotła *ollę*, miażdżąc ją obcasem, póki glina nie zmieniła się w złocisty piasek. Potem ze szlochem padła na łóżko.

Morgana została w pokoju. Kiedy Suzie zastukała do drzwi, kazała jej odejść. Spała z listem Roberta, czytając go raz za razem. W nocy, kiedy księżyc rzucał cień na dolinę, Morgana po raz pierwszy pomyślała o biologicznej matce Roberta. Kim była dziewczyna, którą dla uniknięcia rodzinnego skandalu zmuszono do oddania dziecka? Czy wyrosła na dojrzałą kobietę? Czy co dzień zastanawiała się, co stało się z jej dzieckiem? Na kogo wyrosło? Może wyszła za mąż i urodziła następne, potajemnie modląc się, by pierworodny znalazł szczęśliwy dom?

Twój syn był dobrym człowiekiem — chciała powiedzieć Morgana bezimiennej matce. Towarzyszył swoim umierającym żołnierzom. Jest bohaterem.

O świcie Morgana poczuła świeży zastrzyk energii. Po raz pierwszy od tygodni jej mięśnie obudziły się do życia. W uszach słyszała ostatnie słowa Roberta: „Nie przestawaj go szukać. W tym czasie próby bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy prawdy”.

Przez wzgląd na Roberta i ich syna zrobi to, czego powinna była dokonać dawno temu. Układając w myślach plan, znowu — tak jak zaraz po wypadku — zaczęła się zastanawiać, czego ciotka Bettina, która nie zносиła pustyni, szukała w tamtym miejscu. Czyżby, jak sugerował Robert, studni lub szybu?

Albo grobu?

Wspomnienie sprzed wielu lat: Morgana, która podsłuchiwała, jak Bettina nazywa się wdową, burzy się: „Przecież nie wiesz na pewno, czy tata nie żyje!”. „Oczywiście, że wiem” — odparowuje Bettina i natychmiast czerwieni się, miesza, zaczyna jąkać. — „To znaczy... Skoro tak długo nie wraca...”

Wtedy Morgana nie zwróciła uwagi na te słowa. Teraz jednak tak.

Poszła do Jonego Candlewella, człowieka do którego turyści przynieśli Bettinę, i zapytała, czy pamięta, gdzie dokładnie znaleziono ciotkę. Wyciągnął mapę.

— Jeśli mnie pamięć nie myli... Tak, mówili, że szli tędy, szlakiem w pobliżu Czaszki. Teraz sobie przypominam. Tutaj, w tych okolicach. Wspominali, że mieli wielką jukę. Nie wiem, o którą mogło chodzić.

Za to Morgana wiedziała doskonale. La Vieja. To samo drzewo Jozuego, pod którym urodził się Nicholas.

— Suzie, zrobiłaś dla mnie więcej, niż mogłabym żądać. Wspierałaś mnie, kierowałaś zajazdem, trzymałaś przy życiu, kiedy się poddałam. Muszę jednak prosić cię o jeszcze jedną przysługę.

Suzie chwyciła Morganę za rękę i odparła:

— Zrób to, co musisz zrobić.

Obiecując przyjaciółce, że wróci następnego dnia, Morgana pocałowała Nicholasa i zostawiła go w zajeździe pod jej opieką. Potem wrzuciła do samochodu

zapasy, wzięła najcieplejsze ubrania i wyruszyła, czując, że na końcu tej długiej drogi wreszcie znajdzie swoje przeznaczenie.

TLR

W Kivie Boże Narodzenie A.D. 1943

ROZDZIAŁ 95

W południe Morgana dotarła do kresu drogi. Zatrzymała samochód przed znajomymi głazami, wyłączyła silnik, rozejrzała się i zaczęła planować następne kroki. Przywiozła zapasy wody, prowiant, namiot, śpiwór, lampy i kocher. Na razie zostawiła je w wozie. Zamierzała rozejrzeć się po okolicy, a potem rozbić obóz. Gdzieś wśród tych niegościnnych skał kryła się odpowiedź, której tak długo szukała.

Zarzuciła na ramiona plecak i ruszyła przed siebie, wspinając się na kamienie, przeciskając przez wąskie szczeliny, aż wreszcie dotarła do dolinki przy Czaszce. Rosła tam La Vieja, przy której urodził się jej syn. Morgana wolno obróciła się wokół własnej osi, przeczesując wzrokiem okolicę. Blade zimowe słońce topiło śnieg i przymrozek. Nie znalazła jednak niczego, co przypominałoby kwadrat z ukośnym zygzakiem, niczego, co przypominałoby studnię.

Zauważywszy wąski szlak wydeptany przez lata wędrówek turystów, przeszła przez skałę i wydnię, przedarła się przez gęstą bylicę i kaktusy, aż wreszcie znalazła: niezwykle kamień, niemal idealny kwadrat o wymiarach sześć na sześć metrów. Przez jego środek ukośnie przebiegała zygzakowata linia przywodząca na myśl grzbiet dinozaura.

Identyczna jak ta, którą narysowała Cyganka.

Morgana zrzuciła plecak na ziemię. Ciekawe, czy ojciec znalazł to miejsce? A jeśli tak, dokąd stąd poszedł?

Przeczesując nieduży kanion w poszukiwaniu jakiejś studni, zauważyła, że na piasku leżą szczątki połamanej drabiny, której drewno dawno już zbielało na słońcu. Zszokowana uświadomiła sobie, że to ta sama drabina, o której mówili turyści; to jej szczebel przebił pierś Bettiny. Czego na Boga ciotka tu szukała? Do tego z drabiną?

Miała zamiar zejść do studni — zrozumiała Morgana.

Jęła metodycznie przeszukiwać piaszczyste dno kanionu. Krążyła po nim, tupiąc i nasłuchując głuchego odgłosu. Ale jak można by tu ukryć studnię? Czym można by ją zasłonić?

Znowu uderzyła butem i nagle piaszczyste podłoże zapadło się, a ona runęła w dół w tumanie piasku, żwiru i cierni kaktusa, lądując boleśnie na pośladkach.

Kiedy pył już opadł, zorientowała się, że znajduje się w podziemnej grocie. Promienie słońca wpadające przez otwór oświetlały szerniały popiół i kamienną ławkę biegnącą wokół ściany. Powietrze pachniało starością i pleśnią.

To nie jest naturalna grota — uświadomiła sobie Morgana. — Została wybudowana przez człowieka.

Kiva! Nigdy nie słyszała, by Indianie budowali je tak daleko na zachodzie.

Odczepiła od paska latarkę i rozejrzała się po pomieszczeniu. Ceglane ściany tworzyły nad głową kopułę upodabniającą je do pszczelego gniazda. Morgana była ciekawa, ile lat mogła mieć ta kiva, kto ją wybudował i dlaczego. A może to dzieło ostatnich potomków zaginionych Indian Anasazi? Tylko dlaczego nikt wcześniej jej nie znalazł? Wtedy zauważyła kawałki spróchniałego drewna i zrozumiała, że otwór zasłaniany drewnianą płytą, która aż do tej pory wytrzymawała deszcz, śnieg i upał. Dopiero dziś pękła pod jej twardą podeszwą.

W kręgu światła latarki pojawiła się drabina leżąca pod ścianą. Czyli będzie mogła wydostać się na zewnątrz — pomyślała z ulgą Morgana.

Jeszcze raz oświetliła ściany, licząc, że znajdzie tu jakieś rysunki albo znaki, które pomogą jej zidentyfikować, jakie plemię albo lud stworzyło tę komorę — bądź świadectwo, że był tu jej ojciec. Wtem dostrzegła coś, co ją zaskoczyło. Wyglądało na książkę.

Podszedłszy bliżej przekonała się, że to rzeczywiście książka — otwarta, ze stronicami pokrytymi pyłem. Delikatnie odgarnęła kurz. Karty były pożółkłe, zapisane wyblakłym atramentem, ale wciąż czytelne. Zauważyła słowa: „Znalazcę tego notatnika proszę, by przekazał go Morganie Hightower z Twentynine Palms w stanie Kalifornia. To moja córka, a ten dziennik należy do niej”.

Zdumiona wpatrywała się w notes, oświetlając go drżącymi rękami. Ojciec tutaj był! I pisał pamiętnik. W takim razie dlaczego go ze sobą nie zabrał?

Dopiero wtedy latarka oświetliła to, czego Morgana wcześniej nie dostrzegła. Obok notesu, z wiecznym piórem zaciśniętym między kościstymi palcami, spoczywała ludzka ręka. Obciągnięta skórą, lecz nie pokryta ciałem. Zmumifikowana.

Morgana wolno przesunęła latarkę. Drżące złociste kółko światła wędrowało po rękawie koszuli, kościstym ramieniu, a wreszcie spoczęło na...

— Boże — wyszeptała.

Znieruchomiała, ze zgrozą wpatrując się w straszną twarz: odsłonięte zęby, zapadnięte oczodoły, rozłożony nos, kępki czarnych włosów pokrywające czaszkę. Już nie zwłoki, ale jeszcze nie szkielet. Suche powietrze pustyni powstrzymywało rozkład, upodabniając ciało do egipskiej mumii. Morgana wiedziała, że to jej ojciec.

Z gardła wydarł jej się szloch.

— Tatku...

Uklękła na pokrytym pyłem klepisku i oczami pełnymi

łez wpatrywała się w ciało. Przed oczami, niczym rozbłysk fajerwerków, pojawiały się sceny z dzieciństwa: ruiny w Chaco, urodziny w Casa Esmeralda i pluszowy miś wielki prawie jak ona, patio i głos ojca. Poglądziła rozpadającą się tkaninę koszuli. Zmarł tutaj...

— Przez te wszystkie lata — powiedziała zduszonym głosem, z twarzą zalaną łzami — byłeś tak blisko. Twój wnuk urodził się tuż obok. Tutaj została ranna ciotka Bettina. Chodziłam po tych szlakach, nie wiedząc, że jesteś tu, pod ziemią.

Zasłaniając twarz dłońmi, pomodliła się w ciszy. Wreszcie zapanowawszy nad wzruszeniem, jeszcze raz powiodła latarką po pomieszczeniu. Zobaczyła rozpadający się śpiwór, puste pojemniki po wodzie, suchary oraz konserwy i lampę. Wszystko to wskazywało, że ojciec zamierzał spędzić tu jakiś czas. Drabina leżała pod ścianą, jakby sam ją za sobą ściągnął. Pewnie nie chciał, żeby ktoś inny wszedł do kivy. Ale dlaczego jej nie opuścił?

I kto zasłonił wejście drewnianą płytą?

Na razie nieważne, teraz liczyło się tylko to, że znalazła ojca. Nagle zaczęło jej się spieszyć. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do zajazdu i opowie o nadzwyczajnym znalezisku, przytuli Nicholasa, żeby wiedział, że od tej pory już wszystko będzie dobrze.

Kiedy sięgnęła po drabinę, by przystawić ją do ściany, drewno pękło i rozsypało się jej w rękach.

ROZDZIAŁ 96

Morgana z paniką patrzyła na bezużyteczne szczelble leżące u jej stóp. Potem cofnęła się i powiodła wzrokiem po gładkich półokrągłych ścianach. Nie było w nich żadnych podpór ani uchwytów, a sklepienie znajdowało się zbyt wysoko, by się podciągnąć. Przypomniała sobie, że jutro pierwszy dzień zimy, co oznaczało, że najbliższa noc będzie najdłuższą w roku. Czekały ją całe godziny w ciemnościach i lodowatym chłdzie.

Wyjęła z kieszeni scyzoryk i zaczęła żłobić nim ścianę. Cegła kruszyła się pod ostrzem i Morgana dość szybko wydłubała otwór na palce. Sprawdziła. Powinien ją utrzymać. Wspięła się na kamienną ławkę i zaczęła ryc następny. Kiedy jednak wbiła nóż, cegła pękła, spory jej kawałek odpadł i rozbił się o klepisko. Spróbowała w innym miejscu. Następna cegła wypadła, zamieniając się w gliniany pył.

Zeskoczywszy na podłogę, Morgana uważnie przyjrzała się ścianie. Mur był zbyt stary i słaby, by żłobić w nim otwory na stopy. A nawet gdyby jej się to udało, cegły prawdopodobnie nie udźwignęłyby jej ciężaru. Zwłaszcza te na gó-

rze, przy samym otworze. Gdyby próbowała się wspinać, cała konstrukcja mogłaby się zawalić, przygniatając ją.

Niebo nad pustynią zasnuły szare chmury. Zaczął z nich padać śnieżek, co oznaczało, że już niedługo w kivie zrobi się bardzo zimno. Morgana powiedziała Suzie, że wróci nazajutrz. Wcześniej nikt nie będzie jej szukał.

Usłyszała jakiś szelest. Poderwała głowę. Czyżby ktoś nadchodził? Przyłożyła zwinęte dłonie do ust i zawołała:

— Tu jestem! Czy ktoś mnie słyszy?

Znowu spróbowała wspiąć się po ścianie, ale cegła rozsypała się jej pod palcami.

—Czekajcie! Nie odchodźcie! Na górze ktoś był. Słyszała go.

—Tutaj! — krzyczała. — Pod ziemią!

Kroki na piasku. Bez cienia wątpliwości. Bliżej. Bliżej... I cień nad otworem. Morganie mocniej zabiło serce. Podniosła głowę. Długie uszy i wąski pysk. Kojot!

Podniosła z podłogi kamień i rzuciła, trafiając zwierzę w łeb. Kojot zaskowyczał i uciekł.

Jeśli chciała dotrzeć do rana, musiała rozpalić ognisko, ale musiała też zachować najwyższą ostrożność. Wszyscy w dolinie znali tragiczne historie o poszukiwaczach złota, którzy zimą próbowali ogrzać się w swoich szczelnie zamkniętych chatach i umierali zatruci czadem. Ogień pochłania tlen. Morgana musiała znaleźć złoty środek: rozpalić na tyle duże ognisko, by dostrzeżono dym, równocześnie uważając, by nie zatruć się dymem i nie odciąć dopływu tlenu do kivy.

Z kieszeni koszuli wyjęła zapalki i rozejrzała się za czymś, co nadawałoby się do spalenia.

A jednak drabina się przydała. Kiedy już ognisko zapłonęło na środku ceglanej komory, a smużka dymu wydobywała się przez otwór — oby tylko ktoś ją

dostrzegł i się nią zainteresował! — Morgana przyłożyła ręce do ust i znowu zawołała. Jej głos razem z iskrami i dymem poniósł się do zaciągniętego chmurami nieba.

Nasłuchiwała, czy ktoś nie odpowie. Znowu zawołała i znów czekała. Kiedy odpowiedziała jej tylko cisza, zaczęła się zastanawiać nad następnymi krokami.

— Cóż, tatku — wyszeptała. — Wreszcie się spotkaliśmy. Choć trochę inaczej to sobie wyobrażałam...

Łzy wezbrały jej pod powiekami. Przygryzła wargę. Wzruszać będzie się później, teraz powinna zachować trzeźwość myślenia.

Spojrzała na notes leżący pod dłonią umarłego. Wyglądało na to, że przed śmiercią zapisał sporo stron. Czym? Bełkotem szaleńca? Podsumowaniem życia? Równocześnie bała się i bardzo chciała przeczytać zapiski.

Jeszcze raz dokonała błyskawicznej oceny sytuacji. Miała zapalki, scyzoryk i niewielką butelkę wody przytroczonej do paska; miała czym podsycać ogień (drewno plus ubrania ojca). Postanowiła więc, że będzie podtrzymywać ogień i co parę minut wzywać pomocy, a resztę czasu poświęci na przeglądanie notatek ojca.

Siadła ze skrzyżowanymi nogami, przysunęła kajet do słabego światła i zaczęła czytać stronę, na której był otwarty. Te słowa zapisał jej ojciec, konając.

„Jestem pogrzebany żywcem. Umrę tu. Wciąż jednak nie potrafię uwierzyć, że moje życie było daremne; że zostałem sprowadzony tutaj, by ktoś zdmuchnął je jak świecę. Mnie bowiem objawiono tajemnicę kanionu Chaco! I znacznie, znacznie więcej! Stara Indianka zdradziła mi przesłanie ukryte w złocistej *olli*, cudowny sekret, który świat musi poznać! Dlatego póki lampa płonie, póki mam powietrze, będę dzielił się tą nadzwyczajną mądrością. To mój testament dla mej najdroższej córki, Morgany. Pewnego dnia mnie znajdzie, a choć już dawno nie będę żył, przemówię do niej”.

Delikatnie zamknęła notatki, potem zajrzała pod okładkę. Zobaczyła tam portret dziewczyny. Miała okrągłą twarz o wydatnych kościach policzkowych, hip-

notyzujące oczy i oryginalny tatuaż na czole — trzy pionowe kreski. Morgana trzymała w ręku oryginalny portret Indianki Hopi.

Przewróciła pierwszą stronę pamiętnika. Zobaczyła na niej datę: 1920 rok i pierwsze zdanie:

„Ja, Faraday Hightower, lekarz medycyny, urodzony w Bostonie w stanie Massachusetts, marzyciel i głupiec, poszukiwacz marzeń, zapisuję te słowa. Miałem czterdzieści jeden lat, kiedy przyszła na świat Morgana. Dopiero wtedy moje życie naprawdę się zaczęło. Wszystko co działo się wcześniej, stanowiło li tylko preludium, przygotowanie do przebudzenia, które nastąpiło z chwilą, gdy po raz pierwszy wziąłem w ramiona swą nowo narodzoną córkę”.

Mroczne wnętrza kivy miało w sobie coś upiornego, a zarazem melancholijnego. Morgana czuła, jak zaciskają się wokół niej ściany. Z trudem wciągała powietrze mieszkające tu od stuleci. Po ścianach pełzały cienie. Wydawało jej się, że czuje na sobie czyjeś oczy. W miarę jak czytała pamiętnik, traciła poczucie czasu, jakby nie spadła do komory w ziemi, ale w otchłań czasu.

„Elizabeth nie żyje. Jestem tego pewien. To jej głos przywołał mnie i przywiódł tutaj. A skąd mogłaby mnie wołać, jeśli nie z tamtej strony?”

Morgana przerwała lekturę. Usłyszała echo słów sprzed lat: „...wciąż nawiedzał mnie ten sam sen. Widziałam Faradaya zagubionego na pustyni. Wołałam do niego. Mówiłam, by szedł za moim głosem, a znajdzie ocalenie...”

Czytała dalej. Słowa przywoływały sceny z dzieciństwa.

„Wjechałem do kanionu Chaco z Morgana na plecach”.

„Bank eksmitował nas z Casa Esmeralda”.

Nazwiska ożywały i przybierały ludzką postać, jakby wszyscy ci ludzie przybyli, by czuwać z nią w kivi: John Wheeler, uzdrowiciel Nawaho, panie z Albuquerque, kowboje, urzędnicy do spraw Indian, Elizabeth Delafield i profesor Keene, podający się za księdza oszust nazwiskiem McClory.

Teraz Morgana wiedziała, skąd pochodziły pieniądze zostawione jej przez ojca — spadek, z którego ograbiła ją Betti-na. Nie z żadnego napadu na wóz z wyplatą. Ojciec odebrał swoją prawną własność od złodzieja, który go oszukał.

A Sara Bernam to była oślica, a nie kobieta!

Morgana przeczytała wszystko, co opisał ojciec — od nocy swoich narodzin po złamanie nogi w kivi i skargę, że zaczyna kręcić mu się w głowie, ma halucynacje...

Krzyk przerażenia. Armia Mrocznego Pana...

Zmusiła się, by odłożyć dziennik, i dorzuciła drewno do ognia. Ramiona i plecy ją bolały, palce miała zimne. Kiedy zadarła głowę, zobaczyła pociemniałe niebo i okap ze śniegu nad otworem. Jak długo czytała?

Wspinając się na palce, jakby to miało ją przybliżyć do wolności, przyłożyła zwinęte dłonie do ust i zawołała:

— Jest tam kto?

Popatrzyła na zmumifikowane ciało ojca.

— Tatku, boję się, co tam dalej znajdę. Ciotka Bettina twierdziła, że kiedy ostatni raz cię widziała, postradałeś rozum. Czy tego się dowiem? Ze miała rację? Ze moje obawy są uzasadnione? — Dorzuciła do ognia kilka szczapek. — Domyślam się, że stara Indianka jednak po ciebie nie wróciła.

Dlaczego ojciec nie wy dostał się z kivy? Owszem, złamał nogę, ale dlaczego nikt nie wyruszył, by go szukać? Mapa w kopercie, którą mi dał, gdy miałam dziesięć lat — błysnęło jej w pamięci. Morgana nie miała pojęcia, co się z nią stało. Sięgnęła po notatnik i podjęła lekturę.

„Kręci mi się w głowie. Przed oczami pojawiają się jakieś dziwne sceny...

Słuchaj, Pahana. Słuchaj i patrz.

To przemówiła stara Indianka. A przecież nie ma jej w kivi!

Mój lud nie odmierzał lat tak jak wy, Pahana. Abyś zatem mógł umiejscowić te wydarzenia w czasie, powiem ci, że działo się to roku, który wy znacie jako

1150, cztery stulecia przed tym, jak na kontynencie pojawili się ludzie nazywający siebie Hiszpanami.

Lud słońca mieszkał na terenie, który biali nazywają Czterema Rogami. Usłyszysz opowieść o Hoszitiwie, dziewczynie, której życie zmieniło się nieodwracalnie, gdy w jej wiosce pojawił się straszliwy Mroczny Pan ze swymi jaguarami...

Lektura tak wciągnęła Morgane, że kiedy wreszcie skończyła czytać opowieść Hoszitiwy — dzieje Ahotego, Beznosego i księcia Jakala — musiała wstać i podskakiwać, by przywrócić krążenie w zdrętwiałych nogach. Kiedy zadarła głowę, była zdumiona, widząc nieprzeniknione ciemności. Kiedy zaszło słońce? Jak długo czytała? Spojrzawszy na zegarek, zdumiała się, jak wiele godzin spędziła, czytając. W żołądku ssało ją z głodu, w ustach czuła smak popiołu.

Dorzuciła do ognia — resztki ubrań zdzieranych ostrożnie z ojca — i w myślach przeniosła się w inny świat, gdzie wędrowała po szerokich brukowanych traktach Tolteków, kupowała miedziane dzwoneczki na targowisku, śmiała się z Jani, dumnie stawiała czoło księciu Jakalowi, który radził się swego kamienia.

Przymknęła oczy. W brzuchu jej burczało, a przecież mogłaby przysiąc, że czuła na języku smak placków kukurydzianych i czekolady. Ręce i nogi zdrętwiały jej z zimna, a równocześnie wydawały się ciepłe, jakby grzało je słońce.

I pocałunek księcia Jakala, gdy wziął w ramiona córkę słońca...

— Dobra — powiedziała na głos, próbując dodać sobie odwagi. — Nie trać głowy. To tylko głód.

Niestety, suchary i konserwa zostały w plecaku na górze.

Może udałoby się go jakoś wciągnąć do środka? Leżał dosłownie o krok od miejsca, w którym zapadła się pod nią ziemia. Musi być blisko otworu.

Rozejrzała się za czymś, co mogłoby zastąpić wędkę. Pasek ojca! Jeśli połączy go ze swoim, a potem przywiąże jeszcze swoje i ojca sznurówki, może uda jej się dosięgnąć.

Związała je sztywnymi z zimna palcami, ale kiedy sprawdziła, okazało się, że lina jest za krótka. Spodnie ojca. Gdyby udało się podrzeć je na pasy...

Scyzoryk bez trudu rozciął sparciałą tkaninę. Kiedy Morgana przygotowała wystarczająco dużo pasów, związała je, na końcu zrobiła pętlę i próbowała wyrzucić ją przez otwór nad głową. Pierwsze próby zakończyły się niepowodzeniem. Lina odbijała się od sklepienia i opadała. Dopiero za szóstym razem wyfrunęła na zewnątrz i spadła na śnieg. Morgana zadarła głowę i przymykając oczy, by nie napadało do nich śniegu, ostrożnie ciągnęła. Pętla zsunęła się na ziemię. Bez zdobyczy.

Morgana ustawiła się pod innym kątem i znów zarzuciła „wędkę”. Kilka prób i lina wreszcie wylądowała na zewnątrz. I coś złapała!

Ciągnęła powolutku, ostrożnie... i do środka wpadł ostry kamień, omal nie rozbijając jej głowy. W ramionach i barkach czuła rozdzierający ból. Było za zimno, krew nie dopływała do rąk.

— Odpocznę kilka minut — powiedziała na głos, dodając sobie otuchy — ogrzeję się przy ogniu i spróbuję jeszcze raz.

Była pewna, że zdobędzie plecak, a wraz z nim jedzenie, drugą latarkę i coś, co będzie mogła dorzucić do ognia — czyli sam plecak.

Siadając przy ogniu i wrzucając do płomieni kolejne drwa i ostatnie kawałki śpiwora ojca, Morgana podjęła lekturę.

„Wielki Boże! Stara Indianka! Jest ze mną w kivicie! Kiedy tu zeszła? Nie słyszałem jej. Powiedziała: «Czas, byś poznał odpowiedzi, których szukałeś». Odparłem, że jestem osłabiony i czuję ból, zaklinałem, by sprowadziła swoich współplemieńców, którzy wyciągnęliby mnie z tej piekielnej otchłani. Ona zaś tylko zaczęła mówić głosem gładkim jak jedwabne wstążki. Mówiła tak kojąco, że nie mogłem nawet unieść pióra, by dalej pisać. Słuchałem z najwyższą uwagą i nabożeństwem. Nie wiem jak długo, ale na końcu, gdy leżałem wycieńczony w ubraniach mokrych od potu — bowiem słuchając, o czym mi mówiła, i patrząc na wizje, które przede mną roztaczała, czułem się, jakbym przebiegł setki kilometrów — zniknęła. Teraz zostałem sam, lecz nie czuję już bólu. Przeciwnie, mam wrażenie, jakbym dostał świeży zastrzyk energii. Rozsadza mnie zapał. Chce mi się tańczyć! Przepęlnia mnie radość! Teraz zapiszę cudowne przesłanie, które mi objawiła...

Zaraz! Tupot podków! Ktoś nadciąga! Jestem uratowany!"

Morgana spojrzała na zmumifikowane ciało. Ojciec zosta! uratowany? To kim jest ten człowiek? Wszystko wyjaśniło się w następnym zdaniu:

„To jednak nie była pomoc. Zjawiała się Bettina. Sądziłem, że mnie uratuje. Myliłem się”.

Ze zgrozą czytała opis ich rozmowy. Pojedyncze zdania wyskakiwały z tekstu: „Bettina przyniosła mapę, którą dałem Morganie, i podarła na moich oczach”, „Bettina powiedziała Elizabeth, że jest moją żoną, a ja popełniłem cudzołóstwo”, „Bettina przyznała się, że pozwoliła wykrwawić się Abigail, żeby móc wyjść za mnie za męż”. Znalazła list wciśnięty między kartki. Był adresowany do jej ojca, nosił datę z 1916 roku. Napisała go Elizabeth. Teraz Morgana знаła prawdę: Faraday nie miał pojęcia, że Elizabeth spodziewa się dziecka.

Przymknęła oczy. Bettina... Słowa, które powiedziała ojcu w jego ostatniej godzinie. A potem wyszła, zamykając go w kivicie.

Podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je ramionami, nie broniąc się przed bólem.

Zostawiła go tutaj. Pogrzebała żywcem.

Po pewnym czasie ból zelżał, Morgana wyprostowała się i otarła łzy. Przez tyle lat zastanawiała się, co pchnęło ciotkę do zabicia Elizabeth. Panicznie bała się, że to dziedziczna choroba psychiczna, którą przekazuje swojemu synowi. Wreszcie poznała prawdę. Straszliwe piętno dziecka z nieprawego łoża, które dźwigała przez całe życie, pchnęło ciotkę w szaleństwo.

Nie skończyła lektury dziennika ojca, gdyż musiała zatroszczyć się o swoje przetrwanie. Na zakurzonej podłodze znalazła resztki jakiegoś worka, może płóciennej torby. Tkanina nadawała się do podsycenia ognika, ale już zaskakująca zawartość — nie. W środku bowiem Morgana zobaczyła szminkę, puderniczkę, damską chusteczkę i grzebyk. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to zapewne torba, z którą Bettina zeszła do kivy. Widocznie zostawiła ją, wychodząc po walce z Faradayem.

Kiedy ogień strawił torbę i chusteczkę, Morgana zaczęła szukać dalej. Trafiła na niewielką Biblię, którą Faraday wziął ze sobą do kivy. Skórzane okładki były w dobrym stanie, ale gdy otworzyła książkę, kartki rozsypały jej się w palcach.

Płomienie znów zaczęły wyżej strzelać. Kobieta przysunęła się do ognia, szukając ciepła i otuchy. Była przekonana, że szary słup dymu strzelający iskrami zwróci uwagę ludzi, którzy zainteresują się ogniem płonącym w środku pustyni.

Wróciwszy do lektury, usłyszała nad głową szmer. Nasłuchiwała. To wrócił kojot. Usłyszała jego węszenie. Zainteresował się plecakiem.

— Ej! — krzyknęła, klaszcząc w ręce, jak to robiła zawsze, gdy przyłapała kojoty na myszkowaniu w ogrodzie.

Usłyszała oddalający się brzęk klamerek, gdy zwierzę wlokło po śniegu swoją zdobycz. Potem zapadła cisza.

Zwiesiła ramiona. Jedzenie przepadło.

Krążyła po lodowatym pomieszczeniu, machając rękami i tupiąc. Kiedy teraz ogień przygaśnie, będzie musiała dorzucić kurtkę. Niczego więcej z siebie nie zdejmie, bo wtedy zamarznie na śmierć.

Siadła przy ognisku i czytała dalej.

„Stara Indianka wyjaśniła, że Hoszitiwa miała zamieszkać w Mieście i stworzyć deszczowy dzban nie po to, by sprowadzić deszcz, lecz aby otrzymać objawienie. Mówiła, że żyjemy w Czwartym Świecie. Przedtem żyliśmy w Trzecim, o którym zapomnieliśmy. Na Ziemię spadła straszliwa katastrofa, która zniszczyła wszystko, co istniało. Ludzie, którzy zdołali przeżyć, musieli ukryć się pod ziemią”.

Morgana oderwała wzrok od kartki. W kivie gęstniało od cieni. Płomienie tańczyły w ognisku, malując na ścianach groteskowe sylwetki. Wiedziała, że traci kontakt z rzeczywistością. Przysięgłaby bowiem, że czytając słowa ojca, równocześnie słyszy je wypowiedane kobiecym głosem. Był taki, jak opisywał ojciec: gładki niczym jedwabne wstążki.

Przed zniszczeniem Trzeciego Świata ludzie zgłębili naturę życia i kosmosu, posiadli tajemną wiedzę. Wtedy jednak na Ziemię spadła straszliwa klęska. Komety i ciała niebieskie połączyły się, a słońce stanęło nieruchomo na niebie...

Przerwała lekturę. „Słońce stanęło nieruchomo”. Historia zdobycia Jerycha przez Jozuego. Czyżby ojcu zaczęły mylić się mity Indian Hopi z historiami opisanymi w Biblii?

To wydarzyło się sto pokoleń temu, kiedy ludzkość doświadczała złotej ery. Potem świat został zniszczony. Pamiętamy upadek, ale nie mądrość naszych przodków, których nazywamy Pradawnymi.

Kolejny wątek biblijny? — zastanawiała się Morgana. Upadek opisany w Księdze Rodzaju. Adam i Ewa żyjący w Edenie, przed grzechem pierworodnym. Przeszył ją dreszcz. Zapaliła latarkę, bo płomień w ognisku przygasał.

Za dni owej złotej ery, którą Hopi nazywają Trzecim Światem, słońce wstawało na zachodzie, a znikalo na wschodzie. Niebo było wówczas tak blisko Ziemi, że nie istniała Gwiazda Poranna. Potem tuż nad Ziemią przeleciała kometa i słońce zmieniło trasę swej wędrówki. Stanęło w miejscu, po czym odmieniło swój bieg. Niebo runęło, ziemia się obróciła, a kometa stała się Gwiazdą Poranną. Lud księcia Jakała wierzył, że ta nowa gwiazda, którą my nazywamy Wenus, to niebieskie wcielenie boga zwanego Quetzalcoatlem, który rzucił się na swój stos pogrzebowy, a z jego prochów powstała gwiazda, od tej pory świecąc na niebie.

Morgana czytała kiedyś o świętej księdze starożytnych Egipcjan, w której opisywano kosmiczną walkę ognia z wodą, kiedy północ stała się południem, Ziemia się obróciła, a słońce zaczęło wschodzić tam, gdzie przedtem zachodziło. Zresztą czyż to nie Platon napisał, że słońce niegdyś budziło się tam, gdzie teraz zachodzi, a zachodziło tam, gdzie dziś się pojawia na niebie? Także Sofokles — przypomniała sobie — napisał, że słońce zmieniło bieg i zamiast na zachodzie zaczęło pojawiać się na wschodzie.

Czyżby stara Indianka opowiadała o wydarzeniach, które naprawdę miały miejsce?

Morgana popatrzyła na z mumifikowane ciało ojca. Teraz, bez ubrań, wydawało się jeszcze bardziej słabe i kruche. Wyobrażała sobie, jak ojciec — mimo

bólu i świadomości, że został żywcem pogrzebany — gorączkowo notuje każde słowo. Cały on. Przechowanie zaginionej mądrości było ważniejsze od własnego losu.

Przełykając łyżę, wróciła do lektury. Tuż przy uchu słyszała głos gładki niczym jedwabne wstążki, snujący tę samą opowieść, która rozwijała się przed jej oczami.

Kiedy ludzie wynurzyli się spod ziemi i nastał Czwarty Świat, stracili dawne jedność. Żyli oddzieleni od zwierząt i bogów. Zaznaczaliśmy granicę, postrzegaliśmy siebie jako odrębne byty. Pracując nad dzbanem Hoszitiwa zbierała glinę, wodę, barwniki. Nie zdawała sobie sprawy, że dzban już jest, że czeka tylko, aż nada mu kształt. W dzbanie żyło niebo, bowiem osuszał go wiatr przezeń zesłany. I słońce było w dzbanie, bowiem suszył się w jego promieniach. Ogień był w dzbanie, bowiem płomień wypalił glinę. Wszystko to, łącznie ze łzami Hoszitiwy, było w dzbanie. Ten dzban to kosmos.

Morgana pomyślała o odłamku złocistej *olli*. Był twardy, miał barwę dojrzałej brzoskwini i namalowany czerwoną farbą wzór. Rozgniotła go piętą, zamieniając w proch. Następnego ranka nie mogła sobie wybaczyć tego pochopnego czynu. Starannie zmiotła resztki pomarańczowej gliny i wsypała je do puzderka. Teraz czytając słowa ojca, zrozumiała, że w postaci tego prochu w pewnym sensie wciąż przechowuje cenną pamiątkę.

Cienie tańczyły na kartkach. Wyteżając wzrok, czytała, równocześnie słysząc głos z przeszłości.

O tym ludzie zapomnieli, gdy Trzeci Świat uległ zagładzie i zamieszkaliśmy pod ziemią. Słuchaj piszczałki. Wsłuchaj się w dźwięk, w nutę. Kiedy flecista przestaje grać, co słyszysz? Nie ciszę. Nie ma ciszy. Dźwięk wciąż żyje. On tylko połączył się z wiatrem. Stał się częścią tego, co mój lud nazywa Suukya'qatsi — Zjednoczone Życie. To prastare słowo, Pahana. Nie pochodzi z języka ludu słońca ani z języka ludu księcia Jakala. Rodzi się w pradawnej pamięci, płynie w naszej krwi, jeszcze nim się narodzimy. Hoszitiwa usłyszała je po raz pierwszy, gdy malowała deszczowy dzban i przekazała je swojemu plemieniu. Suukya'qatsi. Nierozzerwalna Jedność.

— Jedność — szepnęła Morgana i przypomniał jej się ulubiony werset z Biblii, który ciotka Bettina tak lubiła cytować. Jezus proszący Boga, „aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie”.

Jedność to harmonia i równowaga — czytała i równocześnie słyszała Morgana — ponieważ wszystko jest połączone. Wyobraź sobie pajęczynę. Jeśli jej dotkniesz, nici drgają, budząc pajaka śpiącego w środku. To co się wydarzy w jednym zakątku świata, wpływa na losy wszystkich. Wrzuć kamyk do sadzawki, a jego ruch będzie wibrował w całym wszechświecie.

Morgana poczuła, że szczęka zębami. Przerażona zerwała się na nogi, szukając czegoś, co jeszcze mogłaby spalić. Temperatura w kivi błyskawicznie spadała, powietrze kłuło płuca niczym igielki lodu. Kobieta traciła czucie w palcach stóp. Wtem, gdy się pochyliła, szukając na ziemi czegoś nadającego się na opał, kiva zakółysała się i zawirowała. Klepisko zniknęło, ściany się rozstały, sklepienie wzbiło się w niebo. Morgana krzyknęła, zacisnęła powieki i wyciągnęła rękę, próbując się podeprzeć. Pod palcami poczuła jednak nie glinianą cegłę, ale jakby korę drzewa.

Otworzyła oczy i aż się zachłysnęła.

Kiva zniknęła. Mrok i zimno ustąpiły. Stała na szczycie płaskowyżu, czując podmuchy wiatru. Gdziekolwiek okiem sięgnąć — potężne masywy porośnięte sosnami, poprzecinane głębokimi kanionami, na których dnem płynęły rzeki. Nad głową zaś nieskończony bezmiar nieba. Kolory aż oślepiały: zielone jak szmaragdy drzewa i krzewy rosły na złocistych skałach; białe chmury sunęły po lazurowym niebie, po którym czasem przemknął czerwony blask — skrzydła kołującego jastrzębia. Morgana poczuła, że coś szarpie ją za włosy. Podniosła wzrok i zaskoczona zobaczyła, że stoi w cieniu sosny. Włosy zaplątały jej się w konar. Uwolniła się i wyszła na słońce. Widok był tak piękny, że aż zapierał dech w piersi.

— Czy to istnieje naprawdę? — wyszeptała.

Nigdy jeszcze jej zmysły nie były tak wyostrzone. Nigdy jeszcze nie odbierała życia z taką wyrazistością. Powietrze było rześkie i chłodne. Czowała ciepłe

promienie słońca na ramionach i łaskotanie włosów, które wiatr zarzucał jej na twarz. To musiało dziać się naprawdę.

—Gdzie ja jestem?

—Tam gdzie powinnaś, córko.

Morgana gwałtownie się obróciła. Za nią stała stara Indianka. Długie siwe warkocze spływały na czerwoną bluzkę ściśniętą w talii pięknym srebrnym paskiem wysadzonym turkusami. Skórzana spódnica z frędzlami kończyła się tuż nad mokasynami ozdobionymi paciorkami. Kobieta wyglądała na istotę z krwi i ciała.

— To wygląda jak Nowy Meksyk — mruknęła Morgana, odgarniając włosy z twarzy. — Albo Kolorado. Jak się tu dostałam?

—Ja cię tu przeniosłam.

—Po co?

— Byś zobaczyła Siebie. Zanim bowiem pojdziesz Wszystko, musisz zrozumieć Siebie. A także dlatego, że ból zasnuwa chmurami twą duszę, nie dopuszczając do niej słońca ani mądrości. Twe serce jest ciężkie, bowiem oplakuje tych, których znasz pod imionami Elizabeth, Gideon i Robert. A także Faraday, którego ja zwę Pahaną. Przeprowadziłam cię tu, córko, by ci pokazać, że śmierć nie istnieje, bo nic nie umiera.

Morgana rozejrzała się na prawo i lewo. Zobaczyła ruiny prekolumbijskiej osady.

— Nie wierzę w to.

— Ty w wiele rzeczy nie wierzysz, córko — uśmiechnęła się stara Indianka. — W anioły i duchy, w bóstwa i w czary. Lecz uwierzysz.

Wiatr zmienił kierunek i przyniósł intensywną woń bylicy. Morgana poczuła też zapach sosen i piasku, i powietrza tak świeżego, że zakręciło się jej w głowie. Wciąż jestem w kivic? Mam halucynacje?

—Jesteś wszędzie, córko, w Nerozerwalnej Jedności. Spójrz na nocne niebo.

Kobieta uniosła rękę i nagle zapadła noc, a granatowy firmament rozjarzył się milionami gwiazd. Morgana głośno krzyknęła i oszołomiona wpatrywała się w nieskończoność nieba.

— Przypatrz się — powiedziała Indianka. — Ciała niebieskie są w nieustanym ruchu. Ani jedna gwiazda na niebie nie tkwi nieruchomo. Tak samo jest w naturze. Nic nie jest nieruchome, nawet kamień, bowiem on także nieustannie się zmienia. Wszystko we wszechświecie stale przechodzi z jednej postaci w drugą, zmienia się bez końca. Tak samo jest z naszymi myślami i duszami, córko. Bowiem nasze dusze, podobnie jak ciała, zostały utworzone z gwiazdzistej materii. Dlatego nigdy nie umierają, tylko przechodzą z jednego cyklu w drugi. Wszechświat kształtuje nasze myśli tak samo, jak nasze ciała, zatem nawet one są żywymi stworzeniami. To zaś, co kosmos ukształtował, nigdy nie umiera. Podobnie i twoi umiłowani, których tak oplakujesz, nie zmarli, lecz wraz z Ojcem Stwórcą żyją w wiekuistym lecie kosmicznej duszy.

Przejęta nabożną trwogą i czcią Morgana nie potrafiła wymówić słowa.

—Odwagi, córko — ciągnęła stara kobieta — bowiem Jedność zawsze pozostanie Jednią. *Suukya'qatsi*. Wszystko stanowi część całości, nawet niewidoczna przestrzeń między wątkiem a osnową w tkaninie. Nie widzisz jej, a przecież istnieje, tworząc wzór, tkaninę, całość. Nawet nicość jest częścią Czegoś. Zrozumiałaś to, gdy zobaczyłaś deszczowy dzban, który nazwałaś *allą*.

—Jakie jest przesłanie wzoru namalowanego na naczyniu? — spytała Morgana kobietę stojącą w blasku gwiazd.

—Wzór przedstawia kosmos — odparła cicho Indianka — i wszystko co on zawiera: rośliny, niebo, ziemię, ludzi, zwierzęta, słońce i księżyc. Jeśli bacznie się przyjrzyysz, dostrzeżesz nawet ryby i węgorze. Motyle. Orzeszki. Nie dostrzegałaś w nim ładu. A wszak on tam jest! Jeśli uważnie popatrzysz, zobaczysz, że symbole dotykają się i łączą, nic nie stoi osobno ani oddzielnie. Widać, że wszystko jest wewnętrznie spójne i połączone, córko. Właśnie to przedstawiła na dzbanie Hoszitiwa, a jej ręką kierowała nie jej własna mądrość, lecz pradawna Wiedza żyjąca w ludzkiej pamięci. Hoszitiwa ukazała najwyższy ład kosmosu. Ostateczną harmonię i równowagę. Brak końca i początku.

—Czy to jest zaginiona mądrość Pradawnych?

—Mądrość, którą ci objawiłam, nie zaginęła, córko. Nie jest to również mądrość, której można się nauczyć. To wiedza, która żyje w każdym z nas. Rodzimy się z nią, otrzymujemy w darze od Wielkiego Stwórcy. Leżała w nas uśpiona od zniszczenia Trzeciego Świata, lecz dziś wreszcie zaczynamy ją w sobie budzić.

Nagle na płaskowyżu pojawił się Faraday — wysoki, chudy brodaty mężczyzna o twarzy i oczach, których nie można było zapomnieć. Morgana wpatrywała się w niego oszołomiona. Zdawał się nie dostrzegać jej obecności.

—Nazywasz mnie Pahana! — krzyknął donośnie. — Kiedy z Johnem Wheelerem odwiedzałem Indian Hopi, powiedzieli, że tak nazywa się zaginiony biały brat, którego powrotu wyglądacie.

—A czyż nim nie jesteś? — spytała kobieta.

—Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Jestem zwykłym człowiekiem. Nieszczęsnym grzesznikiem, który szukał drogi powrotnej do Boga.

Indianka ściągnęła brwi.

—Zatem przybyłam za wcześnie?

—Na co?

—Mój lud wierzy, że kiedy mądrość Pradawnych zostanie wskrzeszona, nasz zaginiony biały brat powróci i wtedy nastanie era pokoju i pomyślności. Ostatni szaman ma ogłosić przyjście Pahany. Sądziłam, że ja jestem ostatnim szamanem, lecz może to ty nim jesteś, Faradayu Hightower. Albo ten kto przyjdzie po tobie. A kiedy on lub ona przyjdzie na ziemię, będzie to oznaczało, że nasz biały brat wkrótce powróci.

Wtem Morgana zauważyła, że gwiazdy bledną, a na horyzoncie wschodzi słońce, zalewając doliny, wąwozy i skały błogosławioną złocistą patoką. Świat znowu się przebudził, mieniając się paletą najpiękniejszych barw.

— Muszę jeszcze powiedzieć ci coś o matce mego ludu — zwróciła się do niej stara kobieta. — Znakiem rozpoznawczym plemienia Hoszitiwy był tatuaż na czole. Wyglądał tak.

Indianka odgarnęła srebrzystą grzywkę i Morgana w jasnym świetle porannego słońca zobaczyła trzy niebieskie pionowe kreski.

—Dziewczyna w ruinach miała takie same — odezwał się Faraday, który nie zniknął wraz z nocą. — Pochodzicie z tego samego plemienia?

—Nie, Pahana. Ta dziewczyna to ja. A jeszcze wcześniej, Faradayu, pamiętasz?

—Co?

—Tę noc, gdy zamierzałeś targnąć się na swoje życie. Miałeś gościa.

—Odwiedziła mnie cygańska wróżka.

—To byłam ja. Twoja szwagierka mnie nie widziała. Nie zastukała do drzwi, informując, że masz gościa. Tylko tak ci się zdawało.

—Jesteś duchem? — zapytała Morgana.

—Wszyscy jesteśmy duchami, córko. Duchami obleczonymi w skórę.

—Skoro pochodzisz z innego czasu, jak to się dzieje, że cię widzę?

—My wszyscy nieustannie tu jesteśmy. Wszyscy, wszystko. Kiedy naprawdę pojmiesz istotę Jedności, córko, będziesz mogła poruszać się w czasie. Bowiem czas, podobnie jak materia, stanowi Jedno. Możesz wysłać duszę w przeszłość i dowiedzieć się tego, czego zapomniałaś. Możesz badać teraźniejszość i odkrywać tajemnice. Możesz zajrzeć w przyszłość i poznać przyszłe wydarzenia.

— Ale dlaczego przyszłaś do mnie jako Cyganka? — zapytał Faraday.

W świetle dnia Morgana zobaczyła, jak bardzo był przystojny, i przestała się dziwić, że Elizabeth się w nim zakochała. Marzyła, by podbiec i rzucić mu się w ramiona, ale nie mogła się ruszyć.

— Wybrałam tę postać, ponieważ byłeś z nią oswojony. Sam przyznaj, nie wątpiłeś w jej realność. Jak byś się zachował, gdybym stanęła przed tobą w moim obecnym kształcie? W postaci, którą biali nazwaliby dzikuską? Chciałam, byś wszedł na tę drogę, a nie uciekał z niej!

Morgana dostrzegła w tym logikę.

—Dlaczego nie ujawniłaś tacie tych tajemnic już wtedy, w Bostonie?

—Musiał wyruszyć w podróż, by okazać się godnym objawienia. To była jego próba.

—Skąd wiedziałaś, że wejdzie na tę ścieżkę? — dopytywała się Morgana.

—Mężczyźni rodzą się łowcami, córko. Mają to we krwi. Są w nieustannej pogoni. Czasem za zwierzyną. Czasem za duchowym objawieniem. Ta potrzeba w nim żyła. Była tak silna, że nie mógł zlekceważyć mojego wezwania.

—Dlaczego akurat mój ojciec, a nie ktoś inny?

—Ponieważ stracił wiarę, córko. Tak jak księżę Jakal. Tak jak ja. I podejrzewam, tak jak ty. Ponieważ straciliśmy wiarę, zostaliśmy wprowadzeni na ścieżkę powrotu do prawdy. Nasze losy są splecione od początku czasu. Ja, jako dziewczyna z Miasta, miałam przypomnieć sobie mądrość Pradawnych. Ty i twój ojciec mieliście za moim pośrednictwem odkryć ją na nowo. Jesteśmy początkiem Piątego Świata, córko. Drugiej Złotej Ery.

W tej samej chwili Morgana zrozumiała, że Robert się nie mylił. Pozwoliła, by lęk kierował jej życiem. Uświadomiła sobie jednak, że nie ma się czego bać. Wszystko jest normalne, wszystko jest wpisane w naturalny porządek rzeczy. Nawet tragiczne wydarzenia. Nawet śmierć. Równowaga. Wzajemne połączenia i przenikanie się. Jedność ze wszechświatem. Pojęła również, że nawet jeśli człowiek próbuje wyrwać się ze swojego kręgu, zawsze pozostaje połączony z wielką rodziną ludzkości.

—Czy naprawdę Hoszitiwa to ty? — spytała drżąc z przejęcia i trwogi.

—Pokażę ci.

I na jej oczach kobieta odzyskała młodość. Siwe włosy zmieniły się w kruczoczarne, warkocze rozplotły się i ułożyły w kwiaty dyni nad jej uszami. Piękna, okrągła miedziana twarz o oczach w kształcie liści i nieśmiałym uśmiechu. To była Hoszitiwa sprzed ośmiu stuleci.

— Zastanawiasz się, dlaczego mój lud nie wrócił do Miasta — odezwała się młoda dziewczyna. — Zbyt wiele zła, nieszczęścia i smutku się tam nazbierało. Rozpanoszyły się tam nieszczęśliwe duchy. Mój lud stracił wiarę. Nasza kultura stała się bezbożna. Święte obrzędy zamieniliśmy w puste festiwale i zabawy. Traktowaliśmy kivy jak sypialnie. Odrzuciliśmy modlitwę, prawa i bogów. Dlatego na Miasto spadła susza i głód, zmuszając nas do ucieczki. Musieliśmy zamieszkać jako obcy na nowej ziemi. Odchodząc z Miasta, mój lud uznał je za tabu i nigdy tam nie wrócił. Lecz lud słońca... my, których wy nazywacie Indianami Anasazi... nadal żyje. Mieszkamy w kanionach, uprawiamy kukurydzę, żyjemy tak, jak nasi praprzodkowie. Dochowujemy wierności świętym obrzędom i prawom. Znowu odkryliśmy harmonię.

Spojrzała na słońce, westchnęła.

—A teraz muszę cię opuścić — powiedziała.

—Czekaj! — prosiła Morgana. — Nie odchodź!

— Zmarłam wiele stuleci temu, córko, i zostałam pogrzebana. Moje kości już dawno obróciły się w proch, lecz duch, jak sama widzisz, żyje nadal. Tak samo będzie żył twój duch i duch tych, których miłujesz. Oto przesłanie, którego głoszenie jest moim powołaniem. Teraz opuszczę was oboje, by połączyć się ze swoją rodziną; by połączyć mą duszę z duszą księcia Jąkała, który mnie oczekuje.

To powiedziawszy, zniknęła Morganie z oczu. Stara Indianka, cygańska wróżka, młoda Indianka Hopi, Hoszitiwa.

Faraday również zniknął, na pożegnanie posyłając córce uśmiech i machając do niej ręką.

Morgana znów znalazła się w ciemnej zimnej kivi. Siedziała na klepisku z otwartym notatnikiem na kolanach.

— Do widzenia, tatusiu — wyszeptowała.

Nie rozumiała, co się przed chwilą wydarzyło, lecz czuła, że dostała ostatnią szansę zobaczenia ojca. Przepelniał ją smutek pomieszany z wdzięcznością i radością. Zapanowała nad emocjami i w tej samej chwili z przerażeniem dostrzegła, że ogień zgasł. W kivi było zimniej niż w lodówce. Z ust kobiety unosiły się obłoczki pary. Zadarła głowę — tylko granatowe niebo. Czy to jeszcze noc? Kiedy nadejdzie świt?

A może spędziłam tu już cały dzień i noc? pomyślała z trwogą. Czy nie przeczytałam całego dnia, pogrążona w lekturze pamiętnika?

Nie miała już czym podsycać płomieni. Zostały tylko jej ubrania. A jednak musiała je spalić. Potrzebowała ognia, by dym przykuł czyjaś uwagę i żeby nie siedzieć w ciemności, bo latarka powoli już gasła. Impulsywnie zdarła bluzkę z długimi rękawami, rzuciła ją na podłogę i przytknęła do niej zapalnik. Wkrótce zapłonęło ciepłe złociste ognisko.

W pamiętniku zostało już tylko kilka stron.

„Jakież niezwykle wizje otrzymałem!” — pisał jej ojciec. — „Całe życie marzyłem o wizjach takich jak te, którymi została pobłogosławiona Ellen White. Teraz ja również zostałem pobłogosławiony, bowiem ujrzałem nie tylko wizję, ale także mą córkę, dorosłą i piękną. To dar dla mnie od Hoszitiwy. Mogę umrzeć ze świadomością, że mojej najdroższej Morganie nic nie grozi.

A przecież Hoszitiwa dała mi jeszcze więcej! Kiedyś zżymałem się, czytając pisma niejakiego Alberta Einsteina i innych naukowców, którzy jak sądziłem, grzeszyli bezbożnością, coraz głębiej badając świat atomów. Uważałem, że skoro Bóg jest tak wielki i nieogarniony, badanie drobnych cząsteczek jest odwróceniem się od Niego. Panicznie się bałem zanurzania w świat drobinek. Krzyczałem przerażony: Jak może być święte coś tak niewiarygodnie małego?

Teraz rozumiem, że nowa fizyka Alberta Einsteina i Maksa Plancka to odkrywana na nowo mądrość Prastarych. Jakże niemądry był mój strach! Także wtedy w Chaco, gdy zobaczyłem owe przerażające demony. Teraz wiem, że stanowiły jedynie wytwór mojej wyobraźni. Nie patrzyłem na szkice, które rysowa-

łem, będąc w delirium. Zamknąłem je w teczce i ukryłem. Teraz wyjmę je i obejrzę, póki jeszcze jest światło".

Morgana wypuściła dziennik. Rysunki są tutaj?

Rzuciła się na czworaki i zaczęła przeszukiwać podłogę. Wreszcie pod grubą warstwą pyłu, który przez ponad dwadzieścia lat opadał z glinianych murów, namacała teczkę. Drżącymi palcami rozwiązała wstążkę i podniosła okładkę. W środku zobaczyła gruby plik kartek. Wyciągnęła je ostrożnie, oświetlając gasnącym światłem latarki.

Głośno wciągnęła powietrze. Rysunki jej ojca.

W pełnym zdumienia zachwycie oglądała widoki ze Smith Peak i Kanionu Motyla, hogany Nawahów, kanion Chaco, tańce obrzędowe Zuni, Bettinę w obozie, nawet siebie na koniu. Wszystko to kolorowe, wierne jak fotografia, opisane ręką jej ojca.

Nie wierzyła własnym oczom. Znalazła oryginalne rysunki *olli*. Z każdego możliwego ujęcia, pieczołowicie oddane

wszystkie odcienie złota, pomarańczy i czerwieni, pozornie chaotyczny wzór, w którym Morgana dopiero teraz dostrzegła drzewa, góry, kometa, lwa, kaktusy, drogi, śnieg, nawet *kokopilau* z jego pieszczką. Wszystko połączone, tworzące harmonijną całość.

Nierozzerwalna Jedność.

ROZDZIAŁ 97

Chciała dokończyć lekturę, ale ogień znowu przygasł, a dotkliwy mróz przenikał kości. Spaliła bluzkę, więc teraz z nagimi ramionami siedziała w lodowatej kowie. W życiu też nie była tak spragniona. Usta miała spierzchnięte, język pęczniał jej w ustach, ale ostatnią kroplę wody wysączyła wiele godzin temu. Na klepisku namacała gładki kamyczek i wsunęła go do ust. Wkrótce do ust napłynęła ślina, przynosząc ulgę.

Musiała czymś palić w ognisku. Choć serce jej pękało, wrzuciła teczkę do płomieni, starannie odsuwając szkice, by nie uszkodził ich ogień. Dym wzbił się w górę, przez otwór wydostając się na zewnątrz.

Wróciła do lektury, nie mogąc się doczekać ostatnich słów zapisanych na pozółkłych kartkach.

„Otworzyłem skrytkę w moim szkicowniku i po raz pierwszy obejrzałem swe chorobliwe majaki, które narysowałem w Albuquerque. Jakimż durniem byłem! Tam nie ma nic przerażającego! Przeciwnie, dostałem bezcenny skarb. Postacią, którą uznałem za demona, był nikt inny jak sam książę Jakal, ostatni z Tolteków”.

Morgana krzyknęła i rzuciła się do ogniska, wyciągając z niego teczkę i depcząc po niej, by zdławić płomień. Trzęsącymi się rękami namacała skrytkę. Wstrzymała oddech i wyciągnęła rysunki.

Rozszerzonymi z zachwytu oczami patrzyła na fascynujące portrety mężczyzny o wysokim czole, wyrazistym nosie i szczęce. Włosy modela to opadały na ramiona, to były związane w węzeł, czasem zasłaniał je imponujący pióropusz. Jąkał na dziedzińcu, odziany w strojne szaty i klejnoty, albo niemal nagi modlący się na płaskowyżu.'

Rysunki zapierały dech w piersi, ale... czy rzeczywiście przedstawiały tolteckiego władcę? Jak to możliwe? Ojciec zrobił je, gdy majaczył. Jak może twierdzić, że są prawdziwe?

Wtedy jej uwagę przykuł złoty talizman na piersi Jakala. Zerwała się na nogi.

Amulet, który nosiła na szyi, zwykle był schowany pod bluzką, teraz jednak połyskiwał w słabym świetle ogniska. Morgana doskonale pamiętała, jak go znalazła, choć miała wtedy zaledwie sześć lat: obudziły ją kroki ojca opuszczającego uśpione obozowisko pod Pueblo Bonito. Poszła za nim w ruiny i patrzyła, jak kopie w ziemi, rozmawiając ze sobą, znajduje dzban, biegnie z nim do obozu i tam mdleje. Potem zjawiała się Bettina, podniosła dzban i odstawiła z pozostałymi.

Po powrocie do Albuquerque ojciec leżał chory za zamkniętymi drzwiami. Morgana nie mogła go odwiedzać. Postanowiła przyjrzeć się z bliska dziwnemu dzbanowi. Kiedy go wzięła, usłyszała, że w środku coś grzechocze. Zajrzała. Niczego nie zauważyła. Musiała włożyć dłoń do środka. A choć jej drobne paluszki z trudem dosięgały dna, schwyciła ukryty przedmiot.

Był błyszczący i złoty. Schowała go i nikomu o nim nie powiedziała. Kiedy miała dwanaście lat, zdjęła z łańcuszka złotego jednoroźca otrzymanego od ojca i zastąpiła go tym amuletem. Kiedy teraz obracała w palcach z niezwykłym pietyzmem i precyzją wyrzeźbiony kwiat — sześć płatków z czystego ze złota i turkusowe oczko w środku — nagle o czymś sobie przypomniała.

Nerwowo przerzucając kartki dziennika, odnalazła fragment snu, który ojciec zatytułował „Opowieść Hoszitiwy”.

„To piękny *xochitl*. Zawiera kroplę świętej. krwi Pierzastego Węża. Choć wymawia się to «soszit», od razu wiedziałem, jak należy to zapisać. *Xochitl* w języku Tolteków znaczy «kwiat». Właśnie to podarował Jakal Hoszitiwie”.

Do tej pory Morgana sądziła, że jej amulet to cacko Indian Hopi albo Nawahów, liczące najwyżej sto lat. Z zachwytem patrzyła na złoty kwiat na swojej piersi, talizman noszony kiedyś przez księcia Tolteków.

Zawiera świętą kroplę krwi Quetzalcoatla!

Nagle uświadomiła sobie, że ojciec nigdy go nie widział. Nawet jeśli zajrzał do dzbana, nie mógł zobaczyć go aż tak wyraźnie, by zapamiętać wszystkie szczegóły. Jak zatem zdołał tak wiernie oddać go na portrecie Jakała?

Odpowiedź mogła być tylko jedna: to wszystko była prawda.

Jedno tylko było nieprawdą: szaleństwo umysłowe, Faraday Hightower mógł być marzycielem, filozofem, pasjonatem, ale nie cierpiał na żadną chorobę psychiczną.

Ostrożnie odłożywszy portrety na kupkę z rysunkami, z powrotem wrzuciła teczkę na gorący popiół i patrzyła, jak zajmuje się ogniem. Wiedziała, że płomień strawi ją w ciągu kilku minut. Spodnie wystarczą góra na godzinę. Potem nie zostanie jej już nic do spalenia. A sądząc po granatowym niebie, do świtu było jeszcze daleko.

Postanowiła teraz o tym nie myśleć. Została jej do przeczytania ostatnia strona. Z gołymi ramionami i nogami, siedząc tylko w bawełnianej bieliźnie, a mimo to nie odczuwając lodowatego zimna, kończyła historię ojca.

„Wyruszyłem w tę podróż w poszukiwaniu Boga i znalazłem Go wszędzie: we wzgórzach i dolinach, w indiańskich frędzlach i paciorkach, w rysunkach z piasku Nawahów, w kivach Hopi, obrzędach Zuni, deszczowych dzbanach Anasazi. Bóg jest w *Suukya'qatsi*. Jest w próbkach i w mikroskopach, w indiańskich koszykach. Jest w mojej duszy, w duszach jastrzębi i ludzi. Jest w żółtym piasku i błękitnym niebie. Mieszka na pustyni i w morzu, w miastach przyszłości i w kanionach przeszłości.

Rozwiązałem też zagadkę kanionu Chaco: jaki lud tam żył, dlaczego odszedł i więcej nie wrócił.

Nie boję się śmierci, gdyż — jak obiecała Hoszitiwa — to będzie tylko zmiana scenerii. Tam też połączę się z Elizabeth, a pewnego dnia również z Morgana w Nierozzerwalnej Jedności. Nie jestem zaginionym białym bratem Pahana ani brodatym białym bogiem Jakala, Cjuetzalcoatlem. Jestem tylko człowiekiem — ludzkim i pokornym — któremu została objawiona Wielka Tajemnica, a który ze względu na słabość i przemijalność ciała musi zabrać ją ze sobą do grobu. Modlę się, by ten, kto kiedyś odkryje moje kości, doceni! skarb, jaki znajdzie na kartach tego dzienniczka i podzielił się nim z ludzkością.

Wtem...! Dziwnie się czuję. Opuścił mnie cały lęk, niepokój i ból. Czuję się cudownie odświeżony, jak człowiek, który wyszedł spod gorącego prysznica i z ochotą wita śniadanie i nadchodzący dzień...

Śmierć to tylko zmiana scenerii, Pahana".

ROZDZIAŁ 98

Morgana siedziała w zimnej i ciemnej kivi z dziennikiem na kolanach. Trzęsła się, szczykała zębami, straciła czucie w nogach. Nie chciało jej się ruszać. Skończyła czytać pamiętnik ojca, czuła się wyczerpana, bez sił. W głowie jej dudniło. Była osłabiona.

Wąziutka smużka dymu snuła się przez otwór w sklepieniu. Ogień prawie zgasł. Morgana spaliła wszystko, co nadawało się do spalenia. Bez sygnału dymnego nikt jej nie odnajdzie.

Przeszył ją dreszcz. Jest coś, co jeszcze może spalić.

Spojrzała na notatnik. Może uda się oderwać okładkę? Oprawiona w skórę tektura i klej z pewnością dadzą dużo dymu. Najpierw ostrożnie szarpnęła przy grzbiecie niezapisaną kartkę, ale papier rozdarł się na pół. Rozczarowana zrozumiała, że oddzielenie wszystkich kartek od okładek potrwałoby wiele godzin. A nawet gdyby to zrobiła, na jak długo podtrzymałaby ogień sama okładka?

Westchnęła, ogarnęło ją nagłe znużenie. Położę się tylko na momencik. Na sekundkę zmrużę oczy — pomyślała i natychmiast się wyprostowała, próbując wyrwać kolejną kartkę. W głowie błąkała się myśl o zatruciu tlenkiem węgla.

Tego akurat nie musiała się obawiać. Otwór w suficie zapewniał aż nadto skuteczną wentylację.

ROZDZIAŁ 99

Morganie śnił się toltecki książę. Podarował jej zieloną papugę, którą nazwał Czi Czi i surowo przykazywał, by codziennie karmiła ptaka *chocolatl*, inaczej zwierzę zdechnie. Do kivy zabłąkał się też beznosy mężczyzna, pytając, czy nie widziała gdzieś jego nosa. Poradziła, by wspiął się po linie do schronienia na skale. Tam jego nos będzie bezpieczny przed Mrocznymi Panami. Morgana zaczęła śmiać się przez sen, ale wtedy stary poszukiwacz złota nazwiskiem Bernam powiedział: „Chichot to pierwszy objaw zatrucia czadem. Nie śmiejesz się, dzierlatko, umierasz”.

Nagle kiva zaczęła drżeć. Morgana otworzyła oczy i zobaczyła sypiący się ze starych cegieł pył. Zerwała się na nogi. Czy to trzęsienie ziemi? A może piorun?

Przez otwór w sklepieniu zobaczyła, że na dworze znów jest jasno. Przytknęła dłonie do ściany. Wyczuła wyraźne drżenie. Samochody! Przejeżdżają gdzieś blisko.

— Hop, hop! Jestem tutaj!

Nasłuchiwała, nie odrywając dłoni od muru. Wtedy... Drżenie zaczęło słabnąć. Samochody odjechały w inną stronę.

— Nie!

Dym! Ale nie zostało już nic do spalenia. Zostało.

— Nie zdołam wszystkiego zapamiętać — powiedziała z przerażeniem, myśląc o opowieściach z notesu, mądrościach Pradawnych. Do tego szkice! Hoszitiwa jako młoda dziewczyna. Książę Jakal, ostatni z Tolteków. Historia wyrwana w pomroku dziejów i przeniesiona w teraźniejszość.

Jeśli jednak ich nie spalę, by sygnał dymny zaalarmował ludzi, umrę tu z odwodnienia i wychłodzenia.

Warkot się oddalał. Samochody odjeżdżały! Czy będą wracały tą samą drogą? A jeśli dopiero za kilka dni albo tygodni? To ostatnia szansa, by ktoś ją dostrzegł i uratował.

A mimo to nie umiała podjąć decyzji. Uratować się kosztem dzieła życia ojca? Czy ocalić dzieło ojca za cenę swojego życia?

— Boże, pomóż mi! — krzyknęła. — Nie potrafię zdecydować!

Wtedy pomyślała o Nicholasie, cudownym darze, który dostała od Roberta. Kto zaopiekuje się nim i będzie go kochał jak ona? Nagle ogarnął ją spokój. Zrozumiała, że pozostało jej tylko jedno wyjście. Wszyscy z dzienniczka ojca — od kapitana s/s Caprica po oślicę imieniem Sara, prekolumbijscy Indianie z kanionu Chaco, badacze z obozu pod Smith Peak, urzędnik do spraw Indian w San Bernardino i pokojówki z Casa Esmeralda — wszyscy oni będą musieli umrzeć, by Morgana żyła.

Ze szlochom wsunęła pamiętnik między rysunki, żałując, że nie może postąpić inaczej — ale warkot samochodów coraz bardziej się oddalał i wkrótce nie

miałaby komu wysłać sygnału dymnego — przyklekła przy dogasającym ognisku i już miała położyć wszystko na popiele...

Czekaj.

Znieruchomiła.

Jest jeszcze coś, co możesz wrzucić do ognia. Wyprostowała się.

— Kto to?

Znajdź go. Podpal go — teraz!

Ściągnęła brwi. Przysięgłaby, że to głos ciotki Bettiny.

Ale to przecież niemożliwe.

— Wszystko już spaliłam — powiedziała w ciemnościach.

Nie wszystko. Pospiesz się!

— Co jeszcze? Co?! Zostałam w samej bieliźnie. To wystarczy tylko na kilka iskier.

Skup się! Coś tu zostawiłam.

Wtedy przypomniała sobie słowa, jakimi Bettina pożegnała Faradaya: „Zamierzałam wyrzucić to paskudztwo, ale postanowiłam zostawić ci na pamiątkę”.

Bettina rzuciła coś na podłogę! Ale co?

Zaświeciła latarkę i w panice zaczęła oświetlać gasnącym promieniem wnętrze kivy.

— Tu niczego nie ma! *Pospiesz się!*

Morgano, skup się. Co mogła przynieść Bettina? Jakies paskudztwo, które miało przypominać Faradayowi o Elizabeth.

Drżenie słabło. Samochody coraz bardziej się od niej oddalały.

Myśl! — rozkazał głos.

— Nie potrafię!

Była osłabiona, w głowie jej szumiało. Nie jadła ani nie piła od wielu godzin. Straciła czucie w dłoniach i stopach. Krew w jej żyłach przypominała lód. Marzyła tylko, by się położyć i zasnąć za zawsze.

I wtedy... Coś o naczyniu, które Elizabeth dała Faradayowi. Bettina nazwała je paskudztwem.

Morgana rzuciła się na podłogę i na czworakach zaczęła grzebać w piasku i żwirze. Wreszcie palce trafiły na jakiś przedmiot. To ono: naczynie Pajutów, które Elizabeth podarowała Faradayowi. Spłaszczony, pokryty kurzem. Kosz impregnowany żywicą.

— Błagam, Boże — szeptała, rozdmuchując gasnący popiół i kładąc na nim naczynie. — Błagam, niech się zapali.

Nad paleniskiem podniósł się cuchnący dym, wypełniając pomieszczenie. Morgana machała rękami, próbując skierować go w górę. Wreszcie udało się i snop dymu wzbił się prosto ku błękitnemu niebu.

Nasłuchiwała. Przyłożyła ręce do ściany.

— Błagam... — szlochała.

Nagle... drzenie jakby przybrało na sile. Wkrótce znów usłyszała warkot silników. Głosy. Trąbienie. Wreszcie zobaczyła czyjaś twarz, pochyloną nad otworem.

— Ostrożnie! — krzyknęła. — Ziemia może się zapaść! Jestem w kowie!

ROZDZIAŁ 100

Niespokojne głosy, krzyki, tupot nóg nad głową, potem linowa drabinka spuszczone w dół i głos Joego Candle-wella:

— Łap, Morgano! Wyciągniemy cię!

Z całej siły ściskając pamiętnik i rysunki, chwyciła się drabinki i wsunęła stopy w pętle. Po chwili już była na górze, wciągając w płuca błogosławione świeże powietrze i rzucając się na szyję Joemu.

— Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało — powiedział.

TLR

Równocześnie dopadła do niej Ethel z ciepłym kocem.

—Aleś nam napędziła strachu. Baliśmy się, że stało się jakieś nieszczęście.

—Długo tam byłam? — spytała Morgana, opadając na kamień.

Ethel wciskała jej w ręce kubek gorącej kawy. Poranne słońce kłuło oczy.

— Pewnie od wczoraj. Wtedy wyjechałaś. ¹ Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny!

—To dlaczego mnie szukaliście? Powiedziałam Suzie, że wrócę dzisiaj.

—Robert. Wieczorem, kiedy Suzie powiedziała, że pojechałaś sama...

—Robert!

—Zgadza się — odezwał się znajomy głos, a zaraz potem zobaczyła jego uśmiechniętą twarz. Robert w mundurze, wspierający się na kulach. — Kiedy Suzie Knapp powiedziała, że pojechałaś sama na pustynię, postanowiłem zjawić się tu i zrobić ci niespodziankę. Kiedy jednak znalazłem twój samochód z całym sprzętem... a był już środek nocy... wiedziałem, że coś musiało się wydarzyć. Zawróciłem i sprowadziłem pomoc.

Rzuciła mu się w ramiona, mocno go ściskając, by się upewnić, że nie śni.

—Nie wiedziałam, że wrócisz — szlochała mu w ramię.

—Nie dotarł do ciebie list z informacją, że mnie wypisali?

Odsunęła się.

—Robercie, myślałam, że nie żyjesz!

—Niewiele brakowało — powiedział, z czułością ocierając jej łzy. Dopiero wtedy zauważyła cienie pod oczami i głębokie bruzdy, jakie na jego twarzy wyryło cierpienie. — Ty trzymałaś mnie przy życiu, najdroższa. Wciąż miałem cię w myślach i w sercu, wspominałem nasze wspólne chwile nasz śmiech i płacz...

—Brylant w drzewie Jozuego — dokończyła łamiącym się głosem.

—Nasze wspomnienia, twoje listy, które czytałem raz za razem, i fotografie naszego syna. Temu zawdzięczam życie. Wiedziałem, że muszę wrócić do ciebie, najmilsza, i do Nicholasa.

Ukryła twarz na jego ramieniu i znowu wybuchła płaczem — lecz tym razem był to płacz szczęścia i radości.

—Ale dlaczego myślałaś, że nie żyję? — zapytał wreszcie.

—Ponieważ Gideon nie żyje!

—Wiem. Powiedzieli mi. Najdroższa, tak ci współczuję.

—A potem twój list... z fotografiami...

—Wysłałem go miesiąc temu. Przepraszam, jeśli cię przeraził. Nie myślałem wtedy klarownie. Tylko on do ciebie dotarł? To spodziewaj się jeszcze trzech. — Delikatnie pocałował ją w usta, a potem zajrzał jej głęboko w oczy. — Przez krótką chwilę ciężko chorowałem, ale już wydobrzałem. Wróciłem do domu i już się stąd nie ruszę.

Znowu ją pocałował, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i mocno zacisnęła, jakby już nigdy nie miała go puścić. Stali tak bez ruchu, podczas gdy Joe Candlewell i pozostali mężczyźni podeszli do kivy i ostrzegając się o niebezpieczeństwie, oświetlali latarkami jej wnętrze. Wreszcie Robert odsunął się i ze zmarszczonymi brwiami rozejrzał się po małym kanionie. Poranne słońce zalewało złotym blaskiem skały, kaktusy i brązowe juki.

—Co tu się właściwie wydarzyło?

—Znalazłam go — wyszeptała Morgana, mocniej owijając się kocem. — Znalazłam mojego ojca. Jest tam. — Pokazała kivę. — Wpadłam do środka. Myślałam, że nigdy się nie wydostanę.

—Chwała Bogu, że wysłałaś sygnał dymny.

—Spaliłam wszystko, co miałam, nawet ubranie.

—W ogóle tu nie zaglądaliśmy, szukaliśmy po drugiej stronie Czaszki i oddaliliśmy się od tego miejsca.

—Przecież mówiłam Suzie, że będę niedaleko juki La Vieja!

—Jakiś kilometr stąd znaleźliśmy twój plecak. Tam cię szukaliśmy.

Kojot!

— Gdyby nie ten czarny kłęb dymu, chyba nigdy byśmy cię nie znaleźli.

Morgana pomyślała o głosie, który kazał jej szukać kosza wysmarowanego żywicą. Głosie o wymowie charakterystycznej dla mieszkańców Nowej Anglii. Głosie ciotki Bettiny.

Ciotka uratowała mi życie — zrozumiała.

Dłońmi wodziła po twarzy Roberta. Nie mogła się napatrzeć na jego rysy, głęboko osadzone oczy, w których — choć tyle widziały — wciąż płonął ciepły blask.

— To na pewno ty? Na pewno nic ci nie jest?

— Nic mi nie jest, najdroższa — wyszeptał. — Już nigdy cię nie opuszczę.

Przypomniała sobie o pamiętniku ojca, mądrości Pradawnych.

— Robercie! — zawołała. — Tyle muszę ci powiedzieć! Dokonałam cudownego odkrycia.

Wróciły do niej słowa, które kiedyś wypowiedziała do Roberta: „Nie wierzę w anioły ani w świętych, w bogów ani w mity. Wierzę w to, czego mogę dotknąć i co mogę zobaczyć; w to, co człowiek może uczynić; w to, co ja mogę uczynić”. Teraz jednak to się zmieniło. Otworzyła się na świat duchowy, wszędzie dostrzeżała pierwiastek nadprzyrodzoności, jakby spadła z niej powłoka uniemożliwiająca kontakt z innymi bytami. Gdyby tatko żył, gdyby on mnie wychowywał i uczył, już dawno wszystko to by przede mną odsłonił — myślała z żalem.

Choć w pewnym sensie zrobił to, tyle że z dwudziestodwuletnim opóźnieniem. Ojciec stał obok niej na tamtym płaskowyżu. Była tego pewna.

— Robercie, miałeś rację. Zbyt długo uciekałam. Uciekałam przed miłością, a kiedy mimo wszystko się w tobie zakochałam, uciekałam przed tobą. Uciekałam przed małżeństwem i macierzyństwem. Ukrywałam się na pustyni. Zarzuciłam

badania nad Indianami. Zamknęłam się na świat. Kiedy poznałam Elizabeth, chciałam-podróżować po kraju i jak tata ratować indiańskie mity i tradycje. Moje marzenia jednak umarły razem z nią. Zupełnie jakbym przez ostatnie dziesięć lat była pogrążona we śnie. Teraz wreszcie się obudziłam!

Pomyślała o odłamku złocistej *olli* i uświadomiła sobie, że ilekroć trzymała go w ręku, trzymała też łzy Hoszitiwy. Nagle poczuła niemal fizyczną więź z tamtą dziewczyną z innej kultury i świata, jakby garncarka przeciągnęła przez glinę niewidzialną nić, która łączyła ją z każdym, kto w przyszłych stuleciach będzie brał dzban do ręki. Otchłań została zasypana. Teraźniejszość połączyła się z przeszłością.

— Robercie, pisałeś, że nie przez przypadek zaciągnąłeś się do armii; że gdybyś tego nie zrobił, nie poznalibyśmy i nigdy nie odkryłbyś, czego pragnie od ciebie Bóg. Kochany, właśnie zrozumiałam, że ze mną było tak samo! Gdybym cię nie poznała i nie poślubiła, nie szukałabym z takim uporem ojca, bo nie byłoby Nicholasa, dla którego to zrobiłam. Gdybyś nie zjawił się w moim życiu, nigdy nie znalazłabym pamiętnika ani rysunków taty.

Powiodła wzrokiem po niepozornym otworze w ziemi i wypełniło ją poczucie spełnienia. Zniknęła gdzieś osierocona dziewczynka wychowana przez zgorzkniałą ciotkę. Oto obudziła się do życia córka człowieka z misją, a może także matka człowieka z misją, ponieważ Nicholas również stanowił ogniwo łańcucha, cząstkę ich własnej *Suukya 'qatsi*.

Pełna nowego zapału i energii Morgana wiedziała już, co zrobi, gdy skończy się wojna. Będzie zgłębiać tajemnicę Trzeciego i Czwartego Świata, będzie gromadzić jak najwięcej informacji, rozmawiać z Indianami, uzupełniać to, czego dowiedziała się w kowie, a wreszcie utrwali to na piśmie i wyda, by każdy mógł usłyszeć o Jedni, a potem zdecydować, co wybiera.

Stworzy też muzeum dedykowane ojcu i jego dziełu, gdzie każdy za darmo będzie mógł zobaczyć niezwykle szkice Faradaya Hightowera. Czy rzeczywiście rozwiązał zagadkę kanionu Chaco? Morgana pokaże jego zapiski badaczom, niech sami wyciągną naukowe wnioski.

Jeśli zaś chodzi o *xochitl* z krwią Quetzalcoatla, zatrzyma go, a kiedyś przekaże Nicholasowi. We trójkę udadzą się do Chaco, będą szukać komnaty z piórami, ruin warsztatu garn-¹carskiego, a potem podczas zrównania dnia z nocą staną w samo południe na dziedzińcu, by zobaczyć, jak ich cienie wyznaczają północ.

Najpierw jednak zabierze ciało ojca z kivy i złoży na cmentarzu niedaleko oazy Mara. Tam Faraday spocznie obok Elizabeth. A kiedy skończy się wojna, sprowadzi ciało Gideona i pochowa między rodzicami.

— Robercie — przypomniała sobie nagle. — Widziałeś naszego syna? Oglądałeś nasze dziecko?

Uśmiechnął się szeroko.

— Tak, widziałem. Jest piękny.

W tej samej chwili zobaczyła, jak zbliża się przyjaciółka niosąc w ramionach jej śpiącego syna.

— Suzie! Skąd się tu wzięłaś?

— Musiałam przyjechać i upewnić się, czy nic ci się nie stało — wyjaśniła kobieta, podając jej chłopca — ale nie mogłam zostawić Nicholasa. Nie wiem, dlaczego. Coś mi mówiło, że muszę go zabrać. Wiem, że jest chłodno, ale owinęłam go kocem. Jest ciepłutki.

— Cieszę się, że go przywiozłaś — odparła Morgana, mocno tuląc do serca syna. — To dziecko pustyni. Urodził się niedaleko stąd.

A miejsce jego narodzin też nie było przypadkowe — dodała w myślach.

Zanim Morgana wsiadła do samochodu Joego Candlewella, jeszcze raz popatrzyła na Błyskawicę, która trzymała straż przed prekolumbijską kivą, i zauważyła dziewczynę w czerwonej tunice i spódnicy, z włosami upiętymi w charakterystyczne dla Indian Hopi kwiaty dyni i z oryginalnym tatuażem na czole. Córka słońca uniosła dłoń w geście pożegnania.

Morgana wysłała swe myśli wiatrowi, pytając:

Skoro Hoszitiwa nie była ostatnim szamanem, to kto nim jest?

Mądrość suukya'qatsi została objawiona twemu ojcu, a on przekazał ją tobie — odrzekła dziewczyna o podłużnych oczach. — Ty, Morgano, jesteś ostatnią szamanką.

TLR